

IGNACY JAN  
PADEREWSKI

*Pamiętniki*



# *Pamiętniki*



# IGNACY JAN PADEREWSKI

## *P a m i ę t n i k i*

SPISAŁA MARY LAWTON

1984

*Polskie Wydawnictwo Muzyczne*

Tytuł oryginału: *The Paderewski Memoirs*  
Collins, London 1939

Z języka angielskiego przełożyły  
WANDA LISOWSKA i TERESA MOGILNICKA

Posłowie: WITOLD RUDZIŃSKI

Okładkę, i strony tytułowe projektował  
Władysław Targosz

ISBN 83-224-0260-0

Nowy Jork, 19 kwietnia 1933

Niniejszym stwierdzam, że autobiografia, nad którą pracuję obecnie z panią Mary Lawton, a którą ma wydać firma Collins, jest autentycznym opisem mego życia, jedynym posiadającym moją autoryzację i zgodę.

I. J. Paderewski

## Przedmowa

Kilka lat temu pewnego upalnego dnia we wrześniu stałam na tarasie willi Paderewskiego w Morges, czekając na jego odpowiedź. Wstaliśmy właśnie od śniadania, podczas którego przeszło godzinę toczyła się rozmowa o jego pamiętnikach. Pomysł ich napisania przedyskutowaliśmy wszechstronnie — co było zresztą zasadniczym celem mojej wizyty. Nawet nieśmiertelne, wspaniałe piękno Mont Blanc przede mną oraz delikatny urok Jeziora Genewskiego, leżącego u mych stóp, nie docierały w pełni do mej świadomości w tym momencie intensywnego wyczekiwania. Oczekiwanie na odpowiedź Paderewskiego całkowicie wypełniało mój świat w tej chwili.

Czy zgodzi się na przedstawiony przeze mnie plan? Czy pozwoli mi pisać bajkową historię swej oszałamiającej kariery? Gdy pierwszy raz wystąpiłam ze swoją propozycją, szybka odmowna odpowiedź Paderewskiego jak błyskawica przeleciała przez pokój, zadając śmiertelny cios moim pragnieniom. „Ach nie, nie — • wykrzyknął — • nie chcę nawet myśleć o tym! Wszak jestem przecież pianistą, a nie literatem!”

To, co powiedział, było tak przekonująco prawdziwe, że potrzebowałam dłuższej chwili, by odeprzeć te słowa.

— • Tak — mogłam tylko powtórzyć bezmyślnie za nim — jest pan pianistą — i tu oprzytomniałam — ale ja jestem pisarką i chcę pisać historię pańskiego życia. Pragnę pisać ją bardziej niż wszystko, co pisałam dotychczas.

— Ale jak? Jak pani może pisać historię mego życia, jeżeli sam jej pani nie odtworzę?

Pamiętam, jak podniósł się gwałtownie z krzesła i przyłożywszy rękę do czoła powiedział:

— Jak pani może to pisać, kiedy to wszystko jest tu — tu, zamknięte w mej głowie i sercu. Jak mam to pani ujawnić? To

można tylko napisać samemu. Ogromne przedsięwzięcie, na które nie mam sił ani czasu, i nawet nie chcę o tym myśleć — raz jeszcze dotknął ręką czoła — to jest tutaj, powiadam pani, wszystko jest tutaj, a ja nie jestem pisarzem.

Teraz czułam już wyraźnie, że zwyciężę; miałam gotową odpowiedź:

— Ach, ależ to bardzo proste — wydobyć tego wszystkiego, co mieści się w pańskim umyśle. Jest pan wprawdzie pianistą, ale umie pan niezrównanie opowiadać, opowiadać, być może, lepiej niż ktokolwiek inny na świecie — zawołałam, gromadząc argumenty. — Pan będzie opowiadał, opowiadał, aż wypowie wszystko! Będzie to więc pochodziło z samego źródła, z pierwszej ręki — to jedyny możliwy sposób i taki prosty — powiedziałam niefrasobliwie, z wesołością, której wcale nie odczuwałam, podczas gdy Paderewski patrzył na mnie wzrokiem pełnym zdziwienia i sprzeciwu.

— Tak, to naprawdę jest proste — powtórzył, i przez dłuższą chwilę krótkie to zdanie w niemym konflikcie zawisło między nami. Aż nagle, patrząc wciąż w jego zdziwione oczy, zobaczyłam, że ich zdumienie ustępuje miejsca błyskom zrozumienia, obejmującego powoli całą jego istotę i rozjaśniającego płomieniem twarz.

• — Ach — rzekł —• więc w ten sposób chce pani to zrobić! Ja mam wszystko opowiedzieć. Tak, pojmuję wreszcie. Pani jest górą. Lecz jednocześnie niepokoi mnie pani. Pomysł jest dobry, ale niepraktyczny. Jak chce go pani zrealizować, proszę mi wyjaśnić?

Zacząłam więc tłumaczyć, że będzie mi mówić o sobie godzinami, dniami, tygodniami, a nawet miesiącami, gdy zajdzie tego potrzeba i gdy będzie miał czas i ochotę, a wszystko zostanie zebrane i następnie spisane przez mnie. Odtworzę to, ukształtuję i zbuduję na podstawie jego własnych słów, od samego początku kolejno, aż do wspnianego spełnienia.

— I będzie brzmiało, jakby to ja sam opowiadał?

— Oczywiście, napiszę to tak, jakby to pan sam mówił. Jak panu wiadomo, zanim porzuciłam scenę dla literatury, byłam aktorką, myślę więc, że potrafię wcielić się w pana, wczuć się całkowicie w pana psychikę; nie na próżno przecież byłam aktorką! — zapewniałam go jeszcze, wykorzystując swoją pozycję i wysuwając nowe argumenty.

— Tak — odpowiedział, skłoniwszy mi się ze swą uroczą wytwornością. — Wiem o tym i wiem, że ma pani na swym koncie już kilka biografii, jest to więc eksperyment nie dla pani, lecz dla mnie, i to ogromny eksperyment, i chociaż zaciekawiła mnie pani swą propozycja, to jednak nie zdołała mnie przekonać!

— Moglibyśmy przynajmniej spróbować — zaproponowa-

łam. — Jeśli nie będzie się to panu podobało, możemy wszystko spalić. Zawsze znajdzie się kominek gotów pochłonąć tego rodzaju ofiarę!

Wiedziałam, że Paderewski był ubawiony tą „podstępna” grą, ale wciąż jeszcze trochę był zaskoczony i z pewną rezerwą odnosił się do tego zbyt łatwego sposobu oddania swych wspomnień do mojej dyspozycji.

— Kusi mnie pani — powtórzył — stanowczo mnie pani kusi, gdyż, muszę przyznać, że od dwudziestu lat staram się nakłonić siebie do napisania autobiografii. Wielu wydawców i pisarzy już na mnie nalegało, ale, ale... — tu znów roześmiał się i powtórzył — nie jestem pisarzem, jestem pianistą, jak pani wiadomo. Życie moje wypełnia gra wyłącznie i bez reszty. Brak mi czasu, tak mało go zostało!

Wyczułam w jego słowach trwogę. Wiedziałam, że nadszedł decydujący moment: teraz albo nigdy. Znalazłam w sobie jednak dosyć zdrowego rozsądku, by mu nie przeczyć.

W tym momencie walki o odzyskanie straconej pozycji znalazłam szczęśliwie odpowiednie słowa, przytaczając jego własne:

— Oczywiście, że jest mało czasu, zawsze brakuje czasu, ale mimo to taki eksperyment może sprawić panu przyjemność. Tak, sprawi panu przyjemność, będzie to bowiem miła rozmowa, cudowna rozmowa, zupełnie jak pańska muzyka: będzie w tym całe pana życie.

— Ach, pani usiłuje mi wszystko ułatwić — wykrzyknął — ale to będzie trudne, bardzo trudne.

— Dla mnie tak — zgodziłam się szybko — piekielnie trudne; ale co do pana — sprawi to panu tylko przyjemność.

I znów zwrócił na mnie swoje badawcze i niezgłębione spojrzenie, ale tym razem ujrzałam promień nadziei. Uczepiłam się tego. Zwycięstwo zdawało mi się bliskie.

— Proszę mi teraz nie dawać odpowiedzi, błagam pana, proszę pomyśleć o tym chwilę dłużej: minutę, dwie minuty, pięć, dziesięć — zresztą, ile tylko pan zechce!

Nie dosłyszał nawet moich słów — zamyślony, wpatrzony przed siebie, nieświadom mej obecności.

Szybko wyszłam przez otwarte drzwi na wielki taras i stałam tam czekając. Paderewski — postać wielka na miarę bohatera eposu, samotny zawsze pośród swego świata; napisać bajkowe dzieje jego życia — co byłoby ich ukoronowaniem, zebrać razem bogate, rozrzucone kłosa, by otrzymać żniwo w postaci pełnego, dojrzałego ziarna, żeby mogło na nowo ożyć — to było moje postanowienie i moja nadzieja.

W tych chwilach oczekiwania wizja ta unosiła się jasna i nieskrępowana w mojej wyobraźni, przesłaniając mi widok wiecznym śniegiem pokrytych szczytów i piękno leżącego przede mną

krajobrazu. I wówczas przyszła odpowiedź. Paderewski stanął przy mnie na tarasie. Zanim przemówił, znałam już wyrok.

— Tak — powiedział bardzo spokojnie — odpowiedź brzmi tak. Zdecydowałem się. Wypróbujemy ten pani wielki eksperyment — plan jest dobry i myślę, że się uda. Zobaczymy.

W rok później rozpoczęliśmy wielką próbę. W Londynie, w hotelu Carlton, zaczęły się nasze rozmowy. Powoli i nieudolnie, gdyż Paderewski twierdził, iż jest zdenerwowany.

Pierwsza godzina była tak trudna, że nigdy jej nie zapomnę. Pełna zapału, chwilami kompletnie upadałam na duchu. Lecz wreszcie urywany początek, słowa, które nie chciały przyjść, suche, martwe fakty, tak pozornie nieinteresujące i bez wyrazu — powoli zaczęły ożywać, nareszcie ogień zapłonął.

Po tym występie poczęliśmy rozmawiać bez końca o wszystkim: o jego życiu, o ojcu i matce, o smutnym dzieciństwie spędzonym w niedostatku i samotności, o początkach wielkiej kariery, tragicznych rozczarowaniach, niepowodzeniach i zahamowaniach, o wspaniałych postaciach ówczesnego pięknego, romantycznego świata, tak obecnie zagubionego w dzisiejszej okrutnej i surowej rzeczywistości — mówiliśmy tak, jak myśli nam się same nasuwały: serdecznie i ponuro, wesoło i tragicznie. Wszystko to na zawsze zapadło mi w serce. Złote ziarno powoli dojrzewało do zbioru.

Gdy teraz spoglądam wstecz, podziwiam swoją odwagę, powiedziałabym nawet zuchwałość, jaką miałam, wyobrażając sobie wówczas, że to będzie takie proste. Ziarno wspomnień zostało zebrane w pocie czoła i łzach, z nieprzewidzianymi przerwami, ustawicznymi zmianami, z momentami rozpaczliwego zniechęcenia i rozczarowania. Ogrom i subtelność zadania oraz długotrwałość rozpoczętej przeze mnie z taką radością drogi wystawiły na próbę cały zapas mej wytrzymałości i wiary. Przez te lata męczącej pracy — wśród których oazami były pełne natchnienia tygodnie spędzone na rozmowach z Paderewskim — przeżyłam całą skalę ludzkich wzruszeń.

W ciągu całego okresu twórczej pracy nad odtwarzaniem życia Paderewskiego niezwykle otuchą były dla mnie zainteresowanie i zachęta ze strony innego wielkiego człowieka — tak znanej dziś w całym świecie, wielkiej, jedynej w swoim rodzaju postaci — George'a Bernarda Shawa. Był moim przyjacielem. Od czasu, gdy mnie właśnie wybrał do odtworzenia głównej roli w pierwszy raz wystawianej w Ameryce swej sztuce *The Philanderer*, stał się moim dobrym i prawdziwym przyjacielem. Chociaż ubolewał zawsze nad moją — jak mówił — „dezercją ze sceny”, zawsze szczerze interesował się moją twórczością literacką i nieraz prowadziliśmy na jej temat ciekawe rozmowy.



Toteż bezustannie zwracałam się do Shawa w czasie hamujących pracę trudności i w momentach zniechęcenia, w nie kończących się zmaganiach, jakie towarzyszyły opracowywaniu pamiętników Paderewskiego.

Gdy mu powiedziałam, że je piszę, był zachwycony.

— Ach, to dobra nowina. Paderewski miał wspaniałe życie, zrobił karierę bez precedensu, a właściwie dwie kariery. Obecnie jest całkiem możliwe, by premier został pianistą, ale rzadko do tej pory, a faktycznie nigdy jeszcze nie słyszałem, by pianista został premierem! Ale ludzie nigdy nie są zadowoleni. Prawdopodobnie Paderewski w głębi serca — gdyby się do tego przyzna! — zawsze pragnął być pisarzem, a pani bezsprzecznie chciałaby być pianistką! Co do mnie, pragnąłem zawsze być pianistą, a jednocześnie nie udało mi się nigdy bezbłędnie wygrać na fortepianie prostej gamy C-dur.

Shaw bardzo był tym tematem ubawiony, ale poważnie podchodził do kwestii wartości pamiętników.

— Powinny też być wypełnione wartościową treścią muzyczną. Wszyscy muzycy będą tego oczekiwali. Ale to wielkie zadanie — przestrzegał mnie — bardzo wielkie. Będzie pani miała trudności ze swym bohaterem, trudności ze wszystkimi i ze wszystkim: z umowami, kwestiami finansowymi, wydawcami; niestety tak już jest zawsze, gdy się ma do czynienia z wielką osobistością artystyczną. Każdy ma coś do powiedzenia, a przy tym muzycy nie mają poczucia czasu, niech pani o tym pamięta — dodał Shaw złośliwie — książki zaś muszą być w określonym czasie wydane.

Prorocze słowa! Ale wtedy nie przewidywałam, jak bardzo prorocze. Dopiero przeszło rok później zobaczyłam się z Shawem w Londynie.

— Co, jeszcze pani nie skończyła? Nie uwolniła się pani dotąd od Paderewskiego? — powiedział, nim zdążyłam się w ogóle odezwać. — Niech pani siada i opowie mi, co panią dręczy.

— Naturalnie Paderewski! To nie jedno życie, które opisuję, ale setki żywotów w jednym życiu! Nie ma temu końca! Stale wynajduję nowe klejnoty do jego korony, a osadzenie ich w niej musi być doskonałe — jęknęłam. Nigdy nie zapomnę prędkiej i niezwyklej odpowiedzi Shawa.

— Nonsens, Mary! Niech pani nie próbuje uchwycić całego świata w swoje dłonie — to nie do zrobienia, nikt tego nie potrafi — i dalej mówił właściwym mu stylem.

— Za dużo uwagi poświęca pani swemu bohaterowi; koniec końcem, jest on tylko pianistą. Niech pani nie zwraca na niego uwagi, tylko pracuje dalej i pisze, co chce. To jedyny sposób pisania życiorysu. Jeżeli będzie pani za bardzo analizować treść i to, co on sam ma o sobie do powiedzenia, to nie skończy pani

do śmierci. Więc niech pani pisze dalej, Mary, niech pani pisze.

I tak mówił do mnie w dalszym ciągu, a ja z wolna poczułam się przeniesiona w inny świat — świat jego wielkiego umysłu i ducha oraz wielkiej dobroci promieniejącej z całej jego istoty.

— Każda praca musi być ukończona w odpowiednim czasie. Jeżeli ciągnie się za długo, wyczerpie panią kompletnie, może doprowadzić do zniszczenia samej siebie i pani równocześnie. Więc niech pani pisze dalej, Mary, pani jest mistrzem pod tym względem.

W końcu października ubiegłego roku, gdy ukończyłam wreszcie swe wielkie zadanie, przyjechałam do Londynu specjalnie, by zobaczyć się z Shawem. Gotowy rękopis wysłany już był do Paderewskiego, z wyrazami mej radości, którą i on zapewne podzielał. I wtedy poszłam do Shawa z wiadomością, że książka nareszcie jest ukończona, że dobrnęłam do celu. Był wzruszająco uradowany.

— To dobra wiadomość — powiedziała. — Paderewski miał wspaniałe życie, więc i książka powinna być wspaniała. Doprawdy, ciekaw będę zobaczyć ją.

— A czy i przeczytać'?

— Ach, naturalnie, że będę ją czytał. W każdym razie chociaż część; rzecz prosta, nie jestem w stanie czytać wszystkich książek, które się pisze i które trafiają na moje biurko. Gdybym to czynił, nigdy bym sam niczego nie napisał. Ale są pewne wyjątki — powiedział patrząc na mnie wyzywająco.

— Trzymam pana za słowo — rzekłam, podjąwszy wyzwanie.

Posłałam mu zatem pierwszy egzemplarz pamiętników Paderewskiego, które się właśnie ukazały. Posłałam książkę przez posłańca jeszcze tego samego dnia, a wieczorem usłyszałam w telefonie głos Shawa z miłą dla mnie wieścią: zaproszeniem na herbatę następnego dnia. Przyszędłszy, zastałam go w komfortowo urządzonej bibliotece, z pięknym widokiem na Tamizę. Na kominku palił się ogień. Już wchodząc zauważyłam leżącą na biurku przyslaną przeze mnie książkę. Natychmiast powiedział:

— To tylko na pokaz, Mary!

— Ale naturalnie — odpowiedziałem — nie przypuszczałam, by mógł pan przeczytać ją w tak krótkim czasie, ale może pan choć do niej zajrzeć?

— Zrobiłem dużo więcej, bo faktycznie ją przeczytałem.

— Co, całą — dosłownie?!

— • Tak, dziwne to, ale przeczytałem. Rzeczywiście bowiem zainteresowała mnie. Otworzyłem ją, by popatrzeć na ilustracje, ale jakoś zabrałem się i do czytania. Wszystko w porządku, Mary — to dobra książka i tak mi się podoba, że chcę coś o niej

napisać, parę słów uznania, coś, co pani może wykorzystać lub zrobić z tym, co pani zechce.

Zanadto byłam wzruszona i zbyt zaskoczona, by od razu znaleźć odpowiednie słowa podziękowania; milczałam, podczas gdy on dalej wesoło rozprawiał, a kiedy już wychodziłam, prosił, bym przyszła w następnym tygodniu, wtedy kiedy już będzie miał to „cos” gotowe. Opuściłam go uszczęśliwiona, lecz jednocześnie oszołomiona. Starłam się domyślić, co też napisze — czy będzie to tylko kilka polecających słów, czy też może rodzaj listu. W najlepszym razie spodziewałam się paru linijek.

W następnym tygodniu udałam się znów do niego. Tego dnia sam otworzył mi drzwi. W rękach trzymał zwój arkuszy pokrytych odręcznym pismem, poprzekreślanym i pełnym plam.

— Oto jest, Mary —• rzekł, powiewając nimi w moją stronę. — Nie będzie się pani podobało, Paderewskiemu także nie, ponieważ zaatakowałam bezlitośnie jego koncertowy fortepian, jednak nie może się pani spodziewać, żebym nawet w tym wypadku odstąpił od swojej zwykłej roli krytyka — ale to nie ma znaczenia, to nie gra roli. Proszę siadać. Przeczytam pani.

— Ależ tego jest znacznie więcej, niż się spodziewałam — rzekłam. — Jest to list, przedmowa., a pan mi zawsze mówił, że nigdy i dla nikogo nie napisze przedmowy.

— No cóż, napisałem.

I zaczął czytać, a ja siedziałam cicho, tak jak mi polecił. W pewnej chwili przerwał czytanie, mówiąc z wesołym śmiechem:

— Możemy się spodziewać wiele zabawy z wystąpień krytyków muzycznych. Będą musieli bronić tego monstrum, jakim jest stalowy fortepian; może to wywołać wielką polemikę i mam nadzieję, że ją wywoła. Dobrze im to robi!

Gdy skończył czytać, zapadło między nami milczenie. Nie mogłam znaleźć słów, by wyrazić mu swoją wdzięczność. I wtedy cud się dokonał. Shaw zwrócił na mnie swe rozumne spojrzenie, po czym powstał i składając ostrożnie w me ręce ten mały skarb (bo skarbem będzie dla mnie zawsze), powiedział:

— Oto jest, to pani własność, może pani z tym zrobić, co tylko pani zechce.

Wciąż siedziałam bez słowa, świadoma tylko jego mądrej, życzliwej mi obecności, i nagle czując, że o ile nie powiem czegokolwiek, rozpłaczę się, rzekłam to właśnie, czego nigdy bym nie chciała była powiedzieć:

— Jak mam to zużytkować, co mam z tym zrobić? Chcę bowiem zrobić z tym dokładnie to, co pan by pragnął — i w taki sposób, jaki pan uważa za najlepszy!

— Więc — powiedział z cudownym błyskiem w oczach — niech pani to sprzeda i zwieje z pieniędzmi.

— Och!

— Proszę, niech pani usiądzie, Mary. No cóż, niech więc to pani komuś podaruje.

Zdolna byłam jedynie wpatrywać się w niego w milczeniu.

— Jeżeli i to pani nie odpowiada, powiem pani, co najlepiej zrobić: po prostu ukryć to!

— Ukryć!?! — podniosłam się w pasji. — Ukryć coś tak wspa-  
niałego?

— Dlaczego nie? Jeżeli pani nie chce tego sprzedać ani komu-  
kolwiek podarować — musi pani to schować.

— Ależ gdzie, gdzie?

— Ach, to bardzo proste. Dziwię się, że pani pyta. Niech pani  
to ukryje tak, żeby nikt tego nie znalazł — w przedmowie, którą  
musi pani przecież napisać, a wtedy nikt tego nigdy nie zobaczy  
(bo nikt nigdy nie czyta przedmowy), a już na pewno pani bo-  
hater — • Paderewski!

Podnosząc więc kurtynę, ukrywam — tak jak mi pole-  
cono — ów cenny list w mej przedmowie. Składam go na ołtarzu  
przyjaźni dla obu tych wielkich ludzi.

Dla tych, którzy chcą szukać — i potrafią ocenić — oto jest.  
M. L.

4 Whitehall Court, Londyn  
11 listopada 1938

*Droga Mary Lawton,*

*choć zdradziła pani scenę dla literatury, ucieleśnienie Paderew-  
skiego w tej jego i pani książce jest jednym spośród największych  
sukcesów aktorskich pani. Książka posiada wszelkie cechy wielkiej  
autobiografii; skłoniła mnie ona do zajrzenia do czterotomowego  
zbioru moich krytyk muzycznych sprzed pięćdziesięciu lat, by zo-  
baczyć, co powiedziałem o Paderewskim niegdyś, gdy porwał sobą  
cały Londyn i został natychmiast sportretowany jako archanioł przez  
Burne-Jonesa. Cieszę się, że nie omyliłem się co do niego. W moich  
notatkach bowiem ukazuje się jako największy pianista owego  
czasu, a prawdopodobnie wszystkich czasów. On jednak zapomniał  
o nich, oprócz leś jednej, która była dlań nieprzyjemna, i dlatego  
w książce pani, jeżeli chodzi o moją osobę, okazuje się w stosunku  
do mnie potworem niewdzięczności. Umieć sobie jednak wytłuma-  
czyć to nieporozumienie.*

*Wydaje mi się, że było to podczas ostatniej wizyty Busoniego  
w Londynie, gdy tenże zaprosił mnie na swój koncert kompozy-  
torski, na którym grał wspólnie z Egonem Petri na dwóch forlepi-*

nach. Powiedziałem mu wtedy: „Jest tylko jedna rzecz na świecie gorsza od jednego fortepianu, a mianowicie dwa fortepiany”. Busoni zrozumiał to od razu. „To prawda — powiedział — ale nie możemy się bez tego obyć.”

Nic podobnego nie przyszło nikomu na myśl, gdy Paderewski pojawił się w Londynie. Im głośniejsza muzyka, tym bardziej publiczność zachwycała się lub też udawała, że się zachwyca, gdyż w epoce wiktoriańskiej wiele było udawania w owej modzie na muzykę klasyczną. Rubinstein, jego najświetniejszy poprzednik, straszliwie wymachiwał ramionami w powietrzu, grzmocąc w klawisze jak barbarzyńca. Bo wie pani, nastąpiła wtedy zmiana w fortepianach: stare, drewniane, które sławą okryły Broadwooda i na których komponowali Beethoven i Chopin, zostały wyparte przez potwora zwanego żelaznym, a obecnie stalowym fortepianem. Leszetycki, największy pedagog muzyczny w owym czasie, pojmował, że stalowy fortepian wymaga stalowych palców. Nauczył Paderewskiego uderzenia, o jakim nie śniło się Więckowi lub Kullakowi, i zrobił z niego Stalina fortepianu. Paderewski nie wiedział, że w Londynie było to nowością.

We wspomnieniach swych opisuje Klarę Schumann jako biedną, starszą osobę, która nie potrafi wygrać fortissima. Rzeczywiście, była już wtedy stara i miała powykręcane artretyzmem palce, ale wciąż jeszcze umiała przepięknie zagrać choćby najprostszą grę. Paderewski mówi o sobie, że pasażę Schumanna oznaczone fortissimo — grał fortissimo, ale nie wie, te jego fortissimo, na tym żelaznym potworze i pod jego stalowymi palcami — • pograżyłoby się takich pianistek jak Klara Schumann, a samego Schumanna, zatykającego palcami uszy, wypędziłoby na ulicę. Ulubionym pianistą mojej matki był Thalberg (nigdy go nie słyszałem), a po nim Halle. Liszt i Rubinstein byli ogniwem pośrednim. Liszta nigdy nie słyszałem, ale słyszałem wielu muzyków z jego szkoły. Słyszałem Rubinsteina. Był niezwykłym wykonawcą, ale nie równał się z Paderewskim, jeżeli chodzi o odczucie wielkich kompozytorów. Beethovena grał jak niedźwiedź! Paderewski był wykształconym muzykiem, wykazał subtelność gry i duchowe zrozumienie w swej pracy muzycznej. Porzuciłby był swego stalowego potwora i został sławnym dyrygentem, gdyby dyrygent mógł mieć wówczas takie książęce dochody jak wielki pianista.

Opowiedziała pani tragiczną historię, jak Paderewski doszedł do tego, że znienawidził swą grę, ale dziwne, iż przypuszcza on, jakoby nienawiść ta była patologiczna; nie przyszło mu — jak się zdaje — na myśl, że ów stalowy fortepian jest okropnym instrumentem; fakt podstawowy, z którego zdawał sobie sprawę Busoni.

rawdopodobnie wie o tym i Schnabel, gdyż żaden z nich grając nie używał uderzenia Leszetyckiego. Może i Paderewski je porzucił, <sup>nie</sup> słyszałem jego gry już od wielu lat.

Zygfrydem, który zadał śmiertelny cios stalowemu smokowi, był Arnold Dolmetsch<sup>1</sup>. Gdy wskrzesił klawikord i wiole, stalowy wielkolud koncertowy i sposób uderzenia Leszetyckiego stały się nie do zniesienia. Ja sam uczyłem się, jak nie grać na pianinie Borda, a chociaż przez ubiegłe czterdzieści lat środki moje pozwoliłyby mi z łatwością na kupno Steinwaya, Erarda czy Bösendorf era, zadowalałam się dotąd małym Bechsteinem, chociaż zmuszony jestem zmieniać jego wnętrze za każdym razem, gdy je wykańczam, i to kompletnie. Posiadam także klawikord, na którym jednak nie mogę grać, gdyż ton jego jest już za bardzo od Leszetyckiego oddalony. Moje własne uderzenia wyrobiłem sobie (notabene podobnie jak mały Paderewski) grzmocąc w basie w duetach z siostrą. Rozumiem aż za dobrze, co chce Paderewski wyrazić, gdy mówi, że muzykiem zostaje się nie dzięki graniu, ale dzięki pracy. Ja sam zawsze tylko grałem, a nigdy nie pracowałem nad fortepianem.

Oczekuję drugiego tomu pamiętników z zainteresowaniem i ciekawością niezwykłą z uwagi na mój wiek (jestem starszy od pani bohatera). Miałem lat czterdzieści parę, gdy śledziłem Paderewskiego-pianistę. Teraz, po osiemdziesiątce, chcę się dowiedzieć o Paderewskim-premierze. Gdy grał on „Emperor Concerto”<sup>2</sup>, różnica między nim a jego rywalami polegała na tym, że zagrał go — „po prezydentencku”. — Tak bardzo, że rzeczą zupełnie naturalną było, iż po jego wielkiej kampanii amerykańskiej Polska obrała go w 1918 roku swym... premierem. Chcemy o tym wszystko wiedzieć; bo jakimże sposobem tak wielki artysta był w stanie wytrzymać, chociażby przez jeden tylko rok 1919, naszą politykę parlamentarną, która przecież nie mogła mu się wydawać niczym innym jak tylko walką kotów na klawiaturze — jest to fragment historii, którego dotąd nie znamy.

Tyle, kochana Mary

G. Bernard Shaw

<sup>1</sup> Arnold Dolmetsch (1858-1940) — francuski antykwariusz muzyczny i konstruktor instrumentów. Działał na terenie Anglii; założył tam warsztaty wyrabiające dawne instrumenty (klawiszowe, strunowe i dęte), organizował doroczne festiwale starej muzyki, wykonywanej na instrumentach jego produkcji. Wydawca dawnej muzyki, autor pracy *Interpretacja muzyki XVII i XVIII w.* (Przyp. red.)

<sup>2</sup> *Koncert Es-dur op. 73 Beethovena, w Anglii zwany Emperor Concerto.* (Przyp. red.)

# *Pamiętniki*





Początek mego życia był zupełnie zwykły. Urodziłem się bardzo dawno temu w małej wiosce na Podolu, które dziś już do Polski nie należy, ale ongi wchodziło w skład ziem dawnej Rzeczypospolitej. Wieś ta nazywała się Kuryłówka.

Było to jedno z najcudowniejszych miejsc na świecie. Mógłbym bez końca opowiadać o tej miejscowości, jej łagodnym i zdrowym klimacie, malowniczym, falistym krajobrazie oraz bogactwie gleby. A owe piękne owoce! Tam gdzie się urodziłem, znajdowały się najpiękniejsze sady, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Dziesiątki hektarów drzew owocowych najrozmaitszych gatunków, a wszystkie doskonałe. Dla mnie, małego chłopca, było to prawdziwe używanie! Do dziś dnia wciąż jeszcze wspomnam te wspaniałe owoce, kiedy zebrane i usypane w sterty napełniały powietrze cudownym zapachem, silniejszym od zapachu najwonnějších kwiatów.

Dom nasz położony był z dala od cywilizacji, o setki kilometrów oddalony od prymitywnej stacyjki kolei żelaznej, wszystkie więc podróże (podróżowało się wówczas bardzo mało) odbywało się końmi.

Gdy miałem trzy lata, przejawiałem już pewne skłonności do muzyki. Fortepian mnie pociągał. Zacząłem grać — co prawda tylko jednym palcem, próbując wygrywać melodie, ale kiedy miałem cztery lata, próbowałem używać już wszystkich palców. Tak więc doszedłszy do czwartego roku życia, posiadałem tyle umiejętności muzycznych.

Ojciec mój bardzo się tym wszystkim interesował i pragnął uczyć mnie muzyki. Od początku przekonany był o moim talencie, a że był człowiekiem o dużym poczuciu obowiązku i wyjątkowej sumienności, uważał

za swą powinność nie zmarnować zdolności, którymi mnie Bóg obdarzył.

W owym czasie ojciec zarządzał wielkimi majątkami. Miał na imię Jan; drugie moje imię, Jan, mam więc po ojcu. Odznaczał się wybitnym smakiem artystycznym i zamiłowaniem do wszelkiej sztuki. Po amatorsku zajmował się i malarstwem, i rzeźbą. Rzeźbił małe figurki świętych do kościołów. Musi pani bowiem pamiętać, że był człowiekiem nadzwyczaj pobożnym. Od czasu do czasu, w wolnych od pracy chwilach, wykonywał owe małe rzeźby, które były urocze. Rzeźbił je powodowany głębokim uczuciem religijnym. Zawsze był czymś zajęty, zawsze wesoły i chętny do pracy. Nie przypominam sobie ojca próżnującego.

Był mężczyzną przystojnym i postawnym. Odkąd go pamiętam, nie był bardzo wylewny ani uzewnętrzniający się, posiadał natomiast duże poczucie humoru, był też człowiekiem sumiennym i niezwykle dobrym dla ludzi i zwierząt.

Zapomniałem jeszcze pani powiedzieć, że grał na skrzypcach; grywał zresztą mało i tylko proste, głównie taneczne melodie dzieciom i służbie do tańca. Ja sam nie tańczyłem, nigdy nie lubiłem tańczyć, podobnie jak i moja siostra, ale gdy odwiedzały nas dzieci i urządzało się zabawy, ojciec chętnie brał w nich udział, przyczyniając się grą do ogólnej wesołości. Zresztą jego uzdolnienia muzyczne nie dorównywały uzdolnieniom rzeźbiarskim i malarskim.

Był dla nas wszystkim: ojcem i matką zarazem. Mieliśmy tylko jego, gdyż matka umarła w parę miesięcy po moim urodzeniu, a urodziłem się dnia 6 listopada 1860. Wychowywałem się więc bez matki. Matka, z domu Nowicka, miała niezwykle imię — Poliksena.

Gdy byliśmy mali, w domu nie było żadnej kobiety, z wyjątkiem ciotki, która od czasu do czasu przyjeżdżała, zanim ojca nie uwięziono.

Matka moja, o ile mi wiadomo, posiadała zdolności

artystyczne, jak również staranne wykształcenie. Była córką profesora Uniwersytetu Wileńskiego, zesłańca, gdyż ojciec jej po powstaniu w latach 1830—31 wywieziony został przez rząd rosyjski w głąb Rosji, i tam, na wygnaniu, urodziła się moja matka.

Jeden z jej wujów był członkiem Rządu Narodowego; został zamordowany w czasie ostatniej wojny. Nikt już z jej rodziny nie żyje. Zdaniem tych, którzy ją znali, była bardzo muzykalna. Może to właśnie po niej odziedziczyłem ukochanie muzyki. Słyszałem zawsze, że miała dystygowaną i wdzięczną powierzchowność. Zachował się jeszcze dotąd mały portrecik, który pani później pokażę, a który — jak się pani przekona — oddaje jej subtelny wdzięk.

Na fortepianie grywać zacząłem z własnego impulsu. Nikt mnie nie uczył ani nie namawiał do gry. Jednym palcem wyszukiwałem wciąż i próbowałem wygrać melodie. Ukończywszy trzy lata, brałem już lekcje muzyki, niestety jednak pierwszy nauczyciel, który przychodził mnie uczyć, był skrzypkiem<sup>1</sup>, a nie pianistą.

W tym to okresie ojciec mój został uwięziony. Było to pierwsze wstrząsające wydarzenie w moim życiu: miałem wtedy zaledwie trzy lata.

Przez wiele lat panowała w Polsce atmosfera rewolucyjna\* przy czym najważniejszym powodem ruchów rewolucyjnych z lat 1817, 1847 i 1854 (a więc na długo przed moim urodzeniem) było dążenie do uwłaszczenia chłopów pańszczyźnianych. Byli oni wówczas przywiązani do miejsca zamieszkania, nie mieli prawa swobodnego poruszania się, tak że praktycznie byli niewolnikami. Szlachta polska, do której należały wielkie dobra ziemskie razem z żyjącymi na nich chłopami, wielokrotnie zwracała się do rządu rosyjskiego z prośbą o ich uwolnienie, lecz rząd stale odmawiał. Uważał to za

<sup>1</sup> Runowski, były uczeń Konserwatorium Wiedeńskiego. (Wg H. Opieńskiego; przyp. red.) .

posunięcie zbyt rewolucyjne i wolał utrzymywać ich w zależności i poddaństwie. Dążył poza tym do wzniecenia rozdzwieków i wrogości między szlachtą a chłopami — to było jego głównym celem. Zniesienia pańszczyzny pragnął dokonać w odpowiednim dla siebie czasie, i dopiero w roku 1861 chłopci zostali wreszcie rozporządzeniem cara uwłaszczeni.

Kraj mój był stale nękany przez powstania. Pierwsze dziecinne wspomnienia dotyczące ojczyzny łączą się też z powstaniem, ojciec bowiem w czasie powstania 1863 dostał się do więzienia. Było to dla nas, dzieci, smutne i przerażające przeżycie, gorzko opłakane przez siostrę moją Antoninę i przeze mnie. Nie byliśmy w stanie zrozumieć, dlaczego ojciec, tak dobry dla nas, został nam zabrany, a my pozostaliśmy samotni.

Powstanie 1863 przyniosło nieszczęście ojcu i całemu naszemu domowi. Jak każdy spośród drobnej szlachty, i on również brał w nim udział, nie aktywnie co prawda, lecz pomagając innym, którzy walczyli; oczywiście został aresztowany i wzięty do więzienia. Przebył w nim przeszło rok.

Powstanie zrujnowało tysiące ludzi w Polsce. Wielu skazano na śmierć lub wywieziono na Sybir. Ich majątki zostały skonfiskowane i darowane urzędnikom rosyjskim, głównie tym, którzy wykryli winnych spiskowania lub agitacji przeciw rządowi rosyjskiemu. Ojciec mój brał we wszystkim udział, czynił, co tylko mógł, z wyjątkiem udziału w samej walce, gdyż to było sprzeczne z jego naturą.

Dziś jeszcze pamiętam doskonale wszystko, co nastąpiło w dniu, kiedy przyszli go zabrać. Nagle kozacy otoczyli cały dom i nikomu nie wolno było wychodzić, zanim nie przeprowadzono dokładnej rewizji. Kozaków było wielu, może ze stu pięćdziesięciu, wszyscy na koniach. Mnie", małemu chłopcu, wydawali się niezmiernie wielcy i groźni. Otoczyli dom ze wszystkich stron i rozpoczęli poszukiwania. Byłem, rzecz prosta, wystraszony

i nie mogłem pojąć, co się dzieje. Mimo to chciałem wszystko zobaczyć i zrozumieć, podszedłem więc nieśmiało do jednego z kozaków i zapytałem o ojca — najważniejszą osobę w naszym życiu. Zostałem jednak źle przyjęty — nahajką!

Incydent ten miał wielkie znaczenie w moim młodym życiu — było to pierwsze zetknięcie z rosyjską władzą. Przetrzęsnięto cały dom w poszukiwaniu zakazanych papierów agitacyjnych, ulotek i tym podobnych rzeczy. Przejęty wyłącznie losem ojca — był nam tak bliski, łączyła nas nierozzerwalna więź — nie zastanawiałem się wówczas nad tym, kim byli ci ludzie.

Ale od samego już początku, gdy kozacy okrążyli dom, czułem, że spotka nas nieszczęście. Gdy weszli, wiedziałem, że przyszli po ojca. Zdawałem sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Pomimo przerażenia, znowu podbiegłem do najwyższego kozaka i krzyknąłem: „Co z ojcem?!” Nie odpowiedział, nie spojrzał nawet na mnie. Ale ja nalegałem i uparcie wypytywałem — jak to zwykły czynić dzieci — co się dzieje, dlaczego zabierają ojca i czy prędko powróci. Wówczas olbrzymi kozak zaśmiał się, odrzucił w tył głowę i znów uderzył mnie parokrotnie nahajką.

To pierwsze zetknięcie się z władzą rosyjską wstrząsnęło mną głęboko i na całe życie. Razy były bolesne, przecięły skórę, ale poza tym uważałem je za wielką zniewagę mej chłopięcej dumy, mimo że nie miałem jeszcze czterech lat! Zraniły moją duszę.

Dobra ciotka, mieszkająca o jakieś sto — może więcej — kilometrów, przyjechała, by nas do siebie zabrać; mieszkaliśmy u niej przez cały czas pobytu ojca w więzieniu, a nawet jeszcze po jego uwolnieniu, gdyż zmuszony był rozglądać się za nowym zajęciem. Tak więc podczas jego pobytu w więzieniu, a potem bezrobocia, pozostawaliśmy w tej małej wiosce pod opieką ciotki. Ciotka była siostrą ojca i z wdzięcznością wspominam jej wielką dla nas dobroć. Pamiętam również, że stale nie-

domagała, ale mimo to opiekowała się nami troskliwie, jak prawdziwa matka.

Mówiłem już pani, że mój pierwszy nauczyciel muzyki był skrzypkiem. Ojciec zaangażował go jeszcze przed uwięzieniem, ponieważ w pobliskiej okolicy nie było żadnego innego. On to uczył mnie początków gry na fortepianie. Będąc skrzypkiem, niewiele wiedział o fortepianie; był miłym, sumiennym starszym człowiekiem; twierdził, że chociaż właściwie może nie potrafi mnie kształcić tak jak należy w muzyce fortepianowej (do której byłem szczególnie uzdolniony), sądzi jednak, iż mógłbym całkiem dobrze grać duety! Tak więc duety z siostrą były głównym celem naszych lekcji. Biedny człowiek! Pracował w pocie czoła, wystukując o brzeg fortepianu takt swymi starymi, wychudłymi rękami.

Chociaż tak mały, wczesnie zdałem sobie sprawę, że nic od niego nie skorzystam i że grać mnie nie nauczy. Grałem więc sam, improwizując — odpowiadało mi to, gdyż pragnąłem grać, i ciągle grałem, ale nie miałem ochoty się uczyć. Jak u każdego dziecka, miłość do muzyki nie była na tyle silna, by zmusić mnie do pracy. Tak więc w gruncie rzeczy byłem całkiem zadowolony ze starego nauczyciela-skrzypka.

Biedny mój ojciec myślał, że wszystko jest w porządku. Spełnił swój obowiązek, dając mi nauczyciela, i to mu było pewną pociechą w więzieniu.

W czasie pobytu u ciotki nauczyłem się czytać i pisać, właściwie sam nie wiem, jakim sposobem; myślę, że musiało się to stać samo przez się, bo nie przypominam sobie zupełnie, żebym się kiedykolwiek tego uczył. Rozpoczęliśmy wtedy naukę z guwernantką francuską i właśnie w czasie jej pobytu u nas zacząłem już czytać po polsku, a także cudem jakimś po rosyjsku. Przed ukończeniem czwartego roku życia umiałem już widocznie pisać, gdyż w roku 1864 pisywałem listy do ojca do więzienia. Obawiam się, że nie były zbyt zajmujące, ot takie sobie dziecinne listy, i mało miał z nich pociechy.

Pamiętam pierwszy mój list pisany z wielkim wysiłkiem. Pisałem w nim wyłącznie o kuzynku Florianie i o jego pięknych, zielonych butach. W Polsce, zgodnie z tradycją, do narodowego stroju noszono buty w rozmaitych wesołych kolorach: żółtym, zielonym, czerwonym itp. Florian, o rok starszy ode mnie, dostał parę takich nadzwyczajnych butów, które wkładał przy każdej możliwej okazji, ku zazdrości towarzyszy zabaw. Wydawały mi się wspaniałe i tak byłem nimi przejęty, że pierwszy list do ojca pełen był wiadomości o zielonych butach. Nie potrafiłem pisać o czymkolwiek innym. Można by naturalnie przypuszczać, że byłem zazdrosny, że sam pragnąłem takich butów i spodziewałem się, iż ojciec po przeczytaniu mego listu przyśle mi pieniądze na kupienie ich. Tak jednak w rzeczywistości nie było. Pamiętam to wyraźnie po prostu dlatego, że nigdy nikomu i niczego nie zazdrościłem. Proszę mi wierzyć: nigdy w życiu nie znałem uczucia zazdrości. Nie jest to żadną cnotą, lecz prawdopodobnie jakimś brakiem mojej psychiki. I ciekawe, ale tak było zawsze, od początku. Później, w latach studenckich, gdy niektórzy chłopcy uzyskiwali bardzo dobre wyniki w nauce, co wyróżniało ich od innych, ja także byłem tym zachwycony i cieszyłem się razem z nimi. Myślałem sobie: „Cieszę się, bardzo się cieszę, ale dlaczego im nie zazdrozczę sukcesu?” Rozmyślałem nieco nad tym i dochodziłem do przekonania, że to dlatego, ponieważ czułem, że i ja w przyszłości mogę dojść do pięknych osiągnięć, może nawet świetniejszych niż te, które są ich udziałem. Byłem o tym głęboko przekonany, i to przekonanie stało się bodźcem dla mojej ambicji już w dzieciństwie, a potem pomagało mi w wysiłkach zmierzających do zdobycia kariery.

Po rocznym czy nawet dłuższym pobycie w więzieniu ojciec wy dostał się na wolność, a ciekawe jest to, że jego szczęśliwe uwolnienie nastąpiło dzięki niezwykłym okolicznościom: chłopcy z sąsiednich wsi całymi groma-

dami udali się do więzienia i prosili władze o ułaskawienie.

Ojciec, jak już zdaje się wspominałem, miał duże poczucie humoru, ale co znacznie ważniejsze — był bardzo prawym i sprawiedliwym człowiekiem. Miał odpowiedzialne stanowisko, ponieważ praktycznie zarządzał ogromnym obszarem ziemi i podlegało mu tysiące ludzi. Musiał więc być niezwykle sprawiedliwym i dobrym administratorem dla całej tej mnogości służby, skoro gdy został uwięziony, ci biedni chłopci przychodzili wielką gromadą do władz okręgu i domagali się jego uwolnienia. Przyjemnie mi wspominać ich lojalność wobec ojca. Kierował się on zasadami sprawiedliwości przez całe swe życie. Poczucie sprawiedliwości nie zawodziło go nigdy, nawet w najbłahszych wypadkach. Przekona się pani o tym z następującego opowiadania.

W dzieciństwie pociągała mnie bardzo gra na fortepianie, ale bardziej jeszcze przyroda. Namiętnie lubiłem, jak prawie każdy chłopiec, wspinać się na drzewa w poszukiwaniu owoców. Przepadałem za nimi. I oto pewnego dnia zdarzyło mi się zawisnąć na gałęzi, niszcząc jedyne moje dobre ubranie, a na nowe w naszej rodzinie rzadko kiedy mogliśmy sobie pozwolić. Ubranko, które w dniu owej tragedii miałem na sobie, było śliczne, dopiero co przez ojca kupione kosztem dużych wyrzeczeń. Szczególnie ładna była kurteczka. Przywdziawszy ją — natychmiast wdrapałem się na dużą, pokrytą niespodziewaną ilością sęków gruszę. Wspinając się za przepiękną, różową, apetycznie wyglądającą gruszką, która wisiała na samym wierzchołku owego niebezpiecznego drzewa, zapomniałem o wszystkim. Nagle ześliznąłem się, a spadając podarłem zupełnie nową koszulę i piękną kurteczkę oraz zaczepiłem kołnierzem o jeden z ostrych wystających sęków. Wisiałem tak, wołając pomocy. Ów sęk uratował mnie, ale zniszczył nowe ubranie; było w strzępach, a piękna kurteczka na nic.



Nie zostałem jednak ukarany przez ojca — i tu następuje najciekawszy moment, wymagający szczególnego podkreślenia. Posłał po mnie natychmiast. Przyszedłem zapłakany i przerażony, spodziewając się surowej kary. Ku memu zdumieniu ojciec powiedział bardzo spokojnie: „A więc, Ignasiu, spotkał cię niefortunny wypadek; okazałeś się bardzo lekkomyślny i samolubny. Zniszczyłeś swoje piękne nowe ubranie, które dużo kosztowało i które z takim trudem dla ciebie zdobyłem”. Zacząłem jeszcze bardziej płakać i stałem czekając, co nastąpi dalej. Czekałem na wyrok. „Nie ukarzę cię jednak, ale będziesz musiał długo czekać na nowe ubranie, i to będzie twoja kara — kara dostateczna. Innej ci nie wymierzę.” Odwróciwszy się wyszedł z pokoju. Wywarło to wtedy na mnie głębokie wrażenie. Byłem bardzo wzruszony i chociaż byłem zbyt mały, by analizować swoje uczucie — rozumiałem jednak to, z czego zdawali sobie sprawę podwładni ojca: że jego poczucie sprawiedliwości jest niezawodne.

Petycje podwładnych u władz osiągnęły w końcu pożądaną wyjątkowość i ojca mego wypuszczono z więzienia. Nie widzieliśmy go jednak jeszcze przez kilka miesięcy. W kraju panowało wciąż zamieszanie. Majątki, którymi ojciec zarządzał, były pod ustanowionym przez władzę zarządkiem, właścicieli nie było, tak że ojciec musiał szukać innego stanowiska. Było to bez wątpienia dla niego wielką przykrością. Wreszcie znalazł je, dostał bowiem zajęcie w Sudyłkowie, małej miejscowości, liczącej około dwóch tysięcy mieszkańców, z czego tysiąc osiemset stanowili Żydzi.

Była to bardzo smutna miejscowość, człowiek jednak przyzwyczaja się do wszystkiego. Dom nasz stał na niewielkim wzgórzu, z widokiem na mały staw i duży żydowski cmentarz. Straszne to było — zaledwie parę kroków od cmentarza. Gdy sprowadziliśmy się tam, miałem siedem lat i byłem dzieckiem bardzo wrażliwym, a musiałem teraz co najmniej dwa razy w tygodniu

patrzeć wprost z naszego ogródka na pogrzeby tamtejszych biednych Żydów i słuchać zawodzenia. To było straszne.

Żydzi mają zwyczaj modlenia się nad grobami zmarłych. Kobiety w pogrzebach nigdy nie biorą udziału — jedynie mężczyźni. Pogrzebom towarzyszyły zawsze głośne lamenty, potem zaś następowały długie godziny zawodzenia. Odgłosy te przeciągłymi jękami unosiły się w powietrzu. Pamiętam okropne wrażenie, jakie to wywierało na mój dziecięcy umysł. Nie używano mar ani trumny, ciało zawijano po prostu w wielkie czarne płótno i niesiono na ramionach do grobu. Był to widok ponury i przerażający. Po pochowaniu nieboszczyka mężczyźni szli do domu, a w parę godzin później przychodziły kobiety i zaczynały lamentować nad mogiłą. Modliły się i modliły, od czasu do czasu głośno zawodziły, a nawet krzyczały z wyrazem dojmującego bólu. Było to przynębiające, a ciągnęło się godzinami, i dziś jeszcze zawodzenie to dźwięczy mi w uszach.

Cały okrągły rok zmuszeni byliśmy oglądać żydowskie pogrzeby. Bardzo przykre miejsce do mieszkania. Ale w owych czasach nie można było budować nowych domów, w Polsce bowiem panował jeszcze rodzaj stanu wojennego. I chociaż ojciec usilnie i stale starał się o inne mieszkanie, coś zawsze stawało temu na przeszkodzie, wynajdywano różne powody do odmowy, i zmuszeni byliśmy przeżyć kilka lat w tym deprymującym otoczeniu. Każdy jego szczegół wrył mi się na zawsze w pamięć.

Jako mały chłopiec byłem bardzo żywy, pełen temperamentu i energii, zawsze gotów do psot. Trwało to jednak tylko kilka lat, gdyż już w siódmym roku życia stałem się wątpy, osowiały i stale myślałem o śmierci, lękając się, by mnie nie pochowano żywcem. Czemu tak było, nie wiem, ale przypuszczam, że to ten cmentarz żydowski i ciągłe pogrzeby tak na mnie działały. Całe dzieciństwo upłynęło mi pod wrażeniem tego niemiłego sąsiedztwa.

Latem w każdy piątek wszystka męska ludność żydowska przychodziła kąpać się w stawku, naprzeciwko naszego domu; przychodzili całymi gromadami, zdejmowali ubrania i wchodzili do wody. Cóż to był za widok, owi kąpiący się Żydzi! W ciągu całego lata zupełnym niepodobieństwem było przyjmować w ten dzień gości.

Zapytuje mnie pani o owych żydowskich duchownych ubranych w długie czarne chałaty wlokące się po ziemi, w dziwnych okrągłych małych czapkach na głowie i z pejsami wiszącymi po obu stronach twarzy. A więc muszę pani przede wszystkim powiedzieć, że te stroje i pejsy nie wiążą się wyłącznie z duchownymi, lecz wszyscy Żydzi w Polsce tak się ubierają. Mają długie brody, długie ubrania i długie loki zwane pejsami. Od ośmiuset lat nie zmienili swego wyglądu; przybyli do Polski w czasie pierwszych wypraw krzyżowych i otrzymali przywileje w stosunku do rdzennej ludności. Zachowują dotąd swe zwyczaje i stroje, pozostają stale tacy sami. Przypomina mi się tu dość zabawne wydarzenie, które stworzyło dla mego ojca nieprzewidzianą sytuację.

Każda gmina żydowska, gdziekolwiek by się znajdowała, uważała rabina za swego przewodnika, i to nie tylko w kwestiach związanych z religią, lecz także ze sprawowaniem władzy. Rabin rozstrzygał wszelkie nieporozumienia i spory, ale musiał być człowiekiem godnym szczególnego szacunku i zaufania. W naszym miasteczku, muszę przyznać, nie stał on na wysokości zadania. Chociaż był człowiekiem bardzo miłym, ludność żydowska nie miała do niego zaufania, i gdy tylko powstawały kłótnie i spory, zdarzające się - często między Żydami, przychodzili oni do mego ojca, by ich rozsądzał i godził. Stał się w ten sposób żydowskim sędzią w okolicy i kochali go wszyscy; był jwśród Żydów bardzo popularny. Jego poczucie sprawiedliwości sprawiło, iż w wielu wypadkach Żydzi zwracali się do niego zamiast do rabina. Przychodziły wówczas do naszego domu tłumy świadków: dwustu lub trzystu Żydów otaczało dom,

a trzydziestu lub czterdziestu czekało wewnątrz na wyrok ojca. Wyroki zadawały zawsze wszystkim, ojciec bowiem był nie tylko niesłychanie sprawiedliwy, lecz posiadał także wiele taktu, który wszak jest podstawą dyplomacji. Stał się więc faktycznie rabinem dla okolicy; było to ogromnie zabawne, kiedy się o tym pomyśli. Cokolwiek by uczynił, było w oczach Żydów bezwzględnie słuszne. Przypominam sobie specjalnie jeden wypadek. W miasteczku mieszkali krawiec i szewc — obaj bardzo do ojca przywiązani. Krawiec był człowiekiem dobrym, solidnym i słownym, ale szewc — geniusz w swoim rzemiośle — był notorycznym pijakiem, co u Żydów zdarza się rzadko, na ogół bowiem nie piją.

Ponieważ oboje z siostrą biegając po polach i lasach stale zdzieraliśmy buty, co parę miesięcy trzeba nam było sprawiać nowe; szewc więc musiał dostarczać nam nowych, mocnych butów bardzo często. Pewnego dnia, gdy znów byliśmy bez obuwia, ojciec pośpiesznie posłał po niego i prosił, by jak najprędzej zrobił nowe. Szewc obiecał, wziął miarę, ale dni mijały, a butów nie było, gdyż nasz szewczyna był właśnie w okresie nieustannego, intensywnego picia.

Po wielu tygodniach zwlekania i ciągłego tłumaczenia się przyniósł je wreszcie, ale niestety okazały się do niczego — były tak źle wykonane, że od razu się rozleciały, i znów zostaliśmy z siostrą, i to na początku zimy — bez butów.

Ojciec mój był tak tym poruszony i głęboko oburzony, że rzuciwszy tylko okiem na buty, bez chwili namysłu poszedł do szewca i bez żadnych tłumaczeń i wyjaśnień wymierzył mu na miejscu karę: nie słowną, ale batem — po prostu dał mu po ojcowsku, rzetelnie, dobre baty. Wytłukł go porządnie. Biedak płakał i jęczał, lecz ojciec nie zwracał na to żadnej uwagi.

Sąsiedzi, słysząc krzyki, zebrali się koło domu szewca. Ojciec cieszył się jednak taką popularnością i autorytetem, że lament bitego wcale ich nie poruszył. Śmieli się

tylko i wołali wszyscy chórem: „Słusznie ci się to należy, bo jesteś pijakiem i zakałą gminy!” Potem hurmem przyszedli do naszego domu, ściskali ojcu rękę i serdecznie dziękowali za to, co zrobił.

Jedyną moją rozrywką w tej ponurej miejscowości było chodzenie latem po drzewach, szczególnie owocowych. Jakże wielką przyjemność sprawiało mi zrywanie dojrzałych owoców, wspinałem się po nie często na sam wierzchołek drzewa, skąd nieraz spadałem wraz z ułamaną gałęzią. Wywoływało to we mnie, małym chłopcu, dreszcz emocji: nowe doświadczenie, nowa przygoda — a miałem ich tak niewiele!

Byłem dzieckiem bardzo osamotnionym, a otoczenie miałem tak smutne i tak przygnębiające, że zaczynałem popadać w melancholię. W rodzinie byłem jedynym chłopcem. Nie posiadałem też żadnych towarzyszy zabaw, moją jedyną towarzyszką była siostra. Bawiliśmy się, jak i czym się dało, ale sposobności do zabaw nie było w naszych warunkach wiele. Czuliśmy się osamotnieni.

A teraz chciałbym opowiedzieć pani trochę o mojej siostrze. O dwa lata starsza ode mnie, podobnie jak ja miała raczej smutne usposobienie. Myślę, że i na nią wywierało wpływ nasze posępne sąsiedztwo — owe żydowskie pogrzeby i lamenty. Była muzykalna i nieźle grała, ale nie miała pod tym względem żadnych ambicji. Ambicja rozwijała się oczywiście z wiekiem, więc z czasem i ona zaczęła poważnie odnosić się do muzyki, całą jednak nadzieję, jeśli chodzi o muzykę, rodzina pokładała we mnie. Grywaliśmy z siostrą duety, ale tylko przy nauczycielu. Gdy byliśmy sami, nie chcieliśmy nam siedzieć przy instrumencie. Antonina — o ile pamiętam — bardzo lubiła płakać. To przywilej jej płci. Była do mnie bardzo przywiązana i opiekowała się po swojemu, niby mała mateczka.

Jako mały chłopiec byłem wielkim przyjacielem koni i już w siódmym roku życia miałem swego ulubieńca — właściwie jedynego prawdziwego towarzysza. Jeździłem

zawsze na oklep. Byliśmy przyjaciółmi i żywiłem w stosunku do niego coś w rodzaju braterskiego uczucia. Bardzo go kochałem i gdy tylko dostawałem coś słodkiego czy jakiś inny nadzwyczajny przysmak, nigdy nie zapomniałem podzielić się z nim, gdyż chciałem, aby i on brał udział w mych ucztach. Pewnego dnia, gdy paść się na łące, a ja dostałem wyjątkowo dużą porcję doskonałych ciasteczek (była to jakaś uroczystość rodzinna), czym prędzej pospieszyłem do niego, by się z nim podzielić. Zachowałem dla niego hojną porcję. Przybiegł szybko do mnie i łakomie zjadał z ręki. Nagle odwrócił się i tylnymi nogami kopnął mnie w żołądek tak silnie, że upadłem jak nieżywy i leżałem nieprzytomny przez kilka godzin. Po długich poszukiwaniach ktoś z rodziny znalazł mnie wreszcie na łące, wciąż nieprzytomnego.

Dlaczego to zrobił? Dlaczego? — zapytywałem wielokrotnie samego siebie. Przecież kochał mnie i był moim przyjacielem. Nie mogłem wprost uwierzyć, aby to zrobił rozmyślnie. Od tego czasu jednak obserwowałem wiele koni i, niestety, doszedłem do wniosku, że zwierzę to jest stworzeniem bardzo głupim i bezmyślnym. Słuszność starego powiedzenia, że pies nie gryzie ręki, która go karmi, można argumentować w ten czy inny sposób — trudno jednak będzie o zadowalającą odpowiedź.

W każdym razie straciłem zaufanie do mego konia i odtąd nie przychodziłem już do niego z ciastkiem w rękę a przyjaźnią w sercu. Straciłem towarzysza, co było dużą przykrością dla tak małego chłopca, jakim wówczas byłem.

Nie lubię mówić o sobie, lecz pani mi to ułatwia, aż za bardzo ułatwia. Widzę, że nie zgadza się pani z tym, co powiedziałem. Niech i tak będzie, ale proszę mi wierzyć, że jeśli decyduję się mówić o wydarzeniach mojej młodości i o całym moim życiu, czynię to z myślą,

że może będzie to kogoś interesowało, a może nawet mu się przyda.

Obecnie wielu jest na świecie ludzi, przede wszystkim wśród młodych, uczących się, którzy walczą, dążą do pewnego ideału, usiłują zadośćuczynić swym ambicjom, napotykać jednak na przeszkody i stale ponoszą porażki w swych wysiłkach. Wiem, co znaczą takie niepowodzenia, sam przecież przechodziłem przez wielkie trudności w życiu, począwszy od najwcześniejszego dzieciństwa. Od czwartego bowiem roku życia, gdy przerzucano nas z miejsca na miejsce, bez domu, bez jakiegokolwiek zabezpieczenia, bez ojca i matki, odczuwałem już ciężar życia i poznałem, tak jak i wielu innych, rozpacz ogarniającą ludzkie serce. Myślę, że trudności, z jakimi musiałem walczyć w mej pracy, te opowiadania o mej biedzie i wysiłkach mogą dodać otuchy > i stać się bodźcem dla kogoś z owej wciąż wzrastającej armii młodych bojowników. I dlatego idźmy dalej.

Najpierw jednak cofnijmy się na chwilę — chciałbym bowiem mówić o czymś, co miało miejsce w czasie, gdy ojciec był w więzieniu, a co było dla mnie niezmiernie ważne, gdyż przyniosło mi nowego nauczyciela muzyki.

Mój pierwszy nauczyciel, skrzypek, nie dokazał niczego. Ciotka, kobieta mądra i zacna, zdała sobie sprawę, że należałoby rozejrzeć się za odpowiednim nauczycielem zwłaszcza dla mnie, dopóki przebywaliśmy w jej domu.

W odległości około osiemdziesięciu kilometrów od nas mieszkał starszy już pan, mający reputację muzyka z bożej łaski. Był bratem znanego muzyka Wojciecha Sowińskiego<sup>1</sup>, żyjącego w Paryżu i cieszącego się tam

<sup>1</sup> Wojciech Sowiński (1805-1880) — kompozytor, autor pierwszego

uznaniem. Mój nowy nauczyciel nazywał się Piotr Sowiński. Obaj bracia pochodzili z muzycznej rodziny, a Piotr Sowiński był także wujem dość znanego polskiego poety<sup>1</sup>. Pojawienie się jego w moim życiu wydawało się już pewnym postępem. Ciotka uprosiła go, by dawał lekcje siostrze i mnie: przez dwa lata przyjeżdżał co tydzień do domu ciotki, gdzie pozostawał jeden lub dwa dni. Lecz i te lekcje okazały się bez większego znaczenia, bo nie był prawdziwym pedagogiem, a tylko biednym muzykiem uczącym dzieci okolicznej szlachty. Jedyne, co od nas wymagał, to abyśmy z siostrą grali na cztery ręce najrozmaitsze kompozycje i wyjątki z oper, podczas gdy on siedział przy fortepianie i przysłuchiwał się naszej grze. Tak więc mimo wszystko okazał się niewiele lepszym od skrzypka nauczycielem. Ale takie już widocznie było moje przeznaczenie!

Niewiele też skorzystałem z jego nauki, lekcje owe jednak trwały przez parę lat, jeszcze więc po wyjściu ojca z więzienia. Wtedy przyjeżdżał do nas już tylko raz na miesiąc, ale za to na pięć lub sześć dni, i stale uczył nas tych nieszczęsnych kawałków na cztery ręce. Wciąż były same tylko duety, dalej nie posunęliśmy się. Zresztą duety były modne, gdyż większość ludzi uważała wówczas muzykę za rozrywkę, a nie sztukę.

Pianino mieliśmy okropne — stare, wiedeńskie, firmy Graff; było małe, o bardzo słabym tonie i ochrypłym, chropawym dźwięku. Na lepsze jednak nie mogliśmy się zdobyć.

Zawsze wolałem improwizować niż ćwiczyć, nie wiedziałem bowiem, jak należy ćwiczyć. Mój pierwszy nauczyciel, skrzypek Runowski, nie miał pojęcia o technice fortepianowej, Sowiński, jego następca — również.

słownika biograficznego muzyków polskich. W r. 1830 osiadł na stałe w Paryżu. (Przyp. red.)

<sup>1</sup> Leonard Sowiński (1831-1887) — poeta, dramaturg, publicysta i pamiętnikarz, badacz folkloru i literatury ukraińskiej; działacz polityczny, zesłaniec. (Przyp. red.)



Jeden był równie niekompetentny jak i drugi. Niestety więc, był to czas absolutnie stracony.

Znaliśmy opery Donizettiego i Rossiniego. Grywaliśmy *Cyrulika sewilskiego*, *Normę*, *Łucję z Lammermooru* — ale zawsze na cztery ręce z siostrą, przy czym ja stałe w basie. Nie sprzeciwiałem się tej podrzędnej roli wcale, przeciwnie, owe ćwiczenia w basie sprawiały mi przyjemność. Może było to rodzące się już we mnie poczucie kurtuazji — aby pierwsze miejsce zostawiać damom. Miejmy nadzieję, że tak było. Siostra moja miała w tym czasie około ośmiu lat. Jak już pani mówiłem, grała zawsze w wiolinie, a ja w basie, i często te produkcje były dla nas bardzo ekscytujące, a mianowicie gdy popychaliśmy się i energicznie szturchali łokciami. Robiliśmy to zazwyczaj z wielkim impetem, dodając czasem lekkie kopnięcie. W rzeczywistości więc nasze duety miały często charakter raczej akrobatyczny niż muzyczny.

Jak już wspominałem, siostra miała duże zdolności muzyczne, ale brak jej było ambicji, podczas gdy moim prawdziwym pragnieniem było zostać artystą. Nie uświadamiałem sobie jeszcze tego wyraźnie, ale działał już we mnie jakiś wewnętrzny impuls. Byłem pewien, że wybije się w życiu, muszę tu jednak zaznaczyć, że już w wieku lat siedmiu głównym moim celem było stać się użytecznym ojczyźnie. Kraj mój był wtedy, jak to pani wiadomo, rozdarty przez zaborców, bez samostnego bytu i bardzo uciemniony. Miałem nadzieję, że zostanę kimś, kimś wybitnym, aby w ten sposób pomóc Polsce — i to było ponad moimi artystycznymi aspiracjami. Zawsze zamierzałem i byłem gotów walczyć o Polskę. Urodziłem się już gorącym patriotą. Od szóstego roku życia miałem głowę pełną planów i marzeń o Polsce: pragnąłem czynami wyswobodzić ojczyznę. Jako dzieci codziennie prawie bawiliśmy się w żołnierzy. Mój udział w tej zabawie był, muszę przyznać, bardziej interesujący niż siostry, ja bowiem, oczywiście, byłem rycerzem

dosiadającym konia-rumaka, na którym wyruszałem po zwycięstwa. Za rumaka służył mi długi kij, na którego końcu Antonina umieszczała torbę wypełnioną różnymi starymi szmatami, co miało wyobrażać\* końską głowę; nawet uszy przy tym były. Strój mój — mundur polski oraz czerwoną rogatywkę — robiła z białego i czerwonego papieru, a dopełnieniem całości był miecz, wycięty z drzewa moim chłopięcym scyzorykiem. Na tym to wspaniałym rumaku hasałem po całym domu, staczając wymaginowane boje. Patriotyzm mój był stale podsycany przez ojca i nauczyciela. Nikt w domu nie protestował przeciwko naszym zabawom. Patriotyzm i muzyka były z sobą ściśle splecione. Tak było od zarania mego życia.

Pomimo niekompetentnego nauczyciela stale tkwiłem przy pianinie, wobec czego biedny ojciec nie zdawał sobie wcale sprawy, że właściwie niczego się nie uczę. Skąd mógł to wiedzieć? Polegał na nauczycielu, uważając, że spełnił swój obowiązek, powierzając mnie komuś, do kogo miał pełne zaufanie. Tymczasem jedyną moją prawdziwą przyjemnością było sięść przy pianinie i improwizować, co też stale czyniłem.

W czasie nauki u Sowińskiego ojciec własnoręcznie sporządził gruby zeszyt zawierający dużą ilość arkuszy papieru nutowego i chociaż nie wpisałem doń jeszcze żadnej nuty — widniał już na nim pięknie wykaligrafowany jego ręką, różnymi esami i floresami w stylu ówczesnym ozdobiony napis: „Kompozycje Ignacego Paderewskiego”.

Po pewnym jednak czasie zeszyt ten faktycznie wypełnił się moimi kompozycjami — były to pierwsze, małe utwory, i ojciec bardzo był z nich dumny! Początkowo starałem się przede wszystkim, aby kompozycje przedstawiały się pięknie pod względem kaligraficznym. Aby wyglądały pięknie. Do samych dźwięków nie przywiązywałem jeszcze większej wagi.

Nie komponowałem też ze słuchu, komponowałem

przez porównanie, obserwując nuty, z których grałem. Naśladowałem po prostu układ nut, jeśli mnie pani rozumie.

W ciągu długich lat mego życia zeszyt ten zaginął, a sądzę, że ciekawe byłoby teraz go zobaczyć.

Ojciec zdawał sobie też sprawę z konieczności dania nam odpowiedniego wykształcenia, wobec czego sprowadził do domu guwernantkę Francuzkę. Zasób jej wiadomości ogólnych nie był zbyt duży, dzięki niej zdobyliśmy tylko dobry akcent francuski; to było jej jedynym zadaniem. Wreszcie jednak dostaliśmy się pod opiekę fachowego pedagoga w osobie polskiego emigranta, który po owym nieszczęsnym powstaniu z lat 1830—31 uciekł do Francji. Po dłuższym pobycie w Paryżu uzyskał pozwolenie na powrót do kraju, gdzie poświęcił się nauczaniu dzieci. Do niego to zwrócił się ojciec z prośbą o zajęcie się naszą edukacją. Przebył u nas szereg lat, nazywał się Michał Babiański i był człowiekiem bardzo wykształconym.

Pan Michał Babiański przybył do nas w roku 1868. Polecono go ojcu jako bardzo wprawnego i doświadczonego wychowawcę. Uczyłem się z nim regularnie gramatyki polskiej i francuskiej, matematyki, geografii, historii i innych przedmiotów — odpowiednio do moich potrzeb i wieku. Gały swój czas i serce poświęcał naszej elementarnej edukacji, a przede wszystkim mnie; bardzo też dużo od niego skorzystałem, gdyż mną się specjalnie zajmował. Znał doskonale francuski, a zakres jego wiadomości z innych dziedzin był wyjątkowo duży. Pozostał on u nas aż do śmierci. Był bardzo do mnie przywiązany i wierzył w moje zdolności muzyczne. Dzięki niemu zdobyłem gruntowną znajomość historii Polski, on też podsycił i utwierdzał mój gorący patriotyzm. Lubił mnie i rozumiał moje dziecinne spojrzenie na świat, ukochanie ojczyzny i pragnienie przyścia jej z pomocą, do czego mnie stale zachęcał. Jemu to w znacznej mierze zawdzięczam uczucia i dążenia patriotyczne, stale je

bowiem rozniecał. Umarł pod dachem mego ojca, w po-  
deszłym już bardzo wieku.

Chciałbym w związku z tymi sprawami wspomnieć  
tu o pewnym fakcie. Mając lat dziesięć czytałem opis  
bitwy pod Grunwaldem, stoczonej w roku 1410, w cza-  
sie wojny z Krzyżakami. Bitwa ta była olbrzymim  
zwycięstwem polskim. Przyszło mi wtedy na myśl, że  
skoro rok 1910 będzie pięćsetną rocznicą tego zwycię-  
stwa — byłoby wspaniale, gdybym mógł uczcić tę  
wielką rocznicę wzniesieniem pięknego pomnika. Myśla-  
łem o tym całe życie, a wiele lat później zrealizowałem  
swe marzenia, darowując Krakowowi ów pomnik w roku  
1910. Ale o tym później.

Nigdy z nikim zresztą o tym nie mówiłem, zachowując  
projekt dla siebie do roku 1908, kiedy znalazłem odp-  
owiedniego rzeźbiarza. Było to niespodzianką nawet dla  
moich najbliższych, nie przywykłem bowiem mówić  
o tym, co zamierzam czynić, zanim tego nie wykonam.  
Już we wczesnym dzieciństwie nauczyłem się ukrywać  
wszystko głęboko w sobie. Dziś jeszcze nie potrafię  
mówić o tym, co mi leży na sercu — po prostu nie po-  
trafię. Mam już takie uczucie — przesąd, by nigdy nie  
mówić o tym, co planuję.

Ale odbiegłem od tematu. Chociaż Babiański tak  
wiele przyczynił się do mego wykształcenia, postępy  
w nauce gry na fortepianie były żadne. Nie nauczyłem  
się nawet najprymitywniejszych zasad techniki fortepia-  
nowej. Było to fatalne; choć miałem wówczas dziesięć  
lat, wyraźnie zaczynałem zdawać sobie z tego sprawę.  
Próbowałem grać, ale wciąż jeszcze nie wiedziałem jak.  
Nie miałem absolutnie żadnego pojęcia o palcowaniu,  
o właściwym ustawieniu rąk. Szczęśliwie jednak posia-  
dałem tak zwaną wrodzoną technikę. Dzięki temu  
mogłem wygrać wszystko, co chciałem, pokonując trud-  
ności techniczne, oczywiście nie doskonale, ale stosun-  
kowo łatwo, gdyż — jak powiedziałem — było to wro-  
dzone i naturalne.

już jako chłopca interesowała mnie także poezja; bez wysiłku nauczyłem się na pamięć szeregu utworów naszych poetów. Bez trudu przychodziło mi nauczenie się trzech czy czterech stron wierszy, ale pamięci muzycznej nie posiadałem zupełnie i nie miałem jej aż do piętnastego czy szesnastego roku życia. Nic dziwnego zresztą, nie chciało mi się bowiem zupełnie skupiać uwagi na muzyce, nie otrzymałem przecież jako dziecko żadnego właściwie wykształcenia muzycznego, a to, co mi dawano jako naukę, nudziło mnie okropnie. Zupełnie mnie nie interesowało wygrywanie owych akordów, basów itp. w postaci fortepianowych opracowań muzyki operowej. Owe nieśmiertelne duety!

Jedyną moją przyjemnością była improwizacja, a ta nie wymagała wysiłku pamięciowego. Ciekawe, że przy braku pamięci muzycznej obdarzony byłem doskonałą pamięcią do liczb. Jako mały chłopiec potrafiłem w pamięci i bez trudu mnożyć czterocyfrowe liczby przez czterocyfrowe. Ale brak pamięci muzycznej stanowił wtedy dużą przeszkodę. Na początku też miałem pamięć bezwzględnie słuchową. Potrafiłem zapamiętać to, co usłyszałem; jeśli zaś chodzi o pamięć do poezji i liczb — była wzrokowa; łatwo zapamiętywałem to, co widziałem napisane. Posiadałem wtedy tylko te dwa rodzaje pamięci, a brak mi było jeszcze owej trzeciej, najważniejszej i niezawodnej dla muzyka — pamięci automatycznej. Przez dłuższy jeszcze czas byłem pozbawiony tego trzeciego rodzaju pamięci. Rozwinęła się ona z biegiem czasu, wtedy gdy nauczyłem się jak grać należy.

Pamiętam też, że jako mały chłopiec potrafiłem skupić swą uwagę jedynie na sprawach, które lubiłem lub które mnie interesowały. W owym czasie ojciec lubił grę w szachy, a że miejscowość, w której zamieszkiwaliśmy, pozbawiona była ludzi na jakim takim poziomie kulturalnym i często nie było nikogo innego pod ręką — musiałem ja z nim grywać. Codziennie nie mogliśmy przecież przyjmować gości, bo podróż do nas była długa,

trwała wiele godzin, a drogi stawały się nieraz nie do przebycia dla koni, czasem grzęźliśmy w błocie tak głębokim — szczególnie wiosną — że trzeba było aż sprowadzać woły do wyciągnięcia pojazdu.

Grywałem więc z ojcem w szachy i dzięki temu nabrałem takiej wprawy, że z łatwością potrafiłem rozgrywać równocześnie dwie lub trzy partie z pamięci, bez szachownicy. Obecnie na pewno nie zapamiętałbym ani jednego ruchu. A wówczas jako dziesięcioletni chłopak częstokroć rozgrywałem partię szachów z drugiego pokoju, nie patrząc na figury i dyktując posunięcia. Byłem w stanie jednocześnie rozgrywać i dwie partie, natomiast żaden utwór muzyczny nie mógł mi utknąć w pamięci. Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Chyba jedynie tym, że posiadając wyczucie muzyczne, nie miałem jeszcze pamięci muzycznej.

Ciekawym faktem z owego okresu, jak już zresztą wspominałem, było też to, że opanowałem język rosyjski. Nikt mnie go nie uczył, a jednak znałem język na tyle, iż mogłem Sam czytywać gazety — w OWYM czasie zabroniono wydawania pism w języku polskim. Jedyny urząd pocztowy oddalony był od nas o jakie dwadzieścia pięć kilometrów, a że drogi w zimie stawały się prawie nie do przebycia, pocztę odbieraliśmy tylko raz w tygodniu. Wtedy właśnie zacząłem sam czytywać gazety i niebawem zostałem oficjalnym lektorem rodzinnym. W tym mniej więcej czasie w życiu moim pojawiły się nowe sprawy.

Gdy liczyłem niespełna lat osiem, wielka zmiana zaszła w naszym otoczeniu, ojciec mój bowiem w roku 1867 ożenił się po raz drugi — miałem więc teraz macochę. Rodzina jej była liczna, miała wiele rodzeństwa: braci i Sióstr. Życie nasze nagle odmieniło się całkowicie; w naszym domu zaczęło bywać dużo osób, stale byliśmy teraz otoczeni przez ludzi, po zupełnym osamotnieniu tyłu lat poprzednich. Zmiana ta głęboko podziałała na mnie pod wieloma względami. Znalazłszy się niespodzie-

wanie wśród tak licznej rodziny, musiałem się do tego dostosować. Całe to rodzeństwo macochy zamieszkało w pobliżu nas, w niedużym, wynajętym dla nich przez ojca domu. Nie było prawie wieczoru, aby ktoś nie przychodził do nas po nowiny lub na pogawędkę i zwykle już pozostawał na kolacji. Ci nowi krewni stali się częścią naszego codziennego życia. Wszyscy byli biedni, ojciec mój ich utrzymywał, a gospodarstwo nasze nabrało całkowicie innego charakteru — zmieniło się zupełnie.

Macocha była miłą i dobrą kobietą — do mnie zwłaszcza odnosiła się bardzo serdecznie, natomiast niezbyt podobała się mojej siostrze; nie miała żadnych zamiłowań artystycznych i nie była muzykalna, ale mnie lubiła, gdyż podobno byłem wówczas miłym chłopcem, a przede wszystkim — byłem chłopcem. Okazywała mi wiele dobroci i nieraz różne słodkie kąski, jak na przykład śliwki w cukrze i doskonałe małe ciasteczka, stawały się moim udziałem. Jako dziecko bardzo lubiłem ciastka i do dziś zostałem na nie łasy. Między siostrą natomiast a macochą powstawały zawsze tarcia, i to rzucało cień na nasze dzieciństwo. Moje stosunki z macochą układały się jak najlepiej, podczas gdy siostry z nią — wręcz przeciwnie. Stale dochodziło między nimi do sprzeczek, co znowu dawało wiele powodów do łez, a mnie bardzo unieszczęśliwiało. Zdarzało mi się nawet nieraz prowadzić z macochą poważne i długie rozmowy dotyczące mej siostry, przy czym muszę przyznać, że nie zawsze macocha miała rację, notabene często żadna z nich jej nie miała. Tak więc, mimo że byłem małym jeszcze chłopcem, próbowałem pośredniczyć między nimi. Czasami mi się to niemal udawało i wtedy przez dzień lub dwa panował spokój, po pewnym jednak czasie na nowo zaczynały się wszystkie drobne swary. Do stałej między nimi zgody, mimo usilnych starań, doprowadzić nie potrafiłem. Owe nieporozumienia trwały długo, bo aż do końca pobytu siostry mojej w domu. Pozostawały obie

wobec siebie w ciągłej opozycji, wynikającej z odmienności usposobień, i na to rady nie było.

Poza ojcem i macochą większość rodziny składała się z bardzo starych ludzi. Jako dziecko skazany byłem zatem stale na przebywanie wśród starszych. W domu oprócz ojca, macochy i siostry mieszkali z nami: pan Babiański — mój wychowawca, ojciec macochy, dziadek oraz nauczyciel muzyki — pan Sowiński. Ci czterej panowie mieli razem przeszło trzysta lat! Najmłodszy z nich — siedemdziesiąt osiem. I to byli moi towarzysze!

Ojciec w owym czasie cierpiał bardzo na oczy — groziła mu nawet ślepotą — i nie wolno mu było czytać. Prosił mnie więc często, abym mu głośno czytał lub grał. Leżał na sofie w ciemnym pokoju, słuchając, i zdarzało się nieraz, że grałem tak dla niego przez dobrych parę godzin na naszym starym i skrzypiącym instrumencie. Dawało mi to dużo zadowolenia, bo bardzo lubiłem improwizować. Siostra moja nigdy nie brała udziału w improwizacjach. Czytała lub bawiła się, albo też sprzeczała zajadle z macochą, co, zdaje się, sprawiało jej swego rodzaju przyjemność. A zatem mnie przypadło w udziale poświęcać się ojcu i owemu gronu starców: czytałem im głośno podczas długich wieczorów zimowych, przy słabym świetle palących się świec. Powtarzało się to co wieczór i trwało całymi godzinami. Było naprawdę bardzo ciekawe, a także rozczulające — starzy ludzie chłonący wiadomości, które im czytał mały chłopiec. Nadejście gazet z całego tygodnia wytwarzało zawsze w domu atmosferę podniecenia. Wszyscy gromadzili się gorączkowo wokół mnie, a ponieważ nie znali rosyjskiego — byli ode mnie uzależnieni. Nie mogli wprost doczekać się rozpoczęcia czytania.

Byłem lektorem i naturalnie czytałem im to, co chciałem. W owym czasie pisma polskie były niezmierną rzadkością, a w naszej części kraju absolutnie zakazane, gdyż rząd dążył usilnie do zupełnego zrusyfikowania tych ziem i zniszczenia wszelkich śladów dawnej,



polskiej kultury. Wiadomości czerpaliśmy więc z pism rosyjskich. Cóż, czytałem im więc, a nieraz, aby sprawić słuchaczom przyjemność, uszczęśliwić ich, zmieniałem nieco treść nowin. Czytałem także nowo wydane książki: powieści wybitniejszych autorów, przeważnie historyczne, przyjmowane z wielkim entuzjazmem. Słuchacze moi najbardziej lubili opisy wojen, gdyż większość z nich pamiętała jeszcze kampanię napoleońską z 1812 roku i dotąd o niej dysputowała. Rozmowy te przyczyniły się w znacznej mierze do rozwinięcia moich uczuć patriotycznych i usilnego pragnienia, by kiedyś stać się pożytecznym ojczyźnie.

W domu naszym były dwa pokolenia rewolucjonistów: jedno reprezentował mój stary wychowawca Babiański, drugie — ojciec. Poza tym również z sąsiedztwa przyjeżdżało do nas wielu znajomych, którzy dzięki różnym staraniom zostali zwolnieni i powrócili z Sybiru lub z innego wygnania; wszyscy oni wywierali ogromny wpływ na mój dziecięcy umysł. Nic więc dziwnego, że przez lata całe, i nawet dziś jeszcze, dominuje we mnie pęd do działalności patriotycznej bardziej niż do jakiegokolwiek innej, to jest zawsze ponad wszystkim. Podobnie jak wszyscy, i ja łaknąłem wieści o wojnie, i mnie — podobnie jak innych — podniecały wiadomości zaczerpnięte z czasopism rosyjskich.

Ale razu pewnego zdarzyło się, że moje głośne czytanie wywołało w naszej rodzinie wielce dramatyczną sytuację. Było to w czasie wojny francusko-pruskiej. Jak już mówiłem, byli wśród moich słuchaczy tacy, którzy pamiętali Napoleona, urodzili się bowiem wszyscy w XVIII wieku! Dziadek mój doskonale pamiętał całą kampanię napoleońską, podobnie i mój wychowawca, który spędziwszy trzydzieści lat we Francji, pozostał wierny kultowi cesarza. Reszta towarzystwa była też bezapelacyjnie profrancuska. Francja nigdy nie wyrządziła krzywdy Polsce, podczas gdy Niemcy, Rosjanie i Austriacy rozdarli przecież moją ojczyznę.

Nic więc dziwnego, że podczas owej wojny całe nasze gorące uczucia były po stronie Francji.

Mój mały dramat rozegrał się wkrótce po wypowiedzeniu przez Prusy wojny Francji w roku 1870. Ojciec, jak już wspominałem, ciężko zachorował na oczy i doktor absolutnie zabronił mu czytać. Wszelkimi siłami starał się z tym pogodzić, ale był z powodu wojny ogromnie podniecony, żądny wiadomości o tym, co się na Świecie dzieje; zresztą każdy z nas był ich ciekaw. W tym czasie pisma stały się jedyną ważną w domu rzeczą i ojciec posyłał po nie raz lub czasem nawet dwa razy tygodniowo do odległej sąsiedniej wioski. A ja wciąż byłem lektorem, miałem wielu słuchaczy, a wszystkich żądnych wiadomości o Francuzach. Wśród nich ważną osobą był też Żydek Szmul — fryzjer, a zarazem felczer, który robił memu ojcu gorące kompresy na oczy oraz spełniał obowiązki pielęgniarza. Był bardzo dobrym, miłym człowiekiem. On również słuchał mego czytania i wraz z innymi wyczekiwał na dobre wiadomości z terenu wojny.

Pewnego razu, przeglądając pisma, ciągle tylko natrafiałem na wiadomości o straszliwych klęskach ponoszonych przez Francuzów na polach bitew. Żadnych pomyślnych nowin, których z takim utęsknieniem oczekiwali moi biedni staruszkowie, nie mogłem nigdzie znaleźć. Cóż więc miałem robić? Odwagi mi zabrakło czytać o tym, co się w rzeczywistości działo. Czułem, że to by ich załamało, bo podniecenie i niepokój o wynik rozgrywki wojennej dosięgały szczytu. Pomyślałem, że pozostaje tylko jedno wyjście — czytać wprost przeciwnie, niż piszą gazety! Zdecydowałem się na to — muszę przyznać — bez wahania. Wszystkie złe wiadomości zmieniłem na dobre. Dzisiaj nie potrafiłbym już tak postąpić. Przypuszczalnie nie zrobiłbym tego, gdybym był nieco starszy, ale wtedy po prostu zacząłem improwizować. Ułożyłem sobie naprędce cały plan i zamiast czytać to, co rzeczywiście miało miejsce,

wysłałem zwycięskich Francuzów aż do Renu! Jakież zapanował entuzjazm! Jakież szczęście! Słuchacze moi wprost krzyczeli z radości. Przy okazji, gdy ulokowałem Francuzów już w Kolonii (co było zaprzeczeniem tego, co się wówczas działo), ojciec mój posłał do piwnicy po butelkę starego, doskonałego wina, aby wspólnie wypić zdrowie zwycięzców. Staruszkowie wprost płakali ze wzruszenia, a ja byłem zachwycony — zachwycony tym, co uczyniłem.

Trwało tak przez parę tygodni. Nie wiedziałem co prawda, jak się to skończy, ale byłem dobrej myśli. Przyznaję, że początkowo miałem pewne wątpliwości, ale wkrótce przyzwyczałem się do mych improwizacji i nawet sprawiały mi one dużą przyjemność. Podniecała mnie i dodawała bodźca konieczność przezwyjęcia trudności — trudności technicznych, bo tłumaczenie i przeistaczanie na oczekaniu wiadomości z owych gazet rosyjskich na język polski nie było, mimo wszystko, rzeczą łatwą. Rosyjski nie był przecież moim językiem ojczystym, a musiałem tłumaczyć szybko i bez wahania. Stało się to dla mnie swego rodzaju sportem — wyczy-nem. Oczywiście jednak zdawałem sobie sprawę z tragicznego końca, który stawał się coraz bardziej nieunikniony. Na razie czułem się bezpieczny, ponieważ w bliskości nie mieliśmy sąsiadów, a najbliższa miejscowość oddalona była o wiele kilometrów. Prawdziwe więc wiadomości z wojny nie docierały do nas chwilowo, ale wiedziałem, że prędzej czy później muszą dojść — no i doszły!

Ojcu memu nieoczekiwanie znacznie się poprawił wzrok, mógł więc pojechać do miasta, z wizytą do swego doktora. W tej sytuacji nie mogło mnie spotkać nic gorszego jak ów wyjazd ojca do lekarza. Wiedziałem, że dowie się tam prawdy i że wpadłem w pułapkę. Pamiętam, jak sobie powiedziałem: „Teraz nastąpi coś strasznego!” Zebrałem wszystkie gazety, z których wyczytywałem owe wspaniałe wiadomości o wielkich

zwycięstwach wojsk francuskich, zaniósłem do swego pokoiku, by mieć gotowe do spalenia — i czekałem. Ojciec powrócił z wizyty w bardzo poważnym nastroju i natychmiast wezwał mnie do siebie. Nigdy go nie widziałem w stanie takiego poruszenia. Trudno mu nawet było mówić. Wreszcie usłyszałem słowa: „A więc, Ignasiu, gdzie są owe gazety, z których czerpałeś swoje wspaniałe wiadomości? Chciałbym je na własne oczy zobaczyć, przynieś mi je zaraz”. Czym prędzej wybiegłem z pokoju. Chwyciłem gotowe do spalenia gazety, wsadziłem do pieca i podpaliwszy powróciłem do ojca. Nastąpiła osobliwa scena. Mój wychowawca, dziadek i mały cyrulik żydowski otaczali ojca. Był bardzo rozgniewany. Nigdy go jeszcze takim nie widziałem.

— Ten chłopiec okłamał nas — powiedział, wskazując na mnie. — Kłamał! Czytał nam fałszywe wiadomości! Właśnie powróciłem od doktora, który powiedział mi całą prawdę. Gdy zakomunikowałem mu, że chwała Bogu będę mógł wreszcie sam zacząć czytać o wspaniałych zwycięstwach Francuzów, doktor wyśmiał mnie!

Staruszkowie wpatrywali się w mego ojca, który stawał się coraz bardziej podniecony.

— Tak, śmiał się ze mnie i powiedział: Co się z panem dzieje? Czy pan zwariował? O jakich francuskich zwycięstwach pan mówi? — I wtedy opowiedziałem mu, że co wieczór syn mój czytał nam z gazet wspaniałe wieści.

— Wspaniałe wieści! To wprost nieprawdopodobne! Nie ma żadnych wspaniałych wieści! Dzieje się wprost przeciwnie! Francuzi są bici wszędzie! Wszędzie!

Gdy mu powiedziałem, że się myli, że Francuzi są już w Kolonii, doktor rzekł tylko:

— Wariat z pana, przyjacielu! Skończony wariat! Ośmieszają się pan.

Biedni staruszkowie oniemieli. Bez słowa patrzyli na ojca, a potem wzrok swój zwrócili na mnie. Czułem, że serce mi zamiera.

— Co masz na swoją obronę? — wykrzyknął ojciec. — Co znaczą te wszystkie kłamstwa, którymi nas karmiłeś?

— Nie kłamałem! — krzyknąłem w odpowiedzi. — Doprawdy nie kłamałem, ja tylko czytałem to, czego i ja, i wy pragnęliście.

— Dość tłumaczeń. Zasłużyłeś na surową karę — rzekł ojciec i wymierzył mi kilka dotkliwych policzków. Były bardzo bolesne. Oszołomiły mnie.

W tym momencie wtrącił się poczciwy cyrulik żydowski.

— Nie, nie! — zawołał. — Proszę go nie karać. Rzeczywiście, ośmieszył pana i nas Wszystkich, ale przecież nie zamierzał nic złego. To biedne dziecko starało się tylko sprawić nam przyjemność. Ja również będę cierpieć wraz z wszystkimi, ponieważ w całej okolicy rozpowiadałem radosne wieści, a teraz wezmą mnie za kłamcę i więcej to odcierpię niż ktokolwiek z państwa. Ale doprawdy syn pana jest dobrym i mądrym chłopcem — proszę mu przebaczyć to, co zrobił. Gdybym ja miał takiego syna, ustawiłbym go na piedestał, bo rozumu pańskiemu chłopcu nie brak!

Była to przełomowa chwila! Stary cyrulik okazał się moim prawdziwym przyjacielem i on to uratował mnie przed dalszym gniewem ojca. Tak więc ojciec, a potem i inni darowali mi przewinienie.

Celem moim było uszczęśliwić ich. Zresztą w ciągu całego życia uszczęśliwianie innych, niekiedy własnym, ogromnym kosztem, było zasadniczym motywem mego postępowania. Zaczęło się to już bardzo wcześnie; nigdy bowiem nie mogłem znieść widoku smutku na czyjejs twarży — po prostu nie mogłem i nie mogę. Wszystkich wokoło pragnąlbym widzieć szczęśliwymi, uśmiechniętymi i zadowolonymi!

Tak zakończył się ów przykry epizod. Głośne czytanie zostało na pewien czas zaniechane.

Wielką przyjemność sprawiało już wtedy ojcu słuchanie muzyki. Często wieczorami, po skończonej pracy, wołał mnie do siebie i mówił: „dziecko kochane,

zaimprovizuj mi cośkolwiek!", i nigdy nie miał dosyć słuchania. Wydaje mi się, że zdawał sobie sprawę z mojej odrębności od innych dzieci, intuicyjnie to wyczuwał. Pomimo że sam nie miał wykształcenia muzycznego, rozumiał muzykę, przeczuwał, że będę kiedyś artystą, i wierzył w moją przyszłość. Zdawał też sobie sprawę, że przeznaczeniem moim jest iść ściśle wytyczoną drogą. Dziś dopiero rozumiem, jak często owe myśli i nadzieje musiały zaprzętać jego umysł, jak marzył i starał się na swój sposób pomóc w dojściu do celu. Nie wolno marnować darów bożych. Taka była jego prosta wiara w przeznaczenie.

Godzinami całymi improwizowałem dla ojca. Przyносиło mu to ukojenie i poczucie spokoju. Czasami, gdy był już bardzo zmęczony i bardzo cierpiał — zasypiał lub też tak mi się tylko wydawało. Z chwilą jednak, gdy przestawałem grać, natychmiast zrywał się i wołał: „Dlaczego nie grasz? Dlaczego przestałeś? Graj dalej!” Odpowiadałem mu: „Przecież zasypiasz, ojcze, a ja już gram dobrą godzinę!” „Graj jeszcze, graj choć parę chwil” — prosił mnie wtedy.

W owym czasie oboje z siostrą wzięliśmy udział w dobroczynnym koncercie, który się odbył w niedużej miejscowości w sąsiedztwie. Mieliśmy zaledwie ze stu słuchaczy, było to jednak dla nas wielkie wydarzenie. Tak, mały koncert dobroczynny, nasz pierwszy występ.

Miałem wtedy dwanaście lat — a było to w roku 1872. Występowaliśmy tylko my dwoje. W okolicy znano nas jako dość muzykalne dzieci i gdy ktokolwiek organizował koncert dobroczynny, prosił ojca, by pozwolił nam brać udział.

Nie, w owym czasie nie denerwowałem się, nie bywałem nigdy przerażony podczas występów. Uczucie strachu pojawiło się później, wraz z poczuciem odpowiedzialności. Na tym pierwszym naszym małym koncercie spotkaliśmy się z przyjaznym przyjęciem słuchaczy, którzy oklaskiwali nas głośno i w nagrodę

obdarzyli słodyczami. Trochę później (przed moim wyjazdem do Warszawy, w tym samym roku) występowałem jeszcze na dwóch czy trzech koncertach, lecz już sam. Siostra moja siedziała wśród audytorium. Nie były to już więc duety! Byłem solistą. Osobliwością owych koncertów było to, że po zagranium „programu” ktoś z publiczności poddawał mnie wielkiej próbie: rącznikiem zakrywał mi klawiaturę, całkowicie zasłaniając klawisze, a ja już z pamięci grałem powtórnie to samo — wywoływało to wielkie wrażenie. Za taki ekstra-koncert otrzymywałem nagrodę pieniężną.

Miałem też koncert w Zasławiu, naszym mieście powiatowym, a drugi w innym, również powiatowym mieście — Ostrogu. Ten ostatni w małej, mieszczącej pięćdziesiąt osób salce. Właśnie podczas tych koncertów powtórzył się ów epizod z rącznikiem. Fakt ten stał się głośny i dzięki niemu zyskałem popularność.

Ojciec nie mógł mi towarzyszyć, ale ponieważ miejscowości te były dość oddalone od naszego domu — pojechali ze mną pan Babiański i ojciec macochy. Obaj starszankowie byli bardzo przejęci i wzruszeni moimi pierwszymi występami. Programy, jak to sobie może pani wystawić, były dość skromne i niezbyt — o ile pamiętam — długie, z powodu braku odpowiednich nut, nie było bowiem możliwości ich zdobycia. Dużo improwizowałem. Niewiele utworów umiałem na pamięć, grywałem więc przeróbki ze znanych paru oper. Mieszkaliśmy tak daleko od miast i środowisk artystycznych, że nie posiadałem żadnej biblioteki muzycznej. Grałem utwory Kalkbrennera i Tedesca<sup>1</sup>, znanego podówczas muzyka, a wreszcie *Karnawał wenecki*<sup>2</sup>. Pyta się pani,

<sup>1</sup> Ignacy A. Tedesco (1817-1882) — pianista urodzony w Pradze, wielokrotnie odbywający podróże koncertowe po Rosji. Na Węgrzech zwano go „Hannibalem oktav”. Kompozytor solowych utworów fortepianowych. (Przyp. red.)

<sup>2</sup> Prawdopodobnie chodzi tu o utwór J. Benedicta (1804-1885), kompozytora angielskiego niemieckiego pochodzenia. (Przyp. red.)

jakie wrażenie odnosiła publiczność? A więc bardzo jej się moja gra podobała. Nie mogła się przecież niczego więcej spodziewać po dwunastoletnim chłopcu! A zresztą poziom muzyczny słuchaczy nie był zbyt wysoki. Ja natomiast brałem wszystko bardzo poważnie i chętnie grywałem, nie przejmując się tym zbytnio. Jak już mówiłem, nie miałem jeszcze wtedy zupełnie poczucia odpowiedzialności, a granie było moją drugą naturą.

Już w owym czasie zwróciłem na siebie uwagę pewnych znaczniejszych osób z naszej okolicy. Niedaleko mieszkała bardzo zamożna rodzina hrabiów Chodkiewiczów, przyjaciół mego ojca. Zaproponowali, bym pojechał z nimi na dłuższy, parotygodniowy pobyt do Kijowa. Uznali mnie bowiem za bardzo utalentowanego chłopca, obiecującego muzyka i postanowili zawieźć do dużego miasta, bym miał możliwość posłuchania tam muzyki. Proszę pamiętać, że do tego czasu nie byłem nigdy na żadnym koncercie, nie słyszałem prawdziwej muzyki. Nie miałem także możliwości słyszenia orkiestry, żadnego pianisty ani skrzypka, nawet żadnego śpiewaka. Była to moja pierwsza wielka przygoda. W Kijowie zabrano mnie na koncert oraz na operę, widziałem również kilku wielkich artystów dramatycznych, a przede wszystkim Włoszkę — Adelajdę Ristori. Była to sławna artystka i zrobiła na mnie wstrząsające wrażenie, poruszyła do głębi. Głos jej wydawał mi się muzyką.

Przypomina mi się jeszcze ciekawy szczegół ze wspomnień o pani Ristori. Gdy dwadzieścia pięć lat później występowałem z wielkim koncertem w królewskim pałacu w Rzymie, znów ujrzałem ową zdumiewającą artystkę, wówczas już starą kobietę. Po koncercie na raucie zobaczyłem ją siedzącą w wielkim fotelu, zupełnie tak jak niegdyś przed laty, gdy byłem małym chłopcem. Wciąż jeszcze była imponująca. Niby płaszcz otaczała ją atmo-



sfera wielkości, a szlachetny jej głos brzmiał dla mnie nadal jak muzyka.

Podczas pobytu w Kijowie poznałem też innego przyjaciela mego ojca — barona Horocha. Administrował wielkimi obszarami leśnymi należącymi do rodziny Chodkiewiczów. Baron Horoch także interesował się mną i pragnął przyjść z pomocą. Dla nich wszystkich byłem cudownym dzieckiem. Proszę, niech pani nie zapomina, że — jak już mówiłem — w kraju mego dzieciństwa ludzie zamieszkiwali bardzo od siebie daleko, sąsiedztwa były bardzo odległe i rzadko widywaliśmy się. Od czasu do czasu jednak sąsiedzi przyjeżdżali do nas i wtedy ojciec zawsze kazał mi grać. Stąd ich zainteresowanie moimi zdolnościami muzycznymi. Otóż właśnie owego barona Horocha, jednego ze swych bliskich przyjaciół, ojciec prosił o odwiezienie mnie z Kijowa do domu.

Podróż powrotna była pełna przygód. Powracaliśmy naturalnie saniami i w drodze zdarzyło się coś, co mogło się dla nas bardzo źle skończyć. Oto zostaliśmy napadnięci przez wielkie stado wilków i musieliśmy się energicznie bronić. Była późna noc, śnieg niezmiernie głęboki, a mróz dotkliwy. Ja spałem na dnie sanek, otulony wielką futrzaną dachą. Od domu dzieliło nas jeszcze jakieś sto trzydzieści kilometrów. Baron Horoch miał dwie pary saní, tak jak to było u nas w zwyczaju: małe sanki na rzeczy i duże dla podróżnych. Wyruszyliśmy późno, więc od razu usnąłem. Nagle obudziło mnie przeraźliwe wycie wilków. O ile pamiętam, od głodnej wyjącej sfory dzieliła nas nieduża odległość. Konie straszliwie przerażone drżały, pierwsze poczuły obecność wilków i już wcześniej od nas zdały sobie sprawę z groźącego niebezpieczeństwa.

Obudziwszy się, pierwsze, co spostrzegłem, to liczne małe światełka, ostro błyszczące w nocy — były to połyskujące w ciemnościach ślepie wilków. Wyrwany

nagle ze snu, przerażony, nie orientowałem się, jak daleko od nas się znajdowały. Noc była przejmująco zimna i mroźna, wokół głęboki biały śnieg — i nic więcej, tylko te świecące oczy wilków.

Baron Horoch miał z sobą strzelbę, ale co znaczyła jedna strzelba wobec całej sfory. I oto furman z pierwszych sań znalazł radę. „Musimy rozniecić ognisko, to odstraszy wilki, nie ma innego sposobu — trzeba natychmiast podpalić drugie sanie!” — zawołał. Czym prędzej więc przeniesiono rzeczy do dużych sań, a mniejsze zostały podpalone. Zająły się w jednej chwili, gdyż pełne były słomy. Zapłonęły jak wielka pochodnia i to na chwilę uspokoiło przerażone konie, ale zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę, że nie wystarczy to na długo. Szczęśliwie jednak w odległości jakichś stu metrów stały w polu wielkie sterty słomy, pozostałe od zniw. Była to wielce pomyślna okoliczność, słoma ta ocaliła nam życie. Wilki wystraszone ogniem płonących sanek zatrzymały się. Ale nas prześladowała tylko jedna myśl: sanie spala się w ciągu kilku minut, kwadransa może, i co dalej? Pozostawiając więc palące się jeszcze sanie, popędziliśmy wszyscy do słomy. Stało tam sześć lub siedem olbrzymich stert; gdy furman zobaczył je z bliska, wykrzyknął: „Dzięki Bogu! Jesteśmy ocaleni!” Baron Horoch polecił podpalić je kolejno. Zabrało to wiele czasu — godziny minęły, zanim spaliły się wszystkie. Lecz to nas wybawiło. Rzeczywiście, z chwilą podpalenia słomy nastąpiła zupełna cisza, nie słyszeliśmy już wycia wilków i przestały świecić w ciemnościach punkciki ich oczu. Konie uspokoiły się, one także wiedziały, że jesteśmy ocaleni.

Nad ranem nadjechało wiele innych sań i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Do domu przyjechaliśmy późnym popołudniem; zaraz na wstępie spostrzegłem palące się w największym pokoju świece. Widok ten nie zdziwił mnie, przeczuwałem, że coś złego stało się w domu rodzicielskim. Przeczuwałem to już w dniu poprzedza-

jącym nasz wyjazd z Kijowa. Byłem tego dnia bardzo niespokojny i nawet pomyślałem sobie: „W tej chwili musiało się coś stać w domu; po powrocie zastaniesz wielką zmianę”. Całą noc nie spałem. Od dzieciństwa obdarzony byłem jakąś wrażliwością czy też intuicją, która pozwalała mi przewidywać i oczekiwać pewnych wydarzeń, zwłaszcza śmierci. Gdy więc ujrzałem palące się świece, wiedziałem już, że to, co przeczułem, sprawdziło się. W dużym pokoju spoczywały zwłoki mego dziadka, który umarł poprzedniego dnia.

Miewałem więcej takich przeczuć — miewałem je często jako dziecko. Obecnie rządzą się bardziej rozsądkiem i może dlatego nie jestem już tak mądry jak niegdyś, gdyż dzisiaj do intuicji dołączam rozsądek, a rozsądek z intuicją nie stanowią dobranej pary.

## Czasy studenckie w Warszawie

W tym też mniej więcej okresie ojciec mój zaczął myśleć o wysłaniu mnie do konserwatorium w Warszawie. Pragnął, bym zdobył rzetelne wykształcenie muzyczne; zdał sobie\*'-ostatecznie sprawę z konieczności tego. Zainteresowanie okazywane mi przez hrabiego Chodkiewicza wywarło też wpływ na ojca, który poważnie zaczął zastanawiać się nad tym projektem. Wiele było na ten temat dyskusji, gdyż wyprawienie mnie do konserwatorium stanowiło nie lada wydarzenie w naszym gronie rodzinnym. Nie przypominam sobie zupełnie stanowiska macochy, myślę jednak, że ze względu na mnie projekt ten cieszył ją, kochała mnie bowiem bardzo. Zdaje mi się jednak, że nie zabierała w tej sprawie głosu. Nie była bowiem muzykalna — była tylko, jak mówią Niemcy, dobrą *Hausfrau*, wyłącznie oddaną dzieciom i domowi, co całkowicie wypełniało jej życie. Trudno mi po tylu latach przypomnieć sobie, jakich uczuć wówczas doznawałem. Pamiętam jednak, że byłem tym projektem nieco przerażony. Małego chłopca nieznane zupełnie jeszcze nie pociągało, a miałem wyjechać z domu, opuścić rodzinę i wszystko to, do czego przywykłem przez całe swoje dotychczasowe życie, po prostu więc trochę się bałem.

Korzystne było dla naszych zamierzeń, że w owym czasie ukończono budowę linii kolejowej łączącej nasze miasteczko z Warszawą. W końcu więc ojciec zdecydował się na wyjazd. Pojechaliśmy, i to pierwszym pociągiem, jaki szedł na tej trasie; nie miał wagonów osobowych, jedynie towarowe. Owym prymitywnym środkiem lokomocji dojechaliśmy do Warszawy, gdzie ojciec zapisał mnie do konserwatorium; był to początek mej kariery muzycznej. Miałem dwanaście lat.

W konserwatorium przyjęto mnie bez trudności i bardzo życzliwie. Dyrektorem był wyjątkowy człowiek — Kątski. Wielki skrzypek, a jednocześnie twórca warszawskiego konserwatorium muzycznego<sup>1</sup>; silna i wybitna indywidualność. W czasie pierwszej rozmowy patrzył mi prosto w oczy, a posiadał niezwykle przenikliwy wzrok. Zrozumiałem jednak natychmiast jego spojrzenie, toteż nie zdziwiło mnie wcale, gdy powiedział: „Tego chłopca przyjmujemy od razu, i to bez egzaminu”. Patrząc mu w oczy wytrzymałem jego badawczy wzrok i jakoś — jak pani widzi — zrozumielśmy się od pierwszej chwili.

Zostałem więc przyjęty, a ojciec mój był tym uszczęśliwiony. Teraz postanowił wyszukać i kupić fortepian. Szukał go w różnych magazynach, ale wszystkie okazały się dla nas za kosztowne. Wreszcie ktoś ze znajomych wspomniał nazwisko Kerntopfa, znanego fabrykanta fortepianów, pośpieszyliśmy więc do niego. Biura, sklep i pokoje mieszkalne firmy Kerntopf zajmowały całe ogromne piętro bardzo starego domu i liczyły ze dwadzieścia czy więcej pomieszczeń. Właściciel firmy, stary pan Kerntopf, był niezmiernie sympatycznym i ujmującym człowiekiem. Przyjął nas bardzo uprzejmie słowami: „Mam tu dużo fortepianów, ale nie wiem, czy będą panu odpowiadały, niestety Są bowiem dość drogie”. Oczywiście domyślił się, że nie jesteśmy ludźmi bogatymi, i wymienił tak niską — stosunkowo — cenę za pianino, że ojciec po pewnym namyśle zgodził się i postanowił od razu je kupić. Tymczasem w trakcie rozmowy zjawił się nagle najstarszy syn pana Kerntopfa. Spojrzał na mnie uważnie i począł się przysłuchiwać (właśnie próbowałem grać na nowo nabytym instrumencie). Gra moja nie była — jak można przypuszczać — bezbłędna, ale musiało w niej jednak coś być, bo niezwłocz-

<sup>1</sup> Właściwa wówczas nazwa uczelni brzmiała: Instytut Muzyczny. Założony został w r. 1860 przez Apolinarego Italskiego (później, od r. 1919 — Konserwatorium Warszawskie). (Przyp. red.)

nie zwrócił się do mego ojca z zapytaniem: „Jakie są pana plany w związku z synem?”

Ojciec odpowiedział szybko i z wielką dumą w głosie: „Został właśnie przyjęty do konserwatorium, i to bez egzaminu!” Jakże dumny był z faktu, że przyjęto mnie tam życzliwie i zapisano bez egzaminu! Cieszył się również, że nie zawiodłem pokładanych we mnie nadziei.

— To pianino kupuję dla mego chłopca — powiedział do Kerntopfa.

— Nonsens — zawołał młody Kerntopf — nie powinien pan kupować pianina, które już za rok będzie bezużyteczne. Dam mu darmo fortepian, na którym będzie mógł ćwiczyć.

Ach, była to miłość od pierwszego spojrzenia i początek prawdziwej przyjaźni. Od tego czasu zaczęło się zainteresowanie Edwarda Kerntopfa moją osobą. Już w owej pierwszej chwili poznania okazał mi, małemu chłopcu, serdeczną życzliwość i aż do śmierci pozostawał moim oddanym przyjacielem. Przyszedł mi z pomocą — tyle już lat temu — stał się szczęśliwym rządzeniem mego losu.

Ojciec, głęboko wzruszony jego dobrocią, z całą szczerością zwrócił się teraz do obydwu panów ze słowami:

— Nie wiem doprawdy, gdzie by ulokować mego chłopca. Tak bardzo pragnąłbym znaleźć rodzinę, przy której spokojnie mógłbym go pozostawić — jest jeszcze bardzo młody. Może zechcieliby panowie łaskawie porządzić mi coś w tej sprawie.

Przysłuchiwałem się rozmowie, stojąc przy ojcu wciąż jeszcze niespokojny i nieco wystraszony. I znów Edward Kerntopf przyszedł nam z pomocą.

— Niech go pan zostawi tutaj, w naszej rodzinie — powiedział — jest nas dziesięcioro dzieci, jedno więcej nie zrobi różnicy. Może pan zresztą płacić parę groszy matce za jego utrzymanie, nie jesteśmy przecież bogaczami. — Było to powiedziane niezwykle miło.

— Niech pan zostawi syna, będzie tu miał na miejscu

fortepian do ćwiczeń. Może ćwiczyć na którymkolwiek — fortepianów jest u nas dużo, więc uszczerbku to nie zrobi, a pana nic nie będzie kosztowało.

Ojciec był bardzo uradowany i wdzięczny za tak dogodną propozycję. Spadł mu z serca wielki ciężar.

Wróciliśmy do hotelu i dopiero nazajutrz rano ojciec przyprowadził mnie do państwa Kern topf ów, gdzie już pozostałem. Chwila pożegnania z ojcem była bolesna, po jego wyjściu głośno zapłakałem. Widząc to, stara pani Kerntopfowa podeszła do mnie i zaczęła pocieszać. Była ogromnie tęga, ale serce miała najwidoczniej jeszcze większe niż postać, gdyż i dla mnie znalazło się w nim miejsce. Pocieszała mnie, tłumacząc, że wkrótce przestanę tak tęsknić, gdyż wszyscy będą tu dla mnie dobrzy i już teraz mnie kochają. Tak też było w rzeczywistości; mieszkalem u nich aż do ukończenia konserwatorium.

Los mi sprzyjał. Życie uległo nagle całkowitej zmianie. Znalazłem się wśród licznej rodziny i wszystko było teraz zupełnie inne. Nie miałem już własnego pokoju, sypiałem natomiast w jednym, ogromnym, razem z czterema chłopcami państwa Kerntopfów. Była to wielka sala, rodzaj dormitorium; nigdy przedtem nie widziałem tak dużego pokoju. Chociaż było nas pięciu, każdy miał własny kącik na książki (o ile je posiadał) i własne drobiazgi. Stał tam także, o ile mnie pamięć nie myli, duży stół — rodzaj biurka do pisania. Dywanu na podłodze nie było, umeblowanie skromne i proste, ale bardzo wygodne. Nie ubierałem się teraz przy świetle świec, gdyż w Warszawie używano już lamp naftowych. Fortepianu w naszym wielkim pokoju nie było; ćwiczyć chodziłem do składów i, zależnie od okoliczności, grałem na różnych fortepianach — na tych, które były w danej chwili wolne. Gdy przychodzili klienci, musiałem oczywiście przerywać grę i wyszukiwać sobie inny instrument, stojący w odległym kącie składu. Było to — jak już wspominałem — ogromne pomieszczenie, całe piętro

olbrzymiego domu, trudno mi nawet określić jego rozległość. Dwadzieścia albo i więcej pokoi i sal, a w niektórych z nich przebywali zawsze robotnicy. A więc pracujący robotnicy, cała rodzina Kerntopf ów i ja — przebywaliśmy wszyscy razem.

Rodzina ta stała się dla mnie jakby drugim domem. Nasze wzajemne współżycie ułożyło się bardzo szczęśliwie, wyjątek stanowiło odnośnienie się do mnie jednego z chłopców, z którym stosunki początkowo nie były dobre. O cztery lata starszy, starał się okazywać mi swoją wyższość. Poprawiał na przykład mój sposób mówienia po polsku. Sam używał pospolitych wyrazów gwarowych, ja zaś, od dziecka karmiony poezją i najlepszymi dziełami naszej literatury, znałem język polski lepiej od niego. Ale ja przyjechałem z prowincji, a on był stale w Warszawie, chciał więc jako młodzieniec ze stolicy okazywać swą wyższość chłopakowi ze wsi. Kłóciliśmy się często i nieraz gwałtownie. W końcu jednak wszystko ułożyło się dobrze. Zakochał się, a niestety nie potrafił sam w odpowiednich słowach wyrazić swego uczucia. Zwrócił się więc do mnie z prośbą o napisanie pierwszego miłosnego listu. Miał on być pełen poezji, a nie zwykłych pospolitych wyrazów. Od tego czasu zupełnie ustały nasze kłótnie. Z resztą rodzeństwa łączyły mnie od początku braterskie i siostrzane uczucia.

Muszę tu również wspomnieć, że wstępując do konserwatorium, po raz pierwszy znalazłem się w gronie chłopców. Dotąd życie moje upływało jedynie w towarzystwie siostry, bez innych odpowiednich memu wiekowi towarzyszy zabaw. Stale byłem sam, a niewesołe jest — trzeba przyznać — życie chłopca przebywającego ciągle z, dziewczynką, jedną dziewczynką, i to w dodatku siostrą.

Odbiegamy jednak od tematu, a musimy powrócić do konserwatorium. Poznałem tam wreszcie wielu swoich rówieśników. Niektórzy z nich pełni byli życia i wesołości, tak że kontakt z nimi wywarł na mnie wielki i dobro-



czynny wpływ. Wkrótce zmieniłem się zupełnie. Byłem jakby inną istotą, tyle nowej energii życiowej wstąpiło we mnie. Stałem się psotny i żywy, ale figle, jakie pła-  
tałem, nie zawsze były stosowne, a zwłaszcza gdy odnosiły się do starszych studentów, owych młodzieńców dwudziestodwuletnich, a nawet starszych. Toteż moje najrozmaitsze wybryki nie zawsze przypadają im do smaku. Ponieważ byłem ruchliwy, a włosy miałem wówczas bardzo rude, koledzy przezwali mnie wiewiórką (w Polsce znano tylko rude wiewiórki, a nie wiedziałem nic o szarych, żyjących w Ameryce). Nazwa ta była więc w tych czasach psot bardzo dla mnie odpowiednia.

Pamiętam, że wtedy właśnie zaprzątały mnie dwie rzeczy. Mianowicie nie potrafiłem Wymawiać prawidłowo litery „s” — wymawiałem ją, jakbym gwizdał, a po wtóre, gdy grałem trudniejsze utwory, bardzo brzydko wykrzywiałem twarz. Pierwszej wady — złej wymowy — dość szybko się pozbyłem, udało mi się ją zwalczyć w inny co prawda sposób niż Demostenesowi, który w tym celu wkładał sobie w usta małe kamyczki. Od wczesnej młodości stale i usilnie starałem się zwalczać w sobie różne złe nawyki. Odzwyczajenie się jednak od grymasów i min podczas gry nie było rzeczą łatwą. Wyleczyła mnie z tego dopiero w wiele lat później znajomość z Ryszardem Straussem, który wykrzywiał twarz i robił miny znacznie gorsze od moich. Jest to niezwykle interesująca historyjka, którą pani przy innej sposobności opowiem. Nie, nie zapomnę na pewno.

Studia moje w konserwatorium rozpoczęły się jednak od wielkiego, i to bardzo gorzkiego rozczarowania. Chociaż miałem dopiero dwanaście lat i nie znałem dotąd podstaw gry na fortepianie, wiedziałem, a raczej domyślałem się, jakiego rodzaju nauczyciel mi jest potrzebny. Na pierwszą lekcję w konserwatorium szedłem z nieopisaną radością. Pamiętam to jak dziś. Do głowy mi nawet nie przyszło, że może mnie spotkać

rozczarowanie, że mogę znów doznać zawodu w gorącym pragnieniu nauczenia się wreszcie, jak naprawdę powinno się grać. W dziecinnym umyśle wyobrażałem sobie, że nauka w konserwatorium rozwiąże wszystkie dręczące mnie problemy, że wreszcie dostanę się w odpowiednie ręce.

Tymczasem mój pierwszy nauczyciel<sup>1</sup> był tak nieprzyjemny i tak zniechęcił mnie do gry, że od razu poprosiłem o zwolnienie mnie z lekcji gry na fortepianie. Powiedział bowiem, że moje ręce nie nadają się do fortepianu i jeszcze wiele innych równie przykrych rzeczy. Zorientowałem się, że nic dobrego z tej nauki nie wyniknie, że nie jest dla mnie stosownym pedagogiem i że sprawa odpowiedniego nauczyciela nadal pozostaje nie załatwiona. Z drugiej strony wykładowcy teorii od samego początku ustosunkowali się do mnie z wielkim entuzjazmem. Nauczycielem zasad muzyki był pan Studziński<sup>2</sup>, a harmonię i kontrapunkt studiowałem u prof. Roguskiego<sup>3</sup>. Tego ostatniego wspominam zawsze z wdzięcznością i sympatią. Wszyscy oni byli jednak zdania, że będzie ze mnie kompozytor, a nie pianista. Miałem tak ogromną łatwość pojmowania i uczyłem się tak szybko, że przez cały czas pobytu w konserwatorium nauka teorii, harmonii, kontrapunktu i kompozycji nie sprawiała mi żadnych trudności, przeciwnie — dawała dużą satysfakcję. Zacząłem się uczyć tych przedmiotów zaraz po przyjęciu.

Drugi nauczyciel, do którego zwróciłem się z prośbą o naukę gry na fortepianie, był człowiekiem bardzo uczuciowym. Pierwszy był po prostu nauczycielem-pedagogiem, dla którego technika była wszystkim, i to

<sup>1</sup> Paderewski uczył się u Józefa Śliwińskiego, Rudolfa Strobla, Juliusza Janothy i Pawła Schlözera, nie wiadomo jednak, którego z nich ma tu na myśli. (Przyp. red.)

• Karol Studziński (1828-1883)— kompozytor, pedagog. (Przyp. red.)

• Gustaw Roguski (1839-1921) — kompozytor (uczeń A. B. Marksa i H. Berlioza), wybitny pedagog. (Przyp. red.)

mimo że sam jej zbyt nie opanował. Drugi natomiast był artystą, który od razu poznał się na tym, że i ja zdolny jestem swoją grą dużo wyrazić. „Ależ tak — powiedział — jesteś utalentowany, to nie ulega wątpliwości, masz wrodzony dar do muzyki.” Musiał jednak w młodości grać podobnie jak ja, gdyż nie zwracał dostatecznej uwagi na zwalczanie trudności technicznych i precyzję gry. Wciąż w życiu natrafiałem na takich właśnie nauczycieli — dziwne okrucieństwo losu.

Rzecz prosta, pewne niewielkie postępy robiłem, ale to głównie dzięki przysłuchiwaniu się, a nie własnej grze. Zdawałem już sobie sprawę, że by wykonać poprawnie pewne utwory, trzeba dysponować odpowiednią techniką, ale wciąż jeszcze nie mogłem jej opanować. Mimo to miałem już swój repertuar. Po dwóch latach nauki w konserwatorium grałem zupełnie nieźle — nie doskonale, rzecz prosta — ale jednak z pewnym swoistym akcentem i odcieniem znamionującym wrodzone zdolności.

W tym właśnie czasie nasz dyrektor doszedł do przekonania, że należałoby koniecznie coś uczynić dla zwrócenia większej uwagi publiczności na konserwatorium, dla uzyskania większej popularności Instytutu. Poza orkiestrą operową nie było wówczas w Warszawie żadnych innych stałych orkiestr. W sezonie letnim przyjeżdżał — na krótko zresztą — zespół z Berlina. Wobec tego dyrektor wpadł na myśl utworzenia stałej orkiestry polskiej, złożonej ze studentów konserwatorium.

Ucząc się harmonii i kontrapunktu interesowałem się wszystkimi instrumentami muzycznymi, chciałem się z nimi zapoznać. Każdemu studentowi było wolno, a nawet wskazane, uczęszczać na lekcje gry na rozmaitych instrumentach: dętych, smyczkowych i perkusyjnych. Zgłosiłem się więc i ja, początkowo do nauczyciela gry na flecie<sup>1</sup>, i rozpocząłem karierę flecisty!

<sup>1</sup> Kazimierza Tomaszewskiego. (Przyp. red.)

Lecz tu nastąpiło nowe rozczarowanie, powiedziano mi bowiem, że nigdy nie będę na tym instrumencie dobrze grał, gdyż moje wargi są za szerokie dla fletu. Po paru tygodniach ciężkiej pracy zrezygnowałem więc, i to na wyraźne życzenie nauczyciela. Kariera flecisty nie była mi widocznie przeznaczona. Bynajmniej nie zniechęcony, przeszedłem teraz do klasy oboju i klarnetu. Uczył tam ogromnie miły profesor<sup>1</sup>, który bardzo mnie polubił. Wprowadził mnie w arkana gry, po pewnym jednak czasie stwierdził, że nie widzi dla mnie żadnej przyszłości w grze na tych instrumentach i radzi popróbować czego innego. Przeniosłem się więc znowu, tym razem do klasy kontrabas, i znów gorliwie zabrałem się do nauki. Przechodziłem od jednego instrumentu do drugiego. Po kontrabasie uczyłem się jeszcze gry na rogu i w ciągu kilku następnych miesięcy doszedłem do zupełnie zadowolających wyników.

Zapoznawszy się z tyloma instrumentami muzycznymi dość gruntownie (przynajmniej w zakresie teorii gry), doszedłem do przekonania, że powinienem jeszcze poznać wszystkie pozostałe — przeniosłem się więc do klasy gry na trąbce i na helikonie. Lekcji udzielał tu profesor<sup>2</sup>, który od razu zwrócił uwagę na moje wyjątkowe zdolności specjalnie do gry na helikonie. Pewnego dnia powiedział mi: „Słuchaj no, drogi chłopcze, próbujesz wciąż grać na fortepianie, ale po co? To nie dla ciebie! Czeką cię kariera, ale tylko helikonisty. Gra na fortepianie nic ci absolutnie nie da — twoja przyszłość to helikon! Jesteś do niego uzdolniony i z pewnością grając na nim, a nie na fortepianie, zarobisz kiedyś na życie”. Sam przejęty był bardzo radami, których mi udzielał. „Tak, twoja przyszłość — to helikon! Zapamiętaj moje słowa.”

Rzecz prosta, przemowa ta wywarła na mnie wraże-

<sup>1</sup> Michał Sobolewski. (Przyp. red.)

\* Antoni Kühne. (Przyp. red.)

nie, i chociaż w dalszym ciągu wierzyłem mocno w moją grę na fortepianie — słów jego nie zlekceważyłem, pracowałem gorliwie nad helikonem i wkrótce uzyskałem (jak mi to przepowiedział i ku jego wielkiej radości) piękne w tej grze wyniki. Najlepszy dowód, że gdy wreszcie zrealizował się projekt stworzenia stałej studenckiej orkiestry, przeznaczono mi w niej miejsce pierwszego helikonisty. Istnieje jeszcze moja fotografia z helikonem, zdaje się, u pani Adamowskiej w Bostonie. Jest bardzo zabawna, mam nadzieję, że będzie ją pani kiedyś mogła obejrzeć.

A więc orkiestrę zorganizowano i od razu zaczęły się próby. Wspominam o nich dlatego, że stały się powodem dramatycznych przejść w moim studenckim życiu i przyczyniły wiele kłopotów i zmartwień memu biednemu ojcu. Próby orkiestry rozpoczęły się w końcu czerwca, to jest właśnie w okresie ostatnich egzaminów. Był to bardzo niefortunny zbieg okoliczności — musiałem przecież zdawać egzaminy. Chodząc na próby, źle się na nich czułem, gdyż zaniedbywałem przez nie naukę; nie chodząc zaś, parokrotnie naraziłem się na ostre wymówki dyrektora. Bardzo się na mnie rozgniewał.

— Nie mogę przychodzić na próby — tłumaczyłem mu — to jest wykluczone, a mam ku temu bardzo ważne powody: moje egzaminy.

— Egzaminy — wołał gniewnie — to głupstwo! Nic nie jest obecnie ważniejsze od prób, i nakazuję ci chodzić na nie regularnie.

W owym bowiem czasie nic go nie obchodziło poza orkiestrą. To było jego hobby.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Aż wreszcie pewnego dnia, gdy spóźniłem się na próbę, powiedziano mi, że będę za to ukarany, a mianowicie mam po skończonych lekcjach pozostać w konserwatorium. Zaprotestowałem gwałtownie: „Nie — wołałem — nie pozwolę się zatrzymać i nie pozostanę dłużej — to wykluczone”. Stanowisko moje było słuszne, gdyż najważniejszą

rzeczą była wówczas nauka, a nie próby koncertu, i dlatego tylko odmówiłem posłuszeństwa. Użyto jednak przemocy i usiłowano zatrzymać mnie siłą. Nie dałem się i broniłem, aż doszło wręcz do walki, przy czym kilku studentów stanęło po mojej stronie. Wówczas dyrektor zapowiedział, że o ile nie podporządkuję się natychmiast wymaganej dyscyplinie — będę zmuszony opuścić konserwatorium. Moja odpowiedź brzmiała: „Nie uznaję prawa konserwatorium do zatrzymywania studenta i kary za niestawienie się na próbę, więc wyroku tego nie przyjmuję! Jednocześnie proszę o polecenie otwarcia zamkniętych drzwi”. Dyrektor był oburzony moją odpowiedzią i nazwał ją zuchwalstwem. Bardzo rozgniewany, powiedział, że takiej niesubordynacji tolerować nie może i nie życzy sobie dalszej ze mną rozmowy. Sprawa zakończyła się natychmiastowym wydaleniem mnie z konserwatorium. Okazało się, że ze wszystkich studentów byłem jedynym, który ośmielił się mu przeciwstawić. Zawsze jednak w życiu zdecydowany byłem walczyć o sprawiedliwość; od najwcześniejszego dzieciństwa miałem w sobie silnie zakorzenione poczucie sprawiedliwości, a równocześnie starałem się do wszelkich spraw podchodzić rozumowo i wszystko zawsze dokładnie przemyśleć. Tak więc — na skutek wydalenia mnie z konserwatorium — pozostałem na lodzie.

Ów incydent z orkiestrą miał miejsce w drugim<sup>1</sup> roku mego pobytu w Warszawie. Konserwatorium rozpocząłem w roku 1874<sup>1</sup>, a nieszczęsne wydarzenie miało miejsce w roku 1875.

Mieszkałem wówczas, jak to już poprzednio pani mówiłem, u zacnych Kerntopfów. Najstarszy ich syn, Edward, okazywał mi wiele przyjaźni i uważał za Swego pupilka. On miał lat trzydzieści — ja byłem piętnasto-

<sup>1</sup> Paderewski rozpoczął naukę w konserwatorium w r. 1872, a zatem ów incydent miał miejsce w trzecim roku pobytu w Warszawie. (Przyp. red.)

letnim chłopcem. Traktował mnie jak młodszego brata i darzył wielkim zaufaniem. Śmiał się ze wszystkich, którzy przepowiadali, że nigdy nie zostanę artystą; od samego początku naszego poznania wierzył we mnie niezachwianie. To warto zanotować. Zajmował się mną bardzo, zabierał na wszystkie koncerty, między innymi na koncert znanego pianisty Mikołaja Rubinsteina (brata słynnego Antoniego). Dzięki niemu miałem możliwość słuchania wszystkich najlepszych muzyków przybywających do Warszawy. Od początku interesował się moimi postępami w muzyce i starał się mnie w tym kierunku kształcić. Był moim protektorem i w ogóle pomagał we wszystkim. Bez jego pomocy i życzliwego zainteresowania ten pierwszy rok pobytu w konserwatorium byłby chyba zupełnie inny i znacznie dla mnie trudniejszy, sądzę jednak, że nie wpłynęłaby to było na mój rozwój wewnętrzny, że i bez jego pomocy dałbym sobie radę — jestem o tym przekonany. Przeznaczone mi było iść w życiu określoną drogą, początkowo bezwiednie, drogą jednak, która z całkowitą oczywistością miała doprowadzić mnie do celu. Okoliczności życiowe przyszły mi jednak z pomocą, chociażby przyjaźń z Edwardem Kerntopffem. Kierował mną w krytycznych momentach, gdy czułem się samotny, bezradny, nie mogąc znaleźć wyjścia z trudnych sytuacji.

Nie powinienem też okazać się niewdzięcznym w stosunku do innych ludzi. Muszę wyznać, że kilkakrotnie podczas studiów ofiarowywano mi pomoc, której jednak nie mogłem przyjąć. Tak na przykład pewien szlachetny Polak z Berlina pragnął dopomóc mi w studiach. Była to poważna propozycja, zapewniająca mi kilka lat nauki — nie przyjąłem jej — po prostu nie byłem w stanie się do tego zmusić. Jedyнным, od którego chętnie przyjmowałem pomoc, był Edward Kerntopf — przeczuwałem widocznie, że kiedyś i ja z kolei będę mógł wyświadczyć mu przysługę, czułem intuicyjnie, że w przyszłości będę miał sposobność odwdziaczyć mu się za okazywaną mi

wielkoduszność. Miałem jakby pewność, że kiedyś, używszy już stanowisko, stanę się dla niego pożyteczny. Tego rodzaju pewność nie była z mej strony zarozumiałością, raczej był to rodzaj dumy. Duma nie wyklucza jednak pokory i chociaż brzmi to paradoksalnie, ale tak bywa, bo przecież aktem pokory jest przyjmowanie czyjeś pomocy. Wszystko to świadczy o tym, że od początku przeczuwałem drogę, którą przeznaczone mi było kroczyć.

Nawet wydalenie z konserwatorium nie zrobiło na mnie większego wrażenia. Zewnętrzne bowiem sprawy nie przejmowały mnie zbyt. Pomyślałem: „Przykre to, bo zmartwi bardzo ojca”. Poza tym jednak niespecjalnie mnie to wzruszyło, gdyż stale wierzyłem niezbiecie w dobrą gwiazdę i odczuwałem spokój wewnętrzny, którego nic nie było w stanie naruszyć.

Wydalenie mnie z konserwatorium przejęło natomiast ogromnie rodzinę Kerntopfów. Uważali to za dyshonor i każdy z nich spoglądał na mnie jak na przestępcę. „Usunięto go z konserwatorium” — szeptali. Bardzo mnie to bolało. Byli tak dobrzy dla mnie, postępowanie moje wyglądało na niewdzięczność wobec nich. Tylko najstarszy z braci, Edward, stawał zawsze w mej obronie i gdy inni mnie krytykowali, mawiał: „Niemądrzy jesteście i nie macie pojęcia, o czym mówicie- Nie spotkał go żaden dyshonor. To on miał rację. Wydalenie go dla tak błahego powodu jest właściwie zaszczytem”.

Miła mi też jest pamięć o tym, że i większość profesorów w konserwatorium była tego samego zdania. Chociaż zdawali sobie sprawę, że moja gwałtowna opozycja wobec dyscypliny szkolnej była zniewagą dla instytucji, czuli jednocześnie, że miałem rację. Interweniowali więc u dyrektora, a przede wszystkim mój nauczyciel harmonii i kontrapunktu, który oświadczył: „Protestuję przeciw temu, co się stało; to nie w porządku zmuszać chłopca do przychodzenia na próby,



gdy ma do zdawania egzaminy. Postąpiono z nim niesprawiedliwie i uważam, że powinno się go przyjąć z powrotem!"

Protest jego musiał najwidoczniej wpłynąć na dyrektora, gdyż niebawem przyszło do Edwarda Kerntopfa wezwanie następującej treści: „Proszę przyprowadzić Paderewskiego; darowujemy mu jego winę i przyjmujemy do klasy z powrotem”. Uradowany tym Kerntopf przyszedł do mnie i ku memu wielkiemu zdziwieniu rzekł:

— Mam dla ciebie dobre wiadomości. Powracasz do konserwatorium. Zrozumieli w końcu swój błąd i zezwalają na twój powrót.

— Jak to — powiedziałem — przecież mnie stamtąd wydalono?

— Ach, to nie ma znaczenia — odparł. — Wszystko już jest w porządku, właśnie dostałem w tej sprawie wiadomość, i to od samego dyrektora. Zaraz masz powrócić do konserwatorium, gdzie chętnie cię znów powitają.

Udałiśmy się więc tam natychmiast i znów ujrzałem energicznego, o przenikliwym spojrzeniu dyrektora. Siedział przy stole otoczony profesorami, spojrzał na mnie ostro i powiedział:

— I cóż, Paderewski, zachowałeś się bardzo nieładnie!

— Proszę pana — przerwałem mu — ja w dalszym ciągu protestuję, nie zachowałem się źle, lecz tylko broniłem swoich praw.

Dyrektor wciąż spogląda! na mnie przenikliwie, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje słowa.

— Ponieważ przyszedłeś tutaj natychmiast, dając tym dowód skruchy, przebaczam ci, pozwalam powrócić i w dalszym ciągu zdawać egzaminy.

Byłem tak zaskoczony i zdumiony, że naprawdę nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. W głębi serca jednak cieszyłem się bardzo.

Zaraz udałem się do klasy, gdzie odbywały się egzaminy — wydawało się, że wszystkie kłopoty były już poza mną. Wkrótce jednak rozpoczęły się znów próby naszej orkiestry i wtedy nastąpiła ciekawa rzecz: gazety stołeczne zaatakowały dyrektora. Dowiedziały się bowiem, że zmuszano uczniów do uczęszczania na próby, przez co zaniedbywali naukę. Prasa ujęła się za nami i rozpoczęła walkę z dyrektorem. W pismach pojawiły się w tej sprawie liczne artykuły, i chociaż nowa orkiestra cieszyła się powodzeniem, opinia publiczna wystąpiła przeciwko niej. Gazety poczęły atakować dyrektora tak ostro, że wreszcie kilku studentów zaprotestowało przeciwko temu.

Było to bardzo niemądre posunięcie, bo rzecz stała się poważna i zakończyła się awanturą. Ja też byłem w nią wciągnięty wraz z pozostałymi sześcioma, którzy podpisali protest; skutek był taki, że zostałem po raz drugi wydalony z konserwatorium, i to na cały rok. Teraz sytuacja stała się dla nas wszystkich krytyczna. Rozpocząłem wówczas prywatną naukę u jednego z profesorów — najlepszego pedagoga w zakresie gry na fortepianie w konserwatorium. Nic więcej nie mogłem zrobić. Niestety miałem z nim tylko trzy czy cztery lekcje. Miał doskonałą technikę, ale pozbawiony był zupełnie polotu i zdolności do wzruszeń muzycznych. Przygotowywałem to, co mi zadawał, ale mu to nie wystarczało. Pomimo dwóch lat nauki w konserwatorium nie zdobyłem właściwej umiejętności gry, a nauczyciel wymagał gry poprawnej. Nie dbał zupełnie o grę, która była może poetyczna, ale technicznie słaba — był więc ze mnie niezadowolony.

Po czwartej lekcji powiedział mi: „Dam ci dobrą radę: nie próbuj grać na fortepianie, bo i tak nigdy nie będziesz pianistą — nigdy”. I nie chciał mnie więcej uczyć. Bardzo mnie to zdeprymowało i nie wiedziałem, co dalej robić. Mimo to jednak grałem sam, i jakoś to szło, ale wciąż nie wiedziałem, jak grać, i nie naby-

wałem potrzebnej techniki. Okrutne fatum prześladowało mnie stale!

Połowa mego życia minęła, zanim zdałem sobie sprawę, że są dwa sposoby gry: jeden — to grać, a drugi — to pracować nad grą. Jeżeli się tylko gra, nie dojdzie się do niczego. Poniosą bowiem własne emocje i emocje wywołane treścią wykonywanych utworów, życie całe można w ten sposób grać, nie nauczywszy się niczego. Można przecież upoić się uczuciem zawartym w każdym dziele sztuki. Tak gra wielu ludzi, traci czas i do niczego nie dochodzi. Pracując zaś nad fortepianem — cierpimy, bo nie mamy wtedy zupełnie przyjemności gry, a tylko wysiłek i trud.

Widzi pani, ja przez cały ten czas, o którym mówimy, tylko grałem, a nie pracowałem nad grą. Prawdziwie pracować nad fortepianem zacząłem dopiero dziesięć lat później. Dotąd jeszcze zwalczam w sobie chęć do samej tylko gry, bo jakże żmudną rzeczą jest praca nad grą. W owym czasie nie zdawałem sobie z tego sprawy, bo nie wiedziałem, jak pracować. Od początku jednak czułem, że musi się znaleźć ktoś lub coś, co zmusi mnie do pracy, a nie do gry. Znalazłem go — ale dopiero wiele lat później.

\*

Borykałem się więc dalej z losem i zabrałem się do przygotowywania jakiegoś repertuaru; wyobraziłem sobie bowiem, że mógłbym dać parę koncertów. Myśl ta tkwiła we mnie uparcie. Ułożyłem coś w rodzaju programu, na który składało się parę utworów Chopina i Liszta. I tak ni stąd, ni zowąd — zdarza się zresztą w życiu, że nagle rodzi się jakiś pomysł — postanowiliśmy z dwoma kolegami wybrać się na mały objazd po miastach prowincjonalnych Rosji i Polski. Nie miałem jeszcze ukończonych szesnastu lat, a było to w następnym roku po powtórnym wydaleniu mnie z konserwatorium. Ta pierwsza wycieczka po północnych okolicach Polski

i Rosji była niezmiernie ciekawym epizodem w moim życiu. Dziś, gdy myślę o tym, przypuszczam, że na tę ryzykowną wyprawę czy przygodę pchnęła nas po prostu żyłka awanturnicza. Bez wątpienia tak było, ale także i potrzeba zdobycia pieniędzy. Chciałem zarobić trochę grosza — wszyscyśmy właściwie tego chcieli.

Zdaje mi się, że sam pomysł wyprawy poddał skrzypek. Miał on ochotę odwiedzić przy tej sposobności rodzinę mieszkającą w północnej części Polski. Nie wątpił, że będziemy zbierać laury, czym zaimponuje rodzinie. Wyruszyliśmy w drogę — trzech uczniowie konserwatorium. Najstarszy z nas był wiolonczelista, który miał wówczas około dwudziestu dwóch lat — muzyk bardzo zrównoważony, bardzo inteligentny i do-prawdy poważny młodzieniec. Nazywał się Biernacki. Drugi był o dwa lata ode mnie starszy, mój kolega — wesoły młodzian, grający całkiem dobrze na skrzyp-cach. Ten nazywał się Cielewicz. Beniaminkiem naszej grupy byłem ja. Uzyskaliśmy pozwolenie z konserwato-rium, które służyło nam jednocześnie jako paszport. Muszę tu jeszcze dodać, że rodzice początkowo nic o naszej projektowanej wyprawie nie wiedzieli.

Jakżeż to zupełnie inaczej niż dziś! Tego rodzaju historia nie mogłaby mieć miejsca w dzisiejszych czasach, wobec możliwości szybkiego porozumiewania się, zachowania kontaktu rodziców ze swymi rozpieszczonymi dziećmi. Wtedy zaś my, mimo że tak młodzi, byliśmy już na ogół samodzielni. Jak się to mówi: na własnym garnuszk, z dala od rodzicielskich rad, kompletnie oderwani od rodzin. W tych warunkach stosunkowo łatwo było zachować naszą wyprawę w tajemnicy przed rodzicami. Zdawałem sobie dobrze sprawę, że ojciec mój, gdyby o niej wiedział, nie cieszyłby się bynajmniej, a także nie dałby mi pieniędzy na tego rodzaju imprezę. Muszę tu zaznaczyć, że zarabiałem już trochę w owym czasie, chcąc pomóc sobie finansowo. Dawałem miano-wicie lekcje. Były one opłacane „olbrzymią” sumą

dwunastu groszy za godzinę. W tym okresie bowiem ojciec łożył na mnie dużo pieniędzy. Opłacał koszty nauki w konserwatorium i utrzymanie, nie pozostawało mi więc nic na tak zwane kieszonkowe. Musiałem sam się o nie starać i brałem każdego ucznia, jaki mi się trafił. Miałem ich przez pocziwą rodzinę Kerntopfów. Przeważnie były to dzieci ośmio- lub dziewięcioletnie, chcące poduczyć się gry na fortepianie. Na lekcje te chodziłem do prywatnych domów, a że miewałem przeciętnie dwie godziny dziennie, całość mego zarobku, licząc po dwanaście centów za godzinę, łatwo da się obliczyć.

A zatem zespół naszej wyprawy był ustalony i wyruszyliśmy w drogę. Początkowo dawaliśmy koncerty tylko w miejscowościach letniskowych i uzdrowiskach. W owej części kraju uzdrowisk tych było całe mnóstwo. Cieszyliśmy się nawet niezłym powodzeniem, a i początkowo zarobiliśmy trochę pieniędzy. Ale nagle wiolonczelista, solidny i poważny człowiek, postanowił powrócić do konserwatorium. Miał już wszystkiego dosyć, a nasza eskapada przestała go najwidoczniej bawić. My dwaj pozostali byliśmy jednakowoż ambitni i chcieliśmy dalej próbować naszych możliwości. Pewnego pięknego dnia wiolonczelista powiedział nam: „Nie wierzę w powodzenie dalszych koncertów, a że nie jestem tak lekkomyślny, jak wy, opuszczam wasze towarzystwo”.

I rzeczywiście powrócił do domu, a my pojechaliśmy w dalszą drogę. Powodziło się nam jednak coraz gorzej. Okazało się, że wiolonczelista miał rację: wszystko to było dziecinadą. Nie miałem jeszcze szesnastu lat, a mój towarzysz osiemnaście; niemądry to wiek, nawet jeśli dodać nasze lata. Natrafialiśmy wciąż na najrozmaitsze trudności, ale zdarzało się też, że gdy byliśmy już w najczarniejszej depresji, nagle przychodził jakiś mały sukces, i to było fatalne, bo znów wstępowała w nas nadzieja i ryzykowaliśmy dalej w poszukiwaniu szczęścia. Owe chwilowe powodzenia okazały się w na-

stępstwie zgubne, o czym się pani niebawem dowie.

Największą, trudność sprawiało nam zawsze wynajdywanie odpowiedniego fortepianu — bardzo rzadko trafialiśmy na fortepiany koncertowe, raczej zwykle na małe pianina, zachrypnięte, o szorstkim dźwięku, liczące prawdopodobnie ze sto lat. Lepszych nie mogliśmy zdobyć. Niech panią to nie dziwi, ale sześćdziesiąt lat temu w małych prowincjonalnych miasteczkach polskich i rosyjskich trudno było o dobre koncertowe fortepiany. Tak więc pierwszą naszą czynnością po przyjeździe do danego miasta było odszukanie ludzi interesujących się muzyką. Składaliśmy im natychmiast wizytę, co czyniliśmy zawsze z pewną obawą, i jednocześnie prosiliśmy o wypożyczenie fortepianu na nasz wieczorny występ. Może sobie pani wyobrazić ich zdumienie wywoływane naszą prośbą. Była ona dla nich dość niezwykła, ale prawie zawsze zostawała wysłuchiwana, a ludzie ci nabierali już zainteresowania naszym przyszłym koncertem. Nie był to najgorszy sposób autoreklamy, sposób zupełnie niewinny, a powodowany twardą koniecznością.

Po uzyskaniu zgody na wypożyczenie fortepianu następnym naszym zadaniem było przeniesienie go do sali, gdzie mieliśmy koncertować. Ale tu rozpoczynała się tragedia. Zaczynały się dyskusje i spory, gdyż nikt nie wiedział, jak się do tego zabrać. Przenoszenie fortepianu, podobnie jak i innych mebli, wymaga specjalnej umiejętności, nie jest rzeczą tak prostą, jakby się to wydawało. Każdy nam co innego doradzał i obchodziliśmy nieraz całe miasto, zanim znaleźliśmy ludzi chętnych, którzy by nam w tym dopomogli. A poza tym właściciele fortepianów obawiali się, by przeprowadzka nie zniszczyła i nie rozbiła ich własności.

Mało więc pozostawało czasu na odpoczynek i odpowiednie przygotowanie się do koncertu, bo cały prawie dzień upływał na wynajdywaniu i transportowaniu fortepianu. Byliśmy jednak młodzi i nie prze-

mowaliśmy się tym zbyttnio. Jedynie w miastach garnizonowych mieliśmy znacznie mniej kłopotu, bo tam żołnierze udzielali nam pomocy przy transporcie. Wczuwali się w naszą sytuację i chętnie przenosili instrument. Zwykle jeden z nich próbował sam go udźwignąć, ale gdy przekonywał się, jak wielki to ciężar, zaczynał tłumaczyć kolegom, że nawet czterech czy pięciu nie da mu rady. Często żołnierze kłócili się między sobą co do ilości osób potrzebnych do przeniesienia, i niekiedy kończyło się na tym, że trzydziestu lub czterdziestu zabierało się do transportu. Naturalnie nie obywało się to bez krzyku i przekleństw, co zresztą znów okazywało się dla nas reklamą. Niech sobie pani bowiem wyobrazi oddział żołnierzy maszerujący przez miasto z krzykami, przekleństwami i fortepianem na plecach!

Gdy wreszcie instrument znajdował się na miejscu przeznaczenia — brałem się, trzeba przyznać, dość umiejętnie, do odpakowywania go i przytwierdzania odkręconych nóg — wszystko to należało do czynności wstępnych. Fortepian musiał także być strojony, co również było moim obowiązkiem. Posiadałem stary klucz, który wprawdzie jeszcze służył, ale jak! W dalszej podróży mieliśmy szczęście, że przyłączył się do nas człowiek, który okazał się wędrownym stroicielem fortepianów. W sam raz odpowiedni towarzysz dla nas, a co za ulga dla mnie.

Zdaje mi się, że nasi wojskowi tragarze z przyjemnością brali udział w całej tej przeprowadzce. Płaciliśmy im, rzecz prosta, za ich trud, ale bardzo niewiele, bo sami mieliśmy mało pieniędzy, najważniejszym jednak dla nich wynagrodzeniem był mały poczęstunek wódką, który dostawali po skończeniu pracy. Niewielu z nich — przykro stwierdzić — przychodziło potem na nasz koncert. Ich zainteresowanie kończyło się z chwilą przetransportowania fortepianu.

W czasie tej eskapady po Rosji przeżyliśmy jeszcze inną dość przykrą przygodę. Kiedyś przybyliśmy do

większej miejscowości, gdzie był rosyjski fort, i daliśmy tam koncert, niestety bez powodzenia. Nie wiedzieliśmy, dokąd jechać dalej. Zastanawiając się nad tym, wydałiśmy resztę pieniędzy, nie pozostało nam już ani grosza. Co robić? Mieszkaliśmy w małym pokoiku taniego hotelu, ale pieniędzy nie mieliśmy już wcale, nawet na jedzenie.

Szczęśliwym trafem towarzysz mój, przezorniejszy ode mnie, wyjeżdżając zabrał z sobą z domu małą paczkę herbaty i cukru. To nas uratowało. Dosłownie za ostatni grosz kupiliśmy duży bochen chleba i tą herbatą i chlebem żywiliśmy się przez dziesięć dni, nic innego nie biorąc do ust. Właściciel hoteliku, starszy, wiecznie kaszlący człowiek, zaczął się po pewnym czasie niepokoić o należne mu od nas pieniądze. Dopytywał, kiedy wreszcie uregulujemy dług. Było to dla nas bardzo przykre, gdyż sami nie wiedzieliśmy. Odważnie jednak zapewnialiśmy, że zapłacimy wkrótce.

Ponieważ byłem bardzo ambitny, nie chciałem zwracać się do ojca z prośbą o pomoc, ale skrzypek napisał do swojej rodziny i Bogu dzięki wkrótce nadeszła koperta, a w niej trochę pieniędzy. Pomogły nam one wybrnąć z ciężkiej sytuacji; zostało nawet trochę na wyjazd do innej miejscowości, gdzie spodziewaliśmy się większego powodzenia.

Po otrzymaniu pieniędzy mogliśmy już uregulować rachunek w hotelu. Nie był duży, ale nam w owym czasie suma ta wydała się ogromna. Zaspokoiwszy pretensje gospodarza, odczuliśmy wielką ulgę, a i on był teraz zadowolony, rozgadał się z nami i z miejsca zrobił się bardzo przyjacielski.

— Moi młodzi panowie — rozpoczął przemowę. — Podobno jesteście artystami. Pana nie słyshałem — tu zwrócił się do mnie — ale słyshałem grającego tego pana — tu wskazał na skrzyпка. — Musicie jednak wiedzieć, że nie uważam za muzykę gry na tych wszystkich waszych instrumentach, na fortepianie czy na



skrzypcach; w rzeczywistości bowiem nie jest to żadna muzyka. Żadna! — krzyknął. — Na fortepianie gra się palcami, a gra na skrzypcach to gra na kiszkach zwierzęcych, bo struny nie są niczym innym. To nie jest muzyka, to w ogóle nic nie jest!

Początkowo zanadto byłem zaskoczony, aby mu cokolwiek odpowiedzieć. Po chwili dopiero nieśmiało zapytałem, jaki rodzaj muzyki uważa za prawdziwy i piękny.

— Ależ instrumenty dęte — wykrzyknął — gdyż gra się na nich płucami!

Wszystko to wygłaszał tonem niesłychanie stanowczym.

— Jedyne na instrumentach dętych człowiek pracuje własnymi płucami, całą siłą i wysiłkiem płuc, i tego dopiero warto słuchać.

Byłem niezmiernie zdziwiony. Sporo czasu kosztowało mnie, nim zrozumiałem jego punkt widzenia. Wreszcie doszedłem do tego i naraz wszystko stało się jasne. Biedny ten człowiek stale kasłał, wykasływał po prostu życie, stale cierpiał na astmę, i największym jego ideałem, jedynym marzeniem, było móc grać wysiłkiem własnych płuc, swym oddechem, którego mu niestety brakowało. Taki tylko wysiłek zdolny był podziwiać i o takim marzył, nieszczęsny człowiek.

Eskapada, o której pani opowiadam, trwała dobrych parę miesięcy. Ponieważ byliśmy wszyscy bardzo biedni, wyruszyliśmy w podróż latem, w letnich tylko ubraniach, bez ciepłych płaszczy ani futer. A zima była bardzo ostra. Niestety nie byliśmy w stanie kupić sobie ciepłych okryć, bo starczyło zaledwie na wyżywienie. Pamiętam, że zdobyliśmy się na ciepłe obuwie, szczęśliwie bowiem buty były wówczas tanie. W czasie mrozów i śniegów wynaleźliśmy sposób ochrony przed zimnem — owijaliśmy się pod ubraniem gazetami — doskonałe i jedyne, na jakie nas stać było, zabezpieczenie od zimna. Nie odczuwaliśmy więc mrozów zupełnie, chociaż były wtedy

bardzo silne. Nie potrafiłbym pani dokładnie powiedzieć, bo już nie pamiętam, ile stopni wówczas bywało, myślę jednak, że w niektórych okolicach, na przykład w północnej Rosji, w guberni nowogrodzkiej, mróz dochodził do trzydziestu stopni poniżej zera. Najdziwniejsze, że w ogóle przetrwaliśmy to wszystko.

Nieraz bywaliśmy świadkami tragicznych skutków tamtejszego klimatu. Dotychczas doskonale pamiętam, jak pewnego dnia ujrzeliśmy żołnierzy pracujących obok drogi, którą przechodziliśmy. Mijając, pozdrowiliśmy ich, ale nie odpowiedzieli ani słowem. Gdy podeszliśmy bliżej, znowu odezwaliśmy się do nich, lecz w dalszym ciągu stali pogrążeni w milczeniu, stali tak nieruchomo i cicho, że przestraszyliśmy się nie na żarty, i oto spostrzegliśmy, że wszyscy, jak byli — sześciu czy siedmiu — są martwi; zamarli w czasie pracy. Okropny widok! Stali tam — zamarznięci na śmierć.

Jedno przeżycie było naprawdę dramatyczne. Borykając się z trudnościami przetrwaliśmy zimę i wreszcie śniegi na drogach poczęły topnieć. W owym czasie znajdowały się w Rosji liczne osady wojskowe: ogromne przestrzenie pokryte barakami i zamieszkałe nieraz przez kilka pułków. Postanowiliśmy udać się do jednej z takich osad z koncertem. Mieszkało tam wielu wojskowych wraz z rodzinami. Stacjonowało kilka pułków, składających się z jakichś dwunastu do piętnastu tysięcy żołnierzy i odpowiedniej ilości oficerów. Z miejscowością tą wiązaliśmy duże nadzieje. Gdy przybyliśmy na brzeg rzeki, przez którą należało się przeprawić, okazało się, że ostatni prom już odjechał, a była to jedyna możliwość przedostania się przez rzekę. Nie pozostało nam więc nic innego, jak czekać do następnego rana. W pobliżu nie było żadnej wioski, stała tylko chata przewoźnika.

Na domiar złego, nagle się rozchorowałem; czułem dużą gorączkę i szalone pragnienie. Stary przewoźnik zabrał nas do siebie, nie mógł jednak biedak poczęstować niczym innym jak tylko herbatą. Poprosiliśmy

więc o nią. Pałałem wprost od gorączki, twarz paliła mnie niesamowicie i bolała tak bardzo, że ledwo jej mogłem dotknąć. Siedzieliśmy w zupełnej ciemności, bez lampy ani świecy, w domu było tylko łuczywo.

Myślałem, że nadchodzi już mój koniec. Jedyнным marzeniem było przedostać się na drugą stronę rzeki. Nie potrafię dziś wytłumaczyć, co się ze mną wówczas działo, i w ogóle do dziś dnia nie rozumiem, co mi właściwie dolegało. Nigdy się tego nie dowiedziałem. Czując się tak źle i płonąc od gorączki, ogarnięty byłem całkowicie jednym pragnieniem: kawioru — niczego innego nie pożądałem, tylko i wyłącznie kawioru. Wydawało mi się, w stanie półprzytomności, w jakim musiałem się zapewne znajdować, że jedynie kawior może ugasić pragnienie i uzdrowić mnie.

Wreszcie ukazał się prom i mogliśmy dostać się do Miedwiedia, co po rosyjsku znaczy niedźwiedź. Tak się ta osada nazywała. Była tam jedna jedyna gospoda i gdy weszliśmy do niej, właściciel popatrzył na mnie ze zdziwieniem i wykrzyknął:

— Pan jest przecież chory, i to poważnie chory.

Przeraziły mnie jego słowa, ale szybko odpowiedziałem:

— Jestem zdrow, ale za to bardzo głodny i chciałbym zjeść dużo kawioru. To jest wszystko, o co proszę.

— Kawioru? Kawioru? Ależ pan jest chory, czerwony z gorączki i poważnie chory.

Upierałem się, że jestem zupełnie zdrow, i prosiłem tylko o przyniesienie do naszego pokoju upragnionego kawioru. Zaraz zacząłem go jeść i zjadłem chyba z kilogram. Potem, by ugasić dręczące wciąż pragnienie, napiłem się herbaty i położyłem do łóżka. Tak, proszę pani, zjadłem kilogram kawioru, a byłbym go zjadł jeszcze więcej. Był świeży i wyborny. Ale gdy spojrzałem na siebie do lustra, struchlałem: twarz miałem purpurową! Szalenie się przestraszyłem i w ogóle niezupełnie zdawałem sobie sprawę, co się ze mną dzieje.

Przyszło mi tylko do głowy, że to pewno szkarlatyna lub odra. W każdym razie nie odważyłem się opuścić hotelu. Posłałem po doktora — Polaka, bo wtedy większość lekarzy w Rosji rekrutowała się z Polaków. Przyszedł lekarz wojskowy, a co osobliwsze, dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności nazywał się Babiński — jak mój ukochany wychowawca. Zaraz więc poczułem do niego zaufanie i nabrałem otuchy.

Lekarz zbadawszy puls powiedział: „Tętno jest normalne, ale wszystko, co pan opowiada, przemawia za tym, że ma pan odrę, która jest dość niebezpieczna, lub też szkarlatynę, która jest jeszcze groźniejsza. Będzie cud, jeśli pan z tego wyjdzie!”

Zapisał mi jakieś lekarstwo, jakiś puder, i rzeczywiście poczułem się lepiej, a ból twarzy powoli zaczął ustępować. A wszystko to po uczcie z kawiozem! Po kilku dniach byłem już zdrowy, a po tygodniu opuściliśmy tę miejscowość. Jak pani widzi, wygrzebałem się z choroby, ale muszę stwierdzić, że stanowczo nie dzięki doktorowi. Dotychczas nie wiem, co mi wówczas było, pewien jednak jestem, że i doktor tego nie wiedział.

Wyruszyliśmy więc znów w dalszą drogę, ale ustawicznie napotykaliliśmy nowe, stale wzrastające trudności. W tym czasie ojciec dowiedział się już o naszej eskapadzie. Napisał mi wreszcie o swoich kłopotach, wobec czego przysłał mi trochę pieniędzy, a w ogóle ucieszył się, że jeszcze żyję. Przysłał sto rubli, z tym, abym zaraz powracał do domu. Niepokoił się bardzo o mnie. Rodzice skrzypka także kazali mu wracać, co też zrobił natychmiast.

Sam więc już pojechałem do Petersburga i stamtąd zamierzałem kierować się w stronę domu. Pomyślałem sobie: „Przygoda nasza się skończyła” — i muszę przyznać, że doznałem ulgi. Cieszyłem się bardzo z powrotu do ojca, zmęczony już byłem tym wszystkim, co przeżyłem. Miałem dopiero siedemnaście lat, jak już pani zresztą mówiłem, a przeszło rok trwała moja wędrówka.

Teraz, gdy przypominam sobie to wszystko, dziwi mnie, że w ogóle dałem sobie radę, i myślę, że tylko skrajna lekkomyślność i bezwzględna pewność siebie młodości umożliwiła mi tego rodzaju przedsięwzięcie.

Gdy dojechałem do Petersburga, spotkałem na dworcu młodego człowieka, którego poznałem niegdyś u Kerntopfów. Ucieszyłem się na jego widok; przypuszczam, że stęskniony już byłem za krajem i bliskimi, a on także wydawał się zadowolony ze spotkania ze mną. Wypytywał mnie z zainteresowaniem, co porabiałem, a także gdzie obecnie zamierzam się udać i czym mam zamiar się zająć. Chętnie odpowiadałem na jego pytania, rad z jego zainteresowania moją osobą i moim losem.

— Z radością muszę panu powiedzieć, że powracam do domu, wyjeżdżam zaraz, gdyż ojciec przysłał mi już potrzebne na podróż pieniądze.

Byłem niezmiernie rad mówiąc mu o tym, a i on zdawał się bardzo cieszyć wiadomością o przysłanych mi pieniądzech. Pożyczył natychmiast ode mnie wszystko, co miałem, mówiąc, że potrzebuje tych pieniędzy na kilka godzin i zaraz mi je zwróci. Jak się pani domyśla, te kilka godzin stało się wiecznością. Nie ujrzałem go już nigdy. Za moje pieniądze wyjechał tegoż dnia do Warszawy, pozostawiając mnie bez grosza w Petersburgu. Tak więc zamiast mnie, on pojechał do domu za pieniądze przysłane na mój powrót. Była to ogromna przykrość, i to podwójna, bo również zawód na człowieku, któremu zawierzyłem.

Ale moja sytuacja stała się jeszcze tragiczniejsza, gdy nie mając grosza przy duszy, dowiedziałem się na stacji (tam go spotkałem, bo tam, mając zaraz jechać dalej, pozostawiłem swój bagaż), że rzeczy moje też zostały skradzione. Pozostałem więc dosłownie bez niczego.

Przedtem, gdy rozmawiałem z owym moim „przyjacielem”, zauważyłem, że ktoś stał obok niego i spoglądał na nas niezbyt przyjaźnie i jakby podejrzliwie.

Wkrótce potem, gdy znalazłem się w położeniu bez wyjścia, bez pieniędzy i bez rzeczy, spotkałem go na ulicy. Może i śledził mnie — myślę, iż raczej tak — i on to niebawem miał stać się moim aniołem stróżem. Podeszedł do mnie i zapytał:

— Co zaszło między panem a owym człowiekiem z Warszawy? Tak długo rozmawialiście z sobą. Co panu mówił?

— Pożyczył ode mnie pieniądze — odpowiedziałem.

— I dał mu je pan! Szkoda, wielka szkoda, bo to skończony łajdak.

— Spotykałem go w domu moich przyjaciół w Warszawie, więc uwierzyłem jego zapewnieniom.

Nieznajomy roześmiał się ironicznie i powiedział:

— Nigdy już pan swoich pieniędzy nie zobaczy — nigdy. Ode mnie też wyłudził w ten sanu sposób pieniądze! To łotr i zły człowiek.

— Co ja teraz pocznę? — wykrzyknąłem — Jestem bez grosza, a nie mogę powtórnie zwracać się do ojca, który przysłał mi już tyle, ile tylko mógł, i tak już — jak na jego możliwości — dużą sumę. Nie może przysłać mi więcej! Nie mam nikogo, kto by mi mógł przyjść z pomocą.

— No cóż — powiedział nieznajomy po chwili namysłu — niech pan idzie ze mną, sam wprawdzie niewiele posiadam, ale zawsze ofiarować panu mogę dach nad głową i kawałek chleba.

Był blacharzem, biednym człowiekiem, który niedawno zaczął zarabiać na życie. Herbata i chleb oraz kąk w ubogiej izdebce — to istotnie wszystko, co mógł mi ofiarować. I za to jednak byłem mu ogromnie wdzięczny. Spędziłem tam prawie dwa tygodnie i nie wiedziałem, co dalej z sobą począć. Trzy razy dziennie jadłem chleb i piłem herbatę. Było to tyle, aby nie umrzeć z głodu, miałem też kąk do spania, a czas spędzałem wążając się bezradnie po ulicach miasta.

Nie wiem, jak to się stało, ale jakoś po dwóch tygod-

niach takiego życia przyszedł do mnie dozorca domu i spytał:

— Czy ma pan krewnych?

— Tak — odparłem szybko, myśląc o moim ojcu. — Ale dlaczego pan o to pyta?

— Bo przyszedł do pana list.

— List do mnie? Może od ojca — wykrzyknąłem.

— A jak ojcu na imię?

— Jan Paderewski.

— Zgadza się, adres był zły, więc poczta długo poszukiwała pana, aż wreszcie odnalazła tutaj.

Był to list specjalny (teraz nazywamy to poleconym) od mego ojca, zawierający sto rubli. Po prostu cud. Zaniemówiłem z radości. Część pieniędzy od razu wręczyłem poczcziwemu blacharzowi, który żywił mnie przez dwa tygodnie chlebem i herbatą, ratując od głodowej śmierci, a potem pojechałem do domu pełen radości i jakże wdzięczny ojcu!

Dojechałem szczęśliwie do domu, gdzie zapanowała wielka radość. Wszystkim się wydawało, że wieki całe mnie nie widzieli. Po pewnym czasie, znalazłszy się sam na sam z ojcem, zapytałem, co go natchnęło do powtórnego wysłania pieniędzy — skąd wiedział o moich strasznych tarapatach.

— Mogę ci to łatwo wytłumaczyć — odpowiedział po prostu. — Zobaczyłem cię we śnie w dramatycznej sytuacji, i to w Petersburgu, zwróciłem się więc do tamtejszego urzędu pocztowego z prośbą, aby cię odszukano.

Wydało mi się to doprawdy cudem. Ojciec odszukał mnie, sen jego mnie wyratował! Niech pani tylko wczuje się w moją ówczesną sytuację. Dzień po dniu samotnie przemierzałem ulice Petersburga, nie mając żadnej pracy; mieszkanie blacharza znajdowało się w suterenie, gdzie prawie nie dochodziło światło dzienne, nie mogłem więc nawet czytać. Nie mogłem niczym, zupełnie niczym się zająć. Całymi dniami błąkałem się po ulicach.

Rano, po wypiciu herbaty, szedłem oglądać ogrody i parki, potem wracałem do domu na drugi kubek herbaty, a później znów wychodziłem na miasto. I tak co dzień, dzień po dniu. Czas wydawał mi się wiecznością.

Wtedy to po raz pierwszy ujrzałem Rubinsteina, jadącego powozem przez ulicę. Poznałem go, bo widziałem kiedyś jego fotografię. Gdybym mógł wtedy przeżyć, że w niedalekiej przyszłości zobaczę go znowu, będę z nim naprawdę rozmawiał, a nawet zagram mu jedną z moich kompozycji — może te wszystkie dni nie wydawałyby mi się tak beznadziejne. Ale podobna myśl nie mogła nawet powstać w głowie nieszczęśnika, jakim wtedy byłem. Pozbawiony wszystkiego: przyjaciół, pieniędzy, ubrania i — niemal — pożywienia. Wszystko straciłem i znalazłem się w kompletnej nędzy. W jaki sposób doszedł do mnie list ojca — nie wiem. Te dni to jedne z najkrytyczniejszych w moim życiu. Nie wiedziałem, co robić — byłem kompletnie zdruzgotany, gdyż jedyna możliwość połączenia się z rodziną i rozpoczęcia normalnego życia została mi odjęta. Byłem liściem oderwanym od drzewa. Często powracam myślą do tych dni, zawsze z uczuciem wielkiej wdzięczności dla mego drogiego ojca, a także i dla Boga, który kierował jego czynami. Tak już było przeznaczone, była w tym widoczna ręka Boga.

Gdy znalazłem się w domu, ojciec nie robił żadnych wyrzutów, okazywał tylko radość z mego powrotu. Ten jego sen wywarł na nim także głębokie wrażenie.

Serce moje przepełniała głęboka, wprost niewymowna wdzięczność. Przysięgałem sobie postępować tak, aby móc sprawić ojcu jak najwięcej radości w życiu. Powiedziałem mu:

— Chciałbym teraz jakoś wynagrodzić ojcu te wszystkie zmartwienia, których byłem dotąd przyczyną. Chcę powrócić do konserwatorium, ukończyć studia i uzyskać dyplom.



— Będiesz musiał bardzo długo studiować. Jak sobie dasz radę? — odpowiedział.

— Nic na to nie poradzę, muszę skończyć studia i uzyskać dyplom. Zobaczysz ojciec, że tego dokonam.

Powróciłem więc do konserwatorium i bardzo poważnie zabrałem się do pracy, przede wszystkim nad kontrapunktem i kompozycją. Pracowałem tak gorliwie, że w ciągu sześciu miesięcy przerobiłem normalne dwa lata studiów. Uczyłem się dniem i nocą, nic innego nie istniało wtedy dla mnie. Z przyjęciem mnie z powrotem do Instytutu nie robiono żadnych trudności — byli nawet zadowoleni, mając mnie znów u siebie.

Potem nastąpił ostatni akt i zakończenie roku szkolnego. Ojciec przyjechał na tę uroczystość i ogromną niespodzianką był dla niego fakt, że znalazłem się między tymi, którzy już uzyskać mieli dyplomy ukończenia studiów. Nie wierzył, że to kiedykolwiek nastąpi. Stał w ogromnej sali magistratu warszawskiego (dziś jeszcze mam go przed oczyma) i był po prostu przerażony. Biedaczek myślał o tym, co teraz nastąpi. Czy znowu coś niedobrego? Gdy już wręczono mi dyplom, gdy dyrektor głośno przeczytał moje nazwisko, jako ostatnie zresztą, ojciec był zdumiony i przytłoczony radością. Świadectwo moje było najlepsze ze wszystkich. A potem grałem. Jak grałem, tego nie wiem, byłem bowiem głęboko wzruszony tym wielkim w moim życiu wydarzeniem. Nareszcie krok naprzód! Grałem *Koncert* Griega z orkiestrą — to zapamiętałem.

A więc stało się, miałem już dyplom!

Pamiętny dla mnie dzień dobiegał końca, a serca nas wszystkich ogarnęło uczucie szczęścia. Tak zakończyły się moje studia w warszawskim konserwatorium.

Radość moja z powodu otrzymania dyplomu była wielka i trwała czas dłuższy. Przede wszystkim cieszył się jednak mój biedny ojciec, którego wiara we mnie została wreszcie usprawiedliwiona. Cieszyła się też bardzo zacna rodzina Kerntopfów, od początku przyjaźnie do mnie usposobiona, a najwięcej z nich Edward Kerntopf, którego zainteresowanie i sympatia, jaką mnie darzył, nigdy nie zawiodły.

Gdy to wszystko miałem za sobą, zrodził się we mnie zamiar wyjazdu na dalsze studia pianistyczne; żywiłem gorącą nadzieję, że uda mi się gdzieś wyjechać, najchętniej do Berlina czy Wiednia. Niestety jednak brakło mi na to środków. Ojciec zrobił już dla mnie wszystko co mógł; dalej — mimo najszczerzych chęci — nie był w stanie mi pomagać. Zdałem więc sobie sprawę, że to jest niemożliwe i że muszę pozostać w Warszawie. Przyjąłem więc posadę nauczyciela w konserwatorium. Stanowisko to ofiarowano mi zaraz po wręczeniu dyplomu, jako rezultat świetnie zdanego egzaminu. Może był to i pewien rodzaj zadośćuczynienia za burzliwe lata studenckie.

A teraz dochodzimy do niezwykle ważnego wydarzenia w moim życiu. Muszę tu szczerze i po prostu wyznać, że zakochałem się. Miałem wówczas dopiero dwadzieścia lat i pomimo niepewnych widoków na przyszłość ożeniłem się. Pragnąłem mieć swój dom, własne życie osobiste, ustalone miejsce pobytu i kogoś bezpośrednio bliskiego. W roku 1880 poślubiłem Antoninę Korsakównę — młodą dziewczynę, studentkę Instytutu Muzycznego. Miałem już teraz własne małe ognisko domowe i byłem szczęśliwy. Było to jednak szczęście bardzo krótkotrwałe. W rok później żona moja umarła, pozostawiając mi tylko pięcioletnią córkę.

stawiając mnie Samego z dzieckiem — synem. Przeżyłem więc krótki, ale piękny epizod życia. Nawet mając lat dwadzieścia można już poznać dole i niedole, poznać ból i nieodgadnione tajemnice ludzkiego istnienia. I znów stanąłem wobec nowej zmiany, znów samotnie musiałem iść naprzód w przyszłość. Żona moja posiadała trochę własnych pieniędzy i przed śmiercią prosiła, bym część ich użył na dalsze kształcenie się, wierzyła bowiem głęboko w moją muzykę. — W Polsce istniała instytucja, której — wydaje mi się — nie ma w innych krajach: rodzaj towarzystwa opieki nad sierotami, pod zarządem kilku wybitnych i poważnych obywateli. Bliższe szczegóły są tutaj w tej chwili bez znaczenia, poza tym jednym, że w tej właśnie instytucji umieściłem pieniądze przeznaczone dla mego dziecka. Okazało się, że popełniłem błąd — tragiczny błąd, bo pieniądze w parę lat później zostały skradzione, i to przez kilku z tych „zacnych” powierników. Nic z nich nie pozostało. Niewielkie zabezpieczenie dziecka, na które liczyłem, okazało się taką samą bańką mydlaną jak wiele innych.

Mówiłem już pani, że po śmierci żony zdałem sobie jasno sprawę, iż w Warszawie poza karierą nauczyciela nie ma dla mnie żadnych widoków. Wobec tego zdecydowałem się jechać do Berlina. Dziecko pozostawiłem u babki, matki mojej żony, a sam udałem się wprost do Fryderyka Kiela, znanego w owym czasie pedagoga, by studiować kompozycję. Wszyscy mi mówili (i sam nawet zaczynałem w to wierzyć), że nigdy nie będę pianistą, lecz że mam duży talent kompozytorski. Napisałem już parę utworów, które wydane w Warszawie, odniosły pewien sukces. Zachęciło mnie to do dalszych studiów nad kompozycją.

A teraz opowiem pani o pracy u Kiela w Berlinie. Pytała pani kiedyś, czy pomiędzy tyłoma instrumentami, które studiowałem, uczyłem się też gry na skrzypcach. Owszem, i to jest nawet dość zabawna historia. W owym okresie ilekroć zabierałem się do nauki, zawsze

okazywało się, że studiuje coś innego niż fortepian. I to samo zdarzyło się teraz, gdy zwróciłem się do Kiela; on także mi to zaproponował. Oświadczył, że bezwarunkowo konieczne jest poznanie charakteru i możliwości instrumentów smyczkowych, a skrzypce będą dla mnie najpraktyczniejsze. Zaraz więc otrzymałem pedagoga. Rzeczą prostą, nie specjalnie wybitnego, bo nie miałem jeszcze odpowiedniego przygotowania, brakowało mi elementarnych wiadomości o grze na skrzypcach. Miałem więc bardzo przeciętnego nauczyciela, bo na takiego tylko mogłem sobie pozwolić.

I znów spotkało mnie to samo niepowodzenie co przy flecie, oboju i klarncie! Po dziesięciu czy dwunastu lekcjach nauczyciel, zniechęcony, oświadczył mi, że nie mam absolutnie żadnych zdolności do muzyki. Nie wiedział, zdaje się, że jestem już muzykiem, a myślał, że ma do czynienia z cudzoziemcem, który ot tak po prostu pragnie wyuczyć się rzępolenia na skrzypcach. Po paru już lekcjach usiłował zniechęcić mnie do gry.

— Dlaczego uczy się pan gry na skrzypcach? • — pytał. — Nie będzie pan nigdy skrzypkiem. Nie jest pan muzykiem, wydaje mi się, że nie ma pan nawet słuchu, nie posiada pan zupełnie zdolności do muzyki. Powinien pan zaraz przerwać lekcje; szkoda pieniędzy.

Usłyszawszy to, postanowiłem trochę się na nim zemścić. Następnego dnia po tej tyradzie wygłoszonej na lekcji zabrałem go do mego pokoju, gdzie stał mały fortepian, i bez żadnego wstępu zacząłem grać. Patrzył na mnie oniemiały. Biedak po prostu skamieniał. (Sam był dobrym muzykiem, chociaż marnym nauczycielem.) Grałem jedną z moich kompozycji, a potem zacząłem mazurka Chopina, lecz nie skończyłem, skoczył na równe nogi.

— Stop — zawołał! — Zrobiłem z siebie durnia, istnego durnia! Mówiłem, że pan nie ma zdolności, a pan tak potrafi grać!

Był wprost żałosny w swym zmieszaniu.

Muszę wyznać, że ta mała zemsta sprawiła mi pewną przyjemność, ale z drugiej strony zmartwiłem się, gdyż po moim zaimprovizowanym koncercie biedak oznajmił, że już więcej udzielać mi lekcji nie będzie, że nie ma mnie już czego nauczyć. Tak więc skończyła się nauka gry na skrzypcach.

Wiele lat później uczyłem się grać na wiolonczeli u mego drogiego przyjaciela Adamowskiego, i lekcje te przyniosły mi dużo pożytku. Uderzyłem w nową strunę, że tak powiem, lecz to już całkiem inna historia.

W każdym razie tych kilka lekcji gry na skrzypcach i wiolonczeli dało mi wiele; zdobyłem coś, co miało mi się w przyszłości bardzo przydać. Gdy pracowałem potem nad partyturą opery i innych moich kompozycji, gdzie orkiestra odgrywała ważną rolę, okazało się, że potrafię sam wygrać, co prawda bardzo powoli, ale dokładnie i ze zrozumieniem, wszystko to, co pisałem na skrzypce lub wiolonczelę. Było to dla mnie, jak pani sobie zdaje sprawę, niesłychanie ważne.

Muszę stwierdzić, że dotąd, mimo niezachwianej wiary w swoje przeznaczenie, byłem jednak silnie zasugerowany przez nauczycieli, którzy stale twierdzili, że nigdy nie zostanę dobrym pianistą. Nie pozostawało to oczywiście bez wpływu; musiałem, go w sobie zwalczać. Od początku, już w konserwatorium, wszyscy jakby sprzysięgli się, aby mnie zniechęcać do fortepianu; nawet najbliżsi przyjaciele uważali karierę wirtuozą za coś gorszego. Jeśli zaś chodzi o mnie, to w tym okresie ogromnie lubiłem komponować, 'a że moje pierwsze utwory uważano w kółku przyjaciół za godne uwagi, straciłem już prawie nadzieję, bym mógł zostać dobrym pianistą, i zająłem się poważnie kompozycją. We wszystkich poczynaniach życiowych kieruje nami jakiś wewnętrzny przymus tkwiący w głębi duszy, nie zawsze w danej chwili uświadomiony, i nieraz dużo, dużo później człowiek zdaje sobie z niego sprawę. Tak i w moim wypadku. Wewnętrzne przekonanie, że nie ma dla mnie

(poza belferką) przyszłości w Warszawie, miało ogromne znaczenie dla późniejszego życia. I dlatego postanowiłem wtedy nieodwołalnie zwrócić się w stronę innej dziedziny muzyki.

Bez wahania rzuciłem stanowisko w konserwatorium i udałem się wprost do niezwykłego człowieka, największego pedagoga w dziedzinie kompozycji — Fryderyka Kiela. Studiowałem u niego siedem miesięcy. Pracowałem bardzo ciężko, tak ciężko, że nerwy moje nie wytrzymały. Kompletnie podupałem na zdrowiu. Uczyłem się dziesięć do dwunastu godzin dziennie. Co prawda zrobiłem w muzyce ogromne postępy, a Kiel wyróżniał mnie wśród uczniów i uważał za wschodzącą gwiazdę. Dumny też był z moich osiągnięć, gdyż rzeczywiście w stosunkowo krótkim czasie nauczyłem się wiele. Wychwalał mnie i zachęcał do dalszej pracy, mówiąc, że nie miał jeszcze tak utalentowanego ucznia. To wszystko dawało mi ogromne zadowolenie. Muszę raz jeszcze podkreślić, że Kiel (jeden z nielicznych) okazywał także duże zainteresowanie moją grą, i kiedy przegrywałem mu swoje kompozycje, przygotowane dla niego, mówił mi: „Musi pan wiele ćwiczyć, bo jest pan również wyjątkowo uzdolniony jako pianista”.

Nie jak ów stary nauczyciel gry na trąbce i puzonie (już pani o nim opowiadałem), który codziennie powtarzał mi: „Słuchaj, chłopcze, pamiętaj więcej czasu poświęcać grze na puzonie, bo wierz mi, że to da ci w przyszłości utrzymanie, fortepian zaś wcale nie jest dla ciebie. Nigdy go nie ujarzmisz!”

A więc idźmy dalej. W czasie studiów w Berlinie zacząłem spotykać się ze znanymi muzykami, którzy nieraz okazywali mi wiele pomocy. I tak w domu mego wydawcy Bocka poznałem Ryszarda Straussa.

Dom Bocka był nadzwyczaj miły. Rodzinę stanowiła żona, matka i kilkoro uroczych dzieci, dla których często grywałem i które dzięki temu bardzo mnie polubiły.

Schodziliśmy się często wieczorami u Bocków, ja i inni jeszcze, mniej sławni od Straussa artyści, i ot tak, dla zabawy, Strauss i ja graliśmy dzieciom do tańca. Czasami tańczyły nie tylko dzieci, bo atmosfera domu była tak miła i wesoła, że i starsi mieli ochotę na tańce. Pamiętam, że niejednokrotnie Strauss i ja godzinami całymi musieliśmy grać, a goście tańczyli z zapałem.

Strauss grał nieszczególnie. Nie był dobrym pianistą, całe życie pozostał przede wszystkim kompozytorem. Później był dyrygentem, ale zawsze lubił muzykę taneczną — przepadał za nią, toteż z wielką przyjemnością słuchało się jego grania. Przyjemność tę jednak psuł fakt, wobec którego i ja zabrałem się do studiowania wyrazu mej twarzy podczas gry — siedząc mianowicie przy fortepianie Strauss wykrzywił się nie miłosiernie. Było to szalenie zabawne, ale jednocześnie i przykre. Człowiek prawie wstydział się za niego. Była to prawdziwa pantomima — jakby dodatkowe przedstawienie.

Obecnie muszę powiedzieć parę słów o moim własnym przyzwyczajeniu do robienia grymasów i min, o czym wspominałem już poprzednio. Nie byłem pod tym względem lepszy od Straussa i nieraz koledzy wyśmiewali się ze mnie. Jako student musiałem zrezygnować ze zwalczania tego brzydkiego zwyczaju, chociażby dlatego, że nigdy nie ćwiczyłem dość długo na fortepianie, by móc siebie obserwować. Gdy jednak przybyłem do Berlina, a przede wszystkim gdy zobaczyłem grymasy Straussa, zrozumiałem, że może to stanowić dużą przeszkodę w karierze artystycznej. Gdy grałem trudniejsze utwory, zacząłem teraz obserwować siebie w lustrze stojącym przede mną. Po długich miesiącach pracy nad sobą udało mi się wreszcie zwalczyć ten brzydki zwyczaj. Przyszło mi to bardzo trudno, bo miałem już przeszło dwadzieścia cztery lata i nawyk do min był już zakorzeniony. Przewyciężyłem go jednak do

tego stopnia, że mogę dziś bez przesady powiedzieć, iż nie znam drugiego pianisty, który odznaczałby się takim spokojem i tak panował nad swoją mimiką podczas gry jak ja. Był to jednak duży wysiłek woli z mej strony. Nikt dawniej nie zwracał mi na to uwagi, jedynie koledzy w konserwatorium wyśmiewali się wielokrotnie. Zawsze więc pozostałem wdzięczny Straussowi, że dzięki niemu zdałem sobie sprawę z tak szkodliwego przyzwyczajenia.

Z Berlina mam ogromną ilość wspomnień. Pobyt w tym mieście przyniósł wiele nowych przeżyć, nowych kontaktów z ludźmi. Rozpoczęło się teraz dla mnie nowe życie. Szedłem naprzód, niekiedy po omacku, w stronę wielkiego świata — świata sztuki.

W owym czasie Berlin gromadził bardzo wielu studentów; był dla nich miejscem magicznego rendez-vous. Uniwersytet Berliński cieszył się wtedy wielką popularnością. Studiowało również trochę Polaków: na politechnice i uniwersytecie. Mieszkałem u państwa Rohde; była to poważna rodzina z Hamburga.

Muszę pani trochę opowiedzieć o tych zacnych ludziach, ogromnie miłych i przywiązanych do mnie. Zawsze myślę o nich z najgłębszą wdzięcznością za dbałość i zainteresowanie, jakie mi okazywali. Dom ich stał się dla mnie jakby drugim domem, podobnie jak przedtem dom Kerntopfów. Miałem szczęście, bo mogło być zupełnie inaczej.

Właściwie moje życie w Berlinie nie przypominało typowego życia studenckiego. Byłem już za poważnym człowiekiem, aby łączyć się z gronem studentów, zwłaszcza tych, którzy się nieustannie bawili. Uczyłem już przedtem w konserwatorium warszawskim, a także byłem ojcem dziecka. Nie należałem więc do gromady studentów i muzyków, ale zdarzało się, że brałem udział w ich zabawach. Większość z nich miała nawet więcej lat ode mnie, ale mimo to wciąż jeszcze studiowała. Prawdę mówiąc, przypuszczam, że byli to tak zwani



żelaźni studenci. Jest to ten gatunek ludzi, którzy — jak pani wie — wiecznie się uczą, ale nigdy się niczego nie nauczą.

Jako Polak czułem się bardzo samotny. O ile mnie pamięć nie myli, niewielu rodaków studiowało wówczas w Berlinie, Niemcy zaś nie byli bynajmniej sympatyczni. Były to czasy prześladowań Polaków — odczuwało się to na każdym kroku. Bardzo mnie to bolało, bo nawet i w miłej rodzinie mego wydawcy Bocka zdarzało mi się nieraz słyszeć bardzo ostre i gorzkie uwagi dotyczące mojego kraju. Od tej pory czułem do Berlina głęboką niechęć. Wydano też wówczas pewne zarządzenia polityczne, które wzbudziły we mnie uczucie wstrętu do Niemców i ich regime'u, na przykład to, że ze wszystkich zagranicznych czasopism tylko polskie były zakazane. Na stacjach kolejowych (stacje mają zawsze zagraniczne pisma) polskich nie można było znaleźć.

Poszczególne jednostki bywały czasem bardzo miłe, ale ogólna atmosfera — zdecydowanie wroga Polsce.

Berlin był już wtedy bardzo dużym miastem, z wielkim parkiem i kilku pięknymi budowlami. Najpiękniejszy ze wszystkich był naturalnie zamek królewski. Jest to stary budynek z czasów panowania Wielkiego Elektora. Nowoczesne budowle, jak nowy parlament (spalony parę lat temu), za moich studenckich czasów jeszcze nie istniały. Nie mogę powiedzieć, by miasto było wówczas ładne, ale porządek i czystość na ulicach sprawiały, że odnosiło się jednak wrażenie pewnego piękna. Ulice sąwą niezwykłą czystością wzbudzały podziw. Wygląd Berlina miał przy tym coś teatralnego — wszystko nosiło piętno wojskowe. Mundury panowały wszędzie. Między oficerami a ludnością cywilną wyczuwało się pewien antagonizm. Mimo to stale zauważyć można było ludzi skwapliwie ustępujących miejsca na trotuarze oficerom. W ten sposób podkreślało się ich wyższość. Było to zabawne, ale pocziwa ludność niemiecka przyzwyczaiała się do tego i w krew jej najwi-

doczniej już weszło poczucie niższości wobec wojska.

Berlin był miastem pełnym życia i stałego podniecenia, ale mało się w nim widziało prawdziwej wesołości. Ludzie nie wiedzieli wówczas, jak się zabawić i jak spędzać czas w przyjemny sposób. Kawiarnie i piwiarnie stale były przepełnione, lecz chociaż panował w nich gwar — brakowało radosnej atmosfery. Był hałas, ale nie było szczerego śmiechu. Niemcy zresztą z natury są poważni. Muzyki, i to najrozmaitszego rodzaju, było wszędzie dużo. Koncertów aż za wiele, po kilka dziennie, a poza tym bardzo dobra opera. Wagner miał już wtedy ustaloną pozycję i cieszył się olbrzymią popularnością i sławą. Przedstawienia dramatyczne były — moim zdaniem — słabe, bez porównania słabsze od sztuk wystawianych chociażby w Burgtheater w Wiedniu, zresztą jednej z najwybitniejszych scen Europy.

By uzupełnić jeszcze wspomnienia z Berlina, pragnę specjalnie powiedzieć pani o Hugonie Bocku — wydawcy. Zostałem mu przedstawiony przez bardzo dystyngowanego człowieka i dobrego, cieszącego się dużą popularnością artystę — Maurycego Moszkowskiego. Dzięki jego poparciu Bock wydał moje kompozycje, bo wszystkim młodym i nieznanym niezmiernie trudno było w ogóle znaleźć wydawcę. Za pierwsze kompozycje (około dziewięciu utworów) otrzymałem od Bocka olbrzymią sumę: dwieście marek, co stanowiło mniej więcej pięćdziesiąt dolarów. Nie spodziewałem się nigdy tak wielkiej sumy. Pan Bock okazał się w stosunku do mnie bardzo, jak na tamte czasy, wspaniałomyślny.

W jego domu, a był to jeden z wybitniejszych domów Berlina, miałem sposobność spotkania wielu znamienitych artystów, głównie muzyków; u niego poznałem wszystkie sławy muzyczne mieszkające wówczas w Berlinie bądź też bawiące tam przejazdem. Bock, jako wydawca, znał ich wszystkich dobrze/

Przede wszystkim chciałbym opowiedzieć o czymś, co wpłynęło na moje postanowienie obrania kariery pianisty. Gdy pewnego dnia przyszedłem do biura Bocka z nową kompozycją, przy pożegnaniu nagle powiedział do mnie:

— Czy nie pragnąłby pan poznać Antoniego Rubinsteina?

Zdumiał mnie tym nieoczekiwanym pytaniem.

— Naturalnie — odpowiedziałem z radością — ja...

— Wobec tego proszę przyjść do nas dziś wieczorem na obiad, na którym będzie Rubinstein.

Wielce podniecony stawiłem się na obiad i poznałem tego wielkiego artystę. Okazał się nadzwyczaj miły i prosty w obejściu, a po obiedzie podszedł do mnie i rzekł:

— Wiele słyszałem o pana kompozycjach od pana Bocka; chwalił je bardzo, więc chętnie bym je dziś usłyszał. Czy zechciałby pan zagrać je dla mnie?

Właśnie wtedy ukończyłem cykl wariacji, które mu odegrałem. Wydawał się bardzo zadowolony i słuchał uważnie.

— Ma pan świetną przyszłość przed sobą — powiedział, gdy skończyłem. — Niech mi pan teraz zagra jeszcze coś innego, proszę o jakieś krótkie utwory.

I znów grałem, i znów gratulował mi; ogólny nastrój był bardzo miły.

— Powinien pan więcej komponować na fortepian — rzekł mi.

— Nie bardzo mogę, bo dotąd mało grywałem.

— To nonsens — powiedział — powinien pan dużo więcej sam grać. Ma pan wrodzoną technikę i mógłby pan — jestem tego pewien — zrobić wspaniałą karierę jako pianista.

Słyszac te słowa, które okazały się prorocze, onie miałem — nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, tak byłem oszołomiony. Były dla mnie niespodzianką. Epizod z Rubinsteinem miał doniosłe dla mnie znaczenie.

To, co powiedział, przeobraziło cały mój świat. Bardzo pragnąłem usłyszeć go grającego, ale w owej chwili nie miałem dość odwagi, by go o to prosić. Od początku zrobił na mnie wrażenie bardzo szlachetnego i dobrego człowieka i bezwzględnie doskonałego artysty. Było w nim coś trochę niesamowitego, biła wielkość; wydał mi się postacią tytaniczną.

Na Bocku uwagi Rubinsteina o mych kompozycjach zrobiły oczywiście duże wrażenie, co stanowiło dla mnie wielki atut. Widziałem to wyraźnie.

Tego wieczora Rubinstein był po prostu zachwycający, a gdy wyszedł, Bock zwrócił się do mnie zapytaniem:

— Czy to nie wyjątkowy człowiek?

— Ależ tak — odrzekłem — wprost nadzwyczajny. — Ciągle jeszcze pozostawałem pod wrażeniem jego osoby, przejęty świeżo doznanymi wrażeniami. — Nadzwyczajny, ale gdybym go mógł usłyszeć grającego!

— Co? — zawołał Bock, patrząc na mnie. — Pan nigdy nie słyszał jego gry?

— Nigdy — odpowiedziałem — jeszcze nigdy.

— Dlaczego więc nie prosił go pan, by zagrał? Na pewno by to uczynił. Zawsze zgadza się chętnie, na pewno zagrałby. Widział pan przecież, jak się do pana odnosił, jak bardzo był zainteresowany, jak dodawał panu otuchy i jak chwalił kompozycję. Szkoda, wielka szkoda.

Bock, bardzo podniecony, chodził tam i z powrotem po pokoju.

— Teraz już za późno, bo jutro wyjeżdża. Ale usłyszysz go pan z pewnością jeszcze wiele razy, życie przed panem!

Nie słyszałem go jednak grającego, aż dopiero wiele, wiele lat później w Warszawie.

Spomiędzy najślawniejszych artystów, jacy mieszkali wówczas w Berlinie, na pierwszym miejscu postawić muszę wielkiego skrzypka Józefa Joachima.

Był to szlachetny człowiek i cudowny artysta. Wspaniały interpretator muzyki klasycznej; do bezwzględnie najwyższej klasy należały zwłaszcza jego wykonania Beethovena. Był też człowiekiem o wielkiej kulturze; w stosunku do młodych muzyków nie tylko dostępny, ale zawsze gotów służyć różnymi radami, szczególnie dotyczącymi ich sztuki.

Pewnego razu, na propozycję mego wydawcy (który nie działał w tym wypadku, oczywiście, zupełnie bezinteresownie), Joachim prosił mnie o zapoznanie go z kilkoma moimi kompozycjami, co też bez wahania uczyniłem. Zagrałem mały zbiór krótkich utworów na fortepian, wydany pod tytułem, którego nigdy nie lubiłem: *Pieśni wędrowca (Chants du voyageur)*. Trzeci utwór z tego zbioru (w tonacji H-dur) specjalnie zainteresował Joachima — i to do tego stopnia, że prosił mnie o parokrotne jego wykonanie. Wrażenie, jakie całość wywarła na nim, było niezmiernie dla mnie pochlebne. Często zapraszano mnie też na wieczory muzyczne odbywające się w jego domu. Ludzie, których tam spotykałem, należeli do miejscowych wielkości — były to tak zwane grube ryby — i zajmowali wysokie stanowiska, jak na przykład katedry uniwersyteckie itp.

Niejednokrotnie na owych przyjęciach Joachim prosił, bym grał swoje kompozycje, co uważałem za wyjątkowy zaszczyt i co zachęcało mnie do dalszej pracy.

Później, z żalem muszę przyznać, na dłuższy czas straciłem Joachima z oczu, dopiero w jakieś dwadzieścia lub więcej lat znów nawiązałem z nim kontakt. Dysponował wspaniałą techniką i doskonale opanował instrument. Był muzykiem z krwi i kości, przy czym nawet w grze wyczuwało się jego wielką szlachetność. Doprawdy to wielki człowiek i wielki artysta. Już przy pierwszym pociągnięciu smyczkiem słuchacze odczuwali zdumiewające dostojęństwo — cechę niezmiernie rzadką u artystów. Gdy porównamy go z innym doskonałym

skrzypkiem, Ysaye'em — to gra tego ostatniego miała zawsze pewną szorstkość, chropowatość, a niekiedy i ślad komedianstwa, co stanowiło kontrast z dostojną atmosferą, otaczającą zawsze muzykę Joachima. Ysaye, będąc wielkim artystą, nie był jednak tak doskonały jak Joachim, bo też Joachim był w każdym calu olbrzymem.

Przy innej znów sposobności poznałem w domu Bocka niemieckiego pisarza muzycznego — Ludwika Ehlerta<sup>1</sup>, którego prace literackie cieszyły się wielką popularnością wśród niemieckich miłośników muzyki. Należał on do niewielkiej grupy wiernych przyjaciół nieśmiertelnego kompozytora — Roberta Schumanna, którego poznał będąc jeszcze bardzo młodym człowiekiem, oraz Klary Wieck-Schumann, wdowy po kompozytorze.

Podobnie jak Joachim, był to klasyk, i to bardzo konserwatywny w swoich zapatrywaniach. Jego podziw dla dzieł Brahmsa nie był jednak tak bezwzględny i wyłączny jak podziw Joachima. Był chyba dużo wrażliwszy na muzykę nowoczesną niż cała mała „kongregacja” muzyków, do której należał, a która uwielbieniem otaczała Klarę Schumann. W tym kółku jej wielbicieli, stanowiącym coś w rodzaju religijnego zrzeszenia, nie uznawano prawie nikogo poza Schumannem; zaledwie tylko paru innych, których uważano za swoich nie kanonizowanych świętych — w pierwszym rzędzie Brahmsa.

Reakcja Ehlerta na moje kompozycje była chyba jeszcze bardziej entuzjastyczna niż Joachima, a jego ulubionym utworem stał się także ów nr 3 z moich *Chants du voyageur*. Tak samo zresztą polubił *Wariacje op. 11*, które znów mniej odpowiadały ortodoksyjnym gustom Joachima. W kilka lat później Ehlert w liście pisanym do Bocka zapytywał o mnie i moje kompozycje, wyrażając się o nich z niezmiernym uznaniem.

<sup>1</sup> Ludwik Ehlert (1825-1884) — kompozytor i pisarz muzyczny, uczeń Mendelssohna i Schumanna. (Przyp. red.)

Osobiście nigdy nie spotkałem Klary Schumann. Widziałem ją raz tylko na koncercie symfonicznym w roku 1890 we Frankfurcie nad Menem, gdzie grałem swój koncert. Siedziała w pierwszym rzędzie na widocznym miejscu i pamiętam, że słuchała ze skupieniem mej gry, a potem głośno oklaskiwała, zacna leciwa dama (już wtedy była w bardzo podeszłym wieku). Lecz gdy zacząłem grać *Fantaisie* Liszta opartą na motywach z *Don Juana*, bo jako drugi numer programu wybrałem sobie ten utwór, nie mogła się powstrzymać od okazania niezadowolenia, a nawet niesmaku. Widzi pani, dla tego małego, zaczarowanego kółka muzyków, w którym się obracała, Liszt był wcieleniem diabła, który pozwolił sobie na takie ordynarne świętokradztwo jak ozdabianie Mozartowskiego natchnienia! *Fantaisie* Liszta bowiem oparta jest na tematach Mozarta, zaczerpniętych z opery *Don Juan*, częściej jeszcze zwanej *Don Giovanni*. Madame Schumann nie ukrywała swej dezaprobaty — wzruszała ramionami, szeptała z siedzącą obok damą; mową i wyrazem twarzy okazywała głęboką pogardę.

Pani Schumann była osobą znaną, przede wszystkim jako żona, a potem wdowa po wielkim, nieśmiertelnym Robercie Schumannie; dzięki temu cieszyła się różnymi przywilejami. Sama również koncertowała. Często grywała w Anglii. Corocznie dawała cykl koncertów, grywając utwory kameralne, zwłaszcza swego męża. Poza tym występowała razem z Joachimem i z Piattim. Tria te stały się głośne na koncertach popularnych organizowanych przez Chappella — londyńskiego wydawcę; koncerty te nazywały się już wtedy *Pops*<sup>1</sup>, tak jak i obecnie.

Wśród artystów, których spotkałem u Bocków, znajdował się też sławny skrzypek Pablo de Sarasate, artysta

The Popular Concerts (ang.) — koncerty popularne. Na koncertach tych występował słynny kwartet, nie trio, jak pisze Paderewski. (Przyp. red.)

o bezbłędnej technice i wprost cudownym tonie skrzy piec, piękniejszym jeszcze od tonu Joachima. Jako interpretator muzyki klasycznej był bez porównania gorszy od Joachima, ale za to czarował wyjątkowo pięknym tonem. Gdybyśmy porównywali ich jako śpiewaków, powiedzielibyśmy, że Sarasate ma piękniejszy głos, ale Joachim jest o wiele lepszym śpiewakiem.

Człowiek o przemiłym usposobieniu, wierny w przyjaźni i wspaniałomyślny w stosunkach z kolegami. Dopomagał niejednemu z nich, a szczególnie kompozytorom francuskim i hiszpańskim, gdyż sam był Hiszpanem, chociaż mieszkał stale w Paryżu. Sarasate odwiedzał często także i Warszawę, gdzie nieraz w późniejszych latach spotykałem go — zawsze z wielką radością.

W tych pierwszych latach mego pobytu w Berlinie poznałem prawie wszystkich tytanów muzyki owego okresu. Były to wspaniałe czasy. Czasy wielkich kompozytorów, wielkich pianistów i wielkich dyrygentów. Kontakty z nimi wzbogaciły ogromnie moje życie. Tak było w Berlinie i podobnie w Warszawie. Tu sposobność poznawania artystów przyjeżdżających do stolicy miałem przede wszystkim w domu pana Ludwika Grossmana. Był to właściciel składu fortepianów, a zarazem dobry muzyk, twórca kilku wesołych operetek, interesujący się bardzo muzyką<sup>1</sup>.

Przypomina mi się pewna przygoda, która jeszcze w pierwszych latach mojej kariery muzycznej spotkała mnie w jego domu. W owym czasie znany byłem w konserwatorium z szybkiego i łatwego czytania nut, wobec czego często bywałem proszony o akompaniowanie. Pewnego razu włoska śpiewaczka, której nazwiska już nie pamiętam, dawała koncert w Warszawie. Miała

<sup>1</sup> Ludwik Grossman (1835-1915) — uczeń A. Freyera i C. F. Rungenhagena. Autor dwóch oper (*Rybak w Palermo* i *Duch wojewody*), utworów orkiestrowych, fortepianowych i pieśni.



cudowny alt, ale bardzo brzydką twarz i bardzo nieprzyjemny sposób bycia (może to i lepiej, że nazwiska jej zapomniałem!). Małżonek śpiewaczki, obdarzony wspaniałym barytonem, był — wręcz przeciwnie — uprzejmym i uroczym człowiekiem. Zaprzyjaźniłem się z nim od razu. Mieli wspólnie dać koncert i na gwałt poszukiwali kogoś, kto by im akompaniował. Pan Grossman, który zawsze starał się być mi pomocny — było to bowiem w czasie, gdy jeszcze musiałem walczyć o środki do życia — polecił im usilnie moją osobę. Niestety, nie przypadłem do gustu owej pani. Pragnęła mieć innego akompaniatora. Mimo to musiałem iść na próbę i wtedy pani ta z miejsca zaczęła wyszukiwać błędy w mej grze. Byłem dobrym akompaniatorem i robiłem co mogłem, by jej dogodzić. Gdy jednak doszło do ostatniej próby, na którą zaprosiła gości, nagle zażądała przetransponowania całego akompaniamentu o dwa stopnie wyżej — dnia tego nie wychodziły jej bowiem dobrze niskie dźwięki.

Przetransponowanie akompaniamentu o dwa całe tony to zadanie bardzo trudne; o jeden lub pół — jest rzeczą stosunkowo łatwą, ale o dwa — nie da się tak z miejsca zaimprovizować. Co innego na instrumentach smyczkowych lub dętych, wydających pojedyncze dźwięki, ale dla pianisty to rzecz trudna i wymagająca uprzedniego przygotowania. Naturalnie więc popełniłem parę omyłek. „Stop — zawołała — stop, jakież marny z pana pianista! Nie umie pan transponować, a pragnie pan być moim akompaniatorem!” Na wszystkich słowa te zrobiły niemiłe wrażenie, a ja bardzo się zmieszałem.

W tym przykrym dla mnie momencie zainterweniował poczciwy pan Grossman, mówiąc, i to bardzo głośno: „Ależ proszę pani, żąda pani od niego rzeczy niemożliwej; wątpię, czy znajdzie się gdziekolwiek akompaniator, który by na poczekaniu potrafił przetransponować akompaniament o dwa stopnie wyżej. Musiałby to

poprzednio przygotować". Był to jeden z przykrzejszych momentów, jakie przeżyłem. Dotkliwie przecierpiałem to zdarzenie, na szczęście jednak w naturze ludzkiej leży zdolność zapominania o przykrych chwilach życia. Czasem jednak powracają one i stają żywo przed nami — tak jak w tym momencie.

Muszę przyznać, że reakcja pana Grossmana wzruszyła mnie ogromnie i zawsze wdzięczny mu będę za szlachetne wystąpienie w mojej obronie i przyście z pomocą w tak przykrym dla mnie incydencie. Zresztą akompaniowałem na owym koncercie i nie trzeba było nic zmieniać, gdyż dama odzyskała głos.

Jednakże miewałem też jako akompaniator sporo satysfakcji. Przypominam sobie zwłaszcza zdarzenie, które miało miejsce w czasie pierwszej wizyty sławnego skrzypka Leopolda Auera w Warszawie. Znajdował się wówczas u szczytu sławy, odnosząc wszędzie olbrzymie sukcesy. Dał jeden koncert z orkiestrą, potem recital, przyrzekł też zagrać w konserwatorium. Było to w roku 1878, gdy właśnie kończyłem studia. Zamierzał grać parę nowych, nie znanych dotąd zupełnie tak w Polsce, jak i w Rosji kompozycji. Miał grać *Symphonie espagnole* Lalo i suitę skrzypcową Ferdynanda Riesa.

Prosił, aby któryś z profesorów konserwatorium akompaniował mu. Muzyka była trudna i zupełnie nowoczesna. Dyrektor zaprosił wszystkich profesorów, zapytując ich, który chciałby się podjąć akompaniamentu, ale żaden nie miał odwagi. Posłał więc po mnie i powiedział: „Paderewski, jesteśmy w bardzo trudnym położeniu i liczę, że pomoże pan nam wybrnąć z tej sytuacji. Pan jeden może to zrobić. Dziś po południu musi pan akompaniować Leopoldowi Auerowi na jego recitalu w konserwatorium. Błagam pana, proszę to zrobić jak najlepiej — przestrzegał mnie zaniepokojony. — Auer jest cudownym artystą i musi mieć dobrego akompaniatora. Niestety nie ma już czasu na próby, będzie więc pan musiał akompaniować mu bez przygo-

towania". W pierwszej chwili byłem nieco oszołomiony, ale się zgodziłem. Nie znałem owej muzyki zupełnie, odczytałem ją jednak z łatwością i Auer był ze mnie bardzo zadowolony.

Muszę przyznać, że nie byłem nawet specjalnie przejęty; wówczas jeszcze lekceważyłem sobie trudności techniczne, bo sam nie miałem wyrobionej techniki i nie dbałem o poprawność gry. Tak więc akompaniament nie przedstawiał dla mnie większych trudności. Auer był jednak zachwycony moją grą i powiedział: „Na następnym koncercie znów musi pan grać ze mną. Nie życzę sobie innego akompaniatora”. Toteż podczas następnego jego pobytu w Warszawie akompaniowałem mu powtórnie. Pamiętał o tym jeszcze parę lat temu, na rok przed śmiercią, gdy był już bardzo starym człowiekiem. Mówiono mi, że ten mały epizod figuruje nawet w jego biografii. Auer był najsłynniejszym nauczycielem gry na skrzypcach, jaki kiedykolwiek istniał, i tak wielkim mistrzem skrzypiec jak Leszetycki fortepianu.

Mówiąc o artystach spotykanych w domu Leona Grossmana, nie wspominałem pani jeszcze o poznaniu artystki, od której doznałem bardzo dużo dobrego, a mianowicie o pani Jesipow, która była pierwszą wykonawczynią moich kompozycji.

Spotkałem ją po raz pierwszy jesienią 1883 i ofiarowałem wówczas niektóre z moich kompozycji. Zainteresowały ją, a szczególnym upodobaniem darzyła *Wariacje a-moll*, które grała po raz pierwszy w Wiedniu, a potem nieraz jeszcze na swoich koncertach. Spotkałem ją też później, gdy pojechałem do Leszetyckiego. Zawsze się mną interesowała i zawsze okazywała pomoc. Była, nawiasem mówiąc, jedną z licznych żon Leszetyckiego. Leszetycki często mawiał, i zawsze z dużym zadowoleniem: „Ludzie nazywają mnie Sinobrodym, ale przeciwnie niż u Sinobrodego — wszystkie moje żony żyją. Miałem ich zresztą tylko cztery, a więc nie tak dużo w porównaniu na przykład

z d'Albertem, który miał ich aż osiem, co jest chyba rekordową cyfrą?"

Wszystko to przypomina mi, że d'Albert był muzykiem, którego także poznałem u Bocka w Berlinie. Był uczniem Liszta, a gdy zagrał w Berlinie — wywołał sensację. Miał wtedy około osiemnastu lat, a więc był o trzy lata młodszy ode mnie, i wyglądał wprost chłopięco. Gra jego wywarła na mnie wielkie wrażenie. Grał pięknie, z rozmachem i temperamentem — mały, drobny chłopaczek, ledwo widoczny spoza fortepianu, ale gra jego już wówczas była godna uwagi tak ze względu na technikę, jak i ekspresję. Mimo to w jego grze było coś nieprzyjemnego, jakaś poza i brak spokoju. Najprzyjemniej słuchało się go z zamkniętymi oczami. Był doskonałym wykonawcą Beethovena. Obdarzony wrodzonymi zdolnościami pianistycznymi, miał talent zupełnie wyjątkowy.

Niestety zaczął tworzyć opery, i to było jego błędem. Chciał w ten sposób wiele zarobić, i rzeczywiście zarobił, ale miałyby dużo większe dochody pozostając wyłącznie pianistą. Jego kompozycje bowiem nie odznaczały się oryginalnością, w przeciwieństwie do gry. Były mierne. Poza tym dodać należy, iż żenił się co dwa lub trzy lata.

Znałem go dobrze w czasie pobytu w Berlinie; w dowód zachwytu dedykowałem mu moje *Wariacje a-moll*. Nie Wiem, co prawda, czy je kiedykolwiek zagrał. Obowiązujący bowiem pianistów swoisty *savoir-vivre* — tak chyba możemy to nazwać — sprawia, że rzadko kiedy grywają oni publicznie kompozycje swoich żyjących kolegów. Czekają na ich śmierć. Bywają i wyjątki, ale rzadko.

Nie widziałem już potem d'Alberta przez trzydzieści lub więcej lat. Po prostu straciłem go z oczu. Dopiero przed trzema mniej więcej laty słyszałem go ostatni raz grającego w Genewie. Grał dobrze, ale bardzo niestarannie, niedbale. Były wprawdzie momenty wyjątko-

wo piękne, ale także momenty nudne i zupełnie przeciętne. Wyraźnie się wyczuwało, że nie dba o grę, lecz traktuje ją jako sposób zarobienia pieniędzy — wielka to szkoda.

Trzy lata temu otrzymałem z Evian list od jednej z jego córek wraz z biletem polecającym od ojca, w którym to liście pisała, że bardzo by pragnęła zobaczyć się ze mną. Naturalnie nie omieszkałem zaraz odpisać i prosiłem, by do mnie przyjechała. Pewnej niedzieli zjawiała się na herbatę wraz z siostrą. Jedna z nich przywiozła nawet swoje małe dziecko — wnuka d'Alberta.

Było to jeszcze przed moją poważną chorobą i wyglądałem wówczas znacznie młodziej niż obecnie. Gdy wszedłem do pokoju żeby je powitać, odniosłem wrażenie, że są trochę zakłopotane i patrzą na mnie ze zdziwieniem. Zauważyłem to i spytałem:

— Co się stało? Czemu panie są zmieszane?

Zawahały się chwilę, a potem jedna z nich powiedziała całkiem poważnie:

— Jesteśmy zaskoczone, bo wyobrażałyśmy sobie, że jest pan o parę lat starszy od naszego ojca.

— Bo rzeczywiście jestem.

— Jak to, czy to możliwe? Ojciec nasz wygląda na znacznie starszego.

Roześmiałem się i rzekłem:

— Da się to łatwo wytłumaczyć: to dlatego, że nie zeniłem się tyle razy.

Wynikła przykra sytuacja, gdyż — zdaje mi się — były one córkami czwartej żony d'Alberta i odpowiedź moja bynajmniej ich nie ucieszyła. Żart okazał się bardzo niefortunny.

I znów wybiegliśmy naprzód z mymi wspomnieniami. Muszę przyznać, że Są one dla mnie wciąż jeszcze bardzo żywe: moje pierwsze lata studiów w Berlinie. Był to okres nauki u Kiela, u którego — jak pani pamięta —

studiowałem cały rok. Potem powróciłem na wakacje do Warszawy — wakacje były mi ogromnie potrzebne, bo ostatni rok studiów w Berlinie kosztował mnie wiele wysiłku.

Powróciwszy do Warszawy, stwierdziłem, że prawie wszyscy przyjaciele, koledzy itp. wyśmiewają moje plany dalszego kształcenia się za granicą. Wszyscy bez wyjątku byli zdania, że dosyć się już nauczyłem, i uważali, że nie ma najmniejszej potrzeby dalszego studiowania. Nie zgadzałem się z nimi i mówiłem, że chciałbym uczyć się dalej, i to kompozycji, chociaż bezwzględnie bardzo dużo skorzystałem już w Berlinie. „Umiesz dostatecznie dużo — twierdzili. — Pozostań z nami w Warszawie, jesteś nam potrzebny, a proponują ci tu objęcie nauki w wyższej klasie gry.” Posłuchałem ich i zostałem. Miałem wówczas bardzo niewiele pieniędzy, musiałem więc zająć się znów pracą pedagogiczną. Ta sama stara historia!

Był to błąd — wielki błąd, o czym się wkrótce przekonałem. Powód, dla którego koledzy — studenci z konserwatorium — zatrzymywali mnie w stolicy, był zupełnie wyraźny: potrzebowali bowiem w pewnej sprawie mojej pomocy. Istniały wówczas w Warszawie dwa odłamy muzyków: jeden reprezentował konserwatorium, drugi — Towarzystwo Muzyczne. Oba rywalizowały z sobą, przy czym Towarzystwo Muzyczne odznaczało się wielką żywotnością. Między tymi dwiema instytucjami rozgorzała prawdziwa walka, która z biegiem czasu bardzo się zaostrzyła. Nic więc dziwnego, że studenci konserwatorium pragnęli mieć kogoś swego do pomocy w rozgrywce. Wiedzieli, że się do tego nadaję, zauważyli bowiem, że powróciłem z zagranicy w dość bojowym nastroju. Stąd ta ich gorliwość w namawianiu mnie do porzucenia dalszych studiów u Kiela i pozostania w Warszawie. Cała ta sprawa interesowała mnie zresztą bardzo, a zawsze lubiłem przemawiać publicznie. Łatwość przemawiania, datująca się jeszcze z czasów

młodości, okazała się wiele lat później bardzo cenna w mojej karierze politycznej. Urodziłem się już widocznie z tą zdolnością, wrodzoną „techniką” — jakbyśmy powiedzieli w odniesieniu do fortepianu. Zostałem więc w konserwatorium, gdzie zaproponowano mi wyższą klasę fortepianu. Było to dla mnie bardzo pochlebne wyróżnienie, przyjąłem więc stanowisko, tym bardziej, że nakłaniali mnie do tego gorąco moi rzekomi „przyjaciele”. Z konieczności zacząłem znów sam grać, musiałem bowiem nieraz pokazywać uczniom, jak wykonywać niektóre ustępy muzyczne, co bez poprzedniego przygotowania nie dałoby się zrobić. I tak, powoli, zabrałem się do ćwiczenia; klasa moja zaczęła odnosić duże sukcesy, święcąc prawdziwy tryumf na egzaminach. Zdaje się, że byłem całkiem dobrym nauczycielem, ale uczyć nie lubię. Wolę raczej dać dziesięć koncertów niż jedną lekcję! Niech mi pani wierzy, że lekcje pochłaniają znacznie więcej energii. To bardzo wyczerpujące zajęcie.

Muszę tu wspomnieć, że przez cały czas mej ówczesnej kariery pedagogicznej w Warszawie pracowałem •bardzo ciężko. Zdawałem sobie bowiem sprawę, że moje ogólne wykształcenie pozostawia bardzo wiele do życzenia. Rozpocząłem więc cały szereg kursów. W dzień, dla zarobku, uczyłem w konserwatorium, a wieczorami codziennie od godziny 8. do 12. brałem prywatne lekcje. Uczyłem się łaciny, matematyki, literatury i historii. Miałem aż czterech nauczycieli, którzy do mnie przychodzili dzień w dzień. Było to bardzo kosztowne, musiałem więc udzielać lekcji również poza konserwatorium, aby móc opłacić swoją naukę. Bywały okresy, gdy miewałem po dziewięć do dziesięciu lekcji dziennie. Trzeba przyznać, że znacznie pogłębiłem swą wiedzę. Być może, niektóre przedmioty były zbędne, ale wiele wiadomości przydało mi się bardzo później. Wiedza jest jedyną rzeczą, która wzbogaca, a której nikt nie może nikomu odebrać.

W czasie gdy uczyłem w konserwatorium, w domu mego starego przyjaciela spotkałem przypadkowo wydawcę pewnego popularnego pisma codziennego. Rozmawialiśmy długi czas, przeważnie na tematy muzyczne, gdy niespodziewanie powiedział: „Mam dobrą myśl — wszystko, co mi pan opowiada, jest bardzo interesujące — dlaczego nie miałby pan napisać paru artykułów o muzyce lub też paru krytyk muzycznych? Chętnie je wydrukuję”.

Muszę przyznać, że byłem tą propozycją zaskoczony. Nie nęciła mnie specjalnie, ale ponieważ bardzo nalegał, powiedziałem, że mając więcej czasu może i napisałbym coś dla niego, jakichś kilka artykułów, które mogłyby okazać się pożyteczne, ale niestety jestem bardzo zajęty. Kompletny brak czasu! Pismo codzienne, o którym mówię, należało do kategorii tak zwanej dzisiaj „prasy brukowej”. Specjalizowało się w zamieszczaniu różnych skandali — zupełnie mi nie odpowiadało. Był też drugi powód, dla którego nie przyjąłem jego propozycji. Nie czułem się po prostu dość dojrzały do wygłaszania krytyk o artystach. -Miałem uczyć muzyki studentów konserwatorium, ale na to, aby wydawać sądy, urabiać opinię (bo krytyk nieraz tworzy opinię) i wyrokować, trzeba mieć już pewien autorytet, a ja wówczas jeszcze za żaden autorytet siebie nie uważałem. Zdawałem sobie jednak sprawę, że potrafiłbym napisać krytykę niekiedy nawet i lepszą od doświadczonego fachowca, znałem się bowiem lepiej na muzyce. Krytycy bardzo często nie mogą trafnie osądzać, gdyż nie znają przedmiotu. Nie mogłem też w owym czasie być zdolny do krytyki z tej prostej przyczyny, że nie było we mnie gorczy. Nie wiem doprawdy, czy krytycy muszą ją mieć, ale zwykle ją posiadają. Muszę przyznać, że zawsze to wyczuwam.

Ale wróćmy do propozycji przedstawionej mi przez wspomnianego już wydawcę. Tak się złożyło, że kilka dni później przeczytałem w jego piśmie krytykę, która



doprowadziła mnie wprosi do szału. Był to ostry, niesprawiedliwy i agresywny atak na doskonałego artystę, który wywarł na mnie bardzo silne wrażenie. Napisał tę krytykę ktoś, kto przede wszystkim nie znał się na muzyce, a poza tym był "niezadowolony z oklasków i małej owacji urządzonej owemu artyście. Powodowała nim osobista zawiść, co w krytyce nie powinno nigdy mieć miejsca.

Często jednak spotyka się wiele niezrozumiałej zawiści, która może doprowadzić do złośliwości i goryczy nawet u ludzi nie należących do tego samego zawodu. Dlaczego tak jest? Nigdy nie byłem w stanie zrozumieć. Pojmuję doskonale, że muzycy nie zdobywający powodzenia zazdroszczą szczęśliwszym kolegom. Tak bywa. Rozumiem też podobne uczucie, jeśli się rodzi wśród literatów, malarzy czy rzeźbiarzy. Nie mogę jednak pojąć, dlaczego na przykład urzędnik pracujący w biurze miałby odczuwać zazdrość w stosunku do aktora lub muzyka? Zdarza się to jednak, i to nie tylko u ludzi stojących na niższym poziomie społecznym. Widziałem w życiu osobistości zajmujące bardzo wysokie stanowiska, z którymi łączyły się najrozmaitsze przywileje, jak wielka fortuna, liczni przyjaciele, a jednak ludzie ci odczuwali zazdrość w stosunku do śpiewaka, który cieszył się wielkim powodzeniem. Nigdy tego nie rozumiałem. Jest to widocznie jakaś dziwna właściwość natury ludzkiej.

W każdym razie gdy przeczytałem ową krytykę, która mnie tak bardzo rozgniewała, poszedłem zaraz do redakcji pisma, do samego wydawcy. Byłem szalenie podniecony i powiedziałem mu: „Zdecydowałem się pisywać w pańskim piśmie!” Pałałem świętym oburzeniem. Wydawca, człowiek miły, ale dość przebiegły, spostrzegł od razu, że byłem nastawiony wojowniczo, jednak nie zraziło go to. „Jestem zachwycony — zawołał — w dalszym ciągu pragnę pana współpracy z redakcją. Dam panu w pisaniu całkowicie wolną rękę.”

Bezzwłocznie zawarliśmy umowę i niebawem już rozpocząłem pracę; wydawca dotrzymał słowa i rzeczywiście pozostawił mi pełną swobodę.

Myślę, że tyle tylko powiedzieć mogę o moich ówczesnych artykułach, iż w żadnym piśmie na świecie, nigdy przedtem ani potem, nie znalazłoby się tak dużo przyjaznych, życzliwych i pełnych zachwytu krytyk jak moje. Wychwalałem wszystkich — dosłownie wszystkich. To była moja reakcja, i to silna reakcja na owych pełnych żółci krytyków, byłem bowiem podobnie gwałtowny w moim sposobie odczuwania jak oni w swoim. Czułem, że napełnia mnie gorycz, ale gorycz sprawiedliwa. Istnieje uroczy i odpowiedni do przytoczenia w tym miejscu aforyzm, który chcę tu zacytować, tak bardzo bowiem zgadza się on z moim ówczesnym stanem umysłu. To Heine (jeśli się nie mylę) stworzył go w jednym ze swych licznych esejów krytycznych. Heine był dowcipny i bardzo kostyczny, ale niekiedy i pełen goryczy. Aforyzm ten brzmiał mniej więcej tak: „Z najkwaśniejszego wina robi się najlepszy ocet, z najlepszych muzyków robią się najkwaśniejsi krytycy”.

Przykro mi, ale niestety jest to — choć niezupełnie może dokładnie oddany — sens, treść tego, o co mi w moim opowiadaniu chodzi.

Zajęcie to dawało mi dużo przyjemności, lecz równocześnie stanowiło duży wysiłek, bo nie tylko sam uczyłem, ale jednocześnie miałem do przygotowywania swoje prywatne lekcje z łaciny i historii. Pracowałem do późnej nocy. Szedłem na koncert, a potem śpieszyłem do redakcji, gdzie pisałem recenzje — z trudem znajdowałem czas na wszystko. Działo się to zresztą kosztem mego snu. Jednak zdołałem tak ciężko pracować cały rok bez przerwy.

W okresie tym mieszkałem u moich drogich przyjaciół Adamowskich. Ci z rodziny, którzy żyją jeszcze, należą i dziś do grona moich przyjaciół. Dom Kerntopfów opuściłem po ukończeniu studiów w konser-

watorium. Niech się pani temu nie dziwi. Dopóki byłem studentem, życie pośród gromady dzieci było przyjemne i niekłopotliwe; gdy jednak dorosłem i zostałem profesorem, musiałem, rzecz prosta, mieć inne warunki domowe. Potrzebowałem małego gabineciku, w którym mógłbym udzielać lekcji, sypialni itd. Tak się więc złożyło, że zamieszkałem u Adamowskich — mogli bowiem zapewnić mi warunki, jakich potrzebowałem. Bardzo to był szczęśliwy dla mnie okres, jeśli chodzi o współżycie z gospodarzami. Obaj synowie Adamowskich, Tim i Józef, byli moimi kolegami od samego początku studenckiego życia i najlepszymi, najbliższymi — poza rodziną Kerntopfów — przyjaciółmi. Łączyły mnie z nimi silne więzy uczuciowe, które przetrwały aż do dziś. Przyjaźń nasza była niezawodna. Parę lat temu w Bostonie zmarł Józef Adamowski — pozostał tylko brat jego, Tim.

Życie moje toczyło się po wytyczonej przeze mnie drodze. Uczyłem innych, sam się uczyłem i pisałem. Bezustanna praca. Rezultaty wydawały mi się jednak dość nikłe. Ciągle Szukałem i pragnąłem jakiejś zmiany. Uczucie to towarzyszyło mi stałe. Po roku pracy pedagogicznej doszedłem do wniosku, że przedstawiam już pewną wartość jako pianista. Byłem o tym najgłębiej przekonany. Teraz, gdy patrzę w przeszłość, myślę, że przekonanie to tkwiło we mnie zawsze, mimo że ciągle mnie zniechęcano. I nagle powiedziałem sobie, że dość już mam tego nauczania — najzupełniej dość!

Wtedy to, idąc za głosem wewnętrznego imperatywu, postanowiłem zostać pianistą. Zrozumiałem jednocześnie, że przede wszystkim muszę wyjechać i skończyć przerwane studia nad kompozycją. Powróciłem więc do Berlina. Przed wyjazdem musiałem postanowić coś o losie mego biednego synka, który w tym czasie ciężko zachorował. Zawiozłem go do mego ojca, mieszkającego wówczas w miejscowości, gdzie istniała możliwość wzywania dobrego lekarza. Syn mój już wtedy miał trudności

w chodzeniu, były to początki paraliżu dziecięcego. Niestety w owych czasach niewiele wiedziano o tej strasznej chorobie. Chłopczyk miał wtedy około czterech lat. Był nad wyraz mądry na swój wiek, przejawiał niezwykłą inteligencję, ale miał delikatny organizm i choroba uczyniła z niego zupełnego inwalidę. Stan jego bardzo powoli, lecz stale pogarszał się, a nie było żadnych możliwości zwalczania tej nieszczęsnej choroby. Nie zdawałem sobie z tego sprawy — nikt zresztą, nawet liczni wzywani przeze mnie lekarze nie uświadamiali sobie tego. „Słabość nóg” — tak brzmiała diagnoza ostatniego, którego pytałem o radę; i on także, jak się okazuje, nic nie wiedział. Była to dla mnie tragedia i źródło ciągłego niepokoju.

Powrót do Berlina był ważnym krokiem w mojej karierze muzycznej. Tym razem brałem lekcje u profesora Urbana, bardzo zdolnego człowieka, który dał mi mocne i trwałe podstawy orkiestracji. Urban był uczniem wielkiego Kiela, mistrza w tej dziedzinie. Co prawda, umiejętność komponowania utworów na orkiestrę miałem — że tak powiem — w sobie; studiowałem bowiem i grałem na tylu instrumentach. Pracowałem zatem z Urbanem, ale stale marzyłem o karierze pianisty. Sam więc w dalszym ciągu grałem na fortepianie.

Pragnę też tu powiedzieć, że w czasie studiów u Urbana poznałem Aleksandra Lamberta<sup>1</sup>, który również był jego uczniem. Stąd datuje się początek jednej jeszcze przyjaźni, która przetrwała wiele lat. Obaj byliśmy wówczas studentami, choć Lambert był bardziej ode mnie zaawansowany. Został później bardzo znanym muzykiem w Nowym Jorku, a także godnym uwagi

<sup>1</sup> Aleksander Lambert (1862-1929) — polski pianista, kompozytor, wybitny pedagog; uczeń Epsteina, Brucknera i -- przez krótki czas — Liszta. W latach 1887-1905 był dyrektorem New York College of Music. (Przyp. red.)

pedagogiem. Przez całe życie miał wielu uczniów; był człowiekiem niezwykle silnego charakteru.

Chociaż tu właśnie nie pora na to, co powiem, ale przypomniała mi Się bardzo zabawna przygoda, jaka spotkała mnie na jednym z moich koncertów. Powinienem był opowiedzieć ją w poprzednich, pierwszych rozdziałach, ale już trudno. Miałem dać wspólny koncert z moim przyjacielem Górskim, znanym już skrzypkiem, profesorem warszawskiego konserwatorium. Działo, się to na początku mej kariery muzycznej, lecz jak wspomniałem poprzednio, ceniono mnie już wtedy jako dobrego akompaniatora. Górski prosił, bym towarzyszył mu w krótkim tournee, jakie zamierzał odbyć. Pojechaliśmy do małej miejscowości leczniczej. Było to jakby małe Evian. "W Polsce posiadamy dużo miejscowości kąpielowych, przy czym niektóre z nich są wyjątkowo skuteczne — nie gorsze od Vichy, Spa lub Aix-les-Bains, nie rozwijają się tylko w odpowiednim tempie i są za mało reklamowane.

W jednej z takich miejscowości postanowiliśmy dać nasz pierwszy koncert. Było tam parę tysięcy kuracjuszy, głównie Żydów, którzy nie interesowali się muzyką — raczej leczeniem swych dolegliwości. Ponieważ jednak przebywało tam i kilkuset kuracjuszy o wyższym poziomie kulturalnym, uważaliśmy, że warto będzie urządzić dla nich koncert. Po przybyciu na miejsce od razu natrafiliśmy na duże trudności. Przede wszystkim nie było dobrego fortepianu, tylko jakiś bardzo stary instrument z młotkami w opłakanym Stanie. Wprawdzie przy uderzeniu podnosiły się do góry, ale niestety nie chciały opadać, tkwiąc nieruchomo w powietrzu! Nie potrafię opisać naszej udręki. Stwierdziłem, że w ogóle nie mogę grać na tym fortepianie. Jak można było poradzić sobie z nieszczęsnymi młoteczkami, sterzącymi nieruchomo w powietrzu podczas brzmiącego wciąż jeszcze dźwięku? Młoteczki podnosiły się w górę, ale w żaden sposób nie chciały opadać! Mimo to staraliśmy się urzą-

dzić próbę. Byłem pewny swego akompaniamentu; to było najważniejsze, jako że skrzypek odgrywał rolę gwiazdy i był doświadczonym artystą. Wiedziałem więc, że z akompaniamentem dam sobie radę i że skrzypce nas jakoś uratują, ale jak wypadną moje utwory solowe!?

Zabrałem się więc do pracy nad naprawianiem młoteczków, wszelkimi sposobami próbując je umocnić. Zasiadłem następnie do fortepianu, ale okazało się, że wszystko na nic — młotki pofrunęły w powietrze i tam pozostały. „To okropne — zawołałem do stojącego obok mnie Górskiego — musimy coś na to poradzić, bo nie jestem w stanie zagrać na tym fortepianie ani jednego kawałka!” Byłem już niemal bliski szału.

W owym tournée towarzyszył nam, dla swej własnej przyjemności zresztą, pewien młody człowiek, uczeń skrzypka, ale na szczęście także mój dobry kolega. Widząc rozpaczliwą sytuację, zaprzagnął przyjść nam z pomocą.

— Czekajcie — powiedział — wpadłem na dobry pomysł. Myślę, że zdołam coś poradzić.

— W jaki sposób? — wykrzyknęliśmy jednocześnie. — To jest niemożliwe.

— Gdy zaczniesz grać, stanę tuż przy fortepianie i będę możliwie szybko spychał młoteczki na dół, tak prędko jak idą w górę. Przyjdzie mi to z łatwością. Będiesz mógł grać, a publiczność się w tym nie zorientuje.

Był to niezły pomysł i jedyna deska ratunku. Musieliśmy przecież coś wymyślić, by wybrnąć z tragicznej sytuacji. Zgodziliśmy się więc na jego propozycję, mając nadzieję, że okaże się możliwa do wykonania.

Koncert się rozpoczął, ale rozpoczął niezwykłym znów i bardzo zabawnym incydentem. Postanowił bowiem przyjść gubernator we własnej osobie. Był nim generał rosyjski, kraj nasz bowiem rządzony był wówczas przez Rosjan. Pan gubernator dziarsko zajechał

przed salę koncertową wielką, wspaniałą karetą w asyście kilku eskortujących go konno ogromnych kozaków. Dostojnik ten był władcą całej guberni. Przyjechawszy, oświadczył nam na wstępie, że nie tylko chętnie posłucha koncertu, ale nawet gotów jest zapłacić za bilety; bardzo to było z jego strony wspaniałomyślne. Ale choć słuchać będzie muzyki z przyjemnością — nie wypada mu mieszać się z publicznością! Jest na to zbyt wysoką osobistością! Wobec czego, ciągnął: „Mogę przyjść na koncert jedynie pod warunkiem, że ja, moja żona i dzieci, słuchać będziemy z zewnątrz przez szeroko otwarte okna”.

Stało się, jak sobie życzył pan gubernator, i rozpoczęliśmy koncert. Kolega mój stanął tuż przy fortepianie i szybko opuszczał na dół młoteczkę, tak szybko, jak one wylatywały w górę. Akompaniament dla skrzypka wypadł w ten sposób całkiem niezłe — były tam bowiem na początku małe tylko akordy, a potem trochę arpedżiów; nasz młody pomocnik nie potrzebował się więc za bardzo wysilać, przy tym oczywiście nie wszystkie młotki były wadliwe. Gdy jednak doszło do mego solowego występu — szkoda, że pani tego nie widziała! Palce jego migały jak błyskawice, jak ptaki przefruwały z jednej strony na drugą. Musiał nieraz przechylać się całym korpusem nad fortepianem. W ciągłym ruchu przerzucał się z jednej strony na drugą. Pracował bez porównania ciężiej ode mnie. Ja tylko grałem, a cała praca spychania tych nieszczęsnych młoteczek na dół przypadła jemu. Był to prawdziwy wyścig, ale mimo szalonego wysiłku, nie zawsze mógł dotrzymać mi kroku — fortepian zwyciężał.

Po pewnym czasie część publiczności zaczęła coś podejrzewać i nawet niektórzy słuchacze podnosili się z krzesel, by lepiej widzieć. Nie mogli jednak zrozumieć, co się dzieje, a musiał to być widok niezwykły. Po zakończeniu koncertu czym prędzej wybiegłem z sali i wmieszałem się w tłum; przyznaję — ciekawy byłem

usłyszeć komentarze publiczności na temat koncertu. Nie zauważyli mnie wcale, zajęci ożywioną rozmową, mogłem więc swobodnie słuchać, a o to mi przecież chodziło. Byłem tego bardzo ciekaw. Zbierali się w małe grupki, dyskutując z podnieceniem. Słyszałem, jak jeden drugiego zapytywał: „Jak się panu podobał miody pianista?” „Bardzo, i trzeba przyznać, że grał dobrze, ale ten drugi, ten, co grał w tyle przy fortepianie, był jeszcze lepszy i pracował o wiele ciężiej od tamtego! I z pewnością to on jest właśnie tym prawdziwym i wielkim artystą!”



Powróćmy na chwilę do mojej decyzji obrania kariery pianisty. Postanowienie to powziąłem w Berlinie, pod koniec swych studiów nad orkiestrą u profesora Urbana. Mniej więcej w tym czasie pojechałem na krótki urlop do Polski, w Tatry, aby popracować nad regionalną muzyką ludową. Poznałem tam sławną polską aktorkę, panią Modrzejewską. Była wciąż jeszcze bardzo piękna. Poprzednio widywałem ją, lecz tylko na scenie. Uchodziła za najwspanialszą artystkę dramatyczną naszych teatrów. Wyróżniała się pod każdym względem: pełna dystynkcji, o wyjątkowo melodyjnym głosie. Postać miała wdzięczną, ale na scenie nie poruszała się aż tak swobodnie i w grze jej nie było tyle ekspresji, jak na przykład u Sary Bernhardt. Modrzejewska była uczennicą starej, klasycznej szkoły gry — sztuka aktorska owych czasów różniła się bardzo od obecnej. W grze aktorów więcej było patosu, mniej naturalności, panował tak zwany „wielki styl” gry. Wymagał on od aktorów większego deklamatorstwa. Grę cechował pewien swoisty, dziś już zapomniany styl, zwłaszcza w wielkich klasycznych dramatach. Może dlatego nie ma już dziś aktorów umiejących dobrze zagrać w sztukach Szekspira lub wielkich dramatach greckich, a przede wszystkim w sztukach rodzajowych, jak: *School of Scandal*<sup>1</sup> i *She Stoops to Conquer*<sup>2</sup>. Jest to zresztą temat niewyczerpany.

Wracając do Modrzejewskiej, zajęła ona honorowe miejsce wśród plejady naszych aktorek. Cieszyła się też dużą popularnością w Ameryce, gdzie do dziś wiele osób wspomina ją z entuzjazmem. Spotkanie moje z nią

<sup>1</sup> Komedia Richarda B. Sheridana; 1751-1816. (Przyp. red.)

<sup>2</sup> Komedia Olivera Goldsmitha; 1730-1774. (Przyp. red.)

w Zakopanem, gdy byłem jeszcze biednym, nie znanym studentem, stało się punktem zwrotnym w moim życiu, a punktów tych było w całej mej karierze muzycznej wiele. Słyszano już trochę w Polsce o mnie i jako profesorze konserwatorium, i jako autorze wydanych i dobrze przez krytykę przyjętych trzydziestu lub więcej utworów na fortepian. Już wówczas zatem uważany byłem za „kogoś”. Modrzejewska odniosła się do mnie niesłychanie życzliwie, podobnie mąż jej; stałem się więc częstym gościem w ich domu. Rozmawiała ze mną dużo na temat mych planów i mej przyszłości. „Powinien pan już wreszcie rozpocząć karierę pianisty, nie wolno panu dłużej zwlekać, jestem o tym głęboko przekonana” — mówiła często. „I ja tak uważam — odpowiadałem — lecz nie mam jeszcze repertuaru i wydaje mi się, że brak mi odpowiedniego dla pianisty przygotowania”. „Ale dlaczego, dlaczego?” — wołała zniecierpliwiona.

Tłumaczyłem jej różne moje trudności i przeszkody, ale oboje byli optymistami i tak zachwycali się moją grą, że nie widzieli potrzeby dalszych studiów. Moi przyjaciele, jak pani z tego widzi, stale przeciwni byli dalszemu kształceniu się w muzyce, dalszej pracy! Było to naprawdę tragiczne! Coraz częściej rozmawialiśmy na ten temat. Mówiłem im, jak bardzo pragnę wyjechać do Leszetyckiego, który uchodził za największego pedagoga ówczesnych czasów i którego liczni uczniowie grali doprawdy przepięknie. Powiedziałem im też, że pragnąłbym przed wyjazdem za granicę koncertować w Krakowie, położonym niezbyt daleko od miejscowości, w której przebywaliśmy.

Kraków jest miastem uniwersyteckim. Znajduje się tam jeden z najstarszych uniwersytetów świata, założony już w roku 1364. Jest to nasz Oksford — panuje tam podobna atmosfera. Jest to urocze i interesujące miasto, jedno z najpiękniejszych w Europie. Niegdyś było stolicą Polski. Miasto pełne pięknych zabytków i bardzo starych, ciekawych domów.

Kraków posiadał dla mnie wiele uroku i bardzo chciałem wystąpić tam z koncertem. Gdy powiedziałem o tym Modrzejewskiej — była zachwycona. „Wspomniała myśl, musi pan dać koncert w Krakowie; ja panu we wszystkim chętnie dopomogę.”

Byłem szczerze wzruszony jej dobrocią; nie mogłem nie przyjąć zaofiarowanej mi łaskawie pomocy, gdyż znaczyła ona wyprzedaną salę. Ja sam byłem jeszcze tak mało znany jako muzyk, że nawet niewielka wynajęta salka na pewno nie byłaby zapełniona. Modrzejewska pojechała więc ze mną do Krakowa i pomogła w urządzeniu koncertu. Jej nazwisko figurujące w programie miało magiczną siłę. Deklamowała parę poematów i wzbudziła, jak zawsze, furorę. Sala była przepełniona, a dochód z koncertu wyniósł czterysta guldenów. Było to wtedy około dwustu dolarów, co dla mnie przedstawiało ogromną sumę! Umożliwiło mi to wyjazd do Wiednia i paromiesięczne studia u Leszetyckiego. Modrzejewskiej zawdzięczam więc zrealizowanie mego marzenia.

Pospieszyłem bezzwłocznie do Wiednia i udałem się do Leszetyckiego — prawdziwej gwiazdy moich młodych lat, najlepszego pedagoga jego generacji. Nie znałem i do dziś dnia nie znam nikogo, kto by mu dorównał. Nikt absolutnie nie może się z nim porównywać. Jako pedagog — olbrzym, wobec którego wszyscy inni są tylko karłami.

W ciągu paru miesięcy wziętem u niego dziewięć czy dziesięć lekcji, lecz powtarzam, że nie bardzo mnie do nich zachęcał. Po pierwsze miałem już wtedy ukończone studia kompozytorskie, byłem już muzykiem o pewnej określonej osobowości, tłumacząc mi więc na przykład sens i styl pewnej kompozycji, nie czułem się zbyt pewnie, gdyż w tym zakresie wiedziałem być może nieco więcej od niego. Zorientował się w tym od razu. Zachęcił mnie bardzo do kompozycji, ale stanowczo zniechęcił do kariery pianisty, mówiąc, że jest już na to za późno! Miałem wtedy dwadzieścia

cztery lata, a musiałbym według jego zdania zaczynać od samego początku, od palcówek. Musiałbym zatem nadrobić te wszystkie stracone lata, kiedy nikt nie pouczył mnie, jak mam właściwie pracować. Można by powiedzieć, że już tańczyłem, a jeszcze nie nauczyłem się chodzić.

Lecz Leszetycki był człowiekiem dobrym i wspinałomyślnym. Nigdy nie chciał brać ode mnie pieniędzy za lekcje — nigdy; a przecież szczerze udzielał mi swojej wiedzy i tracił dla mnie swój czas. Zaraz na samym początku powiedział mi, że gdybym się zaczął uczyć wcześniej — mógłbym zostać wielkim artystą. Był to dla mnie wielki cios. Łatwiej zniósłbym wyrok Leszetyckiego, że w ogóle nie mam talentu pianistycznego — do takiej opinii o sobie byłem już bowiem przyzwyczajony i nie żałowałbym wówczas straconych lat — lecz kiedy powiedział, że mógłbym być...! O, to było straszne!

Pomimo takiego wyroku rozpocząłem jednak pracę. Wiedziałem, jak należy interpretować utwory, by wywołać wrażenie — tego byłem zawsze pewien. Przed nauką u Leszetyckiego nie miałem jednak najmniejszego pojęcia, jak przystąpić do samej pracy nad grą, i w tym mi bardzo dopomógł. Wiele opowiadał, pokazywał różne sposoby gry, tłumaczył. Na tym polegał jego system nauczania. Odsłonił przede mną zupełnie nowy świat sztuki muzycznej. Po tylu latach błędzenia po omacku i borykania się z trudnościami, teraz, po kilku lekcjach, wszystkie moje wątpliwości poczęły się wyjaśniać, przejrzałem i zacząłem rozumieć i znajdować drogę do pracy nad swoją grą. Wdzięczność moja dla niego do dziś jest tak wielka, jak była wówczas, i doprawdy w pełni doceniam, ile dla mnie zrobił, wskazując mi drogę do właściwego sposobu pracy. Uczynił to po mistrzowsku.

Późniejszym moim początkowym sukcesom nie dawał zupełnie wiary. Nie mógł ich istotnie zrozumieć, a to

dlatego, iż nie przypuszczał, że będą tak wytrwały, energiczny i wytrzymały fizycznie, by móc wyrównać braki z czasów wczesnej młodości. Na początku nie uznawał mnie nawet za reprezentanta swojej szkoły. Nie byłem też wyrazicielem jego słynnej metody — metody Leszetyckiego, która wydała największych muzyków tego okresu. Nie wierzył, że moje sukcesy były uzasadnione. Mnie samemu zresztą wydawały się zrazu bezpodstawne, gdyż powodzenie przyszło wtedy, gdy jeszcze nie byłem doń przygotowany. I naprawdę nie mogłem się nim cieszyć, ponieważ we własnym poczuciu nie zasługiwałem nań jeszcze.

Była też jedna sprawa, która utrudniała nasze wzajemne stosunki z Leszetyckim. Przybyłem do niego już jako pianista z pewną, choć skromną reputacją, podejście więc jego do mnie było inne niż do reszty studentów. Byłem początkującym kompozytorem, który co prawda gorąco pragnął uczyć się u niego, ale którego nie mógł on już na przykład nauczyć czegokolwiek, co wchodziło w zakres interpretacji; i to było dla niego bardzo kłopotliwe i niezręczne. Może też dlatego nie zachęcał mnie wcale do gry. Krępowałem go trochę. Zresztą był bardzo miły i osobiście bardzo mnie lubił. Wyczuwałem jednak, że podczas lekcji ze mną nie czuł się swobodnie.

A był doprawdy wspaniałym człowiekiem. W ciągu tych kilku lekcji nauczył mnie więcej, niż zdołałem zdobyć przez całe poprzednie dwadzieścia cztery lata. Niezwykle interesująca była u niego w pierwszym rzędzie umiejętność wydobywania z fortepianu odpowiedniego brzmienia, a poza tym specjalne zwrócenie uwagi na problem rytmu. Dźwięczność jego tonu to coś zupełnie wyjątkowego. Ale gra jego bywała też trochę błyskotliwa — nie zawsze w najlepszym stylu — czasami zanadto dekoracyjna, powierzchowna i zbyt jaskrawa. Powtarzam raz jeszcze to, co już poprzednio mówiłem, że Leszetycki nigdy nie uważał

mnie za przedstawiciela swojej szkoły — później wytłumaczę to bardziej szczegółowo.

Chciałbym opowiedzieć tu nieco szerzej o moich pierwszych wrażeniach ze spotkania z Leszetyckim. Gdy przybyłem do Wiednia, bez żadnych listów polecających, nie znając go wcale, udałem się doń z pewną obawą. Znalazłszy się na miejscu, musiałem długo czekać, bo do rannych ptaszków nie należał.

Miał zwyczaj, po zakończeniu wszystkich lekcji, spędzać wieczory, a i częściowo noce, na wesołych rozrywkach. Obiad jadł późno, zaś po koncercie lub operze szedł jeszcze na kolację, co sprzeciwiało się normalnej tradycji wiedeńczyków. Jak pani zapewne słyszała, w Wiedniu przedstawienia teatralne, a przede wszystkim opera, rozpoczynają się bardzo wcześnie, zwykle przed siódmą, a o dziesiątej bezwzględnie wszystkie się kończą i każdy uzbrojony w klucz od swego mieszkania powraca do domu. W przeciwnym bowiem wypadku, by dostać się do swego mieszkania, należało opłacać dozorcę pewną drobną sumką! Wobec czego wiedeńczycy — ludzie porządni, konserwatywni i oszczędni — chodzili z własnym kluczem w kieszeni. Lecz z Leszetyckim było inaczej. Mieszkał we własnej willi. Jadał późnym wieczorem, jak wszyscy prawie artyści, a potem do godziny trzeciej lub czwartej grywał w karty, a chętniej jeszcze w bilard, co było swego rodzaju ćwiczeniem, po czym wyruszał jeszcze na spacer. Skutkiem tego wstawał bardzo późno, a dzień pracy rozpoczynał po jedenastej. Na pierwsze umówione spotkanie przyszedłem sporo przed jedenastą, musiałem więc długo czekać. W stanie niepokoju, jaki mnie wówczas ogarniał, czas dłużył mi się niepomieranie.

Gdy wreszcie zostałem przyjęty, z zadowoleniem zauważyłem, że nazwisko moje nie jest mu obce, a to dzięki moim *Wariacjom a-moll*, które żona jego, pani Jesipow-Leszetycka, niejednokrotnie grywała na swych koncertach, i to w wielu miejscowościach. Do końca

życia pozostaną jej wdzięczny za wprowadzenie do repertuaru owych *Wariacji* i granie ich przed liczną i kulturalną publicznością.

Leszetycki przyjął mnie bardzo uprzejmie i rozpoczęliśmy rozmowę o rozmaitych kompozycjach, o muzyce nowoczesnej. Potem usiadł przy fortepianie i grał mi, z nut oczywiście, utwory różnych wiedeńskich kompozytorów, którzy dedykowali mu je w dowód uwielbienia i hołdu.

Nie wiedział początkowo, że przyszedłem, by zagrać przed nim, myślał, że po prostu chcę mu pokazać swoje kompozycje. Gdy poprosiłem go o udzielenie mi kilku lekcji, był ogromnie zdziwiony i zaskoczony. Zawołał:

— Czyż nie dawał pan już koncertów?

— Owszem — odpowiedziałem — ale tylko w mniejszych miastach. Dałem już szereg koncertów, ale prawie wyłącznie grałem własne kompozycje — dotąd nie mam jeszcze swego repertuaru.

Był przerażony! Poruszony, wzburzony!

— A wice chciałby pan przygotować repertuar, teraz zostać wirtuozem, i to w pana wieku?! Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co pan zamierza? To jest wykluczone!

Był bardzo wzburzony, a nawet zirytowany, i nerwowo biegał po pokoju. Widać było po nim, że zupełnie nie wie, co mi powiedzieć. Ja również nie miałem mu już nic do powiedzenia, czekałem więc, zdany na jego łaskę. Świat moich marzeń zdawał się w owej chwili rozpadać w gruzy. Wreszcie Leszetycki opamiętał się i rzekł: „W każdym razie proszę mi coś zagrać — cokolwiek bądź”.

Zacząłem mu grać — oczywiście własne kompozycje. Słuchał uważnie i spokojnie, a potem powiedział: „Ma pan wiele zalet jako pianista. Ma pan też wrodzone poczucie techniki, ale ileż jeszcze braków. W każdym razie posiada pan najważniejszą zaletę pianisty: dźwięk. Pomimo że nie studiował pan, wie pan, jak

i kiedy go zmieniać i jak za pomocą własnych palców wyrażać najróżniejsze uczucia. I także jedna jeszcze rzecz zwraca u pana uwagę — to odpowiednie posługiwanie się pedałem. Wyjątkowo bowiem się zdarza, żeby ktoś, kto nie studiował poważnie gry na fortepianie, zdawał sobie tak dobrze sprawę z ogromnej doniosłości odpowiedniego używania pedałów. Jak widzę, jest pan rzeczywiście muzykiem, i ten wrodzony instynkt muzyczny doprowadził pana do tak poprawnego posługiwania się tym najważniejszym środkiem ekspresji w grze, jakim jest pedał. Obawiam się jednak, że za wiele trudności miałby pan ze swymi palcami, którym brak jakiegokolwiek dyscypliny!"

Wydawał się tak stanowczy, tak pewny siebie, tak prawie nieomylny w swoim wyroku. „Obawiam się też, że pan nie wie, jak pracować” — mówił dalej.

A więc domyślił się od razu tego, co było dotąd moją tragedią! Serce we mnie zamarło, kiedy usłyszałem jego niosące wyrok słowa. Tak bardzo się obawiałem, że nie zechce udzielać mi lekcji.

„Jeżeli jednak zdecyduję się dać panu parę lekcji — ciągnął — będzie pan musiał rozpocząć od zwykłych palcówek, od ćwiczeń Czernego!” Zaczynać jak uczeń!

Przyznaję, że na to nie byłem przygotowany. Znałem, rzecz prosta, Czernego — mistrza palcówek, gdyż własnych uczniów uczyłem jego metodą — co innego jednak jest kogoś uczyć, a co innego być zmuszonym do tego samego. Jest to prawie taka różnica, jak między wygłaszaniem kazania a występowaniem na scenie. Mimo wszystko, zabrałem się do pracy i stosownie do wskazówek Leszetyckiego zacząłem ćwiczyć. Oczywiście nie udało mi się od razu po paru tygodniach, a nawet miesiącach, postąpić wiele naprzód, gdyż złe nawyki — mój amatorski sposób traktowania gry, takie sobie po prostu przebieranie palcami — głęboko były już we mnie zakorzenione. Dotąd bowiem grałem tak, jak gra każdy



łatwo czytający nuty, nie dbając o technikę, a tylko o same nuty. Było mi najzupełniej obojętne, jakimi palcami wygram owe nuty; najważniejszą rzeczą było je wygrać, po prostu wydobyć dźwięk.

Po paru pierwszych lekcjach Leszetycki, który zazwyczaj nie przygotowywał początkujących (miał bowiem bardzo wielu dawnych uczniów i im zlecał pracę przygotowawczą), jakby zniechęcił się do mnie i stał się ogromnie nerwowy. Gdyby i mnie posłał do jednego z owych nauczycieli, znacznie by sobie sprawę ułatwił, gdyż ominęłoby go rozdrażnienie i udreka słuchania palców. Był zbyt wielkim artystą, by śledzić moje postępy w grze. Zrobił to jednak — zniósł to nudziarstwo, jak wielki baletmistrz, gdy zmuszony jest uczyć stawiania pierwszych kroków.

W swej dobroci i wspaniałomyślności wyobraził sobie, że da się to zrobić w kilka dni, ale niestety wiele jeszcze tygodni popełniałem dziecinne wprost błędy, nie uczono mnie bowiem dotąd właściwego używania palców. Ten wyjątek uczynił dla mnie Leszetycki w dowód uznania: zdawał sobie bowiem sprawę, że dawno już przekroczyłem stadium uczniowskie, tym niemniej i jego, i moja rola były dość trudne.

Stanowiło to główny powód, dla którego często zniechęcał mnie do studiów nad fortepianem. „Już jest za późno, za późno! — powtarzał. — Nie może pan być wielkim pianistą, bo stracił pan czas na uczenie się wielu, może zresztą przyjemnych dla pana przedmiotów, jak kontrapunkt, orkiestracja i tak dalej.” Zawsze wyczuwałem u niego jakby pewien wyrzut za to, że za wiele umiałem! Nie dochodziło między nami do wyraźnego tarcia, ale czułem coś w rodzaju chęci zemsty z jego strony za te moje różne umiejętności. Grę na fortepianie stawiał zawsze wyżej nawet od kompozycji.

Mimo wszystko nauczyłem się u niego grać poprawnie parę utworów. Nauczyłem się koncertu Saint-Saensa, i to na tyle, że mogłem w rok później wykonać go z or-

kiestrą w Strasburgu. Tok więc, jak pani widzi, zrobiłem jednak duże postępy. Poprzednio nie byłbym w stanie zagrać tego koncertu w ten sposób i z przeświadczeniem, że czynię to dobrze. Grałem kilka utworów Bacha, jedną z najłatwiejszych sonat Beethovena, a także jeden utwór Schumanna i jeszcze parę innych krótkich utworów. To było wszystko, co grałem z nim przez pierwsze trzy czy cztery miesiące studiów — w sumie dziewięć, może dziesięć lekcji. Był to mój pierwszy pobyt u Leszetyckiego. Powróciłem zresztą jeszcze do niego, jak się pani później dowie.

Chociaż studenckie życie w Wiedniu płynęło na ogół przyjemnie, pracowałem bardzo ciężko, niemal bez chwili wytchnienia — ciągle tylko praca, praca i praca. Sytuacja bowiem była tego rodzaju, że musiałem wykorzystywać każdy moment, by nadrobić to, co było dotąd zaniedbane. Musiałem — nie miałem chwili do stracenia i rzeczywiście w zupełności oddałem się pracy. Ćwiczyłem po siedem godzin dziennie przez cały czas mego pobytu, a jeśli chodzi o wypoczynek i rozrywki? Lekcje z Leszetyckim przesłaniały mi wszystko; były dla mnie jednocześnie nauką, odpoczynkiem i natchnieniem. Jedyne sporo czytałem, i to nie tylko gazety. Już wówczas interesowałem się bardzo polityką i czytałem wiele najrozmaitszych książek. Może nawet aż za wiele.

Mieszkałem wtedy w dwóch skromnych pokoikach w pobliżu willi Leszetyckiego. Jeszcze przez wiele lat, kiedy je później zajmowałem, były przesycone wspomnieniami ówczesnych zmagañ, rozczarowań, wspomnieniami lat ciężkiej nieustającej pracy, mego pierwszego wiedeńskiego występu i mojej pierwszej większej kompozycji (mój koncert, jak pani wiadomo, napisany był właśnie tam). Tak! Z owymi maleńkimi pokoikami, tak małymi, że oba zmieściłyby się w tym jednym, związane są wszystkie moje serdeczne wspomnienia. Stamtąd też wyruszyłem w daleki świat na

spotkanie życia. Zachowałem dla nich tyle sentymentu, tak przyłgnałem do nich całym sercem, że zatrzymałem je dla siebie na wiele lat, nawet wówczas, gdy zdobyłem już sławę jako pianista.

Kiedy opuściłem Wiedeń i zamieszkałem w Paryżu w roku 1889<sup>1</sup>, wynajmowałem je jeszcze, chociaż bywałem już w Wiedniu rzadko, a jeszcze rzadziej, gdy odbywałem tournée po Ameryce. Miałem wtedy nawet zamiar kupić cały dom, ale za późno się dowiedziałem, że właściciel chce się go pozbyć, i gdy się zgłosiłem — był już sprzedany. Owe pokoiki przedstawiały dla mnie ogromną wartość i bardzo żałuję, że nie udało mi się kupić domu, w którym się znajdowały. Zresztą było to może zrzadzenie opatrności. Obecnie dom ten byłby dla mnie tylko kłopotem i ciężarem.

Jedno jeszcze wspomnienie łączy się z tym drogim dla mnie miejscem, a jest nim pajak — mój pajak. Nie opowiadałem pani jeszcze o nim, a jest to urocza historia z czasów mej młodości. Pewnego dnia ćwiczyłem w swoim wiedeńskim pokoiku. Wśród utworów, które wtedy studiowałem i które musiałem grać codziennie jako wprawki, była też jedna z etiud Chopina — etiuda tercjowa. Właśnie zamierzałem ją rozpocząć, zapaliłem świece i usiadłem do fortepianu. W pokoju było ciemno. Tuż za oknami rosła masa bardzo gęstych krzewów. Nagle, już w czasie mej gry, z sufitu spuściło się na wieko fortepianu coś w rodzaju srebrzystej niteczki. Zwróciło to moją uwagę, zacząłem się bliżej przyglądać i wtedy zobaczyłem przyczepionego do nitki pajaka. Wisiał w powietrzu nieruchomo i zdawał się przysłuchiwać muzyce. Tak długo jak grałem ów utwór, mały pajaczek tkwił spokojnie na swej lince.

Teraz zbliżamy się do najciekawszego momentu. Po skończeniu etiudy tercjowej zabrałem się do nowej

<sup>1</sup> Paderewski ma tu na myśli ostateczne przeniesienie się do Paryża, mieszkanie wynajął tam bowiem rok wcześniej, w 1888 r. (Przyp. red.)

etiudy, tym razem sekstowej, ale gdy ją rozpocząłem, pająk, szybko okręciwszy się dokoła, powrócił na sufit. Rozbawiło mnie to, a zarazem zainteresowało. Pomyślałem sobie: „Muszę się przekonać, czy pajacek jest muzykalny, czy zszedł na dół, by z bliska posłuchać poprzedniego utworu, czy też zrobił to przypadkowo”. Przerwałem więc nagle etiudę sekstową i powróciłem do tercjowej. I oto natychmiast mały pajacek spuścił się znów na dół. Wyglądało to, jakby ześlizgiwał się po swej linie; tym razem ześliznął się do samego dołu i usiadłszy na fortepianie słuchał. Nie bał się wcale, tak głęboko przejęty był muzyką.

Zaintrygował mnie bardzo, czekałem, czy i nazajutrz się zjawi. Zaciekawiał mnie — przeczuwałem, że go znów zobaczę. I rzeczywiście! Gdy tylko rozpocząłem moje codzienne ćwiczenie etiudy tercjowej, pajacek zjawił się znowu. Znowu spuścił się na dół po niteczce zwisającej od sufitu. Przez cały ten dzień i następny, a także przez parę jeszcze tygodni stale, gdy tylko rozpoczynałem ową etiudę, pajacek natychmiast zawisł nad wiekiem fortepianu — był moim wiernym towarzyszem. Po pewnym czasie zdołałem nawet z bliska zobaczyć jego oczy, błyszczące jak maleńkie, świecące diamenty. I zawsze gdy grałem ową etiudę Chopina, siedział, a raczej wisiał nieruchomo — idealnie zadowolony i idealnie spokojny, a z chwilą gdy przerywałem grę — czym prędzej powracał na sufit i znikał. Czasami nawet miałem wrażenie, że gniewało go to.

Gdy nadszedł czas wakacji, byłem dziwnie niespokojny o mego pajaczka. Zastanawiałem się bowiem, co się z nim stanie i czy znajdę go, gdy powrócę. Stał się jakby nieodłączną częścią moich codziennych ćwiczeń, czymś w rodzaju towarzysza, i zdawałem sobie sprawę, że będzie mi go brakowało. Gdy we wrześniu powróciłem do swego mieszkania, szukałem go wszędzie. Szukałem jego linki, ale nie wisiała już nad fortepianem. Wielokrotnie też grywałem etiudę tercjową,

wielokrotnie ją ćwiczyłem, lecz mój mały przyjaciel — pajak — nie zjawił się. Pokój wydał mi się bez niego pusty i smutny. Co się z nim stało? Może zgniotła go jakaś nieuważna pokojówka? Albo może samotny i zniechęcony brakiem muzyki i pustym pokojem wywędrował gdzieś w świat? Pragnąłem w to uwierzyć. Dni jednak mijały, a ja już nigdy nie ujrzałem mego przyjaciela — pajączka.

W czasie studiów u Leszetyckiego zaszły pewne bardzo interesujące i ważne wydarzenia. Część artystów-muzyków mieszkających w Wiedniu postanowiła założyć własny klub. Wysłano więc pismo okrężne do wszystkich profesorów i studentów, proponując im członkostwo. Klub zorganizował Leszetycki i wprowadził mnie już na pierwsze zebranie. Wtedy to wśród słynnych muzyków wiedeńskich po raz pierwszy spotkałem Jana Brahmsa.

Atmosfera zebrania była bardzo miła i serdeczna — brali w nim udział sami tylko muzycy. Poproszono mnie, a także jeszcze jednego młodego pianistę, o zagranie kilku własnych utworów. Brahms, który słuchał mej gry, wyraził się o niej bardzo łaskawie i dodatnio.

Pamiętam dobrze jego zdanie o sonacie na fortepian i skrzypce, którą graliśmy na jednym z późniejszych zebrań klubowych.

W czasie gry słuchał, jak zwykle uważnie, a potem powiedział: „To jest bardzo efektowne i bardzo subtelne, ale drogi panie Paderewski, to nie jest muzyka kameralna, to jest sonata koncertowa”. Była to cenna dla mnie, w pewnym sensie krytyczna, ale jednocześnie przychylna ocena.

Zebrania w klubie odbywały się często. We wszystkich brałem udział, często więc miałem sposobność spotykać Brahmsa i rozmawiać z nim. Był zresztą człowiekiem raczej milczącym. Nie można tego inaczej nazwać. Gdy odwiedziłem go raz, chcąc usłyszeć opinię o jednej z moich kompozycji, odniosłem wrażenie, że nie należy

do ludzi szczególnie udzielających się i wykształconych. Miał jednak dużo wiadomości, i to z różnych dziedzin; brak wykształcenia wynikał — jak przypuszczam — stąd, iż nie miał po prostu czasu na inne poza muzyką zainteresowania. Wydaje mi się, że zajmowała go jednak polityka. Nie miałem zresztą sposobności poruszania z nim tego tematu, czego dziś żałuję, gdyż polityka już wtedy interesowała mnie ogromnie.

Brahms mieszkał stale w Wiedniu i często miałem okazję spotykać się z nim; W stosunku do mnie był zawsze bardzo miły. Na ogół natomiast nie uchodził za uprzejmego, miał nawet opinię brutala, a niekiedy nawet lubił być brutalny; jednak można by go raczej nazwać szorstkim, z czego zresztą zdawał się cieszyć. Myślę, że brutalność jego i szorstkość były tylko rodzajem pozy, że nie wypływały z jego natury, a stanowiły jedynie osłonę dla nadmiernej wrażliwości. Ktoś nie mający natury wrażliwej i subtelnej nie mógłby tak tworzyć, jak tworzył Brahms. Był niski i bardzo tęgi, z olbrzymim brzuchem i ogromną brodą. Właściwie był karykaturą Jowisza, gdyż twarz jego przypominała ogromnie tego boga. Bardzo piękna głowa, krótkie nogi i bardzo małe stopy. Brahms nigdy nie dawał lekcji. Kiedyś, nie pamiętam już przy jakiej okazji, zacząłem z nim rozmowę, chcąc uprosić go o udzielenie mi paru lekcji, ale nawet nie chciał o tym słyszeć. „Nie — powiedział — stanowczo nie! Nigdy nie uczę i nie mam na to czasu, a poza tym pan już nie potrzebuje dalszej nauki. Może pan zostać swym własnym nauczycielem. Mnie pan już nie potrzebuje!” Odmowa była dla mnie, mimo wszystko, wielkim rozczarowaniem.

Istniało wówczas dwóch ludzi, którzy jednocześnie panowali w świecie muzyki. Z jednej stony znajdował się duży obóz zwolenników Wagnera, a z drugiej — stronnicy starych, klasycznych mistrzów, i ci wielbili Brahmsa. Muzycy „z urzędu”, myślę w tym wypadku o Akademii Muzycznej i wszystkich konserwatoriach (a było ich

w Berlinie kilka), byli naturalnie za Brahmem. Publiczność natomiast — cała za Wagnerem; atrakcyjność jego muzyki była dodatkowo spotęgowana dzięki połączeniu muzyki z widowiskiem, co w sumie daje operę. A opera, jak pani wiadomo, jest właściwie rozrywką. Brahms miał więc dość ograniczoną ilość zwolenników. Jednakże Niemcy (by zadośćuczynić tradycji Beethovena, Schumanna, Mendelssohna itd.) odczuwają zawsze potrzebę posiadania chociażby jednego wielkiego kompozytora symfonicznego, a że Brahms był właśnie świetnym przedstawicielem muzyki symfonicznej — czystej muzyki — tak prasa, jak i wszyscy prawdziwi miłośnicy muzyki stale wyrażali się o nim w słowach największego zachwytu i entuzjazmu. Joachim na przykład był bardzo przeciwny Wagnerowi, chociaż podziwiał jego zdolności. Był też bardzo przywiązany do Brahmsa, może głównie dlatego, że kompozytora tego wprowadzał w świat muzyczny Schumann, którego Joachim uwielbiał.

Czy czytała pani, że gdy Brahms po raz pierwszy znalazł się w towarzystwie Roberta Schumanna, wywarł na nim tak wielkie wrażenie, iż Schumann napisał i ogłosił drukiem w jednym ze Swych pism muzycznych w Lipsku artykuł o nim, zaczynający się od patetycznych słów: „Panowie, kapelusze z głów! Oto geniusz!”<sup>1</sup> Schumann istotnie nazwał Brahmsa geniuszem, choć może przesadnie, gdyż Brahms nim nie był; był wielkim mistrzem, cudownym kompozytorem przede wszystkim muzyki kameralnej, nie dorównywał jednak Bachowi, a nawet samemu Schumannowi.

W czasie pobytu w Wiedniu z wielką przyjemnością chodziłem na przedstawienia operowe, ale jeszcze chętniej oglądałem sztuki teatralne, dramaty, a nade wszystko

<sup>1</sup> Słowami tymi witał Schumana talent Chopina, a nie Brahmsa. Temu ostatniemu poświęcił zresztą także ogromnie entuzjastyczny artykuł pt. *Neue Hahnen*; określa w nim Brahmsa jako tego, który wyznaczy muzyce „nowe drogi”. (Przyp. red.)

komedie. Już wtedy miałem wyrobione zdanie o teatrze. Wiedeński teatr stał oczywiście na znacznie wyższym poziomie od berlińskiego. W Berlinie wszystko nosiło jakiś stempel urzędowości, a to na skutek panującego ducha militarystyki i silnej, żelaznej dłoni rządu pruskiego. W Wiedniu nastrój był o wiele swobodniejszy, istniało znacznie więcej możliwości dla indywidualnego rozwoju. Sama atmosfera miasta przepojona była jakimś urzekającym czarem, urok emanował z ludzi, ze wszystkiego! Wiedeń był miastem czarującym i wciąż jeszcze jestem doń bardzo przywiązany. To miasto najbliższe memu sercu.

Tak więc Wiedeń, jedno z najpiękniejszych i najmiłszych miast kontynentu, był w, owym czasie bardzo wesołym miejscem pobytu. Odzwierciedlał usposobienie swoich mieszkańców. Można tam było usłyszeć dużo wspaniałej muzyki; orkiestra Filharmonii Wiedeńskiej była jedną z najlepszych na świecie (o ileż lepszą od berlińskiej). Jedna tylko orkiestra mogła jej dorównać, a nawet czasami ją przewyższała, to orkiestra Konserwatorium Paryskiego. Skrzypce były w Wiedniu lepsze, lecz instrumenty dęte orkiestry paryskiej przewyższały wszystkie orkiestry świata.

Uwagi moje na temat orkiestry są pewnego rodzaju dygresją, lecz ponieważ ich treść stanowi historię dość niezwykłą, uważam za celowe przytoczenie ich tutaj. Co do orkiestry paryskiej — była ona sama w sobie jakby małą republiką, która w przeciwieństwie do innych orkiestr, sama obierała sobie dyrygenta, rzecz prosta, wygodnego dla wszystkich i niezbyt wymagającego. Pomimo tej niebezpiecznej procedury pozostawała wciąż świetną orkiestrą. Wprawdzie nie odznaczała się wielką dyscypliną, gdyż dyrygent nie posiadał bezwzględnego autorytetu, lecz artyści grający na instrumentach dętych byli doskonałymi wirtuozami i dzięki nim zespół osiągnął bezwzględną wyższość nad innymi: absolutnie nikt nie dorównywał cudownej grze fletów,





*Czternastoletni  
Paderewski*



**KRAKOWIAK**  
FANTAZJA

FP224

**J. I. PADEREWSKIEGO**

Cena 1/200p

WYKADEN REDAKCYI ECHA MUZYCY TEATR. ARTYSTYCZ

Warszawa, Szosańska 26 RAJCHMAN I FRIEDLER



*Przed rokiem 1900*







*Portret pędzla Alma-Tademu*

klarnetów, obojów i innych instrumentów tej orkiestry.

Opera Wiedeńska zajmowała pierwsze miejsce wśród innych niemieckich oper. Wiedeń miał poza tym najlepszy teatr dramatyczny na świecie. Cykle dramatów Schillera i Szekspira, wystawiane rokrocznie — były doskonałe, miały już ustaloną renomę, a dwór wiedeński bardzo szczerze subwencjonował wszystkie istniejące przybytki sztuki.

Wiedeń żył intensywnie i bardzo wesoło. Wrażenie, jakie to miasto na mnie wywarło, było głębokie, mimo że Wiedeń to nie pierwsza wielka stolica, jaką poznałem, poprzednio bowiem spędziłem dwa lata w Berlinie.

Ale temperament wiedeńczyków był zupełnie odmienny, a oni sami bardzo sympatyczni. Ludność Wiednia była różnorodna, niejednolita, podczas gdy stolica Niemiec — czysto niemiecka. Mieszkańcy Wiednia tworzyli konglomerat wielu narodowości, składających się na cesarstwo austro-węgierskie; byli tam: Węgrzy, Serbowie, Czesi, Słowacy i Rusini. Spotykało się naturalnie bardzo wielu Polaków; odgrywali oni znaczną rolę w administracji kraju. Wielu było członkami Wyższej i Niższej Izby. Zdarzało się też, że Polacy piastowali najwyższe stanowiska państwowe: stali nawet na czele rządu, co mnie, jako Polakowi, było szczególnie mile. Ministra finansów i ministra komunikacji, którzy byli Polakami, dobrze znałem.

Dworu wiedeńskiego strzegła jedna z najsurowszych etykiet Świata — był w ogóle niedostępny. W Berlinie i Wiedniu wszystko było tak bardzo odmienne. Trudno chyba o większy kontrast niż między tymi dwoma miastami.

W owych latach studenckiej biedy byłem zbyt młody i nic nieznaczący, by mieć dostęp do którejś z wysoko postawionych osobistości. Przyszło to dopiero wiele lat później, ale jestem przekonany, że nawet gdyby było inaczej, przywilej bywania na dworze niemieckim,

a nawet austriackim, nie sprawiłby mi przyjemności, gdyż uważałem te dwory, podobnie jak dwór rosyjski, za moich ciemiężców, za ciemiężców Polski.

W życiu muzycznym Wiednia Leszetycki odgrywał wielką rolę. Wpływ jego na studentów był ogromny — i trwały. Dziś jeszcze powracam często myślą do dni z nim spędzonych i chciałbym pani podkreślić, iż chociaż uwagi jego nie zawsze dodawały mi ducha, chociaż systematycznie zniechęcał mnie do gry ciągłym powtarzaniem, że przybyłem za późno — mimo wszystko odnosił się do mnie wyjątkowo przychylnie. Stałe okazywał mi względy, co było bardzo miłe. Raz w tygodniu odbywały się u Leszetyckiego liczne-zebrania najbardziej zaawansowanych uczniów, tych, którzy brali u niego prywatne lekcje. Uczniowie ci grali wobec wszystkich zebranych studentów. Był to właściwie rodzaj koncertu, ale określano go jako ćwiczenia. Uczniowie drżeli przed owymi „ćwiczeniami”, gdyż wymagany był bardzo wysoki poziom gry — Leszetycki sam zasiadał przy fortepianie, gotów w każdej chwili wylać swą złość i wściekłość na ucznia, który by nie sprostował zadaniu. A Leszetycki potrafił być niemiłosierny. Nieraz przerywał uczniowi i na oczekaniu udzielał mu reprymendy. Czasami owo karcenie trwało krótko, ale zdarzało się, że uwagom towarzyszyły liczne wymysły. Krzyczał wtedy i ciskał gromy. Gwałtowny, nieraz tracił panowanie nad sobą, i wówczas stawał się bardzo nieprzyjemny. Po takim wybuchu zwykle podchodził pierwszy do ucznia i mówił: „No, no, nie było znów tak źle”. W głębi serca bowiem był dobry i wspaniałomyślny, ale jako nauczyciel — nieubłagany.

Mnie nie zapraszał nigdy do grania podczas tych zebrań, co było dowodem delikatności i zrozumienia mojej specyficznej sytuacji. Czuł, że nie może traktować mnie na równi z owymi młodymi ludźmi studiującymi u niego i grywającymi na „ćwiczeniach”. Od początku zdawał sobie z tego sprawę i traktował mnie



odmiennie. Okazywał tym swoją życzliwość, uprzejmość i uznanie. Wzruszało mnie to do głębi.

Leszetycki nie był w całym tego słowa znaczeniu mężczyzną pięknym, lecz miał szlachetną i wyrazistą twarz. Miał też w sobie swoisty magnetyzm. Był niezwykle inteligentny i wyjątkowo wykształcony. Język niemiecki znał oczywiście doskonale, chociaż urodził się w Polsce z matki Polki — o czym się zwykle nie pamięta. Co do narodowości jego ojca — niewiele potrafię pani powiedzieć<sup>1</sup>. Że nie była niemiecka, świadczy samo brzmienie jego nazwiska. Myślę, że ojciec jego był Słowakiem lub Rusinem, może Czechem, posługiwał się jednak językiem polskim i przez całe prawie życie przebywał w Polsce. Leszetycki mówił też świetnie po francusku.

Miał bardzo wielu wyjątkowo interesujących uczniów. U wszystkich wyczuwało się pewne piętno samego Leszetyckiego. Wszyscy nauczyli się już od niego właściwego uderzenia, dobywania z fortepianu miękkiego i śpiewnego dźwięku. Było to ogromnie ważne. Równie ważna była też sprawa rytmu. Wszyscy, nawet ci, którzy nie mieli wrodzonego poczucia rytmu, po nauce u niego grali rytmicznie. Niektórzy uczniowie cieszyli się już zasłużoną sławą, odnosili duże sukcesy.

Prywatne lekcje z Leszetyckim miewałem tylko co dwa tygodnie — ale po każdych „ćwiczeniach” zapraszał mnie do siebie, chciał bowiem być stale otoczony młodymi ludźmi, którzy mogliby zabawiać go i w których towarzystwie czułby się dobrze. Ponieważ umiałem grać w karty i bilard, byłem gościem mile widzianym.

Jak już mówiłem, w czasie pierwszego pobytu w Wiedniu wziąłem u niego dziewięć czy dziesięć lekcji, następnym razem — szesnaście. Ale to jeszcze nie wszystko. Później, mimo że już koncertowałem, prosiłem

<sup>1</sup> Ojciec Leszetyckiego był również Polakiem. (Przyp. red.)

go o parę dodatkowych lekcji. Uważałem, że mogę się jeszcze czegoś nauczyć, i rzeczywiście — ciągle uczyłem się, jak pracować nad swoją grą. Jest to bowiem dla każdego artysty rzecz najważniejsza. Doszedłem do przekonania — muszę tu wyrazić się nieco paradoksalnie — że jeżeli ktoś pragnie mieć sam dla siebie przyjemność z gry, może po prostu grać, jeżeli zaś pragnie, aby gra jego sprawiała przyjemność innym — musi stale pracować. Wtedy właśnie zaczynałem to rozumieć. Konieczny był chrzest ogniowy — występy przed wielkimi tłumami słuchaczy, wielkim audytorium, a chrztu takiego jeszcze nie przeszedłem.

\*

Po paru miesiącach studiów u Leszetyckiego zdałem sobie sprawę, że skorzystałem już dużo, lecz wtedy właśnie musiałem wracać do Warszawy. Było to bezwzględnie konieczne, gdyż oszczędności moje się wyczerpały — potrzebowałem pieniędzy. Miałem już sporo utworów wydanych, poza tym, wiele w rękopisach, komponowałam więc dalej. Wówczas to napisałem sonatę na skrzypce i parę pieśni. Zdecydowałem się też wystąpić z koncertem własnych kompozycji. Działo się to w Warszawie w roku 1885. Zaraz potem usłyszałem po raz pierwszy Rubinsteina. Poznałem go już poprzednio w domu Bocka w Berlinie. Przypomina sobie pani, jak bardzo pochlebnie wyrażał się wówczas o moich kompozycjach, lecz dopiero teraz w Warszawie usłyszałem po raz pierwszy jego grę (dał wtedy kilka koncertów). Wywarł na mnie szalone wrażenie; to, zdaniem moim, największy artysta owej epoki. Byłem na czterech koncertach. Już za pierwszym razem gra jego przechodziła wszelkie wyobrazenie — tego się nie da opisać! Wykonał własny koncert z towarzyszeniem orkiestry, następnie parę mniejszych utworów. Grał cudownie — szczególnie koncert. Nie znałem dotąd utworu tego i nie byłem też wytrawnym krytykiem, odczuwałem jednak

w tej muzyce wielką, żywiołową siłą, przy czym niektóre momenty gry Rubinsteina były niewypowiedzianie piękne.

Drobne utwory cechowało w jego wykonaniu głębokie przeżycie i wielka poetyczność. Słuchając go, doznawałem wrażenia, że zetknąłem się z żywiołową siłą i równocześnie z jakąś dzikością. Rubinstein nie zawsze grał poprawnie; choć niewątpliwie mistrzowsko opanował instrument, to jednak dawały się również zauważyć pewne niedociągnięcia pamięciowe, a nawet techniczne. W pewnych momentach olśniewał słuchaczy swą techniką, kiedy indziej — sprawiał wrażenie zwykłego amatora. Miał wrodzony talent techniczny, i to go niejednokrotnie ratowało. Wielki artysta posiada go zresztą zawsze. Gdy Rubinstein grał sonaty Schumanna lub Beethovena, chwilami wydawało się, że gra byle jak. Zresztą zależało, co grał w danej chwili. Kiedy dochodził do fragmentów melodyjnych i lirycznych — istotnie wynagradzał poprzednie potknięcia. Czasami opuszczał po prostu całe ustępy, gubił się kompletnie i zamiast właściwego tekstu grał to, co mu się przypadkiem przypomniało — to było okropne!

Natomiast kilka krótkich utworów Chopina, przede wszystkim mazurki, preludia i nokturny, zagrał wręcz cudownie. Tak, grał pewne rzeczy bosko, inne okropnie. Niekiedy na przestrzeni kilku stron nie mogłem dostrzec jednej poprawnie wykonanej frazy. Najzwyczajniej zapominali. Pamiętam doskonale, że coś takiego zdarzyło mu się, gdy grał / *Sonatę fis-moll* op. 11 Schumanna — straszna rzecz! Lecz gdy doszedł do arii (w jednej z części *Sonata* ta zawiera przepiękną arię), krótkiego, trwającego zaledwie trzy minuty fragmentu, wykonał ją przepięknie, nadzwyczajnie odtwarzając niebiańską wprost atmosferę arii. Później przeszedł do finału, który znów zagrał niedbale i chaotycznie. Mimo wszystko jednak w pewnych momentach jego gry przejawiał się prawdziwy geniusz.

Jako wirtuoz zasadniczo różnił się od swego brata Mikołaja, także znakomitego pianisty. Gdy ten ostatni grał koncert z orkiestrą, utwór wykonany był wspa-  
niałe, majestatycznie, po akademicku dokładnie i bez  
żadnych usterek. Miał wyjątkowo piękne uderzenie,  
może dzięki zadziwiająco grubym palcom. Niech  
sobie pani bowiem wyobrazi, że miał ręce grube z bardzo  
grubymi koniuszkami palców, a palce takie wydoby-  
wają zawsze przepiękny ton. Miałbym tu do powiedzenia  
parę ciekawych uwag na temat grubych palców i ich  
znaczenia w grze na fortepianie; myślę jednak, że w innej  
części mego opowiadania znajdzie się na to odpowiednie  
miejsce. Temat jest ciekawy i nadający się do rozwa-  
żenia, ale odłóżmy go na później. Teraz powróćmy do  
Rubinsteina — tyle jest jeszcze o nim do powiedzenia.

Gdy Mikołaj Rubinstein zabierał się do grania mi-  
niatur, robił na mnie wrażenie tańczącego niedźwiedzia! Antoni Rubinstein grał je — powtarzam — rzeczywiście  
bosko; to były doskonałe pod każdym względem klej-  
nociki.

Utwory, które Antoni Rubinstein grał już za swoich  
młodych lat, wykonywał zawsze pięknie, ćwiczył je  
bowiem od młodości, weszły mu jak gdyby w krew,  
natomiast przygotowane później, w latach dojrzałych,  
okazywały się nie dopracowane. Rubinstein był bo-  
wiem zajęty przede wszystkim kompozycją. To była  
jego prawdziwa miłość, ale nieszczęśliwa, bo nie zawsze  
odwzajemniona!

Jak już mówiłem, nokturny, preludia i mazurki Cho-  
pina grał wyjątkowo pięknie. Słyszałem go też dwu-  
krotnie, gdy grał w domach prywatnych: u dyrektora  
konserwatorium w Warszawie, a także w domu jednego  
z przyjaciół, i wtedy grał okropnie. Zupełnie się nie  
przygotował i nie ćwiczył. Było to żalosne!

Chciałbym jeszcze, o ile pani pozwoli, pomówić trochę  
o Rubinsteinie, o jego charakterze i wyglądzie, zwłaszcza  
na estradzie. Przede wszystkim miał imponującą po-

wierzchowność. Nie był bardzo wysoki, lecz potężnie zbudowany, miał wyjątkowo interesującą głowę z gęstwiną ciemnych, niesfornych włosów. Była to „beethovowska” głowa. Źle widział (był bliski ślepoty) i wyraz jego stale na pół przymkniętych oczu (nie znosił światła) podkreślał jeszcze wrażenie potężnej, ale raczej tajemniczej istoty.

Znał świetnie francuski i niemiecki — rosyjski, rzecz prosta, także: nie był jednak człowiekiem o wyższej kulturze. Syn żydowskiego kupca — nie miał w sobie absolutnie nic żydowskiego, ani w wyglądzie, ani w mowie, nie miał też sposobu bycia właściwego tej rasie. Za to brat jego, Mikołaj, wręcz przeciwnie — o jasnej cerze, był jednak typowym Żydem.

Jeszcze w dzieciństwie słyszałem tak wiele o Rubinsteinie, o jego wspaniałych sukcesach i cudownej grze, a także o jego kompozycjach, że osobiste zetknięcie się z jego grą nie tylko zrobiło mi wielkie wrażenie, ale było spełnieniem marzeń, ziszczeniem fantastycznych snów. Było jednak i nauką na przyszłość, nauką i przestrogą: w grze Rubinsteina wyczuwało się bowiem połączenie wielkości ze skrajnym niedbalstwem. Jego własne kompozycje na przykład nosiły przeważnie piętno niedbalstwa. Niemal każda zawierała piękny pomysł, zupełnie jednak później nie rozpracowany. Rubinstein nie posiadał koniecznej kompozytorowi umiejętności koncentracji myśli i cierpliwości.

Zaniedbywanie pracy nad fortepianem wpływało prawdopodobnie stąd, że głównym jego celem było komponowanie, gra na fortepianie zaś tylko życiową koniecznością. Gdy wyjeżdżał na tournée, powracał zawsze z kufrem pełnym rękopisów. Setki jego kompozycji zostało wydanych. Napisał wiele oper, sześć czy siedem symfonii, sześć koncertów fortepianowych, a także koncert skrzypcowy. Z muzyki kameralnej pisał tria i kwartety fortepianowe, kwartety smyczkowe i — wprost nieskończoną ilość różnych utworów, z których

każdy rozpoczynał się wspaniale, a potem pozostawiał dużo do życzenia.

Uspodobienie miał gwałtowne i nierówne. Żył w ciągłej rozterce, zmuszony koniecznością życiową do koncertowania, podczas gdy jego jedynym pragnieniem była kompozycja. Namietność do komponowania, a także i ogromna ambicja — popychały go naprzód, w trawiącej go nadziei nieśmiertelności.

Myślę, że jestem jednym z nielicznych pianistów, którzy dziś jeszcze grają utwory Rubinsteina. Wszyscy inni zapomnieli o nich zupełnie, z wyjątkiem *Koncertu d-moll*. Drobne, małe utwory też poszły już w niepamięć. A przecież śliczne są barkarole, jak również i niektóre pieśni, a już *Valse-Caprice* jest wyjątkowo świetnym i efektownym utworem. Poza tym jest jeszcze wiele jego kompozycji pełnych liryzmu i piękna. *Koncert d-moll* należy, jak już wspomniałem, do bardzo popularnych, głównie dzięki cudownej części pierwszej. Jest ona skończonym arcydziełem — arcydziełem tak doskonałym, jak doskonała narodziła się Minerwa z głowy Jowisza. Druga część *Koncertu* jest również piękna, ale nie da się porównać z pierwszą. Sam finał zupełnie już słaby, lecz dzięki wspaniałej pierwszej części *Koncert* jest ciągle chętnie grywany i podoba się bardzo słuchaczom. Przypuszczam, że z większych kompozycji Rubinsteina będzie to jedyna, która przejdzie do potomności.

Rubinstein był postacią tytaniczną i muszę raz jeszcze podkreślić, że muzyka jego stała się dla mnie bodźcem do dalszej pracy i pobudziła moją ambicję pianisty. Niestety, pomimo inspiracji, które zawdzięczałem tej muzyce, własne moje problemy życiowe pozostawały wciąż nie rozwiązane. Byłem bardzo biedny, nie miałem pieniędzy. Koncert, z którym wystąpiłem i który przyniósł mi sukces, nie stanowił dużej pomocy finansowej. Nie bardzo wiedziałem, co dalej z sobą począć. Aż nagle po paru tygodniach niepewności zaświtał promyk nadziei. Dostałem od Leszetyckiego list donoszący mi, że kon-

serwatorium w Strasburgu zwróciło się do niego, z prośbą o polecenie im odpowiedniego profesora. List pełen był entuzjazmu: „Mam dla pana ciekawą propozycję z konserwatorium w Strasburgu. Proszą mnie o muzyka, nauczyciela harmonii i kontrapunktu, a jednocześnie profesora gry na fortepianie dla wyższych klas. Poleciłem im specjalnie pana. Bardzo radzę przyjąć tę propozycję. Może pan tam być pożyteczny, a jednocześnie i dobrze zarabiać, bo Strasburg jest miastem bogatym. Mieszka tam dużo osób interesujących się muzyką. Poziom tego konserwatorium jest wysoki, a że pan zna niemiecki i francuski, będzie pan mógł w nauce posługiwać się obu językami, co w tym właśnie mieście jest bardzo pożądane”.

Leszetycki polecał mi gorąco przyjęcie tej posady — było to w pewnym sensie potwierdzenie tego, co od początku mi powtarzał: że na karierę pianisty już dla mnie za późno.

Rozważywszy wszystko dokładnie, mimo wewnętrznego buntu, jaki odczuwałem, zdałem sobie w pełni sprawę z uprzejmości Leszetyckiego i jego chęci przyjścia mi z pomocą. Nie miałem pieniędzy, nie pozostawało więc nic innego, jak wyrazić zgodę — widocznie tak już musiało być. Pojechałem do Strasburga i znowu byłem nauczycielem. Pojechałem tam w lipcu 1885, nie mając jeszcze dwudziestu pięciu lat. Musiałem zdawać egzamin. Egzaminowali amatorzy, co mnie, mającego już za sobą pewną karierę muzyczną, wydało się bardzo zabawne. Konserwatorium bowiem podlegało dwu różnym władzom: miastu, to znaczy zarządowi miejskiemu, i opiekunom, którzy wszyscy byli amatorami. Zebrali się w komplecie, by posłuchać mej gry i osądzić, czy odpowiadam wymaganym od profesora warunkom. Grałem więc, i to nie tylko solo; wykonałem też parę utworów kameralnych., Profesorom z klas skrzypiec i wiolonczeli polecono grać razem ze mną — chodziło o to, aby i oni wydali swój sąd o mnie. Graliśmy więc, i najwidoczniej

podobałem się wszystkim tym poważnym jegomościom, bo natychmiast podpisano ze mną kontrakt. Wynagrodzenie miało wynosić dwa tysiące czterysta marek, czyli około sześciuset dolarów rocznie, co było wówczas znaczną sumą. Kontrakt wymagał też ode mnie, abym w ciągu roku dał jeden koncert abonamentowy, koncert z orkiestrą, dwa koncerty kameralne i poza tym wystąpił z własnym recitalem fortepianowym. Program straszliwie obszerny.

Pracowałem bardzo ciężko. Miałem' dwadzieścia cztery godziny lekcji tygodniowo, a owo wynagrodzenie, jak się okazało, nie było wcale duże. Po opłaceniu mieszkania i utrzymania nic mi już prawie nie pozostawało. Dawałem prywatne lekcje, by jakoś wyrównać braki i możliwie żyć. Poza tym sam ciągle jeszcze studiowałem i ćwiczyłem.

Jakież ciężkie i pracowite były te lata, na które teraz spoglądam wstecz z oddali. Gdy mówię dziś o nich z panią, nie jestem w stanie pojąć, w jaki sposób mogłem podołać wszystkim trudom mego całego życia. Rok po roku, od lat chłopięcych do dziś, stale nie kończąca się praca — fizyczna i umysłowa. Widocznie los obdarzył mnie żelaznym organizmem, za co mu jestem zawsze wdzięczny.

Praca w konserwatorium w Strasburgu była tym bardziej uciążliwa, że miałem tam zaledwie paru zdolnych uczniów. Chociaż klasa była dość liczna, uczennice moje — jak to zwykle z dziewczętami bywa — przeważnie nie odznaczały się zdolnościami, a uczyły się jedynie dla uzyskania dyplomu. Często dzieje się tak w szkołach, wszędzie powtarza się ta sama historia.

Jedyne, co sprawiało mi tam satysfakcję, to występy przed publicznością; kosztowały mnie one niemało trudu, ale utrzymywały przy życiu moje ukryte nadzieje. Na początek zagrałem koncert Saint-Saensa, który przestudiowałem jeszcze z Leszetyckim, oraz kilka utworów solowych. Następnie brałem udział w kon-



cercie kameralnym, a wkrótce potem miałem swój recital, uwieńczony wielkim sukcesem. Muszę przyznać, że publiczne występy emocjonowały mnie zawsze bardzo, a także — jeśli mam być szczery — sprawiały wiele cierpienia, ale za każdym razem nagrodą było osiągnięte powodzenie. Robiłem postępy.

W owym czasie zwrócono się do mnie z prośbą o występy w Karlsruhe. Poza tym grałem w kilku innych jeszcze, małych, prowincjonalnych miastach Alzacji. Jak pani widzi, stawałem się coraz bardziej znany, i to było najlepszą dla mnie zachętą do dalszej pracy nad grą. W Alzacji poznałem wielu wybitnych Francuzów, których widywałem później w Paryżu. Przede wszystkim z wdzięcznością wspominam sławnego męża stanu Jules Ferry'ego i Charles'a Floquet, przewodniczącego Izby Deputowanych. Bywałem też w gościnnym domu pana Scheurer-Kerstnera, gdzie doznałem dużo życzliwości. Pan Scheurer-Kerstner był senatorem i cieszył się wpływami w Paryżu. Wszyscy ci życzliwi ludzie zachęcali mnie ogromnie, nawet wprost namawiali do wyjazdu i koncertowania w Paryżu. Okazywany przez nich entuzjazm stał się dla mnie źródłem nowej energii. Uważali, że byłem już dostatecznie przygotowany do debiutu w Paryżu. Zainteresowanie ich moją osobą było żywe i szczere — znaleźli się na drodze mego życia w przełomowym znowu dla mnie okresie.

Powoli doszedłem do przekonania, iż wbrew utartej opinii otwiera się przede mną nareszcie droga pianistycznej kariery. Już po pierwszych występach w Alzacji, widząc życzliwe i przychylne ustosunkowanie się publiczności, pomyślałem, że mając możliwość grania w Paryżu, nie mogę tej sposobności zlekceważyć, bo być może i tam czeka mnie powodzenie. To przekonanie wzmocniło moją wiarę we własne możliwości i dodało sił do znoszenia trudów życia.

Stale wracałem myślą do Rubinsteina i do uczuć, jakie we mnie jego gra budziła, co również podtrzy-

mywało mnie na duchu. Rok pobytu w konserwatorium w Strasburgu, chociaż niezmiernie ciężki i wyczerpujący, jeżeli chodzi o pracę nauczycielską, był jednak okresem bogatym w przeżycia. W owym też czasie wielu nowych przyjaciół pojawiło się na horyzoncie mego życia, a poza tym przeżyłem wielką radość: spotkałem się znów z Rubinsteinem.

Przejeżdżał przez Strasburg udając się do Paryża, gdzie miał dać pożegnalne występy. Nazwał je historycznymi, gdyż programy siedmiu koncertów zawierały prawie wszystkie arcydzieła literatury muzycznej. Koncerty te miały się odbywać we wszystkich większych stolicach Europy: w Wiedniu, Paryżu, Berlinie i Londynie i oczywiście także w jego rodzinnym kraju — w Petersburgu i Moskwie.

Zadepeszował do dyrektora konserwatorium, Franciszka Stockhausena, z wiadomością, że przejeżdżać będzie przez Strasburg, gdzie zatrzyma się dwie godziny. W owym czasie pociągi chodziły wolno i na większych stacjach miały dłuższe postoje. Rubinstein prosił, by dyrektor zjadł z nim obiad w restauracji dworcowej i „przyprowadził z sobą Paderewskiego”. Pochlebiało mi to niezmiernie, że w ogóle o mnie pamiętał i wiedział, gdzie się znajduję. Pojechaliśmy więc na dworzec. Rubinstein, jak zawsze bardzo miły, wypytywał o moje życie w Strasburgu i kompozycje, o których nie zapomniał. „Mam nadzieję, że zobaczę pana w Paryżu na moich koncertach, musi pan stanowczo przyjechać, będę pana oczekiwał” — powiedział mi przy pożegnaniu. Zaproszenie to zachwyciło mnie, postanowiłem z niego skorzystać, by raz jeszcze posłuchać jego gry. Przyszło mi to z wielkim wysiłkiem, z wielkimi ofiarami, wyjazd bowiem do Paryża był rzeczą kosztowną, trudną do zrealizowania przy ówczesnym stanie moich finansów.

Obecnie przechodzimy do jednego z najbardziej przykrych momentów mego życia. Po wielu tygodniach

oszczędzania i liczenia się z każdym groszem udałem się do Paryża. Zarabiając dwa tysiące czterysta marek (sześćset dolarów) rocznie, nie mogłem pozwolić sobie na żadne luksusy. Pojechałem jednak i wynająłem pokój w bardzo skromnym hoteliku. Po przyjeździe dowiedziałem się, że Rubinstein mieszka w Hotel du Helder, i niezwłocznie się do niego wybrałem. Siedem kolejnych recitali miało się odbyć w Sali Erarda, mogącej pomieścić zaledwie około siedmiuset osób. Rzecz prosta, miejsca były już dawno wyprzedane, ale przypuszczałem, że bez względu na to zawsze uda mi się znaleźć jakieś miejsce, kącik lub jakieś dostawione krzesło. Gdy znalazłem się u Rubinsteina, okazał mi dużo serdeczności i zatrzymał wraz z kilkoma jeszcze osobami na śniadaniu. Po śniadaniu nieśmiało, choć z radością, podszedłem do niego i powiedziałem, że przyjechałem do Paryża specjalnie, by usłyszeć któryś z jego koncertów, i zapytałem, czy nie mógłby ułatwić mi nabycia biletu. Nie jestem w stanie do dziś dnia zrozumieć jego odpowiedzi — odpowiedzi człowieka naprawdę dobrego i uczynnego. Pamięta pani, jak niedawno opowiadałem, że sam parę tygodni temu zapraszał mnie serdecznie na swój koncert. Otóż teraz — zamiast powiedzieć mi, że znajdzie się bilet do mojej dyspozycji, suchym tonem oznajmił, że sprawą biletów się nie zajmuje i że mam się z tym zwrócić do Wolffa. Wolff był jego impresariem, jeździł z nim po całej Europie. Jako właściciel znanej agencji, która w rzeczywistości zmonopolizowała wszystkie imprezy artystyczne w Europie, zajmował w świecie muzycznym znaczną pozycję. Był agentem Rubinsteina, Joachima oraz wszystkich wielkich ówczesnych „gwiazd”.

Udałem się więc do Wolffa, o którym później więcej opowiem w związku z moimi własnymi sprawami. Mieszkał w tym samym hotelu co Rubinstein. Przyszedłszy do niego, ponowiłem prośbę o bilet, zaznaczając, że Rubinstein zaprosił mnie na swój koncert. Ale pan Wolff okazał się jeszcze mniej uprzejmy od Rubinsteina.

Zaśmiał się i powiedział: „Bilet! Drogi panie, to przecież śmieszne żądanie. Takich jak pan jest setki i wszyscy pragnęliby otrzymać bilety! Nie ma już żadnej możliwości, aby mógł pan usłyszeć mistrza, doprawdy żadnej!”

Nie tak łatwo jednak dałem za wygraną — sprawa przedstawiała dla mnie zbyt wielką wagę. Próbowałem więc raz jeszcze przekonać Wolffa, zapytując go, czy nie mógłbym stanąć gdzieś obok drzwi albo też z tyłu za estradą? Tłumaczyłem, mu że z pewnością znalazłoby się gdziekolwiek jakieś miejsce, skąd mógłbym choć raz jeden usłyszeć znów Rubinsteina. Prośba moja zirytowała i rozżłościła Wolffa, i odtrącając mnie po prostu, krzyknął: „Nie, stanowczo nie! Już raz powiedziałem panu, że setki ludzi chciałoby korzystać z takiego przywileju, jakiego pan żąda. To wykluczone — nie mam już żadnego miejsca dla pana”. Odwrócił się i wyszedł bez słowa. W niewiele lat później ten sam człowiek błagał mnie, abym zostałem jednym z jego artystów!

Pamiętam, że stałem jak skamieniały. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że cała moja wyprawa okazała się daremna — przecież po to tylko przyjechałem do Paryża. Było to jedno z najboleśniejszych chyba rozczarowań w moim życiu. Byłem niepokieszony. Dawniej, gdy o tym myślałem, i dzisiaj, gdy o tym mówimy — stanowisko Rubinsteina w tej sprawie wydaje mi się dziwne i niezrozumiałe. Zapominamy jednak, że w gruncie rzeczy nikt z nas nie jest pozbawiony ducha przewrotności i że gdy czasem duch ten się w nas odzywa, potrafimy robić rzeczy niezgodne z naszymi upodobaniami, przeciwne naszej naturze, sami nie wiedząc, dlaczego tak postępujemy. To ów duch przekory każe nam niejednokrotnie ubarwiać sprawy i słowa — nie można tego nawet nazwać kłamstwem, ale nie jest to i szczerą prawdą! To on zmusza nas niekiedy do pewnych przyrzeczeń, przyrzeczeń fałszywych, jedynie dlatego, że pragniemy uchodzić za lepszych i bardziej uprzejmych, niż jesteśmy. Nastrój ten nie trwa długo — za-

pominamy niebawem o wszystkim. Wszyscy miewamy w życiu takie chwile. Ja sam, podobnie jak inni ludzie, niejednokrotnie je przeżywałem. Mówiłem rzeczy, które mi się samemu nie podobały, rzeczy, których mówić nie zamierzałem, o których nawet nie myślałem, a które przypadkowo i nagle zostawały przeze mnie wypowiedane. Tak podczas burzy drganie drutów wywołuje migotanie światła. Zdarza się to bardzo często i z ludzkimi nerwami. Dwa druty przypadkowo skrzyżowane mogą, wywołać eksplozję, na chwilę może nawet zgasnąć światło — ale tylko na chwilę. Myślę że tak właśnie było z Rubinsteinem — jakiś chwilowy wybuch! A na pewno już zdarzyło się to panu Wolffowi!

W każdym razie poniosłem ofiarę na próżno. Po tak długim czasie trudno mi już uprzytomnić sobie, jak bardzo musiałem oszczędzać, by zdobyć środki potrzebne na wyjazd do Paryża. Pensja moja tak była mała, że ledwo wystarczała na życie. Właściwie mówiąc, żyłem w biedzie, ograniczając się do najpotrzebniejszych wydatków. Pamiętam, że właśnie w czasie projektowanego wyjazdu musiałem sobie kupić parę nowych butów, oczywiście gotowych. Okazały się za małe i bardzo mnie uwierały, chcąc nie chcąc chodziłem więc do konserwatorium w starych i zniszczonych pantoflach, na kupienie bowiem drugiej pary nie mogłem już sobie pozwolić. Odkładałem, co tylko mogłem oszczędzić, i przez dłuższy czas musiałem sobie wielu rzeczy odmawiać, a wszystko z powodu projektowanej eskapady. Było to dla mnie ogromne przedsięwzięcie, i potem jeszcze musiałem wyrzec się wielu potrzebnych rzeczy, a przecież Rubinsteina nie słyszałem! Nie słyszałem go już więcej nigdy.

Doznany zawód dotknął mnie boleśnie. Będzie to dla pani niespodzianką, gdy powiem, że dziś jeszcze niejednokrotnie o tym myślę, a już zawsze w wypadku, gdy ktoś zwraca się do mnie o bilety na moje recitale. Nigdy jeszcze i nikomu ich nie odmówiłem, a często

sam za nie płaciłem. Mimo że nie udało mi się wówczas usłyszeć Rubinsteina, wspomniany epizod był bardzo dobrą nauką. Powtarzam raz jeszcze, że nigdy nie odmówiłem nikomu, kto pragnął słuchać mej gry — nigdy, na żadnym z tysięcy koncertów, jakie w życiu dałem. Nigdy nie odmawiałem biletów tym, którzy mnie osobiście o nie prosili, a jeżeli sala była przepełniona, starałem się znaleźć jakieś gorsze lub lepsze miejsce, gdziekolwiek — za estradą, na dostawionym krześle lub stołku.

Człowiekowi żyjącemu w dobrobycie i zbytku jest niezmiernie trudno zrozumieć, że ktoś inny może cierpieć biedę. Wymaga to dużego zasobu wyobraźni, i lepiej by się działo, gdyby ludzie częściej chcieli się na nią zdobyć!

Musimy jednak powrócić do moich dalszych losów. W konserwatorium pracowałem prawie cały rok i wszystko układało się dobrze. Uczniowie z mojej klasy uchodzili za najlepszych, byłem — jak mi się wydaje — niezłym pedagogiem. Wakacje zamierzałem spędzić oczywiście w Polsce, zwróciłem się więc do dyrektora z prośbą o należne mi za dwa miesiące pobory, ale tu spotkałem się z absolutną odmową.

Gdy zdumiony takim postawieniem sprawy zaprotestowałem przeciwko tej niesprawiedliwości, spokojnie odpowiedziano mi, że miałem roczny kontrakt, który ich zdaniem nie obejmował żadnych wakacji. Widocznie pragnęli zaoszczędzić na mnie osiemdziesiąt dolarów, wobec czego bez dalszych już dyskusji opuściłem konserwatorium. Tego rodzaju postępowanie przejęło mnie takim obrzydzeniem, że natychmiast wyjechałem do Polski, nie bardzo zresztą wiedząc, co z sobą począć.

Tak więc znów zaczął się dla mnie trudny okres życia, tym przykrzejszy, że z własnej woli porzuciłem posadę dająca mi jakie takie zabezpieczenie. Mogłem oczywiście powrócić do konserwatorium w Warszawie i tam objąć stanowisko profesora, ale tego właśnie nie chciałem.

Wyraźnie bowiem zdawałem sobie wówczas sprawę z dwóch rzeczy: że pragnę zostać pianistą i że uczyć nigdy już więcej nie będę. Nigdy! Stałem więc na nowym, rozdrożu. Czułem, że jeżeli teraz nie uda mi się wkroczyć na drogę kariery pianistycznej, to już niebawem będzie na nią za późno. Było tylko jedno wyjście: powrót do Leszetyckiego i dalsze u niego studia. Jedyna rzecz, która miała w tej chwili znaczenie — nic innego nie wchodziło w grę. Byłem o tym najgłębiej przekonany. Wiedziałem, że tak być musi, ale pozostawał problem, jak to zrealizować? Ojciec nie był w stanie mi w tym dopomóc, a do nikogo innego zwrócić się nie mogłem. Dałem co prawda kilka małych koncertów, lecz bez większego sukcesu finansowego. Udały się pod względem muzycznym, przekonano się bowiem o moich postępach w grze, co stanowiło dla mnie pewną zachętę, ale nadal pozostawałem bez pieniędzy. Położenie moje było nad wyraz ciężkie, lecz postanowienia nie zmieniłem. Bez względu na to, co nastąpi, czy umrę z głodu, czy nie, zdecydowałem się powrócić do Leszetyckiego.

Gdy znalazłem się w Warszawie, odwiedził mnie drogi mój przyjaciel Edward Kerntopf i prosił o zagranie mu czegokolwiek, dawno bowiem nie słyszał, jak gram. Był zachwycony. „Grasz teraz wspaniale — powiedział — musisz koniecznie studiować w dalszym ciągu, a staniesz się wielkim artystą. Jestem tego pewien.”

Odpowiedziałem mu, że niestety nie widzę żadnych możliwości dalszych studiów, bo brak mi na nie środków.

W tym czasie otwarta została w Warszawie wystawa wyrobów przemysłu krajowego, na której wystawione były też fortepiany firmy Kerntopf. Edward Kerntopf, który — rzecz prosta — był w tym zainteresowany, zaproponował mi jako reklamę dla swej firmy, a jednocześnie i dla mnie — występy, na których grałbym na jednym z jego fortepianów. Grałem

więc na wystawie kilkakrotnie, odnosząc duże sukcesy. Po ostatnim występie Kerntopf, zadowolony ze mnie, powiedział: „Mam dla ciebie dobrą wiadomość, oto postanowiłem, że powrócisz natychmiast do Leszetyckiego”.

Przerwałem mu, mówiąc, że nie mam na to pieniędzy. „To obojętne, będziesz miał pieniądze, bo ja ci je dam”.

Jakże prawdziwie dobry i pełen zrozumienia był mój przyjaciel. Pożyczył mi pieniądze na wyjazd i w ciągu całego prawie roku regularnie co miesiąc przysyłał mi pewną kwotę, nie robiąc mi ani razu zawodu.

Pojechałem więc do Wiednia i od razu stawiłem się u Leszetyckiego. Ucieszył się na mój widok i oświadczył: „Najwidoczniej musiał pan skorzystać z lekcji ze mną, słyszałem bowiem, że grywał pan na koncertach i podobał się słuchaczom. Cieszę się, że powrócił pan do mnie i że będziemy znów pracowali razem”. Powitanie to było bardzo miłe; poprzez czarne chmury zabłyśło słońce, świat cały wydał mi się jaśniejszy. Ten okres mego życia układał się bardzo szczęśliwie, a i Leszetycki był ze mnie zadowolony. Skomponowałem wówczas parę utworów, które mu zagrałem. W zasadzie mu się podobały, ale uważał, że brak im lekkości i że są za mało efektowne. Każdy utwór osądzał z punktu widzenia wrażenia, jakie może wywierać na publiczności. Utwory moje zainteresowały go jednak poważnie, wydawał się zdziwiony słysząc moją muzykę i powiedział: „Pana muzyka jest bardzo piękna, ale i trudna — wątpię, czy się będzie podobała! Czy nie ma pan w repertuarze czegoś innego, lżejszego?”

Zagrałem mu więc jeszcze mój trzeci utwór: menueta, który okazał się dla niego rewelacją! „To będzie miało szalone powodzenie — powiedział — żona moja, pani Jesipow, musi to zagrać na jednym ze swoich koncertów.” Zagrała go też już w dwa dni później. Zagrała cudownie, bo była wspaniałą pianistką i do-



skonała artystką. Ona pierwsza wykonała go publicznie i zapewniła mu od razu niezwykłą popularność.

Z owym menuetem i jego powstaniem związana jest bardzo zabawna historia. Zawdzięcza on swe istnienie po prostu figlowi, który tu, jeżeli pani pozwoli, opowiem. Wiem, że owa historia jest już wielu osobom znana, ale jedynie ta wersja jest prawdziwa.

W Warszawie mieszkał bardzo ceniony, genialny wprost lekarz, profesor Chałubiński, którego poznałem będąc kiedyś w górach. Poczuł do mnie sympatię, napisałem bowiem jakiś artykuł o muzyce, który mu się podobał. Miał wtedy około siedemdziesiątki, był starym człowiekiem, a ja młodzieńcem dwudziesto-sześćcioletnim. Prosił, abym odwiedzał go często, gdyż bardzo kochał muzykę. Nie czułem się wtedy zdrowy, byłem wątpliwy, a żyłem w ciągłym napięciu nerwów. Chętnie bywałem u profesora Chałubińskiego, w atmosferze jego domu odpoczywałem nerwowo i wydawało mi się, że odzyskuję na nowo radość życia. Niejednokrotnie grywałem staruszkowi. Pewnego dnia poznałem u niego znanego pisarza, jego przyjaciela, Aleksandra Świętochowskiego. Obaj panowie zachwycali się Mozartem, obaj uwielbiali go i stale prosili mnie, bym grał jego utwory.

W owym czasie moja znajomość Mozarta była dość ograniczona. Umiałem tylko trzy czy cztery jego utwory, musiałem więc stale je powtarzać. Za każdym razem po odegraniu całego repertuaru mozartowskiego obaj panowie zaczynali się zachwycać, wołając: „Mozart to geniusz. Nikt inny nie potrafiłby stworzyć takiej muzyki. Co za styl, jaka klarowność! Po prostu niezrównany. Jedyny!” Nie było końca ich zachwytom.

Zawsze powtarzała się ta sama historia; Mozart był ich bogiem i tylko jego muzyki pragnęli słuchać. Wreszcie znudziło mnie to, postanowiłem z tym skończyć, i oto wpadłem na pewien pomysł.

Pewnego dnia, powróciwszy do Kerntopfa, u któ-

rego znów teraz zamieszkałem, siadłem do fortepianu i zacząłem improwizować menueta. Miał być, tak sobie, po prostu dla żartu, trochę w stylu Mozarta. Przegrałem go kilkakrotnie i nadałem mu konkretną formę. Postanowiłem, że gdy udam się do profesora Chałubińskiego, a on prosić mnie będzie o Mozarta, zagram mu swego menueta i zobaczę, jakie na nim wywrze wrażenie. Tamten mój pierwotny menuet różnił się naturalnie znacznie od obecnego, był o wiele prostszy, pozbawiony wszelkich ornamentów, w czystym stylu mozartowskim i bez końcowej kadencji. Dodałem ją już później.

Muszę przyznać, że nazajutrz wieczorem szedłem do Chałubińskiego trochę podniecony. Zacny doktor oczekiwał mnie już niecierpliwie i jak zwykle prosił, żebym grał — czy nie zechciałbym zagrać Mozarta? Zgodziłem się chętnie i zacząłem grać swego menueta. Nie zdołałem skończyć, gdy kochany doktor zerwał się na równe nogi z okrzykiem:

— O, Mozart! Co za cudny utwór. Niech pan powie, mój drogi, czy znalazłby się dzisiaj kompozytor zdolny do napisania czegoś równie pięknego.?

Spojrząwszy na niego roześmiałem się i powiedziałem:

— Jest taki — to ja!

— Co?! Pan!! To wykluczone! Nonsens, pan chyba żartuje!

— Zupełnie nie żartuję, to ja napisałem ten utwór i przed chwilą go panu zagrałem!

Obaj starzy panowie wpatrywali się we mnie jak ogłuszeni. „Co pan nam tu opowiada, przecież wyraźnie poznaliśmy Mozarta! Takiej muzyki jak Mozart nie potrafiłby pan skomponować, na pewno nie!” — wołali podnieceni.

Wyznaję, że przez chwilę było mi ich żal, nie ustąpiłem jednak:

— Nie żartuję, muszę się panem przyznać, że parę dni temu sam skomponowałem ten utwór. Ja, a nie

Mozart. Chciałem panom zrobić niespodziankę i zobaczyć, czy mi się to uda, dlatego pozwoliłem sobie na ten żart.

Doktor wciąż jeszcze nie wierzył moim słowom.

— Ależ to niemożliwe, pan nam opowiada bajki.

— Zaręczam panom, że to moja kompozycja. Przedwczoraj, powróciwszy do domu, wpadłem na pomysł skomponowania czegoś w stylu Mozarta i jakoś mi się to udało, bardzo chętnie pokażę panom tę kompozycję, jeśli mi panowie nie wierzą. Ale to prawda.

Był to dla nich dotkliwy cios, i czułem, że mieli mi za złe wprowadzenie ich w błąd. Tego wieczoru nie prosili mnie już o swego ulubionego kompozytora. Poprosili o Mozarta dopiero po paru dniach; zagrałem go z przyjemnością, wyrzucając sobie tamten żart. Po Mozarcie poprosili z kolei, bardzo grzecznie, o mego menueta. Wszyscy byliśmy wzruszeni. Zagrałem go ze skruczą w sercu, oni jednakże oświadczyli, że bardzo im się podoba, i w krótkim czasie tak się w nim rozsmakowali, że odtąd stale musiałem go grywać. Wówczas uświadomiłem sobie, że ten właśnie utwór uczyni mnie znanym — pomoże mi w mej karierze. Tak się też stało — był to ten sam menuet, który tak zachwycał Leszetyckiego i który był dla niego rewelacją.

O ile pamiętam, tym razem Leszetycki dał mi szesnaście lekcji. Nauczyłem się od niego bardzo wiele — dzięki niemu ziściło się moje najgorętsze pragnienie: nauczyłem się wreszcie, jak pracować. Powtarzam raz jeszcze: w jaki sposób pracować — jest to bowiem rzecz wyjątkowej wagi. Mówiłem to zresztą już poprzednio, że w karierze każdego artysty, bez względu na jego zawód — poznanie sposobu pracy jest rzeczą bezcenną. Ćwiczyłem wówczas do dziewięciu godzin dziennie, poza tym komponowałem. Jak pani widzi — pracowałem bardzo dużo.

W tym też czasie wydałem wspomnianego menueta, który zdobył dużą popularność wśród uczniów Lesze-

tyckiego dzięki temu, że grała go pani Jesipow. Takiego drobiazgu jak menuet nie chciałem wydawać oddzielnie, skomponowałem więc jeszcze dwa inne i wydałem je razem. Dostałem za nie sześćset marek — sumę ogromną — wynosi to około stu pięćdziesięciu dolarów, co dla mnie przedstawiało wówczas majątek.

Pewnego dnia, gdy ćwiczyłem, wszedł Leszetycki. Wszedł do mego małego mieszkanka i już z samego wyrazu twarzy wyczytałem, że ma mi do zakomunikowania coś ważnego. Przystąpił od razu do rzeczy: „Przyszedłem z pewną propozycją. Czy nie miałyby pan ochoty wystąpić teraz publicznie w Wiedniu? Trafia się po temu doskonała sposobność. Paulina Lucca (wspaniała śpiewaczka, piękna artystka) pragnęłaby dać koncert na cel dobroczynny i poszukuje pianisty, nie jest bowiem w stanie wypełnić całego programu. Zagra pan? Myślę, że to doskonała okazja dla pana i że powinien pan to zrobić” — mówił dalej, nie czekając mojej odpowiedzi.

Projekt ten od razu bardzo mnie podniecił. Czułem równocześnie, że Leszetycki rzeczywiście pragnął mego występu. Zgodziłem się więc chętnie i wszystko zostało omówione. Koncert był wspaniały, a dzięki poparciu wpływowych sfer — sala przepełniona. Grałem Beethovena i Chopina, także kilka własnych kompozycji; występ mój wywarł na słuchaczach duże wrażenie. Dotąd nie znany pianista, po koncercie stałem się kimś. Zachęciło mnie to do dalszej pracy i ogromnie pomogło.

Na parę tygodni przed koncertem miało miejsce dziwne, interesujące zdarzenie. Pamiętać je będę zawsze, i to, co powiedział wówczas Leszetycki. W jednej z bardziej znanych restauracji wiedeńskich odbywało się liczne zebranie muzyków oraz znakomitych krytyków muzycznych. Leszetycki, przez którego zostałem tam zaproszony, przedstawił mnie zgromadzonym wybitnym osobistościom, jako swego młodego przyjaciela, nie mówiąc zresztą ani nazwiska, ani też że jestem jego uczniem. Wskazując na mnie rzekł: „Ten oto młody

człowiek jest kompozytorem; czy który z panów zna jego kompozycje lub może słyszał jego grę?" Naturalnie wszyscy odpowiedzieli przecząco (mój menuet nie był jeszcze wtedy znany). „Żałujcie więc, panowie — zaśmiał się — bo wkrótce je usłyszycie i radzę wam dobrze śledzić karierę tego młodego człowieka, gdyż niebawem będzie o nim głośno!”

## Powodzenie, które przyszło za wcześnie

Koncert z Paulina Lucca to pierwszy mój występ przed większym audytorium. Leszetycki był na nim obecny i rad z przyjęcia, jakiego doznałem. Po koncercie podszedł do mnie ze słowami: „Mój drogi, obecnie wierzę już, że może pan osiągnąć wielki nawet sukces, o ile tylko zdoła pan przygotować odpowiednio duży i dobry repertuar. Dzisiejszy koncert mnie o tym przekonał”. Jak już pani mówiłem, nie uważał mnie mimo wszystko za reprezentanta swojej szkoły, miałem bowiem własny sposób interpretacji itp., nie zawsze zgodny z jego pojęciami. Nie chciałem na przykład grywać utworów, zwłaszcza Chopina, które on redagował i wydawał, wprowadzając pewne niewielkie zmiany. Nie mogłem się na to zgodzić! Chopin nie potrzebuje zmian. Nigdy też nie grałem tak zniekształconych utworów — nie byłem w stanie grać — nigdy mi też tego nie proponował. I to było powodem stale istniejącego między nami ukrytego antagonizmu.

Leszetycki był niewątpliwie zadowolony z mego pierwszego występu, a jego pochwały bardzo mnie podniosły na duchu; debiut okazał się wielce korzystny. Byłem oczywiście zdenerwowany. Nie wiem, jak jest w wypadku innych, lecz ja osobiście stworzyłem sobie pewną teorię dotyczącą tremy u artysty i chciałbym teraz o niej pomówić.

Przez wiele lat mojej kariery przed każdym występem odczuwałem ów wyjątkowo przykry stan, tę okropną, nie do opisania mękę zwaną tremą. Odbiera ona nie tylko całą odwagę, ale i pozbawia sił — istna męczarnia. Doszedłem do przekonania, i dotychczas jestem tego zdania, że ów niepokój, to ogromne wewnętrzne rozdygotanie, ten strach przed wszystkim: przed publicz-

nością, przed fortepianem, przed sytuacją, a także przed brakiem pamięci, jest niczym innym jak tylko nieczystym sumieniem. Lata całe to przeżywałem, stale analizowałem siebie i dopiero znacznie później odkryłem, że — jak już mówiłem — jest to po prostu niepokój sumienia — oznacza bowiem, że w moim programie znajduje się coś, co jeszcze niezupełnie opanowałem, jakaś trudność górująca nade mną, której nie zdołałem przezwyciężyć. Widocznie był w moim programie jakiś słaby punkt, coś, czego nie pokonałem. I w tym tkwiła przyczyna. Ten dręczący niepokój jest tylko poczuciem niepewności. Może to być niepewność dotycząca nawet jednego tylko ustępu lub frazy. Gdy na przykład jednego z jedenastu utworów programu lub choćby maleńkiego jego ustępu, paru taktów dłuższej kompozycji nie opanuje się doskonale i wymykają się one palcom — nie pomoże, że dziesięć utworów zagrało się doskonale i bezbłędnie — ten jeden wystarczy, aby wprowadzić w stan niepokoju cały system nerwowy. Ten jeden wymykający się pamięci ustęp może się stać przyczyną niewymownej udręki, tym, co niepokoi i przeraża do najwyższego stopnia.

Kiedy w wieku dojrzałym zdałem sobie z tego sprawę — zacząłem ćwiczyć zupełnie inaczej niż dotychczas. Wpadłem na właściwą metodę. Rzecz prosta, że przed każdym publicznym występem odczuwa się zwykle pewne zdenerwowanie, lecz jest to zupełnie co innego. Tak więc wystarczy, jeśli w repertuarze zawierającym kilkanaście czy więcej utworów jeden z nich lub nawet niewielka jego fraza będzie niezupełnie opanowana, by wprowadzić w stan zdenerwowania i być przyczyną przykrego niepokoju.

Po koncercie z Paulina Lucca nabrałem już pewnej odwagi. Po pierwsze miałem całkowicie opracowany program jednego koncertu. Pomyślałem więc, że mógłbym się odważyć na wyjazd do Paryża, by zagrać tam program, którego byłem najzupełniej pewny.

W tym samym czasie dostałem list od przyjaciół ze Strasburga; zapraszali mnie i proponowali wystąpienie z recitalem. List zawierał także miłą dla mnie wiadomość: inni moi przyjaciele (ci z Paryża) gotowi byli pomóc mi w zorganizowaniu koncertu w Paryżu. Poczuję, że zbliża się punkt zwrotny w mojej karierze, ten jedyny moment. Nareszcie droga stanęła przede mną otworem — nie mogłem się dłużej wahać, trzeba było spróbować. Pojechałem więc do Paryża.

Przyjaciele postanowili, że początkowo grać będę w domach prywatnych. Pierwszy mój występ odbył się u wspomnianego już poprzednio zacnego senatora, pana Scheurer-Kestnera, którego wraz z jego żoną, uroczą śpiewaczką-amatorką, poznałem w czasie pobytu w Alzacji. Byli to ludzie ogólnie w Paryżu znani, stąd też owego wieczoru znalazło się w ich domu sporo osób zasługujących na uwagę. Następnie grałem w domu cenionego lekarza, którego żona, pani Trelat, była wielką artystką, jedną z największych śpiewaczek, jakie kiedykolwiek w życiu słyszałem. Wszyscy zachwycali się moją grą; nie byłem w stanie zrozumieć, jak mając dość skromny jeszcze repertuar, zdołałem wywołać tak wielkie wrażenie. Grałem także u dyrektora firmy Erarda (produkującej sławne fortepiany), pana Alberta Blondela, który od razu odniósł się do mnie entuzjastycznie i od chwili naszego poznania stał się jednym z moich największych przyjaciół.

Przed samym koncertem przybyła do Paryża pani Jesipow, występująca w tym czasie we Francji. Ona to przedstawiła mnie panu Blondelowi. Było to ważne w mojej karierze muzycznej wydarzenie, gdyż z panem Blondelem — jak już mówiłem — nawiązałem przyjaźń, która przetrwała do końca jego życia, a serdeczne zainteresowanie, z jakim śledził moją karierę, towarzyszyło mi stale. Zagrałem parę utworów, i natychmiast zaofiarował do mojej dyspozycji słynną Salę Erarda, gdzie też odbył się mój pierwszy występ w Paryżu.



Wbrew obawom wszystko przebiegało najnormalniej w świecie. Pierwszy recital w Paryżu odbył się, w marcu 1888 w Sali Erarda. Muszę zresztą przyznać, że dużo sobie po nim obiecywałem. Publiczność miałem wyjątkowo świetną. Jednym z powodów zgromadzenia się tak wybitnego audytorium był — sądzę — fakt, że w Paryżu znajdowała się wówczas dość liczna kolonia polskiej arystokracji, ludzi wyjątkowo kulturalnych i interesujących się muzyką. Wszyscy oni przyszli na mój koncert, przyprawiając z sobą przyjaciół z arystokracji francuskiej. Tym tłumaczy się owa świetność audytorium — ja byłem nieznany. Narodowość moja okazała się w tym wypadku bardzo pomocna. Oprócz arystokracji znajdowało się między obecnymi wielu wybitnych Francuzów, szereg cudzoziemców, a także znanych muzyków. Przyszedł bawiący wówczas w Paryżu słynny kompozytor rosyjski — Czajkowski. Obecni byli dwaj wybitni dyrygenci: Colonne i Lamoureux, i naturalnie pani Jesipow. Była również moja wielka przyjaciółka — księżna Brancovan, pani Trelat i pani Dubois — ostatnia uczennica Chopina, i wiele innych osób. Właściwie to większość ówczesnych sławnych muzyków przybyła na mój koncert.

Sala była przepełniona, a publiczność tak rozentuzjasmowana, że po zakończeniu właściwego programu przez godzinę zmuszano mnie do bisowania. Pano wało wielkie podniecenie i śmiało mogę powiedzieć, że odniosłem ogromny sukces. Trudno mi było w to uwierzyć po tylu zwątpieniach i obawach.

Natychmiast po koncercie każdy starał się dostać do mej garderoby, nie, wyłączając obu dyrektorów: Lamoureux i Colonne'a. Pierwszy przyszedł Lamoureux, Colonne zjawił się w kilka minut później. Lamoureux z miejsca zaproponował mi udział w koncercie z jego orkiestrą. Zdawałem sobie dobrze sprawę, że grałem nieźle, że wywołałem duże wrażenie, ale wiedziałem też doskonale, że nie jestem jeszcze przy-

gotowany do zagrania kilku koncertów. Zamierzałem wystąpić z jednym tylko recitalem, gdy tymczasem Lamoureux proponował mi nie tylko jeden koncert z orkiestrą, ale i zajęcie się kilku dalszymi. Byłem przerażony, miałem opracowany ten jeden jedyny program, który właśnie zagrałem. Znalazłem się w tragicznej wprost sytuacji. Gdy sobie to przypomnę, dziś jeszcze przenika mnie dreszcz i nie życzylibym sobie nigdy przeżywać powtórnie podobnie przykrej chwili.

Może mi pani wierzyć, że istotnie byłem bardzo zdeenerwowany. Nerwy moje w czasie recitalu były w stanie niesłychanego napięcia, a stan ten pogorszył się jeszcze po recitalu, gdy zdałem sobie sprawę z tego, co dalej nastąpi. Miałem uczucie, że nie sprodam. Byłem przerażony myślą o przyszłości. W czasie recitalu wiele objawów wskazywało, że słuchacze są zadowoleni, ale nie zwracałem na to uwagi, już wtedy bowiem ogarniała mnie trwoga na myśl: Co dalej? Co dalej robić? Myśl ta wciąż powracała do mnie, przyjęcie bowiem, jakiego doznałem, przewyższało stokrotnie moje dotychczasowe oczekiwania. Nie byłem w stanie pojąć tego, co się stało. Wyobrażałem sobie, że stopniowo, etapami, dążyć będę do wymarzonej kariery, a tu nagle przyszło powodzenie, tak wielkie, tak niespodziane! Ogarniała mnie radość i uczucie triumfu, ale nie byłem — jak się to mówi — pijany powodzeniem. Pozostałem aż nadto trzeźwy, a trzeźwość ta — to poczucie odpowiedzialności — psuło mi radość.

Ale tak musiało być — w przeciwnym razie nie doszedłbym prawdopodobnie do większych rezultatów. Dodało mi to bodźca do dalszej pracy i nie tylko do niej zachęciło, ale więcej jeszcze, zmusiło do dalszego wysiłku.

Pamiętam dobrze, iż tego wieczoru reakcja publiczności na moją grę już w połowie programu dosięgła szczytu. Rozpocząłem go klasycznymi, raczej dość surowymi utworami. Pierwszy punkt programu zawierał

32 *wariacje c-moll* Beethovena. Następnie zagrałem kilka krótkich utworów, a dalej *VI Rapsodię* Liszta. Zwłaszcza ostatnie kompozycje przyjęte zostały przez audytorium ze szczególnym entuzjazmem.

Tak, to był początek kariery, której nie przewidziałem i nie spodziewałem się tak nagle. Powodzenie zaskoczyło mnie, a nawet przeraziło. Siłą rzeczy nałożyło mi na barki ciężar dalszej, trudnej pracy, której rezultaty usprawiedliwiłyby i ugruntowały ów niespodziewany i ogromny sukces. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Przyszedł on za wcześnie, nie byłem doń dostatecznie przygotowany, nie umiałem się nim cieszyć i nie byłem dostatecznie dojrzały, by na niego zasłużyć. Podczas samego recitalu tak absorbowała mnie gra i wysiłek z nią związany, że nie mogłem myśleć o dalszych konsekwencjach. Po koncercie, gdy wiele osób przychodziło zasypując mnie pochwałami i okazując uznanie i zachwyty — wtedy dopiero poczułem się przytłoczony. Lawina pochwał i zachwyty — katastrofa, odpowiedzialność. Wszystko to, razem wzięwszy, było czymś, o czym dotąd nie myślałem, czego się nie spodziewałem, więcej: na co całkowicie nie zasłużyłem. Nigdy nie byłem szczególnie skromny, bo skromność jest dowodem kompleksu niższości, ale też nie byłem zarozumiały i do dziś nie jestem. Najważniejszą dla mnie rzeczą była moja sztuka — a nie własna osoba. Gdy jednak zdałem sobie sprawę, że zaczynam w grę wchodzić także i ja sam — uświadomiłem sobie ciężącą na mnie odpowiedzialność oraz związane z tym udręki. „Wkraczam na drogę krzyżową — pomyślałem. — Nie czuję się wniebowzięty, lecz, niestety, wprost przeciwnie.” Miałem już za sobą występy w Strasburgu i w innych miejscowościach, ale teraz — to był Paryż I Paryż I I rzeczywiście rozpoczęły się dla mnie lata pracy ponad siły i wielkiego umęczenia. Zaraz po koncercie zdałem sobie sprawę z tego, co mnie czeka. Bezpośrednio po debiucie z błyskawiczną szybkością zażądano drugiego koncertu, a ja

nie miałem nie opracowanego, żadnego innego gotowego programu.

Prasa paryska z najwyższym uznaniem wyrażała się o mojej grze. Tym bardziej więc nalegano o możliwie szybkie wystąpienie z następnym koncertem. A ja — powtarzam — nie miałem już nic nowego w repertuarze.

„Powinien pan jak najprędzej wystąpić z drugim recitalem — mówili mi przyjaciele. — Musi pan to zrobić koniecznie, gdyż w przeciwnym razie pierwszy koncert minie bez echa; publiczność gotowa pomyśleć że nie stać pana na nowy repertuar — wówczas czeka pana niepowodzenie, do czego nie można dopuścić.” Wiedziałem o tym aż za dobrze — lepiej od innych. Byłem więc zmuszony przygotować się jak najprędzej do nowego koncertu. Nie pozostawało mi nic innego. Zacząłem natychmiast pracować, inne wyjście nie istniało. W trzy tygodnie opracowałem następny program. W jaki sposób zdołałem to uczynić — nie umiem pani powiedzieć. Wysiłek mój był przeogromny, zważywszy, że nad pierwszym programem pracowałem osiem miesięcy. Proszę sobie wyobrazić, co można było zrobić w ciągu trzech tygodni!

A jednak dokonałem rzeczy niemożliwej. Może nie przygotowałem się w całym tego słowa znaczeniu doskonale, udało mi się jednak ułożyć i opracować nowy program. Przyjąłem wyzwanie, bo byłem ambitny i młody, a młodość to niezwykła potęga. I znów zdołałem wielkie powodzenie.

Na pierwszym koncercie z orkiestrą grałem *Koncert c-moll* Saint-Saensa, a na drugim — *Fantazję węgierską* Liszta. Zarobiłem trochę pieniędzy i byłem zadowolony. Żyłem wciąż jak we śnie — śnie, który był spełnieniem moich najśmielszych marzeń. Drugi recital przyniósł mi już większy dochód. Zapraszano mnie poza tym na występy do domów prywatnych. Grałem także w Towarzystwie Filharmonicznym w Lyonie. Na szczęście, dawano tam tylko koncerty kameralne, co było o wiele

łatwiejsze. Zostałem też zaproszony do Bruksoli, gdzie odniosłem znaczny sukces. Śmiało mogę dziś powiedzieć, że gra moja była rzeczywiście sensacją sezonu.

Życie nabrało dla mnie innych barw, lecz zdawałem sobie doskonale sprawę, że nie dojrzałem jeszcze do wielkiej kariery muzycznej, o jakiej marzyłem. Nie istnieje nic bardziej niebezpiecznego jak zdobycie dużego powodzenia wtedy, kiedy nie jest się jeszcze do niego przygotowanym i dostatecznie dojrzałym. Jest wtedy prawdziwą udręką i nikt nie potrafi wyrazić tego, co się w głębi serca przeżywa. Być może, gdybym był mniej sumienny i miał skromniejsze aspiracje — byłbym zadowolony i szczęśliwy z sukcesów odniesionych w Paryżu, lecz ponieważ przyszły tak nieoczekiwanie i nagle, byłem nimi wprost przygnębiony. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego przyszły już teraz, kiedy nie byłem gotowy na ich przyjęcie i nie mogłem ich w pełni wykorzystać. I wciąż na nowo dręczyło mnie to pytanie. Może sobie pani wyobrazić, co znaczyła dla mnie świadomość, że z tym jednym tylko odpowiednio opracowanym programem muszę, mimo wszystko, wybrnąć z sytuacji, w jakiej się znalazłem. Czułem grożące mi niebezpieczeństwo i wiedziałem, że muszę spojrzeć mu prosto w oczy. Konieczność dysponowania kilkoma opracowanymi koncertami zmusiła mnie do natychmiastowego powrotu do Leszetyckiego.

\*

Powróciłem więc do Wiednia i zabrałem się do pracy nad nowym, obszernym repertuarem. Przygotowałem dwa programy, przeważnie sam, Leszetyckiego bowiem nie było, a po powrocie nie mógł zająć się mną na tyle, ile bym tego pragnął. Udzielił mi jednak paru lekcji; zagrałem poza tym najważniejsze utwory z mego repertuaru, zyskując aprobatę. Pracowałem bardzo intensywnie, wdzięczny Leszetyckiemu za czas, który mi wspaniałomyślnie poświęcał. Coraz więcej jednak praco-

wałem według własnej koncepcji i własnych poglądów, i to było przyczyną drobnych nieporozumień. Leszetycki uważał, że staję się za bardzo samodzielny.

Wkrótce nastąpiło inne ważne dla mnie wydarzenie — mój właściwy debiut w Wiedniu; było to w roku 1889. Debiut ten przyniósł mi wielki sukces.

Ten pierwszy recital w Wiedniu odbył się w Bösendorfer Halle. Bösendorfer to znany wiedeński fabrykant fortepianów; w domu należącym do jego firmy znajdowała się ogromna sala koncertowa. On sam był przemiłym dżentelmenem, zaprzyjaźnionym z wieloma artystami, a mnie okazał szczególną serdeczność i życzliwość. Koncert zgromadził spore audytorium i, jak na Wiedeń, uzyskałem dość pokaźną sumę pieniędzy. Krytycy przyjęli mnie z prawdziwym entuzjazmem i, muszę się tu przyznać, okrzyknięto mnie „nową gwiazdą” na horyzoncie sztuki muzycznej. Moja kariera pianisty już się rozpoczęła; wreszcie stanąłem na pewnym gruncie. Mogłem teraz śmiało powrócić do Paryża i dać nie jeden, lecz trzy koncerty. Przygotowałem już dwa, prócz tego skomponowałem swój własny koncert, nad którym zacząłem pracować w 1888 roku, po pierwszym moim sezonie w Paryżu, a zinstrumentowałem go w roku 1889 w lipcu<sup>1</sup>. Miałem zamiar wystąpić z nim sam w Paryżu, tymczasem pani Jesipow, która już poprzednio na koncertach wiedeńskich grywała niektóre z moich kompozycji, wyraziła chęć zagrania koncertu w Wiedniu. Specjalnie zależało jej na tym, ponieważ Leszetycki zaprosił wielkiego dyrygenta — Hansa Richtera, by wysłuchał tego utworu. Pani Jesipow była wówczas żoną Leszetyckiego. Umyślnie to podkreślam, gdyż było kilka pań Leszetyckich, a wszystkie muzykalne i urocze! Epizod z Richterem był ciekawy i bardzo dla mnie ważny. Opowiem o tym trochę później. Richter

<sup>1</sup> W innym miejscu (s. 180) Paderewski podaje rok 1888 jako datę zakończenia pracy nad *Koncertem a-moll.* (Przyp. red.)

należał wówczas do najsławniejszych dyrygentów świata.

Trzeba przyznać, że epoka ówczesna obfitowała w sławnych dyrygentów, a ja byłem w tym szczęśliwym położeniu, że miałem możliwość poznania wielu spośród nich. Leszetycki cieszył się wielkim uznaniem; przez jego dom przewijała się cała elita kulturalna, a przede wszystkim cały świat muzyczny.

Chciałbym teraz, odpowiadając na pani pytanie, opowiedzieć coś niecoś na temat znaczenia istniejących wówczas w Europie orkiestr, wielkiej ich ilości, a także o ich sławnych dyrygentach. Kilku z nich spotkałem już będąc w Wiedniu. Hans Richter znajdował się wtedy u szczytu sławy. Uważany był za klasycznego wykonawcę sztuki Wagnerowskiej. Rokrocznie jeździł do Bayreuth reżyserować i prowadzić przedstawienia oper Wagnera. Stał na czele sławnej Opery Dworskiej w Wiedniu. Dyrygował poza tym koncertami Filharmonii Wiedeńskiej, które miały wówczas znakomitą, światową renomę. Każdy kompozytor czy wirtuoz poczytywał sobie za wielki zaszczyt, gdy nazwisko jego kojarzono z tą instytucją.

Leszetycki, troszczący się o wielkie sprawy związane z życiem młodych muzyków, pojmował znaczenie, jakie miałyby poprowadzenie mego koncertu przez Richtera. Pewnej niedzieli zaprosił więc nas obu do siebie, chcąc zapoznać wielkiego dyrygenta z moją nową kompozycją. Grałem ją w studium muzycznym Leszetyckiego, a Richter zasiadł przy fortepianie i śledził partyturę.

Zdawałem sobie jasno sprawę, że odegranie jakiegokolwiek kompozycji na jednym z koncertów dyrygowanych przez niego byłoby wielkim zaszczytem zarówno dla artysty, jak i dla utworu. Tymczasem pani Jesipow po wysłuchaniu mej gry odezwała się nieoczekiwanie: „Ja muszę zagrać ten koncert! Studiowałam go parę tygodni, należy mi się zatem przywilej zostania jego matką chrzestną!” Leszetycki, słysząc to, poparł jej życzenie, a chociaż Richter początkowo proponował,

abym ja sam go zagrał, łatwo ustąpił, wiedząc, że pani Jesipow zdobędzie większe niż ja powodzenie. W gruncie rzeczy byłem z tego rad, gdyż nie przestudiowałem koncertu na tyle, bym go mógł zagrać publicznie przed wielkim audytorium.

Pomysł był dobry, co nie przeszkadzało, że czułem się trochę zawiedziony. Pani Jesipow była uroczą pianistką i miała duże powodzenie. Grała na ogół doskonale, z wyjątkiem ustępów, które wymagały bardzo silnego uderzenia. Brak jej było po prostu siły, co zwykle cechuje grę kobiet. Bywają co prawda wyjątki. Na przykład Teresa Carreno miała niezwykle wielki dźwięk — jak na kobietę, powiedziałbym, aż za mocny. Gra jej, błyskotliwa i świetna, nie była jednak prawdziwie piękna, gdyż nie miała miękkości, tego nieodzownego warunku pięknego brzmienia. Pani Jesipow stanowiła jej przeciwieństwo. Grała po kobiecemu, przy czym małe poetyckie utwory wykonywała cudownie. Inteligencja, wybitna kultura, miłe usposobienie i piękna aparycja były jej atutami na estradzie.

Tak więc pani Jesipow odegrała po raz pierwszy publicznie mój koncert już w parę dni po zapoznaniu się przez Richtera z partyturą. Sukces był duży. Żałuję, że nie mogę tu znaleźć innego wyrażenia — wydaje mi się, że słowo sukces za często się powtarza w ostatnich naszych rozmowach. W każdym razie koncert mój został przyjęty życzliwie nie tylko przez audytorium, lecz także przez krytykę. Hans Richter wierzył w moją twórczość, czego dowodem było, iż w parę lat później wykonał w Londynie moją symfonię, i to wykonał po mistrzowsku. Byłem na tym koncercie i z prawdziwą przyjemnością i wzruszeniem słuchałem jej wykonania.

Richter był człowiekiem na wskroś dobrym, uprzejmym i niezmiernie miłym. Gdziekolwiek się ukazał — witano go owacyjnie, jednak przez całe życie pozostał skromny i przystępny — gotowy w miarę sił pomagać



młodszym artystom. Do poliglotów nie należał. Jedyny język, jaki znał, i to znał rzeczywiście dobrze, to własny język ojczysty. Pomimo długoletniego pobytu w Anglii, gdzie corocznie spędzał parę miesięcy, nigdy nie nauczył się mówić poprawnie po angielsku. W związku z tym istnieje nawet sporo zabawnych anegdotek. Pozwoli pani, że opowiem tu jedną, szczególnie charakterystyczną.

Pewnego razu został zaproszony wraz z żoną do swego przyjaciela mieszkającego dość daleko od Londynu. Żona miała tam zostać dłużej, Richter, ze względu na próby, musiał już w niedzielę wieczorem powrócić do Londynu. Znalazłszy się na stacji, zażądał dwóch biletów mówiąc: „Proszę o dwa bilety; jeden dla mnie, powrotny do Londynu, a drugi dla żony, żeby nie powróciła”.

Tak, droga pani, Richter był istotnie jednym z najwybitniejszych i najlepszych interpretatorów Wagnera, i nie tylko Wagnera, ale całej muzyki klasycznej. Nigdy nie usiłował wywoływać niezwykłych efektów; jego wykonania Beethovena czy innych mistrzów pozbawione były sensacji, natomiast koncerty, którymi dyrygował, odznaczały się dokładnością, czystością i jakąś wytwornością brzmienia orkiestry. Można i trzeba zaliczyć go do najwybitniejszych ówczesnych dyrygentów. Jego zdjęcia z wczesnego nawet okresu sławy były bardzo popularne, sam widziałem, jak wiele sprzedawano ich w Niemczech i Anglii. Jedno było szczególnie interesujące: siedział pomiędzy Wagnerem a Lisztem, czytając jakąś partyturę. Obejrzenie zdjęcia może niekiedy znaczyć więcej niż przeczytanie całego rozdziału w książce. O ile szybciej bowiem obraz mówi o sobie. Odwołuje się do tego może, co u tyłu ludzi pozostaje z odczuwań dzieciennych przez całe życie — jest to ich wielkim szczęściem.

Przed chwilą prosiła mnie pani, bym opowiedział także o innych sławnych dyrygentach niemieckich

z pierwszych lat mojej kariery muzycznej. A więc jednym z popularniejszych był Hans von Bülow. W życiu i w sztuce był człowiekiem błakającym się często po niewłaściwych drogach. Występy jego stanowiły zawsze sensację, były jednak pod każdym względem doskonałe. Bülow cieszył się sławą jednego z największych dyrygentów. Mówiąc o nim, myśli się zawsze o powiązaniach Bülowa z Lisztem, a także o smutnym zakończeniu jego małżeństwa z córką Liszta — Cosimą. Długa to historia, dość głośna w swoim czasie i ważna w skutkach dla niektórych osób. Cosima wyszła za mąż za Bülowa, a po paru latach opuściła go dla Wagnera. Wydarzenie to wzbudziło wielkie zainteresowanie świata muzycznego i doprowadziło do zerwania między Lisztem i "Wagnerem". Stało się też powodem licznych komentarzy i nieporozumień, o których wspomina się zawsze pisząc o Wagnerze.

Bülowa poznałem znacznie później, dopiero po paru latach. Pozostałem więc z dala od całej tej przykrew historii i dlatego nie gra ona specjalnej roli w mojej biografii. Jest tylko drobnym fragmentem obrazu życia ówczesnego świata muzycznego. Owszem, zgadzam się z panią, że każda autobiografia, zajmując się przede wszystkim historią danego życia, winna równocześnie odzwierciedlać najważniejsze sprawy i wypadki danej epoki. Musi pani jednak przyznać, że jest to zadanie niesłychanie trudne. Istnieje mała fotografia uśmiechniętego Bülowa siedzącego między Lisztem a Wagnerem. Zawdzięczamy jej dodatkowy przyczynek do historii ich życia.

Hans von Bülow był z natury sarkastyczny, potrafił też być niesprawiedliwy w swych sądach — przez nadmiar dowcipu, który jest zaletą raczej niebezpieczną. Wielokrotnie nie mógł powstrzymać się od wygłaszania dowcipnych uwag o ludziach. Bardzo go to bawiło. Przypominam sobie wyjątkowo zabawną historię, którą opowiadał o znanym dyrygencie popularnych koncertów

w Pałacu Kryształowym w Londynie. Ktoś zwrócił się do Bülowa z zapytaniem, jak mu się podobają angielscy dyrygenci. „Jacy dyrygenci”? — zapytał von Bülow. „Sir Charles Halle, na przykład.” „Ach — odpowiedział Bülow ze wzruszeniem ramion — jest zupełnie niezłym, a nawet dobrym muzykiem.” „A co pan myśli o X?” „Ten — uśmiechnął się Bülow — jest konduktorem<sup>1</sup> autobusu.” „Ależ dlaczego?” „Dlatego — odpowiedział Bülow — że stale pozostaje w tyle.” Dowcip ten wywołał wiele śmiechu. Ocena była nieco za surowa, niemniej zawierała ziarno prawdy.

Z Bülowem spotkałem się w życiu parę razy, i to w dość szczególnych okolicznościach, a jedno nasze spotkanie w Berlinie było bardzo przykre, ale opowiem o nim później. To długa i wciąż jeszcze przykra sprawa.

Oprócz Bülowa byli w Niemczech inni jeszcze znani i cenieni dyrygenci. Chociażby Schuch z Drezna. Genialny, obdarzony przy tym wszystkimi zaletami: subtelny, delikatny, silnego charakteru. Cudowny człowiek. Znałem go dobrze.

Słyszałem też o Levim, lecz dyrygującego nigdy go nie widziałem. Współczesny Hansowi Richterowi, cieszył się wielką sławą w Niemczech i w Bayreuth.

Potem Mottl — drugi wielki dyrygent muzyki Wagnerowskiej, który zdobył sławę w Niemczech i za granicą, znany również w Paryżu i Londynie. Doprawdy był to wiek wielkich orkiestr i wielkich dyrygentów. Według mego zdania, niewielu jest w dzisiejszych czasach podobnych mocarzy — jeśli wolno mi użyć tu tego słowa — chociaż i dziś istnieją dyrygenci cieszący się dużym powodzeniem i sławą. Macie teraz na przykład w Ameryce dyrygenta Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej — Sergiusza Kusewickiego, Rosjanina. Nigdy go nie słyszałem, ale wiem, że otacza go wyjątkowe uznanie. Jest też

<sup>1</sup> *Condudor* po angielsku znaczy i dyrygent, i konduktor. (Przyp. red.)

Stokowski, stojący na czele wielkiej orkiestry w Filadelfii. Poza tym Bruno Walter z Monachium, zdobywający podobno w ostatnich latach wielkie sukcesy w Ameryce. Lecz teraz, gdyśmy już wymienili wszystkich, pozostaje jeszcze jeden, z którym nikt się nie może równać, geniusz górujący nad wszystkimi — Toscanini. Nie ma słów, którymi można by wyrazić jego wielkość.

Wszyscy ci ludzie odgrywali olbrzymią rolę w kształtowaniu życia muzycznego swoich społeczeństw. W Ameryce niektórzy, jak na przykład Teodor Thomas, byli nie tylko pionierami muzyki symfonicznej, ale jednocześnie jakby kierownikami życia muzycznego narodu. Byli twórcami orkiestr. Drugim takim wielkim pionierem był Leopold Damrosch, założyciel pierwszej orkiestry symfonicznej w Nowym Jorku. Antoni Seidl przybył do Ameryki później, i trzeba go wymienić jako wielkiego dyrygenta, ale już nie pioniera — nie w tej „kategorii”.

W Niemczech stolica każdego królestwa, wielkiego księstwa, a nawet każdego małego księstwa miała swój własny teatr dworski. Po przyłączeniu prowincji nadreńskich i Hanoweru do Prus sejmy każdej z tych prowincji uważały za swój obowiązek wobec ludności utrzymywanie stałego teatru. W Kolonii, Dusseldorfie i Hanowerze teatry i orkiestry otrzymywały więc subsydia rządowe. Podobnie subsydiowane były także teatry w wolnych miastach: Hamburgu, Bremie' i Frankfurcie nad Menem, w konsekwencji czego posiadały doskonałe orkiestry i opery.

Myślę, że te uwagi, choć chronologicznie nie na miejscu, są dość interesujące.

Po debiucie w Wiedniu, właściwym debiucie — co zawsze podkreślam — nabrałem przekonania, że kariera moja już się rozpoczęła, i zabrałem się do przygotowywania repertuaru na trzy koncerty, jakie zamierzałem dać, w Paryżu. Dopomogły mi w tej pracy lekcje z Leszetyckim — ostatnie w ogóle, jakie u niego wzięłem. Przygotowany i pełen zapału powróciłem do Paryża.

Był to rok 1889, okres Wystawy Światowej. Proszono mnie o wystąpienie z koncertem na terenie Wystawy, na co chętnie przystałem. Miałem również wielką satysfakcję, mogąc przysłużyć się drogiemu przyjacielowi Edwardowi Kerntopfowi. Namówiłem go bowiem do wzięcia udziału w paryskiej Wystawie. Szczęśliwie się złożyło, że dzięki moim stosunkom dostał za swe fortepiany złoty medal. Był to najszczęśliwszy moment w jego życiu, mnie także przyniósł wiele radości. Wreszcie mogłem się choć w części odwdziaczyć za tyle doznanych dobrodziejstw.

Coraz częściej zapraszano mnie teraz na występy. Sława rosła z dnia na dzień. Grałem wiele razy w Brukseli, Liege, Antwerpii, a poza tym w prowincjonalnych miastach francuskich: w Lyonie, Bordeaux, Nantes i kilka razy w Nancy. Grywałem koncerty i muzykę kameralną. Dałem też recital w Lyonie, ale nigdy nie występowałem z recitalem w Bordeaux, gdyż jest to najmniej chyba muzykalne miasto na świecie. Mówię to śmiało i bez wahania, mimo bowiem że jest to jedno z najbogatszych miast Francji — mieszkańcy jego są zupełnie nieczuli na muzykę i nie interesują się nią wcale. A przecież dzięki sprzedaży ogromnych ilości wina pływają w dostatki. Lyon, w przeciwieństwie do Bordeaux, jest miastem naprawdę muzykalnym. Znaleźć tam można wielu wielbicieli muzyki poważnej, ludzi kulturalnych i pełnych entuzjazmu. Mieszkańców Bordeaux natomiast nic nie jest w stanie poruszyć, jest to wprost niezwykle! Nantes jest miastem muzykalnym, podobnie Nancy i Tuluza, ale Bordeaux!!!

Francuzi lubią muzykę operową, i sędzę, że przede wszystkim operową. Do muzyki czysto klasycznej pozbawionej wszelkiej błyskotliwości, jeszcze — wy-Uaje mi się — nie dojrzeli. Lyon i Nantes mają konserwatoria — w Bordeaux nie istnieje żadna szkoła muzyczna. Jediną próbą otwarcia sezonu muzycznego w tym mieście były trzy czy cztery koncerty, pompa-

tycznie nazwane „filharmonicznymi”, co w rezultacie okazało się śmieszne.

Zostałem również zaproszony do wzięcia udziału w jednym z tych tak szumnie nazwanych koncertów. Przez wszystkie początkowe lata mojej kariery brałem tam udział tylko w trzech. Pierwszy, o którym już wspomniałem, odbył się w roku 1889. To niedorzeczna i bardzo śmieszna historia. Muszę ją pani opowiedzieć.

Program koncertu był praktycznie nie kończący się! Dość powiedzieć, że koncert rozpoczynał się o wpół do dziewiątej wieczorem, a o pierwszej w nocy jeszcze tkwiliśmy na sali. Na program ten składały się trzy czy cztery utwory odegrane przez orkiestrę, dalej wystąpił z koncertem oraz kilkoma utworami solowymi wiolonczelista, potem uroczą śpiewaczka odśpiewała dwie dość długie arie i parę pieśni, baryton również dwie długie arie i znów kilka pieśni, poza tym dwa numery programu zawierały po kilka utworów na skrzypce, i wreszcie — ja! Odegrałem jeden długi koncert i dwa razy po kilka utworów solowych. Kto słyszał kiedy o czymś podobnym?! Niewiarygodne!

Przez pierwszych kilka godzin publiczność zachowywała się poprawnie i słuchała koncertu uważnie. Gdy jednak zbliżała się północ, kilka osób znużonych tak długim programem próbowało opuścić salę. Okazało się to jednak niemożliwe. Pyta pani dlaczego? Otóż prezes Towarzystwa pozamykał wszystkie drogi wyjściowe, a klucz schował do kieszeni. Nie chciał, by ktokolwiek z obecnych opuścił choć jedną nutę z tego programu. Ów sympatycznie wyglądający prezes, bardzo zresztą miły człowiek, odnosił się do wszystkich, nie wyłączając artystów, jak do swoich podwładnych, niczym generał w wojsku. My, artyści, byliśmy również zamknięci. Przez cały czas koncertu prezes przebywał z nami: od czasu do czasu zaglądał do sali koncertowej, by sprawdzić, czy wszystko jest w należyтым porządku. Artyści byli, jak zwykle w takich okolicznościach, zgromadzeni

w jednym pokoju. Pokój był wygodny, ale nie dość obszerny dla tak licznej grupy i na tak długi czas. Poza artystami znajdowali się bowiem z nami także i akompaniatorzy. Każdy z występujących miał własnego akompaniatora, tak wiolonczelista, jak i śpiewaczka, baryton czy skrzypek. Było nas tyle osób, ile numerów programu!

Śpiewaczce towarzyszył jej mąż, jowialny Francuz, o którym wspominam, ponieważ odegrał zabawną rolę w całej tej komedii. Po koncercie, kiedy wreszcie wszystko się skończyło, prezes zjawił się w pokoju artystów i winał nam powodzenia. Każdemu prawił moc komplementów, po prostu rozpląwał się w okazywaniu swego zachwytu. Gdy podszedł do śpiewaczki, by jej serdecznie podziękować, mąż artystki zbliżył się do niego i wyciągając rękę powiedział:

— Jak się masz, drogi kuzynie! Cieszę się, że znów cię oglądam!

Prezes stanął zdumiony i ze zdziwieniem spojrzał na niego.

— Kuzynie — powtórzył — skąd kuzynie, czemu nazywa mnie pan kuzynem, przecież widzę pana po raz pierwszy w życiu!

— Ma pan rację — odpowiedział Francuz ze śmiechem — ale doszedłem do przekonania, że przebywałem dziś tak długo razem, tyle godzin zamknięci na klucz w jednym pokoju, że tworzymy już jakby jedną rodzinę, i dlatego muszę uważać pana za krewnego!

Było to bardzo zabawne. Biedny prezes oniemiał, lecz po chwili, jak każdy dobrotliwy zwierchnik, za jakiego się uważał, śmiał się i dowcipkował wraz z nami. Wreszcie więc drzwi stanęły otworem i zakończył się ten nieskończenie długi koncert.

Jednym z członków orkiestry (złożonej w połowie z amatorów — w połowie z zawodowych muzyków) był młody człowiek, o ile pamiętam, grający w dru-

gich skrzypcach. Po koncercie przyszedł do pokoju artystów, prosząc mnie o chwilę rozmowy. Nieco onieśmieszony, zaczął od komplementów, a potem powiedział:

— • Tak bardzo pragnąłbym widzieć pana raz jeszcze, czy zechciałby pan być tak uprzejmy i zjeść jutro u mnie obiad?

— Jutro? — odpowiedziałem — przecież już jest jutro. Prawdopodobnie ma pan na myśli dzień dzisiejszy.

— Ależ oczywiście — roześmiał się — czy nie przyszedłby pan dziś do mnie na obiad?

Ponieważ była to niedziela i musiałem jeszcze pozostać w Bordeaux, przyjąłem owo zaproszenie. I wpadłem w pułapkę. Zastałem bowiem mnóstwo osób; chodziło mu po prostu o to, abym po obiedzie zagrał dla nich. Gdy tylko wszedłem do pokoju, zauważyłem otwarty fortepian i dużo gości, domyśliłem się więc od razu, o co chodzi — podczas obiadu zachowywałem ostrożność i jadłem niewiele. Po obiedzie zasiadłem do fortepianu — nie było innego wyjścia. Poza tym odpowiadało mi to z pewnych względów, a nawet byłem zadowolony, gdyż nadarzała się sposobność zagrania utworów, których poprawnego wykonania nie byłem zupełnie pewien. Zagrania — na chybił trafił. Z przyjemnością więc zasiadłem do gry, ale jeszcze przedtem zbliżył się do mnie młody gospodarz ze słowami: „Bardzo będę wdzięczny, jeśli zagra nam pan dzisiaj choćby jeden, jedyny utwór, a w dowód wdzięczności przyślę panu beczkę dobrego wina!”

Grałem więc, i to nie z powodu obiecanej baryłki, lecz ponieważ poprzednio mu to przyrzekłem, i dlatego że gra sprawiała mi przyjemność. Gdy skończyłem, dziękował mi gorąco, mówiąc: „Proszę zostawić mi swój adres, chcę panu bowiem, w dowód głębokiego uznania, przysłać ową przyrzeczoną baryłkę. Najlepsze wino, jakie znajdę...” Czyż trzeba dodawać, że nigdy owej obiecanej baryłki nie otrzymałem?



Jeszcze jeden zabawny incydent zdarzył się w czasie mojej kariery artystycznej we Francji. Zaproszono mnie do wzięcia udziału w koncercie „filharmonicznym” w Tours. Działo się to w roku 1890. Tours jest uroczą miejscowością, lecz nie wie pani, jak bardzo niewielu jej mieszkańców interesuje się sztuką muzyczną. To, co obecnie opowiem, może służyć za przykład zupełnie specyficznego sposobu odczuwania muzyki przez mieszkańców prowincji francuskich. Zostałem przez nich zaproszony — słyszeli bowiem, że miałem duże powodzenie w Paryżu i że gazety wyrażały się o mnie bardzo pochlebnie; uważali zatem, że bezwzględnie muszę choć jeden raz wystąpić i u nich. Honorarium było zachęcające, więc zaproszenie przyjąłem i pojechałem do Tours. Nigdy nie lubiłem koncertów, których program składa się z występów kilku różnych artystów. Przed każdym występem jest się jakby naładowanym energią twórczą, którą można by porównać do napięcia elektrycznego; podczas gry to napięcie trwa, a energia wciąż się odnawia, gdy jednak grę stale się przerywa, a pauzy między występami trwają czasem i pół godziny — trzeba swoje baterie naładowywać od nowa, a to nie zawsze się da zrobić. To bardzo trudna sprawa.

Koncert w Tours zaczął się od śpiewu. O ile pamiętam, śpiewał baryton, a potem ja grałem. Publiczność była wyraźnie zadowolona, ja zresztą także, ponieważ nie spodziewałem się szczególnie entuzjastycznego przyjęcia. Z kolei śpiewała jakaś artystka, a następnie przyszła kolej na Galipaux. Był to bardzo utalentowany i popularny wówczas aktor. Kiedy wyrecytował jeden ze swych zabawnych monologów, poważny dotąd nastrój sali zmienił się natychmiast. Teraz przyszła kolej na tenora, którego nazwiska nie pamiętam. Był on raczej miernym śpiewakiem, lecz wprost wspaniale brał wszystkie wyższe tony. Sprawiało to, że publiczność szalała z zachwytu. Śpiewał, jak mówią Francuzi, z *ul de poitrine* — całym wysiłkiem płuc. Entuzjazm sali doszedł

do szczytu. Dla nas, pozostałych artystów, było to jednak kompletne fiasko. W połowie programu zaprodukował te wspaniałe wysokie tony, którymi zjednał sobie serca wszystkich obecnych. Ja miałem grać bezpośrednio po nim; naturalnie nikt, dosłownie nikt, nie słuchał mojej gry. Wyszedłem na estradę po niezwykłym podnieceniu wywołanym tymi wysokimi tonami, a ja przecież grałem tylko nokturn Chopina! Cóż to bowiem za beznadziejnie nudny utwór dla tak usposobionej publiczności. W ogóle mnie nie słuchano, równie dobrze mogłem nie istnieć.

Jednak grałem jak zwykle, bynajmniej nie gorzej, ale w grze mojej nie było tych zachwycających wysokich tonów — nie było więc i oklasków. Nic podniecającego! Znudzeni słuchacze czekali tylko na następny występ śpiewaka. Przyznaję, że nie byłem zbyt zadowolony. Potem przyszła kolej na śpiewaczkę — i znów duży sukces. O ile pamiętam, śpiewała jakieś koloratury z wieloma trylami i kadencjami.

Następnie po raz drugi wystąpił Galipaux i także zdobył wiele oklasków, a potem znów tenor — ów tenor od najwyższych tonów. Tym razem zrobił furorę. Sala szalała! Szalała do tego stopnia, że gdy zaraz po jego występie zjawiłem się na estradzie, by zagrać parę ostatnich utworów solowych, nie tylko nikt nie słuchał mej gry, ale publiczność zaczęła głośno rozmawiać, nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Bogu dziękowałem, gdy wreszcie się to wszystko skończyło — niby właściwie bardzo zabawne, ale jednocześnie i bardzo przykre. Nigdy poprzednio nie zdarzyła mi się podobna historia. Jedyнным moim pragnieniem było pierwszym pociągiem opuścić Tours.

Po koncercie wszyscy artyści wyrazili mi głębokie współczucie z powodu niepowodzenia; zapewniam pania, że nie było to dla mnie zbyt miłe. Jedyнным przyjemny moment to zjawienie się pewnego niskiego pana o nazwisku Marne, uroczego człowieka, wydawcy książek

O treści religijnej. W Tours istnieje dotychczas znana firma wydawnicza Marne. Lubił on bardzo muzykę i obdarzony był dużą kulturą muzyczną. Przyszedł do pokoju artystów, by ze mną pomówić. Rozgoryczony tym, co zaszło, pragnął wyrazić mi swój żal oraz gorąco przeprosić za tak okropne zachowanie się publiczności, która okazała się po prostu gromadą dzikusów. Był zupełnie wytracony z równowagi i uważał, że to, co się stało, podkopało prestiż muzyczny Tours. Twierdził, że zupełnie nie rozumie, dlaczego ów mierny śpiewak o bardzo marnym głosie, posiadający tylko umiejętność śpiewania kilku wysokich tonów, wywołał tak dużą sensację, i z jakiego powodu publiczność ogarnął tak wielki zachwyt po tego rodzaju drugorzędnym występie, a nie potrafiła ona ocenić prawdziwej sztuki, itd.

Słowa jego były dla mnie pewnym ukojeniem w owych ciężkich chwilach, zapoczątkowały przyjaźń trwającą całe lata. Rokrocznie ten kochany i dobry człowiek zjawiał się na każdy mój recital w Paryżu. Czyż nie jest to wzruszające? Po każdym koncercie witał mnie zawsze tymi samymi słowami: „No cóż, przyjacielu, to jednak trochę inaczej niż w Tours?”

Tak wyglądały owe dwie zabawne historyjki, które tymczasem powinny pani wystarczyć. Musimy być znów poważni. Dochodzimy obecnie do pewnego momentu w mojej karierze — a było to w roku 1890 — kiedy w bardzo krótkim terminie musiałem przygotować, jako dowód wdzięczności dla jednego z moich francuskich kolegów, program składający się wyłącznie z kompozycji francuskich. W ciągu dwóch tygodni musiałem nauczyć się dwóch koncertów i dwunastu krótszych utworów. Miał to być koncert na cel dobroczynny dla jakiejś instytucji. Musiałem to zrobić.

Wspominam o tym występie dlatego, że dzięki niemu nabrałem doświadczenia, które i dla innych może być pożyteczne. Nauczyłem się tych wszystkich utworów w ciągu dwóch tygodni i zagrałem je dobrze, technicznie

bez błędu, to znaczy bez żadnego potknięcia! Lecz nawet na dziesięć minut przed występem nie byłem jeszcze pewien swej pamięci, i to było okropne! Przed samym wejściem na estradę zaglądałem do nut, a specjalnie do koncertów. Aż do ostatniej chwili przypominałem sobie, starałem się zapamiętać. Koncert się udał, szczęśliwie przebrnąłem przez program, ku zadowoleniu publiczności oraz obecnych na sali kompozytorów. Dnia tego grałem kilka kompozycji nie znanych dotąd muzyków. O tym wszystkim opowiadam dlatego, i dlatego jest to interesujące, że w trzy dni po koncercie nie pamiętałem już niczego i nie byłbym w stanie odegrać ani jednego utworu. Zapomniałem wszystko! Dowodzi to, że niczego nie można dokonać jednym tylko, choćby nawet największym, lecz wymuszonym wysiłkiem pamięci. Wtłoczyłem w siebie tyle materiału pamięciowego, że byłem dosłownie nafaszerowany jak słynna gęś sztrasburska. Każdy człowiek powinien zdawać sobie sprawę z faktu, że dobre i trwałe wyniki osiągnąć można jedynie drogą krótkich, lecz ciągłych, codziennych wysiłków. Jednorazowy wysiłek jest kompletnie jałowy. Prawdziwą umiejętność zarówno w nauce i w sztuce, jak w każdym innych zajęciach, zdobyć można tylko codzienną pracą i codziennym wysiłkiem. I to jest bezwzględnie pewne.

Wiele ludzi, a przede wszystkim większość studentów mających przed sobą egzaminy, potrafi próżnować cały okrągły rok, a gdy nadchodzi termin zdawania — zdobywają się na szalony wysiłek pamięci i rzeczywiście uzyskują błyskotliwą, ale zupełnie powierzchowną, potrzebną w danym wypadku sumę wiadomości. Potem dzieje się z nimi to, co stało się ze mną: z całego programu piętnastu utworów wyuczonych na pamięć w ciągu dwóch tygodni, z całej tej nauki po prostu nic nie zostaje.

„Czas jest mściwy i bierze srogi odwet za sprawy dokonane bez jego współdziałania.”

Pobyty w Paryżu stanowi rozdział sam dla siebie. Jest to chyba jeden z najintensywniejszych okresów w mojej karierze, a jednocześnie początek prawdziwego życia artysty. Trudno mi w tej chwili przypomnieć sobie nurtujące mnie wówczas uczucia i odtworzyć pani ówczesny stan mego umysłu i ducha. Dzisiejszym naszym zadaniem będzie rozmowa o tych odległych dniach, w których z konieczności odegram główną rolę — rolę bohatera dramatu. Chciałbym opowiedzieć pani o wszystkim: trudnościach i rozczarowaniach, błędach i nadziejach, wielkich ambicjach, a także o chwilach wesołych i szczęśliwych, wreszcie o mojej pracy. To jest obecnie naszym zadaniem, które będziemy się starali wykonać.

Chciałbym opowiedzieć to pani w porządku chronologicznym. Wiele jest ciekawych momentów z okresu mojego życia w Paryżu — będą one stanowić jakby przyprawę opowiadania. Dużo mi pozostało w pamięci wspomnień z owych czasów, dużo wzruszających i ciekawych spraw dotyczących różnych wielkich osobistości, a także i szczegółów szerzej nie znanych lub też zapomnianych. W Paryżu i Londynie poznałem wszystkich wybitnych przedstawicieli ówczesnego świata muzycznego, towarzyskiego i politycznego — zastępy ludzi, obecnie już tylko duchów, gdyż nikt z nich już nie żyje.

W tym czasie sprowadziłem do Paryża mego syna — nieszczęśliwe, chore dziecko, chciałem go bowiem mieć blisko siebie. Przyjaciele moi, państwo Górscy, u których zamieszkał, opiekowali się nim troskliwie. Dręczył mnie jednak stale niepokój, gdyż stan jego był tragiczny. Trudności paszportowe uniemożliwiły mi wyjazd po chłopca do Polski. Zaczny Edward Kerntopf zawiózł go

więc do Wiednia, a ojciec pana Stowiowskiego przywiózł do Paryża. Biedny chłopiec, który nie skończył jeszcze dziewięciu lat, miał wciąż wielkie trudności z chodzeniem. Ciężko było żyć z tym ustawicznym niepokojem w sercu. Moja kariera pianisty zdobywającego coraz większe uznanie w świecie i związana z tym wzrastająca praca wymagały wielkiej energii i poświęcenia całego czasu i sił, a tymczasem biedny chłopiec potrzebował stałej opieki, musiał być leczony; łudziłem się nadzieją przez długie lata. A ja musiałem wciąż dalej pracować, wypełniać swoje przeznaczenie. Nie miałem jeszcze trzydziestu lat i każda godzina była cenna, ale stale i uporczywie prześladowała mnie myśl o groźnej chorobie syna — problem, który należało rozwiązać. Chłopiec był inteligentny i utalentowany — obdarzony świetną pamięcią i zamiłowaniem do muzyki; dałem mu już w owym okresie prywatnego nauczyciela. Trudno było zabierać go na koncerty, ale bywał często na recitalach, które odbywały się w sali Erarda. Cieszył się z tego ogromnie, czuł się wówczas szczęśliwy i rozczulająco dumny z ojca. Stanowiło to dla niego wielkie urozmaicenie, dobrze działało na psychikę; biedne dziecko bowiem na skutek kalectwa pozbawione było wszelkich niemal — poza rozrywkami umysłowymi — przyjemności.

Przed wyjazdem do Londynu grałem przez trzy pełne sezony w Paryżu, a znajomości i kontakty wówczas nawiązane przetrwały długie lata. Postanowiłem obrać sobie Paryż za główną siedzibę i wynająłem małe mieszkanko na avenue Victor Hugo. Mieszkanko było nieduże i skromne, ale gdzieś wreszcie musiałem — że tak powiem — zapaść korzenie.

Przywiązałem się do tego mieszkania tak, jak do dwóch pokoików w Wiedniu i z czasem stało się ono istotną częścią mego życia. Podobnie jak w Wiedniu, zajmowałem ten mały paryski apartament długi szereg lat, bo aż do roku 1906. Wszystko, co się w nim znajdowało, wiązało się ściśle z moją pracą; stworzyłem tam

swój mały świat — świat stale wzrastającej i nieustannej pracy. Wiedziałem już wtedy, tak jak i dziś, że mój cel — to walka o osiągnięcie możliwej doskonałości w grze oraz nieustanne dążenie naprzód, mimo zdarzających się nieraz zahamowań. Taka powinna być zresztą każda praca. I należy być na to przygotowanym, że przeszkody wzrastają w miarę posuwania się naprzód, a upragniony szczyt wydaje się wciąż coraz odleglejszy.

Zajęty byłem ogromnie przede wszystkim opracowywaniem nowego repertuaru, z którym chciałem wystąpić w najbliższych latach. Pracy oddałem się całkowicie, dla niej tylko żyłem, ona stanowiła mój świat, a wszystko inne przestało istnieć. Ten okres — jak byśmy mogli powiedzieć — budowania, choć niezmiernie ciężki — pod wieloma względami jednak bogaty — miał dla mnie wielkie znaczenie i był potężną dźwignią w dalszej karierze. Jak już wspominałem, miałem teraz w Paryżu sposobność spotykania w różnych okolicznościach szeregu wybitnych osobistości. Zetknąłem się ze światem całkowicie odmiennym od tego, w jakim dotąd żyłem. Miałem możliwość poznania i przebywania ze wszystkimi wielkimi muzykami owej epoki. Domy ich stanęły dla mnie otworem — jako jednego z pierwszych poznałem Gounoda. Był to niezwykle człowiek. Z wyglądu przypominał dostojnego kapłana. Wzrost miał okazały, oczy pełne wyrazu; nosił piękną białą brodę. Odznaczał się łatwością wystawiania, przy czym słuchając go, odnosiło się niekiedy wrażenie, iż przemawia czcigodna duchowna osoba. Każde zdanie, o nieskazitelnej formie, wypowiadał głosem raczej cichym i harmonijnym. Miły i dobroduszny, był w całym tego słowa znaczeniu wartościowym człowiekiem. Gounod nie tylko był twórcą szkoły (wszystkie nowoczesne opery francuskie wywodzą się od niego), można by go nazwać duszpasterzem młodych muzyków, jeśli zważyć wpływ, jaki na nich pod wieloma względami wywierał. Było to u niego szczególnie charakterystyczne.

Gounod to nie tylko kompozytor. Miał dużo wiadomości z najrozmaitszych dziedzin, ale nigdy nic nie publikował, jak to czynili niektórzy z jego kolegów. Wolał pozostać wyłącznie kompozytorem. Będąc wszechstronnie wykształcony, poświęcił się całkowicie muzyce, nie pisywał i nie ogłaszał niczego drukiem, jak to czynił na przykład — nie mniej zresztą od niego wszechstronny — Saint-Saens. Pozostawał ściśle w ramach swojej sztuki. Gounod był entuzjastą i wielbicielem muzyki Mozarta, którego uważał za ideał. Wpływ Mozarta jest zresztą dość widoczny w jego kompozycjach — mają bowiem one prostą formę z wyraźną i naturalną przebiegiem melodii.

Niektóre części *Fausta* są, moim zdaniem, piękniejsze od wszystkiego, co kiedykolwiek zostało skomponowane: myślę tu przede wszystkim o scenie miłosnej, o środkowej części walca (wyjątkowe<sup>5</sup> pięknej), o preludium oraz serenadzie! To bezwzględnie wytwory najwyższego natchnienia. Jego opera, a zarazem komedia: *Le medecin malgre lui*, oparta na komedii Moliera, jest prawdziwym arcydziełem. Poza tym jeszcze *Mireille* — także opera, której treść zaczerpnął Gounod z poematu Mistrala, jednego z największych poetów francuskich.

Mało znanym szczegółem dotyczącym Gounoda, ale przypuszczalnie dość ciekawym, jest fakt, że miał głos i śpiewał akompaniując sobie sam na fortepianie. Słyszałem go wykonującego pieśni francuskie w domu starej pani Marchesi, znanej profesorki śpiewu. Śpiewał nawet dość często. Śpiew jego był niezwykle piękny i mimo że głos miał nieduży i słaby, potrafił nim wypowiedzieć wszystko. Obdarzony był i w tym kierunku wyjątkowymi zdolnościami. W śpiew swój, o swoistym, określonym stylu, wkładał bardzo wiele uczucia. Bywałem częstym gościem w jego domu — był najbardziej uroczym towarzyszem. Przebywanie razem z nim sprawiało mi prawdziwą radość, a jeszcze większą jego obecność na moich koncertach, na których bywał stale,



jego oklaski i okrzyki uznania: „Brawo, Paderewski, brawo"! Doprawdy bardzo go kochałem.

Gounod, mimo swych wszechstronnych wiadomości, nie starał się nigdy wysuwać siebie na pierwszy plan. Pełen prostoty i swobody, potrafił niekiedy być jowialny i dowcipny.

Następnym z ówczesnych najwybitniejszych muzyków francuskich, z którym zaprzyjaźniłem się, był Kamil Saint-Saens. Niezwykły człowiek, posiadający ogromny zasób wiadomości z najrozmaitszych dziedzin. Zakres jego wiedzy był wprost zadziwiający. Pisał dzieła filozoficzne, wydał nawet książkę z dziedziny astronomii. Jako wielki muzyk został mianowany członkiem Instytutu Francuskiego, co nie przeszkadzało mu uczestniczyć na zebraniach różnych innych wydziałów i tam wygłaszać referaty. Tak na przykład miał kiedyś referat na wydziale archeologicznym o archeologii, a innym znów razem na wydziale matematycznym — o astronomii. Erudyta i niezwykły człowiek.

W tym też okresie przebywał w Paryżu znany i popularny śpiewak nazwiskiem Faure, cudowny niegdyś baryton. Jego swada i mistrzowskie operowanie resztkami głosu (był już bowiem stary) wprawiały w najwyższy podziw, i kto wie, czy nie robił tego lepiej niż zapomniany już dziś powszechnie (z wyjątkiem muzyków) Battistini. Według mnie jednak Battistini to jeden z najsławniejszych barytonów naszych czasów, jeden z najsławniejszych nawet w historii muzyki.

Brałem też kiedyś udział w koncercie, na którym śpiewał Faure, i jedno tylko niedociągnięcie w jego śpiewie zwróciło moją uwagę: zbyt długo przetrzymywał fermaty; gdy brzmiały one pięknie, przeciągał je niemożliwie — stawało się to męczące dla słuchaczy, nawet dla jego wielbicieli.

Pewnego razu, w domu znanej arystokratki, która często urządzała modne wówczas przyjęcia muzyczne, proszono Faure'a o zaśpiewanie kilku pieśni Gounoda,

który również uczestniczył w zebraniu. Uroczą pani domu zwróciła się z zapytaniem do kompozytora, czy nie miałby ochoty sam zaakompaniować.

„Bynajmniej, proszę pani — odpowiedział pospiesznie Gounod. — Czemuż miałbym mu akompaniować, nie widzę powodu, by siadać na każdym proponowanym mi stołku.” Po tej odpowiedzi może się pani zorientować, że Gounod nie należał do ludzi łatwych i przystępnych, a odpowiedź ta charakteryzowała go doskonale.

Saint-Saens okazywał mi zawsze bardzo wiele życzliwości. Stale bywał na moich koncertach, a gdy kiedyś zagrałem jego *Koncert c-moll*, wzruszony przyszedł wyrazić mi swój podziw. Do dziś posiadam kilka jego fotografii, które ofiarował mi z wyrazami wdzięczności i uznania. Cenię je sobie bardzo, gdyż na ogół Saint-Saens niechętnie okazywał swoje uczucia, znany był raczej jako człowiek skryty i niedostępny. Nieprzystępny i trudny w obcowaniu z ludźmi — w stosunku do mnie był zawsze miły i uczynny.

W związku z powyższym przypominam sobie pewne zdarzenie, które spotkało mnie w lecie 1888. W tym czasie znałem już Saint-Saensa. Ukończyłem właśnie instrumentowanie mego koncertu. Nie miałem jeszcze wówczas koniecznego doświadczenia i nigdy jeszcze nie słyszałem mego utworu granego na koncercie, a bardzo tego pragnąłem. Chciałem jednak przedtem usłyszeć o nim opinię innego kompozytora, i to dobrego kompozytora muzyki orkiestralnej. Nie namyślając się więc długo, wziąłem swoją partyturę i poszedłem do Saint-Saensa. Czuję się bardzo onieśmielony, mimo że znałem go już wtedy osobiście, a on słyszał moje wykonanie jego koncertu. Zastanawiając się, doszedłem do wniosku, że udanie się do niego po radę będzie chyba zbytnią śmiałością z mej strony. Niemniej tak bardzo zależało mi na jego zdaniu, że przewyciężywszy obawy — poszedłem.

Sam otworzył mi drzwi mówiąc:

— Ach, to pan, Paderewski. Proszę, niech pan wejdzie, czym mogę panu służyć?

W słowach jego od razu zauważyłem jakiś pośpiech i zdenerwowanie i pomyślałem, że przypuszczalnie, jak zawsze, zajęty jest pisaniem i wolałby, żeby mu nie przeszkadzano w pracy.

— Co mogę uczynić dla pana, czego pan sobie życzy?

Zawahałem się z odpowiedzią, widziałem bowiem wyraźnie jego rozdrażnienie, czułem, że zjawiłem się w nieodpowiedniej chwili.

— Przyszedłem, aby usłyszeć pana opinię o moim koncercie fortepianowym — odpowiedziałem nieśmiało.

— Drogi panie, nie mam teraz czasu i nie mogę dziś z panem dłużej konferować, doprawdy nie mogę.

— Przepraszam — powiedziałem i kierowałem się ku wyjściu. — Może jednak mógłbym przyjść kiedy indziej? — odważyłem się dodać, nie tracąc jeszcze resztek nadziei.

— Kiedy indziej?! Kiedy indziej mogę być jeszcze bardziej zajęty, bo ja niestety nigdy nie miewam czasu, nigdy! — zawołał niecierpliwie, chodząc po pokoju. — Skoro już pan tutaj jest, nie pozostaje mi nic innego, jak pana przyjąć. Proszę mi dać ten koncert. Czy chciałby pan może go u mnie zagrać?

— Tak, przyniosłem też i partyturę.

Wziął ją ode mnie i czytał, a ja grałem. Słuchał z uwagą. Po *Andante* zatrzymał mnie mówiąc:

— *Andante* zachwycające, proszę raz jeszcze je zagrać.

Zagrałem; poczęła we mnie wstępować nadzieja, widziałem bowiem, że moja kompozycja zainteresowała go bardzo. Wreszcie odezwał się:

— Nic tu nie trzeba zmieniać. Śmiało może pan zagrać swój koncert tak, jak go pan napisał, i będzie się publiczności podobał, bo jest dobry. Zaręczam panu, że tak jest i że nie potrzebuje się pan niczego obawiać.

Wyrok okazał się więc dla mnie łaskawy, wyszedłem pełen otuchy, patrząc z odwagą w przyszłość.

Jego przychylna opinia na temat wartości mego koncertu wzmocniła moją wiarę we własne możliwości, w przeciwnym razie gotów byłbym ją utracić.

Saint-Saensa widywałem jeszcze niejednokrotnie na koncertach, kiedy grałem jego utwory. Ale do najprzyjemniejszych zaliczyć muszę nasze spotkanie w Szwajcarii — w Genewie, które nastąpiło wiele lat później, zdaje się, że w roku 1911. W Genewie miał się wtedy odbyć jubileuszowy festiwal utworów Saint-Saensa, organizowany przez Gustawa Doret, ówczesnego dyrygenta tamtejszej orkiestry. Zaprosił on do Genewy kompozytora, zapowiadając mu, że grać będę na festiwalu jego koncert. Saint-Saens niezwłocznie odpisał na to: „Może zdołam nakłonić Paderewskiego do zagrania i mego *Poloneza na dwa fortepiany*, jednej z dawniejszych kompozycji. Proszę zapytać, czy nie zechciałby zagrać go ze mną?” Z prawdziwą przyjemnością przyjąłem jego propozycję i na festiwalu zagraлиśmy wspólnie *Poloneza*. Bardzo był z tego rad. Było to wzruszające spotkanie. Saint-Saens przyjechał do Genewy tylko na jeden dzień — dzień swego koncertu, dowiedziawszy się jednak, że nazajutrz ma być wykonana moja symfonia, postanowił przedłużyć swój pobyt. Chciał ją usłyszeć, co było wobec mnie pięknym gestem.

Po festiwalu odbył się na jego cześć uroczysty bankiet, przy czym proszono mnie o wygłoszenie okolicznościowej mowy. Przemówienie podobało się Saint-Saensowi bardzo i wzruszyło go głęboko. Ja też byłem rad. Wieczór udał się znakomicie.

Trzecim interesującym muzykiem, którego spotkałem w czasie mego pierwszego sezonu paryskiego, był Massenet. Człowiek bardzo utalentowany, posiadający dużą łatwość kompozycji i cieszący się wielkim powodzeniem — a także bardzo zamożny. Przypuszczam, że najbogatszy spośród wszystkich ówczesnych muzyków francuskich. W dniu, kiedy wystawiano jego operę czy to w Wielkiej Operze, czy też w Operze Komicznej, szedł do kasy,

by osobiście zapytać o rezultat sprzedaży biletów. „Jak tam sprzedaż biletów? — pytał. — Czy wyprzedano już widownię na dziś?” Nawet gdy był chory, a przeczytał w gazecie, że wieczorem grana będzie jego opera, wstawał i jak zwykle podążał do kasy. Wydaje mi się, że przeszło to u niego już w pewnego rodzaju manię, że grało tu rolę nie tylko zainteresowanie finansami. Był ciekawy nastroju publiczności, chciał też wiedzieć, czy nie kończy się już jego popularność. Zresztą kierowały nim z pewnością różnego rodzaju uczucia, jak to zwykle bywa. Osobiście nigdy nie uważałem go za człowieka bardzo rozumnego. Nie posiadał olbrzymiej skali zainteresowań Saint-Saensa czy Gounoda, był wyłącznie muzykiem, może zbyt przejętym swoją wielkością^

Massenet napisał wiele oper, z których dwie zdobyły duże powodzenie. Pierwszym jego sukcesem była *Manon*, a następnym oczywiście *Thais*, nadal jeszcze wystawiana. Pamiętam premierę *Thais*, z Sybil Sanderson w roli głównej. Sybil Sanderson, sopran, była młodą Amerykanką z Kalifornii, protegowaną Masseneta. Przez pewien czas cieszyła się olbrzymim powodzeniem w Paryżu. *Thais* stała się prawdziwą, sensacją sezonu paryskiego dzięki przepięknej interpretacji Mary Garden. Massenet skomponował też wiele ślicznych i w swoim czasie lubianych pieśni.

Znałem też wielkiego muzyka Vincenta d'Indy. Ulegał już wtedy w pewnym stopniu wpływom nowych prądów, nurtujących muzykę niemiecką. W jego kompozycjach wyczuwało się pewne ślady Wagnera. Nie można było tego nazwać zwykłym naśladownictwem, lecz po prostu muzyka d'Indy'ego zdradzała oddziaływanie panującej wówczas w Niemczech atmosfery wagnerowskiej. Był pierwszym Francuzem, który uległ temu wpływowi. Wszystko to działo się na wiele lat przed pojawieniem się ultranowoczesnej muzyki francuskiej Debussy'ego, Ravela i innych. D'Indy skompo-

nował kilka uroczych utworów na orkiestrę, kilka poematów symfonicznych, oper i utworów kameralnych. Arcydziełem o nieprzemijającej wartości pozostanie *Le Chant de la Cloche*, oparte na sławnym poemacie Schillera.

Znałem jeszcze Karola Marię Widora — organistę, kompozytora i profesora kompozycji (szczególnie orkiestracji) Konserwatorium Paryskiego, człowieka niezmiernie uczonego, mądrego i zrównoważonego. Odgrywał w Paryżu dużą rolę jako dożywotni sekretarz Instytutu Francuskiego. Jest to bardzo wysokie i wpływowe stanowisko. Obecnie, mimo swych dziewięćdziesięciu trzech lat, wciąż jeszcze pracuje, i to pracuje dobrze. Człowiek wszechstronnie uzdolniony i bardzo wartościowy.

Tak, znałem go dobrze. Ostatni raz widzieliśmy się parę lat temu, tak, chyba ze dwa lata temu, w Paryżu. Rozmawialiśmy o różnych interesujących nas sprawach. Pamiętam, że zapytałem go, czy nie zna szczegółów dotyczących zainteresowań muzycznych Karola Wielkiego. „Niewiele wiem o tym — odpowiedział — tyle tylko, że interesował się żywo muzyką i lubił otaczać się muzykami owego czasu (ósmy wiek). Postaram się jednak znaleźć potrzebne panu dokładniejsze dane.” Dotrzymał słowa. W dwa dni później dostałem małą książeczkę, w której wymienione były wszystkie odnalezione, a pochodzące z owej odległej epoki zabytki muzyczne chorału gregoriańskiego. Okazuje się, że nie zapomniał o swym przyrzeczeniu, wyszukał i przysłał mi to, o co prosiłem. Zadał sobie ten trud — przeszło dziewięćdziesięcioletni staruszek. To może dać pani pełne wyobrażenie, jakim człowiekiem był Widor.

Piastował funkcję organisty w kościele St. Sulpice w Paryżu. Organy w St. Sulpice znane są z pięknego brzmienia; na słynnych porannych koncertach Widora można było spotkać co niedzielę cały artystyczny i arystokratyczny świat Paryża. Kościół przepełniony był zawsze tłumem najświetniejszych i najpiękniejszych

dam paryskiego towarzystwa. Mówiąc o kościele, muszę zwrócić pani uwagę na pewien ciekawy szczegół; otóż, zdaniem moim, kościół jest wyłącznie domeną kobiet, a w tym właśnie wypadku rzeczywiście tak było. Widywało się tam tylko najwytworniejsze panie, i to Stale te same. Bywały tam wszystkie piękne paryżanki. Czasami nawet przychodziły na te koncerty bywające w wielkim świecie cudzoziemki. Wszystkie słuchaczki usiłowały znaleźć się w najbliższym sąsiedztwie organów i Widora. On sam, rzecz prosta, był z tego bardzo zadowolony, każdemu bowiem sprawia przyjemność widok pięknych twarzy, prześlicznych sukien itd. Uczęszczanie na niedzielne koncerty było przez długie lata ustalonym, modnym zwyczajem pań z paryskiego high-life'u. Opisanie przeze mnie liczne zgromadzenia pięknych dam porównać by można jedynie z cieszącymi się również dużą frekwencją niektórymi wykładami, na przykład profesora Caro w Sorbonie; na jego poważnych, filozoficznych odczytach zbierało się tak liczne audytorium eleganckich pań, że sala — choć ogromna — nie była w stanie pomieścić wszystkich słuchaczy. Świadczyło to o niezwykłej popularności wykładowcy. Profesor Caro był sławnym, interesującym i świetnym uczonym, nie ma on jednak nic wspólnego z moimi wspomnieniami muzycznymi.

Wydaje mi się, że do tego długiego szeregu sławnych muzyków dodać trzeba koniecznie Edwarda Lalo. Widywałem go często w domu wielkiego skrzypka — Sarasatego. Byli blisko z sobą zaprzyjaźnieni i nieraz miałem możliwość przebywania w podniecającej, pełnej uroku atmosferze, jaka ich otaczała. Lalo napisał kilka koncertów skrzypcowych, poza tym sporo utworów kameralnych i kilka cudownych pieśni. Pod koniec swej kariery doczekał się radosnej chwili: wystawienia opery *Le Roi d'ys*. O ile wiem, była to jedyna opera, jaką kiedykolwiek napisał, wyjątkowo zresztą piękna.

Gabrielowi Faure należy się specjalne miejsce na tej

wciąż rosnącej liście sławnych ludzi. Faure był wielkim kompozytorem pieśni, nazywano go — nieco pretensjonalnie — francuskim Schumannem. Muszę stwierdzić, że porównanie niezupełnie właściwe, gdyż skala twórczości Schumanna jest o całe niebo wyższa i szersza, a genialność jego nie ulega wątpliwości. Faure napisał dużo pięknych i poetycznych pieśni, lecz jego utwory kameralne, mimo iż zdobyły dość dużą popularność, nie posiadały już takiej wartości artystycznej i doskonałości formy jak jego pieśni. Zdaniem moim, *Elegia* przyczyniła się jednak do wzbogacenia stosunkowo ubogiej literatury wiolonczelowej i w tym zakresie stanowi cenny klejnot.

Jedynym prawdziwie wielkim kompozytorem francuskim w szlachetnym i podniosłym stylu był Cezar Franek; można by go nawet nazwać twórcą nowoczesnej szkoły francuskiej i belgijskiej. Był Walonem mówiącym po francusku, ale flamandzkiego pochodzenia. To jeden z niewielu artystów, których osobiście nigdy nie poznałem, gdyż nigdy na żadnych koncertach nie bywał. Żył jak prawdziwy zakonnik, widując tylko swoich uczniów. Ogólnie twierdzono, że unikał nowych znajomości, a z życia światowego wycofał się zupełnie. Nie usiłowałem więc zbliżyć się do niego, lecz zawsze ogromnie go podziwiałem. Niektóre z jego utworów, choćby *Symfonia d-moll* i *Sonata skrzypcowa*, są po prostu przepiękne — arcydzieła.

Oprócz muzyków widywałem także największych malarzy, rzeźbiarzy i poetów ówczesnej Francji. Wielu z nich poznałem osobiście — byli to niezmiernie interesujący ludzie. Już w Strasburgu wszedłem w to środowisko dzięki utalentowanemu malarzowi Schutzenbergerowi. Gdy przyjechałem do Paryża, parę razy urządzał na moją cześć przyjęcia w swoim atelier, i od tej pory miałem prawo wstępu do pracowni wszystkich prawie najsłynniejszych malarzy ówczesnych, a więc: Gerome'a, Benjamina Constanta, Bouguereau, Bonnata,



Puvisa de Chavannes, Detaille'a i innych. Nigdy nie poznałem słynnego rzeźbiarza Rodina, był człowiekiem zupełnie niedostępnym.

Znałem również artystów obcego pochodzenia, między innymi cenionego malarza węgierskiego Munkacsyego. Kilkakrotnie grałem w jego pracowni, chętnie odwiedzanej przez najwytworniejsze towarzystwo Paryża.

W niektórych salonach paryskich otaczano muzykę prawie religijnym kultem. Wiele też pań z najwyższych sfer paryskich grało nieźle na fortepianie i poświęcało muzyce dużo energii i wysiłku. Były to przeważnie uczennice pani Dubois — ostatniej uczennicy Chopina. Za czasów swej młodości pani Dubois musiała być niezwykle piękna. Poznałem ją już jako osobę w podeszłym wieku, lecz rysy jej twarzy odznaczały się jeszcze wyjątkową, klasyczną doskonałością. Miała też niezwykle urok.

Usłyszałem od niej kilka bardzo dla mnie cennych uwag, pochodzących od samego Mistrza. Nie mogę zaprzeczyć, że chociaż pochodziły już z drugiej ręki — dużo z nich skorzystałem. Opowiedziała mi wiele ciekawych rzeczy.

Przypominam sobie, że pewnego razu grałem siedemnaste preludium Chopina. Madame Dubois zwróciła mi natychmiast uwagę, że Chopin grając preludium zwykł był w zakończeniu (mimo że wszystko inne grał *diminuendo*) uderzać z całą siłą powtarzający się w basie dźwięk, uderzać go w jednakowy sposób i jednakowo mocno, co uważał za bardzo ważne. Twierdził, że musi jednakowo akcentować ten ton, ponieważ preludium ma przypominać dźwięki starego zamkowego zegara, wydzwaniającego godzinę jedenastą. Madame Dubois radziła mi, abym i ja nie uderzał tego tonu *diminuendo* — jak to dotąd robiłem, dostosowując się do prawej ręki, grającej stale *diminuendo*. Powtarzała mi, że Chopin nalegał bardzo na to, aby lewa ręka grająca bas nie zmieniała siły uderzenia, ponieważ

zegar wydzwania wszystkie godziny jednakowo, a dźwięk w basie miał naśladować uderzenia zegara. Od tego czasu zawsze już grałem tak, jak Chopin tego chciał.

Pani Dubois matkowała wszystkim pianistkom z najlepszego paryskiego towarzystwa. Była uwielbiana przez wszystkie panie. Na każdym, nawet najskromniejszym zebraniu spotykało się u niej członków najznakomitszych i najszlawniejszych rodzin francuskich.

Do uczennic pani Dubois zaliczała się również i księżna de Brancovan, ogromnie utalentowana dama, której salon uważany był w Paryżu za najbardziej ekskluzywny i gromadzący największą ilość sławnych muzyków. Księżna była z pochodzenia Greczynką, zamężną za księciem rumuńskim Bibesco, ze starej, panującej niegdyś dynastii rumuńskiej. Było kilku braci Bibesco, przy czym księżna, o której mówię, to wdowa po najstarszym bracie, dziedziczącym dawny tytuł de Brancovan z Besarabii.

Wielokrotnie zdarzało mi się grywać w jej wytwornym salonie.

Księżna Aleksandra Bibesco, bratowa księcia de Brancovan, noszącego już inny tytuł, również prowadziła swój własny salon, była także dobrą pianistką — obie księżne rywalizowały między sobą w tej umiejętności.

Znałem obie, ale muszę stwierdzić, że gra księżnej de Brancovan stała na dużo wyższym poziomie. Miała ona ładne uderzenie, lecz gdy proszono, by zagrała — denerwowała się, była przerażona. Mówiła wtedy: „Obawiam się, że się będę bała”. Ale gdy grała Mozarta, brzmiało to cudownie, zachwycająco.

Zdaje mi się, że teraz pora, abym opowiedział o jej córkach, specjalnie o poetce — hrabinie de Noailles. Druga jej córka, bardzo zdolna rzeźbiarka, wyszła za mąż za księcia de Caraman Chimay. Z trojga dzieci księżnej Bibesco żyje dziś tylko jej syn, książę de Brancovan, i mieszka w Rumunii. Ale teraz chcę mówić

**O** Annie hrabinie de Noailles. Ogólnie uważana była za prawdziwą poetkę, i nawet — dodam — za wielką poetkę. Poznałem ją, gdy miała około dwunastu lat, a ja przyjechałem w pobliże Evian, by ich odwiedzić. Mieszkali we własnej ślicznej willi położonej nad jeziorem, na przedmieściu Evian. Gdy tylko wszedłem do willi, usłyszałem małą Annę ćwiczącą gorliwie na fortepianie, lubiła bowiem bardzo muzykę. Była dzieckiem wątłym i chorowitym, o delikatnym systemie nerwowym, toteż mimo usilnych starań nie zdołała zostać pianistką. Myślę, że biedna mała, tak często słuchając mojej gry, zniechęciła się ostatecznie do fortepianu i porzuciła studia. Znalazła jednak inny sposób wypowiedania się — poezję; niektóre jej poematy zaliczyć można do arcydzieł nowoczesnej poezji francuskiej. Większość ich to liryki. Hrabina de Noailles była osobą bardzo wykształconą, o subtelnym i dociekliwym, filozoficznym umyśle. Znała wszystkie szkoły filozoficzne, poczynając od greckich, a kończąc na najnowszych. Istotnie była nadzwyczajna; zwłaszcza w rozmowie zadziwiała erudycją, zajmowało ją bowiem wszystko, co nowe i ważne. Studiowała na przykład i rozumiała dzieła Einsteina, mogła o nich rozprawiać jak ktoś dobrze z nimi obeznany. Umysł miała rzeczywiście niezwykły. Napisała wiele poematów o muzyce; pisała poematy o Chopinie, Liszcie, Mozarcie i ulubionym swoim kompozytorze — Schubercie.

Chętnie i ładnie deklamowała własne wiersze, cieszyło ją zainteresowanie słuchaczy. Można by o niej powiedzieć, że potrafiła „zawładnąć sceną”. Przejawiała się w tym jej kobiecość, a istotnie była bardzo kobieca. Lubiła być ośrodkiem zainteresowania towarzystwa. Miała właściwy sobie zajmujący sposób deklamowania poezji. Doprawdy zdumiewająca osoba; bardzo ładna, o żywym wyrazie cudownych oczu, postaci drobnej i niewielkiej — krucha istota złożona z nerwów i ognia. Nie przychodzą mi na myśl inne

słowa, aby określić tę wiecznie płonąca wewnętrznym zarem, niezmiernie wrażliwą kobietę.

Hrabina de Noailles umarła w roku 1933, w czasie gdy przemierzałem ocean w powrotnej drodze z Ameryki. Powracałem do domu na statku „Ile de France” i premier rządu francuskiego, pan Herriot, pierwszy przyniósł mi wiadomość o jej śmierci. Wczesnym rankiem, na dzień przed ładowaniem, zjawił się w mojej kabinie i powiedział: „Nasza kochana przyjaciółka, hrabina de Noailles, umarła, o czym zostałem zawiadomiony drogą radiową”.

Umarła więc jedna z największych ówczesnych poetek. Wydała była książkę pod tytułem *Księga mego życia*, w której poświęciła jeden rozdział mojej osobie. Pisze o mnie w sposób piękny i wzruszający, a nie jestem w stanie uczynić nic więcej, jak wyrazić jej moją głęboką wdzięczność za długie lata łączącej nas przyjaźni.

Pogrzeb był wyjątkowo uroczysty i zgromadził tłumy. Jako jeden z najbliższych i najstarszych przyjaciół proszony byłem o wygłoszenie mowy. Przejęło mnie to ogromnie. Przychodziło mi na myśl wiele pięknych i różnorodnych wspomnień związanych z osobą zmarłej, wzruszenie jednak przeszkodziło mi wyrazić je słowami. Zdobyłem się tylko na nieliczne wyrazy głębokiej czci dla jej pamięci. Dziś już i ona, i jej niezwykła matka oraz tylu innych drogich przyjaciół — zniknęło na zawsze z mojego życia.

A teraz powrócmy znów do pierwszych dni pobytu w Paryżu. W tym czasie na horyzoncie życia muzycznego Paryża wyraźnie już pojawiła się wschodząca gwiazda Wagnera. Jego muzyka wywoływała zawsze jak najbardziej sprzeczne sądy i była tematem rozpalającym umysły. Najmniej niechęci przejawiali w stosunku do niego muzycy. Szybko ulegli i uznali jego geniusz. Aczkolwiek *Lohengrin* był pierwszą operą, która obecnie podbiła Paryż, nie należy zapominać, że już w roku 1861, to jest trzydzieści lat przedtem,

mimo licznych zastrzeżeń i oburzenia muzyków, Wagner wystawił tam *Tannhäusera*. Zdaje mi się, że odbyły się wówczas tylko trzy przedstawienia. Na pierwszych z nich publiczność po prostu wpadła w szal — akompaniowała śpiewakom i orkiestrze wyciem, sykaniem i gwizdami. Na sali rozpętało się istne piekło. Wprost nie sposób sobie tego wyobrazić. Przedstawienie poniosło zupełną klęskę, i z wyjątkiem chóru pielgrzymów, którego publiczność wysłuchiwała z pewnym pobłażaniem i obdarzyła nielicznymi oklaskami, fiasko opery było kompletne. Wszystko to jest ogólnie znane, niemniej dużo osób o tym zapomniało i często mówią o *Lohengrinie* jako o pierwszej wystawionej w Paryżu operze Wagnera. *Lohengrin* zresztą również doznał burzliwego przyjęcia, tak w samym gmachu Opery, jak i poza nim.

Paryska premiera *Lohengrina* odbyła się w roku 1891 w Wielkiej Operze. W trzy lata po moim debiucie. W związku z wystawieniem tego dzieła przed gmachem Opery miały miejsce gwałtowne demonstracje, formalne rozruchy. Wiele osób zostało rannych, kilka zabitych, a policja miała duże trudności z uspokojeniem wzburzonego tłumu. Ludność Paryża oburzona była wystawieniem w ich mieście opery Wagnera — Niemca. Głównie z powodu jego zachowania się po wojnie francusko-pruskiej, kiedy to w triumfalnych słowach sławił zwycięstwo Prus. Demonstracja miała więc charakter po prostu patriotyczny.

*Lohengrin* w przeciwieństwie do *Tannhäusera* wystawiany był wielokrotnie w czasie sezonu, a publiczność paryska wreszcie uznała dzieła i geniusz Wagnera. „Muzyka przyszłości”, jak ją na ogół zwano, do pewnego stopnia uzyskała należne jej miejsce.

Jeśli chodzi o Gounoda, to sąd jego o muzyce Wagnera był raczej surowy. Słyszałem go kiedyś rozprawiającego o operach Wagnera i przypominam sobie dobrze, co o nich mówił. Ta krytyka cytowana jest zresztą jako wypo-

wieść wielu innych osób. Ale ja pamiętam, że to były słowa Gounoda — usłyszałem je wtedy przed przeszło czterdziestu pięciu laty.

„Owszem — rzekł śmiejąc się sarkastycznie — przyznaję; że w operach Wagnera są cudowne chwile, ale okropne kwadranse.” (*Il y a des délicieux moments, mais des fichus quarts d'heure.*)

Pamiętam także, jak Gounod wyraził się kiedyś o Wagnerze, że jest potworem, ale potężnym potworem (*un monstre puissant*). Trzeba przyznać, że opery Wagnera były całkowicie różne od tradycyjnej muzyki włoskiej i francuskiej, pełnej pięknych arii i melodyjnego śpiewu. W operach Wagnerowskich przeważa muzyka orkiestralna. Nic dziwnego więc, że dzieła jego nie były zrozumiałe dla narodu przywykłego do muzyki o innych zupełnie założeniach.

Rzecz prosta, wszystkie te zdarzenia i spotkania tworzyły nowy dla mnie świat i życie najzupełniej odmienne od życia w Berlinie i Wiedniu. Socjeta francuska, wówczas wyjątkowo świetna, obfitowała w sławnych muzyków, rzeźbiarzy i poetów. Znalazłem się w atmosferze, która przeszła moje marzenia i której za czasów młodości nawet wyobrazić sobie nie byłem w stanie.

Jednym z najmilszych wspomnień z tamtych czasów jest spotkanie w domu przyjaciółki mej, księżnej de Brancovan, największego poety Francji — Fryderyka Mistrala. Mówił on najcudowniejszą francuszczyzną, mając jednocześnie okropny akcent. Z prawdziwą przykrością słuchało się jego recytacji, co niestety często się zdarzało. Pierwsze strofy wywoływały wprost okropne wrażenie — był to jakby zupełnie obcy język. Stopniowo jednak jego zapał i mistrzowska swada zmuszały do odwrócenia uwagi od niedoskonałości wymowy — słuchano go z uwagą i największym zadowoleniem.

Gwiazdą sezonu była wówczas oczywiście Sarah Bernhardt, „boska Sara” — jak ją nazywano. Przed wielu laty, gdy grałem w Budapeszcie, ona także tam

występowała. Po przedstawieniu arystokratyczne sfery budapeszteńskie urządziły na jej cześć wspaniały bankiet. Przypuszczam, że nie zauważyłaby mnie w ogóle tego wieczoru — w hotelu Hungaria zebrało się zbyt wiele osób — gdyby nie to, że jeden z obecnych dżentelmenów, hrabia C, rozmawiając ze mną rzekł: „Koniecznie musi ktoś dzisiejszego wieczoru przemówić, nie wiem jednak, czy znajdę chętnego, który odważyłby się mówić po francusku w obecności boskiej Sary”. Nagle, nie wiem dlaczego, skierował się do mnie: „Ależ pan zna świetnie język francuski, może zechciałby pan w imieniu nas wszystkich powiedzieć dziś parę słów?” Moje krótkie przemówienie najwidoczniej podobało się artystce, serdecznie mi bowiem za nie dziękowała i prosiła, bym odwiedził ją w Paryżu. Niestety, nie doszło to nigdy do skutku, gdy tylko bowiem zamierzałem wybrać się do niej — zawsze stawało na przeszkodzie jakieś engagement. Nigdy zatem nie byłem w jej domu sławnym z menażerii, o ile to zresztą było prawdą. Mówiono o niej, że ma u siebie małe lwiatko oraz jednego czy dwa węże. W każdym razie dom kobiety tego pokroju musiał być interesującym odbiciem jej osobowości. Poza talentem aktorskim Sarah Bernhardt obdarzona była wieloma innymi jeszcze zdolnościami. Uważała się za rzeźbiarkę i dużo czasu poświęcała pracy nad rzeźbą. Była osobą wyjątkowo żywotną, o niesłychanej energii, udzielającej się otoczeniu. Wszystko to stanowiło tylko jej cechy dodatkowe, bo na plan pierwszy wybijał się niebываły talent aktorski. Wyjątkowo uzdolniona, i to w wielu kierunkach, stale górowała nad otoczeniem. Stworzyła wokół siebie świat, w którym pannawała aż do śmierci.

Była wspaniałą aktorką. Słuchając jej, odnosiłem podobnie silne wrażenie jak wtedy, gdy po raz pierwszy usłyszałem sławnego francuskiego mówcę Jauresa. W obu wypadkach w grę nie wchodziła siła głosu. Pomimo ogromnej siły wyrazu, głos Sary należał raczej do sła-

bych. W momentach spokojnej recytacji była wprost niezrównana, gdy jednak dochodziło do silnych momentów, dramatycznych, głos jej nabierał akcentów przenikliwych i szorstkich, a nawet stawał się chrypliwy. Nie potrafiła mówić bardzo głośno. Nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego głos jej nazywano srebrzystym, bo na mnie robił wrażenie wprost przeciwne.

Podobnie przedstawiała się sprawa z Jauresem. Jaures był znanym socjalistą, nauczycielem filozofii i wykładowcą. Żarliwie walczył o sprawę socjalizmu we Francji i brał aktywny udział w polityce francuskiej. Wstąpił się jako mówca, a w późniejszych latach stał się jednym z gorliwych obrońców Dreyfusa. Kilka razy w życiu słyszałem go przemawiającego i za każdym razem głos jego sprawiał na mnie wprost przykre wrażenie. Wiedziałem jednak, że gdy nazajutrz mowa jego pojawi się w gazetach — czytać ją będę z wielkim zainteresowaniem i przyjemnością. Może dlatego odnosiło się takie niemiłe wrażenie przy bezpośrednim zetknięciu, że mowy jego, pełne głębokich, wzniosłych i uporządkowanych myśli, psuł głos, który go zupełnie zawodził. Siła głosu Jauresa i gestykulacja były niewspółmiernie słabe w stosunku do uczuć, jakie nim władały. Ręce miał dziwne — robiły wrażenie pozbawionych życia, wydawało się, że rękawy po prostu zwisają na nich. Zwracała też uwagę dziwna nieporadność rąk — ruchy ich były słabe i bezwolne. Głos jego, podobnie jak u Sary Bernhardt, w momentach gdy należało wydobyć silniejsze akcenty, okazywał się niewystarczający. Niemniej Jaures — choć nie posiadał umiejętności wywierania wpływu na otoczenie — był indywidualnością potężną.

Sarah Bernhardt natomiast wywierała wprost magnetyczny wpływ. Czar ten zniewalał słuchaczy i powodował, że gdziekolwiek się znajdowała, wszyscy byli jakby urzeczeni. Cudowny dar niebios.

Sir Henry Irving miał również głos o niedostatecznie silnym brzmieniu, lecz zdawał sobie z tego sprawę



i umiał się nim tak posługiwać, że nigdy, nie raził słuchaczy. Jestem bardzo wrażliwy na głos ludzki, a słabe, chropowate tony działają na mnie denerwująco. Widząc Irvinga na scenie, odnosiłem zawsze wrażenie, że głowę jego otacza aureola. Za każdym razem gdy się pojawiał, potrafił wytwarzać wciąż inną atmosferę, i to w każdej roli, w której występował. Podnosił zawsze poziom przedstawienia.

W przeciwieństwie do Irvinga, stale z nim występująca, wielbiona przez wszystkich Ellen Terry miała głos cudownie brzmiący, bogaty, pełen siły i wyrazu. Wciąż jeszcze brzmi mi w uszach — szlachetny i dźwięczny, wydawał się piękną muzyką.

Aktorzy są zawsze ulubieńcami publiczności, działają bowiem bardziej niż inni artyści na wyobraźnię ludzką. Za czasów mego pobytu w Paryżu występowało kilka sławnych aktorek, będących bożyszczami tamtejszej publiczności. A więc piękna Jane Hading, przede wszystkim jednak droga sercu wszystkich paryżan — Rejane, najślawniejsza aktorka Komedii Francuskiej zeszłego stulecia. Poza nią muszę wspomnieć o jednej jeszcze wielkiej aktorce, dawno już wtedy nieżyjącej, której sława wciąż jednak jeszcze rozbrzmiewa na całym świecie — o Rachel. Wielka tragiczka, zdaniem wielu największa artystka, jaka kiedykolwiek istniała, a w każdym razie najśłynniejsza z aktorek francuskich. O jej talencie nasłuchiwałem się od starych Francuzów, których znałem w Paryżu. Pamiętali ją dobrze i często ze łzami w oczach powracali do wspomnień związanych z jej osobą. Zdobyła nieśmiertelność w ludzkich wspomnieniach. Ciekawe, że od Carla Schurza<sup>1</sup>, adoptowanego syna Ameryki, wysłuchiwałem nieraz długich opowieści — istnych rapsodów — na temat tej zdumiewającej istoty. Carl Schurz wyrażał się o niej jak o bóstwie

<sup>1</sup> Carl Schurz (1829-1906) — amerykański działacz polityczny niemieckiego pochodzenia. (Przyp. red.)

i twierdził, że nigdy w życiu nie doznał tak silnego wrażenia, jakim była dlań gra Rachel. Mówił o niej z zapamiętaniem, wzruszeniem i tak serdecznym oddaniem, jak bardzo młody człowiek. Najwidoczniej zajmowała w jego pamięci specjalne miejsce. Gdy rozmawialiśmy o Rachel, stawała się dla mnie żywą istotą i byłbym w stanie uwierzyć, że znałem ją niegdyś osobiście.

Poznałem także Mounet-Sully'ego, obu braci Coquelin<sup>1</sup>, i cieszyłem się ich występami wraz z całym wielkim światem Paryża.

Widziałem i spotkałem ich wszystkich — wzbogacili i rozszerzyli mój widnokrąg. Wywierali też na mnie w swoim czasie duże wrażenie i pozostawili urocze wspomnienia. Mimo wszystko jednak życie moje w owym okresie było ciężkie, gdyż poza pracą nic nie przedstawiało dla mnie istotnego znaczenia. Do upragnionej kariery szedłem krok za krokiem, wolnymi i nieraz bolesnymi etapami.

\*

Przypomniał mi się w tej chwili pewien mały epizod, mający związek z pierwszym moim sezonem w Paryżu. Kiedy spoglądam obecnie w przeszłość, po tylu latach, wydaje mi się raczej zabawny — wówczas była to dość przykra historia. Opowiem pani o niej teraz; będzie to pewnego rodzaju odmianą po naszych ostatnich rozmowach, dotyczących wyłącznie sławnych ludzi.

Któregoś wiosennego dnia, zdaje się w maju 1889, zjawił się w moim mieszkaniu na avenue Victor Hugo nie znany mi wówczas dżentelmen, którego nazwiska tutaj nie wymienię, i zaproponował tournée po Holandii. Byłem tym nieco zdziwiony i odpowiedziałem, że raczej na to za późno, bo sezon skończył się już w maju.

„To nie ma znaczenia i nie ma z sezonem nic wspól-

<sup>1</sup> Jean Mounet-Sully i bracia (Constant i Ernest) Coquelin — wielcy francuscy aktorzy. (Przyp. red.)

nego — odpowiedział. — Możemy i teraz odbyć bardzo pomyślny dla nas objazd. Przyniosłem, jak pan widzi, kontrakt gotowy do podpisania. Proszę go przeczytać i przekonać się, czy warunki panu odpowiadają. Bardzo będę rad, jeśli objazd dojdzie do skutku, bo istotnie bardzo mi na nim zależy."

Przejrzałem umowę — warunki były dla mnie rzeczywiście dość korzystne. Honorarium miałem otrzymać nie najgorsze, a poza tym ów pan zobowiązywał się do wypłacania go każdorazowo w dniu występu, przed albo po koncercie. Wszystko było sformułowane jasno, i umowie nie można było nic zarzucić.

Już po omówieniu warunków kontraktu pan ten zwrócił się do mnie z następującymi słowami: „Nie wiem tylko, czy zdaje pan sobie sprawę, że Holandia jest dość osobliwym krajem. Sam recital nie będzie odpowiadał tamtejszej publiczności, która przede wszystkim lubi muzykę kameralną. Gdybyśmy mogli wystąpić z koncertami złożonymi z występów trzech artystów, byłoby to dla nas o wiele korzystniejsze. Pan, rzecz prosta, byłby główną osobą w tym zespole, ale stanowczo trio zwiększyłoby nieporównanie popyt na bilety".

Nie sprzeciwiłem się temu: „Dobrze, to ostatecznie pańska sprawa. Niech i tak będzie, skoro sobie pan tego życzy i uważa za korzystniejsze. Jednak wysłuchanie moich występów solowych bezpośrednio po utworach kameralnych granych z nut (co jest bardzo uciążliwe) byłoby rzeczywiście zbyt nużące. Należałoby więc dla urozmaicenia nastroju wstawić między powyższe numery programu jakiś utwór na skrzypce lub wiolonczelę".

Omówiliśmy wszystko bardzo dokładnie, a ów pan (nie powiem pani nadal jego nazwiska) chętnie zgodził się na moją propozycję i zaraz zaangażował wiolonczelistę oraz skrzypka, których dobrze zresztą znałem i z którymi często grywałem w Paryżu. Wszystko więc było załatwione i wyruszyliśmy na nasz objazd.

Po drodze do Holandii zatrzymaliśmy się w Reims, gdzie graliśmy w cyrku — innej sali nie można było dostać. Publiczności było mało, bo po pierwsze Reims jest miejscowością niedużą, po drugie nie był to już sezon, a wreszcie dlatego, że koncert odbywał się w cyrku.

Tak więc publiczność nie dopisała. Nasz impresario był nieco rozczarowany, niemniej zaraz po koncercie powiedział:

— To nie ma znaczenia, oto koperta z pana honorarium, które proszę łaskawie przyjąć.

— Koncert się nie udał, a audytorium było nieliczne, nie mogę więc przyjąć tych pieniędzy, nie przejrzawszy przedtem rachunków. Czy ma pan je z sobą?

— Nie, nie są jeszcze gotowe, ale dostarczę je panu jutro.

— Wobec tego jutro pomówimy o moim honorarium, nie mam bowiem zwyczaju przyjmowania pieniędzy, których nie zarobiłem. Tą zasadą kierowałem się w ciągu całej mojej kariery muzycznej i nigdy jej nie zmieniłem.

Po koncercie jak zwykle poszliśmy na kolację. Reims, jak pani wiadomo, jest stolicą Szampanii. Jedliśmy w małej restauracji naprzeciw katedry, a kolacja była rzeczywiście doskonała. Było nas sześciu: trzech solistów, akompaniator, impresario i sekretarz. Podano wyjątkowo dobre potrawy i wypiliśmy sześć butelek szampana! Nastrój był bardzo miły. Był to właściwie mały bankiet w stolicy Szampanii. Doskonale pamiętam, że rachunek wynosił tylko trzydzieści siedem franków. Dano nam świetną kolację, po trzy franki od osoby, i sześć butelek szampana, również po trzy franki za każdą. Szampan nie bardzo mocny, raczej smakował jak woda, w przeciwnym razie nie moglibyśmy wypić go tak dużo. Pomimo wyjątkowo słabych rezultatów finansowych wieczór zakończył się przyjemnie i wyjechaliśmy w dalszą drogę do Hagi w dobrych humorach, pełni nadziei na przyszłość. Tam wystąpiliśmy z dwoma koncertami, na

których publiczność również nie dopisała. Było za późno — sezon się kończył i prawie wszyscy porozjeżdżali się już na wieś.

Mimo to udaliśmy się w dalszą drogę do Utrechtu. Publiczność znowu nie dopisała — i podobnie już było przez cały czas trwania naszego objazdu. Wszędzie spotykało nas rozczarowanie, wszędzie sala ziejąca pustką, prawie nikogo na koncercie — dość powiedzieć, że za wszystkie moje występy podczas tournée nie dostałem ani grosza. O tym zresztą opowiem dokładnie trochę później. Impresario ponosił tylko koszty podróży, i to był jego jedyny wkład pieniężny w tę całą imprezę. Ja zaś, poza graniem, musiałem pokrywać rachunki za wszystkie kolacje po każdym z tych nieszczęsnych występów, a muszę nadmienić, że w Holandii było to raczej kosztowne. Widocznie skoro zapłaciłem za pierwszą, towarzysze moi uważali, że powinienem to robić w dalszym ciągu. Na szczęście wyjeżdżając z Paryża zabrałem z sobą parę tysięcy franków i całą tę sumę poświęciłem na ów szlachetny cel!

Ostatni koncert niefortunnego tournée odbył się w Arnheim — małej miejscowości zamieszkałej prawie wyłącznie przez emerytowanych funkcjonariuszy kolonialnych. Ten występ był już najmniej udany ze wszystkich, sala niemal pusta — nasz łabędzi śpiew! Po koncercie, przed wyjściem z sali, impresario uregulował honorarium akompaniatora, wiolonczelisty i skrzypka, mnie zaś oświadczył, że należność moją wypłaci najszybciej po powrocie do Paryża. Nie bardzo w to wierzyłem, -ale nie pozostawało mi nic innego, jak przyjąć jego solenne zapewnienie za dobrą monetę.

Obecnie dochodzimy do wielkiego finału! Właśnie w Arnheim nastąpił ów najdramatyczniejszy epizod z całego naszego tournée po Holandii. Zaraz po koncercie zjawił się w pokoju artystów jakiś dżentelmen i bardzo zaaferowanym głosem zwrócił się do mnie: „Szanowny panie, wstydzę się za nasze miasteczko

i niezmiernie mi przykro, że miał pan tak nieliczne audytorium. Proszę jednak nie brać tego za złe mieszkańcom Arnhem, bo jest już po sezonie i nikt, choćby wielki i sławny, nie byłby w stanie przyciągnąć obecności publiczności. Jest lato i nie ma teraz w mieście nikogo interesującego się muzyką. Impresario sam ponosi winę za wybranie tak nieodpowiedniej pory. Jest mi naprawdę ogromnie przykro — mówił dalej. — Bardzo proszę, niech pan zechce zapomnieć o tym nieszczęsnym koncercie; proszę też przyjąć wyrazy mego najwyższego uznania i gratulacje, a jednocześnie pozwalam sobie zaprosić wszystkich panów na kolację. Proszę, aby panowie byli dziś wieczór moimi gośćmi; przed wyjazdem bowiem należy się panom dobra kolacja!"

Zawahałem się z odpowiedzią, gdyż nie znałem owego sympatycznie wyglądającego jegomościa. W tej samej chwili impresario podszedł do mnie i powiedział: „Monsieur Paderewski, proszę przyjąć zaproszenie. Nie widzę bowiem powodu, aby pan nas stale gościł. Proszę się zgodzić, by chociaż tym razem ten zacny jegomość zapłacił za naszą kolację i był gospodarzem dzisiejszego wieczoru. To miły człowiek, dobrze znany na tutejszym terenie, a bardzo pragnie nas ugościć. Powóz już na nas czeka, nie zwlekajmy zatem dłużej”.

Przyjąłem więc zaproszenie, i rzeczywiście kolacja była wspaniała. Najlepsza ze wszystkich, jakie jedliśmy podczas całego objazdu. Świetna kuchnia i różne gatunki doskonałych win. Piłem ich zresztą mało — tylko niewielką ilość szampana, ale moi towarzysze chwalili je sobie bardzo. Przez wszystkie lata mojej kariery najchętniej piłem, w umiarkowanej zresztą ilości, szampana — zwykle po występie.

Tak więc nasz sympatyczny gospodarz przyjął nas po królewsku. Uczta była wspaniała! Jedliśmy i piliśmy dużo, a potem gospodarz kazał jeszcze przynieść najdroższe cygara. Cygar nie palę, za to moi towarzysze przyjęli je z entuzjazmem. Następnie pojawiły się roz-

maite likiery, których nawet nie skosztowałem, gdyż nigdy ich nie piję. Wreszcie nasz uprzejmy i gościnny gospodarz, po serdecznym pożegnaniu się z nami i ponownych zapewnieniach o swej życzliwości, wyszedł, życząc dobrej nocy.

Następnego dnia mieliśmy wyjeżdżać dość wcześnie, by po „triumfalnym” tournée powrócić do Paryża. Zażądałem więc rachunku za pokój. Gdy mi go przyniesiono, spojrzałem i po prostu oniemiałem z przerażenia! Nie dowierzałem własnym oczom, był bowiem dziesięć razy większy niż zwykle. Okazało się, że cała wczorajsza wspaniała uczta figurowała na moim rachunku.

— Co to znaczy?! To pomyłka, bo ja kolacji nie zamawiałem, byłem na nią zaproszony przez owego pana, który zresztą zaprosił nas wszystkich. Prawdopodobnie zaszła omyłka i kosztami obciążono nas obu.

— Nie, proszę pana — odparł urzędnik — to nie błąd w rachunku. Ów pan, który panów zaprosił, jest właścicielem tego hotelu i restauracji, uważał się więc za gospodarza lokalu.

•— Gospodarza? — przerwałem mu.

— Ależ tak, on był gospodarzem, ale pan płaci za kolację.

Nie pozostawało mi nic innego, jak zapłacić ów nieszczęśny rachunek, wydając resztę franków.

Tym pięknym akordem zakończyło się nasze tournée i rozstaliśmy się. Po przyjeździe do Paryża impresario, żegnając się po wyjściu z pociągu, zwrócił się do mnie: „Proszę być pewnym, że jutro rano przyjdę do pana i w całości ureguluję honorarium”. Uśmiechając się podał mi rękę i — rozstaliśmy się. Czyż warto dodawać, że nie zobaczyłem go więcej!

Nigdy później nie spotkało mnie nic podobnego; posłużyło mi to za dobrą naukę na przyszłość. Starłem się znaleźć powód, jaki skłonił impresaria do zaangażowania mnie w okresie, kiedy minął już sezon kon-

certowy i kiedy tego rodzaju impreza nie mogła mu przynieść żadnej korzyści materialnej. Dopiero w rok potem spotkałem pewnego pana z Holandii, który wytłumaczył mi, jak się ta sprawa w rzeczywistości przedstawiała. Podobno ów impresario zaangażował sławną paryską Orkiestrę Lamoureux na całą serię koncertów w różnych miastach Holandii. Nie będąc zwolennikiem, określił to, prawdy „absolutnej” — poczynił szereg obietnic, których w żaden sposób nie był w stanie dotrzymać. Lamoureux bowiem, człowiek znający się na interesach, zażądał oczywiście pewnych gwarancji. Nie mógł wyruszyć ze swym stuosobowym zespołem bez uzyskania realnego zapewnienia, że pieniądze będą mu wypłacone bez względu na rezultaty występów. Impresario poczynił różnego rodzaju przyrzeczenia oraz wczasu rozgłosił o występach. Po pewnym czasie, widząc, że żadnych gwarancji nie zdoła udzielić, zaniechał swego projektu. W wielu miastach zdążył już zrobić odpowiednią reklamę, tak sobie, jak i owym koncertom. Wiedział doskonale, że jeśli nie dotrzyma przyrzeczeń — zaszkodzi swej reputacji. Wobec tego, by ratować zagrożony honor, postanowił zaangażować kogoś innego.

„Nie widzę w tym żadnych trudności — powiedział do jednego z przyjaciół. — Zamiast Lamoureux, któremu nieprzewidziane okoliczności przeszkodziły w przyjeździe do Holandii, dam publiczności sposobność usłyszenia świetnego młodego pianisty — Polaka, który ostatnio zrobił wielką furorę w Paryżu.” I bez wahania, mimo kończącego się sezonu, nie posiadając na to żadnych środków finansowych — zorganizował to nasze nie-szczęsne tournee. Wpadłem w pułapkę. On ocalił honor — ale ja przez niego odbyłem ten nieudany objazd i na dodatek miałem liczne okazje wyprawiania wspaniałych kolacji, a zwłaszcza tej ostatniej. I to był cały mój zysk. Tournee okazało się bardzo kosztowne, ale nauczyło mnie ono wiele. Poznałem lepiej naturę ludzką.



Obecnie następny etap mojej kariery — Londyn. Myśl o sezonie w Londynie nie dawała mi spokoju, postanowiłem więc tam pojechać. Miałem za sobą trzy udane sezony w Paryżu, przyszła zatem kolej na Londyn. Czułem, że — jak się to mówi — stoję już na pewnym gruncie. Byłem sobie pewien — wytrwale i stanowczo kroczyłem wciąż naprzód w mojej karierze. Pragnę tu zaznaczyć, że zdawałem sobie jasno sprawę, iż ewentualny sukces w Londynie znaczyłby znacznie więcej niż sukces w Paryżu czy Niemczech. Na temat opinii, jaką cieszyłem się w Niemczech — opowiem pani później bardzo ciekawą historię. Tymczasem powróćmy do Londynu.

Po trzech udanych sezonach paryskich przyjechałem do Londynu, gdzie zapowiedziałem trzy recitale. Miały się one odbyć w starym St. James Hall. Działo się to w maju 1890. Czułem się już wtedy zupełnie pewien swego pianistycznego „ekwipunku”. Ekwipunek to pancerz i broń. Moje poprzednie doświadczenie było mi pancerzem, a wprawa techniczna — bronią. Proszę mi wierzyć, że istotnie miałem już duże doświadczenie. Wielokrotnie grałem utwory składające się na mój ówczesny repertuar, i to raczej z dobrymi wynikami. O sezonie w Londynie myślałem więc z entuzjazmem, wiarą we własne siły i nadzieją pomyślnego rezultatu. Miałem też tam kilku dobrych przyjaciół, z którymi spotykałem się w Paryżu. Zainteresowanie ich moją osobą uważałem również za dodatkową broń w moim arsenale. Mimo to na pierwszym moim londyńskim recitalu audytorium było nieliczne, a skutkiem tego — mało pieniędzy w kasie. Aczkolwiek stanowiło to dla mnie przykre rozczarowanie, trudno było spodziewać

się lepszego rezultatu, skoro na gruncie londyńskim byłem nie znanym jeszcze i rozpoczynającym dopiero karierę muzykiem.

Tłumaczyłem sobie, że nie mogło być inaczej, jednak po pierwszym występie popadłem w chwilową depresję i poczęły mnie ogarniać różne wątpliwości. Nadeszły też gazety! Prasa skrytykowała mnie okropnie, znalazło się zaledwie parę pochlebnych słów pod moim adresem. Ów atak wywołała przypuszczalnie w dużej mierze nieodpowiednia reklama koncertu. Mój impresario, pan Daniel Mayer, pragnął, bym zdobył nie tylko wielki, ale i natychmiastowy sukces, bym od razu zdobył wielu słuchaczy, jednym słowem, miałem stać się wielką sensacją!

Przed rozpoczęciem mego sezonu wpadł więc na wspianiały pomysł reklamowania mnie jako „Lwa Paryża"! Miasto udekorował afiszami o przyjeździe „Lwa Paryża", będąc święcie przekonany, że zwróci tym uwagę całego Londynu. Tak też się stało! A dla mnie wynikała z tego duża przykrość. W Anglii tego rodzaju reklama uchodzi za niesmaczną i nie podoba się publiczności. Gdy na parę dni przed koncertami przybyłem do Londynu i zobaczyłem owe afisze -- ogromnie się zmartwiłem. Wiedziałem że odniosą wprost przeciwny efekt, i posłałem zaraz po Mayera, prosząc go, aby jak najprędzej je zmienił. Musiałem użyć wielu silnych argumentów i nawet spotkało mnie w związku z tym sporo przykrości, nim go zdołałem przekonać. Dwa ostatnie ogłoszenia o koncercie pozbawione już były owego szumnego dodatku.

Muszę tu coś niecoś powiedzieć na temat pana Daniela Mayera. Dotarłem do niego dzięki memu oddanemu przyjacielowi, panu Blondelowi. Nie znałem jeszcze Londynu, gdy Blondel, który był dyrektorem filii Erarda w tym mieście, zwrócił się do mnie z następującą propozycją:

— Najwyższy czas, by spróbował pan szczęścia

w Londynie i zdobył publiczność, tak jak się to już stało w Paryżu. Pewien jestem, że zyska pan powodzenie. Radziłbym dłużej nie zwlekać.

— Niestety nie mam w Londynie żadnych znajomości — odpowiedziałem z wahaniem — będzie to więc dość trudno.

— Być może — odparł Blondel — ale my mamy tam wiele znajomości, które mogą się okazać pomocne, a poza tym sława pana dotarła już za Kanał. Napiszę też o panu do Chappella, który jest kierownikiem wielkiej firmy wydawnczej, i jeśli zechce, dużo nam pomoże.

Blondel dotrzymał słowa, lecz dla Chappella niestety nie było widocznie korzystne wprowadzenie w świat muzyczny Londynu nowego artysty. Od szeregu lat miał stałych klientów, a że był człowiekiem starszym i zamożnym, odmówił prośbie zajęcia Się moimi koncertami. Muszę tu dodać, że w owym czasie organizował właśnie popularne sobotnie koncerty znane dziś pod nazwą *Pops*.

Nie mogę zresztą powiedzieć, by zupełnie się mną nie zajął. Przeciwnie, zaofiarował mi życzliwie swą pomoc, polecając jako impresario Daniela Mayera, bardzo zdolnego — jak twierdził — młodego człowieka.

Napisał do niego z prośbą o przygotowanie moich koncertów. Tak więc Mayer został moim impresariem i on to wpadł na ów nieszczęsny pomysł zwrócenia uwagi publiczności londyńskiej pełnymi fantazji afiszami o przyjeździe... „Lwa Paryża!”

W Paryżu miałem, jak już mówiłem, wielkie powodzenie. Koncerty moje cieszyły się liczną frekwencją i grywałem prawie wszędzie.

Z Mayerem, załatwiającym wszelkie sprawy związane z sezonem londyńskim, moje późniejsze stosunki układały się przez wiele lat doskonale, niefortunnie tylko rozpoczęliśmy naszą spółkę.

Prasa podchwyciła nieszczęsną sprawę afiszów i nie

jedno, lecz wiele pism codziennych wyrażało się o mnie fatalnie, pisząc:

„A więc ma być «Lew Paryża», wkrótce usłyszemy już jego ryki! Lew z Paryża!” itd. Zabawiali się moim kosztem, używali sobie na temat niefortunnego afisza. Włosy miałem wówczas gęste, obfite i mocno rudawe, co również nie podobało się większości krytyków. Do przykrości, jakie musiałem znieść z powodu afiszów, doszło jeszcze i to.

Znalazł się jednak wyjątek — był nim krytyk gazety „The Times”. Napisał o mnie bardzo pochlebnie, nie zgadzał się tylko ze sposobem wykonywania utworów Schumanna, należał bowiem do „kongregacji” pani Klary Schumann. W związku z tym moja interpretacja Schumanna bardzo mu się nie podobała. Wydała mu się rewolucyjna, przyzwyczajony był bowiem do powściągliwej, spokojnej gry tej bardzo już sędziwej damy. To była tradycja, a ja chciałem tę tradycję burzyć! Tymczasem grałem Schumanna właśnie tak, jak on by tego pragnął. Nie chodzi mi tu oczywiście o doskonałość gry, ale o dynamikę wykonania. Jego fortissimo — grałem istotnie fortissimo, do czego leciwa i słaba pani Schumann nie była już zdolna. Dlatego moja interpretacja utworów, które grywała na koncertach i co do których ustaliła się już pewna tradycja, wprost zaskoczyła publiczność, a publiczność nie lubi niespodzianek.

Pomimo nieszczególnych recenzji drugi mój koncert zyskał już większe powodzenie. Nieprzychylni krytycy, przekonawszy się, że ich opinia nie tylko nie oddziałuje na publiczność, lecz dzieje się wprost przeciwnie, gdyż frekwencja znacznie się powiększyła — poczęli powoli zmieniać zdanie.

Trzeci recital cieszył się już bardzo dużym powodzeniem, i teraz krytycy zaczęli się doszukiwać w mojej grze coraz większych zalet. Następnie grałem z Orkiestrą Filharmoniczną, a poza tym brałem udział w wielu innych jeszcze koncertach, przy czym krytycy wyrażali

O mnie coraz łaskawsze opinie. Powoli wszyscy zmienili zdanie, z wyjątkiem jednego — pana Fullera Maitlanda, recenzenta muzycznego gazety „The Times”, jednego z największych krytyków świata, doskonałego muzyka i prawdziwego artysty. Każda jego krytyka dotycząca mojej gry była bezwzględnie słuszna. Nieraz wynajdywał błędy, ale zawsze był sprawiedliwy, i wszystko, co napisał, wynikało ze słusznych i solidnych podstaw. Byłem mu zawsze wdzięczny, gdyż wiele dopomógł mi swymi uwagami.

Zaproponowano mi też — był to sezon letni — serię koncertów na prowincji; wtedy nadszedł czas i sposobność do małej zemsty z mej strony. Gdy ogłoszono o pierwszym moim tournée po Anglii (jesienią 1890), mój impresario, pan Daniel Mayer, przygotował małą broszurkę, którą chciał wysłać jako okólnik do miłośników muzyki wszystkich miejscowości, w których mieliśmy zamiar wystąpić. Mayer miał wszędzie swych przedstawicieli, będących w posiadaniu spisu osób uczęszczających na koncerty — do nich to miały być skierowane owe ulotki. Zdawałem sobie już wówczas sprawę z niebezpieczeństwa płynącego z niezręcznej reklamy, prosiłem więc Mayera o pokazanie mi ulotki. Na początku zawierała króciutką biografię, potem wymienione były moje kompozycje, a dalej następowały wyjątki z recenzji. Z pewnością wie pani, jak zwykle załatwia takie rzeczy impresario — kilka dobrych krytyk, seria kropeczek, znów jakieś krótkie pochlebne zdanie, taki rodzynek, nowa seria kropeczek, i tak dalej. Przeczytałem ulotkę i powiedziałem do Mayera:

— Drogi panie, musimy to zmienić, bo to nie jest prawda. Musi pan przytoczyć krytyki w całości.

— Nie mogę tego zrobić! To szaleństwo! To klęska!

— Nic na to nie poradzę, nie chcę oszukiwać publiczności. Musi pan umieścić w całości każdą krytykę, od początku do końca, tak jak faktycznie była napisana.

Mayer wpadł w pasję, krytyki zawierały bowiem rzeczywiście najokropniejsze o mnie sądy.

— To wykluczone! — zawołał. — Nigdy tego nie zrobię. To wprost śmieszne! Będziemy zrujnowani!

— O ile pan tego nie zrobi, będę zmuszony udać się do innego impresaria.

— Ależ nikt na koncert nie przyjdzie! Gzy zamierza pan popełnić samobójstwo?!

— Ludzie inteligentni przyjdą. Będą zdziwieni, jak to możliwe, by artystę o tak wspaniałym repertuarze można było tak haniebnie skrytykować. Zaciekawili ich to, a wtedy winien pan stopniowo zaznajomić ich ze zmianą opinii krytyków.

Taka była moja myśl. Było to przede wszystkim uczciwe postawienie sprawy, a poza tym dawało mi okazję do rewanżu Mayerowi.

Po wielu przykrych sporach i utarczkach ulotka została wreszcie sformułowana tak, jak sobie życzyłem. Muszę przyznać, że czytając ją odnosiło się istotnie przykre wrażenie. Biedny Mayer, dając mi ją do akceptacji, nie przestawał się martwić.

— Który z artystów — mówił — roszczący sobie prawo do koncertowania, ośmieliłby się przybyć gdziekolwiek poprzedzony taką reklamą? Powtarzam panu raz jeszcze że nas to zrujnuje!

A jednak pomimo jego obaw i ponurych przepowiedni objazd nasz okazał się już od samego początku bardzo udany. Biedny Mayer! Raz już popełnił omyłkę z niefortunnym *Lion de Paris*, a teraz byłby znów wpadł po raz drugi, nie zgadzając się na mój projekt, który wydał mu się tak niezwykły. Musiał jednak przyznać mi rację, bo na pierwszym już koncercie na prowincji — nie pamiętam: w Birmingham czy Edynburgu — przeszło połowa sali była prawie pełna. Jak na pierwszy koncert na prowincji — to zjawisko dość niezwykłe. Pod koniec sezonu sale były wszędzie pełne. Również i w Londynie.

W tym pierwszym sezonie londyńskim grałem ogółem

ze czterdzieści razy. Nie mam tu na myśli wyłącznie recitali, lecz wszystkie występy przed publicznością, włączając w to także różne zebrania klubowe itd. W tej liczbie mieści się i kilka koncertów z orkiestrą. Pamiętam, że w Manchesterze i Liverpoolu grałem ze słynnym wówczas, ogromnie miłym sir Charlesem Halle. Sir Charles Halle był dyrygentem orkiestry w Manchesterze, Liverpoolu, a także Towarzystwa Chóralnego. Jeździł ze swą orkiestrą do różnych miejscowości, również i do Londynu, gdzie zdobył się na odważną wówczas i chwalebna próbę wprowadzenia muzyki Berlioza na estrady koncertowe. Jego występy nie cieszyły się specjalnym powodzeniem, znano go jednak i ceniono w świecie muzycznym. W młodości znał wielu sławnych muzyków, całą śmietankę z lat osiemset czterdziestych. Przyjaźnił się z Chopinem, wielkim Lisztem i Thalbergiem oraz wieloma geniuszami owych lat. Był bardzo dobrym muzykiem i solidnym, pewnym dyrygentem.

Ogólnie biorąc, sezon londyński udał się — całkowicie się udał. Poza recitalami grywałem w prywatnych domach, co w owym czasie było modne i przynosiło duże korzyści finansowe. I w Paryżu, na początku mego pobytu, miałem możliwość zarabiania przede wszystkim dzięki występom w domach prywatnych, skutkiem czego już nawet przed pierwszym tournée po Ameryce zdołałem odłożyć trochę pieniędzy.

Sezon w Londynie dodał mi otuchy i napełnił wiarą we własne siły i w moją sztukę. Teraz już stałem na zupełnie pewnym gruncie. Pierwszy sezon w Anglii przyniósł mi powodzenie, chociaż rozpoczął się katastrofą z afiszami i fatalną prasą. Zdawałem sobie sprawę, że udało mi się już w pewnej mierze pozyskać publiczność Londynu. Frekwencja na koncertach stale się zwiększała, a prasa okazywała coraz więcej entuzjazmu — czułem, że postępuję naprzód.

Pyta pani, czy to w tym właśnie czasie Bernard Shaw pisał krytyki muzyczne, które tak wstrząsnęły

stateczną publicznością angielską. Dokładnie już nie pamiętam, ale wydaje mi się, że to było w czasie mego pierwszego sezonu w Londynie w roku 1890. Sławne swe recenzje drukował w czasopiśmie „The World”, modnym wówczas tygodniku redagowanym przez powieściopisarza Edmunda Yatesa. Krytyki, a raczej — powiedziałbym — ataki Shawa skierowane przeciwko mnie były prawie tak gwałtowne, jak — według niego — gwałtowne moje ataki na fortepian! W ten sposób wyraził się w recenzji z mego pierwszego koncertu! Napisał w niej prócz innych, wielce mnie obciążających zarzutów, że jestem muzycznym kowalem<sup>1</sup>, który położył koncert na fortepianie niby na kowadle i z nadmierną radością uderza weń młotem — słowa takie trudno zapomnieć! Później stał się dla mnie bardziej miłośniwy, pochwalił nawet wykonanie sonaty Schumanna, a z biegiem czasu wymienił moje nazwisko obok Antoniego Rubinsteina — zresztą nie bardzo pochlebnie.

Słyszę od pani, że obecnie należy do moich wielbicieli, za co mogę mu być tylko wdzięczny; niemniej jednak nieprzychylnie krytyki pisał jeszcze wtedy, gdy już prasa i publiczność były odmiennego o mnie zdania. Zawsze zresztą lubił sprzeciwiać się opinii większości. Być może, że pisał swe krytyki nie tyle jako mój przeciwnik, ale jako przeciwnik opinii publicznej, co wynikało już z jego usposobienia. Sądził mnie nie tylko surowo, ale też pisał w sposób ośmieszający. Nigdy nie poznaliśmy się osobiście. W czasie licznych moich pobytów w Londynie nigdy do tego nie doszło; przynaję, że byłoby ciekawe dla nas obu dziś, po tylu latach, spotkać się i porozmawiać.

W owym czasie skwapliwie czytywałem wszystkie sprawozdania z moich występów i muszę przyznać —

<sup>1</sup> *Harmonious blacksmith* — aluzja do wariacji Haendla z *Suity E-dur*, zatytułowanych *Variations on the harmonious blacksmith*, opartych na popularnej w owych czasach piosence. (Przyp. red.)



niejedne bolały mnie, a nawet bardzo denerwowały. Po przeczytaniu kilku pierwszych uważałem już za bezcelowe rozdrażnianie się lekturą dalszych; za bardzo się nimi przejmowałem.

Krytyczne głosy prasy londyńskiej przywodzą mi na myśl pierwszy katastrofalny występ w Berlinie, tamtejszą prasę oraz następstwa owego występu — sprawę, która ciągnęła się za mną przez całe życie.

O ile pamiętam, w tym samym 1890 roku odbyłem dłuższe tournée po Niemczech. Już w poprzednim roku dałem tam kilka koncertów, lecz teraz tournée obejmowało dużo rozleglejszy teren. Wystąpiłem z koncertem we Frankfurcie nad Menem oraz grałem kilkakrotnie w Hamburgu. Z całej tej podróży pozostało mi wiele przyjemnych wrażeń, nie tylko dlatego, że publiczność przyjmowała mnie wszędzie entuzjastycznie, lecz także ponieważ gra z niemieckimi orkiestrami sprawiała mi zawsze dużą satysfakcję. O ile pamiętam, w tymże czasie z prawdziwą przyjemnością koncertowałem parokrotnie w Hamburgu.

Świetnie przypominam sobie tamtejszego dyrygenta — miłego i uprzejmego człowieka, niestety, podobnie jak Beethoven, prawie kompletnie głuchego. Mimo to mógł dyrygować, orkiestra orientowała się w jego kalcetwie i współpraca rozwijała się jak najpomyślniej.

Miłym przeżyciem z tego okresu był koncert w Schwerinie. Po koncercie otrzymałem od wielkiej księżnej zaproszenie na występ w czasie prywatnego spotkania rodziny wielkiego księcia. Interesujący był nie tyle sam koncert, ile wspaniały zamek pochodzący z XVI w., jeden z najpiękniejszych w całych Niemczech.

Grałem wtedy także w Dreźnie, co również dało mi dużo zadowolenia. Nie byłem jeszcze na tyle sławny, by moje nazwisko przyciągało wielkie audytorium, koncerty odbywały się więc w mniejszych salach, zawsze jednak pełnych, przy czym publiczność okazywała wiele entuzjazmu. Czułem, że jest on szczerzy, i to da-

wało mi wielką satysfakcję. Z każdym dniem stawałem się coraz bardziej znany światu.

W tym samym jeszcze roku pojawiła się na moim horyzoncie muzycznym królowa. Bardzo romantyczna i malownicza, była nią Carmen Sylva — królowa rumuńska. Zostałem jej przedstawiony przez księżnę Bibesco. Carmen Sylva zaprosiła mnie na dwór królewski w Bukareszcie, gdzie kilkakrotnie dla niej grałem. Była postacią interesującą, o szerokich artystycznych zamiłowaniach. Pod pseudonimem Carmen Sylva napisała sporo poematów, które w kołach dworskich cieszyły się dużym uznaniem.

Natomiast nie poznałem nigdy króla rumuńskiego. Nie dbał o muzykę — otwarcie się do tego przyznawał. Jeżeli chodzi o następcę tronu, był muzycznym młodym człowiekiem, wyjątkowo pięknym. Kochał się wówczas w młodej rumuńskiej poetce, pannie Helenie Vacaresco. Względy dynastyczne stanęły jednak na przeszkodzie temu małżeństwu. Wkrótce potem następcą tronu ożenił się z księżniczką, a panna Vacaresco zwróciła swe zainteresowania w kierunku literatury i polityki; do dziś jest stałą delegatką rumuńską przy Lidze Narodów. Żonę młodego księcia znałem jako małe jeszcze dziecko — dziecko, które wyrosło na znaną całemu światu postać. Była ona córką angielskiego księcia Edynburga, a wyszedłszy za mąż za następcę tronu rumuńskiego, została z czasem królową Marią rumuńską. Znana w szerokim świecie królowa Maria była osobą piękną, wybitnie w różnych kierunkach uzdolnioną. Życie miała raczej burzliwe. Król rumuński, człowiek spokojny i nieśmiały, nie lubił bywać w towarzystwie, królowa — wręcz odwrotnie. To ona w czasie wojny kierowała krajem, zajmowała się wszystkim i, trzeba przyznać, okazywała niespożyta energię. Wielokrotnie jeździła na front, gorącymi słowami przemawiała do żołnierzy, zagrzewając ich do walki. Nosiła spodnie — jak niekiedy drastycznie wyrażacie się w Ameryce — równie dobrze

jak i koronę! Ale widzę, że znowu odbiegłem od właściwego tematu i pozwoliłem sobie na dygresję. Musimy jednak powrócić do przerwanej wątku.

v

\*

Występy przed publicznością niemiecką prawie zawsze były dla mnie źródłem artystycznego zadowolenia. Słowa te odnoszą się do wszystkich miejscowości tego muzycznego kraju, w których występowałem, oprócz — Berlina. Zanim jednak pani o tym opowie, muszę uprzednio wspomnieć o czymś, co swego czasu było dla mnie dużym rozczarowaniem, a co — najpewniej — w znacznym stopniu wpłynęło na późniejsze niepowodzenie w Berlinie.

Poprzedniego roku (1889) jesienią udałem się do znanego w Berlinie impresaria — Wolffa. Zdawałem sobie już sprawę, że konieczny mi jest własny impresario na kontynencie. Było to, jak sobie pani może przypomina, przed pierwszym koncertem londyńskim, zanim zaangażowałem Daniela Mayera jako swego agenta. Agencja Wolffa stanowiła potęgę i cieszyła się największym poważaniem w Europie. Występowanie pod sztandarem Wolffa znaczyło dla artysty zapewnione powodzenie. Jadąc do Hamburga zatrzymałem się więc w Berlinie i udałem do Wolffa, prosząc go, by zajął się zorganizowaniem moich koncertów w Niemczech. Stanowczo mi odmówił! Niech pani sobie przypomni, że ten sam Wolff jako impresario Rubinsteina odmówił mi kilka lat temu w Paryżu biletu wstępu na koncert wielkiego pianisty. Wolff miał w owym czasie ogromne znaczenie i wpływy na europejskiej arenie koncertowej. Jego odmowa była dla mnie wielkim ciosem. Ale każdy artysta powinien być w życiu przygotowany na różne nieprzewidziane przeszkody. Zaczynałem już pojmować, że droga artysty, który walczy o swoją karierę, najeżona jest najrozmaitszymi trudnościami. Jak dalece jest to słuszne, przekonał mnie koncert w Berlinie. Przyjecha-

łem tam jesienią 1890, zaangażowany do wzięcia udziału w koncercie pod batutą Hansa von Bülowa. Uprzedzono mnie, że Bülow przygotował już mój *Koncert fortepianowy a-moll* i pragnąłby zagrać go ze mną. Jak mi doniósł wydawca Hugo Bock, Bülowowi szczególnie zależało na tym utworze, ponieważ ogromnie mu się podobał. Gdy tylko przyjechałem do Berlina, Bülow zjawił się w hotelu, zapewniając, że z prawdziwą przyjemnością myśli o jutrzejszym koncercie. Mówił o tym bez "przerwy i w superlatywach. Bardzo to było miłe. Miałem najpierw grać swój koncert, a potem serię utworów solowych. Przedstawiłem Bülowowi listę utworów z mego repertuaru, pozostawiając mu wolny wybór. Przygotowałem wszystkie bardzo starannie, z myślą, aby zyskać uznanie licznego audytorium, bowiem abonamentowe koncerty filharmoniczne cieszyły się zwykle szczególnie dużą frekwencją.

Bülow wybrał kilka z tych utworów — przy czym wybór nie był chyba trafny i żałowałem, że nie zdecydował się na inne; wyczułem u niego pewną skłonność do ekscentryczności. Nie mogłem jednak oponować, gdyż do niego należało ostatnie słowo.

W dwa dni potem odbył się pierwszy koncert. Odbył się po południu; była to ostatnia, generalna próba, ale już z udziałem publiczności. Próby takie miawały zawsze miejsce w dniu poprzedzającym właściwy wieczorny koncert. Sala była przepełniona, a przyjęcie słuchaczy tak gorące i entuzjastyczne, że byłem zachwycony. Nigdy dotąd nie spotkała mnie podobna frenetyczna owacja. Po skończonej próbie Bülow wzburzonym głosem rzekł do mnie: „Wie pan, że nigdy jeszcze nie spotkałem się z czymś podobnym. Przyjęcie, jakie dziś zgotowała panu publiczność, jest rzeczą wprost niezwykłą”. Będąc zaszczycony tą uwagą, wyraźnie wyczułem jednak w tonie jego głosu coś, co mnie dotknęło.

Parę minut później, w czasie przerwy, wpadł do sali

jegomość będący dyrektorem agencji muzycznej. Do-myśla się pani zapewne, że był to nie kto inny, jak tylko pan Wolff, którego poznałem już rok przedtem, gdy proponowałem mu zajęcie się moimi koncertami. Ten sam pan Wolff, który wówczas odmówił przyjęcia mnie w poczet swych klientów, a jeszcze dawniej nie wpuścił mnie na salę, gdzie koncertować miał Rubinstein. Ten sam wielki pan Wolff! Teraz zjawił się w pokoju artystów uprzedzająco grzeczny, ale widać było, że jest zdenerwowany. Zachowywał się tak, jak byśmy nigdy się nie znali. „Szanowny panie Paderewski — powiedział — przyjęcie, jakiego pan dziś doznał, jest wprost wyjątkowe, niezwykle w przypadku pianisty, który dopiero debiutuje; jestem pewien, że jutro osiągnie pan fenomenalny sukces. Nigdy jeszcze nie widziałem, by pianista grający w Berlinie po raz pierwszy przyjmowany był tak owacyjnie, z tak jednogłośnym uznaniem i takimi oklaskami. Doprawdy jestem tym zachwycony i pragnąłbym przedstawić panu pewną propozycję.”

Przerwał, obaj spoglądaliśmy na siebie — nastąpił moment pełen napięcia i wyczekiwania. Doskonale wiedziałem, co teraz nastąpi, a była to przecież sprawa wyjątkowej wagi dla mej przyszłej kariery muzycznej. Mówiłem już pani, że w owym czasie impresariem moim został Daniel Mayer. Uczciwy i miły człowiek, którego bardzo polubiłem, ale skromny jeszcze i mało znany; jeśli chodzi o stosunki i wpływy — nie do porównania z Wolffem. Wolff był wówczas potęgą, miał agentów muzycznych we wszystkich krajach, reprezentował jedyną w świecie tego rodzaju instytucję. Człowiek mądry i wyjątkowo zdolny. Świetnie znał się na interesach, a poza tym był wykształcony i muzykalny; doskonały znawca sztuki. Jego propozycja zajęcia się artystą oznaczała bardzo wiele, gdyż miał olbrzymie możliwości. To, co przedstawiał sobą mój impresario Mayer, pod żadnym względem nie mogło się równać

z Wolffem. Byłem tego aż za dobrze świadom, lecz wiedziałem już także, jak zdecyduję. Myślę, że i Wolff wiedział, ciągnął jednak dalej bardzo uprzejmie:

— Jestem szczerze uradowany pańskim powodzeniem, ale pragnę zaznaczyć, że pod moim kierunkiem odnosić pan będzie wielkie sukcesy nie tylko w Niemczech, ale i we wszystkich krajach świata. Jestem tego najzupełniej pewien!

Jak pani widzi, wciąż zdawał się nie pamiętać naszych poprzednich spotkań. Nie mogłem dłużej tego znieść i rzekłem:

— Będąc w zeszłym roku w Berlinie, nie miałem jeszcze mego obecnego impresaria, pana Daniela Mayera, i parę razy zwracałem się do pana z zapytaniem, czy nie zechciałby zająć się moimi koncertami w Niemczech. Odmówił mi pan kategorycznie. Wyraźnie dał mi pan do zrozumienia, że interesuje się tylko artystami, którym udały się ich debiuty, artystami o ustalonym już powodzeniu. I chociaż miałem za sobą sukcesy w Paryżu, Wiedniu, a nawet Londynie, nie wierzył pan we mnie i nie zgodził się na moją ówczesną propozycję. Dopiero teraz, po tej wielkiej owacji, jaka mnie tu spotkała, pragnie pan roztoczyć nade mną swe opiekuńcze skrzydła. Uważa pan za korzystne zwrócić się do mnie i ofiarować mi swą pomoc. I chciałyby pan, abym teraz porzucił Daniela Mayera, który z takim oddaniem i tak uczciwie pracował dla mnie przez ostatnie miesiące, za co winienem mu wdzięczność. Czy sądzi pan, że postąpiłbym uczciwie rozstając się z nim dlatego, iż podoba się panu dziś ofiarować mi sukcesy, których jest pan już całkowicie pewien!?

— Drogi panie — odpowiedział wesoło — tu chodzi o interes, o zwykły interes. Proszę nie traktować tego tak zasadniczo! Niech pan przystąpi do spółki ze mną, a z pewnością będzie pan zadowolony ze swej decyzji i nie pożałuje jej pan nigdy!

— Nie, nie zrobię tego.

Przez chwilę wydawał się zaskoczony, lecz opanował się szybko i powiedział:

— Ależ to nonsens. Chyba nie zamierza pan naprawdę tak postąpić. Propozycja moja jest dla pana korzystna. Sentymentalne względy nie powinny tu odgrywać żadnej roli, i nie wierzę, aby pańskie „nie” było ostateczną odpowiedzią.

Zmierzyliśmy się oczyma i znów powtórzyłem:

— Nie, proszę pana, stanowczo nie odwołam tego, co powiedziałem. Odmawiam, i to jest moja ostateczna odpowiedź.

Wolff patrzył na mnie przez chwilę zdumiony, wzruszył ramionami i rzekł:

— Wydaje mi się to nieprawdopodobne, ale o ile owo „nie” jest definitywne, to muszę pana ostrzec, że będzie pan żałował swego kroku.

Raz jeszcze spojrzeliśmy sobie w oczy, po czym Wolff odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W danej chwili nie zwróciłem uwagi na ostatnie słowa, pragnąłem tylko pozbyć się go jak najprędzej; spotkanie to było dla mnie nad wyraz niemiłe. Następnego dnia w czasie wieczornego koncertu (mego drugiego wystąpienia na estradzie) przekonałem się, że Wolff miał rację, mówiąc, iż będę miał czego żałować. Zaszła bowiem dziwna i niezrozumiała rzecz. Orkiestra grała po prostu okropnie. To była katastrofa. Występ mój okazał się kompletnym fiaskiem. Ale właśnie — dlaczego? Któż to może wiedzieć? Nie twierdzą, by Wolff był za to w jakimkolwiek stopniu odpowiedzialny, ale faktem jest, że tak się stało.

Przede wszystkim gdy przyszedłem na koncert, zastałem Bülowa w stanie wielkiego zdenerwowania i irytacji. Od razu mnie to zaniepokoiło. Nie mogłem zrozumieć, jak człowiek, wczoraj jeszcze cieszący się moim powodzeniem i odnoszący się do mnie z entuzjazmem, mógł się w ciągu jednej nocy tak odmienić. Po wczorajszej próbie zapewniał mnie wielokrotnie, że nie widział

nigdy tak niezwykłego przyjęcia jak to, które mnie spotkało. Graliśmy przecież to samo, co na wczorajszej próbie wypadło tak wspaniale. Jak więc to możliwe? Co się właściwie stało? Poczułem się przytłoczony i bardzo dotknięty. Błądziłem po omacku, nie mogąc zrozumieć postępowania Bülowa. Od razu gdy zjawiłem się, przyjął mnie wyrzutem za spóźnienie, co było śmieszne, gdyż przybyłem przed pierwszym utworem, którym miał rozpocząć koncert. Całe jego zachowanie było co najmniej dziwne, przy czym wyraźnie okazywał mi swe niezadowolenie. Dotknęło mnie to głęboko; byłem bardzo zdenerwowany, nie mogę jednak powiedzieć, by jego humor zaważył na mojej grze. Bezwzględnie jednak miałem fatalne samopoczucie. Nie bałem się zresztą zupełnie o siebie. Doskonale przygotowany, miałem grać własną kompozycję, nie potrzebowałem więc troskać się o opinię publiczności co do wykonawstwa. Byłem jednak zdenerwowany z powodu całej tej nieprzyjemnej i niefortunnej historii. Ale to, co nastąpiło z chwilą rozpoczęcia koncertu, przeszło wszelkie oczekiwania. Do dziś nie jestem zdolny pojąć, w jaki sposób przebrnąłem przez koncert przy tylu błędach i omyłkach popełnianych przez Bülowa i orkiestrę. To było straszne! Istny koszmar! Absolutnie wszystko wykonane było jak najgorzej. Zupełna klęska! Na domiar złego musiałem przejść przez jedną jeszcze przykrą próbę. W drugiej części wieczoru, kiedy przyszła kolej na serię moich utworów solowych i rozpocząłem je od *Marsza węgierskiego* Schuberta-Liszt — Bülow, który słuchał gry siedząc przy fortepianie, nagle wstał, odsunął krzesło, biegiem opuścił estradę i zniknął. Rzecz prosta, musiało to wywołać poruszenie wśród publiczności; zaczęto między sobą szeptać, nie rozumiejąc, co się stało. Na sali zapanowała atmosfera zdziwienia, a nawet pewnego rozbawienia. Nagłe wyjście Bülowa zniweczyło kompletnie nastrój. Z trudem dobrnąłem do końca utworu, publiczność bowiem w ogóle przestała słuchać, myśląc widocznie



**0** Bülowie. Zdawałem sobie z tego sprawę, grałem jednak dalej, cierpiąc niewypowiedziane męki.

Zdaje się, że Bülow znany był z umiejętności sprawiania swym słuchaczom niespodzianek i lubił zwracać na siebie uwagę — w ten sposób utrzymywał zainteresowanie słuchaczy w stałym napięciu. Publiczność berlińska traktowała to z pewną pobłażliwością i rozba-wieniem. Zapytywano siebie, z czym nowym znów wystąpi i czego się od niego można jeszcze spodziewać. Bülow zachowywał się w ten sposób z całym rozmysłem.

Niestety błazeństwa jego — niech mi wolno będzie użyć tego słowa — nie zawsze się dobrze kończyły, a w tym wypadku wywołały dla mnie wprost tragiczny skutek. Kiedy doszło do jego ucieczki, pojąłem, że wobec publiczności berlińskiej los mój został przesądzony. Nagłe opuszczenie estrady publiczność zrozumiała jako odruch skierowany przeciwko mnie, a raczej przeciwko mej grze. Sposób zejścia Bülowa z estrady najwyraźniej to oznaczał. Wreszcie skończyłem program, ale fiasco koncertu było zupełne! Istna katastrofa.

Jaki był powód takiego zachowania się Bülowa i czy zrobił to w porozumieniu z Wolffem — nie potrafię powiedzieć, bo po prostu nie wiem. I nigdy się chyba nie dowiem. Mogło tak być, lecz nie jestem tego zupełnie pewien, nie mam na to żadnych dowodów. Wiem tylko, że tak się przedstawiają fakty i że nie potrafię z nich wyciągnąć innego wniosku.

Zapytuje mnie pani, czy nie grała tu roli zazdrość ze strony Bülowa. Być może, lecz trudno mi w to uwie-rzyć, zważywszy, że był człowiekiem raczej o szerokich horyzontach myślowych i wydawał się wielkoduszny. Zazdrość jest co prawda dziwną cechą charakteru, pod wpływem jej ludzie popełniają często niezwykle czyny i występki. Czemu przypisać postępowanie Bülowa — nie dowiem się nigdy. Muszę tylko stwierdzić, że o koncer-cie moim mówiono jak o zupełnej porażce. W wyniku opuszczenia estrady przez Bülowa niektórzy krytycy

odmawiali moim kompozycjom wszelkiej wartości, inni znowu stwierdzali piękne wykonanie nokturnu Chopina — pierwszego utworu mego programu — lecz wyrażali głęboki żal, że program koncertu zawierał między innymi taki utwór, jak *Węgierski marsz żałobny* Schuberta. Był to istotnie prawdziwy marsz żałobny, jeśli chodzi o mój debiut w Berlinie!

Inne jeszcze gazety zajmowały się moją osobą z politycznego punktu widzenia. Atakowano mnie wprost i pisano z sarkazmem: „Po co ten Polak tu przyjeżdża? — pytał jeden z dzienników berlińskich. — Czego spodziewa się od takiego audytorium, jak nasze Towarzystwo Filharmoniczne? Nie ma tu dla niego miejsca. Czy może przypuszczać, że skoro napisał tego swojego niedługiego menueta, wolno mu teraz naprzykrzać się nam swoim nudnym, szkaradnym i przyciężkim koncertem? To wprost śmieszne!”

Zmartwiony byłem, a także rozgniewany tego rodzaju bezpodstawną krytyką. Chciałem w ogóle wyjechać, lecz mój impresario zawarł już umowę na jeszcze jeden koncert z orkiestrą w Akademii i na dwa recitale, musiałem więc pozostać. Na wszystkich tych koncertach publiczność zachowała się doskonale i okazała dużo prawdziwego uznania. Kilkakrotnie zmuszano mnie do bisów. Nie przeszkadzało to krytykom kierować ataków tak ze względów politycznych, jak czysto muzycznych — oburzało mnie to bardzo. Nie napisali ani jednego dobrego słowa, co dowodziło już prawdziwej złośliwości z ich strony.

Wydawca mój, Bock, martwił się tym ogromnie, był do głębi poruszony. Powiedział z żalem:

— Nie jestem w stanie tego zrozumieć, w ogóle nie pojmuję, co to wszystko oznacza? Czy nie zrobił pan czegoś, co mogłoby tłumaczyć tak złośliwe ustosunkowanie się do pana? Może obraził pan kogo, bo musi istnieć poważny powód tego, co się obecnie dzieje.

— Nie mogłem obrazić nikogo, do każdego bowiem

odnoszę się z należnym mu szacunkiem, a to po prostu dlatego, że żywię szacunek również dla samego siebie.

Po ostatnim recitalu znów spotkałem się z Bockiem, który z goryczą mówił o tej sprawie.

— W tym wszystkim kryje się jakaś tajemnica; przykre to, lecz nie należy się przejmować, raczej trzeba najprędzej zapomnieć o tym, co zaszło. Za rok czy dwa, gdy pan znów do nas powróci, sytuacja się zmieni. Wszystko pójdzie w niepamięć. Zmieniają się też może i krytycy, i wtedy, chociaż nieco późno, weźmie pan należny odwet.

— Nie, to się nigdy nie zdarzy, bo nigdy tu nie powrócę i nigdy nie będę tu grać. Nie będę już grał w Berlinie.

Tak się też stało, i to mimo, że miewałem wielokrotnie, wspaniałe i zaszczytne oferty występów w Berlinie, takie jakie dostawałem z Ameryki. Zostałem nawet kiedyś zaproszony na dwór cesarski, co było faktem wyjątkowym ze względu na mentalność germańską. Grałem we wszystkich prawie miastach niemieckich, zawsze z prawdziwą przyjemnością i powodzeniem. Nigdy już jednak nie występowałem w samym Berlinie. Pomimo mej politycznej aktywności, nie dalej jak trzy lata temu miałem jeszcze propozycję stamtąd — zaproszenie na koncerty od rządu niemieckiego, z zapewnieniem, że zostanę przyjęty owacyjnie z honorami należnymi mi nie tylko jako artyście, ale i jako mężowi stanu. Zawsze odmawiałem i nie żałuję tego.

W parę tygodni po nieudanym koncercie w Berlinie otrzymałem przemiły list od Bülowa. W liście tym przypominał o mającym się odbyć w Hamburgu koncercie, który miał prowadzić, a w którym udział miałem brać i ja. Związany kontraktem, musiałem udać się do Hamburga, aby "dotrzymać zobowiązania. Bülow przyjął mnie jak rodzonego brata, okazując moc serdeczności i uprzejmości w słowach i czynach. Gdy zobaczyliśmy się zaraz po przyjeździe, rzekł mi:

— Musi pan koniecznie zamieszkać u nas, bardzo będziemy radzi goszcząc pana u siebie. Moja żona, Polka, będzie zachwycona mając sposobność mówienia po polsku, a ja — niezmiernie szczęśliwy, widząc pana w swoim domu.

Umówiliśmy się, że zaraz po próbie pójde do niego na lunch.. Nawet dobór potraw miał być specjalnie dla mnie obmyślony.

— Proszę mi powiedzieć, drogi panie, co najchętniej pan jada, czy ma pan jakąś ulubioną potrawę, a z przyjemnością przygotujemy ją.

Odpowiedziałem, jak mi się dziś wydaje, z dużą dozą uprzejmości:

— Myślę, że największą przyjemność przy śniadaniu sprawi mi pańska osoba.

— Ludożerca — zawołał Bülow — istny ludożerca!

Przez cały czas pobytu w Hamburgu Bülow był tak miły, że całkowicie zapomniałem o urazie, jaką do niego żywiłem, a wszystko zostało całkowicie wymazane z pamięci. Było to nasze ostatnie spotkanie, nigdy więcej go już nie widziałem.

Wróćę jeszcze do moich występów w Berlinie. Prasa niemiecka była głęboko przekonana, że jej opinie muszą być respektowane przez cały świat. Myślę, że jeśli prasa odniosła się do mnie z taką niechęcią, i to od samego początku mej kariery (wszystko to tyczy przede wszystkim Berlina), to dlatego, że pierwsze sukcesy zdobywałem w Paryżu, Londynie i kilku innych krajach, zanim uzyskałem stempel doskonałości od prasy berlińskiej. Dlatego to potraktowali mnie w pewnej mierze jako natręta, jak kogoś, kto zdobył pozycję w świecie bezprawnie.

Pierwszy sezon w Londynie, poprzedzający porażkę berlińską, okazał się dla mnie wspaniałym okresem, i to pod wieloma względami. Zawarłem wiele przyjaźni, które przetrwały przez całe życie. Wśród tych przyjaciół, a także i w mym sercu, honorowe miejsca zajmują dwie moje „chrzestne matki”: lady Barrington i jej siostra, Mrs. Yorke. Poznałem je przez inne moje serdeczne przyjaciółki, owe dwie księżne rumuńskie, które mi tak wiele w życiu dopomogły. Poprzednio opowiadałem już pani o przyjęciach muzycznych w domu księżnej de Brancovan w Paryżu — o tych wspaniałych zebraniach arystokracji i artystów, a także o spotkanych tam ludziach, którzy przyczynili się do pomyślnego rozwoju mej kariery, czego im nigdy nie zapomnę.

Mrs. Yorke była osobą bardzo wybitną, matką obecnej księżnej Portland. Kilku członków jej rodziny zajmowało wysokie stanowiska w brytyjskiej służbie dyplomatycznej. Cała rodzina należała zresztą do najświetniejszych w kraju. Dzięki jej siostrze, lady Barrington, do dziś dnia jeszcze Bogu dzięki żyjącej<sup>1</sup>, choć liczącej osiemdziesiąt siedem lat, miałem często sposobność spotykać wielu brytyjskich mężów stanu oraz członków angielskiej arystokracji. Mąż jej, sir Erie Barrington, był sekretarzem ówczesnego premiera brytyjskiego, lorda Salisbury. Ona to i jej siostra, Mrs. Yorke, były, jak same żartobliwie mówiły, „matkami chrzestnymi” mej kariery artystycznej w czasie, gdy dawałem pierwsze recitale w Londynie. Ich wysiłki wprowadzenia mnie w świat i szczerze zainteresowanie moją osobą towarzyszyły mi stale. Były one podstawą mej pozycji

<sup>1</sup> Lady Barrington umarła w 1937 r. (Przyp. red.)

towarzyskiej — odskoczni w artystyczny świat stolicy Anglii.

Do śmierci sir Erica przez długie lata przywykłem chociaż raz w tygodniu odwiedzać ich gościnne progi. Byli wiernymi i drogimi przyjaciółmi. Teraz jeszcze, gdy tylko znajdę się w Londynie, śpieszę do lady Barrington. Mimo iż bardzo wiekowa i słaba, w dalszym ciągu wierna jest tradycji uczęszczania na wszystkie moje koncerty, nie opuszczając nigdy żadnego. Ogromnie mnie to wzrusza.

Przez nią poznałem lorda Balfoura<sup>1</sup>, najszlachetniejszego i najwznieślijszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znałem: konsekwencje tego faktu okazały się później ważne dla dobra mego kraju. Lord Balfour odegrał w moim życiu szczególnie ważną rolę. W tym stuleciu mądrych i wspaniałych ludzi zajmował wyjątkowe miejsce. A trzeba przyznać, że czasy te — to cudowna i złota era. Był to okres wielkiego rozkwitu angielskiej cywilizacji, a to, że i ja brałem w nim udział, stanowi dla mnie dużą pociechę wewnętrzną.

W domu lady Barrington widywałem też często sławnego pisarza amerykańskiego, cieszącego się dużą popularnością w sferach literackich Londynu — Henry Jamesa. Już od pierwszego wejrzenia polubiłem go ogromnie. Muszę przyznać, że w jego sposobie mówienia raziła sztuczność, coś nienaturalnego. Mówiąc po angielsku, bardzo zresztą pięknie, czy też po francusku — jego francuszczyzna była doskonała — używał w rozmowie zbyt wielu akademickich zwrotów. Sposób myślenia Jamesa był także typowo literacki; nawet mówiąc o najprostszych rzeczach, wyrażał się zawsze prześlicznymi, doskonale zaokrąglonymi zdaniami. Najwidocz-

<sup>1</sup> Arthur James Balfour (1848-1939) — angielski mąż stanu. W latach 1916-19 był ministrem spraw zagranicznych. W r. 1919 uczestniczył z ramienia rządu w konferencji pokojowej w Paryżu. (Przyp. red.)

niej taki był już typ jego umysłowości. W rozmowie nie odznaczał się błyskotliwością, niemniej jednak był genialnym pisarzem. Mogę chyba powiedzieć, że doprawdy pokochałem tego człowieka. Wyjątkowo kulturalny i wytworny, w każdym towarzystwie wyróżniał się sposobem bycia. Poznaliśmy się u lady Barrington, a potem spotykaliśmy się często i prowadziliśmy długie rozmowy. Rozprawialiśmy o najrozmaitszych sprawach, interesowało go bowiem wszystko. W tym czasie angielszczyzna moja nie była jeszcze nadzwyczajna, wobec czego mówiliśmy często po francusku, przy czym jego francuszczyzna była cudowna. Jestem pełen podziwu dla twórczości Jamesa, niemniej nie zgodziłbym się z pani zdaniem, jakoby Henry James był największym, najsubtelniejszym i najgłębszym pisarzem swej epoki. Podziwiam pani zachwyt dla jego warsztatu pisarskiego; panował nad słowami po mistrzowsku. Przypominam sobie, że chociaż różnił się od mieszkańców Bostonu i innych Amerykanów, których spotykałem, to jednak mieszkając stale w Londynie — pozostał na wskroś Amerykaninem w zapatrywaniach. Istnieje wiele anegdot na temat ciężkości jego stylu w rozmowie czy powolnej i pełnej zahamowań mowy, zwłaszcza gdy szukał właściwego określenia dla wyrażenia myśli. Opowiada się też anegdoty na temat jego uroczystego i pełnego godności sposobu bycia. W każdym bądź razie wywierał duży wpływ na wszystkich, którzy z nim przebywali. To, co o nim słyszę, mogło być prawdziwe w odniesieniu do lat późniejszych, wtedy gdy i sposób jego pisania i mówienia stawał się coraz bardziej zawiły; za mojej pamięci było inaczej, nie zapomnę nigdy naszych częstych rozmów, tak niezwykle interesujących i pełnych wyjątkowego czaru.

Pamiętam dobrze głos Jamesa — głos dla mnie tak pełen uroku. Wyjątkowo spokojny, uprzejmy, głęboki i dobrotliwy — o ile można w podobny sposób określić czyjś głos. Henry James był przede wszystkim i w pierw-

szym rzędzie człowiekiem dobrym i szlachetnym. Muszę dodać, że w moim pojęciu żadna cnota nie daje ludziom tyle, ile daje dobroć.

Pośród wielu wyróżniających się osobistości świata muzycznego Londynu Georg Henschel był człowiekiem wyjątkowo zdolnym: dobrym dyrygentem, świetnym akompaniatorem i doskonałym pedagogiem, głównie jednak znano go i ceniono jako śpiewaka. W rzeczywistości, mimo marnego i słabego głosu, po prostu za ledwie cienia głosu, potrafił wywoływać u słuchaczy niebываłe wzruszenia. Potrafił całkowicie zapanować nad publicznością, zaczarować ją, był bowiem wielkim artystą. W obcowaniu uroczy i bardzo inteligentny, chętnie rozmawiał na przeróżne tematy. Razem z podobnie jak i on utalentowaną żoną<sup>1</sup> — cieszyli się w owych czasach wielkim uznaniem w Ameryce i Londynie.

Henschel w ciągu sezonu urządzał dość częste audycje muzyczne. Na jednym z takich wieczorów spotkałem Jej Królewską Wysokość księżniczkę Luizę<sup>2</sup>, wówczas markizę de Lorne, a obecnie księżnę d'Argyll, uroczą i wdzięczną damę, zarazem malarzkę. O jej zdolnościach artystycznych nic jeszcze nie słyszałem, ale w parę dni później dowiedziałem się, i to w dość zabawny sposób. Niebawem o tym opowiem.

Następnie byli wtedy w Londynie Edward Burne-Jones (który później otrzymał szlachectwo), sir Laurence Alma-Tadema, rzeźbiarz Gilbert oraz wielu, wielu innych; wszystkich znałem i z wszystkimi się przyjaźniłem.

Zanim jeszcze miałem zaszczyt poznać Burne-Jonesa, jadąc kiedyś przez ulicę zobaczyłem go idącego — postać jego zrobiła na mnie duże wrażenie, a nawet wzruszyła. W wesołym nastroju jechałem modną wów-

\* Lillian Bailey — amerykańska śpiewaczka estradowa. (Przyp. red.)

\* Córka królowej Wiktorii. (Przyp. red.)



czas dwukołową dorożką do St. John's Wood<sup>1</sup>. Nagle ujrzałem idącego w mą stronę dżentelmena. Szedł bardzo powoli, ale już z daleka zauważyłem twarz, na której malowała się powaga i szlachetność. Pomyślałem sobie, że postać jego ma w sobie coś z apostoła, i wiedziony dziwnym instynktem, ukłoniłem się, chcąc okazać szacunek tak dostojnie wyglądającej osobie. Nie wiedziałem jeszcze, że był to wielki malarz-portrecista: Burne-Jones. W kilka dni później jeden z moich przyjaciół zabrał mnie do jego pracowni i Burne-Jones zrobił wówczas cztery czy pięć moich szkiców, z których jeden jest bardzo znany. Wykonał go w ciągu dwóch godzin — było to cudowne. Pamiętam, jak rysował mnie szybko, wręcz gwałtownie. Portret ten stał się wkrótce jednym z najświetniejszych jego rysunków. Oryginał znajduje się u mnie, gdyż wspomniałomyślnie mi go ofiarował. Dar iście książęcy.

Widzę, że pani nie chce o tym dalej słuchać, a pragnie, bym opowiedział historię z archaniołem. Mrs. Gaskell, bliska przyjaciółka Burne-Jonesa, opowiadała ją podobno już wielokrotnie, a poza tym pisano o niej we wspomnieniach zawierających historie z życia Burne-Jonesa. Twierdzi pani, że historię usłyszała pani dopiero niedawno, od lady Maude Warrender, a nie z tych źródeł, o których wspomniałem. To ładnie ze strony lady Warrender. Pamiętam ją jako przemiłą panią domu; opowiem więc o niej później szerzej, gdyż po wielu dopiero latach zacząłem bywać w jej domu w Londynie. Ona to, jak się dowiaduję od pani, powtórnie rozgłosiła ową historię z archaniołem.

A więc i pani już o niej słyszała. Proszę o pewien wzgląd na moją skromność, a także i moją wrażliwość odnośnie do włosów, których w owym czasie naprawdę miałem wiele. Skoro sobie pani jednak życzy, opowiem wszystko. Otóż podobno Burne-Jones, idąc pew-

<sup>1</sup> Dzielnica Londynu (Przyp. red.)

nego dnia powoli ulicą, spostrzegł mnie i chwilę przy-  
patrywał się ze zdziwieniem, czego zresztą nie zauwa-  
żyłem. Minał mnie, ale zaraz zawrócił, i znów po raz  
drugi rzucił na mnie szybkie spojrzenie. Powróciwszy  
pospiesznie do domu, opowiadał wszystkim, że spotkał  
archanioła — archanioła w aureoli złocistych włosów,  
kroczącego po londyńskim chodniku! Zaraz też po-  
stanowił utrwalić go na papierze i odtworzyć jego złoty  
nimb, zanim obraz nie zniknie mu całkowicie z pamięci.  
Aureolą były moje włosy, bo proszę mi wierzyć, że w młó-  
dości miałem ich bardzo wiele i wyglądały tak właśnie  
jak na sławnym rysunku Burne-Jonesa.

Obecnie dochodzimy do punktu kulminacyjnego opo-  
wiadania. Otóż gdy w kilka dni później, jeszcze go nie  
znając, wszedłem do pracowni, tak był zaskoczony i ura-  
dowany moim widokiem, że radośnie wykrzyknął na  
powitanie: „Mój archanioł!”, i bez słowa natychmiast  
zabrał się do wykończania rysunku, podczas gdy ja, nie  
nie pojmując, stałem w milczeniu. Później dopiero  
wszystko mi wytłumaczono.

Oto i cała opowieść, a nawet obie anegdoty. Jedyna  
rzecz mająca tu istotne znaczenie to zaszczyt, jaki  
mnie spotkał, gdyż po mistrzowsku wykonany rysunek  
srebrem<sup>1</sup> Burne-Jonesa uznany został za jeden z naj-  
lepszych portretów w tym rodzaju.

Rzecz prosta, zaprzyjaźniliśmy się i spotykaliśmy się  
często w domu drogiej mej przyjaciółki lady Lewis  
oraz w domu sir Laurence'a Alma-Tademy. Burne-  
-Jones wbrew pozorom (poprzednio wspominałem, że  
wyglądał na apostoła) był pełnym humoru, ogromnie  
wesołym i pełnym życia człowiekiem. Bywał na wszy-  
stkich moich koncertach, prywatnie jednak u niego  
nie grywałem. Grywałem natomiast często w domu  
Alma-Tademy, który posiadał bardzo piękny fortepian.

<sup>1</sup> Silver-point drawing (ang.) — technika rysowania ołówkiem  
o cienkim ostrzu ze srebra na specjalnie przygotowanym, zagrunto-  
wanym papierze. (Przyp. red.)

Instrument ten był rzeczywiście unikatem, który z biegiem czasu zyskał pewnego rodzaju sławę. Mogę się o nim wyrazić tak, jak o swoim fortepianie mówił kiedyś pewien właściciel hotelu w Moskwie: „To nie fortepian, to kopalnia złota”.

Fortepian Tademy był czymś więcej od zwykłego fortepianu, był kolekcją autografów! Bardzo dużych rozmiarów, przepięknie inkrustowany srebrem, najróżnorodniejszymi gatunkami kolorowego drzewa i masą perłową, miał po bokach tafle z papieru pergaminowego, wpuszczane w boazerię. Tafle te służyły jako album autografów; były całkowicie pokryte autografami setek sławnych ludzi z całego świata, którzy odwiedzali dom artysty. Z biegiem czasu, gdy jedne zostały już wypełnione podpisami, dodawano nowe. Myślę, że i mojego nazwiska można by się jeszcze doszukać na jednej z dawniejszych tafli. Ów zbiór autografów był stałym przedmiotem zainteresowań wszystkich gości Alma-Tademy.

Piękny ten fortepian pochodził z firmy Broadwood, znanej angielskiej wytwórni fortepianów, i kosztował dwa tysiące funtów. Istnieje zdjęcie tego instrumentu, które można by było zamieścić, choć nie oddaje w pełni jego wyjątkowego piękna. Po śmierci Alma-Tademy nie znalazł się nikt chętny do nabycia fortepianu, który siłą rzeczy, jak to zwykle bywa, znalazł się na wielkiej sali licytacyjnej Christie'ego w Londynie. Przykro pomyśleć, że żaden ze starych przyjaciół z dawnych lat nie zainteresował się losem fortepianu i że nie nabyło go żadne muzeum. Ostatecznie kupił go znany w Londynie wielki magazyn Maplesa i umieścił na wystawie jednego ze swoich sklepów.

Historia i sława tego fortepianu wciąż są jeszcze żywe; jeszcze dwa lata temu fotografia instrumentu ukazała się w „The Daily Telegraph”, a z nią i parę słów dotyczących jego dziejów. Dziś w dalszym ciągu fortepian znajduje się w wielkim sklepie Maplesa, w pewnego

rodzaju sanktuarium. Wolno mi chyba użyć tego słowa, z uwagi na pamięć o jego sławnych przyjaciółach. Fortepian może istotnie stać się dla artysty czymś najbardziej bliskim — wiernym przyjacielem, ale niekiedy nawet i wrogiem.

Mógłbym na ten temat przytoczyć własne, niemal tragiczne doświadczenia, kiedy mój fortepian raz czy dwa stawał mi się istotnie prawdziwym wrogiem. W czasie długiej kariery muzycznej stoczyłem z nim wiele zażartych bojów. Walki te musiałem doprowadzić do końca, ale opowiem o tym nie teraz, lecz w późniejszej naszej rozmowie.

Obecnie powrócmy do poprzedniego tematu.

W owym czasie widywałem często Alma-Tademy — prosił mnie o pozowanie do portretu. Zgodziłem się, rzecz prosta, gdyż propozycja ta była zaszczytna. Ale trudno sobie wyobrazić bardziej męczące i uciążliwe seanse. Na pierwszym już zaraz posiedzeniu ze zdziwieniem zauważyłem, że aż trzy osoby biorą się do malowania! Tymi osobami były: księżniczka Luiza, sam Sir Laurence i lady Alma-Tadema. Wszyscy troje jednocześnie z zapałem wzięli się do pracy. Każdy z malujących prosił mnie o zwracanie się twarzą w tę stronę, która jemu w danej chwili odpowiadała! Dziwne było to pozowanie, nie siedzenie, lecz ciągłe obracanie się w kółko. Trwało to kilka dni, przy czym każdy następny dzień był bardziej „ruchliwy” od poprzedniego. Wreszcie wszystkie trzy portrety zostały ukończone. Lady Alma-Tadema, utalentowana malarka, namalowała maleńki portrecik, ale portret Alma-Tademy z punktu widzenia sztuki był prawdziwym arcydziełem. Portret zrobiony przez księżniczkę Luizę znajduje się dotychczas w jej posiadaniu w Kensington Pałace. Malarsko był niezły, lecz zawierał mało podobieństwa, prawdopodobnie dlatego, że niedostatecznie często zwracałem się ku niej w czasie pozowania. Poważny atut dla malarza stanowi dobre oświetlenie, z którego nie mogli korzystać

wszyscy troje, stąd też moje bezustanne obracanie się w różne strony. Zabawne były te posiedzenia, ale doprawdy wymagały ode mnie wysiłku.

Jedna tylko osoba obecna w tym samym pokoju nie prosiła mnie, bym się odwracał w jej stronę, a to dlatego, że nie była malarką — córka Alma-Tademy, Miss Lawrence, i odgrywała jedynie rolę widza. Wydaje mi się, że bardzo ją bawiła moja kłopotliwa sytuacja. Przez wszystkie minione lata okazywała mi zawsze serdeczne zainteresowanie, a jej niezawodna przyjaźń ze mną i moją rodziną oraz wielkie usługi, jakie oddała Polsce w czasie wojny, są tematem, który chciałbym poruszyć obszerniej. Tego rodzaju przyjaźnie stanowią największy skarb człowieka. Gdy wspominam te piękne dni, czuję się szczególnie pod tym względem uprzywilejowany. Nieco później, w innym rozdziale mego opowiadania, muszę znaleźć miejsce na opisanie trudów, jakie w czasie wojny ponosiła dla Polski panna Alma-Tadema.

Wnętrze domu Alma-Tademy nosiło wyraźne piętno artyzmu, zawierało mnóstwo pięknych dzieł sztuki. W domu tym bywał cały ówczesny artystyczny świat Londynu. Pan domu, o błyskotliwej i wyjątkowo interesującej umysłowości, był jednocześnie przemiłym człowiekiem. Stanowił jedną z tych malowniczych i sławnych postaci owych czasów, był doskonałym, a przy tym bardzo modnym artystą. Sławne przyjęcia, o ile mnie pamięć nie myli, odbywały się każdego poniedziałku; zbierało się wówczas najznakomitsze i najwybitniejsze towarzystwo nie tylko Londynu, ale i całego świata. Zwykle rozpoczynano od muzyki, po czym podawano uroczą kolacyjkę. Często z wielką przyjemnością grywałem tam.

Alma-Tadema był nadzwyczaj gościnnie, ogromnie miły i pełen taktu jako pan domu. Przyjmował gości isticie po książęcemu. Dla każdego znajdował zawsze odpowiednie i miłe słowa, przy tym lubował się w samej ceremonii przyjmowania. Miał wyjątkowo wytworny smak i zdrowy sąd. Zawsze podziwiałem jego znajomość

muzyki, umiał o niej mówić z przejęciem i głębokim znawstwem. Alma-Tadema był jednym z moich pierwszych i najlepszych londyńskich przyjaciół.

W owym czasie panował też zwyczaj, że wybitni aktorzy, a głównie ci, którzy posiadali własne teatry, urządzali u siebie po przedstawieniu przyjęcia. Te nocne zebrania nie były pozbawione swoistego uroku. Około północy chodziło się do Haymarket-Theatre, gdzie występował Tree, lub też do Lyceum, gdzie grywał Irving. Byłem wtedy młody i żądny przeżyć, a przy tym oczarowany bogactwem londyńskiego życia. Często więc przyjmowałem zaproszenia, zwłaszcza Beerbohma Tree, ale też często jadałem kolacje u sir Henry Irvinga. Owe przyjęcia były niesłychanie miłe.

Jakże wesoło bywało wówczas i jak uroczym, ale niestety świat ten już przestał istnieć.

Pierwsze sezony londyńskie należą do nadzwyczaj udanych. Stałem się już znany, a audytorium moje stale się powiększało. Znaczną część sezonu muzycznego spędzałem regularnie w Londynie. W czasie drugiego pobytu, w roku 1891, poproszono, bym wystąpił przed królową Wiktoria. Bardzo się ucieszyłem, gdyż zawsze żywiłem dla niej wielki podziw. Zanim jednak opowiem pani o moim koncercie w Windsorze, muszę wspomnieć o ówczesnym zwyczaju prywatnych występów muzycznych w Londynie.

Owe „dni przyjęć” w wielkich domach cieszyły się dużą popularnością i odgrywały znaczną rolę w sezonie każdego artysty przybyłego do Londynu. Chociaż finansowo zadowalające, a raczej — powinienem powiedzieć — z czasem stały się zadowalające, nie były jednak tak wielkim dobrodziejstwem, za jakie mogły uchodzić. Otrzymywałem niezliczoną ilość propozycji, tak wiele, że nieraz nie wiedziałem, którą z nich przyjąć. Grałem w kilku prywatnych domach, lecz szybko zorientowałem się, że nie należy to do rzeczy miłych, gdyż zaproszeni goście nie odnosili się do podobnych

rozrywek z należytą powagą. Niestety, nawet urocze panie domu nie uważały tego za koncert, i stale odnosiłem wrażenie, że po to tylko angażowano artystów, aby ułatwić gościom swobodniejszą rozmowę; na grę artysty nie zwracano prawie zupełnie uwagi. Oburzało mnie to i bardzo nad tym bolałem. Czułem się tym tak urażony, że w paru wypadkach odważyłem się po prostu przerwać grę, przepraszając rozmawiających za przeszkadzanie. Sądziłem pierwotnie, że moja ironia jest zbyt cienka, by mogła być zrozumiana, jednak po paru podobnych próbach wywołała zamierzony przeze mnie skutek.

Mogę panią zapewnić, że żadnych nieprzyjemności z tego powodu nie doznałem, bo goście bardziej byli zdziwieni niż oburzeni. I muszę powiedzieć, że po tych uwagach zachowanie słuchaczy zmieniło się nieco na moją korzyść. Nauczyłem ich odpowiedniego zachowania, i nigdy już podczas mojej gry nie prowadzili żadnych rozmów. Nie pozwalałem na konwersację, a gdy tylko ją zaczynano — przestawałem grać. Nie mając jeszcze wprawy w języku angielskim — rozpocząłem bowiem dopiero naukę — zwykle mówiłem po francusku. Mówiłem mniej więcej tak: „Przykro mi, że przeszkadzam państwu w miłej rozmowie i niepokoję grą. Zaraz przerwę, aby umożliwić dokończenie rozmowy”. Może sobie pani wyobrazić, jakie to wywoływało wrażenie, ale trochę pomagało. Zdarzyło się, że podczas jednego występu musiałem tak postępować parokrotnie, lecz odnosiło to jednak widoczny skutek.

Ostatecznie dokonałem dwóch rzeczy, za które należy mi się uznanie: po pierwsze nauczyłem owo wytworne grono słuchaczy, jak należy słuchać muzyki, a także jak należy odnosić się do artysty. Wielu z nich potem mówiło: „Jakaż zmiana w zachowaniu się gości podczas muzyki! Nie ma już — dzięki Bogu — tego paplania”.

Poza tym uzyskałem jedną jeszcze — korzystną nie

tylko dla mnie, ale i dla innych artystów — zmianę, postarałem się bowiem, aby za występy w domach prywatnych podwyższono wszędzie honorarium.

W Londynie sześćdziesiąt gwinei uchodziło wówczas za najwyższe wynagrodzenie za występ w domu prywatnym. Nie mówię tu oczywiście o Adelinie Patti, która często śpiewała na przyjęciach i brała olbrzymie honoraria. Bez wahania płacono każdą sumę, jakiej zażądała, byle tylko zechciała wystąpić. Występowała też wtedy w Londynie śpiewaczka kanadyjska, madame Albani, bardzo lubiana przez publiczność — otrzymywała Sto gwinei za występ. Albani miała piękny głos, była też przyjaciółką i protegowaną królowej Wiktorii, co jeszcze zwiększało jej i tak olbrzymią popularność.

W pierwszym sezonie brałem sześćdziesiąt gwinei za występ. Potem zażądałem dwustu — i tyle przez kilka następnych lat otrzymywałem. Z biegiem czasu, ponieważ mieszałem coraz więcej koncertów i nie potrzebowałem już dodatkowych zarobków, przestałem w ogóle grywać na przyjęciach prywatnych. Nie należało to bowiem do przyjemności w najlepszych nawet warunkach. Stały gwar i ruch, przesuwanie krzesel, zrozumiałe, lecz niemożliwe do uniknięcia w domu prywatnym, wprowadzały mnie w stan irytacji. W wyjątkowych okolicznościach takie występy sprawiały mi pewną przyjemność, w większości wypadków był to jednak rodzaj niewoli: grać za pieniądze i być zmuszonym do znoszenia braku należytego spokoju, stale przez kogoś zakłócanego. Zdarzyło się też parę razy, że podczas mej gry zjawiała się na sali osoba należąca do rodziny królewskiej; wszyscy goście natychmiast powstawali z miejsc, a ja musiałem przerywać grę, aby złożyć ukłon wchodzącej królowej czy królowi. Rozmyślnie więc podniosłem honorarium do pięciuset gwinei, aby angażowanie mnie stało się rzeczą prawie niemożliwą. Była to olbrzymia suma, i żądanie moje



wywołało dużą sensację. Stopniowo jednak również inni artyści podwyższyli ceny za występy i wkrótce doszło do tego, że bogaci ludzie, którzy chcieli angażować artystów na swe wytworne przyjęcia, zmuszeni byli płacić im ogromne sumy. Uważałem to za sprawiedliwe i słuszne.

Panowały wówczas takie zwyczaje, w Ameryce zresztą także, że zaangażowanemu na występ artyście nie wolno było wchodzić do domu głównym, frontowym wejściem, lecz niczym chłopiec na posyłki dostawał się tylnymi drzwiami. Zdarzyło mi się to raz jeden w Nowym Jorku. Po przyjeździe zaprowadzono mnie do tylnego wejścia. Ochłonawszy ze zdziwienia, nie zgodziłem się na to i powróciłem do hotelu. Oczywiście niebawem zjawił się jakiś osobnik, uniżenie mnie przepraszając i starając się wyjaśnić sprawę. Gdy powróciłem, zastałem mały pułk służby zgromadzonej przy drzwiach frontowych, aby wprowadzić mnie już-teraz głównymi schodami na górę. Tam oczekiwała mnie ogromnie zmieszana pani domu, uzbrojona w cały arsenał niezręcznych wyjaśnień. Bardzo niedorzeczne i bardzo śmieszne wydaje mi się to wszystko dziś, kiedy patrzę na owo wydarzenie z perspektywy czasu.

Był to rok 1891, gdy królowa Wiktoria wyraziła życzenie usłyszenia mej gry. Mówiłem już pani, że osoba monarchini zrobiła na mnie duże wrażenie i nigdy nie przestała mi imponować.

Zostałem zawiadomiony oficjalnie, że Jej Królewska Mość pragnie mnie słyszeć. Udałem się więc do Windsoru, którego piękno i przesiąknięty tradycją styl życia mieszkańców uczyniły na mnie głębokie wrażenie. Spędziłem tam przepiękny wieczór. Tego dnia królowa nie czuła się zupełnie zdrowa, przywieziono ją na salę w fotelu. Następnie zostałem jej przedstawiony. Zwracała się do mnie prześliczną francuszczyzną i doprawdy uczyniła na mnie wrażenie prawdziwej królowej; ileż razy jest to słowo nadużywane! Od drobnej postaci bił majestat;

choć była niezwykle niskiego wzrostu, odczuwało się jej wielkość. Była też pełna godności.

Zdumiała mnie znajomością muzyki i trafnością sądów dotyczących spraw muzycznych. Jej upodobania i wykształcenie były naturalnie klasyczne. Oprócz różnych przedmiotów uczyła się za młodu także gry na fortepianie i, jak mówi legenda, była jedną z nielicznych uczennic Mendelssohna. Ulubionymi więc kompozytorami królowej Wiktorii byli artyści z jego epoki lub jeszcze wcześniejsi. Starałem się odpowiednio do tego ułożyć program. Został mile przez nią przyjęty, wyraziła nawet życzenie częstego słuchania mojej muzyki. Widoczne zadowolenie i życzliwe ustosunkowanie się do mnie dodało dużo uroku temu miłemu wieczorowi, jaki u niej spędziłem. Pozostanie on na zawsze w mojej pamięci.

Atmosfera Windsoru była nieco uroczysta, a nawet surowa. Po odejściu królowej — musiała wcześniej niż zwykle udać się na spoczynek — jak trzy gracje pojawiły się na sali jej trzy córki: księżniczka Chrystiana, księżniczka Beatrice i księżniczka Luiza. Dwie ostatnie były wówczas bardzo piękne. Znacznie od nich starsza księżniczka Chrystiana, choć nie tak ładna jak siostry, miała w sobie coś ujmującego. Przypominam sobie jej żywy i miły sposób bycia. Przez dłuższy czas rozmawiałem z nimi z dużą przyjemnością.

W rok czy dwa później znów zostałem zaproszony do Windsoru i milej jeszcze i łaskawiej przyjęty przez królową. Przy tej sposobności ofiarowała mi swój portret. Wyglądała teraz o wiele starszej, lecz wciąż jeszcze pełna królewskiego majestatu. Była to mądra królowa, poza tym też miała szczęście. Umiała doskonale dobrać sobie odpowiednich doradców, była kobietą przenikliwą, o rozległych horyzontach, i długie jej panowanie okryło Anglię chwałą. Wywierała ogromny wpływ na życie narodu angielskiego i wpływ ten nie umniejszał się z jej wiekiem. Panowała tak długo, że wśród ludności krążyło

powiedzenie, że „jest jak pogoda w Szkocji, gdzie deszcz pada i pada bez końca, nie dając słońcu możliwości ukazania się”. Była w tym pewna racja, gdyż na skutek długiego życia syn jej, Edward, w późnym dopiero wieku objął tron. Edward również był mądrym monarchą. Już jako książę Walii cieszył się w Anglii i poza Anglią wielką popularnością — utrzymał ją do końca życia. Był odpowiednim dla Anglii władcą, posiadał bowiem niezwykle dużo taktu i był zręcznym dyplomata; wiele też dobrego uczynił dla swego narodu. Żałuję, że raz tylko na jednym z moich prywatnych występów spotkałem się z nim, już jako z królem Edwardem VII. Nie był muzykalny ani nie lubił muzyki tak, jak niegdyś jego czcigodna matka.

W rzeczywistości po śmierci królowej Wiktorii jedyną muzykalną osobą w rodzinie królewskiej była królowa Aleksandra, zresztą trochę przygłucha. Poznałem ją dzięki pięknej lady Randolph Churchill, Amerykance z pochodzenia. Lady Churchill mieszkała wówczas naprzeciwko Hyde Parku, a że spotykałem ją i jej siostrę, lady Leslie, już przedtem w Paryżu, prosiła, bym ją odwiedził w Londynie. Pewnego razu zaprosiła mnie na lunch, mówiąc, że wybiera się do niej księżna Walii, specjalnie, by posłuchać mej gry. Wtedy to spotkałem tę uroczą damę, która została później królową Anglii. Była bardzo piękna, ale gdy przemówiła do mnie, dosłownie ścierpłem z przerażenia, gdyż nie rozumiałem ani słowa. Bowiem jak większość ludzi głuchych mówiła cichutkim szeptem, tak iż niemożliwością było cokolwiek zrozumieć, tym bardziej że moja znajomość angielskiego (zaczynałem dopiero mówić tym językiem) była wówczas bardzo słaba. Konwersacja więc z księżną stanowiła dla mnie istną mękę. Najwidoczniej gra moja musiała się jej podobać, gdyż pochwaliła bardzo i prosiła, bym ją w najbliższym czasie odwiedził. Byłem więc u niej i grałem. Pamiętam — program, który wykonałem, był tak długi, że nie zostało

już czasu na rozmowę, co dogadzało mi bardzo, bo jak już mówiłem, słabo władałem wówczas językiem angielskim. Księżna "Walii była najpiękniejszą kobietą, jaką sobie można wyobrazić, i nie zapomnę jej nigdy.

Dwadzieścia lat później, już po śmierci króla, raz jeszcze ją odwiedziłem-. Mieszkała wtedy w Marlborough House. Gdy grałem, słuchała uważnie, i odniosłem wrażenie, że słuch jej nieco się poprawił. Przed i po występie rozmawialiśmy mile, przy czym w rozmowie brał też żywy udział markiz de Soveral, bliski przyjaciel króla Edwarda.

Był to bardzo miły człowiek, o uroczym sposobie bycia i bardzo wykształcony. Wskutek ciemnej cery wyglądał niemal na człowieka Wschodu. Jemu to przypisywano następujące dowcipne, krążące po Londynie powiedzenie. Pewnego razu towarzyszył królowi Edwardowi do teatru na wystawianą w tym dniu sztukę Oskara Wilde'a *The Importance of Being Earnest*<sup>1</sup>, która cieszyła się wówczas dużym powodzeniem. Po przedstawieniu król wraz ze świtą udał się na kolację do sir Ernesta Cassela. Cassel był bardzo bogatym i wpływowym bankierem, z pochodzenia Żydem; w Londynie powszechnie było wiadomo, że jemu to przypada honor pomagania królowi w kłopotach finansowych. W czasie kolacji król zwrócił się do markiza z pytaniem: „Soveral, co też pan myśli o dzisiejszej sztuce *The Importance of Being Earnest*?” Soveral, rzuciwszy szybkie spojrzenie na sir Ernesta Cassela, z miłym uśmiechem odpowiedział: „Myślę, sir, o znaczeniu Ernesta<sup>2</sup> — Cassela”. Szybka odpowiedź! Dwuznacznik trafiający — jak byśmy powiedzieli — w sedno. Soveral znany był zresztą z dowcipnych powiedzonek.

<sup>1</sup> *Brał marnotrawny*; dosł. tłum.: „Jakie to ważne być poważnym”. (Przyp. red.) •

\* Gra słów, polegająca na tym, że po angielsku Earnest jest dwuznacznikiem, oznacza: poważny — lub też imię. (Przyp. red.)

Do istotnie wybitnych ludzi należał też w owym czasie Alfred Harmsworth, późniejszy lord Nordcliffe, twórca nowoczesnej gazety. W dalszych latach swej kariery odegrał w polityce angielskiej dość wybitną rolę. Został właścicielem wielu pism codziennych. Pierwszą gazetą, którą zaczął wydawać jako zupełnie młody jeszcze człowiek, było czasopismo pod nazwą „Answers to Correspondents”. Potem przeszły w jego ręce „The Evening News” i „The Daily Mail”, a w późniejszym już okresie, u szczytu swej kariery, został właścicielem słynnego pisma codziennego „The Times”. Do śmierci, a umarł już wiele lat temu, zajmował zaszczytne stanowisko w dziennikarstwie angielskim. Kariera jego była zdumiewająca i wyjątkowo długotrwała.

Chociaż naruszyłem cały chronologiczny tok mego opowiadania (Harmswortha poznałem bowiem dopiero w roku 1895), nie weźmie mi pani chyba za złe tego odbiegania od tematu, bo wiem, że lubi pani dygresje. Spotkanie moje z Alfredem Harmsworthem miało miejsce w interesujących okolicznościach. Odbywały się wtedy obrady przedstawicieli wszystkich dominiów angielskich, na które przybyli premierzy oraz specjaliści delegacji owych krajów. Alfred Harmsworth, mieszkający wówczas na Berkeley Square, zwrócił się do mnie z prośbą, abym na przyjęciu mającym się odbyć u niego zechciał grać dla owych wybitnych gości. Od razu wywarł na mnie dodatnie wrażenie dzięki temperamentowi, błyskotliwemu sposobowi mówienia, a także arystokratycznym manierom, pomimo skromnego raczej pochodzenia. Z urodzenia nie należał do wysokich sfer towarzyskich, lecz do średniego mieszczaństwa. W ciągu kilku lat dorobił się na wydawaniu czasopism ogromnej fortuny i już wtedy, będąc stosunkowo młodym człowiekiem, posiadał ogromne wpływy. Najlepszym tego dowodem jest fakt, że przybyli z dominiów delegaci — wielcy dygnitarze — chętnie przyjęli jego zaproszenie.

Okazało się, że i ja zrobiłem na nim dobre wrażenie,

bo zaprzyjaźniliśmy się bardzo i przyjaźń nasza trwała do jego śmierci. W wielu wypadkach jego dobroć i uczynność w stosunku do mnie wydatnie przysłużyły się nie tylko mnie, ale i mojej ojczyźnie. Często na moją prośbę o poruszenie w pismach pewnych problemów dotyczących Polski — rzecz jasna, mówię obecnie o późniejszych już latach — sprawę załatwiał bez wahania i zgodnie z moją prośbą. Już wtedy cieszył się dużymi wpływami, będąc w stałym kontakcie z prasą codzienną całego świata. Jako właściciel takich pism, jak „The Times” i „The Daily Mail”, miał decydujący wpływ na opinię publiczną. „The Times” był poczytny wśród wytwornej, intelektualnej publiczności, a „The Daily Mail” czytała cała Anglia oraz również młode pokolenie.

Przedwczesna śmierć przerwała tę pożyteczną dla społeczeństwa działalność i była wielką stratą nie tylko dla mnie, ale i dla mego kraju. Po śmierci Harmswortha „The Times” zmienił się zupełnie, a także i „Daily Mail” przestała być tym, czym była pierwotnie. Zmienił się też wyraźnie ich stosunek do Polski.

W ostatnich latach utraciłem kilku drogich przyjaciół, między innymi i lorda Balfoura. Przyjaźń owych wielkich ludzi, ich zainteresowanie się mną od samego początku pobytu w Londynie wniosło w moje życie tak ogromnie dużo i miało tak wielkie znaczenie, że wyrazić tego dziś nie jestem w stanie, nie znajduję odpowiednio gorących słów, gdy o nich mówię. Czas jednak upływa; o kilku z nich tylko wspomnieć mogłem, powrócić bowiem musimy do wcześniejszych, pełnych trudów i zmagañ dni mojej kariery.

Teraz chcę pani opowiedzieć o następnym, najważniejszym może w moim życiu wydarzeniu: o wyjeździe do Ameryki, do kraju tak bardzo bliskiego memu sercu, jakby drugiej ojczyzny. Wyjazd ten miał dla mnie ogromne znaczenie, czułem się jednak już do niego dojrzały. Dojrzały do owej wielkiej czekającej mnie

przygody i do zwalczania strachu przed przekroczeniem Atlantyku — mostu do Nowego Świata. Ameryka wtedy, jak i obecnie, była „ziemią obiecaną” dla wszystkich europejskich artystów; krajem fantastycznych bajek o pieniądzach i sławie, którymi owo wielkie, radosne i hojne społeczeństwo amerykańskie obdarzało przybywających artystów.

W roku 1891 Daniel Mayer uzyskał dla mnie engagement do Stanów Zjednoczonych. Zorganizowaniem tego objazdu zajęła się znana firma Steinway. Wielcy ci fabrykanci fortepianów zaproponowali mi zawarcie kontraktu na objazd po Ameryce pod kierownictwem jednego z członków firmy — Charlesa F. Tretbara. Przed wyjazdem musiałem przygotować ogromny repertuar. Wiedziałem dobrze, że czeka mnie spora ilość recitali w Nowym Jorku, Bostonie i Chicago, a także kilka koncertów z towarzyszeniem orkiestry. Pan Tretbar, zajmujący się moim tournee, podczas którego wystąpić miałem z osiemdziesięcioma koncertami, zwrócił się do mnie z prośbą o przedstawienie wykazu repertuaru. Spis ten miałem już na szczęście bardzo obszerny, zmuszony jednak byłem pracować kilka miesięcy, i to ciężko, by utrwalić wszystko w pamięci i nabyć należytej sprawności. Lista, jaką posłałem Tretbarowi, zawierała znaczną ilość utworów, których wykonania nie byłem jeszcze zupełnie pewien, przede wszystkim koncertów z orkiestrą. Nad nimi więc musiałem specjalnie pracować.

W każdym razie zacząłem przygotowywać się do owego tournee i parę miesięcy ("ściślej: trzy miesiące) ćwiczyłem więcej niż kiedykolwiek przedtem. Zdawałem sobie jasno sprawę, że nadarza się sposobność zdobycia znaczniejszej sumy pieniędzy, ale że jednocześnie wyjazd ten jest dość ryzykownym zamierzeniem. Firma Steinway zgodziła się na udzielenie mi gwarancji w wysokości trzydziestu tysięcy dolarów na konto objętych umową osiemdziesięciu koncertów, a Tretbar w Ameryce już zawczasu zajmował się ich sprzedażą. Powiedział mi zresztą przy spotkaniu, że bynajmniej nie liczy na duży



sukces mego objazdu, a pragnie po prostu, jak się wyraził, „być krytym” — nie ponieść strat. Jak pani wie, firma Steinway nie jest agencją muzyczną i nie zajmuje się koncertami, lecz jest wielką wytwórnią fortepianów, chodziło więc w danym wypadku nie o zysk, lecz o reklamę instrumentów. Kontrakt zawierał zatem zastrzeżenie, że cały zysk z koncertów, powyżej zagwarantowanej sumy — stanie się wyłącznie moją własnością. Była to więc korzystna dla mnie, a ze strony Steinwaya wspaniałomyślna umowa.

Gorliwie zacząłem przygotowywać się do wyjazdu, nie wątpiąc ani przez chwilę, że uda mi się pokonać wszystkie związane z tą wyprawą trudności. Przed wyjazdem projektowałem jeszcze kilka koncertów w Anglii. W rzeczywistości okazało się, że musiałem zdecydować się na dłuższy objazd i dałem nie kilka koncertów, ale trzydzieści osiem recitali, i to w ciągu sześciu tygodni, tyle bowiem czasu pozostawało mi do wyjazdu. Nie dogadzało mi to, ale koncerty już ogłoszono i musiałem dotrzymać umowy, chociaż był to dodatkowy ciężar i wysiłek.

Muszę przyznać, że wyruszając w podróż, którą odbywać miałem na niewielkim i tanim parowcu o skromnej — o ile pamiętam — nazwie: „The Spray”<sup>1</sup>, czułem się już trochę wyczerpany. Wypłynęliśmy 3 listopada 1891 i podróż okazała się okropna. Było to moje pierwsze doświadczenie żeglarskie, ale muszę stwierdzić, że mimo nęcącej wizji upragnionego amerykańskiego lądu czułem się wprost fatalnie i niejednokrotnie żałowałem, iż zgodziłem się na ten wyjazd. Cierpiałem bardzo niemal przez cały czas nie kończącej się podróży.

Wreszcie wylądowaliśmy w Nowym Jorku. Jakże różny był wówczas od dzisiejszego — jarzącego się światłem i pełnego ogromnych budowli. Wtedy stały tam obok przystani tylko małe, brudne i niskie domki.

<sup>1</sup> Ang. — wodny pył. (Przyp. red.)

Do brzegu przybiliśmy w nocy, a że oświetlenie było skąpe, całość wywarła na mnie przygnębiające i żałosne wrażenie. Wszędzie panowały ciemności. Jakże inaczej to dziś wygląda! Na przystani zgromadziło się niewiele osób, przybycie bowiem naszego małego statku nie należało do ważnych wydarzeń. Pamiętam, że noc była ponura, deszczowa i zimna, co potęgowało jeszcze mój i tak niewesoły nastrój, powiększało przygnębiecie.

Z ramienia firmy Steinway powitał mnie pan Tretbar; powitanie to w zupełności odpowiadało ogólnemu nastrojowi — zimne i sztywne, bez cienia jakiegokolwiek serdeczności. Sam Tretbar robił wrażenie surowego i zimnego człowieka, a zaraz po przywitaniu powiedział parę słów, które przejęły mnie dreszczem. „Słyszeliśmy o pana sukcesach w Londynie i Paryżu, lecz — proszę mi wybaczyć — tutaj w Ameryce nie może się pan spodziewać tego samego. Koncertowali tu już wielcy i najświetniejsi pianiści, publiczność nasza jest więc bardzo wybredna i niełatwo ją zadowolić. Grali tu najświetniejsi muzycy świata, poziom tutejszych koncertów jest bardzo wysoki, a publiczność wymagająca; nie powinien więc pan wyobrażać sobie, że zdoła pan osiągnąć wielkie powodzenie. Zwracam też uwagę, że koncertowali u nas tacy wirtuozi, jak Rubinstein, Bülow i tym podobni. My sami również posiadamy sławnych pianistów, wyjątkowo zdolnych i znanych w świecie muzycznym. Wymagania ich są jednak skromne, wiedzą bowiem, że pianiści nie są tak dobrze wynagradzani, jak śpiewacy lub skrzypkowie. Raz jeszcze powtarzam, że nie powinien pan spodziewać się zapełnionych sal, i chociaż starałem się uczynić, co w mej mocy, rezultaty okazały się raczej nikłe.”

Słowa jego były dla mnie ciosem. Przebywałem w Ameryce zaledwie dziesięć minut, a już byłem do wszystkiego zniechęcony. Złowieszcze słowa Tretbara odebrały mi resztę nadziei. Nie otrzymam zatem nic ponad przyrzeczoną mi przez Steinwaya sumę umowną,

a marzyłem przecież o zebraniu większego plonu. Ale nie było rady. Wiązała mnie umowa, wydatki moje opłaciła już firma, i wiedziałem, że w każdym razie dostanę owe zagwarantowane trzydzieści tysięcy dolarów, co w tym czasie stanowiło bardzo poważną sumę. W pierwszej jednak chwili po przyjeździe, po tym „uprzejmym” powitaniu przez Tretbara, poczułem się tak zgnębiony i zniechęcony, że zapytałem natychmiast o następny odjazd statku do Europy. Myśl ta opanowała mnie całkowicie. Oczywiście nie mówiłem o tym z Tretbarem, lecz poleciłem memu sekretarzowi, którego też przejęły i zniechęciły jego słowa, aby dowiedział się, kiedy odpływa najbliższy statek do Europy.

Następnie udaliśmy się do hotelu. Noc całą nie opuszczała mnie chęć ucieczki z tego przeklętego miejsca. Było pełne robactwa. Gdziekolwiek spojrzeć, w każdym kącie znajdowałem całe gromady insektów, ale dotąd nie wiem, co to były za owady, bo nigdy jeszcze w życiu podobnych nie widziałem. Poza tym biegały myszy, noc więc miałem okropną. Najwidoczniej pan Tretbar, chcąc ograniczyć koszty pobytu i zaoszczędzić jak najwięcej pieniędzy, ulokował mnie w owym obrzydliwym hotelu.

Wczesnym rankiem wysłałem mego sekretarza, pana Goerlitz, do Steinwayów. Poleciłem mu zapytać pana Steinwaya o adres przyzwoitego hotelu i powiedzieć mu, że nie jestem w stanie przebywać ani godziny dłużej w tym okropnym miejscu, przepełnionym hałaśliwymi agentami handlowymi i innymi podobnymi osobnikami, nie mówiąc już o myszach i pluskwach w pokoju.

Steinway o wie uprzejmie odpowiedzieli: „Skoro pan Paderewski nie jest zadowolony z hotelu, musi, rzecz prosta, przenieść się do innego”. Sekretarz mój dodał jeszcze: „Pan Paderewski polecił mi powiedzieć panom, że jeżeli uważają lepszy hotel za zbyt kosztowny, chętnie sam ureguluję rachunek, lecz stanowczo nie może pozost-

stawać tam; gdzie jest obecnie". Na to Steinway odparł: „Zawarliśmy umowę i chcemy jej dotrzymać, zapewniając panu Paderewskiemu wszelkie wygody". Steinwayowie okazali się bardzo przyzwoitymi ludźmi, sprawiedliwymi i pełnymi poczucia honoru.

Goerlitz zamówił więc dla mnie pokoje w starym hotelu Windsor. W owym czasie był to jeden z najwyższych domów Nowego Jorku, miał bowiem aż cztery piętra! Hotel był staroświecki, lecz wygodny, a kuchnia bardzo smaczna. Mieścił się na rogu ulicy Czterdziestej Szóstej i Piątej Avenue.

Największym gmachem w mieście był wtedy stary skład na rogu ulicy Czterdziestej Drugiej i Piątej Avenue. Po katedrze była to w owym czasie najbardziej imponująca i zwracająca uwagę swymi rozmiarami budowla Nowego Jorku. Niespecjalnie piękna, ale interesująca, przypominała jakąś starą, z zamierzchłych czasów pochodzącą fortecę lub średniowieczny zamek. Z prawdziwą przyjemnością przystawałem wielokrotnie i cieszyłem wzrok jej widokiem. Budowla zwięzała się ku górze. Wydawała mi się naprawdę piękna. Dziś stoi na tym miejscu Biblioteka, lecz nie wygląda — moim zdaniem — tak pięknie, jak niegdyś owa cytadela.

Po ulokowaniu się w hotelu Windsor zaraz zabrałem się do załatwiania spraw związanych z objazdem.

Aczkolwiek już powitanie na molo nie było wcale zachęcające, to okazało się niczym w porównaniu z uczuciem, jakiego doznałem dostawszy do rąk plan mego tournée. Przypuszczałem, że występy odbywać się będą w ten sposób, iż rozpoczną od kilku koncertów, po których nastąpi krótki odpoczynek, następnie znów parę koncertów i znów przerwa. Nic podobnego! Koncerty miały następować jeden po drugim, z jedno- lub dwudniową przerwą, przy czym miałem być w ustawicznych rozjazdach. Tournée rozpoczynało się od Nowego Jorku, trzema występami z orkiestrą, na których miałem zagrać sześć koncertów na fortepian i serię utworów solowych!

Nie do wiary! Wszystko to miało się odbyć w ciągu jednego tygodnia! Gdy Tretbar przedstawił mi swoje niewiarygodne żądanie, czułem się kompletnie ogłuszony i patrzyłem na niego nie wierząc, że mówi poważnie. Byłem zdolny powtarzać tylko w kółko „sześć koncertów na fortepian • — sześć koncertów na fortepian”. Wkrótce przekonałem się jednak, że to prawda, i musiałem zgodzić się na zagranie sześciu koncertów lub — żadnego. Miałem już wprawdzie przygotowane cztery, lecz pozostałe dwa, mimo że przegrałem je raz czy dwa, zdaniem moim nie były dość opracowane, abym mógł wystąpić z nimi publicznie. W Europie w ciągu całego sezonu nie miałbym sposobności grać aż sześciu koncertów. Byłoby to niezwykle. Tu, w Nowym Jorku, żądano, abym zagrał je wszystkie, i to w przeciągu jednego tygodnia!

Początkowo czułem się zupełnie oszołomiony. Świadomość tego, co mnie czeka, była po prostu zabójcza. Życzyłem sobie w duchu, by ziemia otwarła się i pochłonęła mnie, żądanie bowiem Tretbara wydało mi się ponad ludzkie siły. Może obecnie, po tylu latach pracy, zdołałbym po długim przygotowaniu dokonać tak kolosalnego wysiłku, lecz wtedy, prawie na początku kariery muzycznej, bez większego doświadczenia, a z tak krótkim terminem — żądanie takie po prostu mnie przeraziło. Mówiłem sobie: „Chyba tego nie przeżyję, uda mi się zagrać najwyżej pięć koncertów”; byłem bliski obłędu.

Mimo wszystko odważnie zabrałem się do pracy i zacząłem ćwiczyć. Muszę tu dodać, że po owym tygodniu, na który przypadło tych sześć koncertów (już zapowiedzianych), miałem wystąpić z sześcioma recitalami. Na recitale przeznaczono dwa następne tygodnie, co faktycznie oznaczało koncert co drugi dzień, i to z innym programem! I wszystko to zawdzięczam panu Tretbarowi, który sam się później przyznał (z biegiem czasu zostaliśmy bowiem przyjaciółmi), że powód tego był następujący: Tretbar przyjaźnił się wtedy z pewnym

pianistą, którego uwielbiał; nie życzył więc sobie, aby ktokolwiek inny, w tym wypadku ja, odnosił większe niż jego przyjaciel sukcesy. Dość osobliwy powód.

Zacząłem więc pracować. Gdybym raz jeszcze miał to przeżywać — czuję, że wolałbym uciec gdzieś na Alaskę czy do Patagonii, byle tylko dalej od ludzi.

Pierwszy raz wystąpiłem w Carnegie Hall. Dyrygentem był młody jeszcze wówczas Walter Damrosch; zarówno jako dyrygent i jako akompaniator bardzo mi się podobał. Jako organizator a jednocześnie człowiek postępowy przyczynił się znacznie do rozwoju muzyki w Stanach Zjednoczonych. Dziś jeszcze ceniony jest bardzo za swą działalność obywatelską i muzyczną. Opowiem pani o nim więcej, ale nie w tej chwili. Przyjaźń nasza rozpoczęła się już od mego pierwszego występu — czterdzieści sześć lat temu — i trwa dotąd. Pod jego batutą odbył się mój debiut w Nowym Jorku, na który przybyło wiele osób z dalszych okolic. Program zawierał dwa koncerty fortepianowe oraz kilka utworów solowych. Publiczność przyjęła występ dobrze, lecz bez specjalnych owacji. Niektóre pisma ostro krytykowały, inne wychwalały, ale nie był to w żadnym wypadku wielki sukces. Oczekiwano teraz następnego koncertu, którego próbę musiałem odbyć już następnego dnia rano, a nie opracowałem go jeszcze należycie.

Pragnę obecnie powiedzieć, ryzykując nawet powtarzanie się, że żaden człowiek, a nawet ogół ludzi, nie będących muzykami, nie zdaje sobie zupełnie sprawy, jak wielkiej ilości ćwiczeń wymaga przygotowanie jednego koncertu. Nie wystarcza już znać i dobrze, a nawet pięknie raz zagrać utwory w tym celu wybrane. Nie wystarczy to nawet wtedy, gdy grało się już dany program, powiedzmy, tydzień temu lub nawet poprzedniego dnia. Zawsze jeszcze potrzebne są całe godziny ćwiczeń oraz skupienie myśli. Każdy bowiem występ wymaga niewiarygodnej wprost ilości pracy nad grą oraz natężenia umysłu, a na dodatek niezliczonej ilości palców-

w e k niezbędnych dla właściwej techniki. Dlatego też, by móc odpowiednio przygotować program, trzeba mieć dostateczną ilość czasu pomiędzy koncertami. Brak tego czasu i szybkość następujących jeden po drugim występów była dla mnie po przyjeździe do Nowego Jorku czymś wręcz niesłychanym, do czego zupełnie nie byłem przygotowany. Przytłoczony zostałem czysto fizyczną stroną zadania, jakiego ode mnie żądano. Pomogła mi moja młodość, bezgraniczna ambicja i chęć zwycięstwa, choć przyznać muszę, że ten narzucony mi trud był nadludzki! Dziś jeszcze mści się na moim zdrowiu ów pierwszy sezon w Nowym Jorku — przekona się pani niebawem, dlaczego tak mówię.

Gdy mi oznajmiono, że próba mego następnego koncertu odbędzie się na drugi dzień rano po poprzednim występie, nie przesadzę mówiąc, że upadłem zupełnie na duchu. Czułem się niesłychanie wyczerpany debiutem, a wiedziałem, że nazajutrz muszę wstać rano, żeby się znów przygotować do wielkiego wysiłku — próby z orkiestrą. Zaczęły się i inne kłopoty, coraz więcej kłopotów. Okazało się, że nie mogę ćwiczyć w hotelu, gdyż mieszkało tam wiele starych ludzi, stałych rezydentów, którzy nie zgodziliby się, bym grał w godzinach nocnych, a jedynie noc pozostawała mi do pracy. Musiałem więc ćwiczyć na Czternastej ulicy w magazynie fortepianów — innego wyjścia nie miałem. Nie mogłem przecież nocą ćwiczyć w żadnym hotelu lub domu. Skład fortepianów firmy Steinway okazał się moją deską ratunku.

Pamiętam zdziwioną minę stróża nocnego, gdy nagle w nocy zjawiłem się przed drzwiami magazynu, gdzie stały fortepiany. Musiałem wyglądać dziwacznie. Wpuścił mnie do środka i tam w zimnej i ponurej salce na strychu rozpocząłem swoje ćwiczenia. Nie było żadnego innego światła poza dwiema Stojącymi na fortepianie świecami. Gdy obecnie to sobie przypominam, wydaje mi się, że musiało to faktycznie przedstawiać co najmniej nie-

zwykły widok — pusty pokój, dwie migające świece i dwóch głośno chrapiących, każdy w swoim kącie, ludzi: stróż nocny i mój sekretarz. Musieli mi posłużyć za całe źródło natchnienia! Ćwiczyłem aż do świtu. Nie chciałem więcej przeżywać podobnych chwil.

Tej nocy ćwiczyłem pięć godzin, a proszę pamiętać, że było to natychmiast po koncercie; zdołałem jednak przygotować się do próby już na 10. rano. Potem znów zabrałem się do ćwiczenia i pracowałem cały dzień. Nie potrafię już pani powiedzieć ani samemu zrozumieć, jak mogłem tego dokonać. Mój drugi koncert, pomimo tak straszliwego zmęczenia, udał się znacznie lepiej od poprzedniego. Audytorium przybyło liczniejsze (znowu do Carnegie Hall), a spontaniczny entuzjazm, z jakim zostałem owego wieczoru przyjęty, dodał mi sił do zwalczania wyczerpania. Wstąpiła we mnie na nowo nadzieja, a bez niej wątpię, czy byłbym jeszcze w stanie udać się tejże nocy do magazynu Steinwaya, by przygotować się do trzeciej próby. Miałem teraz grać *Koncert e-moll* Chopina, *Koncert* Rubinsteina oraz kilka większych utworów solowych. Trzeci mój koncert odbył się po południu, przy czym przygotowanie jego zabrało mi aż siedemnaście godzin. Byłem tak znużony, że wprost opadały mi ręce. Nie mogłem jednak pozwolić sobie na żaden wypoczynek, bo niemożliwością było odwołanie lub przesunięcie dnia koncertu. Publiczność przyjęła wykonanie koncertu Rubinsteina z wyjątkowym entuzjazmem, i odtąd datuje się początek mego wielkiego powodzenia w Ameryce. -

Do kasy wpłynęła wtedy niebывała naonczas suma. Pan Tretbar, który przyszedł mi winszować, dziwił się ogromnie ilości pieniędzy, jaką uzyskałem za ostatni koncert. W kasie znajdowało się bowiem około trzech tysięcy dolarów, co się nigdy jeszcze dotąd nie zdarzyło — nigdy.

Dwa dni potem odbył się mój pierwszy recital. Zajęty wyłącznie myślą o koncertach oraz nieustanną pracą,



nie interesowałem się, gdzie odbędzie się recital — przypuszczałem, że jak i poprzednie koncerty — w Carnegie Hall. Dopiero w sam dzień występu oznajmiono mi przez mego sekretarza, że odbędzie się on w małej sali Madison Square Garden.

— W małej sali — zawołałem — cóż to znaczy, w jakiej małej sali?

Goerlitz wyjaśnił mi, że jest to nieduża sala przy Madison Square.

— To wykluczone, prawdopodobnie zaszła jakaś pomyłka. Przecież ostatni mój koncert odbył się przy szczelnie wypełnionej sali Carnegie Hall, dlategoż więc teraz miałbym grać w innej, i to małej sali?

— To pan Tretbar tak zarządził.

Byłem bardzo oburzony, głęboko odczułem tę niesprawiedliwość;

— Coś tu nie jest w porządku — powiedziałem do Goerlitz — widocznie działają przeciwko mnie jakieś wrogie siły. Zdobywam coraz większe powodzenie i na każdym z trzech kolejnych koncertów audytorium jest coraz liczniejsze, dlategoż więc teraz, po wzrastających sukcesach, po przepełnionej ostatnio Carnegie Hall wysłała się mnie na pierwszy recital do innej, i to małej sali?

Byłem oburzony i urażony. To niesłuszne, pozbawione logiki i niesprawiedliwe; tak też powiedziałem.

Pan Tretbar, któremu powtórzono moje słowa, zjawił się natychmiast. Powiedziałem mu wyraźnie, co o tym myślę, i trzeba przyznać, nie przebierałem w słowach. Tretbar próbował się usprawiedliwiać i pewne rzeczy mi tłumaczyć, ale przerwałem mu i powiedziałem:

— Uważam, że tego rodzaju postępowanie niegodne jest tak poważnej firmy, jaką jest Steinway.

Dowiedziałem się, że tylko naczelny dyrektor firmy, pan William Steinway, miał prawo decydować w tej sprawie, że do niego należało ostatnie słowo. W firmie pracowało wielu podległych mu urzędników, lecz żaden

z nich nie miał w tym wypadku prawa decydować. Niestety, w tym właśnie czasie William Steinway zachorował i leżał po ciężkim ataku reumatyzmu. Nie miałem więc do kogo się zwrócić, a pan Tretbar nie był upoważniony i nie zdradzał nawet chęci przyjęcia na siebie odpowiedzialności za zmianę decyzji. Powiedział mi po prostu: „Mamy swoją taktykę i nie możemy jej zmienić w ciągu jednej chwili. Jest pan związany umową i musi pan grać w sali przez nas wybranej”. Nie było więc innej rady — zwabiono mnie w pułapkę i musiałem grać w małej salce.

W czasie pierwszego występu grałem jakoby bardzo dobrze. Starałem się jednak tak ułożyć program, aby najlepsze i najświetniejsze utwory zachować na ostatnie trzy recitale. Byłem bowiem pewien, że — wbrew panu Tretbarowi i mimo innych trudności — zagram je w Carnegie Hall.

Gdy podczas pierwszego recitalu uważnie rozejrzałem się po sali, zauważyłem, że nie była całkowicie zapełniona. Nie przejąłem się tym, podobnie jak i pojawieniem się w przerwie pana Tretbara, który z sarkastycznym uśmiechem i wyrazem triumfu na twarzy, zacierając nerwowo ręce, zwrócił się do mnie: „A więc okazało się, że ta nieduża sala jest jednak dostatecznie wielka. Przepowiadałem, że tak będzie, i okazuje się, że się nie pomyliłem”. Był radośnie uśmiechnięty, a w głosie jego brzmiała nuta triumfu. Nic mu nie odpowiedziałem, marząc w duchu o chwili odwetu.

Drugi mój recital zgromadził już znacznie więcej słuchaczy. Jestem i byłem zawsze przekonany, że publiczność, zwłaszcza ta, która była na moim koncercie z orkiestrą w Carnegie Hall, dowiedziawszy się z afisza, że recital odbywać się ma w małej, drugorzędnej salce, odniosła wrażenie, że sami organizatorzy koncertu nie mają do mnie zaufania — i dlatego nie zjawiła się tak licznie na pierwszym recitalu.

Tymczasem wywarł on raczej korzystne wrażenie, a grałem sam, bez orkiestry. Na drugim — publiczność była znacznie już liczniejsza, a na trzecim, w sobotę po południu, sala była całkowicie wypełniona i dużo osób odeszło od kasy nie otrzymawszy biletów. Tu muszę nadmienić, że po trzecim recitalu Tretbar nie pozwolił już sobie na żadne uwagi co do liczebności audytorium!

Teraz był to rzeczywiście prawdziwy sukces, i wiedziałem, że powodzenie moje jest już ugruntowane. Postanowiłem też nigdy nie występować w małej salce i powiedziałem do Goerlitz: „Nie będę grał w tej sali, gotów jestem zerwać kontrakt. Jeśli zechcą — mogą mi wytoczyć proces, mogą robić, co im się podoba, ale o ile nie pozwolą mi wrócić do Carnegie Hall, nie zagram już w Nowym Jorku”.

Goerlitz zrozumiał wagę, jaką przywiązuję do mego żądania, oraz to, że postanowienie moje jest nieodwołalne. Pośpieszył więc z wiadomością do samego pana Williama Steinwaya. Tym razem obyło się bez Tretbara. William Steinway bez namysłu załatwił sprawę po mojej myśli, wyraziwszy zgodę, aby wszystkie następne koncerty odbywały się w Carnegie Hall.

Może sobie pani wystawić, jakiej ulgi doznałem, a także z jakim uznaniem przyjąłem decyzję Steinwaya. Świadczyła ona o zdolności orientowania się w sytuacji, przewidywania przyszłości oraz o jego poczuciu sprawiedliwości. Był to nie tylko dobry, ale wspaniały człowiek, łatwy w obejściu, o trzeźwym sędzi — pozostał moim wiernym przyjacielem do końca swoich dni.

Ostatnie trzy recitale odbyły się więc w Carnegie Hall i przyniosły mi duży sukces tak pod względem artystycznym, jak i finansowym. Na dwóch ostatnich sala była kompletnie wyprzedana. Powiniennem być czuć się szczęśliwy i zadowolony, odniosłem bowiem wielkie zwycięstwo. Trudy i wysiłki nie poszły na mar-

ne — dzięki nim zdobyłem ten wielki sukces. Czułem się jednak tak przepracowany i tak bardzo wyczerpany, że każdy występ stanowił dla mnie mękę.

\*

Chcę teraz opowiedzieć pani o poznanych w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii krytykach. Poznałem ich wielu, i to zaraz po pierwszym koncercie. Spotkanie z nimi zorganizował pan Tretbar, który — jak pani wiadomo — zajmował się mną w Ameryce. Wieczorem po moim pierwszym występie w Nowym Jorku zaprosił na kolację obecnych na koncercie krytyków, celem zapoznania mnie z przedstawicielami tamtejszej prasy. Dotąd jeszcze mile bardzo wspominam to zebranie. Obecny był między innymi William J. Henderson — ogromnie kulturalny i zdolny krytyk, z którym często miałem sposobność prowadzić długie dyskusje. Nie zawsze zgadzał się z moją interpretacją, ale jest to zupełnie zrozumiałe. Czułem, że każda jego krytyka była szczerą i uczciwą.

Spotkałem też wiele razy w Bostonie pana Filipa Hale, recenzenta dziennika „The Boston Herald”<sup>1</sup>, ogromnie wykształconego i kulturalnego człowieka, który poza muzyką miał też i inne zainteresowania. Nie mogę powiedzieć, żeby krytyki jego były dla mnie wręcz niepocholebne, lecz utrzymywał je w tak sardonicznym tonie, że ich intencji łatwo się było domyślić. Poza tym znajdowały się w nich stale różne docinki osobiste. Hale był człowiekiem dowcipnym, co u krytyka, jak zresztą u każdego człowieka jest rzeczą niebezpieczną; dowcipni ludzie często nie są w stanie powstrzymać się od dowcipnych uwag, nie zawsze zabawnych, gdy są ironiczne. Pomimo wszystko wspominam go nie bez sympatii. Tym, co w mej osobie drażniło go stale i —

<sup>1</sup> W latach opisywanych przez Paderewskiego Hale był recenzentem „The Boston Journal”, w „The Boston Herald” zaczął pisać w r. 1903. (Przyp. red.)

nie znajduję tu innego określenia — „gorszyło”, były moje włosy! Nie mógł się do nich przyzwyczaić, nie umiał też powstrzymać się od żartobliwych uwag na ich temat. Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy przemawia przez niego zazdrość, czy też rzeczywiście włosy moje tak bardzo mu się nie podobają. Nie zawsze to okazywało, ale od czasu do czasu niechęć do moich włosów ujawniała się w jego krytykach w formie kostycznych uwag.

Jeśli chodzi o krytyka Ryszarda Aldricha — ten odnosił się do mego uwłosienia obojętnie. Był to zresztą nadzwyczajny człowiek — sprawiedliwy, inteligentny, zawsze bezstronny, a pisał przepiękną angielszczyzną. Henderson, o którym przed chwilą mówiłem i którego poznałem już wtedy, gdy Tretbar tak arbitralnie kierował moimi sprawami, był jednym z najlepszych krytyków Nowego Jorku; recenzje jego, ukazujące się w „The New York Sun”<sup>1</sup>, cieszyły się dużym uznaniem wśród miłośników muzyki. Jeżdżąc po Ameryce, poznałem bardzo wielu krytyków, z których większość odnosiła się do mnie życzliwie. Pragnąłbym teraz o nich choć wspomnieć.

I tak w Bostonie poznałem Williama Apthorpa, recenzenta gazety „The Transcript”. Pamiętam również, jak uroczy był Reginald deKoven, zwany przez nas Reggie'm. Z biegiem czasu zawarliśmy przyjaźń, mimo że pierwotnie, i to przez czas dłuższy, pisywał wielce niepochlebne recenzje z moich koncertów.

W Chicago poznałem innego, też uroczego człowieka: Williama Hubbarda, krytyka „The Tribune”. Ten z miejsca został moim wielbicielem, podobnie zresztą niebezpiecznym w swym uwielbieniu jak Finek. Henry T. Finek, jeśli wziąć pod uwagę całokształt jego działalności recenzenckiej, należał do dobrych krytyków. Pisał do tak znakomitego pisma, jakim było „The Eve-

<sup>1</sup> W latach opisywanych przez Paderewskiego Henderson był recenzentem dziennika „The Times”, w „The New York Sun” zaczął pisać w r. 1902. (Przyp. red.)

ning Post", wielce wówczas cenione zarówno przez społeczeństwo, jak i przez dziennikarzy. Finek był sympatycznym człowiekiem i wiernym przyjacielem, który niejednokrotnie dawał dowody serdecznych w stosunku do mnie uczuć. Mógłbym też sporo opowiedzieć o Jamesie Hunekerze, świetnym, wszechstronnym pisarzu i człowieku, lecz jego i Fincka umieszczę w innym rozdziale mego opowiadania. Poświęcę im wówczas więcej czasu, dziś tylko o nich wzmiankuję.

Wiem dobrze, jak uciążliwa i wymagająca subtelności jest praca każdego krytyka — krytyka, który zdaje sobie sprawę z ciężkiej na nim odpowiedzialności i wie o ogromnym wpływie, jaki wywiera na opinię publiczną. Już w czasie pierwszego objazdu po Ameryce poznałem osobiście większość ówczesnych krytyków i spotykałem się z nimi często. Dzisiejszych znam bardzo niewiele, a stosunki moje z krytykami amerykańskimi po wojnie nie zostały niestety wznowione (z wyjątkiem Olina Downesa, który przyjechał odwiedzić mnie w Morges).

Od wielu już lat przestałem czytywać recenzje z moich koncertów. Dopiero w późniejszym okresie kariery mogłem sobie na to pozwolić. Skłoniło mnie do tego wiele powodów, są one jednak zbyt osobiste i zawiłe, by mogły panią zainteresować. To, że nie znam dziś pewnych krytyków osobiście, nie umniejsza w niczym mego uznania dla ich pracy.

W czasie pierwszego tournée po Ameryce przebywałem stale pod opieką pana Tretbara. Kierował on i zajmował się wszystkim, co mnie tyczyło. Chciałbym w związku z tym opowiedzieć tu coś zabawnego i ciekawego zarazem. Tretbar organizował więc moje koncerty, odgrywał rolę „marszałka polnego”, wydawał wszędzie rozkazy i dyspozycje, nie ruszając się z Nowego Jorku. Mianowanym przez niego „generałem” był Anglik C. T. Fryer, miły i przyzwoity człowiek, którego zadaniem było wykonywanie wszelkich zarządzeń i po-

leceń „marszałka”. On był tym właściwym agentem, który stale podróżował i bywał na wszystkich moich koncertach. W rzeczywistości tedy na nim spoczywał cały ciężar pracy.

Gdy powróciłem z pierwszego tournée, Tretbar zatrzymał nadal swą rolę najwyższego zwierzchnika. Muszę przyznać, że Fryer jako impresario działał zawsze w zupełnym porozumieniu z moim sekretarzem Hugonem Goerlitzem. Goerlitzowi jego stanowisko sekretarza stanowczo przewróciło nieco w głowie i wyobrażał sobie, że to on jest *boss*<sup>1</sup>! Jest to amerykańskie wyrażenie, doskonale się tu nadające. Goerlitz był Niemcem, pochodzącym z dobrej rodziny i dość wykształconym, bratem generała. Rodziców jego znałem dobrze — sympatyczni starszuskowie. Syn ich — mój sekretarz, miał trochę niespokojny charakter. Pragnąłbym sprostować fałszywą wersję, która swego czasu wywołała nawet różne nieporozumienia — wersję, jakoby Goerlitz był moim impresariem. Nigdy nim nie był. Chętnie by nim został, bo dogadzałoby to jego ambicji, pragnął bowiem odgrywać ważniejszą i znaczniejszą rolę od roli zwykłego sekretarza. Jako sekretarz był mi podległy, podczas gdy będąc impresariem, mógłby niejako mną rządzić. Jednakże wbrew ogólnemu przekonaniu nigdy impresariem nie został. Był jedynie moim sekretarzem i trzeba przyznać — zdolnym sekretarzem; przez całe dziewięć lat (od roku 1891 do 1900) mej pełnej sukcesów, a także przygód i burz kariery towarzyszył mi wszędzie.

Stanowisko impresaria jest z psychologicznego punktu widzenia bardzo ciekawe. Impresario bowiem w niektórych wypadkach staje się — przynajmniej we własnym mniemaniu — artystą. Daje się to zresztą w pewnym stopniu wytłumaczyć. Tak się bowiem przyzwyczajają do załatwiania i kierowania wszelkimi sprawami w imieniu artysty, że nawet w depešach i rozmowach niekiedy

<sup>1</sup> Ang. — szef. (Przyp. red.)

mówi o sobie jako o artyście. Zaraz opowiem pani w związku z powyższym zabawną historię. Często otrzymywałem depesze następującej treści: „Nie zgadzam się grać tego a tego dnia” lub „zgadzam się na wzięcie udziału w koncercie”, podpisane nazwiskiem mego impresaria C. T. Fryera. Po pewnym czasie zauważyłem, że i mój sekretarz nauczył się podobnego postępowania. Jak pani widzi, było to zaraźliwe. Gdy po raz pierwszy ujrzałem jedną z tych dziwnych depesz — oniemiałem i zapytałem Fryera, który mi ją przyniósł, co to oznacza.

— Panuje tu już taki zwyczaj, gdy chodzi o wszelkie imprezy — odpowiedział — Nie ma to zresztą żadnego znaczenia, że podpisał ją pański sekretarz. Tak robią wszyscy agenci — zwykle podpisują swoje nazwisko w miejsce nazwiska artysty. Musi też pan - wiedzieć, że nam, agentom, artyści często wydają się naszą własnością, a czasami — tu roześmiał się — niektórzy z nas wyobrażają sobie nawet, że sami są artystami. Zdarzało mi się słyszeć impresariów mówiących: „Grałem wczoraj przy zapełnionej sali” albo „wspaniale udał mi się wczoraj występ w operze! Czy słyszał pan mój śpiew?”

Pierwszy raz zetknąłem się wówczas z podobną taktyką impresariów i bardzo mnie ona rozśmieszyła. Później przyzwyczałem się już, ale mimo że mnie bawiła, zawsze niechętnie na nią patrzyłem. Ten Sposób zachowania się Goerlitza przypomniał mi mego przyjaciela Stengla (męża pani Sembrich, a zarazem jej impresaria), który bardzo w tym kierunku przesadzał. Wiele razy słyszałem, jak mówił — przed ukazaniem się na scenie żony lub też gdy odmówiła występu: „Zaśpiewam dziś wieczorem” albo „czuję się dziś zaziębiony i nie będę mógł śpiewać w operze”, i jeszcze „w poniedziałek śpiewać będziemy w *Cyruliku*”. Zawsze wydawało mi się to dziwne, śmieszyło mnie i uważałem to za niedorzeczność. Przypominam sobie wyjątkową uroczystość — jubileusz z okazji zdaje się trzydziestolecia występów pani Sembrich



na estradach operowych. Podczas okolicznościowego przyjęcia przemawiało wiele wybitnych ludzi. Ja również zamierzałem powiedzieć kilka słów i postanowiłem skorzystać ze sposobności, żeby wygłosić parę żartobliwych aluzji dotyczących osobliwego zwyczaju impresariów przestaczania się w artystów. Zacząłem od zwykłego wstępu, po czym oświadczyłem, iż z wielką radością skonstato wałem, że jednak śpiewała pani Sembrich, a nie jej mąż, czego się bardzo obawiałem. Parę dni temu słyszałem go bowiem mówiącego do kolegów: „Będziemy śpiewali na bankiecie, postanowiłem zaśpiewać ulubioną przez publiczność pieśń Schuberta — *Nussbaum*<sup>1</sup>”. Naturalnie wywołało to dużo śmiechu, a i Stengel sam zachwycony był moim żartem. Dalej przemawiałem w tym samym duchu, opowiadając o tym, jak to wiele razy słyszałem Stengla zapowiadającego, że „nie będzie dziś śpiewał” albo że „znów wystąpi”. Obawiałem się więc przychodząc tutaj, że rzeczywiście usłyszę jego śpiew! Na sali rozległy się śmiechy, a ja ciągnąłem dalej swą przemowę. „Lecz — dodałem, spoglądając na panią Sembrich — dziękuję Bogu, że to nie on, ale jak widzę sama pani Sembrich zaśpiewa nam dzisiaj.” Zgromadzona publiczność szybko zorientowała się w żarcie i zewsząd słychać było znów wybuchy śmiechu. Bankiet zakończył się wesoło, a o moim przemówieniu wspomniały nazajutrz gazety.

Czasy się jednak zmieniają i mam wrażenie, że tylko agenci minionej epoki pozwalali sobie na podobny sposób wyrażania się, uważali bowiem artystów za swoją własność — zwyczajnie za swoją własność.

Z biegiem czasu pan Charles Ellis z Bostonu zastąpił Fryera i Tretbara — odtąd skończyły się moje trudności i kłopoty. Muszę tu *sotto voce* dodać, że ów pan Ellis nigdy już sam nie występował w roli artysty, nie

<sup>1</sup> *Der Nussbaum* jest pieśnią Schumanna z cyklu *Murthen*. (Przyp. red.)

odmawiał występów ani też nie grał — za mnie! Podobnie postępuje George Engels, obecny mój impresario.

Widzę, że zabawiły panią te uwagi — mnie się to też wydaje nadal śmieszne.

Życie zwykło się powtarzać; w Ameryce, tak jak przedtem w Paryżu i Londynie, wszyscy byli bardzo życzliwi i mili. Wzruszało mnie wówczas i do dziś to pamiętam, jak wiele gościnności i przyjaznych uczuć okazywało mi stale tamtejsze społeczeństwo. Wszędzie odnoszono się do mnie przyjaźnie i interesowano moją osobą. Cała amerykańska publiczność — „widownia”, jak ją nazywał wasz Henry James — odznaczała się wyjątkową impulsywnością i wrażliwością, z którą nie spotkałem się nigdzie indziej. Stają mi w tej chwili przed oczyma setki ludzi ciekawych i miłych — uroczych znajomych, którzy z zainteresowaniem śledzili moją karierę, stanowiąc jakby część audytorium, i od których w całym tym wielkim kraju doznałem serdecznego przyjęcia. Wielu z nich z czasem zostało moimi bliskimi przyjaciółmi. Jednym z pierwszych, którego spotkałem na mej drodze i z którym zaprzyjaźniliśmy się serdecznie, był Richard Watson Gilder. Podtrzymywał mnie wielokrotnie na duchu w tym pierwszym okresie mego pobytu w Ameryce.

Rodzina Gilderów wydała mi się wyjątkowa, nawet jak na stosunki amerykańskie. Dom ich w Nowym Jorku był jednym z najbardziej uroczych domów, jakie tylko można sobie wyobrazić. On poeta, a żona jego — wprost anioł! Gilder wydawał w owym czasie „The Century Magazine”, znakomite czasopismo literackie, dziś już nie istniejące. Gilderowie zajmowali wyjątkowe stanowisko w świecie towarzyskim Nowego Jorku, organizowali bowiem coś, co było najbardziej zbliżone do tak zwanego „salonu literackiego”, popularnego wówczas w Europie. W ich ciekawym starym domu spotykali się istotnie wszyscy wielcy artyści: muzycy,

sławni pisarze, rzeźbiarze, malarze, a także przybywający do Ameryki wybitni politycy. W świecie literackim pozycja Gildera była również wyjątkowa. Był znawcą sztuki — i sztuki życia. Umiał dostrzegać i słusznie oceniać wszystko, co niezwykle, a także i niezwykłych ludzi. Lojalny jako przyjaciel, człowiek o kryształowym charakterze. Dużo dałoby się opowiedzieć ciekawych szczegółów na temat znaczenia jego przyjaźni, jego lojalności wobec wielkiego prezydenta Grovera Clevelanda oraz jego gorącego oddania Eleonorze Duse, wielkiej aktorce włoskiej. Pierwszy poznał się na jej talencie i dostrzegł w niej genialną artystkę, gdy nie znana jeszcze i biedna przybyła do Ameryki.

Mark Twain, inny wielki Amerykanin, sąsiad Gilderów, należał do stałych bywalców ich domu — wydawał się nieodłączną jego częścią. Poznałem go u nich, a niezwykle wrażenie, jakie na mnie wywarł, pamiętam do dziś dnia. Był typowym Amerykaninem. Człowieka o jego zaletach umysłu i charakteru, a równocześnie o podobnym humorze — zdolna była wydać jedynie Ameryka. Myślę, że jego nazwisko pozostanie na zawsze w historii literatury amerykańskiej. Płynące lata w niczym nie zdołają umniejszyć wartości jego wielkich zalet i cnót. Tyle miłych godzin, tyle wesołych chwil spędziłem w domu Gilderów, że nieraz wspominam te chwile i czuję się wówczas pokrzepiony. Przez cały czas pierwszego pobytu w Ameryce ich dom wydawał mi się moim domem, zawsze z radością do nich śpieszyłem, a przebywanie i branie udziału w życiu tej przemiłej rodziny dawało mi duże odprężenie. Mieli urocze dzieci, cała atmosfera tego domu pełna była ciepła i życzliwości. Jedna z córek, Francesca, obecnie żona doktora z Nowego Jorku, wówczas mała jeszcze dziewczynka, była moją wielką faworytką. Zawsze pełna powagi, cokolwiek robiła — a przy tym ogromnie nieśmiała. W związku z nią przypomina mi się wesoła historyjka, której długo nie mogłem zapomnieć. Zdarzyło się to

podczas mego drugiego tournée, gdy osiągnąłem największe powodzenie, gdy na koncertach była zawsze pełna sala, a entuzjizm sięgał szczytu.

Pewnego dnia po południu, gdy przyszedłem do domu Gilderów, zastałem w salonie panią Gilder i małą Franceskę, czekające na przybycie guwernantki; miała akompaniować dziecku do nowego tańca, którym się chciała przed matką popisać. Pani Gilder, przypuszczając, że i mnie sprawi przyjemność widok tańczącej Franceski, prosiła, bym został. Nie będę się długo rozwodzić, dodam tylko, że daremnie czekaliśmy na ową guwernantkę, która ku rozpaczy dziecka nie zjawiła się. I wtedy przeżyłem pierwszą w mym życiu całkowitą porażkę — mogę śmiało powiedzieć — moje Waterloo. Zapropnowałem Francesce, że zastąpię guwernantkę i zagram jej do tańca. Byłem na tyle odważny czy też zarozumiały, że nawet upierałem się przy moim zamiarze, ku zadowoleniu zresztą pani Gilder, ale bynajmniej nie samej Franceski. Pamiętam, że pani Gilder, zerwawszy się z krzesła, zawołała: „Pomyśl tylko, Francesco, jaka to wielka uprzejmość ze strony pana Paderewskiego! Całe życie wspominać będziesz, a gdy dorośniesz, opowiesz swoim córkom, że sam Paderewski grał ci do tańca”. I tak dalej.

Francesca milczała, lecz ani matka, ani ja nie zauważyliśmy jej wahania, gdyż zaraz zasiadłem do fortepianu. Dowiedziawszy się, że dziewczynka miała odtańczyć rodzaj menueta, uderzyłem parę wstępnych akordów, po czym przeszedłem do menueta. Francesca, zachęcona przez matkę uśmiechami i oklaskami, niechętnie rozpoczęła swój taniec. Grałem bardzo niedługo i wydawało mi się, że wszystko jest w porządku, lecz inaczej osądziła to widocznie Francesca. Po kilku bezowocnych próbach stanęła i nie ruszała się z miejsca! Zmieszanie jej matki było wzruszające. „Francesco! — zawołała — co się z tobą dzieje? Czemu nie tańczysz?” Mała w odpowiedzi potrząsnęła tylko głową. Grałem

w dalszym ciągu, sądząc, że zdołam przełamać jej upór, lecz nadal stała bez ruchu. Wtedy to nastąpiła owa pamiętna chwila. „Francesco — zwróciła się do niej pani Gilder — co ci się stało, czyż nie podoba ci się piękna gra pana Paderewskiego?” Chwilę czekaliśmy oboje na jej odpowiedź i wreszcie usłyszeliśmy ją. Ze łzami płynącymi po zniekanej twarzyczce, ochrypłym i przerażonym głosem Francesca odpowiedziała: „Mamo, nie umiem tańczyć przy grze pana Paderewskiego i doprawdy wolałabym moją nauczycielkę, bo ona wie, jak należy dla mnie grać”.

Gilder umarł już wiele lat temu, a pani Gilder wkrótce potem. Ich stare domostwo na Ósmej ulicy przestało już być miejscem spotkań. Śmierć zabrała drogich mi i wiernych przyjaciół, pozostało tylko wspomnienie uroczego domu dawnej Ameryki.

Do wybitniejszych i charakterystycznych postaci z owych czasów mego pierwszego pobytu w Ameryce należał Andrew Carnegie. Myślę, że według pojęć panujących w waszym kraju, uważany mógł być za jednego z najznakomitszych obywateli. Ogromnie bogaty, mający za sobą niezwykłą karierę handlową, o nazwisku znanym na całym świecie. Poznałem go z okazji pierwszego koncertu, a później widywałem dość często w Anglii i Szkocji. Zaprzyjaźniliśmy się, i nieraz, w owych pierwszych latach mego pobytu w Ameryce, grywałem w jego domu. Nie mieszkał wówczas w wielkim budynku, jaki zajmuje obecnie jego żona, lecz w dużo skromniejszym domu na Pięćdziesiątej Szóstej czy Pięćdziesiątej Siódmej ulicy. Była to osobistość doprawdy godna uwagi. Nie można by go nazwać w pełnym znaczeniu tego słowa mecenasem sztuki, lecz lubił muzykę, a przede wszystkim grę na dudach — z pochodzenia bowiem był Szkotem!

Wiele lat później bywałem w jego pałacu Skibo i pamiętam dotąd owe dudy. Gdy gościł w swym pałacu przyjaciół, dzień w dzień wczesnym rankiem specjalna orkiestra złożona z dudziarzy grała przed drzwiami

każdego z gości, by zbudzić go na śniadanie. Pomysł uroczy, jednak nie zawsze miły.

Carnegie miał tytuł *laird'*, nosił więc odpowiedni strój. Sprawiało mu to wielką przyjemność, lecz chyba nie ubierał się tak w Nowym Jorku! Przed obiadem pojawiała się znowu procesja dudziarzy i przy dźwiękach muzyki goście przechodzili do sali jadalnej. Można by o nim powiedzieć, że miał sporo muzycznych przyzwyczajęń, gdyż po lunchu, a także i po obiedzie, zjawiał się też stale organista, aby dla zabawienia gości grać na organach. Carnegie rzeczywiście lubił bardzo muzykę, ale przeważnie tylko grę na dudach i recitale organowe. Przejawów wyższej kultury muzycznej u niego nie zauważyłem.

O działalności społecznej Carnegie'ego należy wspomnieć w związku z bibliotekami, które masowo zakładał w Stanach Zjednoczonych. Darowizny na ten cel sięgały zawrotnych sum. Biblioteki jego imienia znajdują się prawie w każdym mieście na całym obszarze Stanów (nie pamiętam dokładnie, ile ich ufundował). W stosunku do mnie był zawsze przyjaźnie usposobiony. W innym rozdziale mego opowiadania mówić będę o tym, co kiedyś ofiarował się dla mnie uczynić.

Ale powróćmy do wspomnień z czasów pierwszego pobytu w Ameryce. Zwyczaj koncertów w domach prywatnych, zwanych *al home*, nie był tak rozpowszechniony w Nowym Jorku, jak w Londynie. Miałem więc tylko parę podobnych występów. Poza tym pamiętam też cztery recitale zorganizowane w pracowni sławnego w Nowym Jorku malarza — pana Williama Chase'a. Na każdy z tych recitali przybyło tyle osób, że część musiała usiąść dosłownie tuż obok mnie — ledwo mogłem grać. Po prostu brakowało mi tchu. Było to pochlebne, bo świadczyło o uznaniu, jakim cieszyłem się u mych przyjaciół — niemniej wyczerpywało mnie bardzo.

<sup>1</sup> Ang. *laird* — w dawnej Szkocji tytuł odpowiadający lordowi. (Przyp. red.)

Przyjaciele z Nowego Jorku utworzyli specjalny komitet, który zajął się zorganizowaniem tychże recitali. Na czele komitetu stała pani Williamowa H. Draper. Poza tym należało doń wiele innych osób, a mianowicie: panna Etta Dunham, panna Eleanor Blodgett, Gilderowie, panna Arnold, pani Karolowa Ditson — żona znanego wydawcy muzycznego, a słynna naówczas z urządzanych u siebie przyjęć — oraz inne jeszcze osoby; z mężczyzn, o ile pamiętam, Jerzy Vanderbilt (uroczy człowiek).

W tej chwili nazwiska te nie są dla nas ważne. Interesujące jest to, że recitale moje w pracowni Chase'a stały się pewnego rodzaju sensacją — były modne i ekskluzywne. Mimo dużych rozmiarów pracowni nie mogło się w niej pomieścić aż trzysta czy czterysta osób, tak że, szczerze mówiąc, zebrania nie należały do przyjemności. Nie przypuszczam, żeby muzyka w atelier była w tych czasach specjalnie modna; był to więc w tym wypadku zupełnie osobliwy pomysł — sensacja (myślę, że jest to najodpowiedniejsze określenie), na którą często pozwalały sobie wtedy panie, celem ściągnięcia do swych salonów sławnych ludzi.

Najsympatyczniejszym i najmiłszym domem, w którym wielokrotnie grywałem, był dom pani Bliss w Santa Barbara. Podczas każdego mego pobytu w Kalifornii prosiła, bym grał, na co z przyjemnością się godziłem, gdyż jej umiłowanie oraz uznanie dla muzyki były wyjątkowe. Gra w jej domu stanowiła dla mnie przeżycie, jakiego nigdzie indziej nie doznawałem. Panująca tam bowiem kompletna cisza oraz istne „celebrowanie” muzyki wytwarzały nastrój świątyni — podniosły i wzruszający.

W jednym jeszcze domu: pana Joshua Montgomery Searsa, wybitnego bostończyka, grywałem z prawdziwym zadowoleniem i radością. Zaprzyjaźniliśmy się od razu i prawdziwą rozkosz sprawiał mi pobyt w ich domu, cechującym się wprost wyjątkową gościnnością.

Dom ten stał się ważnym etapem mojej kariery artystycznej. Sears, człowiek kulturalny, interesujący i pełen dowcipu, posiadał niezwykły urok. Zawsze cieszyłem się, kiedy miałem go odwiedzić, gdyż poza innymi przyjemnościami, jakie mnie tam czekały, w domu jego znajdowała się przepiękna sala wyłącznie przeznaczona dla muzyki. Była tak wielka, że — pamiętam dobrze — raz pewnego w dzień urodzin Searsa, na które specjalnie przybyłem z Portland (stan Maine), grałem w niej z towarzyszeniem Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej. Była to niespodzianka przygotowana przez nas z racji urodzin gospodarza domu, i dzień ten stał się wielką uroczystością.

W tym samym sezonie godny wspomnienia jest jeszcze jeden mój koncert z Bostońską Orkiestrą. Celem jego było zebranie odpowiednich funduszy na wykończenie budowy Łuku Washingtona w Nowym Jorku na Washington Square. Pan Gilder, który zajmował się organizowaniem tego koncertu, zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy zechciałbym wziąć w nim udział. Zaproszenie sprawiło mi dużą przyjemność, gdyż miał to być mój pierwszy koncert na cel publiczny. Major Higginson, zamieszkały w Bostonie, słysząc, że będę grał, zapytał mnie, czy nie zagrałbym prócz moich utworów solowych jednego lub dwóch koncertów z towarzyszeniem Bostońskiej Orkiestry. Wobec mej zgody, wspaniałomyślny jak zawsze, zaofiarował iście książęcy dar, bo sprowadzenie do Nowego Jorku Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej. Koncert ten stał się więc wielką imprezą i odbył się uroczyście w Metropolitan Opera House. Audytorium było bardzo liczne, zebrano więc znaczną sumę pieniędzy. Inicjatywę i zajęcie się koncertem zawdzięczać należy panu Gilderowi. Chciałbym bardzo móc odnaleźć pośród dawnych programów, które posiadam, i program tego koncertu, aby go dołączyć do naszego opowiadania.



Wszystko to przyczyniało się do ogromnego spopularyzowania mego nazwiska w Ameryce. Po pierwszym sezonie w Nowym Jorku udałem się do Bostonu, gdzie od razu odniosłem duży sukces. Może należy to przypisać i temu, że miałem już przyjaciół w zespole Bostońskiej Orkiestry: Tymoteusza i Józefa Adamowskich oraz kilku innych. Także i dyrygent, Artur Nikisch, którego poznałem poprzednio w Europie, był moim dobrym znajomym. Wszystko to sprawiło, że pierwsze kroki w Bostonie okazały się znacznie łatwiejsze niż w Nowym Jorku. Od razu znalazłem się między przyjaciółmi, a orkiestra, z którą miałem wystąpić, była wspaniała.

Czułem się bardzo szczęśliwy, mogąc przebywać z obu Adamowskimi — i oni ucieszyli się ogromnie z mego przyjazdu. Jakiż kontrast z poprzednim debiutem w Nowym Jorku, gdzie byłem zupełnie osamotniony i gdzie nie znałem jeszcze nikogo. Obaj młodzi Adamowscy grali w orkiestrze — Tim był pierwszym skrzypkiem, Józef wiolonczelistą. Poza tym obaj należeli do sławnego klubu bostońskiego — Tavern Club; wszyscy jego członkowie zajmowali wybitne stanowiska i odznaczeni byli dowcipem, a rekrutowali się ze wszystkich możliwych zawodów. Bardzo się tam dobrze czułem i dotąd jeszcze wspominam Tavern Club jak najmilej. Stosunki moje z nim nie ustały dotychczas, ilekroć bowiem grywam w Bostonie, udaję się do Tavern Club, gdzie goszczą mnie po królewsku.

Kursuje też stara, lecz wciąż zabawna anegdotka, związana z moją pierwszą bytnością w tym klubie, zaraz po debiucie w Bostonie — sprzed odległych czterdziestu sześciu lat. Jak już wspominałem poprzednio, grałem tam po raz pierwszy z Bostońską Orkiestrą Symfoniczną. Jakież to było niezapomniane przeżycie! Pamiętam doskonale i próbę generalną, która odbyła się po południu z udziałem publiczności (był to już właściwie mój debiut), i koncert następnego dnia wieczorem.

Zaraz po próbie — w sali starego bostońskiego music hallu — Józef Adamowski zabrał mnie ze sobą do Tavern Clubu. Już na próbie odniosłem duży sukces. Audytorium przyjęło mnie z wielkim, spontanicznym entuzjazmem; owacjom dochodzącym wprost do szaleństwa nie było końca! Po próbie, gdy udaliśmy się z Józefem Adamowskim do klubu, wszyscy członkowie zgromadzeni w wielkiej bibliotece przyjęli mnie oklaskami i gratulacjami, wyrażonymi w sposób bezpośredni i wzruszający. Muszę wyznać, że byłem do głębi przejęty. Otaczano mnie tłumnie, a w pokoju zapanował niesamowity zgiełk. Każdy o coś pytał, każdy przedstawiał się — byłem formalnie obłożony przez tych życzliwie usposobionych ludzi. Ścisnąłem zewsząd wyciągnięte ku mnie ręce, nie mogąc wymówić słowa. Po angielsku mówiłem jeszcze słabo i miałem trudności w wysławianiu. Nagle, gdy wrzawa i ogólne podniecenie dosięgły szczytu, wpadł na salę wzruszony i pełen dumy ze swego polskiego rodaka — Tim Adamowski. Nie mógł złapać tchu, brakowało mu słów, znać było, że jest uradowany i głęboko przejęty. Gorąco pragnął pochwalić się mną nie tylko w klubie, ale i w całym Bostonie. Gdyby mógł, w owej chwili całemu światu rozgłaszałby o moim zwycięstwie! Teraz usiłował przekrzyczeć panujący na sali hałas, ale nie miał na to zupełnie żadnych szans, gdyż i on nie władał angielskim dostatecznie. Mówił niezłe, ale często używał zupełnie nieodpowiednich określeń — słów mających odmienne znaczenie od tego, co pragnął wyrazić. I w tym właśnie wypadku zdarzyło się to samo!

Usiłował precyzyjnie się do mnie i gwałtownie wymachując wysoko wzniesionymi ponad głowę rękoma, głośno powtarzał znane powiedzenie Juliusza Cezara: „przyszedłem, zobaczyłem, zwyciężyłem!”, lecz niezupełnie tak... Zbliżywszy się, wyciągnął rękę w moim kierunku i donośnym głosem zawołał do wszystkich zebranych, którzy nagle zamilkli:

— Spójrzcie, panowie, oto stoi tutaj on, Paderewski!

Pierwszy, najsławniejszy ze wszystkich muzyków! Przybył, zobaczył — i tu jeszcze głośniejszym wykrzyknął — i zapytał!

Nastąpiła chwila ciszy, a potem jeszcze większa, ogłuszająca wrzawa. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, gdyż moja znajomość angielskiego, jak już wspominałem, była niewystarczająca. Całe zgromadzone towarzystwo wybuchło natomiast gromkim śmiechem — śmiechem, który trwał bez końca — tak długo, że przypuszczałem, iż się nigdy nie skończy. A sam wciąż nie rozumiałem, jaki był tego powód.

Długie lata kursowały po Bostonie najrozmaitsze plotki na temat tego zajścia, uważałem więc za stosowne umieścić je w moich wspomnieniach.

Cudowna gra i piękne brzmienie Bostońskiej Orkiestry wzbudzały we mnie stale szczerzy zachwyt. Nie spodziewałem się czegoś tak doskonałego. Znałem i podziwiałem trzy, a właściwie — biorąc pod uwagę chicagowską — cztery wielkie orkiestry w Ameryce, na pierwszym jednak miejscu bezwzględnie umieścić należy Bostońską Orkiestrę Symfoniczną — jedną z najlepszych orkiestr świata. Odegrała ona ogromną rolę w życiu muzycznym Stanów Zjednoczonych. Stworzył ją, po książęcemu subwencjonował i opiekował się nią aż do śmierci major Henry L. Higginson z Bostonu. Należy i o nim powiedzieć słów parę. Major Higginson był hojnym obywatelem, który przez stworzenie Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej przysłużył się wielce kulturze muzycznej Stanów. Znałem go dobrze: człowiek wyjątkowo wspaniałomyślny, jako protektor życia muzycznego w Ameryce doszedł do niebываłych osiągnięć. Z zawodu bankier, wyjątkowo umiejętnie potrafił łączyć tak różne dziedziny pracy, przy czym bogactwo, które zdobył jako bankier, umożliwiło mu utrzymywanie stworzonej przez siebie orkiestry. Istnieje powiedzenie, że orkiestra jest zabawką króla, w tym wypadku stanowisko Higginsona, jako anioła stróża Bostońskiej Or-

kiestry Symfonicznej, wymagało wiele od jego portfela, którego wspaniałomyślnie też nie szczędził. Cieszył się należytych szacunkiem i uznaniem za hojny dar, jakim obdarzył Amerykę.

Kochał prawdziwie muzykę i wiedział o niej dużo. To, czego dokonał, zdawało się przerastać siły jednego człowieka. Mówiono też, że dla owej orkiestry zrobił więcej, niż mu pozwalały jego możliwości finansowe. Kierował nim szczery zapał oraz silne poczucie obowiązku obywatelskiego. Pierwszym dyrygentem Bostońskiej Orkiestry był przybyły z Anglii Georg Henschel, lecz rzeczywiście wyszkolił ją jego następca — Gericke. Gericke potrafił wspaniale wymusztrować (nie widzę tu lepszego określenia) orkiestrę i wymagał od niej doskonałości. Dzięki ciągłym ćwiczeniom i bezustannej pracy uczynił też z zespołu pewnego rodzaju organiczną całość. Higginson uznawał i cenił go bardzo, podobnie jak publiczność bostońska. Po nim nastąpił Artur Nikisch, jeden z najsławniejszych dyrygentów ówczesnej epoki. Brak mi słów uznania, gdy o nim mówię. Znałem wielu dyrygentów, lecz zawsze najbliższy memu sercu pozostał Nikisch. Poznałem go w Europie; gdy przyjechałem do Ameryki, dyrygował już Bostońska Orkiestra. Bardzo sympatyczny, a jako interpretator wszelkiego rodzaju muzyki — wspaniały. Nie ograniczał się do wąskiej specjalności, był muzykiem wszechstronnym.

Nie zawsze się z nim zgadzałem, ale jeśli chodzi o sam sposób wykonywania utworów, był dla mnie bezwzględnie autorytetem. Robił to tak prawdziwie i tak błyskotliwie! Wielka szkoda, że musiał opuścić Bostońską Orkiestrę, która pod jego batutą cieszyła się świetną renomą. W pewnych kwestiach nie zgadzał się jednak z Higginsonem, na skutek czego doszło między nimi do nieporozumień. Major tak wiele poświęcił na założenie i utrzymanie orkiestry, tyle lat wyrównywał wszystkie jej deficyty — czynił to zresztą stale do końca swego życia — Nikisch musiał więc ustąpić. Nigdy nie dowie-

działem się, co między nimi zaszło, ale nieporozumienia te musiały być poważne, skoro w ich następstwie Nikisch zrezygnował ze stanowiska. Od razu zresztą zaangażowano go na dyrektora opery w stolicy Węgier — Budapeszcie. Z jakąż radością grywałem z nim na koncertach w Bostonie, a w parę lat później w Lipsku.

Jeśli mam być szczerzy, muszę przyznać, że największą przyjemność sprawiała mi gra z orkiestrą, którą dyrygował Karl Muck; został on dyrygentem Bostońskiej Orkiestry Symfonicznej po ustąpieniu Nikischa. Trudno opisać, jak potrafił idealnie i doskonale akompaniować i jak wyjątkowo „czuł” solistę, starając się zawsze iść mu na rękę. Z chwilą wybuchu wojny i przystąpienia do niej Ameryki wysunięto przeciw Muckowi — na skutek jego progermańskich sympatii, których nie potrafił ukryć — różne zastrzeżenia, a w końcu umieszczono go w obozie koncentracyjnym czy też więzieniu aż do końca wojny. Ale to nie należy do rzeczy...

Gdy zbliżałem się do końca mego tournée po Ameryce, czułem się już bardzo wyczerpany i pragnąłem dostać się jak najprędzej do domu. Marzyłem o możliwie szybkim zakończeniu owych 80 recitali, do których się zobowiązałem, i o powrocie do Europy.

Dokuczał mi nieznośny ból ramienia, którego nabawiłem się z przepracowania, a poza tym dręczyły i inne sprawy. Cała handlowa i finansowa strona objazdu była ogromnie skomplikowana, pan Tretbar bowiem odprzedał wiele z moich koncertów różnym, po całym kraju rozsianym agentom, i to niestety stanowczo nie na moją korzyść. Gdy dokładnie przejrzałem listę organizowanych przez niego koncertów, ujrzałem tam recitale, a nawet występy z orkiestrą, sprzedane za sumę zaledwie dwustu dolarów. Byłem przerażony! Przy tak nierzetelnym postępowaniu traciłem możliwość zarobienia dodatkowych pieniędzy. Lecz kontrakty były już zawarte i musiałem się na nie zgodzić — zraziło mnie to jednak bardzo.

**W** Filadelfii grałem za niewielką sumę trzystu dolarów — mimo że był to koncert z towarzyszeniem orkiestry, a sala kompletnie zapełniona. Tak małe wynagrodzenie było nie do pomyślenia nawet dla początkującego i nie znanego artysty — a ja już wówczas nim nie byłem. Jeśli bowiem zostałem zaangażowany do Stanów, to właśnie dzięki odniesionym w Paryżu i Londynie sukcesom. Powtarzam jednak: wiązał mnie kontrakt i nie było na to rady.

Następnie pojechałem do Chicago, aby wystąpić tam z dwoma koncertami. Pierwszy odbył się w Sylwestra 1891, a drugi w sam dzień Nowego Roku 1892 — oba w przepełnionej sali Auditorium i za podobnie śmiesznie małą sumę. Dyrygentem orkiestry chicagowskiej był wtedy Teodor Thomas.

Byłem szczególnie ciekaw tego koncertu, gdyż wiele słyszałem już poprzednio o Thomasie i jego działalności muzycznej w Ameryce. Myśl, że zagram pod jego dyktando, cieszyła mnie bardzo. Niestety, wielka ilość koncertów szybko po sobie następujących, a zakontraktowanych przez Tretbara, sprawiła, że przyjechałem do Chicago, tak późno, iż nie starczyło już czasu na próbę z Thomasem. W Chicago zjawiłem się rano, a już o drugiej trzydzieści tegoż dnia wystąpić miałem z koncertem — • nowy wysiłek i nowe ciężkie przejście. Nie zdążyłem obejrzeć sali, w której miałem koncertować, nie słyszałem nigdy orkiestry, która miała mi akompaniować, nie znałem też jeszcze samego Thomasa, a był to przecież mój pierwszy występ w Chicago. Wszystko jednak udało się nadspodziewanie dobrze. Przed koncertem — przejęty i samotny — siedziałem w garderobie. Koncert rozpoczął się jak zwykle od symfonii, gdy nastąpiła przerwa, a ja stałem czekając na swoją kolej, nagle ujrzałem jakiegoś jegomościa w peruczce, pośpiesznie opuszczającego estradę i skwapliwie rozglądającego się wokoło.

— Gdzie jest Paderewski? — wołał.

— Jestem tutaj — odpowiedziałem, podchodząc w jego stronę.

— Cieszę się bardzo, że mogę pana poznać — powiedział Thomas; podaliśmy sobie ręce.

— Bardzo mi miło pana poznać — odrzekłem.

Teraz Thomas stanowczym ruchem położył mi rękę na ramieniu, mówiąc:

— Proszę za mną, chodźmy grać.

Odwrocił się i obaj szybko skierowaliśmy się w stronę estrady. Byłem zdumiony tym spokojem i od razu nabrałem do niego zaufania. Był wspaniałym dyrygentem — wyczuwało się całkowite opanowanie utworu, subtelność i intuicję. Artysta z bożej łaski, wywarł na mnie ogromne wrażenie. Zebrało się wówczas niezmiernie liczne audytorium — największe, jakie dotąd miałem — cztery tysiące osób zapełniało bowiem salę. W następnych latach miewałem jeszcze nawet więcej słuchaczy, wówczas jednak zrobiło to na mnie duże wrażenie i bardzo byłem przejęty.

Po koncercie rozmawiałem dłużej z Thomasem — wyczułem od razu, że ma dla mnie sporo sympatii. Polubiliśmy się od pierwszego wejrzenia. Już przed owym pierwszym występem dodał mi ducha swym przyjaznym podejściem. Zapytywał mnie kiedyś później, jak mogłem się odważyć na koncert w nowej miejscowości bez próby, nie znając dyrygenta i nie wiedząc, jak ustosunkuje się do mnie. Skąd czerpałem taką odwagę i tyle zaufania? Odpowiedziałem mu szczerze, a była to jedyna właściwa odpowiedź, że kierowała mną intuicja, byłem najmocniej, instynktownie przekonany, że wszystko ułoży się dobrze, czułem bowiem, że mogę mu zaufać.

Wzruszyły go i ucieszyły moje słowa. „Nigdy panu tego nie zapomnę — powiedział, kładąc mi na ramieniu rękę — nigdy.”

Od tego momentu rozpoczęła się nasza przyjaźń i zyskałem w nim przyjaciela, na którym zawsze mogłem polegać.

Koncert odniósł duży sukces — u publiczności i w prasie. Bardzo mnie to ucieszyło — tak ze względu na Thomasa, jak i na mnie.

Po Chicago udałem się do Milwaukee, gdzie miałem dać dwa recitale. Znowu historia się powtórzyła. Za każdy recital dostałem tylko po dwieście dolarów. Czekąło mnie jednak coś jeszcze gorszego. Zmuszony warunkami kontraktu, powróciłem do Chicago, aby wystąpić tam w ciągu tygodnia z trzema recitalami, sprzedanymi po pięćset dolarów każdy. Recitale miały ogromne powodzenie i przyniosły co najmniej ze trzy tysiące dolarów! Dlaczego tak się stało — wytłumaczyć łatwo. Tamtejszy agent (niech już pozostanie bezimienny), słysząc mnie w Paryżu i Londynie, udał się do Tretbara i zanim jeszcze przyjechałem do Ameryki, zakupił od niego wszystkie trzy recitale za tę śmiesznie niską sumę. Ten fakt oburzył mnie i przygnębił. Tym więcej nad nim cierpiałem, że w owym czasie bardzo źle się czułem — bolały mnie ramiona i ręce, stan mój stale się pogarszał. Jedynie sławny już pianista może zrozumieć, czym jest odegranie ośmiu koncertów w przeciągu trzech tygodni. Gdy się rozpoczyna karierę, wykonanie każdego koncertu musi być bezwzględnie poprawne. Ale za tę poprawność trzeba drogo płacić. Oznacza ona bezustanne i ciągłe ćwiczenia — w owym czasie zdarzało mi się pracować po siedemnaście godzin na dobę. Jedną godzinę przeznaczałem na posiłki, a sześć na sen. Była to ciężka praca, a skutki tych nadludzkich wysiłków odczułem nie tylko wtedy, ale i kilkadziesiąt lat później, a szczerze mówiąc — odczuwam i dziś jeszcze.

Grałem we wszystkich większych miastach, lecz występowałem i w mniejszych, gdzie nieraz moje pierwsze koncerty nie miały wielu słuchaczy. Nagle jednak nastąpiła pod tym względem duża zmiana, a mianowicie,



gdy wystąpiłem z koncertem w Portland (w stanie Maine). Mimo że był to mój pierwszy występ w tym mieście, ku memu zdziwieniu spostrzegłem szczelnie wypełnioną salę. Poza tym zaskoczył mnie nie znany mi dotąd nigdzie zwyczaj. Oto prawie wszyscy obecni na sali słuchacze pospieszyli ku estradzie, by mnie powitać. Tłum złożony z około tysiąca osób, z których każdy tak serdecznie ścisnął moją dłoń, że biedna prawa ręka spuchła mi do niebywałych rozmiarów.

Byłem zdziwiony i począłem dopypywać się o powód tak serdecznego przyjęcia ze strony audytorium już na pierwszym występie. Okazało się, że wszystko zawdzięczałem niezwykłemu rozgłosowi, jaki wokół mojej osoby zrobiło pismo „The Century Magazine”, wydawane wówczas przez mego przyjaciela Ryszarda Watsona Gildera. W ostatnim numerze pisma znajdował się jego wiersz pod tytułem *Jak gra Paderewski*; stąd taka sensacja. Był tam i długi artykuł mnie poświęcony, pióra wybitnego pianisty i wykładowcy, doktora Williama Masona, uznawanego za najlepszego amerykańskiego pedagoga.

Rzecz prosta, że owe drobne sukcesy pochlebiały mi i zachęcały do dalszej pracy (doprawdy zachęcały), ale prawdę mówiąc, w owym okresie życia nie potrafiły mnie uszczęśliwić, za bardzo bowiem cierpiałem fizycznie. Ból w ramieniu i prawej dłoni stale się wzrósł. Oto jaki był tego powód. Otóż fortepiany Steinwaya, powszechnie uważane za najwspanialsze na świecie, odznaczały się jednak pewną niebezpieczną dla koncertujących artystów właściwością. Wymagały dużego wysiłku ze strony grającego, wysiłku bardzo wyczerpującego. Zdawałem sobie sprawę, że należy zmienić ich konstrukcję, a Steinwayowie gotowi byli uczynić wszystko, by spełnić moje życzenie. Niestety ich pracownicy, przywykli do pewnej rutyny, przeciwni byli wszelkim zmianom i jakimkolwiek innowacjom. Zwalczali więc mój projekt gorliwie.

Tak więc mimo obietnicy Steinwayów, że dokonają

wymaganej przeze mnie zmiany w konstrukcji, nic nie zostało zrobione, robotnicy oparli się bowiem temu stanowczo. Wszyscy, a przede wszystkim specjalista od klawiatury, uważali siebie za miarodajnych w swoim zawodzie i przekonani byli o doskonałości wykonywanej przez siebie pracy. Nie zdradzali chęci dostosowania się do wymagań byle jakiego artysty, a przeciwnie, chcieli, by artysta stosował się do wykonanego przez nich fortepianu. Wysłuchali zastrzeżeń, jakie im przedstawiłem, ale je całkowicie zlekceważyli.

Przykre to było dla mnie, gdyż fizyczny wysiłek potrzebny do wydobywania nieraz silnych tonów ze steinwayowskiego fortepianu przerastał siły każdego artysty. Już na początku mego tournée zdałem sobie sprawę, że należy coś uczynić, aby to zmienić, i zacząłem walczyć o to. W końcu wygrałem, i rzeczywiście, dokonano pewnych zmian, lecz tylko w używanych przeze mnie fortepianach. Było to wspaniałe zwycięstwo, ale ile musiałem stoczyć bojów. Odtąd mój potężny i piękny fortepian ulegał mi w pełni, a stosunki z nim stały się bardzo przyjazne. Przestał być wrogiem — ustały nasze walki, staliśmy się przyjaciółmi.

Zmiana ta nastąpiła w czasie mego objazdu, a ulga, jaką odczułem — była ogromna. Niestety, nagle, i to wkrótce po korzystnym załatwieniu tej sprawy, zdarzył się wypadek, który jest przyczyną mego cierpienia do dziś. Przed recitalem w Rochester nastąpiła parodniowa przerwa w koncertach, co było dla mnie istnym błogosławieństwem. Zaraz po tej przerwie miałem wystąpić w Rochester.

Prosto z pociągu, w mroźny, zimowy wieczór udałem się do sali koncertowej. Jak zwykle na wstępie wziąłem parę akordów — gdy nagle poczułem w ramieniu okropny, nie dający się wyrazić ból. Cierpiałem bardzo, miałem wrażenie, że będę musiał natychmiast opuścić estradę i że nigdy więcej nie potrafię nic zagrać. Przewyciężyłem się oczywiście błyskawicznie, wiedząc, że nagłe przerwanie

koncertu oznaczałoby katastrofę. W takich chwilach wszystko przedstawia się w czarnych kolorach — byłem pewien, że kariera moja jest ostatecznie zwichnięta, czułem, że z moim ramieniem stało się coś poważnego: zeszywniało zupełnie i przeraźliwie bolało. Wziąłem się jednak w karby i rozpocząłem *Appassionatę* Beethovena. W jaki sposób udało mi się dobrnąć do końca — powiedzieć dziś nie potrafię. Jest to jeden z tych cudów, jakie czasem zdarzają się artystom! Pamiętam, że utraciłem wtedy zdolność jakiegokolwiek rozumowania, pozostawało tylko uczucie nieznośnego, obezwładniającego bólu. Nie pojmowałem też, co się właściwie wydarzyło: grałem na jednym z moich doskonałych fortepianów, z którego do tej pory byłem zupełnie zadowolony. Wkrótce jednak sprawa się wyjaśniła. Okazało się, że fortepian wrócił z parodniowego remontu z fabryki, gdzie — nie zdając sobie sprawy ze znaczenia, jakie to 41 a mnie posiada — zmieniono znów kompletnie działanie mechanizmu, jakby usztywniono go na powrót, przywrócono dawny układ. Nieszczęsny człowiek, który tego dokonał, przypuszczał, że mi się przysłuży, i nie wiedział, iż jego lekkomyślne posunięcie mogło zniweczyć całą moją karierę.

Natychmiast po koncercie udałem się do lekarza. Stwierdził nadwężenie i naciągnięcie kilku ścięgien w ramieniu oraz poważne uszkodzenie palca. Stan był groźny.

— Nic właściwie nie jestem w stanie panu poradzić — powiedział. — Zalecam tylko odpoczynek, nic innego panu nie pomoże.

— W tej chwili nie mogę sobie na to pozwolić, czeka mnie sporo koncertów — odpowiedziałem doktorowi.

Byłem w rozpacz, gdyż kontrakt przewidywał prawie co dzień koncert, przy czym niekiedy i dwa, jeden popołudniowy — drugi wieczorny. Nie mogłem więc odpoczywać i nie mogłem przestać grać. Czułem się związany.

W każdej miejscowości, do której przyjeżdżaliśmy, przede wszystkim trzeba było wyszukać lekarza, który by przed koncertem opatrzył mi palec — gdyż doszło już do tego, że nie mogłem nim poruszać. Palec bolał mnie podczas gry, a przy tym było to wielkie ryzyko — przed czym zresztą ostrzegał mnie każdy lekarz. Ryzykowałem jednak, gdyż tym, co podtrzymywało mnie na duchu i rozjaśniało te ciężkie chwile, była nadzieja zbliżającego się końca objazdu. Żyłem jedną tylko myślą — jak najszybciej ukończyć tournée. Ale postanowiłem wytrwać.

Z biegiem czasu zdołałem się przyzwycząić do stałego przykrego bólu w ramieniu, a także nauczyłem się grać czterema tylko palcami prawej ręki. Cały wysiłek woli i nerwów skierowałem ku temu, by przetrwać — jakże ciężkie w moich warunkach — codzienne występy; sytuację osładzała mi świadomość, że każdy z koncertów przybliży wyzwolenie.

Po powrocie do Nowego Jorku musiałem jeszcze wystąpić z serią recitali o częściowo nowych programach. Poza tym nadchodziły z różnych miast liczne oferty na dodatkowe recitale. Pan William Steinway, zdając sobie sprawę, jak wiele straciłem finansowo z powodu przedwczesnej odprzedaży moich koncertów za tak niskie ceny, zaproponował mi, abym dał jeszcze kilka dodatkowych, których koszty pokryje, a czysty zysk z występów stanowiłby dla mnie rekompensatę za wadliwe zorganizowanie mego tournée. Szlachetny i piękny gest z jego strony. Stary William Steinway był istotnie człowiekiem wyjątkowym. Niespodziewana propozycja wydała mi się łaskawym darem losu. Zdawałem sobie sprawę z powagi mego położenia. Myślałem, podobnie jak i lekarze, że może nigdy nie będę już koncertować i że, być może, nastąpi koniec mojej kariery artystycznej. Z niechęcią myślałem o życiu, nie wyobrażając sobie, co dalej pocznę, i czułem się bezbronny. Zdawałem też sobie sprawę, że wobec mojej choroby dodatkowe kon-

certy (o ile będę w stanie je dać) mogą mieć dla mnie duże znaczenie finansowe, i dlatego postanowiłem się do nich zmusić. Sam nie wiem, jak mi się to udało. Stosowałem gorące okłady, masaże, elektroterapię oraz wszelkie inne dostępne środki lecznicze, aby tylko pobudzić do życia zeszywniały palec. Po zastosowaniu elektryzacji mogłem już nim nieco poruszać, ale nie władałem nim swobodnie i bardzo mi dolegał. Nie zważając na to, wystąpiłem z owymi dodatkowymi koncertami (około dwudziestu siedmiu), i przyniosły mi one znacznie więcej niż wszystkie poprzednie. Zarobiłem teraz dużą sumę pieniędzy, co bardzo mnie cieszyło.

Pamiętam wzruszającą chwilę, gdy pan Tretbar przyszedł się pożegnać. „Szanowny panie, przed naszym rozstaniem chciałbym przeprosić pana za niewłaściwe postępowanie, uznaję moją pomyłkę i nie tylko że szczerze pana podziwiam, ale doprawdy żywię uczucia gorącej sympatii — ma pan we mnie oddanego przyjaciela.” Rzeczywiście do końca życia pomagał mi w wielu sprawach i okazywał przywiązanie. Gdy później zaszło raz małe nieporozumienie między mną a jednym z członków rodziny Steinwayów — tym, który ujął się za mną, był mój przyjaciel Tretbar.

Pierwszy objazd po Stanach był długą serią koncertów; wszystkich razem dałem ich sto siedem, a zanim jeszcze ukończyłem tournée, już proszono mnie, abym powrócił na następny sezon.

Wszystko więc zakończyło się pomyślnie i z przyjemnością myślałem o następnym przyjeździe do Ameryki. Marzyłem już o nim, lecz dręczyły mnie wątpliwości. Wiedziałem, że chcąc powrócić do zdrowia, muszę się poddać poważnej kuracji, nie przypuszczałem tylko, że okaże się tak długotrwała i tak uciążliwa. Wreszcie skończyła się praca, poczułem się wolny od tak długo ciężącego na mnie jarzma. Cieszyłem się swoim powodzeniem, cieszyłem powrotem do domu, czułem się szczęśliwy! Wiedziałem też, że już pokochałem Amerykę.

Dużo jeszcze mógłbym opowiadać o wszystkim, co przeżyłem w Ameryce — wówczas, przed pięćdziesięciu prawie laty. Wywarła na mnie ogromne, w pierwszej chwili nawet oszałamiające wrażenie. Stany Zjednoczone to kraj olbrzymich, różnorodnych, fantastycznych wprost bogactw. Natura jest tam wyjątkowo piękna. Niezliczone cuda przyrody — góry, doliny, zatoki, przystanie i jary przyciągają wzrok ludzki. Mimo to cudzoziemcowi podróżującemu czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu po Ameryce, który by się ograniczył do zwiedzania tylko wielkich i mniejszych miast — kraj ten wydałby się niewątpliwie bardzo brzydki.

Zmiana, jaka obecnie nastąpiła, jest olbrzymia. Wówczas jednak, gdy po raz pierwszy przybyłem do Ameryki, poza paru wielkimi miastami, jak Boston, oraz przepięknymi, jak Waszyngton, który ze swymi wspaniałymi monumentami, szerokimi ulicami jest jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie — cały kraj wydał mi się dziwnie brudny i nie uporządkowany. Dokądkolwiek przyjechałem — rzucały się w oczy nieporządek i niedbalstwo. Ludzie najwidoczniej zajęci byli innymi sprawami. Krajobraz, jaki obserwowałem z okien wagonu, bywał często uderzająco piękny z woli niebios, ale nie znać na nim było śladów ludzkiej ręki, żadnego wysiłku, by dokonać potrzebnej niekiedy zmiany — i to irytowało i oburzało. Myślę tu nie o obozowiskach, ale o farmach, których wygląd pozostawiał wiele do życzenia. Już wtedy istniało wiele dużych miast, przy czym wioski nie były osiedłami wiejskimi w europejskim słowa znaczeniu, lecz miasteczkami, a może powinienem raczej powiedzieć — małymi miastami. Stanu chłopskiego Ameryka nie posiada. Ludność tamtejsza to obcy przybysze, którzy przyjechali tu wyłącznie - z myślą o zdobyciu majątku. Nie zależało im więc na upiększaniu domostw i na doskonaleniu czegokolwiek, co na miejscu zastali. Radzi byli mogąc nie robić tego, do czego byli zmuszeni we własnym kraju. Nie cenili też sobie dobro-

dziejstw, z których korzystali. Emigrant, z chwilą gdy znalazł się na lądzie amerykańskim, uważał siebie za „wolnego” obywatela. Wynikały stąd dla tego gościnnego kraju tragiczne nieraz skutki. Jest to poważny temat, który możemy tylko z lekka poruszyć, lecz rzeczywiście kontrasty, z jakimi zetknąłem się po raz pierwszy w Ameryce, kontrasty między pięknem natury a podłością ludzką — wydały mi się czymś zdumiewającym. Uderzył mnie tam również brak dbałości o estetyczny wygląd osiedli ludzkich. Żadnych kwiatów w oknach, niewiele ogrodów nawet w tych miastach, gdzie było na nie miejsce. Obecnie już się to jednak zmieniło. Taka miejscowość, jak Springfield w stanie Massachusetts, którą poznałem na początku mego pierwszego objazdu w 1892 jako małą, brzydką osadę, jest teraz ślicznym miastem z pięknymi gmachami. Podobnie Northampton stało się przemiłą miejscowością; tak samo St. Joseph w Missouri, które w 1892 znałem jako okropne osiedle, zmieniło się w urocze miasto. Mógłbym wymienić jeszcze wiele innych miast, które uległy zupełnemu przeobrażeniu.

#### N

Gdy przyjechałem, kraj ten wydał mi się olbrzymi, kolosalnie bogaty, o wielkich możliwościach, zamieszkały przez ludność energiczną, przedsiębiorczą i pracowitą. Każdy człowiek zdawał się jednak myśleć jedynie o jak najszybszym wzbogaceniu. Odczuwało się atmosferę wzmożonej konkurencji, bezustannego wysiłku oraz ciągłego pośpiechu; nawet już w tamtych czasach pośpiech widoczny był na każdym kroku. Prawie każdy poznany przeze mnie człowiek myślał i mówił tylko o pieniądzach, a jednocześnie jak bardzo był wspaniałomyślny! Wiem o tym lepiej od wielu innych ludzi.

Oczywiście tego rodzaju ambicje wywarły swój wpływ i na mnie. I ja zapragnąłem mieć dużo pieniędzy, a miałem na to usprawiedliwienie. Nie urodziłem się bowiem bogatym człowiekiem, rodzina moja była

niezamożna, a kraj mój ubogi. Pragnąłem bardzo dopomóc wszystkim, a przede wszystkim mojej ojczyźnie. Wiele lat później, w skromnym co prawda stopniu, udało mi się to uczynić.

Z tego, co pani ostatnio mówiłem, można by wyciągnąć mylne wnioski, że Stany Zjednoczone są krajem zupełnie zmaterializowanym. Wiele osób uważa, że Amerykanów interesują wyłącznie środki materialne, że cena danego przedmiotu interesuje ich więcej niż jego piękno, że na wartość pieniężną kładą największy nacisk, a dolar jest tym, co najbardziej wielbią i o czym chcą mówić najwięcej. Zupełnie jak ów przewodnik w bazylice św. Piotra w Rzymie, który pokazując amerykańskim turystom ów piękny zabytek, uważał za wskazane stałe powtarzać: „To, co widzicie, panie i panowie, kosztuje tyle a tyle tysięcy dolarowi” Twierdzę, że w rzeczywistości mniemanie to jest fałszywe, a jeśli zawiera część prawdy, to tyle tylko, by stanowić temat do dyskusji.

Rzecz prosta, że można tam znaleźć ludzi, dla których wartość przedmiotu wyraża się jedynie w cyfrach, lecz cechą tą nie odznaczają się sami tylko Amerykanie. Zdobyte tam doświadczenie nauczyło mnie, że w Ameryce można znaleźć idealizmu więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na kuli ziemskiej. Poznałem tam ludzi, którzy całe życie spędzili na zdobywaniu fortuny, a gdy po wielu latach wysiłków i wyrzeczeń osiągnęli już wreszcie upragniony cel, zużyli owoce długoletniego i pełnego trudu życia na zrealizowanie ukrytego marzenia. W żadnym innym kraju nie znalazłoby się tak ogromnego procentu ludzi, którzy przez indywidualne fundacje przyczynili się do podniesienia kultury i postępu, a także do podtrzymania tak wielu instytucji charytatywnych.

Wystarczy przypomnieć sobie wspaniałe instytucje założone i utrzymywane przez Andrew Carnegie'ego lub Rockefellera; liczne uniwersytety ufundowane przez



Stanforda, Hopkinsa i Eastmana oraz inne instytucje stworzone i subwencionowane przez osoby prywatne. **A** Biblioteka Morgana, a wspaniałe muzea z zadziwiającą hojnością rozsiane po całych Stanach. Na fundacje Carnegie'ego i Rockefellera pragnę specjalnie zwrócić pani uwagę. Posiadają one bowiem olbrzymią wartość tak pod względem materialnym, jak znaczenia i korzyści kulturalnych nie tylko dla Ameryki, lecz i dla całej ludzkości.

Nigdy nie miałem sposobności poznać Rockefellera seniora, znałem jednak dość dobrze jego syna, Johna D. Jr., który w dalszym ciągu prowadził z niebywałą hojnością i wielkim oddaniem ogromne dzieło założonej przez ojca Fundacji. Najbliżej jednak i najlepiej znałem Andrew Carnegie'ego, o którym przed chwilą wspominałem. Wiele czasu przebywałem z nim nie tylko w Ameryce, lecz i w Szkocji, oraz w miejscowości koło Tunbridge Wells, gdzie wynajął piękną starą rezydencję i gdzie przez kilka lat spędzałem wakacje. Niezmiernie ożywczo działał on na mnie pod względem umysłowym, stale też podziwiałem lotność jego umysłu oraz bystrość w każdej sytuacji. Kilkakrotnie proponował mi, że zostanie moim bankierem. Pragnął pomóc mi w załatwianiu spraw finansowych, byłem jednak na to zbyt ambitny. Gdybym był starszy i mądrzejszy, przyjąłbym jego propozycje, z pewnością bowiem moje finanse zyskałyby na tym wiele.

Duży postęp na polu nauki i sztuki, jaki się dokonał w Ameryce w tak krótkim czasie, mógł istnieć w znacznej mierze dzięki szczodrym darom tych właśnie amerykańskich milionerów. Nazwijmy ich więc może — pionierami postępu? W wielu miastach koncerty symfoniczne organizowane były jedynie dzięki ich hojności, i to nie tylko w Bostonie, Chicago i Filadelfii, lecz i w mniejszych miastach, jak: Pittsburg, St. Louis, Cleveland, Detroit, Los Angeles i San Francisco. Słyszałem, że i Baltimore będzie miało obecnie swoją

stałą orkiestrę. Rochester ma ją już również — nie-dużą, lecz doskonałą, dzięki wspaniałomyślności Eastmana. Eastman zbudował też tam swoim kosztem konserwatorium muzyczne ze wszystkimi działami wspaniale wyposażonymi.

Fundacją Boka jest Instytut Curtisa<sup>1</sup> w Filadelfii, w którym przez ostatnie lata swego życia uczyła pani Sembrich i gdzie obecnie profesorem jest Józef Hofmann. Poza tym również Bok był założycielem wielkiej instytucji muzycznej — Instytutu Juilliarda<sup>2</sup> w Nowym Jorku. Owe wspaniałe fundacje są w typowo amerykańskim stylu. Tego rodzaju nastawienie społeczne spotkać można jeszcze niekiedy w Anglii, ale już zupełnie wyjątkowo na kontynencie europejskim. Bogaci ludzie w Europie używają zazwyczaj swych pieniędzy na inne cele, nie troszcząc się bynajmniej o dobro społeczne; poczucie odpowiedzialności obywatelskiej i obowiązku społecznego jest tam na ogół w zaniku.

Przed moim wyjazdem do Stanów Zjednoczonych powtarzano mi stale, że charakterystyczną cechą tamtejszych ludzi jest niestałość i zmienność, nie spotkałem się z tym jednak zupełnie. Przeciwnie, przekonałem się z własnego doświadczenia, i to już od samego początku, o ich stałości i wierności w przyjaźni. Wszyscy amerykańscy przyjaciele pozostali mi wierni i życzliwie usposobieni aż do samego końca. Łączyły mnie z nimi, i jeszcze łączą, jedne z najsilniejszych więzów w moim życiu.

Szczodre dotacje przybrały w Ameryce charakter niemal instytucji, a ogólnie biorąc — cały ten kraj wydaje mi się krajem najróżniejszych instytucji. Jest ich tam niezmierna ilość, a niektóre mają specyficzny charakter. Czyściciele butów są też swoistą instytucją.

<sup>1</sup> Instytut ten jest fundacją Cyrusa H. K. Curtisa; do jego dalszego rozwoju przyczyniła się wydatnie córka fundatora, Mary Curtis Bok, żona Edwarda W. Boka, wydawcy i mecenasa sztuki. (Przyp. red.)

\* Instytut ten jest fundacją Augusta D. Juilliarda. (Przyp. red.)

W Europie nie spotykamy się z czymś podobnym. Są to zjawiska charakterystyczne dla narodu amerykańskiego, który, moim zdaniem, mimo energii i żywotności nie okazuje jednak zamiłowania do pracy ręcznej. Tym też należy tłumaczyć tak wielki stopień rozwoju mechanizacji. W Ameryce, zgodnie z jej duchem demokratycznym, nie ma — w europejskim tego słowa znaczeniu — służby domowej. Najlepszymi służącymi w bogatych rodzinach amerykańskich są Europejczycy.

A jednak pomimo waszych cudownych wynalazków w dziedzinie mechaniki i waszego bogactwa odczuwa się bardzo brak pewnych wygod, które są rzeczą zwykłą w Europie. W Ameryce nie ma więc służby (w tym sensie, w jakim to rozumiem) i chociaż można się do tego przyzwyczaić, stale odczuwa się jej brak.

Ale mimo tak znikomej ilości służby uderzył mnie tam rycerski stosunek do kobiet. Oto na przykład jeśli w windzie znajdowali się sami mężczyźni, a pojawiła się kobieta, choćby nawet kucharka, wówczas wszyscy mężczyźni zdejmowali kapelusze. Bardzo mi się to podobało.

Z żalem jednak stwierdzić muszę, że dziś jest inaczej. Było to prawdą, ale przed laty. Obecnie nastąpiła wyraźna zmiana w stosunku mężczyzn do kobiet, a trzeba przyznać, że i kobiet do mężczyzn. Zmianę tę zaobserwować można zresztą wszędzie, tylko że w Ameryce, kraju gwałtownych kontrastów, łatwiej daje się to zauważyć. Przyczyniło się do tego udzielenie kobietom prawa głosu, a także i wojna. Kobieta występuje teraz jako współzawodnik, odbiera mężczyznom pracę, ale żąda dla siebie tych samych co przedtem przywilejów. I na tym polega problem.

Jak pani widzi, Ameryka uczyniła na mnie głębokie wrażenie i z prawdziwą przyjemnością myślałem o spędzeniu tam następnego sezonu. Po zakończeniu pierwszego tournée wyruszyłem do Europy z myślą o odpoczynku, dojściu do zdrowia i wyleczeniu chorego czwartego palca, by wreszcie pozbyć się dojmującego bólu.

Wierzyłem, że odpoczynek przywróci mi siły potrzebne do następnego tournée po Ameryce, na które wybierałem się z końcem września 1892. Niestety, okazało się to tylko złudzeniem, gdyż ból ramienia i palca nie tylko nie ustał, ale wzrastał się gwałtownie. Miałem jeszcze kontrakt na dwa koncerty w Londynie i chociaż ryzyko było wielkie, wbrew ostrzeżeniom doktora i grożącemu niebezpieczeństwu dałem te koncerty. Ambicja, konieczność i młodość jakoś mi w tym dopomogły.

Pojechałem do Londynu, gdzie miałem recital, a poza tym pan William Waldorf Astor<sup>1</sup> zaangażował mnie na dwa prywatne występy. Pan Astor wynajął piękną rezydencję w Londynie i na stałe przeniósł się do Anglii. Wieczory muzyczne u niego stały się coroczną sensacją londyńskiego sezonu. Zapraszał na nie najznakomitszych artystów, płacąc olbrzymie honoraria, a audytorium stanowili goście z najwyższej arystokracji oraz różne wybitne osobistości. Bywali na tych wieczorach członkowie angielskiej rodziny królewskiej oraz panujący z obcych krajów. Na uwagę zasługiwało w danym wypadku (jeśli chodzi o moją osobę) to, że każdego roku

<sup>1</sup> William Waldorf Astor (1848-1919) — amerykańsko-angielski potentat finansowy; przez pewien czas zajmował się działalnością polityczną. W r. 1890 osiadł w Anglii, założył pismo „Pall Magazine”. (Przyp. red.)

występowali na tych wieczorach nowi artyści, ja jeden tylko przez osiem czy dziewięć lat z rzędu angażowany byłem w każdym sezonie.

Pan Astor był wyjątkowo uroczym gospodarzem domu i dotąd zachowałem go we wdzięcznej pamięci — jego, jak również całą rodzinę. W domu tym goście zachowywali się zawsze spokojnie i cicho, słuchali muzyki z taką uwagą, jakby się znajdowali na sali koncertowej. Gra u niego sprawiała mi wielką radość. Tak rzadko w domu prywatnym spotykałem się z podobnym zachowaniem gości — parę razy tylko mi się to zdarzyło.

Mówiłem już pani o uroczym domu pani Bliss w Santa Barbara i o miłej jego atmosferze. Tam również panowała podczas mego koncertu absolutna cisza i wyczuwało się, że słuchacze przyszli z zamiarem rozkoszowania się muzyką. Podobnie bywało także na olbrzymich zebraniach w Londynie u pana Astora w Garlton House Terrace. Pan Astor przyjmował swych gości u szczytu klatki schodowej, a potem przez cały czas koncertu stał z tyłu za słuchaczami, uważnie śledząc ich zachowanie. Potrafił nakazać milczenie, co zawsze w nim zresztą podziwiałem. Zapraszał gości nie na pogawędkę, ale na słuchanie muzyki, i nie dopuściłby, aby ktokolwiek przeszkadzał artyście, przerywał jego grę, jak to się często zdarzało gdzie indziej. Był przemiłym gospodarzem, ale zasady tej przestrzegał, i doprawdy muszę tu jeszcze raz podkreślić, że potrafił nakazać gościom milczenie. Tym sposobem stopniowo nauczył słuchaczy (przynajmniej tych, których często gościł w swoim domu) pewnego skupienia, należytego muzyce, oraz uprzejmości względem artysty. Nawet cudzoziemcy musieli się do tego stosować. Trzeba przyznać, że rzadko który pan domu postępuje w ten sposób, ale dzięki temu gra u niego stanowiła dla mnie prawdziwą rozkosz, czego o występach w innych domach niestety powiedzieć nie mogę. Straszna jest bowiem rzeczą grać, gdy nikt

nie słucha; na początku kariery zmuszony byłem nieraz znosić podobne upokorzenia.

Na ten temat wiele jeszcze mógłbym pani opowiedzieć, ale ograniczą się do jednej, bardzo ciekawej historii, która zdarzyła się już prawie dwadzieścia lat temu. Przebywałem wtedy w Ameryce Południowej, początkowo grałem w Rio de Janeiro, z którego pozostały mi zresztą jak najlepsze wspomnienia. Koncerty były dobre i cieszyły się dużą frekwencją. W Rio de Janeiro i w Sao Paulo mieszkała spora ilość ludzi kulturalnych, chętnych słuchaczy, entuzjastów muzyki. Powinienem czuć się zadowolony, ale niestety w tym okresie zdrowie mi nie dopisywało, byłem nerwowo wyczerpany i wskutek tego po przybyciu do Buenos Aires musiałem tam pozostać dobrych parę tygodni. Bywałem wówczas na koncertach, i na każdym z nich, ku memu wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu, obserwowałem coś, co spowodowało, że postanowiłem dłużej tam nie zostawać. Zorientowałem się bowiem, że nie mógłbym grać: w czasie koncertu wszyscy słuchacze rozmawiali głośno i bez przerwy. A wie pani, dlaczego tak się działo i dlaczego tolerowano tę nieustanną rozmowę, tak lekceważącą w stosunku do artysty? Z ich punktu widzenia odpowiedź była prosta — taka to już tradycja hiszpańska! Nie można jej było kwestionować ani krytykować, tylko pokornie przyjąć.

Okazuje się, że w Hiszpanii spotkania towarzyskie odbywały się właśnie podczas koncertów i oper; nie urządzano tam przyjęć prywatnych, lecz gości przyjmowano w łóżach! Osoby z arystokratycznych i bogatych sfer danego miasta odwiedzały się wzajemnie w łóżach, prowadząc ożywione rozmowy i urządzając nawet małe przyjęcia, a to wszystko działo się podczas przedstawienia lub koncertu.

Zwyczaj ten wywarł na mnie tak przykre wrażenie, że od razu pomyślałem: „Nie, to niemożliwe, ja tu grać nie będę”. I już miałem zamiar zerwać kontrakt,

gdy przypadkowo spotkałem madame de Castex, uroczą damę z Buenos Aires — osobę niezwyklej zresztą urody. W Ameryce Południowej, a przede wszystkim w Argentynie, sfery towarzyskie są bardziej ekskluzywne aniżeli arystokracja całego świata, w związku z tym uważa się artystę za osobę, którą się wynajmuje dla rozrywki, traktuje uprzejmie, ale jak służącego, któremu się płaci za usługi. Z początku więc wszyscy byli bardzo zdumieni, a nawet niezadowoleni, spotkawszy mnie na przyjęciu w prywatnym domu. Nikt poprzednio nie złożył mi wizyty (co było rzeczą niezwykłą), ignorowano mnie zupełnie, z wyjątkiem owej czarującej madame de Castex, która tak uprzejmie zaprosiła mnie do siebie na lunch. Zaproszenie przyjąłem, ale od razu spostrzegłem wielkie zdumienie gości, gdy zauważyli moją obecność na lunchu. Nie mogli sobie mnie widocznie inaczej wyobrazić jak siedzącego przy fortepianie! Nie pozostawało im jednak nic innego, jak tylko się z tym pogodzić i pójść za przykładem pani domu, witającej mnie bardzo uprzejmie:

— To wielki zaszczyt, monsieur Paderewski, widzieć pana w naszym gronie; jesteśmy też zachwyceni, że da nam pan wkrótce sześć recitali, będzie to wielką dla nas przyjemnością! — A potem dodała jeszcze z uśmiechem: — Iz dużą niecierpliwością ich oczekujemy.

Odrzekłem szybko:

— Jest pani bardzo uprzejma, ale nie zdecydowałem się jeszcze, czy rzeczywiście wystąpię tu. Sądzę, że raczej nie i nie usłyszą mnie państwo w ogóle.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem:

— Ależ dlaczego? Co to znaczy? Czemu pan tak mówi?

— Chcę przez to powiedzieć, madame, że nie wiem, czy będę w stanie grać w tym pięknym mieście.

Goście się zdumieli, zapanowało całkowite milczenie.

— Z pewnością nie mówi pan tego poważnie, pro-

szę wyjaśnić, o co chodzi — nalegała pani Castex.

— Koncertować nie będę dlatego — odpowiedziałem ze spokojem — że nie mogę się zgodzić na stosunek tutejszej publiczności do artystów i do samego koncertu.

Wśród obecnych konsternacja! Pani de Castex po krótkiej chwili milczenia rzekła:

— Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć? Przecież my tutaj uwielbiamy muzykę, bywamy na wszystkich koncertach, na jakiej więc podstawie opiera pan swoje twierdzenie?

— Na jak najbardziej usprawiedliwionej — po prostu nie przywykłem grać, gdy słuchacze rozmawiają. Twarz jej pobladła.

— A więc pan myśli... — nie wiedziała, co dalej powiedzieć, wobec czego sam starałem się podtrzymać ów przykry dialog.

— Jeżeli ktokolwiek zacznie rozmawiać podczas pierwszego numeru mego programu, uklonię się i opuszczę estradę, a jeżeli zapytają mnie o powód, odpowiem, że grywam tylko dla słuchaczy, którzy przyszli słuchać muzyki, a nie rozmawiać z sąsiadami.

Nastąpiła teraz cisza trwająca parę minut; wszyscy wstrzymali oddech, zapanowało ogólne zdumienie. Wtedy pani de Castex nagle wstała i podnieconym, donośnym głosem powiedziała:

— Będzie pan u nas grał i będzie pan zadowolony, chcemy bowiem usłyszeć pana grę. Pobyt pana u nas przynosi nam zaszczyt i zastosujemy się do pańskiego życzenia. Obiecuję to panu.

Poczułem się wzruszony i bardzo jej wdzięczny. W salonie wszczął się znów gwar i hałas.

Choć miałem duże zaufanie do pani de Castex, nie byłem pewny, czy będzie w stanie dotrzymać danej mi obietnicy.

W parę dni później odbył się pierwszy koncert. Wstępowałem na estradę z uczuciem niepewności i obawy. Powitano mnie bardzo uprzejmie, a nawet entuzjastycz-



nie. Pomyślałem sobie: „Na razie wszystko dobrze, ale czy naprawdę potrafią powstrzymać się od rozmów?” Stanowczo jednak postanowiłem zaprzestać gry w razie rozpoczęcia rozmowy. „Może nie opuszczę natychmiast estrady — pomyślałem — ale koncert przerwę od razu.”

Nie zmuszono mnie jednak do przerywania gry, gdyż przez cały czas panowała zupełna cisza; nie słychać było nawet najcichszego szeptu. Był to cudowny koncert, i nie pamiętam, bym kiedykolwiek przeżył podobny. W Buenos Aires wystąpiłem z ośmioma koncertami, a nie sześcioma, jak zamierzałem, i każdy z nich sprawił mi dużą przyjemność. Zachowałem o tych występach jak najmiłsze wspomnienia. Zawdzięczałem to madame de Castex, która pragnąc dotrzymać danej mi obietnicy, chodziła od domu do domu, prowadząc istną kampanię. Wiele już lat później usłyszałem od jej przyjaciółki, do której również zwróciła się w tej sprawie, że pani de Castex zapewniła ją wówczas, iż na wypadek rozmów podczas koncertu na pewno zerwę kontrakt, co wywołałoby duży skandal w Buenos Aires. „Stalibyśmy się — mówiła — pośmiewiskiem całego muzycznego świata, gdyż wkrótce wszyscy dowiedzieliby się o tym, że Paderewski nie chciał u nas koncertować. Buenos Aires uzyskałoby opinię niemuzykalnego, mało kulturalnego i nieuprzejmego miasta. Powiedzieliby też, że Paderewski był zmuszony opuścić estradę z powodu zgiełku na sali. Czyż więc możemy dopuścić, by coś podobnego mówiono o naszym mieście? Nie, to wykluczone! Musimy pokazać panu Paderewskiemu, że jesteśmy najuważniejszym i najuprzejmiejszym audytorium na świecie.” Ta proklamacja rozeszła się po całym mieście i wywołała odpowiedni efekt. Było to mistrzowskie posunięcie!

Przypominam sobie, że jedynym miastem, w którym audytorium nie chciało się uciszyć (mimo parokrotnego z mej strony protestu), był Paryż. Byli tam słuchacze wyjątkowo niezdyscyplinowani. Nie wiem, czy sprawiał

to ich kosmopolityczny charakter, czy też brak muzykalności; w każdym razie dla artysty było to bardzo nieprzyjemne. W początkach mej kariery koncerty w domach prywatnych stanowiły dla mnie konieczność, lecz gdy mogłem się bez nich obyć — z radością je porzuciłem.

\*

Przejdę obecnie do zupełnie odmiennego tematu. Przypuszczam, że te częste i tak różnego rodzaju dygresje dodają uroku i pewnego kolorytu moim opowiadaniom, zajmującym się przeważnie sprawami muzyki. Pragnę więc pomówić nieco o polityce, gdyż — jak już pani wiadomo — zawsze bardzo mnie interesowała; cieszyłem się też z każdej nadarzającej się sposobności spotkania angielskich mężów stanu. W czasie mego drugiego sezonu w Londynie poznałem wiele znakomitych i wybitnych osobistości biorących udział w życiu politycznym Anglii. Później, gdy wojna wstrząsnęła światem, ich przyjaźń była moją ostoją. Należą do tamtego okresu mego życia, więc chciałbym teraz powiedzieć o nich kilka słów, a także i o tym, w jakich okolicznościach zawarłem z nimi znajomość.

Przedewszystkiem muszę pani opowiedzieć o panu Asquith, którego znałem dobrze i u którego często bywałem na obiadach i lunchach. Asquith był człowiekiem ogromnie wykształconym — można było zorientować się od razu, że czekała go wspaniała przyszłość. Gdy go poznałem, był członkiem Parlamentu i, naturalnie, liberałem. Zainteresował mnie bardzo może i z tego powodu, że, już wówczas żywo interesowałem się polityką. Zawsze zajmowały mnie stosunki polityczne panujące w moim kraju i porównywałem je stale ze stosunkami w innych państwach. Uwagę moją zwrócił wówczas fakt, że w domu liberałów pośród gości spotykało się nieraz i konserwatystów, przy czym jedni i drudzy, choć odmiennych przekonań politycz-

nych, żyli w jak najlepszej zgodzie, okazując sobie wzajemnie wiele przyjaźni i życzliwości. Takich stosunków nie zaobserwowałem w żadnym kraju na kontynencie, gdzie bywało na ogół wręcz odwrotnie. I tak na przykład u Asquitha spotkałem kilkakrotnie Artura Jamesa Balfoura, który za każdym razem, gdy Asquith był premierem, stał na czele opozycji.

Balfour — ileż bezcennych wspomnień łączy się z jego osobą i z przyjaźnią, jaką mnie darzył. Poznałem go na kilka lat przed wybuchem wojny i wydał mi się wtedy jednym z najbardziej wybitnych i uroczych ludzi. Człowiek o wyjątkowo wysokiej kulturze, uzdolniony pisarz i błyskotliwy *causeur*, o jasnym sądzie i poczuciu rzeczywistości. Zajmowały go wszystkie dziedziny życia. Interesował się malarstwem, literaturą i muzyką; wiadomości miał wszechstronne — cecha rzadko spotykana u polityków. Charakteryzowały go wielka wspaniałomyślność i poczucie sprawiedliwości. Z jego to ust usłyszałem podczas I wojny światowej pierwsze słowa otuchy dla mojej ojczyzny. Kilkakrotnie bywałem zapraszany do niego na obiady i lunche. Prowadziliśmy wiele poważnych dysput na najróżniejsze tematy, poruszając oczywiście i politykę; był nadzwyczaj wykształcony i doskonale w tych sprawach zorientowany. Rozmawialiśmy też i o filozofii, którą się zawsze bardzo interesowałem. Zdziwił mnie szerokim zakresem wiadomości o różnych szkołach filozoficznych, szczególnie niemieckich. Po jednej z takich dyskusji przysłał mi własne niewielkie, lecz wybitne dziełko pod tytułem *The Foundations of Belief*<sup>1</sup>, które dotąd jeszcze zachowałem.

Zapytuje pani o jego filozofię życiową. W paru słowach trudno mi na to odpowiedzieć. W każdym razie nie mógłbym nigdy nazwać go pesymistą. Daleki był od tego. Umysł miał wyjątkowo jasny, a będąc człowiekiem

<sup>1</sup> Ang. — podstawy wiary. (Przyp. **RED.**)

obiektywnym i sprawiedliwym, nigdy nie odrzucił żadnej kwestii, nie zbadawszy jej przedtem dokładnie. W każdej sprawie starał się odnaleźć jej dodatnią stronę — był to jeszcze jeden dowód silnie zakorzonego poczucia sprawiedliwości. Zgadzam się z twierdzeniem, że w gruncie rzeczy pragnieniem serca ludzkiego jest poszukiwanie we wszystkim dobra. Trzeba jednak przyznać, że z biegiem czasu ludzkość nie zrobiła pod tym względem postępu — bynajmniej. Nie żyjemy co prawda w epoce zacoiania i ciemnoty, w średniowieczu (po upadku cesarstwa rzymskiego), kiedy to nastąpił zupełny już zmierzch. Stanowczo jednak w obecnej chwili chylimy się ku upadkowi, przeżywamy do pewnego stopnia okres dekadencji.

Często rozmawialiśmy na ten temat z Balfourem, i muszę znowu podkreślić, że zasadniczą cechą jego umysłu i charakteru był zmysł sprawiedliwości, charakterystyczny zresztą dla wszystkich Anglików. Jeśli mówimy o Anglikach, to stwierdzić tu muszę, że wyczuwam zawsze ich całkowitą odrębność od innych narodów. Zadziwiająco doprawdy, jak ów wąski kanał dzielący Anglię od kontynentu powodować może tak wielkie różnice. Anglicy bowiem są inni pod każdym względem, choćby w kwestii ubioru. Zauważyłem, że odrębność zaznacza się nie tylko, gdy chodzi o ludzi, ale nawet ich konie, psy i wszystkie zwierzęta domowe też są inne. W Anglii widzi się psy, jakich nie można zobaczyć na kontynencie — są bardziej rasowe i zdrowsze; wynika to z większej dbałości i dobrego karmienia. Mają wspaniałe konie, a także doskonałe rasy krów; krowy rasy Jersey i Shorthorn znane są na całym świecie. Podobnie i inne zwierzęta, jak owce i drób, lepiej są tam utrzymane i żywione. Zwróćmy choćby uwagę na trzodę chlewną, dba się tam o nią znacznie więcej i utrzymuje w większej czystości. Wszystko jest tam inne — lepsze pod wieloma względami.

Jadąc z Calais do Moskwy nie widzi się, poza czystością,

większych różnic w krajobrazie. Im dalej na wschód, tym większy brud i nędza, tak u ludzi, jak i u zwierząt. Ale z chwilą przekroczenia kanału La Manche wszystko całkowicie się zmienia i zupełnie inaczej wygląda.

Zgadzam się z panią, że ludzie w Anglii mają większe poczucie bezpieczeństwa, zwłaszcza teraz, gdy w Europie wszystko wisi na włosku. Odczuwa to pani, będąc z pochodzenia Angielką i używając języka angielskiego, ale to poczucie bezpieczeństwa ma tam każdy, bez względu na swą narodowość, każdy, kto znajdzie się w Anglii. Prawdą jest też, że każdy podporządkowuje się tam prawu, zastosowując się do panującego ładu i porządku. W Anglii bowiem ludzie umieją słuchać. W Ameryce, tym olbrzymim konglomeracie najróżniejszych ras, zbieraniu różnych niespokojnych jednostek całego świata, nie może być mowy o podobnej karności. Anglicy są narodem praworządnym, i nie tylko to — każdy Anglik ma poza tym silnie rozwinięty instynkt społeczny. Mają po prostu poczucie obowiązku obywatelskiego i gdziekolwiek się znajdują — zaprowadzają ład i praworządność. Mają szacunek dla prawa.

Posiadają też jeszcze jedną charakterystyczną zaletę — stałość w przyjaźni; nie są może zbyt skłonni do jej zawierania, ale gdy już kogoś nią obdarzą — wiernie jej dochowują. Przekonałem się osobiście, że jest to bezwzględna prawda! Mam w tej chwili na myśli moich drogich przyjaciół: sir George'a i lady Lewis. Przyjaźń nasza przetrwała od samego poznania się aż do końca ich życia. Dom Lewisów należał do najgościnniejszych w Londynie. Lady Lewis miała zamiłowania artystyczne, spotykało się więc tam wielu artystów, specjalnie muzyków, pochodziła bowiem z bardzo muzycznej rodziny. Zbierali się tam wszyscy wybitni ludzie Londynu. W samym sercu miasta państwo Lewis umieli stworzyć sobie własny, odrębny świat. Gdy przekraczałem ich gościnne progi, od razu miałem wrażenie, że przeniosłem się w zupełnie inny świat. Przychodzili

tam politycy odgrywający dużą rolę w życiu Anglii, a także naukowcy, malarze, pisarze i wielcy muzycy ówczesnej epoki. Chętnie korzystaliśmy wszyscy z gościnności państwa Lewis. Jakże wiele dały mi te ciekawe, nieraz pełne dowcipu rozmowy, dobra muzyka, a także zetknięcie się z najróżniejszymi poglądami i przewidywaniami. Nieczęsto zdarzało mi się spotykać tak niezwykłe i dobrane grono wybitnych osobistości, przy czym ton nadawali uprzejmi i niezrównani gospodarze. Dziś już dom ten nie istnieje, nie ma już tej przystani, nadeszły inne czasy. Światła zgasły, kurtyna odgrodziła nas od tego świata.

Z upływem lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku przeminęła i zakończyła się wspaniała era rozkwitu wszystkiego, co piękne i wytworne w życiu — przeminęła na zawsze. Wydaje mi się, że faktyczny koniec tej epoki nastąpił wraz ze śmiercią królowej Wiktorii. Dopóki żyła, kierownicy rządów podległych jej krajów starali się uchronić ją od wszelkich trosk, pozwolić, by do samego końca cieszyła się pomyślnym i szczęśliwym panowaniem. Było to wspaniałe panowanie, a jubileusz królowej w roku 1897 stał się potężną manifestacją uczuć, jakimi darzyli ją poddani.

Byłem świadkiem tego jubileuszu. Przedstawił tak niezwykły widok — potęgi i okazałości — że trudno to sobie nawet wyobrazić. Widziałem ów długi pochód idący za pojazdem królowej. Szli wszyscy wasale imperium, maharadzowie, gubernatorzy dominiów i ich premierzy. Wrażenie, jakie na mnie wywarł, do końca życia pozostanie w mej pamięci. Widok tyłu zgromadzonych bogactw — zwłaszcza u indyjskich maharadzów — był rzeczywiście wyjątkowo wspaniały. Wszyscy oni szli obwieszani klejnotami, tak jakby cały ubiór był z nich zrobiony. Wspaniałe szmaragdy lśniły blaskiem oślepiającym nawet w tej powodzi świetnych klejnotów.

Owi maharadzowie stanowili jeden z głównych pun-

któw zainteresowania podczas jubileuszu. Królowa jechała sama, otwartym powozem. Sprawiała wrażenie osoby drobnej, delikatnej i zmęczonej, ale jak zawsze pełnej godności. Mimo iż była już starą kobietą — wyglądała bardzo majestatycznie. Jej majestat zdawał się rosnać z biegiem lat. Tego dnia jechała w koronie na głowie i w otwartym powozie, aby każdy z wiernych poddanych mógł ją zobaczyć. Uroczystość była tak piękna, że sama myśl o tym dziś jeszcze mnie wzrusza.

Świetną tę paradę oglądałem z balkonu przyjaciela na ulicy St. James. Największe wrażenie, poza widokiem królowej i maharadzów, uczynił na mnie kroczący na czele tego olbrzymiego pochodu — dudziarz. On to właściwie prowadził cały pochód, a był doprawdy niezwykle malowniczą postacią. Szkot-olbrzym, specjalnie na tę okazję wybrany, mierzył ponad dwa metry. Pomimo tak ogromnego wzrostu był zgrabny i uderzająco piękny — dziś jeszcze stoi mi przed oczyma i może nawet pamiętam go lepiej niż owych strojnych w bezcenne klejnoty Hindusów. Wciąż jeszcze widzę go grającego na dudach i majestatycznie kroczącego. Wzbudził wówczas we mnie dreszcz zachwytu.

Jubileusz królowej Wiktorii był pięknym oddźwiękiem uczuć jej poddanych oraz ukoronowaniem całości jej długoletniego panowania. Już w pierwszej chwili, kiedy miałem zaszczyt ją poznać, królowa wydała mi się indywidualnością o wielkiej potędze ducha. Rok przed śmiercią przysłała po mnie, bym znowu zagrał dla niej w Windsorze. Po tylu już latach stoi mi jak żywa przed oczyma, widzę ją i słyszę, i wydaje mi się, że znów patrzę na piękny pokój i starą, zmęczoną, siedzącą w fotelu kobietę. Jak za pierwszym razem, tak i wówczas zachowała się w stosunku do mnie bardzo uprzejmie i przyjaźnie, a uśmiech jej zawsze był pełen wdzięku. Posiadam bardzo dobrą fotografię królowej, którą mi wtedy ofiarowała — tylko uśmiech jest na niej inny, żadna kamera nie potrafiłaby go oddać. Była

nieduża i tęga, o wyglądzie zupełnie nieromantycznym. Jednakże dusza jej kryła wiele mocy, godności i piękna. I mimo że umarła — żyje w książkach, filmach i sztukach teatralnych. Ta mała, lecz potężna duchem postać nie odeszła od nas na zawsze — żyje w pamięci ludzkiej, a my z szacunkiem chylimy głowy przed jej prawdziwie królewskimi zaletami.

Była to epoką wybitnych ludzi w Anglii. W ciągu kilku spędzonych tam lat, pamiętnych dla mnie, miałem możliwość poznania większości z nich; niektórzy dramatycznie zapisali się w mej pamięci, z wieloma zawarłem przyjaźń.

Jedno z najprzyjemniejszych i najtrwalszych wspomnień zachowałem o księciu Connaught, generalnym gubernatorze Irlandii, którego poznałem w Dublinie. Przypadkowo miałem sposobność przekonać się o jego wyjątkowej uprzejmości. Był na moim koncercie i podczas przerwy przysłał swego adiutanta z prośbą, bym go odwiedził w łoży. Rozumie pani, że zaproszenie takie równało się rozkazowi. Chociaż nie zwykłem rozmawiać z nikim w czasie występu, w tym wypadku jednak z przyjemnością spełniłbym jego życzenie. Niestety, by się dostać do jego łoży, musiałem przejść przez całą salę koncertową, na co bynajmniej nie miałem ochoty. Okolicznością tą usprawiedliwiłem więc swoją odmowę. W kilka minut potem adiutant powrócił, mówiąc: „Szanowny panie, przykro nam, że przeszkadzamy panu. Jego Książęca Wysokość doskonale zdaje sobie sprawę z pana położenia i polecił mi powiedzieć, że za chwilę przyjdzie do łoży znajdującej się przy estradzie, w której już bez przeszkód będzie mógł z panem porozmawiać”.

Wzruszyła mnie jego uprzejmość. Po tym fakcie może pani osądzić, jakim był łaskawym i pełnym prostoty człowiekiem. Wielokrotnie widywałem go później, a po raz ostatni na odsłonięciu pomnika Lincolna w 1920 roku w Londynie. Dzień był chmurny, i gdy tylko rozpoczęły się przemówienia, lunął deszcz; sto-



jacy przy mnie księżę Connaught okazał się na tyle uprzejmy, że zaprosił mnie pod swój parasol, mówiąc, że doskonale osłoni nas obu.

Na uroczystości tej przemawiał Lloyd George, jak zwykle bardzo dobrze, obdarzony był bowiem dużym poczuciem humoru. O ile pamiętam, dnia tego nie zwracałem jednak większej uwagi na jego słowa, przejęty rozmową, jaką miałem z nim kilka godzin przedtem, oraz jego odmową w pewnej bardzo dla mnie ważnej sprawie. Byłem wówczas delegatem Polski na konferencji ambasadorów w Paryżu, gdzie rozstrzygano wyjątkowo ważny problem. Problem ten dotyczył Polski, a uchwała konferencji okazała się dla Polski bardzo niepomysłna. Niezwłocznie więc udałem się do Londynu do Lloyd George'a, prosząc go, by wpłynął na zmianę jej — w uprzejmy i przyjacielski sposób oznajmił mi, że jest to niemożliwe. Odpowiedź ta tak mnie przynębiła, że niechętnie, muszę przyznać, słuchałem jego mowy. Przemówienia Lloyd George'a na ogół jednak podobały się, były zwykle bardzo dowcipne. Zabawna historia zdarzyła się kiedyś w okresie wzmożonej działalności sufrażystek, na czele których stała pani Pankhurst z córką. Lloyd George przeciwny był udzieleniu kobietom praw wyborczych, stale też, i przyznać trzeba, z dużym powodzeniem walczył z sufrażystkami. Pewnego dnia, gdy odbywało się zebranie tych energicznych kobiet, Lloyd George również na nim przemawiał i widocznie musiał użyć silnych, przekonywających argumentów, gdyż jedna z obecnych na sali kobiet ze złością wykrzyknęła: „Gdyby pan był moim mężem, bez wątpienia otrułabym pana!” Lloyd George odpowiedział ze spokojem: „Droga pani, gdybym ja był pani mężem, z pewnością sam zażyłbym truciznę”.

Podczas wojny i po wojnie często go widywałem, o tym jednak będę mówił później. Teraz powracam do wcześniejszych dni, bardzo dla mnie ciekawych ze względu na poczynione w Anglii znajomości z wy-

bitnymi ludźmi. Stosunki z mężami stanu miały dla mnie dużą wartość, gdyż w głębi serca marzyłem zawsze o możliwości przysłużenia się ojczyźnie, a przyjaźń z tymi mądrymi ludźmi wzbogacała moją wiedzę o polityce. Bardzo szczęśliwy to dla mnie traf, że miałem sposobność poznawać ich w wielu krajach, a szczególnie w Anglii, przed i podczas wojny.

Miłe wspomnienia zachowałem też o lordzie Rosebery. Początkowo znaliśmy się mało, zbliżyliśmy się dopiero podczas wojny. Pewnego razu zwróciłem się do niego w pewnej sprawie. Był już wtedy stary i zmęczony, nie odmówił jednak mej prośbie, gdy zaproponowałem mu członkostwo powstałego w czasie wojny Komitetu Pomocy dla Polaków<sup>1</sup> — zgodził się bez wahania. Uprzejmie tylko zawczasu przeproszał, jeżeli z powodu zdrowia i wieku nie zawsze będzie mógł być obecny na zebraniach. Rozmawialiśmy dużo o Napoleonie (był to jego ukochany temat); w domu lorda Rosebery znajdowało się wiele pamiątek po cesarzu. Zebrał szereg wiadomości o epoce Napoleona, napisał nawet o nim książkę, cenną dla ludzi interesujących się tymi czasami.

Lorda Morleya i lorda Haldane'a poznałem już w pierwszych latach pobytu w Londynie. Lord Morley był wybitną postacią owych lat. Spotkałem go dwukrotnie na lunchu u Mr. Herberta Asquitha, ówczesnego premiera Anglii. W związku z tym lunchem przypomniało mi się pewne zdarzenie, o którym opowiem później.

O wiele lepiej znałem i bardzo lubiłem lorda Haldane'a. Wydaje mi się, że po wojnie wielu współczesnych ludzi sądziło go niesprawiedliwie, uważając za człowieka

<sup>1</sup> Na czele Komitetu, zorganizowanego w r. 1914 w Vevey, stanęli H. Sienkiewicz, A. Osuchowski i I. J. Paderewski, który równocześnie był prezesem-delegatem na Amerykę. Z początkiem następnego roku Paderewski zorganizował oddział Komitetu w Londynie. (Przyp. red.)

o orientacji proniemieckiej. To nieprawda — był lojalnym Anglikiem, szkockiego zresztą pochodzenia. Każdy, kto studiuje w Niemczech, czy to Anglik, czy Amerykanin, do pewnego stopnia staje się przyjacielem Niemców. Posiadają oni bowiem dziwną właściwość zdobywania sobie umysłów ludzkich. Ja również jako młody człowiek studiowałem w Berlinie i muszę przyznać, że do dziś zachowałem z owego okresu dużo miłych wspomnień o różnych ludziach, o ich uprzejmości i zwyczajach. Jeśli natomiast chodzi o ich system polityczny, to stanowczo i zdecydowanie jestem jego wrogiem — wrogiem Niemiec. Mówiąc to, nie wyrażam się zupełnie ściśle, gdyż właściwie nie jestem wrogo nastawiony do wszystkich Niemców, lecz wyłącznie do Prusaków, bowiem wszystkie cechy niemiłe, jak: bezwzględność, brutalność, zarozumiałość i arogancja, które obserwujemy dzisiaj w Niemczech, zostały narzucone przez Prusaków.

Podobnie myślał też i lord Haldane. Przebywał również na uniwersytecie w Niemczech i mile wspominał tamtejszych profesorów. Pełen był podziwu dla niemieckiej nauki i filozofii, a już specjalnie zachwycił się Heglem. O tym ostatnim napisał parę książek; przysłał mi je, nadal czytam je z zaciekawieniem. Przyznać muszę, że dyskusje z Haldane'em dawały mi dużo zadowolenia, gdyż poruszaliśmy stale wiele ciekawych tematów.

O wszystkich tych osobach myślę dziś z największym podziwem, gdy kolejno teraz pojawiają się przed moimi oczami. To doprawdy wspaniali ludzie, w swoim czasie odegrali wybitną rolę i wywarli ogromny wpływ na ówczesną epokę. Zainteresowanie i udział, jaki brali w życiu politycznym swych krajów, stanowiły dla mnie wzór godny naśladowania; nie byli politykami, ale mężami stanu. Obecnie, gdy miewamy jedynie polityków, należy to specjalnie podkreślić.

W domu mego przyjaciela lorda Charlesa Stuarta of Wortley spotykałem wielu z tych mężów stanu. Lord Stuart był moim bardzo bliskim i drogim przyjacielem, niestety nie żyje już od paru lat. Pozostała po nim wdowa — córka sir Johna Millaisa, znakomitego malarza angielskiego; od śmierci męża stale robi na mnie wrażenie ptaka, któremu podcięto skrzydła. Lord Stuart of Wortley był wielokrotnie członkiem rządu, chętnie zatem rozmawiałem z nim o polityce. W każdym kraju, gdzie przebywałem, miewałem możliwość poznawania i spotykania wybitnych ludzi ze świata politycznego. Wzbogacało to moje życie i było przygotowaniem do tego, co miało nastąpić wiele lat później. Łączy się to jednak z moimi późniejszymi wspomnieniami, o których obecnie nie zamierzam mówić. [...]

Muszę jeszcze wspomnieć o wybitnym człowieku, który nie należy zresztą do okresu mego życia, o którym obecnie mówimy, ale ponieważ był istotnie ważną osobistością, pozwolę sobie, wobec pani przyzwolenia, już teraz przytoczyć wiążącą się z nim zabawną historijkę.

Działo się to wiele lat przed wojną. Znajdowałem się wówczas w Lyonie, dokąd jeździłem każdego sezonu na występy i gdzie zazwyczaj pozostawałem dłuższy czas, miałem tam bowiem kilku serdecznych przyjaciół. W domu jednego z nich poznałem, nie pamiętam już przy jakiej okazji, prefekta miasta. Francja ma wprawdzie wielu prefektów, ale niewielu z nich doszło do tak ważnego stanowiska jak Jules Cambon, który w roku 1914 — roku rozpoczęcia wojny — był ambasadorem francuskim w Niemczech.

Jak już mówiłem, poznałem go u jednego z przyjaciół zupełnie przypadkowo i dopiero wiele lat później ze spotkania tego wynikły bardzo poważne skutki. Nie będę opowiadał o karierze życiowej Cambona, wszyst-

kim bowiem znane są jego wielkie usługi oddane Francji w czasie wojny, a także i to, co wówczas uosabiała jego postać, oraz znaczenie, jakie obecnie przypisuje się tym sprawom. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Otóż gdy w trzydzieści lat później, w czasie konferencji pokojowej w roku 1919 przybyłem do Paryża i znalazłem się w domu pana X, zbliżył się do mnie jeden z członków polskiej delegacji ze słowami: „W odpowiedniej chwili znalazł się pan tutaj, chciałbym bowiem przedstawić pana pewnej ważnej osobistości tu właśnie obecnej”. Wyraziłem swą zgodę i przeszliśmy do drugiego pokoju, gdzie ujrzałem stojącego — Cambona. Mój towarzysz szybko podszedł do niego i bez żadnego wstępu powiedział: „Pozwoli pan, że przedstawię mu naszego premiera —< pana Paderewskiego”. Cambon spojrział tylko na mnie i natychmiast powiedział: „Spóźnił się pan o całe trzydzieści lat, gdyż z panem Paderewskim znamy się już od dawna”.

Doniosłe chwile przeżywaliśmy w owych czasach. Cambon odgrywał na konferencji pokojowej ważną rolę. Od chwili naszego poznania w roku 1888 żywiłem wiele serdecznych uczuć w stosunku do niego, a on odpłacał mi szczerą przyjaźnią. Był człowiekiem silnego charakteru. Podczas trwania konferencji znajdowałem w nim zawsze duże oparcie. Widziałem go ostatnio trzy lata temu i pomimo że wyglądał na swoje dziewięćdziesiąt jeden lat, zachował jasny umysł i nieustraszonego ducha. Obecnie już nie żyje — umarł parę tygodni temu w Vevey, dokąd pojechałem oddać mu ostatnią posługę.

Jakiż wdzięczny jestem losowi, że dał mi podczas mych niezliczonych podróży możliwość poznania aż tylu wielkich mężów stanu. To zrządzenie losu okazało mi się dużą pomocą w następnych latach, podczas wojny, która odmieniła kompletnie mapę Europy, a jednocześnie i losy mojej ojczyzny. Rozgrywka ta musiała

nadejść! Już czterdzieści lat przedtem była przedmiotem dyskusji i przewidywań niektórych mądrych i dalekowzrocznych ludzi. W kilku domach w Anglii byłem świadkiem, jak o niej mówiono. Wielki angielski znawca spraw wojskowych, lord Roberts, przepowiadał stale wojnę na długo przed jej wybuchem. Niezmiernie żałuję, że go nie znałem!

Lord Roberts zawsze żywo interesował się francuską wiedzą wojskową i cenił ją bardzo wysoko, cieszył się też dzięki temu dużą sympatią narodu francuskiego. Często odwiedzał Francję. Ostatni raz był tam pięć czy sześć lat przed wybuchem wojny. Po powrocie wiele mówił w Anglii o sprawach dotyczących polityki i strategii wojskowej; wtedy już przepowiadał wojnę. Był jednym z niewielu, którzy twierdzili stanowczo, że „Francja zwycięży, ale nie sama. Powstanie bowiem koalicja, zwrócona przeciwko dwom centralnym potęgom, które też będą miały swoich sprzymierzeńców”. A potem dodał: „Ostateczne zwycięstwo odniesie obecny komendant szkoły wojskowej w Saint-Cyr — generał Foch, on bowiem wydaje mi się największym geniuszem wojskowym obecnych czasów”. Prorocze słowa!

Muszę przyznać, że i ja przewidywałem wojnę, i pamiętam doskonale, że mówiłem o tym w roku 1908, w domu mego przyjaciela lorda Stuarta of Wortley. Siedzieliśmy przy obiedzie w niedużym gronie, rozmawiając przyjaźnie. Nastrój panował wyjątkowo miły; smutek mnie teraz ogarnia, gdy pomyślę, że wszyscy znajdujący się tam ludzie już nie żyją. Poza lordem Charlesem obecni byli lord Beresford i lord Northcliffe (ostatni nie posiadał jeszcze wtedy tytułu). Podczas rozmowy odezwałem się nagle:

— Jeśli już o tym mówimy, to zdaniem moim, za parę lat czeka Anglię wojna.

— Wojna! Ale z kim ta wojna? — zapytali wszyscy jednogłośnie.

— Naturalnie z nikiem innym, tylko z Niemcami.

Lorda Charlesa oburzyły moje słowa, nie wierzył w nie zupełnie. Northcliffe jednak zgadzał się ze mną i powiedział:

— Ma pan słuszność, Niemcy już się do niej przygotowują, chociaż nikt nie daje temu wiary.

Lord Beresford, który piastował stanowisko w marynarce angielskiej, dodał:

— Podzielam pańskie zdanie, Niemcy istotnie przygotowują potężną flotę.

Ciekawa ta rozmowa potoczyła się w dalszym ciągu. Beresford i lord Northcliffe byli zdania, że nie może być nawet mowy o pobiciu Anglii, pamiętam jednak dobrze, że lord Charles mówił, iż istnieją też inne poza wojną sposoby załatwiania drażliwych problemów pomiędzy dwoma narodami. Muszę jednak dodać, że i on z czasem zmienił zdanie.

Przeżywaliśmy więc, jak pani widzi, chwile różnorodnych przewidywań, każda nowa znajomość, każda przypadkowa rozmowa wywoływały wciąż nowe prognozyki dotyczące nadchodzących lat. Taką właśnie chwilę przeżyłem kiedyś w domu Asquitha, gdy był premierem, wiele lat po pierwszym z nim spotkaniu. Zaprosił mnie na lunch — było to przyjęcie na większą skalę. Zastałem dużo wybitnych osób, panował bardzo miły nastrój. Wśród obecnych gości znajdował się pewien Rosjanin, piastujący widocznie wysokie stanowisko, sądząc po szacunku, z jakim wszyscy się do niego odnosili. Niestety, przy prezentacji nie dosłyszałem jego nazwiska i dopiero na samym końcu przyjęcia dowiedziałem się, kto to był. Po lunchu, gdy panie opuściły salę jadalną, a mężczyźni pozostali, by wypalić papierosa, zbliżył się do mnie lord Morley i rozpoczął pogawędkę.

— Jak pan widzi, zgromadziła się tu dzisiaj spora ilość polityków; niektórzy z nas pragnęliby, rzecz prosta, stale znajdować się u szczytu władzy i popularności. Ale nich mi pan powie, czy znajduje się tu choć

jeden, z którym pan, cieszący się dziś taką popularnością i władzą, pragnąłby zamienić się rolami?

— Owszem, jest taki — odparłem szybko. — Chętnie na pewien czas zamieniłbym dzisiaj swe panowane nad ludźmi na jego władzę — jest nim Stołypin. (Stołypin piastował wtedy w Rosji urząd premiera.)

— Dlaczego z nim właśnie? — lord Morley ze zdziwieniem popatrzył na mnie. — Dlaczego?

— Z tej prostej przyczyny, że mając jego możliwości, mógłbym uczynić dużo dobrego dla mego kraju, wiele dla polepszenia warunków życiowych mego narodu.

— Tak, rozumiem — odrzekł powoli lord Morley — lecz zapewne długo nie utrzymałby się pan przy tej władzy.

— To już inna sprawa, nie wiem, czy okoliczności pozwoliłyby mi długo utrzymać się na tym stanowisku, lecz rad byłbym posiadać je chociaż przez krótki czas.

W tej chwili goście wstali od stołu i Mr. Asquith poprowadził nas do przyległego pokoju. W drzwiach lord Morley zatrzymał nagłe Asquitha i śmiejąc się powiedział:

— Muszę panu coś ciekawego powiedzieć. Otóż przed chwilą pan Paderewski wyznał mi, że chętnie zamieniłby wpływ, jaki wywiera na publiczność, na władzę Stołypina.

— Dlaczego? — zapytał krótko Asquith, wyrażał się bowiem niekiedy oschle i krótko. Widocznie był jeszcze pod wrażeniem rozmowy prowadzonej z owym rosyjskim dygnitarzem.

— Dlaczego? Otóż z tego powodu, że będąc w posiadaniu władzy Stołypina, mógłby przyjść z pomocą swej własnej ojczyźnie — Polsce.

Na co Asquith z nadmierną powagą, jaką nieraz przybierał, odrzekł prosto z mostu:

— Nie ma żadnej nadziei na przyszłość dla ojczyzny pana — żadnej!



Przez krótką, pełną napięcia chwilę słowa te zawisły w powietrzu. Potem powiedziałem:

— Panie premierze, tak różne rzeczy dzieją się na świecie, że tego, co przyniesie przyszłość, nawet premier angielski nie jest w stanie przewidzieć i przepowiedzieć!

Skończmy już jednak z opowiadaniem o mężach stanu i politykach, wspomnienia te bowiem wyprzedziły o dobrych kilka lat okres rozwoju mojej kariery muzycznej. Najchętniej jednak mówi się o tym, co właśnie przychodzi na myśl, najwidoczniej więc nasz obecny nastrój czy skłonność skierowały nas w tym kierunku. Wszystko to, o czym mówiliśmy, jest jednak bardzo ważne — ma duże znaczenie dla historii mego życia. Są to tylko dygresje od głównego tematu. Według powszechnie używanego przysłowia: „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”, zbyt dużo-opowiadań o koncertach też mogłoby znużyć. Niemniej powróćmy teraz do moich koncertów, do drugiego sezonu w Ameryce i do mego chorego czwartego palca! Pomimo tego nie-szczęsnego palca i wzmagającego się wciąż okropnego bólu w ramieniu, spowodowanego przepracowaniem w okresie pierwszego tournée po Ameryce — dotrzymałem wszystkich zobowiązań dotyczących koncertów we Francji i Anglii.

Gdy więc engagements we Francji i Anglii dobiegały końca, postanowiłem szukać skutecznej pomocy u ówczesnych sław lekarskich. Przepisali mi najróżniejsze metody leczenia, nie przyrzekając jednak szybkiego i kompletnego wyleczenia. Tymczasem zbliżał się już termin drugiego tournée po Ameryce, byłem zatem w rozpacz.

Należało oczywiście przygotować kilka nowych programów, całkowity wypoczynek był więc nie do pomyslenia; musiałem zabrać się do pracy, i to już w najbliższym czasie. Po dłuższym okresie kuracji z przerażeniem stwierdziłem, że koniec września już blisko, a nie tylko nie dostrzegłem żadnej poprawy, lecz stan

mego palca był taki, że uniemożliwiał jakiegokolwiek ćwiczenia na fortepianie. Pogorszył się tak znacznie, że musiałem pogodzić się z losem i odłożyłem wyjazd na koniec grudnia tegoż roku.

W okresie przymusowego odpoczynku natrafiłem w Paryżu na masażystę, którego zabiegi przyniosły mi po raz pierwszy rzeczywistą ulgę. W znacznym stopniu przywrócił mi siłę w ramieniu, lecz palec niestety w dalszym ciągu pozostał sztywny. Postanowiłem więc według jego wskazówek zabrać się sam do leczenia, stosując bardzo powolną, lecz systematyczną gimnastykę. Po pewnym czasie doprowadziłem do tego, że mogłem już poruszać palcem, co było zasługą owego masażysty, zwykłego felczera, a nie żadnego z lekarzy. Przez czas dłuższy uprawiałem te ćwiczenia i stan palca stale, dzień po dniu się poprawiał. Mimo to jednak czwarty palec pozostał przez ponad trzydzieści lat słabszy od pozostałych.

Smutno zapisał mi się w pamięci ten okres życia. Dziwię się, że mój system nerwowy wytrzymał i że nie załamałem się zupełnie. Działo się to wówczas, gdy dochodziłem już do celu, gdy byłem na drodze do zdobycia dużej fortuny. Cieszyłem się niezłą opinią jako pianista — i właśnie wówczas musiała nastąpić ta katastrofa. Nie miałem jeszcze trzydziestu dwóch lat, a stałem się do pewnego stopnia kaleką.

Nie straciłem jednak całkowicie nadziei, a nawet, czując się lepiej, odważyłem się zabrać do przygotowywania dwóch nowych programów. Wkrótce też poczułem dość sił, by rozpocząć drugi objazd po Ameryce. Ten sezon, pomimo niezadowolającego jeszcze stanu palca, a więc pomimo niezupełnie pewnej gry, okazał się dużym sukcesem. Przewyciężyłem niesprzyjające okoliczności, a gdy spoglądam wstecz na te lata, wszystko wydaje mi się po prostu jakimś cudem.

By przekonać się o wartości fortepianów (a także repertuaru), występowałem zwykle najpierw w małych

miejscowościach, gdzie nie miałem żadnych przyjaciół lub oficjalnych znajomości; robiłem to również w tym celu, aby mieć pewność, że wśród publiczności nie ujrzą nikogo, kto mógłby mi przeszkadzać w zupełnym skupieniu umysłu. Zwykle parokrotnie grywałem każdy nowy program w różnych mniejszych miastach, zanim wystąpiłem z nim w Bostonie, Nowym Jorku czy Chicago.

Drugie tournée rozpocząłem pod dobrą wróżbą. Fortepiany steinwayowskie zastałem w jak najlepszym stanie. Były tak starannie skonstruowane i dla mnie specjalnie przygotowane, że naprawdę nie mogłem im nic zarzucić, tylko grać i zachwycać się tymi cudownymi instrumentami.

Uważam, że fortepianom Steinwaya należy się tutaj specjalna wzmianka — są bowiem najwspanialsze na świecie. Przed nimi za najlepsze uchodziły fortepiany Erarda. Erard był w istocie twórcą fortepianu, a system konstrukcji jego instrumentów zastosowano we wszystkich fabrykach na świecie. Pod względem techniki konstrukcja jego fortepianów jest też najdoskonalsza, a ściślej mówiąc, była najdoskonalsza aż do ostatnich czasów. Obecnie jednak dorównały im fortepiany Steinwaya. Dźwięk Steinwayów jest wspaniały. Brzmienie fortepianów Erarda zaś nie jest już, moim zdaniem, tak piękne: zbyt ostre i nie tak przyjemne dla ucha. Można by powiedzieć, że odzwierciedla charakter francuskiej rasy. Jest precyzyjne, jasne, eleganckie i doskonałe technicznie, lecz tylko temu, kto naprawdę opłynał fortepian Erarda, udaje się wydobyć z niego rzeczywiście piękne i śpiewne brzmienie. Natomiast fortepian Steinwaya ze swym wspaniałym dźwiękiem ma stale śpiewne brzmienie, bez względu na to, kto na nim gra.

Sezon mój już od samego początku okazał się bardzo udany. Przyjmowano mnie wszędzie entuzjastycznie, powrót do Ameryki dał mi więc duże zadowolenie.

Odczułem też wkrótce, że należą do społeczeństwa amerykańskiego, pokochałem kraj i jego mieszkańców, a uczucie to przetrwało przez wszystkie lata. Na początku dałem sporo recitali w Nowym Jorku, a także w Filadelfii. W związku z koncertami w tym mieście spotkał mnie jeszcze jeden wypadek, a raczej przygoda, która omal że nie stała się powodem przerwania mego tournée, a w każdym razie spowodowała kilkudniową przerwę w występach. Chciałbym, jeśli pani pozwoli, opowiedzieć o tym w dzisiejszym naszym rozdziale.

W Filadelfii miało się odbyć otwarcie nowego składu fortepianów Steinwaya — proszono mnie o wzięcie udziału w tej uroczystości. Przyjąłem zaproszenie i zaraz po recitalu — doskonale to pamiętam — udałem się do sali recepcyjnej, gdzie miało się odbyć przyjęcie. Musi pani pamiętać, że każdy recital jest bardzo ciężką pracą i wymaga dużego wysiłku umysłu, nerwów i całego ciała; wyczerpuje organizm do ostatecznych granic. Nie jest rozrywką ani — jak byście powiedzieli w Ameryce — piknikiem. Ten właśnie recital był szczególnie męczący, gdyż sam program trwał około dwóch i pół godziny, poza tym dochodziły liczne bisy, byłem więc zmęczony i kompletnie wyczerpany. Na szczęście nie domyślałem się, co mnie tego dnia jeszcze czeka, w przeciwnym bowiem razie, pomimo obietnicy, nie zdobyłbym się na wzięcie udziału we wspomnianej uroczystości. Znalazłszy się na sali, ze zdumieniem ujrzałem tam w komplecie prawie wszystkich słuchaczy oczekujących mego przyjścia. Musiałem dostosować się do sytuacji i uściśnąć każdemu rękę. Położenie moje było rozpaczliwe, a prawa ręka tak mi spuchła, że z konieczności podawałem lewą. Na sali znajdowało się około tysiąca osób, a każdy aż dwa razy uściśnął moją dłoń. Straszne to było. Pomyślałem sobie, że jeszcze jedna taka uroczystość, a nie mógłbym już w ogóle grać.

W Filadelfii grywałem często, zawsze z dużym powodzeniem i z wielką przyjemnością. Przypomina mi

się tu jedna jeszcze zabawna historyjka w związku z podawaniem ręki; także zdarzyła się już wiele lat temu. Po koncertach w Filadelfii zwykle wracałem zaraz do Nowego Jorku. Tego dnia zamówiłem w sławnej restauracji starego Delmonico na rogu Dwudziestej Szóstej ulicy Broadwayu mały obiad dla kilku moich bliskich przyjaciół i cieszyłem się myślą o tym niewielkim przyjęciu. Wchodząc dość wcześnie do sali restauracyjnej, zobaczyłem ze zdziwieniem liczne grono rozmawiających wesoło osób. Widocznie jakieś stowarzyszenie (zdaje mi się że było to stowarzyszenie jubilerów z Nowego Jorku) urządzało tam swój doroczny bankiet. Obstalowany przeze mnie obiad był — jak się okazało — przygotowany w prywatnym gabinecie. Zanim poszedłem przywitać się z przyjaciółmi, na chwilę udałem się do garderoby; zdjąłem już okrycie, gdy nagle wpadł jakiś jegomość, wyraźnie rozglądając się za kimś; na mój widok zatrzymał się raptem i wpatrzył się we mnie. Następnie podszedł kilka kroków bliżej, wciąż przyglądając się szeroko otwartymi oczami oraz, mogę śmiało rzec, z szeroko otwartymi ustami.

— Jakie to dziwne — powiedział po chwili. — Doprawdy bardzo dziwne.

Spojrzałem na niego zdumiony.

— Jest to rzeczywiście najdziwniejszy wypadek, jaki kiedykolwiek spotkał mnie w życiu — mówił dalej, przyglądając mi się bacznie.

Miałem wrażenie, że widok mojej osoby działał na niego hipnotyzująco. Tak bardzo wydawał się oszołomiony, że musiałem wreszcie powiedzieć:

— Co takiego wydaje się panu tak bardzo niezwykle?

— Ależ pan ogromnie przypomina tego grającego na fortepianie jegomościa — Padrooskiego — te same włosy, krawat, buty, taka sama marynarka. Czegoś podobnego jeszcze w życiu nie widziałem. Pan jest zupełnie identyczny. Kim pan jest?

Uśmiechnąłem się mówiąc:

— Jestem Paderewski.

— Co?! Pan jest Paderewskim, pan? Niemożliwe! Czy naprawdę pan jest Padrooskim? Rzeczywiście? Niechże pan powie!

— Tak jest; rzeczywiście jestem Paderewski— nikt inny, tylko Paderewski.

— Wielki Boże! — wykrzyknął i pozostawiając drzwi szeroko otwarte, wybiegł z pokoju wołając: Chłopcy, chłopcy — panie Johnson, panie Smith, panie Jones, szybko, szybko przyjdźcie tu zaraz wszyscy, żebym was mógł zapoznać z moim przyjacielem, panem Padrooskim.

Wkrótce otoczył mnie tłum nie znanych twarzy, a wszyscy ci ludzie napływali zewsząd jak fale morskie. Goście moi czekali, gdy ja tymczasem musiałem witać się z około dwustu osobami, a mój nowy, poznany w garderobie przyjaciel, wykrzykując i gestykulując z wielkiego zachwytu, a w przerwach poklepując mnie po ramieniu i ściskając serdecznie, przedstawiał wszystkim swoim kolegom i znajomym.

Po tym epizodzie miałem wrażenie, że mimo stosunkowo krótkiego pobytu znany już jestem w całej Ameryce i że moje włosy, które, jak kiedyś pani mówiłem, tak bardzo nie podobały się panu Filipowi Hale, stały się powodem, iż wszędzie mnie rozpoznawano — i na to nie było rady.

Wszyscy amerykańscy krytycy, pomiędzy nimi tacy wybitni, jak Filip Hale, odnosili się do mnie bardzo życzliwie. Ale człowiekiem, który pierwszy napisał kilka pochlebnych słów o mnie i robił to do końca, był Henry T. Finek. W recenzjach jego było może więcej przychylnego uczucia niż obiektywnego sądu. Chwalił mnie zawsze, nawet gdy występ był mniej udany, co zdarzało się czasem, jeśli czułem się gorzej niż zwykle. Kilku innych krytyków także ustosunkowało się życzliwie, ale znaleźli się również i tacy, którzy wyrażali się o mnie ze znacznie mniejszym zachwytem.

James Huneker należał do wielbicieli mego talentu.

Specjalnie o nim wspominam, gdyż był naprawdę wyjątkowym człowiekiem i krytykiem, a jako doskonały muzyk, znał się dobrze na grze fortepianowej. Studia muzyczne ukończył w Paryżu i grał świetnie. Początkowo jego krytyki były bardziej entuzjastyczne niż wszystkie inne. Gdy jednak zaczął pisywać do pewnego czasopisma muzycznego (należał do zespołu redakcyjnego), przejął się jego zasadami i musiał dostosować się do linii tegoż pisma, które posiadało wówczas kierunek merkantylny — jego recenzje nabrały wtedy odmiennego charakteru. Rzecz prosta, nie mogłem brać mu tego za złe, lecz przeżyłem wówczas wiele przykrych chwil.

Dlaczego? Och, to długa historia. Nie chciałbym obecnie wspominać i opowiadać o ludziach, którzy może niezupełnie uczciwie postępowali w przeszłości. Mam na myśli nie tylko stosunek ich do mej własnej osoby, lecz chodzi mi o ich postępowanie wobec ogółu, a wyżej wymienione czasopismo muzyczne występowało nieraz w sposób bardzo niewłaściwy. Wolałbym tu jednak nie mówić o faktach, jakie zaszły po pewnym czasie; jeśli o mnie chodzi — wszystko zakończyło się doprawdy wzruszającymi przeprosinami. Główny winowajca, naczelny redaktor, autor tych oburzających i krzywdzących mnie ataków, na krótko przed swą śmiercią przyszedł osobiście mnie przeprosić. W danym okresie jednak cała ta historia sprawiła mi wiele zmartwienia. Wiem też, że dużo osób słyszało o niej i pewnie jeszcze pamięta. Osoba Hunekera przypomina mi ów przykry epizod, chociaż nie miał on z tym nic wspólnego — doprawdy zupełnie nic.

Finek, jak już mówiłem, był doskonałym krytykiem i świetnym znawcą muzyki. Jak wielu z nas, miał jednak swe upodobania i przesady. Różnica między nim a innymi krytykami polegała na tym, że Finek zawsze Szczerze wyrażał to, co myślał, podczas gdy inni potrafili, stosownie do okoliczności, zmieniać swe zapatrywania



i uprzedzenia nawet w ciągu jednego sezonu. Finek był człowiekiem rzadkiego charakteru, interesującym i dobrym; umarł parę lat temu<sup>1</sup>, mając za sobą długoletnią, wybitną karierę. Za jego życia widywaliśmy się dość często; parę razy odwiedzał mnie w Morges ze swą małżonką, wyjątkowo miłą i inteligentną osobą, dla której żywiłem również wielką i szczerą sympatię.

Drugie tournée po Ameryce musiałem przerwać nagle, w okresie fenomenalnego wprost powodzenia finansowego, z powodu nowego katastrofального wypadku. Zrzędzeniem losu znów spadł na mnie nowy cios. Tak jest, proszę pani, moje ręce. Miałem znowu wypadek z rękami. Zaproszono mnie wraz z Janem i Edwardem Reszkami oraz jeszcze kilku innymi artystami na obiad do domu pewnej damy, znanej ze swej gościnności. Obiad był wspaniały, towarzystwo uroczne, a sama pani domu pełna wdzięku i wyjątkowo interesująca. Przyjęcie było — można powiedzieć — doskonale wyreżyserowane. Po obiedzie zapanował tak sympatyczny nastrój, że chociaż na ogół po zjedzeniu czegośkolwiek nigdy nie grywałem, nie mogłem odmówić uroczej gospodyni zagrania „paru tylko, i to niewielkich utworów”. Wręcz przeciwnie niż w opowiadaniu o Chopinie, który — gdy go raz proszono, żeby zagrał po obiedzie — odrzekł szybko: „Ależ proszę pani, jadłem przecież tak mało”. Co do mnie, to w tym wypadku uważałem, że powinienem właśnie zagrać, gdyż jadłem tak dużo!

Tak więc ponieważ nikt inny nie zamierzał przyczynić się do urozmaicenia wieczoru, czułem się w obowiązku sam to uczynić. Parę godzin przedtem miałem jednak recital, wobec czego ręce zmęczone były długą grą. Poza tym przypuszczalnie musiałem uszkodzić nieznacznie naskórek na palcu, czego zresztą wówczas nie zauważyłem. W każdym razie gdy tylko dotknąłem

H. Finek umarł w r. 1926. (Przyp. red.)

klawiszy, od razu poczułem, że coś jest nie w porządku z moimi palcami. Konsekwencje, jakie później z tego wynikły, były fatalne, gdyż w jednym z palców wywiązała się infekcja. Sytuacja była wprost tragiczna, zbliżała się bowiem termin koncertu kameralnego. Przyrzekłem przecież kwartetowi Adamowskich, że wezmę udział w ich koncercie, i bardzo pragnąłem dotrzymać obietnicy ze względu na długoletnią naszą przyjaźń. Wszystkie bilety na koncert zostały wyprzedane, byłem już wtedy bardzo popularny w Ameryce, a nazwisko moje oznaczało zapełnioną salę. W żadnym zatem wypadku nie mogłem sprawić im zawodu, wycofując się w ostatniej chwili — musiałem więc grać.

W przededniu koncertu cierpiałem tak okropnie, że z rozpaczą myślałem o tym, czy w ogóle będę w stanie się do fortepianu. Gdyby chodziło o mój własny koncert, bezwzględnie odwołałbym go natychmiast, ale w wypadku Adamowskich — wykluczone! Nie spałem tej nocy zupełnie, palec spuchł potwornie. Wszystko to nastąpiło w krótkim czasie, w kilka godzin po obiedzie. Sprowadzony w nocy doktor nie potrafił mi przynieść najmniejszej ulgi, a ból oraz obrzmienie wciąż się wzmaczały.

Następnego dnia, cierpiąc niewypowiedzianie, wczesnym rano udałem się do znanego niemieckiego lekarza, doktora Langego. Spojrzawszy na mój chory palec oświadczył:

— Sprawa jest poważna, palec należy natychmiast operować.

— Czy pan wie o tym, doktorze, że mam grać dziś po południu — muszę grać!

— Grać? Pan chyba zwariował! To wykluczone, przekona się pan, gdy przystąpimy do operacji, że nie jest to taki drobiazg, jak się panu wydaje.

— Niech pan z nim zrobi, co się panu podoba, ale grać dzisiaj muszę. Niech pan tylko sprawi, by ból się zmniejszył, niech mi pan da jakiś środek znieczulający,

żebym jak najmniej cierpiał, grać będę w każdym razie!

— To szaleństwo, czyste szaleństwo, nie może pan grać, za dużo pan ryzykuje, więcej znacznie, niż pan sobie wyobraża.

— Cokolwiek nawet ryzykuję, muszę dziś grać. Proszę uczynić dla mnie wszystko, co tylko pan jest w stanie, a chyba wasza wiedza lekarska może w tym wypadku choć trochę dopomóc? Potem mogę już przestać grać.

— Na jak długo? — warknął.

— No więc — zastanowiłem się chwilę — na jakies dwa tygodnie.

— Nie wystarczy, nawet w połowie nie wystarczą dwa tygodnie.

— Niech będzie więc trzy tygodnie! Tak, całe trzy tygodnie, przyrzekam panu.

Doktor roześmiał się:

— To brzmi już trochę lepiej, postaram się zrobić teraz dla pana, co tylko leży w mojej mocy.

Zabrał się więc zaraz do operowania mego nieszczęsnego palca — było to naprawdę okropne przejście. Potem obandażował mi palec i dał jakiś środek znieczulający na uśmierzanie bólu. Byłem wówczas na tyle nierozsądny, że spełniłem życzenie mego sekretarza, pozwolewszy mu na wydrukowanie ulotek i umieszczenie ich na każdym z krzeseł w sali koncertowej. Ulotka zawierała wzmiankę, że jestem po operacji ropnia i wobec tego z góry przepraszam za swą grę. To był błąd.

Grałem więc czterema palcami. W programie było trio Beethovena i kwartet Brahmsa, który miałem wykonać z Adamowskimi. Na szczęście program zawierał tylko kilka utworów solowych, dobrze mi już znanych, poza tym parę utworów Schuberta i Chopina. Ból w operowanym palcu był tak silny, że stawał się torturą nie do zniesienia. W czasie koncertu znieczulające lekarstwo stopniowo przestawało działać, a urażając

stale ów zraniony palec, odczuwałem najpotworniejsze cierpienia.

Następnego dnia wszyscy (oprócz Fincka, który napisał, że grałem w tragicznych okolicznościach) skrytykowali mnie w bardzo ostry sposób, nie wspominając nic o tym, że grałem zaraz po operacji. Doktor miał słuszość — po tym koncercie musiałem wyrzec się gry na czas dłuższy. Odmówiłem więc wystąpienia z siedmioma czy ośmioma recitalami i zająłem się wyłącznie leczeniem palca. W perspektywie miałem wówczas jeszcze dwadzieścia czy więcej koncertów.

Gdy po kilku tygodniach zacząłem znów występować, palec miałem wciąż jeszcze obandażowany. Doktor energicznie protestował, że za wcześnie, i znów miał rację, gdyż pomimo bandaża rana otwierała się na nowo, a po skończeniu koncertu klawiatura pokryta była krwią. Nie był to widok piękny i za pierwszym razem zrobił na mnie tak przykre wrażenie, że z trudem dookończyłem koncertu. Z czasem przyzwyczaiałem się do tego widoku i pozostałe w tym tournée dwadzieścia dwa koncerty grałem wciąż jeszcze ze stale obandażowanym palcem, a pod koniec każdego występu klawisze były wciąż jeszcze czerwone.

Pragnie pani wiedzieć, jak mogłem do tego stopnia ryzykować? Sam siebie też o to zapytuję. Jedyłą przypuszczalnie odpowiedzią jest to, co poprzednio już pani mówiłem — konieczność życiowa i ambicja, a także młodzieńcza lekkomyślność. A jednak opatrność okazała się dla mnie wyjątkowo łaskawa, jeśli wziąć pod uwagę ciągłą szaloną pracę i niezliczone ilości koncertów, jakie dałem w ciągu długiego swego żywota. Naprawdę nie mogłem się skarżyć — mój anioł stróż był dobrym opiekunem.

W czasie obu tournée po Ameryce, przebywając w Nowym Jorku, zatrzymywałem się stale w starym hotelu Windsor, gdzie było mi bardzo wygodnie. Zamieszkiwałem tam do roku 1899, to jest do czasu, gdy

hotel strawiony został przez wielki pożar. Stało się to w sam dzień św. Patryka; ulicami przechodził wówczas pochód, a hotel przepełniony był przyglądającymi mu się z okien gośćmi. Nagle, zupełnie niespodziewanie, stanął cały w płomieniach. Ogień powstał na skutek lekkomyślnie wyrzuconej przez okno palącej się zapałki, od której zajęła się jedna z koronkowych zasłon. Wiele osób straciło życie, była to straszna katastrofa. Zupełne zniszczenie słynnego hotelu spowodowało zaprowadzenie nowoczesnych urządzeń przeciwpożarowych w innych hotelach. Hotel Windsor uchodził za jeden z nowocześniejszych i lepiej urządzonych, a jednak w wypadku pożaru okazał się po prostu straszną ogniową pułapką.

Przez cały okres długoletniej egzystencji hotel ten stanowił pewnego rodzaju przystań dla wielu starszych ludzi, a niektórzy z nich mieszkali tam stale. Przypominam sobie przede wszystkim pewne starsze małżeństwo — panią i pana Sanford, rodziców mego dobrego przyjaciela, jednego z najzdolniejszych pianistów-amatorów, jakiego kiedykolwiek znałem. Nazywał się Sam Sanford i był profesorem muzyki na jednym z uniwersytetów amerykańskich — wybitny muzyk. Przyszedszy na mój pierwszy koncert, uczęszczał już na wszystkie następne. Był przemiłym towarzyszem nie tylko jako muzyk. Poznaliśmy się przy bilardzie, w tym bowiem okresie grywałem często; w hotelu Windsor znajdował się specjalny pokój bilardowy. Byłem już niezłym graczem, przede wszystkim gdy chodziło o karambole; przychodziłem tam z moim sekretarzem dla wypoczynku i odprężenia.

Gdy tylko zjawiałem się w sali bilardowej, sporo osób gromadziło się przy stole, by przyglądać się, gdyż w rozgrywce cieszyłem się reputacją asa. Jednym z licznych obserwatorów był wysoki, milczący džentelmen, o zdecydowanym — rzecz można — napoleońskim wyrazie twarzy, wyróżniający się swoistym sposobem bycia. Był to William McKinley, późniejszy, prezydent

Stanów Zjednoczonych. Wchodził zwykle po cichu i przypatrywał się mej grze z dużym zainteresowaniem, lecz zawsze bez słowa. Po prostu przychodził, patrzył i uśmiechając się do siebie, milczał. Pamiętam, że właśnie jego spokój zwracał uwagę w grupie podnieconych nieraz widzów. Pewnego dnia przyszedł tam także Sam Sanford, i wtedy to przy stole bilardowym zawarliśmy od razu przyjaźń.

Nieraz zapraszał mnie na obiad do swego klubu, gdzie poznałem kiedyś trzech zabawnych starszych panów, których jedynym, zdaje się, zainteresowaniem życiowym była europejska arystokracja! Ich trzy córki poślubiły utytułowanych ludzi, czym owi starsi panowie byli tak zachwyceni, że przy każdej możliwej okazji nie omieszkiwali opowiadać o tym fakcie. Był to niestety jedyny temat ich konwersacji, a ich duma i zadowolenie z utytułowanych zięciów nie miały wprost granic. Arcyzabawny komentarz do demokratycznego ustroju Ameryki! Panowie ci siedzieli stale w odosobnionym, najwygodniejszym kącie klubu, rozprawiając wyłącznie o swych arystokratycznych córkach i ich małżonkach. Istniała także między nimi silna rywalizacja. Zainteresowany ich mentalnością, nigdy nie miałem dość tych rozmów, chociaż z góry wiedziałem, co dalej powiedzą, gdyż w opowiadaniach nie było nigdy żadnych zmian.

Pierwszy z nich rozpoczynał mniej więcej tymi słowami: „Miło mi powiedzieć dziś panom, że miałem list od mej córki, hrabiny X. Píše mi, że hrabia, jej mąż, na skutek niezwykle zimnej pory roku jest bardzo cierpiący”.

Pochylając się ku niemu, drugi z nich ze spokojem odpowiadał: „To bardzo dziwne, chyba myli się pan, bo właśnie markiz, mój zięć, pisze mi, że pogoda na kontynencie jest obecnie niezwykle, piękna i łagodna”.

Trzeci, najstarszy z nich, niecierpliwie zrywał się z fotela i przerywając mu z irytacją, wołał: „Ależ to nonsens, przecież córka moja, księżna X, pisała mi ze



*W czasie pierwszej podróży po Ameryce*



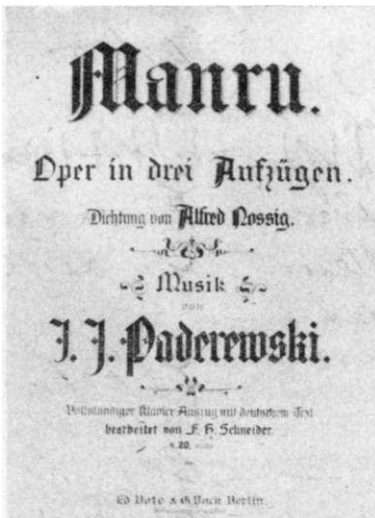




*Helena Paderewska*



A. Bandrowski  
jako Manru



VI  
Sonata C Sharp minor - Beethoven  
Fantasia (in three movements) Schumann  
Variations on a theme by Haydn - Brahms

Ballade F major  
Nocturne F sharp maj.  
Etudes N 6, 7, 8 op 25 } Chopin  
Polonaise op 44

Thème varié — Czerny  
Berceuse F minor Rubinstein  
Rhapsodie N 6 — Liszt

VII  
~~Fantasia~~ Fantasia and Fugue - Bach  
Sonata op 110 - Beethoven

Prelude } N. Paganini  
Capriccio }

~~Waldstück~~  
Étude after Wagner } Liszt

Mittsommer night dream Fantasia  
Mendelssohn Liszt

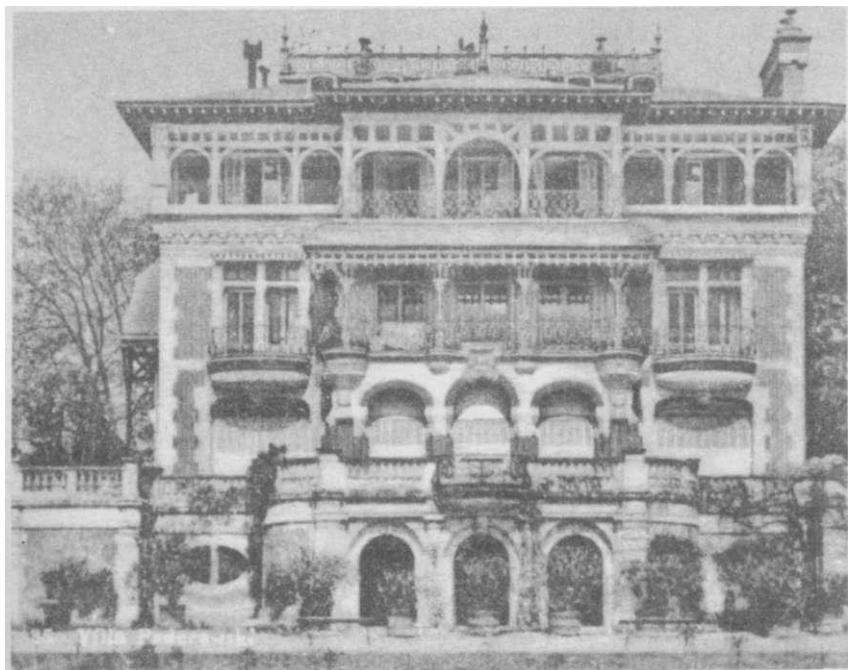
Sonata B flat. minor }  
Berceuse } Chopin  
Mazurka }

Menuet a major — Czerny  
Valse — Franz Liszt  
La Campanella — Liszt



*Na wypoczynku*





*Riond-Bosson*

swego pałacu we Florencji, że pogoda jest okropna, a ona oraz książę, jej mążzonek, wyjeżdżają natychmiast na Riwierę. Książę, jak panowie wiecie, jest dość wątłego zdrowia", dodawał po chwili ów stary dżentelmen spoglądając na obu swych sąsiadów, którzy milkli. Górował bowiem nad nimi, gdyż córka jego była księżną — zięć aż księciem!

Po czym następowała cisza, wszyscy zagłębiali się spokojnie w swoich fotelach i siedzieli czas dłuższy w milczeniu.

Ludzie spotykani w czasie mego pierwszego pobytu w Ameryce na ogół bardzo mnie interesowali. Było tam wówczas wielu wybitnych obywateli zasługujących na uwagę, a niektórzy z nich z czasem stali się mymi przyjaciółmi. Amerykanin jest zupełnie odmiennym tworem od Europejczyka; uważałem też, że stosunki z tymi ludźmi dodawały mi energii i przedsiębiorczości. Właściwie w Ameryce wszystko pobudzało do czynu, wszystko było przepełnione atmosferą jakiejś przygody. Myślę, że odczuwają to wszyscy przybywający do Stanów Zjednoczonych, bez względu na to, ile razy tutaj przyjeżdżają.

Joseph Choate to jeden z tych licznych poznanych przeze mnie interesujących ludzi, z którymi rozmawiałem w domu mej drogiej i zacnej przyjaciółki Miss Eleanor Blodgett. Wybitny prawnik, później ambasador w Anglii, Choate był pełnym polotu, bardzo zdolnym człowiekiem, a poza tym niezwykle miłym. Dzięki dowcipnym pomysłom potrafił w każdej sytuacji znaleźć na poczekaniu odpowiednią replikę.

Poznałem również w tym okresie pana Charlesa Eliota, byłego prezydenta Harvardu, wspaniałego człowieka. Także i generała Horacego Portera, innego znów ambasadora, oraz dość znaną osobistość amerykańską — mówcę od wszystkich uroczystych okazji: pana Chauncey Depew. Właściwie powinienem powiedzieć: senatora Depew. Człowiek bardzo oryginalny, typowy

Amerikanin, spotkałem go po raz pierwszy na obiedzie wydanym przez Pulitzera.

Joseph Pulitzer był niezwykle miłym gospodarzem domu. Na wyżej wspomnianym przyjęciu pewną niespodziankę wywołało przemówienie pana Depew, który powstawszy nagle, wzniosł moje zdrowie toastem „na cześć króla”. Przez chwilę wszyscy, nawet Pulitzer, byli nieco zdziwieni, gdyż w tym demokratycznym kraju podobne toasty były zupełnie nie znane. Po chwili milczenia Depew w swój niezrównany i uroczy sposób wytłumaczył zebranych gościom znaczenie toastu, a wesoła i przyjacielska atmosfera panowała do samego końca.

Joseph Pulitzer był wydawcą „The New York World”, znakomitego pisma, które wywierało za jego życia ogromny wpływ. Był też w swoim rodzaju człowiekiem godnym wyjątkowej uwagi. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w Paryżu w czasie Wystawy Światowej 1889. Poczuliśmy do mnie sympatię, ja również polubiłem go szczerze. Od samego początku odwzajemniliśmy sobie przyjacielskie uczucia.

Zaczął już wtedy tracić wzrok, a wkrótce zaniewidział zupełnie; to najgorsze nieszczęście, jakie go mogło spotkać. Powaliło go w okresie największej aktywności, kiedy spoczywała na nim ogromna odpowiedzialność, był bowiem u szczytu kariery dziennikarskiej. Wybitnie zdolny w wielu kierunkach, posiadał także dużą wiedzę prawniczą, a i z innych dziedzin miał również sporo wiadomości. Dziennikarzem był świetnym — jednym z najlepszych. Lubił też bardzo muzykę. Z pochodzenia węgierski Żyd, oczywiście uwielbiał muzykę węgierską. Przyjeżdżając do Nowego Jorku odwiedzałem go zawsze, a atmosfera jego domu była nadzwyczaj miła w czasie tych pierwszych paru lat, kiedy go tak często widywałem. Gdy już zupełnie ociemniał, często przychodziłem mu grywać — były to w swoim rodzaju małe recitale. Grywałem mu nieraz godzinami ulubione utwory i czu-



łem się szczęśliwy, mogąc sprawić mu chociaż małą przyjemność, przynieść choćby drobną ulgę w strasznym losie. Smutek, jaki wówczas odczuwałem, wynagradzała jego gorąca wdzięczność; nie potrafił wprost znaleźć odpowiednich słów, by mi ją wyrazić, i wciąż powtarzał: „Co mógłbym uczynić, by okazać moją wdzięczność? Powiedz mi, co mam zrobić?”

Miewał stale pod ręką paru sekretarzy, kulturalnych i zdolnych młodych ludzi. Jeden z nich był muzykiem i codziennie musiał mu grać przez kilka godzin po ukończeniu pracy, nie tyle dla rozrywki, co dla odprężenia i wypoczynku. Pulitzer bowiem pomimo swego kalectwa potrafił wykonać codziennie olbrzymią ilość pracy związanej z wydawaniem swojego „The New York World” — pisma, które, tak jak i jego założyciel, dziś już nie istnieje.

Po krótkim stosunkowo czasie wszyscy jego sekretarze zawsze odczuwali zupełne wyczerpanie. Był bardzo wymagający, tyle bowiem rzeczy go interesowało i miał tak wiele niespożytej energii życiowej, że potrafił wydobyć z nich wszystko, co tylko mogli mu dać ze swego umysłu, sił witalnych i uczuć — po prostu wszystko. Wynagradzał ich, co prawda, bardzo hojnie, ale niektórzy zwierzali mi się, że praca dla niego była zbyt męcząca i wyczerpywała tak kompletnie, że żadne sumy pieniężne nie mogły wyrównać niewspółmiernie wielkiego wysiłku.

Pulitzer miał duże braki w wykształceniu ogólnym, gdyż poza dziedzinami, na których znał się dobrze, dużo było takich, o których nie miał zupełnie pojęcia. Brakowało mu kultury umysłowej. W muzyce lubił Beethovena i Liszta — takie kontrasty! Grywałem mu zawsze jedną z sonat Beethovena i jedną z rapsodii Liszta, on zaś wprost szalał z radości i zachwytu.

Oryginalne i bardzo zabawne było to, że pomimo bliskiej przyjaźni i wielkiego zachwytu dla mojej gry, w jego piśmie niezmiennie czytywałem bardzo nie-

przychylne dla mnie krytyki. Recenzentem muzycznym był tam wówczas Reginald deKoven<sup>1</sup>. Dobry „Reggie”, jak go nazywali wszyscy przyjaciele; dopiero później stał się i moim serdecznym przyjacielem. Po każdym jednak recitalu w Nowym Jorku w czasie tego pierwszego sezonu pojawiały się wciąż krytyczne uwagi. Bawiło mnie to bardzo. Gdybym pragnął się zemścić na deKovenie, to na pytanie Pulitzera: „Jak mógłbym okazać ci swą wdzięczność”, powiedziałbym mu: „Mógłbyś powiedzieć swemu krytykowi muzycznemu w «The World», żeby potraktował mnie trochę sprawiedliwiej, a nawet nieco życzliwiej”. Nigdy jednak nie zrobiłem tego, gdyż zdawałem sobie sprawę, że Pulitzer niewiele się pewnie zastanawiał nad recenzjami muzycznymi w swoim piśmie, a poza tym któryż z wydawców może zdobyć się na odwagę zwrócenia jakiegokolwiek uwagi swemu krytykowi, jednemu władcy w swojej dziedzinie. W każdym razie, z tego czy innego powodu, gazeta Pulitzera nieczęsto zdobywała się na parę dobrych o mnie słów.

Pulitzer, dopóki tylko mógł, bywał na każdym moim koncercie i, wprowadzany przez swego sekretarza, zajmował zwykle to samo miejsce w pierwszym rzędzie, a ja wiedziałem zawsze, że go tam ujrzę. Niezmiernie mnie to rozrzewniało. Przychodził dopóty, dopóki stan jego zdrowia nie uległ takiemu pogorszeniu, że nie mógł już opuszczać domu. Tragiczna postać — do końca pełna życia. Po raz ostatni widzieliśmy się na jego jachcie w Mentonie; przeczuwałem wówczas, że więcej go już nie zobaczę. Śmierć Pulitzera zakończyła naszą żywą i interesującą przyjaźń, którą ceniłem zawsze bardzo wysoko, a wspomnienie o niej do dnia dzisiejszego jest mi drogie. Są to wspomnienia wyjątkowo bogate, i gdy mówię teraz o Pulitzerze, przychodzi

<sup>1</sup> W latach opisywanych przez Paderewskiego deKoven był krytykiem „The Chicago Evening Post”, w „The New York World” zaczął pisać w r. 1898. (Przyp. red.)

mi na myśl wiele cech jego rzeczywiście niezwykłego charakteru i wszechstronnego umysłu. Poza muzyką mieliśmy dużo wspólnych zainteresowań, a rozmowy dotyczyły najróżniejszych spraw — nawet Biblia bywała często przedmiotem naszych dyskusji.

Nieraz polecał sekretarzowi czytywać sobie Pismo święte. Kiedyś mówiono mi, że Pulitzer, natrafiwszy na specjalnie drastyczny ustęp, przerwał nagle czytanie i gwałtownie zaprotestował, wołając: „Cóż to za okropni ludzie! Co za plemię! Gdyby żyli w dzisiejszych czasach, dostaliby się do więzienia. Po prostu zawezwalibyśmy policję!”

Nie wiem, czy zgadza się pani z takim punktem widzenia, ja jednak muszę stwierdzić, że zgadzam się z zapatrywaniami Pulitzera. Chociaż wątpię, by znał Pismo święte tak dokładnie, jak ja je poznałem — prawie na pamięć, i to w piętnastym roku życia. Wtedy już — w tak młodym wieku — niektóre ustępy tej pięknej księgi wywoływały we mnie gwałtowny sprzeciw. Oburzały mnie nieraz i budziły uczucia niezupełnie prawowierne. Wzbudzały w moim umyśle pragnienie pewnych wyjaśnień, a także wiele najróżniejszych wątpliwości, które pozostały przez te wszystkie lata i dotąd zresztą nie minęły!

Temat to bardzo ciekawy, ale raczej drażliwy, mógłby bowiem urazić czyjeś uczucia religijne, niemniej jednak już jako chłopiec odnosiłem wrażenie, że Biblia nie była „świętą księgą” i że miała niewiele wspólnego z naszą wiarą chrześcijańską. Stary Testament jest bezwzględnie dziełem niechrześcijańskim, a nawet wprost antychrześcijańskim. Jednakże założyciele Kościoła ze względu na proroków uważali Stary Testament za ściśle powiązany z Nowym. Do pewnego stopnia mają słuszość. Stary Testament rzeczywiście zawiera wielkie prorocтва i wielką mądrość, ale nie jest, moim zdaniem, natchnionym Słowem Bożym. Najbardziej zachwycające, pełne wspaniałego natchnienia i lirycznego piękna są — i zaw-

sze pozostaną — Ewangelie (Mateusza, Marka, Łukasza i Jana). Ich piękno jest jak muzyka — wprost niezrównane; z tej też racji muszą tak bardzo oddziaływać na każdy wrażliwszy umysł. Już od wczesnej młodości zachwycały mnie, podtrzymywały na duchu, i do końca życia odczuwać będę ich wzniosłe piękno.

Niepotrzebnie może mówię tu o swoich zapatrywaniach na te sprawy, lecz mają one dla mnie nadal dość duże znaczenie i przypuszczam, że wplatają jakąś nową nić do naszego opowiadania.

Ma pani słuszność twierdząc, że każda biografia musi być wszechstronna — nie tylko gdy chodzi o czasy, w których się żyje, i zmiany w nich zachodzące, ale także w odniesieniu do ludzi i zdarzeń, które są przecież integralną ich częścią. Biografia powinna oddać nasze uczucia i emocje, rozwój umysłu i ducha, i to od lat dzieciennych do starości. Po prostu wszystko — wszystko bowiem przyczynia się do dokładnego oddania wizerunku danego życia.

Jest jedno wspaniałe opowiadanie sławnego Henry Jamesa pod tytułem, który świetnie odpowiada właśnie temu, co mam na myśli. Powieść ta nazywa się *The Figure in the Carpet*<sup>1</sup>. Autor przedstawia tam ledwo naszkicowany wzór — początkowo z kilku nitek zaledwie, następnie przybywa stopniowo coraz więcej nici i barw, wzór kształtuje się coraz wyraźniej, aż wreszcie ukazuje się naszym oczom w całej okazałości. Kształtuje się on i rozwija stopniowo, lecz my możemy widzieć jedynie ów mały fragment, to, co spletały w danym momencie. Wszystkie te nici naszego życia, jasne i czarne, trwałe i dobre czy też zagmatwane i postrzępione, spletają się w całość naszej osobowości. I tak już być musi.

<sup>1</sup> Ang. — wzór na dywanie. (Przyp. red.)

Powróćmy do naszego opowiadania o drugim moim objeździe po Ameryce. Rozpocznijmy od wielkiego wydarzenia, jakim były Targi Światowe w Chicago. Olbrzymia ta impreza zgromadziła ludzi nie tylko ze wszystkich części kraju, lecz także z całego świata.

Od komitetu Targów otrzymałem zaproszenie na występy z orkiestrą Teodora Thomasa, mające odbywać się w wielkiej sali wybudowanej na terenie Targów specjalnie dla występów muzycznych. Miało to się odbyć w maju 1893, już pod koniec mego tournée.

Targi interesowały mnie bardzo, stanowiły bowiem sposobność poznania energicznych i ambitnych mieszkańców miasta Chicago w okresie wzmożonej ich działalności. Chicago imponowało mi wówczas bardziej niż jakiegokolwiek inne miasto w Ameryce. Wspomniałem już poprzednio, że jednym z największych gmachów w Nowym Jorku, gdy przybyłem tam po raz pierwszy czterdzieści pięć lat temu, był hotel Windsor. A Chicago posiadało już wtedy kilka słusznie tak nazwanych „drapaczy chmur”. Miało więc pierwsze drapacze na świecie, chociaż dużo osób, a przede wszystkim cudzoziemców, nie wiedząc o tym, przypuszcza, że pierwsze powstały w Nowym Jorku. *Windy City*<sup>1</sup> (bardzo trafna nazwa) pierwsze wprowadziło w Ameryce te olbrzymie budowle. Wówczas już znajdował się tam potężny gmach, podobno siedziba loży masońskiej, o dziewiętnastu czy też dwudziestu piętrach. Widok tego gmachu — po wszystkich dużych, lecz stosunkowo niskich domach Nowego Jorku — wywierał silne wrażenie. Poza tym był tam także i olbrzymi hotel zwany „Audytorium”, który posiadał największą salę koncertową w Ameryce; w niej to odbył się pierwszy mój występ w tym mieście.

Wszędzie rzucały się w oczy gorliwe starania w kierunku upiększenia miasta. Zaprojektowano między innymi założenie kilku parków. Mieszkańcy Chicago

<sup>1</sup> Ang. — miasto wiatrów. (Przyp. red.)

zawsze posiadali silne poczucie obywatelskie, a wystawa przyczyniła się, jeszcze do wzmożenia zbiorowej inicjatywy.

W owym czasie utkwily mi w pamieci trzy rzeczy o wprost kolosalnych wymiarach, które wywoływały wrażenie skondensowanego ogromu. Inaczej tego określić nie umiem. Były to: wodospad Niagara, Chicago i Wielki Kanion.

Wodospad Niagara, choć stosunkowo nie tak duży, przytłacza jednak swym ogromem, wywołując w człowieku wrażenie przerażającego i istniejącego dla siebie świata — niewypowiedzianie wielkiej siły i piękna.

Wielki Kanion, który ujrzałem w parę lat później, również wywołał we mnie uczucie ogromnej, na dość znacznym obszarze skoncentrowanej potęgi. Chicago ze swoim zadziwiającym rozmachem, popychające milionową ludność do szybkiego osiagania celów, sprawia wrażenie ogromu, podobnie jak poprzednio wymienione dwa kataklizmy przyrody.

O ile jednak Niagara i Wielki Kanion są wynikiem brutalnych sił przyrody, Chicago wydaje się rezultatem przepotężnych, ale rozumnych wysiłków ludzkich.

W Chicago miałem sposobność poznać całą grupę ludzi przodujących w działalności twórczej. Tereny Targów Światowych sprawiały wrażenie olbrzymiego obozowiska. Był to dziwny widok. Wszyscy ci ludzie, kierujący kolosalnymi przygotowaniem, właściwie żyli tam stale (a raczej obozowali). Spędziłem z nimi około dwóch tygodni, mieszkając w nie wykończonym mieszkaniu jeszcze przed oficjalnym otwarciem Targów. Niezbyt to było wygodne, ale nie pozbawione swego uroku. Panował wielki nieład, wszystko załatwiano z dużym pośpiechem. Tynk na ścianach nie zdążył wyschnąć. Wilgoć była wszędzie, nie tylko z powodu pobliskiego jeziora, ale przede wszystkim właśnie z powodu mokrych ścian świeżo postawionych budynków.

Komitet zaproponował mi mieszkanie na terenie

wystawy aż do jej otwarcia, co było dla mnie przeżyciem jedynym w swoim rodzaju. Gdybym wiedział, co mnie czeka, prawdopodobnie nigdy nie przyjąłbym tego zaproszenia, gdyż niewygodny był wprost nieprawdopodobny. Niezwykłość i awanturniczość tego przedsięwzięcia przemawiały jednak do mnie i — jak wszystko w Ameryce — zdumiewały i oszałamiały. Ameryka jest krainą cudów spełnionych — jak się zwykle wyrażacie — „w ciągu jednej nocy”. Pomiedzy wybitnymi osobistościami w tym Komitecie wyróżnił się Daniel Burnham, człowiek istotnie genialny. Jemu to zawdzięcza Chicago wszystko, co było piękne i imponujące w tym mieście. Był prawdopodobnie najświetniejszym architektem swego czasu, wspaniałą osobistością o wysokiej kulturze i dużej wyobraźni; przede wszystkim jednak człowiekiem stale myślącym o tym, by stać się pożytecznym dla swych współobywateli; temu celowi poświęcił całą energię i wszystkie wysiłki. Burnham był tym, który inspirował Targi Światowe, a jego energia przyczyniła się do wielkiego triumfu tego przedsięwzięcia.

Tyłu wybitnych ludzi z Chicago brało czynny udział w organizowaniu Targów, że stały się one jakby wyrazem uczuć i ambicji ich wszystkich. Poznałem wówczas tylko kilku z nich; pamiętam przede wszystkim braci Deering, Cyrusa McCormicka i architekta Charlesa Atwooda. Teodor Thomas dyrygował wszystkimi orkiestralnymi i chóralnymi występami w czasie trwania Targów.

Ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych, Grover Cleveland, w obecności około pół miliona ludzi dokonał oficjalnego otwarcia Targów. Uroczystość wypadła nadzwyczaj okazale. Przy tej sposobności wygłosił piękną mowę, która wywarła wielkie wrażenie. Spotkałem się z nim tylko jeden raz i nigdy już później go nie widziałem; był to — jak wiadomo -- jeden z największych amerykańskich prezydentów.

Koncertowałem z dużym powodzeniem, ale radość moja zakłócona została paru nieprzyjemnymi niespo-

dziankami. Dotychczas grywałem wszędzie na fortepianach Steinwaya, lecz firma, z powodów im samym tylko znanych, nie życzyła sobie wystawić na Targach swych instrumentów. Konkurenci tej świetnej firmy rozpoczęli więc ofensywę, dążąc do tego, by zakazano mi używania na terenie wystawy fortepianów nie ekspozowanych na Targach. Trzeba było wielkiej energii, zręczności i taktu Teodora Thomasa oraz jego przyjaciół, by uzyskać od komitetu Targów pozwolenie na sprowadzenie dla mnie fortepianu Steinwaya.

Sytuacja była dość groźna, gdy jednak wreszcie uzyskałem to pozwolenie, nie byłem w stanie zapobiec przykrej polemice, jaka rozgorzała i miesiące całe trwała na łamach prasy. Każdy z konkurentów miał swych popleczników, a poza tym działali oni w oparciu o zasady prawne. Nie wiem obecnie, a i wówczas nie wiedziałem, dlaczego Steinwayowie nie wystawiali swych fortepianów, z pewnością jednak mieli ku temu bardzo ważne powody.

W okresie owego sporu nie zdarzył się żaden przykry wypadek uszkodzenia mego fortepianu, jak to czasem bywa. W Ameryce strun mego fortepianu nigdy nikt nie przeciął, gdyż ludzie przeznaczeni do pilnowania byli czujni, uważni i nie spuszczały instrumentu z oka. Nie miałem tam nigdy powodu do skarg na stan fortepianu, jak to nieraz zdarzało się w niektórych krajach, gdzie pod tym względem bywałem o krok od katastrofy. W Petersburgu na przykład nie było oczywiście fortepianów Steinwaya. Ponieważ przez kilka lat używałem (poza granicami Ameryki) fortepianów Erarda, poprosiłem mego przyjaciela pana Blondela o przysłanie mi dwóch wielkich koncertowych Erardów na tournée po Rosji w 189') roku. Uczynił to, okazały się cudowne i byłem nim zachwycony, gdy jednak na pół godziny przed przybyciem orkiestry zjawiłem się na sali koncertowej, zauważyłem z przerażeniem, że jeden z pedałów był uszkodzony-. Chciałem coś zagrać, okazało się jednak,



że między niektórymi klawiszami sterczały ostre szpilki. Dostrzegłem je Bogu dzięki przed dotknięciem klawiatury. Wielkie to szczęście, gdyż mogłem fatalnie pokaleczyć sobie palce. Po owej przygodzie stroiciel fortepianu, stale towarzyszący mi w tournée po Rosji, był na tyle przezorny, że dniem i nocą pilnował fortepianu na sali i nie spuszczał go z oczu. Było to ciągłe czuwanie.

A powód tego prześladowania? — ot, po prostu, nie zgłosiłem się do agencji petersburskiej, a przywiozłem swój własny instrument. Uważano mnie wobec tego za intruza. Pedał wyrwano siłą, lecz ktokolwiek to zrobił — doznał dużego zawodu, bowiem ukazałem się jednak na scenie i grałem. Był to mój debiut w Petersburgu — w związku z tym opowieć pani p\*óźniej kilka zabawnych anegdot.

Idźmy jednak dalej. Po zakończeniu udanego drugiego tournée po Ameryce, jak zwykle powróciłem do Europy.

Lato 1893 spędziłem z synkiem i paroma przyjaciółmi w Yport, małej, spokojnej miejscowości w Normandii. Pierwszy raz w czasie swej trudnej kariery za granicą mogłem sobie pozwolić na zaproszenie paru bliskich memu sercu osób na przeciąg kilku tygodni. Przyjechała moja siostra i kochany stary przyjaciel Edward Kerntopf. Czułem się bardzo szczęśliwy i wreszcie zaznałem prawdziwych wakacji.

Ten okres spędzony z synem i przyjaciółmi dał mi choć krótką chwilę wytchnienia od ciągłych podróży i pracowitego życia, które dotąd było moim udziałem. Syn, wówczas dwunastoletni chłopiec, wciąż jeszcze był wątły i słabego zdrowia, ale dalej wierzyłem niezłomie, że przezwycięży chorobę, i czyniłem wszystko, co leżało w mej mocy, by mu w tym dopomóc. PO dziesięciu lalach nieustannych trudów ten mały odpoczynek był jakby oazą na pustyni pracy. Miałem teraz czas na wszystko, poczułem się wolny od ciężącego jarzma. Zabrałem się do kompozycji i rozpocząłem *Fantazję polską* — utwór na fortepian i orkiestrę, który ukończyłem w ciągu pięciu tygodni. *Fantazja* po raz pierwszy wykonana została na festiwalu w Norwich; orkiestrą dyrygował pan Randegger, doskonały nauczyciel śpiewu i świetny dyrygent, przy czym kompozycja moja spotkała się z uznaniem publiczności. Tegoż Jeszcze sezonu zagrałem ją w Londynie z Georgiem Henschlem, dyrygentem szeregu koncertów orkiestralnych. Grało ją potem wielu innych znanych artystów.

To moje tournée po Anglii było największe ze wszy-

stkich, jakie dotąd tam odbyłem. Poza recitalami w Londynie grałem również we wszystkich miastach na prowincji, a także w Dublinie, Belfaście i Corku, przy czym wszędzie spotykało mnie wielkie powodzenie.

Pod koniec powziąłem decyzję ogromnej dla mnie wagi, która wpłynęła na zmianę dotychczasowej kariery. Mianowicie postanowiłem nie występować w nadchodzącym sezonie, a jedynie zająć się kompozycją opery — *Manru*. Powód tego był następujący: polski pisarz i poeta Alfred Nossig stale i od dłuższego czasu proponował mi, że napisze tekst, który posłużyłby jako libretto do opery. Z przedstawionych przez niego szkiców wybrałem jeden; opracował go dla mnie i tekst ten, chociaż niezupełnie wykończony, przysłał mi z końcem roku 1893. Z niego zacerpnałem libretto do opery *Manru*.

Wszystkie siły wyteżyłem teraz, by dokonać dzieła, •które było poważnym zamierzeniem i wobec którego wszystko inne wydawało mi się niczym. Postanowiłem na pewien czas zerwać stosunki ze światem i wzięwszy tekst, wyruszyłem po raz pierwszy do Włoch, gdzie zabrałem się do komponowania. Pobyt we Włoszech trwał jednak krótko, wezwano mnie bowiem do Paryża z powodu choroby syna. W Paryżu zamieszkałem teraz nie w swoim mieszkaniu, ale wynająłem w jednej z najbardziej oddalonych dzielnic miasta mały domek, gdzie byłem zupełnie sam. Nikt mi nie przeszkadzał. Raz dziennie, koło pierwszej, przychodził mój służyący, aby przygotować lunch. Domek ten mieścił się w Passy i stanowił moją kryjówkę, nikt bowiem, o nim nie wiedział. Nie widywałem tam nikogo. Zrobiłem to z konieczności, gdyż miałem już tak wielu znajomych, że mój paryski apartament stał się miejscem spotkań muzyków i licznych przyjaciół, przez których stale bywał oblegany.

Wieczorny obiad jadałem zwykle w małej restauracyjce uczęszczanej przez dorożkarzy. Jedzenie było doskonałe. Towarzystwo, rzecz prosta, nie arystokra-

tyczne, ale widok tych poczciwych ludzi, zażywających zasłużonego po ciężkiej pracy odpoczynku, sprawiał mi dużą przyjemność. Było to interesujące, a równocześnie dawało mi pewnego rodzaju odprężenie. W owym czasie nie istniały jeszcze samochody ani szoferzy, jeździło się tylko dorożkami konnymi. Miałem tam potrzebny spokój — w innych warunkach nie byłbym w stanie pracować.

Praca nad operą postępowała zadowolająco; w ciągu sześciu miesięcy miałem już gotowe dwa akty i przystąpiłem do komponowania trzeciego. Mimo że nie grałem, wciąż jeszcze odczuwałem ból w ramieniu i czwartym palcu, na polecenie lekarza udałem się więc na kurację do Aix-les-Bains, mając nadzieję, że wyleczę się ostatecznie z mej dolegliwości. Wynająłem tam mały pałacyk — le Château de Bon Port, położony nad jeziorem Bourget; pozostałem tam przez dłuższy czas. Ściśle przestrzegałem przepisanej mi kuracji, i to w ciągu paru nawet sezonów, ale niestety nie osiągnąłem trwałej poprawy. Żaden z lekarzy — nawet z tych najlepszych — nie umiał wytłumaczyć, czemu przypisać sztywność czwartego palca. Doktorzy przypuszczali, że nadwerżyłem sobie ścięgno, ale właściwej przyczyny wykryć nie potrafili. Bardzo to było przygnębiające.

Przeprowadzałem zatem przepisaną uciążliwą kurację, ale pozostały wolny czas spędzałem bardzo mile, Aix-les-Bains bowiem jest uroczą miejscowością, w której nie brakuje możliwości wesołego zabawienia się. Muszę przyznać, że cieszyła mnie tam i bawiła przyjaźń zawarta z małym pieskiem, który nieoczekiwanie przywiązał się do mnie. W ciągu całego życia miałem tylko dwoje zwierząt, które wyraźnie zdawały się interesować muzyką. U jednego z nich zainteresowanie to było raczej powierzchowne, istniało przypuszczalnie dlatego, że muzyka łączyła się z moją osobą, ale drugie — rzeczywiście kochało samą muzykę.

Na razie opowiem o jednym — małym piesku, którego

nazywaliśmy Brise-fer. Odbываяc kurację w Aix-les-Bains, codziennie musiałem brać kąpiele i zabiegi w zakładzie kąpielowym. Aby się tam dostać, wynajmiałem na cały sezon powozik, którego furman — interesujący typ — miał w sobie stanowczo coś z filozofa. Pewnego dnia, gdy wchodziłem do domu, gdzie mieściły się łaźnie, zjawił się mały piesek i szedł parę kroków w ślad za mną. Gdy w kilka godzin później opuszczałem zakład, znów zauważyłem pieska, który zdawał się mnie oczekiwać i powitał radosnym machaniem ogona. Piesek nie był rasowy ani też ładny, ale wydawał się mądry i od razu odniósł się do mnie po przyjacielsku.

Po opuszczeniu łazienek czułem się wyczerpany gorącą kąpielą, szybko więc wsiadłem do oczekującego mnie powoziku, marząc o możliwie prędkim dostaniu się do domu. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu piesek biegł za powozem aż do pałacyku. Nie chciał odejść i przez całe trzy miesiące pozostał u mnie, nie rozstając się ze mną nigdy; był wiernym i oddanym towarzyszem. Sypiał w moim pokoju, jadał u moich stóp i był ciągle przy mnie, gdy siadałem do pisania. Trwało to przez całe lato i Brise-fer całkowicie pozyskał sobie moje serce. Okazywał mi przywiązanie, wierność i czułość. Nigdy nie spotkałem podobnego psa. Nie tylko ja, ale siostra moja i biedny mój chłopiec, a właściwie każdy, kto odwiedzał mój dom, wszyscy polubili go bardzo. Aż tu nagle nastąpiła zmiana. Na dwa tygodnie przed moim wyjazdem pies zmienił się całkowicie — stał się smutny i pełen melancholii, rozpaczy nawet. Byliśmy przekonani, że zawczasu przeczuwa nasz wyjazd, i to jest przyczyną jego zmartwienia. Gdy przychodził do studia, które urządziłem sobie w baszcie pałacyku, siedział i wpatrywał się we mnie żałośnie, a spojrzenie jego miało w sobie coś ludzkiego; skomlał też i wył. To było rozdzierające. Serce mi się krajało, gdy tego słuchałem, i powiedziałem sobie: „To straszne. Okrucieństwem byłoby pozostawić go tutaj, zabiorę go do Paryża. Nie mogę

postąpić inaczej, bo beze mnie na pewno tu zginie. Musi pojechać ze mną".

Tak więc zadecydowaliśmy zabrać go. Załatwiliśmy wszystko, co nie obyło się jednak bez kłopotów. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, pies poszedł z nami na stację. Kupiłem dla niego bilet i powiedziałem do Marceliego — wiernego i oddanego mi służącego, o którym później opowiem pani wiele ciekawych rzeczy: „A teraz, Marceli, proszę umieścić psa w tym przedziale, w którym ja będę siedział. Nie należy go wieźć osobno, chcę go jak zwykle widzieć koło siebie". Marceli pośpieszył spełnić polecenie, ale pies nie tylko że nie dał się chwycić, ale groźnie zawarczał i rzucił się na służącego, próbując go ugryźć. Oniemieliśmy ze zdziwienia. Począłem przywoływać go wszystkimi zdrobnieniami, ale on tylko patrzył na mnie, szczyrzył zęby, a potem warcząc odwrócił się ode mnie i począł się oddalać. Zawołałem go raz jeszcze: „Chodź tu, Brise-fer!" Poszedłem za nim, ale pies opuściwszy ogon, warcząc i kręcąc głową uciekał od nas. Stałem zdumiony, nie wierząc własnym oczom. A więc wszystko skończone — jak mówicie w Ameryce. I taki miał być koniec naszej przyjaźni? Nie pojmowałem tego, co się stało, i do Paryża powróciłem — muszę przyznać — nieco zgębiony zniknięciem wiernego małego towarzysza.

W następnym roku znów powróciłem do Chateau de Bon Port i rozpocząłem nową serię kąpieli. „Może zobaczę mego małego zeszłorocznego' przyjaciela" • — myślałem, i przyznaję, że chciałem tego. Dotąd nie umiałem sobie bowiem wytłumaczyć jego tajemniczego zachowania. Nie byłem przyzwyczajony do podobnego traktowania i czułem się urażony. I oto już pierwszego dnia po przyjeździe zobaczyłem go w gmachu łazienek. Zawołałem go czule, ale nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, i moje wysiłki w kierunku nawiązania zeszłorocznej przyjaźni pozostały daremne: Brise-fer udawał, że mnie nie poznaje. Mój zeszłoroczny furman, który

i w tym roku przywoził mnie do łazienek, z rozbawieniem przyglądał się tej scenie.

— Radzę panu nie zajmować się więcej tym psem — rzekł w końcu — i pozostawić go w spokoju.

— Ale co mu się stało? Co mu jest?

— Ten pies to oszust — odpowiedział furman — skończony nicpoń, któremu już nic na panu nie zależy. Zachowuje się w ten sposób w stosunku do wszystkich, ma bowiem zwyczaj zmieniać swych panów; to zły pies. Wszyscy go tu znają.— Zaśmiał się pogardliwie i dodał: — Z pewnością nie powróci już do pana. Niech go pan zostawi w spokoju, powtarzam, to nicpoń i oszust pozbawiony wdzięczności i serca.

Ale słowa furmana jeszcze mnie nie przekonały i postanowiłem zdobyć na nowo przywiązanie psa. Na tyle byłem zarozumiały! Znowu przywoływałem go najczulszymi wyrazami, ale pies nie raczył nawet na mnie spojrzeć. Próbowałem i innych sposobów. Kiedyś, ku oburzeniu furmana, przystanęliśmy przed rzeźnikiem, u którego kupiłem duży kawał mięsa z myślą zwabienia nim Brise-fera, ale i to okazało się daremne, bo pies, gdy nań zawołałem, warczał i ani myślał zbliżyć się do mnie, Wszystko daremne. Tak skończyła się nasza przyjaźń! Pies czuł przy tym niewłaściwość swego postępowania, udawał, że nigdy nas nic nie łączyło, że jesteśmy dla siebie obcy. Jakże często spotykamy się z tym objawem u ludzi! Nie myślałem jednak nigdy, że i pies potrafi tak się zachować. Po ostatniej próbie przyznałem już rację memu filozoficznie usposobionemu furmanowi, że Brise-fer jest nicponiem — niewdzięcznym i bez serca.

Pomimo rozczarowania, jakie sprawił mi ten pies, wiele dokonałem podczas owego sezonu w Aix-les-Bains, ukończyłem bowiem w głównych zarysach trzeci akt mojej opery. W tym też roku umarł mój biedny ojciec. Nie widziałem go już od kilku lat —

złożyło się na to wiele przyczyn. Praca nad budowaniem mojej kariery pochłaniała przez te wszystkie lata ogromną ilość czasu, a poza tym — mimo iż gorąco pragnąłem zobaczyć ojca — nie mógłbym uzyskać paszportu powrotnego, gdyż byłem obywatelem rosyjskim, a ponieważ byłem Polakiem, robiono mi niesłychane trudności przy zdobyciu zagranicznego paszportu. To przede wszystkim stało na przeszkodzie mojemu wyjazdowi do kraju. Uzyskanie paszportu, gdy ostatnio wyjeżdżałem do Wiednia na studia do Leszetyckiego, zabrało mi ponad cztery miesiące. Musiałem zwracać się do przeróżnych władz — powiatowych, okręgowych, a nawet do samego gubernatora. W owych czasach celowo utrudniano Polakom wyjazd za granicę, czyniąc go w praktyce niewykonalnym. Gdybym więc pojechał do Polski, to będąc związany za granicą tyloma kontraktami koncertowymi, ryzykowałbym w razie zatrzymania mnie w Polsce niedotrzymaniem ich terminów.

Ojciec jeszcze za życia doczekał się mego powodzenia. Będąc już stary i chory (porażony paraliżem), nie zdawał sobie może w pełni sprawy z moich osiągnięć muzycznych, ale dzięki gazetom, w których pisano o mnie, a które mu posyłałem, wiedział, że doczekałem się pełnego uznania, i słyszał o moim powodzeniu w Paryżu, Londynie, a później w Ameryce. Gdy zachorował poważnie i nie mógł się już zajmować swoimi interesami, kupiłem mu dom w małym mieście — Żytomierzu. Lubił tę miejscowość i czuł się tam dobrze, mimo że wiem, jak bardzo cierpiał nad naszym rozstaniem. W tym też domku zakończył życie. Jakże szczęśliwy byłem mogąc mu kupić ów dom; od czasu kiedy mi się dobrze powodziło — wysyłałem rokrocznie pewną sumę pieniędzy, aby umożliwić ojcu spokojne i dostatnie życie.

Ze śmiercią ojca zakończył się pewien rozdział mego życia, jak to się zwykle dzieje, gdy umierają rodzice.



Jak sięgam pamięcią, był dla mnie wszystkim — ojcem i matką zarazem. Szlachetny i nieugięty, fizycznie przedstawiał również mocny, piękny typ. I takim pozostał na zawsze w mojej pamięci.

Nic szczególnie ważnego nie zdarzyło się potem aż do stycznia czy lutego 1895. Z konieczności zacząłem znów koncertować. Wielokrotnie występowałem w Niemczech i dawałem koncerty w Dreźnie. Do Drezna pojechałem na wezwanie starej królowej Karoliny, która prosiła mnie o wystąpienie na cel dobroczynny. Rzecz dziwna, ale ilekroć zdarzało mi się dawać koncerty w tym mieście — to zawsze na cele dobroczynne, a nigdy dla siebie. Zaznaczam to ze względu na pewien fakt, który zdarzył się parę lat później.

W tym czasie odbyłem też parę krótkich tournée po Anglii i Francji. Sława moja jako pianisty stale wzrastała i wśród publiczności, i w opinii krytyków; istotnie miałem już ugruntowaną świetną pozycję w całej Europie, z wyjątkiem Hiszpanii, dokąd się udałem dopiero kilka lat później.

<sup>1</sup>Podróże sprawiły, że zaprzestałem pracy nad operą, i to niestety na dość długo! Nie mogło być inaczej. Potrzebowałem pieniędzy, musiałem więc występować — dziesięć palców stanowiło cały mój majątek.

Od dawna już marzyłem o nabyciu małej wiejskiej posiadłości z ładnym lasem i wodą. Marzenie to jednak okazało się snem nie do urzeczywistnienia, a wszystkie próby w tym kierunku drogo mnie kosztowały. Zamiast jednej, stałem się właścicielem trzech posiadłości, a w żadnej z nich nie było lasu! Nigdy nie liczyłem na dochód z nich, po prostu pragnąłem mieć własny, ładny zakątek, którym mógłbym się do woli cieszyć; mając to na myśli, mój pełnomocnik zakupił jedną po drugiej trzy posiadłości, a wszystkie bez lasu, który tak bardzo chciałem mieć! *C'est la vie.*

Kupował je kolejno, a żadna z nich mi się nie podobła. Pierwsza, którą oglądałem i na którą rzeczywiście

miałem wielką ochotę, gdyż wydawała się korzystną transakcją i dobrą lokatą, wymknęła mi się z rąk. Miejscowość była urocza, z dużym lasem, o jakim zawsze marzyłem, oraz piękną małą rzeczka. Nie potrafię pani powiedzieć, dlaczego mój pełnomocnik nie nabył tej posiadłości, ale faktem jest, że tak się stało. Zdaje się, że za długo zwlekał z kupnem i ubiegł go ktoś drugi, dość, że zamiast niej kupił trzy inne!

Pierwsze kupno było kupnem przymusowym. Namówiono mnie bowiem do pożyczania właścicielom owej posiadłości pewnej sumy pieniędzy, której nie byli w stanie zwrócić. Nie miała dla mnie wartości, gdyż nie było tam drzew. Posiadłość ta znajdowała się w zaborze rosyjskim. Był to położony blisko stacji kolejowej duży obszar ziemi, przez który przepływał strumień, ale las został w niej parę lat przedtem doszczętnie wycięty. Kupiłem ją jedynie, aby odzyskać pożyczone pieniądze.

Druga znajdowała się również w zaborze rosyjskim, ale blisko granicy zaboru austriackiego, w odległości jakichś stu dwudziestu kilometrów od stacji kolejowej. Ze względu na swoją pracę nie mógłbym, rzecz prosta, w niej zamieszkiwać. Następną pomyłka!

Trzecia leżała w zaborze austriackim i posiadała już więcej zalet. Była ładnie położona, a chociaż nie miała lasu, dowiedziałem się, że las, który z nią graniczył, jest do nabycia, i natychmiast też go kupiłem. Jedną bowiem z największych przyjemności stanowi dla mnie przebywanie w lesie, błądzenie wśród drzew, które kocham, słuchanie śpiewu ptaków i widok leśnych kwiatów i jagód — wszystko to sprawia mi niewymowną radość.

Tak więc stałem się właścicielem lasu i bardzo się nim cieszyłem, ale po paru latach przekonałem się, że nawet moje długie i lukratywne objazdy po Ameryce nie wystarczą na utrzymanie lasu — i moje! I znów z wielką stratą pozbyłem się tej trzeciej posiadłości.

Wtedy to, po tylu przykrych i kosztownych doświadczeniach, doszedłem do wniosku, że zarabiać zdolny jestem jedynie grą i że palce to mój jedyny majątek. Istotnie bowiem żadna lokata pieniędzy nigdy nie mi nie dała, a jeśli ja sam lub ktoś w moim zastępstwie umieszczał 'w czymkolwiek moje pieniądze, zawsze pociągało to dla mnie straty. Widocznie tak już musiało być. Gdy niekiedy zdarzała mi się możliwość świetnej lokaty i zrobienia majątku, nie znajdowałem na to czasu, ponieważ byłem artystą, a nie człowiekiem interesu. Gdy zwracałem się do innych o załatwienie, jakiejś ważnej dla mnie sprawy — zwlekali i lekceważyli prośby. Nie wypełniali poleceń, a cokolwiek czynili — ponosiłem straty. I tak jest zawsze, los ten prześladowuje mnie całe życie.

\*

Wziąłem się na nowo do pracy i latem 1895 przygotowałem repertuar z myślą o wyjeździe do Ameryki. Ten trzeci objazd okazał się najbardziej udany ze wszystkich. Olbrzymie tournée objęło dosłownie całe Stany Zjednoczone — od Maine do Pacyfiku — jak się to u was mówi. Był to także duży sukces finansowy, bardzo mi zresztą potrzebny po nieudanych próbach kupna owych wiejskich posiadłości.

Wtedy to poznałem Kalifornię i spędziłem urocze chwile w San Francisco. Piękno tego kraju, doskonałe powietrze, uprzejmość i gościnność tamtejszej ludności dały mi zadowolenie i radość.

Spotkałem tam wielu ludzi, których dotąd czule wspominam i dla których żywię dużo serdecznych uczuć. Między innymi — spotkałem pana Herberta Hoovera<sup>1</sup>, wówczas studenta uniwersytetu w Stanford.

Po zakończeniu występów w San Francisco pozostałem tam jeszcze tydzień, by wziąć udział w koncer-

<sup>1</sup> Późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych. (Przyp. red.)

cie, z którym wystąpić miał skrzypek belgijski Marsick. Pogoda cały czas była wspaniała. Otrzymałem kilka zaproszeń do domów prywatnych w Burlingame i dzięki tej tygodniowej przerwie w koncertowaniu pierwszy raz podczas objazdu wesoło spędziłem czas, zażywając prawdziwych wakacji.

Muszę powiedzieć, co zresztą może zaciekawi Amerykanów, że gdy grałem w owym czasie w Los Angeles, było ono małym miasteczkiem. Obecnie liczba jego mieszkańców sięga dwóch milionów. Trudno sobie wprost wyobrazić podobnie szybki rozrost miasta. W sezonie tym grałem również w San Diego. Wtedy było małą miejscowością, wioską zaledwie; na przestrzeni od stacji kolejowej do teatru (czy domu opery, jak go nazywano), wynoszącej koło pół mili, stał jeden tylko niewielki budynek — tamtejszy dom gry. Moi słuchacze rekrutowali się tam przeważnie z mieszkańców hotelu Goronado-Beach, wówczas modnego i przepelnionego gośćmi. Dziś San Diego jest bardzo pięknym miastem, liczącym prawie trzysta tysięcy mieszkańców — istny cud w tej kramie cudów.

Pod wieloma względami od samego już początku Ameryka wydawała mi się krainą baśni. Choćby sami słuchacze: na początku mej kariery nie tak liczni, ale jakże za to kulturalni — zdradzali prawdziwe zainteresowanie i umiłowanie muzyki. Przychodzili z okolicznych małych miejscowości, z prowincjonalnych miasteczek, przynosili ze sobą nuty z zamiarem śledzenia muzyki. Byli to nauczyciele muzyki lub ci, którzy ją studiowali; pierwsi przychodzili, aby odświeżyć dawne wspomnienia, drudzy — na rodzaj lekcji. Słuchali w natężonym skupieniu i pilnie śledzili nuty. W moim mniemaniu tworzyli rodzaj zrzeszenia miłośników muzyki.

Bardzo mnie to ciekawiło, ponieważ muzyka nie stanowiła wtedy, tak jak obecnie, części ogólnego wykształcenia. Z przykrością jednak muszę stwierdzić, że dziś

nastąpiła pod tym względem duża zmiana. W moim pojęciu wiele krzywdy wyrządzają dziś muzyce radio, płyty, a szczególnie coś, co nie mając nic wspólnego z muzyką, ma natomiast wiele z pośpiechem, a mianowicie — samochód.

Specjalnie pozostały mi w pamięci dwa koncerty, które miałem w Kansas City podczas drugiego objazdu. Działy się tam dziwne rzeczy. Z Teksasu przybyły setki osób, a wszyscy uzbrojeni w nuty. Wzruszający i zabawny był widok tych ludzi przepełniających hotele, gromadzących się na ulicy i wreszcie stojących przed kasą biletową z nutami w ręku. Najwięcej przyczynił się do powodzenia koncertu mój przyjaciel z Dallas w stanie Teksas, pan White, nauczyciel muzyki i uroczy towarzysz, przywożąc ze sobą aż pięćdziesięciu swoich uczniów.

W tym sezonie wśród słuchaczy w Los Angeles znajdowali się ludzie przybyli z Phoenix w stanie Arizona, a na koncert w Salt Lake City przybył z dalekiej Montany cały pociąg studentów — miłośników muzyki. Dnia tego była straszna zawieja i pociąg spóźnił się o kilka godzin. W ostatniej chwili studenci wysłali do mego impresaria depezę z wiadomością, że nie będą mogli zjawić się prędzej jak na godzinę dziewiątą, pytając, czy pan Paderewski nie zechciałby zaczekać na nich z koncertem. Rzecz prosta, z przyjemnością czekałem.

Ach, ileż mam pięknych wspomnień związanych z tą młodzieżą, jej zapałem i entuzjazmem. Zwłaszcza na Zachodzie spotykałem się często z tym nastawieniem. Niejednokrotnie wspominam teraz ich zapał i entuzjazm.

Wszyscy słuchacze okazywali mi zawsze wielką życzliwość i oddanie. W moim pojęciu audytorium jest jak olbrzymia zbiorowa jednostka o uczuciach prymitywnych, rządząca się nie rozumem, lecz intuicją, uczuciem i instynktem. Słuchacze bez względu na ich liczebność (im większa — tym bardziej się to zaznacza) odczuwają

zupełnie jak taka zbiorowa jednostka, wyczuwając doskonale, czy ten, któremu okazują swą życzliwość, ceni ich i kocha. Ja zawsze obdarzałem gorącym uczuciem moich słuchaczy i w dalszym ciągu to czynię — tysiące ludzi, dla których grałem przez tyle długich lat.

Nastrój słuchaczy wcale nie zależy od ich narodowości, i to, co powiedziałem powyżej, dotyczy zarówno Europy, jak i Ameryki. We Włoszech na przykład spotykałem się zawsze z tym samym gorącym i wzruszającym przyjęciem. Mimo że w owym czasie objechałem już niemal całościwie Europę i Amerykę, we Włoszech pojawiłem się po raz pierwszy dopiero w roku 1897. Debiut mój odbył się w Rzymie, gdzie bawiłem zresztą tylko kilka dni. Na koncercie, na którym była obecna również królowa Małgorzata, doznałem wspaniałego przyjęcia; gościnnie też przyjęty zostałem na królewskim dworze; poznałem wielu znakomitych włoskich artystów i mężów stanu, przy czym ci ostatni jak zwykle najbardziej mnie interesowali. Wydano na moją cześć parę bankietów, co wszystko razem złożyło się na uświetnienie mego sezonu.

W tym też czasie poznałem kompozytora Arriga Boito, autora wielu librett do oper Verdiego, z *Oleitem* i *Falstaffem* włącznie. Sam Boito jest też twórcą pięknej opery *Mefisto*, która cieszyła się wielką popularnością. Boito był godnym uwagi muzykiem, wszechstronnie wykształconym, miłym w obejściu i o miłej powierzchowności człowiekiem. Gdy go poznałem, nie był już młody, lecz jeszcze bardzo przystojny. On również uczestniczył w bankiecie wydanym na moją cześć przez muzyków rzymskich, pod auspicjami Akademii Świętej Cecylii i hrabiego San Martino. Ten ostatni cieszył się ogólnym poważaniem, odgrywał wyjątkowo ważną rolę, praktycznie bowiem stał na czele życia artystycznego Włoch.

Bankiet, jaki wydał dla mnie San Martino, był bar-

dzo udany; miałem możność poznania wielu ludzi odgrywających ważną rolę w życiu Włoch. Spotkałem tam osoby, które pragnąłem poznać, jak na przykład kompozytora Sgambatiego, najślawniejszego po Verdim włoskiego muzyka. Znajdował się też na bankiecie sławny rzeźbiarz Monteverde oraz archeolog Boni, którego wykopaliska na rzymskim Forum rzuciły nowe światło na historię Rzymu.

Byli też na bankiecie dwaj mieszkający w Rzymie, a bardzo popularni Amerykanie, każdy wybitny w swej dziedzinie: Julian Story — rzeźbiarz pochodzący z Bostonu, i również bostończyk Marion Crawford — poczytny autor, którego książki rozchodziły się w niesłychanej ilości egzemplarzy. U Crawforda, czarującego pana domu, bywało najbardziej wybredne rzymskie towarzystwo. Syn Story'ego ożenił się potem z piękną Emmą Eames.

Z tournée po Włoszech zachowałem przemiłe wspomnienia. Poznałem wówczas i stykałem się z tyloma ciekawymi osobami; słuchacze na koncertach zachowywali się nadzwyczajnie, a przyjęcie, jakiego od nich doznawałem, sprawiało mi radość i było prawdziwym balsamem dla nerwów artysty.

Podczas pierwszej wizyty we Włoszech występowałem jedynie w Rzymie. Pamiętam, że grałem trzykrotnie na rzecz Akademii Świętej Cecylii. Może zainteresuje panią, gdy powiem, że Akademia ta jest nie tylko szkołą, ale przede wszystkim instytucją zajmującą się organizowaniem poważnych koncertów, a poza tym wydaje różne muzyczne publikacje, zwłaszcza dotyczące historii muzyki.

W owym czasie Akademia Świętej Cecylii rozporządzała tylko niewielką salą, mogącą pomieścić około tysiąca ośmiuset osób. Obecnie posiada kolosalną salę zwaną Augusteo. Sala ta jest okrągła, olbrzymich rozmiarów, i dziwnie się w niej człowiek czuje, wiedząc, że mieści się tu grobowiec Augusta. O ile wiem, spo-

czywa on dotąd w sąsiedniej krypcie — trzeba przyznać, że rzadko się zdarza, aby Sala koncertowa została zbudowana nad grobowcem cesarza.

Ogólnie biorąc, słuchacze włoscy skłonni są do entuzjazmu, zachowują się głośno i nieraz aż krzyczą z zachwytu. Osobiście nie mogę się na nich uskarżać, gdyż zmuszano mnie do bisowania, miałem jednak wrażenie, że mimo spontanicznego, głośnego i serdecznego przyjęcia, jakiego doznawałem, entuzjazm tych słuchaczy nie był długotrwały.

Przeważnie wszędzie słuchacze moi — czy to w Paryżu, Londynie, Wiedniu, Brukseli, Petersburgu, Nowym Jorku, Chicago czy Bostonie — odnosili się do mnie nadzwyczaj miło, serdecznie i z entuzjazmem. W Ameryce istnieje zwyczaj, dla europejskiego artysty raczej nieprzyjemny, że publiczność siedząca na wysokiej galerii gwizdem okazuje swe zadowolenie. Biednemu artyście wydaje się nieraz, że go wygwizdują. Tak zresztą było niegdyś. Zdaje się, że obecnie ludzie nie są już tak skłonni do uzewnętrzniania uczuć i w ogóle nie przejawiają tylu namiętności w stosunku do czegokolwiek.

W związku z pobytem we Włoszech zapomniałem opowiedzieć pani o pewnym zabawnym zdarzeniu. Miało ono miejsce w moim domu podczas wizyty Boita, z którym zaprzyjaźniliśmy się i którego uważałem za uroczego człowieka. Inna rzecz, że podobnie jak wszyscy Włosi, łatwo się podniecał i wpadał w przesadę. Tym razem odwiedziny nastąpiły z jego własnej inicjatywy; po prostu przejeżdżając przez Morges postanowił zatrzymać się u mnie na pewien czas, a ja byłem zachwycony mogąc go u siebie gościć. Było to dawno temu, kiedy telefony dopiero zaczynały dręczyć ludzi.

Wyszedłem na stację powitać go, ale nim zdążyłem to uczynić, Boito gwałtownie zwrócił się do mnie:

— Drogi panie, czy zna pan hrabiego X? Cóż to za nudziarz, cóż za okropny nudziarz!



Boito znajdował się w stanie takiego podniecenia, że chociaż próbowałem mówić o czymś innym, wciąż powracał do hrabiego.

— Dlaczego gdziekolwiek się znajduję, zawsze natrafiam na tego człowieka! Ostatnio widziałem go w pociągu — zawsze musi być tam, gdzie i ja — nie znoszę go.

— Ale właściwie co to panu szkodzi?

— Nudzi mnie i drażni. Sam jego widok działa mi na nerwy, a stale prześladowuje mnie swą obecnością — w hotelu, w pociągu czy na koncercie. Nawet gdy opuszczam Włochy, on również musi wyjeżdżać — o tej samej porze i tym samym pociągiem.

Doprawdy poczułem się trochę głupio i nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, ale szczęśliwie znaleźliśmy się w domu i lunch odwrócił wreszcie jego uwagę od hrabiego X-. Niebawem jednak znów powrócił do porzuconego tematu i wtedy — wiedziony chęcią samoobrony — postanowiłem spłatać mu figla, który by położył kres jego obsesji i nauczył go nieco większego samokrytycyzmu. Całą sprawę omówiłem dokładnie z urzędem telefonów w Morges i z moim służącym, który miał w pewnej chwili zjawić się z wiadomością o telefonie od hrabiego X. Tak się też stało. Gdy następnego dnia siedzieliśmy na tarasie zajęci miłą pogawędką, w drzwiach ukazał się służący i oznajmił:

— Przepraszam pana, ale pan hrabia X telefonuje w pilnej sprawie do pana Boita.

— Kto? — zapytałem, udając, że nie dosłyszałem nazwiska, a służący uroczyście powtórzył: — Pan hrabia X telefonuje do pana Boita w pilnej sprawie. *C'est tres presse.*

Biedny Boito! Zbladł i znieruchomiałymi oczami wpatrywał się w służącego. Wreszcie nastąpił wybuch!

— Czy nie mówiłem? Czy nie powiedziałem? — wykrzyknął, zrywając się z krzesła. — Oto znów się zjawił, odnalazł mnie tu w pańskim domu i telefonuje.

Biedny Boito trząsał się z wściekłości. Wykrzykując

i mówiąc coś do siebie, uciekł z tarasu i zjawił się w domu dopiero po paru godzinach. Powrócił pełen spokoju i namaszczenia. Później zlitowaliśmy się nad nim i przyznaliśmy się do z góry ukartowanego żartu. Myślę, że był trochę niezadowolony, ale mimo wszystko żart okazał się dobroczynny w skutkach. Boito skorzystał z nauczki i już przez cały czas jego skądinąd zresztą przemiłego pobytu nie usłyszeliśmy słowa o hrabim X.

W roku 1897 nie zdarzyło się nic szczególnie ważnego. Przejrzałem gotowy już szkic opery i wprowadziłem pewne zmiany do libretta, aby ożywić nieco akcję i bardziej ją udramatyznić. W związku z tym musiałem dokomponować sporo nowych pieśni i porobić zmiany w muzyce.

Grywałem w tym roku niewiele, ale za to miałem dość czasu, by w głównych zarysach wykończyć operę i rozpocząć orkiestrację. Byłem w Dreźnie, gdzie znów dałem kilka koncertów na cele dobroczynne pod protektoratem dobrej starej królowej Saksonii i gdzie odbyłem rozmowę z dyrektorem opery, sławnym dyrygentem Ernestem von Schuchem. Był to genialny dyrygent, zwłaszcza operowy. Nalegał, bym chociaż częściowo zapoznał go ze swą operą, i proponował, aby pierwsze przedstawienie *Manru* odbyło się w Królewskiej Operze w Dreźnie. Dogadzało mi to bardzo i postanowiłem teraz prędko rzecz wykończyć. W sumie pracowałem nad operą dwa i pół roku. Nie mogłem przecież nieustannie tylko komponować, nie zawsze czułem się w odpowiednim nastroju, ale wreszcie udało mi się skończyć partyturę pierwszego aktu. I znów nastąpiła przerwa, gdyż umówiłem się na tournée po Rosji w roku 1899. Była to moja pierwsza podróż do Rosji od czasu owej młodszej nieszczęsnej wyprawy sprzed dwudziestu lat.

Zanim pojechałem do Rosji, dałem trzy koncerty w Warszawie. Było to istotnie pierwsze pojawienie się moje, jako artysty o ustalonej już sławie, w mieście, gdzie za młodu studiowałem. Koncerty te są dla mnie ze wszech miar pamiętne, gdyż doznałem ze strony rodaków wyjątkowo zaszczytnego przyjęcia. Wydawano bankiety, wygłaszano przemówienia — czułem się ogromnie zmęczony, będąc zmuszony koncertować i wygłaszać publiczne przemówienia. Ale wszystkie objawy okazywanego mi uznania i serdecznej życzliwości były wzruszające.

Poruszony też byłem widokiem niektórych dawnych nauczycieli, tych, którzy przepowiadali, że nigdy nie zostanę pianistą! Kilku z nich jeszcze spotkałem. Nauczyciela, który namawiał mnie na karierę puzonisty, nie widziałem, ale ci dwaj, którzy stale twierdzili, że powinienem raczej kierować się na szewca niż na pianistę, zjawili się niezmiernie dumni, tak jakby przepowiedzieli i w czymkolwiek przyczynili się do mego powodzenia.

Na jednym z bankietów ujrzałem też mego dawnego ukochanego nauczyciela kontrapunktu i kompozycji, Roguskiego; zachowam dlań wdzięczność do śmierci. Obaj byliśmy bardzo zadowoleni z tego spotkania.

Starzy Kerntopfowie też cieszyli się mną ogromnie, znowu grałem na ich fortepianach, co nie przyczyniło się bynajmniej do zwiększenia efektu gry: fortepiany te nie były złe, ale rzecz prosta nie mogły się równać ze Steinwayami czy Erardami. W rzeczywistości gra na nich wymagała dużego poświęcenia, ale grałem chętnie, i to na wszystkich koncertach w Polsce, a także w Kijowie i Odessie, chciałem bowiem w ten sposób

okazać Kerntopfom wdzięczność za tyloletnią wierną przyjaźń. Ale pod względem muzycznym było to ciężkie przeżycie, po prostu dramat. Jeżeli to uczyniłem, to tylko z racji mego wielkiego przywiązania do rodziny Kerntopfów, a w szczególności do tego, który był mi najbliższy i któremu najwięcej zawdzięczałem — do Edwarda Kerntopfa. Jakże szczęśliwy czułem się na moich koncertach, jak dumny i zadowolony, że nie zawiodłem nadziei, którą we mnie z dawna pokładał.

Po krótkim pobycie w Polsce pojechałem do Petersburga, gdzie koncertowałem kilkakrotnie. Był rok 1899 i — jak już powiedziałem — moje pierwsze tournée po Rosji.

Pierwszy koncert dałem z towarzyszeniem orkiestry, a następnie wystąpiłem z trzema recitalami. Koncerty udały się nie tylko pod względem frekwencji, ale także jeśli chodzi o stronę artystyczną — spotkały się też z dużym uznaniem publiczności, chociaż najpoważniejsza ówczesna instytucja muzyczna cesarstwa — konserwatorium założone przez Antoniego Rubinsteina — odniosła się do mnie zdecydowanie wrogo.

Przyczyny należałoby szukać może w tym, że byłem Polakiem, ale wyraźnie dawano mi do zrozumienia, że w kraju Rubinsteina i u jego wiernych zwolenników żaden artysta poza nim nie może spodziewać się uznania. Aczkolwiek Rubinstein już nie żył, kult jego osoby był jeszcze tak głęboko zakorzeniony, że przybrał postać zdecydowanej wrogości w stosunku do każdego artysty, chociażby cieszącego się uznaniem całego świata.

Sądy wyrażane o mnie w prasie, jakobym — zdaniem publiczności — był następcą Rubinsteina, z którym można by mnie śmiało porównać, zraniły uczucia jego zwolenników, uważających mnie za intruza. Położenie moje nie było więc miłe. Gdy tylko znalazłem się w gronie muzyków, natychmiast rozpoczynano rozmowy o Ru-

binsteinie, jakby chcąc mi dać odczuć, że nie zyskałem uznania i nie ma na świecie artysty, którego by można z Rubinsteinem porównać.

Słuchacze natomiast zachowywali się świetnie i nie dawali mi powodu do podobnych refleksji. Prasa podczas mego pierwszego objazdu również pisała bardzo pochlebnie. Jeden z krytyków, wyrażając się entuzjastycznie o moich interpretacjach, powiedział, że ludzie, którzy pragną czynić porównania, powinni pamiętać, że wybitnej indywidualności w sztuce nie wolno porównywać z nikim innym, gdyż pozostaje ona zawsze sobą, przy czym dodał: „Niestety, krytycy porównują pana Paderewskiego z naszym sławnym, nigdy niezapomnianym Rubinsteinem, mówiąc o nim jako o drugim Rubinsteinie. Jest to błąd: on jest pierwszym Paderewskim!”

Był jeszcze jeden krytyk, który dobrze o mnie pisał, a mianowicie Cezar Cui — włoski kompozytor polskiego pochodzenia<sup>1</sup>, uzdolniony w wielu kierunkach i interesujący się wieloma rzeczami. Był generałem i profesorem Akademii Wojskowej, gdzie wykładał sztukę fortyfikacji, a jednocześnie profesorem konserwatorium moskiewskiego. Wszechstronnie uzdolniony człowiek! Trzeba przyznać, że wśród rosyjskich muzyków było wielu podobnych do niego pod tym względem.

Prócz Cezara Cui spotkałem jeszcze innych utalentowanych i poważnych muzyków, wszechstronnych zarówno jeśli chodzi o zakres ich ogólnej wiedzy, jak i wiadomości zawodowe. Rimski-Korsakow był nie tylko wybitnym kompozytorem, ale i wykładowcą Akademii Morskiej. Czajkowski, z zawodu prawnik, był jednym z najzdolniejszych rosyjskich kompozytorów, któremu należałby się niejeden rozdział mego

<sup>1</sup> Cui był kompozytorem rosyjskim francuskiego pochodzenia. (Przyp. red.)

opowiadania. Dużo chciałbym pani o nim opowiedzieć, ale znajdę na to odpowiedniejszą chwilę. Życie miał Czajkowski— podobnie jak i wielu jego rodaków — bardzo burzliwe, a zakończył je tragicznie i strasznie, w chwili, gdy znajdował się u szczytu sił twórczych.

Powróćmy jednak do mego tournée po Rosji i do kompozytorów, z którymi wówczas się spotkałem. Bardzo mile wspominam sławnego wiolonczelistę Dawydowa, z zawodu matematyka, przez pewien czas wykładowcę matematyki na uniwersytecie; Borodin, inny wybitny kompozytor rosyjski, był zarazem profesorem chemii. Wszyscy pracowali w swoim zawodzie, a jednocześnie zajmowali się kompozycją. [...]

Nawet Mikołaj Rubinstein, młodszy brat Antoniego, przed rozpoczęciem kariery muzycznej znany był jako doskonały prawnik.

Nie znałem tylko najślawniejszego z Rosjan — Tołstoj; nigdy go nie widziałem. Nie pragnąłem zresztą tego spotkania, ponieważ Tołstoj nie należał do moich ulubionych pisarzy i nie interesował mnie specjalnie.

Moimi ulubionymi rosyjskimi pisarzami byli Gogol i Turgieniew, przy czym do tego ostatniego czysto rosyjscy pisarze odnosili się z pogardą, uważając go za przedstawiciela zgniłej kultury Zachodu.

Życie w Petersburgu, zwłaszcza w okresie karnawału, różniło się zasadniczo od życia w jakimkolwiek bądź innym kraju. Na dowód tego przytoczę tu charakterystyczną historyjkę.

Pewnego razu jedna z osobistości stojących blisko domu cesarskiego zwróciła się do mnie z zapytaniem, czy nie pragnąłbym koncertować przed carem, przy czym od razu wyznaczono mi datę występu. Oczywiście zgodziłem się chętnie, ale w owym czasie miałem wracać z koncertów w Mińsku i nie zdążyłbym na wyznaczony dzień. Zwróciłem się zatem do zarządu kolei z zapytaniem, czy nie mógłbym otrzymać specjalnego pociągu, by móc dotrzymać zobowiązania. Następnego ranka

wysiałem sekretarza dla omówienia z zarządem kolei szczegółów dotyczących tej sprawy. Powrócił o dziesiątej, mówiąc, że biura zarządu kolei zastał zamknięte, nie mógł się więc z nikim porozumieć. O wpół do dwunastej powtórnie udał się na stację i powróciwszy do mnie o dwunastej, powtórzył mi to samo — biura były nadal zamknięte. Poleciłem mu raz jeszcze popróbować szczęścia, i okazało się, że biura zarządu otworzyły swoje podwoje dopiero o wpół do drugiej po południu, do tego bowiem czasu wszyscy spali! Jak pani widzi, nocne życie kwitło tam w całej pełni. Goście, którzy zjawiali się na lunchu o drugiej lub trzeciej po południu, ziewali, przecierali oczy, i znać było po nich wyraźnie, że dopiero co wyrwali się z objęć Morfeusza — tak byli śpiący!

Występ przed carem został odłożony. Miałem za to brać udział w innej ważnej uroczystości: generał baron von Stackelberg poprosił mnie bowiem do siebie na koncert z towarzyszeniem Orkiestry Cesarskiej przed gronem wielkich książąt i ich rodzin. Znajdowałem się w Petersburgu i byłem rosyjskim poddanym, zaproszenie to uważałem więc za rozkaz, który musiałem wypełnić — co zresztą okazało się ciekawym przeżyciem.

Niech sobie pani wyobrazi całą wyłączoną dzielnicę o jakichś dwunastu, może i więcej hektarach powierzchni, na niej kilka wielkich budynków. W jednym z nich mieszkał dyrektor Orkiestry Cesarskiej, baron von Stackelberg, uroczy człowiek, prawdziwy arystokrata, ale o jego znajomości muzyki istotnie nie wiedziałem nic. Był generałem, wobec tego jego rozkazom podlegała Orkiestra Cesarska. W mniejszym już domu mieszkał dyrygent opery, a liczne pozostałe domki zajmowali członkowie zespołu. Stanowiło to jedyną w swoim rodzaju kolonię.

Skład orkiestry był znakomity. Mieli nadzwyczajnych wykonawców na instrumentach dętych drewnianych. Byli także i cudzoziemcy, instrumenty dęte są bowiem specjalnością Francuzów i Belgów. Skrzyp-

kowie byli również znakomici, przeważali wśród nich Niemcy, chociaż znajdowali się także i Rosjanie. Z orkiestry więc byłem w pełni zadowolony.

A teraz najbardziej niespodziewana historia. Oto mimo tak ogromnej przestrzeni i wielkiej ilości budynków nie było tam żadnej sali przeznaczonej na koncerty — nie było miejsca dla orkiestry. To wprost śmieszne. Zmuszeni byliśmy grać w korytarzu długim może na dwadzieścia pięć metrów, ale wąskim i z okropną akustyką.

Korytarz ten znajdował się w głównym budynku, w którym mieściło się muzeum muzyczne z kolekcją różnych starych instrumentów. Pewien szczegół zwrócił tam moją uwagę. Oto w jednym z pokoi wisały portrety wszystkich sławnych rosyjskich muzyków, i oglądając je, ze zdumieniem zauważyłem również mój portret, wykonany kiedyś w Paryżu przez tamtejszego artystę. Zobaczyłem jeszcze więcej moich podobizn z podpisanym pod nimi moim nazwiskiem, ale bez żadnych komentarzy. Baron Stackelberg objaśnił mi, że są one ostatnim nabytkiem muzeum, car bowiem, będąc niedawno w Paryżu, przypadkiem je zobaczył i tak mu się podobały, że polecił zakupić większą ilość i umieścić w muzeum.

Widziałem, że opowiadanie o tym sprawiło baronowi wyraźną przyjemność. Z goryczą mówił natomiast, że mimo olbrzymich sum, jakie pochłania utrzymanie orkiestry, nie starcza nigdy pieniędzy na wybudowanie przyzwoitej sali koncertowej i niestety nie może temu zaradzić. Orkiestra, w skład której wchodziło osiemdziesięciu muzyków, była prywatną orkiestrą cara. Cóż za zbytek!

Koncerty filharmoniczne, na których występowałem ze zwykłą orkiestrą symfoniczną, odbywały się natomiast w przestronnej, wygodnej sali, w której dałem też recitale. Ale orkiestra cara nie posiadała własnej sali — było to wprost nie do uwierzenia!



Mogę tu dodać, że podczas koncertu z towarzyszeniem Orkiestry Cesarskiej poznałem kilku wielkich książąt: Włodzimierza, Borysa i Sergiusza. Wszyscy kazali mi wiele uprzejmości, ale jeden z nich szczególnie zwrócił moją uwagę, różnił się bowiem zasadniczo od pozostałych: wielki książę Konstanty Konstantynowicz. W zachowaniu pełen prostoty, lecz wyjątkowo inteligentny, posiadał wielki zasób wiadomości z dziedziny muzyki i sztuki. Rozmawialiśmy długo i ciekawie. Wydał mi się największym intelektualistą z całej rodziny; może on jeden nie przywiązywał wagi do swego stanowiska, a to dlatego, że z zamiłowaniem oddał się studiom nad sztuką i literaturą. Tłumaczył na rosyjski Szekspira i stale interesował się pracami Rosyjskiej Akademii Literatury. Wyczuwało się w nim prawdziwego intelektualistę.

Na audiencji u cara nie byłem nigdy. Natomiast gdy niegdyś studiowałem w konserwatorium warszawskim i należałem do osławionej studenckiej orkiestry, pewnego razu wystąpiliśmy przed carem. Po odegraniu kilku utworów z przerażeniem zobaczyłem zbliżającego się do mnie carewicza, późniejszego cara Aleksandra III. Grałem wówczas na trąbce, a że i carewicz podobno na niej grywał, interesował go ten instrument. Byłem wtedy nieśmiałym czternasto- czy piętnastoletnim chłopcem, gdy więc carewicz podszedł do mnie i zapytał, jakiego rodzaju jest moja trąbka, nic nie odrzekłem, tylko mu ją pokazałem. Przyjrzał się jej bacznie, stwierdził, że różni się od jego własnej, i poklepawszy mnie po ramieniu, odszedł. Takie było moje pierwsze i ostatnie spotkanie z carem rosyjskim.

Pierwszy koncert w Petersburgu dałem na rzecz biednych studentów konserwatorium, co nie przeszkadzało, że okazywali mi wrogie uczucia. Nie życzyli sobie w ogóle widoku mej osoby. Na ostatnim koncercie grałem utwory kameralne, dwa numery programu, ze znanym dziś jeszcze świetnym skrzypkami

Auerem oraz ze znakomitym wiolonczelistą Wierzbickim. Dochód z tego ostatniego koncertu przeznaczyłem na wdowy i sieroty po zmarłych profesorach konserwatorium.

Z Petersburga pojechałem do Moskwy, z programem podobnym do petersburskiego. Stanowisko dyrygenta orkiestry zajmował wówczas dyrektor konserwatorium moskiewskiego — Wasyl Safonow, którego może pani pamięta, przez parę sezonów bowiem dyrygował w Nowym Jorku. Był to wybitny muzyk, bardzo dobry dyrygent, doskonały nauczyciel i uroczy człowiek. Niestety tylko, jako czystej krwi Rosjanin, odczuwał nieprzeparte pragnienie, przy czym nigdy nie miał dosyć. Natychmiast po próbie zaprosił mnie na śniadanie, gdzie od razu miałem sposobność przekonać się, jak bardzo był spragniony i jak trudno, a właściwie niemożliwe byłoby sprostać mu pod tym względem.

Już przed zakończeniem śniadania zdałem sobie sprawę, że lekceważy mnie za moją nieudolność w tym zakresie i nawet jest o to zły. Jako prawdziwy Rosjanin lekceważył bowiem słabą głowę każdego, kto nie potrafił dorównać mu w pić.

Podczas koncertu jednak doskonale dyrygował, niemniej jednak przypuszczałem, że przed samym występem musiał zjeść obiad razem z grającym na rogu członkiem orkiestry. Trudno sobie bowiem wyobrazić, co ten wyrabiał podczas koncertu. Podnosił swój róg wysoko w górę, to znów udawał, że z niego pije, zachowywał się jak pijany lub wariat. Te dziwaczne wy-czyny trwały podczas całego numeru programu i kompletnie zepsuły moją *Fantazję*, którą właśnie grałem.

Safonow, jeśli chodzi o picie, był rzeczywiście niemożliwy, i podobnie jak wielu jego rodaków, potrafił pić bezustannie. Widywałem go wielokrotnie w Rosji i w Polsce, w Paryżu, a potem w Nowym Jorku i Londynie.

W Londynie zaprosiłem go kiedyś na obiad. Przyjął

zaproszenie, ale nalegał, aby nikogo prócz mnie i mej żony nie było przy Stole. Mówił, że cieszy się bardzo na myśl o tej wizycie, ale „niech nikogo z gości poza mną nie będzie, tak pragnę, byśmy byli sami i ugadali się od serca, tyle spraw jest do omówienia”. Zgodziłem się oczywiście na to i nikogo poza nim nie prosiłem.

Zjawił się w świetnym humorze, ale ku memu zdziwieniu nie okazywał najmniejszej ochoty do rozpoczęcia poufnej pogawędki, której jakoby tak bardzo pragnął. Całą bowiem uwagę skoncentrował natychmiast na trunkach. Rozpoczął od koniaku, przed obiadem wypił go ze trzy czy cztery kieliszki. Następnie przyszła kolej na dwie butelki białego wina i jedną czerwonego claretu, potem jeszcze dwie butelki szampana — zapewniam panią, że tak było — i jeszcze cztery koniaki po kawie. Wreszcie, ku memu zdumieniu, poprosił o piwo, którego wypił ze smakiem sześć dużych Szklanek — liczyłem! Zbudowany jak atleta, był mężczyzną silnym, któremu wówczas nic nie dolegało i który wydawał się odporny jak skała. Cóż to był za kompan, jaki miły!

Ale powróćmy do koncertu. Gra moja podobała się publiczności mimo błazeństw pijanego waltornisty. Jednakże po odegraniu *Fantazji polskiej*, podczas której przeszkadzał mi w jej należytym wykonaniu, zauważyłem pewne objawy wrogości ze strony słuchaczy. Nie wiedziałem, czy przyczyny tego należało szukać w zachowaniu się pijanego muzyka, czy też w fakcie, że kompozycja, którą grałem, była polską fantazją. Bowiem w Rosji istniało wówczas wrogie nastawienie specjalnie wobec Polaków, a ja byłem Polakiem. Jednak tak było, i to mnie zmartwiło.

Dziś biedny waltornista nie żyje, i dawno mu już wszystko wybaczyłem. Safonow też nie żyje, ale jemu nic nie mam do wybaczenia. Przeciwnie, należą mu się ode mnie słowa uznania, jako doskonałemu dyrygentowi, a ponadto pozostały mi związane z jego osobą

wspomnienia wesołych i miłych chwil. Raz jeden tylko podczas tournée zawiodłem się na nim, zdarzyło się bowiem coś, co przekonało mnie, że mimo jego przyjaźni nie życzył mi szczerze powodzenia w Moskwie. Zawsze zresztą to odczuwałem. Może grały tu rolę polityczne względy — fakt, że byłem Polakiem, a może wynikało to ze sprzeczności tak częstych w naturze ludzkiej. W każdym razie sprawa z Safonowem przedstawiała się w taki sposób:

Na mój pierwszy recital w Moskwie zjawiono się dużo osób, ale sala nie była tak szczelnie wypełniona jak w Petersburgu. Rozglądałem się, czy nie zobaczę gdzie Safonowa, ale ze zdziwieniem stwierdziłem, że nie ma go wśród obecnych. Zjawił się dopiero po recitalu: wyglądał dziwnie, w zwykłym porannym ubraniu, podczas gdy wszyscy mieli na sobie stroje wizytowe. Pamiętam jeszcze jego wytartą, nędzną kamizelkę i niedbały wygląd.

Przywitawszy się ze mną, wytłumaczył swą nieobecność na recitalu wykładami w konserwatorium. Czułem, że jest to tylko wymówka, nie wydawało mi się bowiem prawdopodobne, by o dziewiątej wieczorem mogły się jeszcze odbywać jakiegokolwiek wykłady, a poza tym sala koncertowa znajdowała się obok konserwatorium, łatwo więc było przyjść i posłuchać koncertu. Tym razem nie miałem mu jednak za złe nieobecności, przypuszczając, że może nie był w odpowiednim nastroju do słuchania muzyki. To samo jednak zdarzyło się na drugim i na trzecim recitalu. Zawsze zjawiał się pod sam koniec mego występu, wynajdując różne usprawiedliwienia, zawsze tak samo nieporządnie i niedbale ubrany, co było niegrzeczne wobec wszystkich obecnych. Muszę przyznać, że zachowanie Safonowa zraniło mnie bardzo głęboko, posądzałem go bowiem o zupełnie inne w stosunku do mnie uczucia. [...]

Tournee po Rosji obfitowało w nieprzyjemne chwile, a przyczyną kilku z nich był Safonow. Najbardziej charakterystyczne zdarzenie miało miejsce na ostatnim występie, kiedy grałem na rzecz rodzin po zmarłych profesorach konserwatorium. Miałem grać w małej sali konserwatorium, mieszczącej około tysiąca osób. Sala była przepełniona, a skrzypek, wiolonczelista i ja zajęliśmy miejsca na estradzie. Z chwilą, gdy się ukazałem, na sali rozległy się głośne i przeciągle gwizdy. Zdziwiony spojrzałem na mych towarzyszy i zapytałem: „Co to ma oznaczać?” Skrzypek odpowiedział: „Nie mam pojęcia, nigdy nie widziałem ani nie słyszałem czegoś podobnego, to oburzające”.

Gdy gwizdy poczęły się wzmacniać, powiedziałem: „Nie wiem, co robić, ale znosić tego nie mam zamiaru”.

W tejże chwili ukazał się Safonow, jak zwykle ubrany w swą podniszczoną nędzną marynarkę, do której musiał być chyba bardzo przywiązany. Wejście jego nie zmieniło jednak sytuacji, gwizdy trwały nadal i wyraźnie skierowane były przeciwko mnie. Uważałem, że trzeba coś przedsięwziąć, aby położyć temu kres, wstałem więc i głośno, tak aby wszyscy na sali mogli mnie słyszeć, po rosyjsku zwróciłem się do Safonowa, który jako dyrektor konserwatorium odpowiedzialny był za przebieg koncertu:

— • Proszę pana, nie rozpocznę koncertu, póki na sali nie zapanuje spokój.

— Ale dlaczego, o co panu chodzi?

— Czyżby pan nie słyszał gwizdów na sali?

— Owszem, słyszę, ale nie zwracam na to uwagi i nic mi to nie przeszkadza.

— Ja natomiast zwracam uwagę na zachowanie się publiczności podczas mego koncertu i nie zacznę grać, póki nie zapanuje spokój. Powinien pan zresztą posłać po policję, aby zaprowadziła tu porządek.

— Co?! Sprowadzić policję, chyba nie mówi pan tego poważnie?

— Owszem, najzupełniej poważnie, i jeśli pan tego nie uczyni, zrobię to sam, a jeśli policja się nie zjawi, włożę palto i wracam do hotelu.

Safonow spojrział na mnie badawczo.

— A jeśli któryś z przedstawicieli prasy — ciągnąłem dalej — zapyta mnie, dlaczego nie grałem, to powiem mu całą prawdę: nie grałem, bo pierwszy raz w życiu, i to w konserwatorium moskiewskim, zostałem wygwizdany, wtedy gdy zamierzałem dać koncert na wdowy i sieroty po zmarłych profesorach tegoż konserwatorium!

— Nie powiedziałyby pan tego — wykrzyknął — to byłby cios dla mnie, śmierć, śmierć prawdziwa!

— Nie śmierć, ale byłoby to dla pana niemiłe.

Żartami próbowałem jeszcze zmienić moją decyzję, ale nie ustąpiłem i domagałem się wezwania policji.

Dobrych kilkanaście minut trwała nasza rozmowa, wciąż zagłuszana rozlegającymi się gwizdami i sykaniem. Wreszcie Safonow zdecydował się wezwać policję, a ja zszedłem z estrady. Gwizdy ustały natychmiast.

Niebawem na sali pojawiło się paru policjantów. Teraz wstąpiłem sam na estradę, a policjanci, ukłoniwszy mi się uprzejmie, powiedzieli: „Przyszedliśmy na pana wezwanie”. Po pewnej chwili, gdy na sali zapanał już zupełny spokój, zacząłem grać, a słuchacze do końca koncertu zachowywali się bez zarzutu. Nie całe audytorium urządziło mi zresztą tę wrogą demonstrację, zdobyła się na nią — tak to bywa — nieznaczna mniejszość, kilkunastu tchórzy, którzy nie śmieliby inaczej jak w tłumie okazać w stosunku do mnie, Polaka, wrogiego nastawienia. Zawsze tak jest.

Koncert zakończył się dużym sukcesem, a Safonow, jak gdyby w ogóle nic nie zaszło, najuprzejmiej w świecie zaprosił mnie na kolację. Nie wypadało odmówić. Podczas kolacji, którą jedliśmy w najlepszej moskiewskiej restauracji — w Ermitażu — Safonow był w dosko-

nałym nastroju, a drugi nasz towarzysz, wiolonczelista, popijał bez przerwy i był w żalonym stanie. Nie pamiętam, ile butelek opróżnił, straciłem rachubę; pamiętam tylko, że w końcu mieszał szampana z koniakiem i błagał mnie, abym i ja raczył się tą trucizną. Widząc że mam do czynienia z nietrzeźwym, nie odmówiłem, ale zawartość podanego kieliszka wylałem za siebie — zupełnie tego nie zauważył.

Prym w czasie biesady wodził Safonow, on podsunął pomysł mieszania szampana z koniakiem. Cóż to był za człowiek! Tak więc wieczór odbył się w szampańskim nastroju, a Safonow ani wtedy, ani nigdy później nie wspominał o okolicznościach, w jakich odbył się mój koncert. Wszystko zostało zapomniane.

Do szóstej rano siedzieliśmy w owej restauracji; popijając i dowcipkując. Ja naturalnie byłem tak trzeźwy jak w tej chwili; nie przebrałem miary, a zawartość kieliszków, które mi wciąż podsuwano, wylewałem. Towarzysze moi znajdowali się w tak błogim stanie, że nawet nie zwrócili na to uwagi! Sporo kieliszków wypróżnił też mój sekretarz, który choć Niemiec, dorównywał w picciu Safonowowi.

Długo można by opowiadać historię Safonowa, czasem na wesoło, ale ma ona i swoje tragiczne strony. Muszę tu jednak złożyć należny mu hołd i powiedzieć słów parę o nim jako o człowieku i dyrygencie. Mimo nocy, które spędzał na hulankach, i mimo stałego nadużywania alkoholu — od samego rana można go było zastać w konserwatorium za dyrektorskim biurkiem. Nigdy nie opuszczał dnia pracy, pierwszy do niej śpieszył, trwał zawsze na posterunku. Cechowała go wielka energia, poczucie obowiązku i odpowiedzialności. Powinności swe wypełniał wzorowo. Oto jego zasadnicze zalety, które na zawsze pozostaną mi w pamięci.

Podczas pobytu w Moskwie zatrzymałem się w hotelu zwanym Bazarem Słowiańskim. Był to prawdziwie rosyjski hotel, zresztą miejsce nie do wytrzyma-

nia. Przyjechałem tam w czasie karnawału i z początku nic szczególnego nie zwróciło mojej uwagi. Ale gdy zszedłem do restauracji na obiad, od razu rzucił mi się w oczy umieszczony na środku pokoju, a raczej wielkiej sali, olbrzymi zbiornik z żywymi rybami. Nieco zdziwiony zwróciłem się do kelnera, zapytując, w jakim celu znajdują się na sali te olbrzymie żywe ryby. „To rozumiały — odpowiedział mi kelner. — Niektórzy z naszych najzamożniejszych klientów zamawiają rybną zupę. W Moskwie i w centralnej Rosji istnieje zwyczaj, że klient sam wybiera sobie na nią rybę. W naszym hotelu — dodał, z dumą wskazując na zbiornik — goście nasi mogą sobie wybrać stąd ryby, jakie tylko chcą. Podchodzą do zbiornika i wskazują na rybę (zwykle wybierają największą), z której pragną mieć ugotowaną zupę. Te ryby to sterlety, a niektóre z nich, te wyjątkowo duże i piękne, kosztują dwadzieścia do trzydziestu rubli.”

Po tym wyczerpującym wyjaśnieniu zrozumiałem już sens istnienia zbiornika, a podczas obiadu sam miałem możliwość obserwować gości, którzy doń spieszyli celem wyboru swych ofiar.

Do północy tego dnia nie działo się nic nadzwyczajnego, ale gdy już zasypiałem, nagle usłyszałem okrzyki: *Hoch soll er leben! Dreimal hoch!*

Przeraziłem się i pomyślałem: „Co to takiego? Jestem w Rosji, a budzi mnie toast wznoszony po niemiecku”. I do samego już rana gromada ludzi wznosiła różne niemieckie toasty. Było to okropne, a na domiar złego następnego dnia o dwunastej w nocy rozpoczęło się to samo.

Nie mogłem spać i posłałem mego sekretarza z zapytaniem, czy nie można by jakoś tych hałasów ukrócić. Prosiłem, aby natychmiast poszedł i dowiedział się, czy odbywa się jakaś szczególna uroczystość, czy też codziennie w ten sposób obchodzi się tu karnawał, bo wówczas musielibyśmy się natychmiast z hotelu wyprowadzić.



Wrócił po paru minutach, mówiąc: „Powinniśmy zmienić hotel, ale obawiam się, że gdziekolwiek się przeniesiemy, wszędzie spotka nas to samo. W Moskwie bowiem mieszka wielu starych Niemców, którzy w ten sposób święcą karnawał, i to przez wiele dni”. W tych okolicznościach nie warto więc było się przeprowadzać.

Faktycznie byłem teraz uwięziony w swoim apartamencie; dopiero wieczorem w dniu poprzedzającym mój ostatni recital powiedziałem do sekretarza: „Nie mogę już dłużej jadać w tym jednym pokoju, idźmy gdzie indziej”. Udaliśmy się więc do hotelu Metropol. I ten był przepełniony, i tu również dniem i nocą obchodzono hucznie karnawał. Rozejrzawszy się po sali, poprosiłem o osobny gabinet. Zjawił się natychmiast właściciel, który wiedział, kim jestem, i z uprzejmym wyrazem twarzy powiedział:

— Ależ naturalnie, że znajdzie się dla pana oddzielny pokój — i z uśmiechem dodał: — pokój z pianinem.

— Ależ drogi panie — krzyknąłem przerażony — właśnie uciekłem od fortepianu i nie życzę sobie pokoju z pianinem.

— Dobrze — zaśmiał się rubasznie — ale może pan być pewien, że moje pianino nie zakłóci panu spokoju.

Z tymi słowy wprowadził mnie do pięknego pokoju, w którym stało piękne pianino.

— Oto pokój, którym mogę panu służyć, a tu stoi pianino.

Zaintrygowany jego Słowami, chciałem przekonać się o wartości instrumentu i począłem go próbować. Jednak mimo że uderzałem w różne klawisze, żaden z nich nie wydał dźwięku: najwidoczniej pianino było głuche i nie do użytku. Roześmiałem się, i gdy niebawem gospodarz znów się zjawił w pokoju, dopytując o dalsze moje życzenia, zapytałem go:

— Niech mi pan powie, w jakim celu stoi tu to pianino?

— Pianino — wykrzyknął gospodarz — to nie pianino, szanowny panie, to kopalnia złota.

— Co pan przez to rozumie? — rzekłem, udając wielkie zainteresowanie.

— Powiem to panu — odparł poufnie, zniżając głos. — Być może, nie zna pan tutejszych kupców, a w szczególności ich synów. Są ogromnie bogaci i nieokiełznani, a przy tym nie wiedzą, co robić z pieniędzmi. Jak się upiją — wpadają w szatańską i rozbijają, co tylko mogą: szklanki, butelki, krzesła, stoły i zwierciadła — wszystko, co wpadnie im w rękę. A potem obstalowują jeszcze szampana i wlewają go do pianina. Tak, proszę pana, cały szampan wlewają do pianina. Gdy żądają rachunku, doliczam im wówczas do ceny szampana kosztą, i to znaczne, uszkodzenia instrumentu. Czy nie mam więc racji mówiąc, że stanowi on dla mnie kopalnię złota?

Życie w Rosji w owym czasie, i tak jak je poznałem, wydało mi się doprawdy dziwaczne. Osobliwy i zbyt korny był sposób życia tamtejszych mieszkańców, sposób, który wykraczał ponad wszystko, co dotychczas widziałem na świecie. Mówię tu, rzecz prosta, o życiu arystokracji, bogatych kupców i przedstawicieli wolnych zawodów. Poddani (to jest chłopi) żyli w biedzie i ucisku. [...]

Rosjanie, na ogół biorąc, są dziwnym narodem — zdolnym, nawet bardzo zdolnym, ale nikt nie jest w stanie poznać ich do głębi. Przede wszystkim są fatalistami, trochę to już jakby Wschód, i dziwny jest ich stosunek do otoczenia. Są zwykle zbyt uprzejmi, zbyt wylewni, szczególnie gdy popijają. Uświadomiwszy sobie jednak, że za daleko się posunęli i że ktoś mógłby za dużo się po nich spodziewać, stają się ostrożni i zamykają się w sobie, co może wydawać się fałszem — w moim jednak pojęciu tak nie jest; po prostu zdając sobie sprawę, że okazali zbyt wiele zaufania i uczucia, próbują się wycofywać. Jest to rzecz naturalna, a charakterystyczna dla ludzi Wschodu. Czasami są rzeczywiście zanadto uprzejmi,

jakby chcieli na wszystkich wywierać wrażenie miłych, dobrze wychowanych i wspaniałomyślnych.

Naród rosyjski jest wyjątkowo muzykalny, czego dowody Spotyka się tam wszędzie. Mimo pewnego prymitywizmu ich<sup>7</sup> psychiki, Rosjanie są bezwzględnie wysoce uzdolnieni i dość skomplikowani. Wszystko zresztą w Rosji wydało mi się zawiłe, ale zarazem interesujące. Ogromnie interesowała mnie ich literatura, a raczej dzieła niektórych pisarzy. W owym czasie, jak już wspominałem, do ulubionych moich autorów należeli Gogol i Turgieniew. Tołstoj mniej mnie zajmował, ale przyznaję, że dzieła jego nie pozostały bez wpływu na nadchodzącą rewolucję. Był nie tylko wielkim pisarzem, pragnął być także reformatorem społecznym, a jego pisma w znacznym stopniu przyczyniły się do wywołania w umysłach ludzkich pragnienia sprawiedliwego rozdziału dóbr. On pierwszy uderzył w tym kierunku na alarm. Podobno mając sześćdziesiąt lat, nagle rzekł się swoich majątków, chociaż jeszcze w owym czasie nie zmienił trybu życia. I chociaż gwałtownie domagał się reform, dopiero znacznie później, kiedy miał już ponad osiemdziesiąt lat, opuścił dom, aby zamieszkać wśród chłopów. Mówią także, że był bardzo przewidujący i cały swój majątek zapisał żonie.

Znane są zresztą o nim różne sprzeczne opowiadania, a ja nie pragnę powiedzieć więcej niż to, co jest ogólnie znane. W każdym razie należał do jednostek silnie oddziałujących na społeczeństwo rosyjskie. Moim zdaniem, nie był jednak pozbawiony hipokryzji w życiu i czynach i dużo w nim było pozy.

Podczas tego tournée spotkałem znów znakomitą panią Jesipow. Rozwiodła się już wtedy z Leszetyckim i została profesorem muzyki w konserwatorium petersburskim. Nie była młoda, ale ciągle jeszcze świetnie wyglądała, nadal była błyskotliwa i cieszyła się wielkim uznaniem jako pedagog. Skończyła już wtedy z karierą pianistyczną.

Prosto z objazdu po Rosji udałem się do Anglii, miałem tam wystąpić z paru koncertami. Następnie pojechałem do Lipska, ale nie z koncertami, lecz by trzymać do chrztu jedno z dzieci Nikischa. Powrócił ze Stanów Zjednoczonych, gdzie dyrygował sławną Bostońską Orkiestrą Symfoniczną. Po opuszczeniu Ameryki został dyrygentem Opery w Budapeszcie.

Tournee po Rosji było ogromnie wyczerpujące, jak również koncerty, z którymi następnie zobowiązałem Się wystąpić. Ale posiadałem już teraz miejsce, w którym mogłem odpocząć po męczących sezonach koncertowych — miałem własne ognisko domowe. Dwa lata przedtem nabyłem posiadłość Riond-Bosson w Morges; spełniło się więc w ten sposób dawne moje marzenie. Wreszcie stałem się właścicielem własnego kawałka ziemi, posiadłości bowiem, o których pani opowiadałem, sprzedawałem prawie natychmiast po ich zakupieniu. Tu Sprawa przedstawiała się zupełnie inaczej — ten dom stał się moim home'em i pozostaje nim do dnia dzisiejszego.

Doktorzy dawno już radzili mi, bym ze względu na ciężką chorobę syna osiedlił się w spokojnej miejscowości, w domu z ogrodem lub parkiem. Dzięki drogiej mej przyjaciółce, księżnie Brancovan, dowiedziałem się, że w Riond-Bosson w Morges jest do wynajęcia pałacyk, który, jej zdaniem, odpowiada moim wymaganiom. Rzeczywiście był to cudowny zakątek, położony nad Jeziorem Genewskim, z prześlicznym widokiem na majestatyczny i wspaniały Mont Blanc, wznoszący się z drugiej strony jeziora. Riond-Bosson jest oddalone przeszło kilometr od starego i malowniczego miasteczka Morges pod Lozanną.

Riond-Bosson od razu mi się spodobało i natychmiast też je wynająłem. Mój biedny syn również zadowolony był z mego wyboru i czuł się tam wyjątkowo dobrze. Od razu mu się tam spodobało. Nie mógł biedak chodzić, był zupełnym kaleką, ale tu było łatwiej: duży, zalany słońcem pokój z tarasem i pięknym widokiem stał się miejscem, gdzie najchętniej przebywał.

Spędziłem tam rok, a następnego lata, dowiedziawszy się, że dom jest na sprzedaż i przysługuje mi pierwszeństwo, widząc, jak szczęśliwy czuł się tam mój syn, bez namysłu nabyłem go natychmiast<sup>1</sup>.

W dwa lata później, wiosną 1899 roku, ożeniłem się powtórnie.

A teraz nadchodzi czas, bym opowiedział pani o ciężkich i trudnych chwilach mego życia, o których niechętnie wspominam, nie tylko dlatego, że są to sprawy osobiste i drażliwe, ale głównie i przede wszystkim, ponieważ wiążą się z rozwodem, którego zasadniczo zawsze byłem przeciwnikiem. Wydaje mi się, że szczególnie w dzisiejszych czasach ludzie robią sobie z niego rodzaj sportu, że staje się on nałogiem, a specjalnie w Ameryce już prawie instytucją. Dla wielu jest po prostu sposobnością do nowej zabawy, nowego stosunku czy nowego małżeństwa. Zawsze odczuwałem doń silną niechęć i oto — mimo że jestem stanowczym jego przeciwnikiem, mimo że wrogo się doń odnoszę — rozwód umożliwił mi drugie małżeństwo.

Ten nowy związek odegrał w moim życiu ważną rolę i dlatego tu o nim mówię. Kiedy biedny mój syn był tak ciężko, prawie beznadziejnie chory, mieszkał kolejno u jednych i u drugich dziadków, aż wreszcie oddałem go pod opiekę przyjaciół, państwa Górskich. Z panem Górskim, znakomitym skrzypkiem, łączyła mnie przyjaźń jeszcze z czasów studenckich i odbyliśmy nawet za młodu wspólne tournée koncertowe. Synem moim opiekowała się troskliwie pani Górską, przez długie lata zastępując mu matkę, był więc do niej bardzo przywiązany, wdzięczny niezmiernie za starania i dobroć.

W owym czasie Górscy mieszkali w Paryżu, często i nich bywałem. Podczas sezonu codziennie odwie-

<sup>1</sup> Paderewski zamieszkał w Riond-Bosson w r. 1897, zaś kupił tę posiadłość w 1899, w roku zawarcia małżeństwa. (Przyp. red.)

dzałem syna i nie mogę zaprzeczyć, żeby nie wrzucała mnie, a także i nie pociągała pani Górską. Z biegiem czasu przywiązanie przerodziło się w miłość. Mogę tylko tyle o tym powiedzieć. Górski spostrzegł to i pierwszy zażądał rozwodu. Były to ciężkie chwile dla nas wszystkich, pełne napięcia i wzruszeń, przy czym muszę przyznać, że Górski zachował się jak najbardziej szlachetnie i lojalnie.

Rozwód, jak pani wiadomo, w kościele rzymsko-katolickim nie istnieje, pozostawało więc tylko unieważnienie małżeństwa. Dało się to łatwo przeprowadzić, ponieważ pani Górską wychodząc po raz pierwszy za mąż była bardzo młoda i wzięła ślub bez pozwolenia ojca. Ta techniczna formalność, której nie dopełniono, stała się podstawą do unieważnienia małżeństwa z Górskim; w niecały rok po zażądaniu przez niego rozwodu wszystko było załatwione, i w maju 1899 odbył się nasz ślub w Warszawie.

Tegoż roku wyruszyłem do Ameryki, tym razem już z żoną. Dałem wówczas przeszło sto koncertów, nie tylko w całych Stanach Zjednoczonych — dotarłem również, nie bez przygód, aż do samego Meksyku. Już przy przekroczeniu granicy zatrzymały mnie władze celne, zapytując, dlaczego wiozę z sobą w wagonie specjalnym aż dwa instrumenty, to jest fortepian i pianino. W owym czasie nie mówiłem jeszcze po hiszpańsku, nie mogłem się więc z nikim porozumieć i prawdopodobnie zatrzymano by mnie parę dni na granicy, gdyby nie pomoc jadącego z nami amerykańskiego oficera, który wytłumaczył władzom, że fortepian przeznaczony jest na koncerty, a pianino służy mi do codziennych ćwiczeń, i bynajmniej nie wiozę go na sprzedaż. Powiedział też, że znając prezydenta Diaza, nie omieszkałby się poskarżyć w moim imieniu, gdyby ze strony władz spotkała mnie jakakolwiek przykrość czy nieuprzejme traktowanie. To najwidoczniej poskutkowało i urzędnicy przepraszając pozwolili udać się w dalszą drogę.

Jednak wskutek tej zwłoki oszedł zwykły pociąg i nie chcąc spóźnić się na koncert w mieście Meksyku — zmuszony byłem prosić o podstawienie mi specjalnego.

Wsiadłem do niego — pędził, zdaje się, z niezwykłą jak na Meksyk szybkością. Gdy przybyliśmy na jakąś wysoko w górach położoną stację (pociąg stale wspinał się pod górę), nagle uczuliśmy wielki wstrząs. Okazało się, że koło mego prywatnego wagonu zapaliło się i odpadło. Szczęśliwie zdarzyło się to na stacji i dało się je zastąpić innym, gdyż akurat był tam przypadkiem inny wóz pulmanowski. Bez dalszych już wypadków dojechaliśmy do Meksyku (miasta), ale z takim opóźnieniem, że zamiast o dzień wcześniej — zaledwie na dwie godziny przed koncertem. Niebezpieczna to była podróż.

Na dworcu oczekiwały już z powitaniem wszystkie znaczniejsze osobistości miasta. Przyjęto nas ogromnie mile i gościnnie, z właściwą Hiszpanom wylewnością, okazując przyjazne uczucia.

Miałem tam dwa recitale, oba bardzo udane. W dniu drugiego koncertu, niedługo przed rozpoczęciem, oznajmiono mi, że pragnie mnie widzieć prezydent Porfirio Diaz; chociaż nie znałem jeszcze hiszpańskiego i porozumiewałem się z nim przez tłumacza — wywarł na mnie wielkie wrażenie. Był człowiekiem rzeczywiście godnym uwagi, a za jego rządów w kraju panował porządek i dobrobyt. Miał żelazną rękę, niezbędną w tamtejszych warunkach, umiał ukrócić bandytyzm i zaprowadzić spokój i ład. Meksyk jest pięknym i bogatym krajem, ale wciąż jeszcze można do niego zastosować słowa starego Humboldta, który niegdyś nazwał go żebrakiem. „Meksyk — wyraził się Humboldt — jest żebrakiem siedzącym na worku złota.” Niezapomniane słowa.

Nic specjalnie ciekawego nie zdarzyło się podczas tego tournée po Ameryce. Podobnie jak i w czasie wielu poprzednich zdobyłem powodzenie, za które



wdzięczny jestem losowi. Jedyne niezwykle wypadek miał miejsce w San Francisco. Tamtejszymi moimi koncertami zajmował się impresario teatralny pan Friedlander, człowiek miły, ale o nieco osobliwych metodach pracy. Zaraz po przybyciu do San Francisco uderzyło mnie, że zawiadomienia o koncertach zredagowano w sposób dziwny, tak skromniutko, powiedziałbym nawet pokornie, że odnosiło się wrażenie, iż albo wszystkie bilety są już wyprzedane, albo też nie wierzy on w osiągnięcie przeze mnie sukcesu. Przeczytawszy je dokładniej, przekonałem się, że rzeczywiście nie wierzył w powodzenie mojego koncertu, gdyż raptem bez powodu obniżył ceny biletów do połowy.

Natychmiast wezwałem go do siebie. Wizytę swą poprzedził przysłaniem mej żonie wspaniałego bukietu, a gdy wreszcie pojawił się, na zapytanie dotyczące ogłoszeń i cen biletów odpowiedział:

— Uczyniłem to dla pańskiego dobra, jako też dla obrony własnych interesów.

Byłem zdumiony.

— Jak pan to rozumie, dla mego dobra i w pańskim interesie obniżył pan ceny do połowy? Ale dlaczego?

— Ponieważ jest to już druga pana bytność w San Francisco, a z doświadczenia jako agent wiem, że powodzenie można osiągnąć tylko raz.

Wobec tak nedorzecznej i śmiesznej odpowiedzi nie wiedziałem, co dalej mówić. Zdaje sobie chyba pani sprawę, jakie wrażenie musiało to wyrzucić na publiczności, gdy za występ artysty, którego słuchała przed paru laty za cztery lub pięć dolarów, płaci obecnie dwa. Nie chodziło mi już w danym wypadku o stronę materialną, ale uważałem to za uwłaczające mojej godności. Sprzeciwiłem się więc stanowczo, ale nie dało się podnieść ceny, bo połowę biletów na koncert już rozprzedano. Sala na owym koncercie w połowie tylko była zapełniona, co — rzecz prosta — sprawiło mi przykrość, ale niepowodzenie takie spotkało mnie tylko raz jeden.

Po owym koncercie Friedlander przybiegł do garderoby i z triumfalną miną zwrócił się do mnie: „Widzi pan, że stało się tak, jak przewidywałem, sala w połowie tylko była wypełniona, gdybym więc naznaczył wyższe ceny, przyszłoby jeszcze znacznie mniej osób”.

I co dziwniejsze, wydawał się zadowolony mimo straty, jaką ponieśliśmy obaj. Zdałem sobie sprawę, że wszelkie moje argumenty nie trafiłyby mu do przekonania, nie mówiłem więc już nic więcej. Muszę jednak dodać, że w parę lat później, w czasie następnego pobytu w San Francisco, miałem innego impresaria i grałem przy wypełnionych salach.

W związku z obniżką cen biletów muszę pani opowiedzieć z mojej kariery muzycznej jeszcze inne zabawne wydarzenie, kiedy to, nie zmuszony chorobą ani żadnym wypadkiem, dwukrotnie zerwałem kontrakt. Zrobiłem to z całą świadomością i z całą świadomością odmówiłem gry.

Zdarzyło się to w Anglii w dwóch pobliskich miejscowościach: T. i P. Grywałem tam już poprzednio, a i później także, w tym jednak wypadku, o którym mówię, koncertami moimi zajmował się stale tam mieszkający impresario, który o to poprosił. Moim impresariem w Londynie był wówczas mój przyjaciel pan Adlington, sam muzyk i nauczyciel gry na fortepianie. Zrzuciwszy pracę pedagogiczną i poszukując jakiegoś zajęcia, odkupił od Daniela Mayera jego prawa organizowania moich koncertów.

Nie miał jeszcze doświadczenia impresaria i zaufał pewnemu mieszkańcowi jednej z tych dwóch miejscowości, powierzając mu zajęcie się obydwoma recitalami. Nie znał dobrze stosunków i nie wiedział o istniejącej wśród ludności małych miasteczek rywalizacji i innego rodzaju drobnych konfliktach. W zupełności zaufał owemu agentowi — panu Blankowi.

Gdy przybyłem do hotelu w T., chcąc zobaczyć, na którą godzinę wyznaczony jest mój koncert, spojrze-

łem na afisz i zdumiałem się — nie dowierzałem oczom. Ogłoszenie brzmiało: „Paderewski, sławny i znakomity artysta” itd., itd., a dalej dużymi literami: „Bilety na koncert tego świetnego artysty są do nabycia u pana Blanka po cenach w stosunku do poprzednich jego koncertów o połowę niższych”.

Byłem po prostu oburzony. Natychmiast posłałem sekretarza do pana Blanka, by mu powiedział, że zupełnie nie rozumiem sensu i przyczyny jego ogłoszenia, że w żadnym razie nie wystąpię i że zrywam kontrakt. Moje postanowienie było nieodwołalne i nie cofnąłem go.

Wtedy rozpoczęła się w londyńskiej prasie przeciwko mnie straszna kampania. Pan Blank ledwo przeżył mój postępek, został bowiem wystawiony na pośmiewisko. Zdaje się, że zamierzał nawet wytoczyć mi proces i że nastąpiła wymiana listów między jego prawnikiem a moim impresariem, panem Adlingtonem, ale ten ostatni bez trudu przekonał adwokata, że winę ponosi tu pan Blank za wysoce niewłaściwą treść afisza.

Kampania wszczęta przeciwko mnie była interesująca ze względu na to, że rozpoczęli ją dwaj fabrykanci fortepianów, na których nigdy nie grywałem i grywać nie zamierzam. Oni to wystąpili przeciwko mnie w prasie, ale cała sprawa szybko umilkła, a publiczność przyznała mi rację. Grywałem jeszcze wielokrotnie w T. i w P., i zawsze z powodzeniem.

W moim życiu artystycznym miałem też i niebezpieczne chwile. Kiedyś grałem w Santa Cruz — małym mieście w Kalifornii. Koncert odbywał się w niedużym, szczelnie wypełnionym teatrze, przy czym dla wielu osób zabrakło już biletów. Jacyś chłopcy, zaintrygowani nie tyle koncertem, ile zgromadzonym tłumem, weszli na dach budynku teatralnego. Na dachu znajdowały się widocznie różne przedmioty, a między innymi i ciężkie żelazne drągi. Jak to się stało — nie wiem, myślę, że musiał to być przypadek, wątpię bowiem, aby dzieci potrafiły być aż tak okrutne — dość, że nagle

z wysokości około osiemnastu metrów spadł na salę żelazny drąg. Przedostał się widocznie przez małe okienko w suficie i całą siłą uderzył w krawędź fortepianu, w pobliżu moich rąk. Gdyby upadł cokolwiek dalej — zabiłby mnie na miejscu. Słuchacze zerwali się z miejsc, widząc jednak moje opanowanie i to, że nie jestem ranny, słysząc, że nie przerywam gry, uspokoiili się wkrótce; nie zdali sobie sprawy, jak bardzo bliski byłam śmierci.

Przeżyłem jeszcze jedną chwilę, o której warto wspomnieć, charakteryzuje bowiem stosunki na zachodzie Stanów Zjednoczonych — nie był to właściwie żaden wypadek, ale chwila przerażenia.

Zdarzyło się to w Dallas, w stanie Teksas, w okresie gdy w mieście tym stacjonowało parę tysięcy żołnierzy dawnej armii konfederatów z Południa. Miasto Dallas, żywotne i przedsiębiorcze, postanowiło w tym czasie wybudować olbrzymią drewnianą halę na około siedem tysięcy ludzi. Komitet Zjednoczenia zaprosił mnie, abym wystąpił w tej ogromnej sali. Z Chicago wyjechałem specjalnym pociągiem, żeby w porę zdążyć na występ, ale przyjechawszy, ze zdziwieniem stwierdziłem, że budynek nie był jeszcze gotowy, a panujący rozgardiasz i zamieszanie przypomniały mi oglądane przed laty Targi Światowe. Wióry, trociny i śmieci rozrzucone były wszędzie, a robotnicy i wiele jeszcze innych ludzi kręciło się po sali i nie bacząc na walające się po podłodze odpadki, strząsało na ziemię popiół z papierosów i cygar. Przeraziłem się na ten widok, gdyż pożar wydawał się nieunikniony. „Jakże ja w podobnych warunkach będę grał” — pomyślałem, mocno zdenerwowany i pewny wybuchu pożaru.

Myśl ta dręczyła mnie do tego stopnia i tak pewny byłem katastrofy, że nie omieszkałem towarzyszącemu mi wiernemu Marcelemu wydać odpowiednich w razie pożaru zarządzeń. Przede wszystkim poleciłem mu baczyć na moją żonę i zająć się nią w razie pożaru.

ja myślałbym o sobie; nieszczęścia, które zdawało przybliżyć się z każdą chwilą, byłem zupełnie pewny.

Po obu stronach budynku znajdowały się oszklone werandy, po których nieustannie spacerowali żołnierze i gdzie ustawione były dla nich łóżka do spania. Panował tam stały ruch i zamieszanie. Starzy weterani paląc nieprzerwanie fajki włączyli się tam i z powrotem, siadając gdzie się dano i zasypiając.

Dzień dłużył mi się niezwykle, ale zapewniano mnie ciągle, że wieczorem wszystko już będzie gotowe, w co jednak poważnie wątpiłem. Gdy o ósmej pojawiłem się na sali, zauważyłem znaczną ilość pustych krzeseł, może około tysiąca, i musiałem czekać na przyjazd pociągów, którymi z dalszych okolic Teksasu przybyć miało specjalnie na mój koncert jeszcze wiele osób. Pociągi miały wielkie opóźnienie, niestety nie było na to rady, ale skutek był taki, że koncert zacząłem późno.

Właśnie rozpoczynałem go od wielkiego poloneza Chopina, gdy nagle doszły mnie jakieś dzikie okrzyki, wśród których na skutek zdenerwowania i podniecenia, \*w jakim się znajdowałem, słyszałem tylko słowo „pożar”. Byłem pewny, że to okrzyki paniki, że gdzieś wybuchł pożar, że jesteśmy zgubieni. Szczęśliwie nic podobnego się nie zdarzyło. To tylko starym weteranom, wyrwanym nagle ze snu dźwiękami mego poloneza, wydawało się, że słyszą orkiestrę wojskową. Poczęli więc wznosić okrzyki bojowe. Na wpół jeszcze śpiący, zerwali się na równe nogi i krzyczeli. Trwało to minutę czy dwie, ale mnie zdało się wiecznością, mimo że nie przestawałem grać.

Zobaczywszy, że słuchacze zachowują się spokojnie, zrozumiałem, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Ludzie znajdujący się bliżej śpiących weteranów zrozumieli od razu, co znaczyły owe okrzyki. Brzmiały one „*hooray! hooray!*”, a nie „*fire! fire! fire!*”, jak błędnie usłyszałem.

Tak więc recital zakończyłem bez żadnego wypadku, a dał mi on duże zadowolenie, gdyż audytorium entuzjastycznie mnie przyjęło i zmusiło do wielokrotnego bisowania. Podobne zdarzenie mogło mieć miejsce jedynie w Ameryce, i to za dawnych lat.

Przejdźmy teraz do moich spraw osobistych. Opery wciąż jeszcze nie ukończyłem, zabrałem się więc do pracy i rozpocząłem instrumentowanie. Muszę powiedzieć, że rzadko kiedy pracowałem z takim zapałem i przyjemnością, i mimo usterek, jakie dostrzegam w operze, i błędów, z których może nie zdaję sobie sprawy — instrumentacja dziś nawet, po tylu Jatach, daje mi pełne zadowolenie.

Pracę ukończyłem w styczniu 1901 i natychmiast potem wyruszyłem z koncertem do Nicei i Monte Carlo, a następnie do Rzymu, gdzie znów grałem w Akademii Świętej Cecylii i wystąpiłem na prywatnym koncercie u królowej Małgorzaty.

Potem nastąpiło krótkie tournée po Hiszpanii, którego nie dokończyłem, otrzymałem bowiem w Bilbao wiadomość o śmierci syna. Znajdował się w tym czasie poza domem, przeprowadzał pewną kurację, z którą obaj łączyliśmy wielkie nadzieje. Nagły koniec jego krótkiego i smutnego z powodu kalectwa życia był dla mnie wielkim ciosem. Łudziłem się wciąż nadzieją jego wyzdrowienia, śmierć zniweczyła ją ostatecznie. Ciało syna przewiozłem na cmentarz w Montmorency, niedaleko Paryża. Jest to cmentarz drogi sercu moich rodaków, ponieważ spoczywa na nim wielu znakomych Polaków, zmarłych na emigracji. Leży tam Chopin<sup>1</sup> i nasz wieszcz narodowy, Mickiewicz<sup>1</sup>. Tam też pochowałem mego syna Alfreda, który umierając nie miał jeszcze ukończonych dwudziestu jeden lat.

Błogostawieństwem okazała się teraz dla mnie ko-

<sup>1</sup> Pomyłka Autora; Chopin leży na cmentarzu Pere Lachaise, zaś Mickiewicz leżał w Montmorency, ale do r. 1890, kiedy to zwłoki poety zostały przewiezione na Wawel. (Przyp. red.)

nieczność pracy, konieczność ostatecznego wykończenia opery, która niebawem miała być wystawiona. Tak więc życie potoczyło się dalej. Partyturę i niektóre części *Manru* wysłałem już do Drezna, gdzie sam też wkrótce pośpieszyłem. Premiera opery już się zbliżała, nastąpił więc okres prób i niezbędnych z mej strony poprawek i przeróbek. Niektórzy śpiewacy, z którymi współpracowałem, domagali się — jak to zwykle bywa — pewnych zmian, i to nie tylko w samej muzyce, ale i w akcji. Stara historia.

Libretto napisane było w oryginale po niemiecku, zachodziła więc konieczność przekładu i dostosowania muzyki do polskiego tekstu, ponieważ opera natychmiast po jej wystawieniu w Dreźnie miała być wystawiona we Lwowie i Krakowie. Pracowałem wtedy dniami i nocami, co zresztą w owym czasie było dla mnie dobrodziejstwem.

Na premierę (20 maja 1901) przybyło dużo osób z różnych krajów. Z Wiednia przyjechał mój dawny profesor, Leszetycki, robiąc mi swym przyjazdem wielką przyjemność. Z Berlina — Józef Joachim. Przyjechało też sporo moich starych przyjaciół z Warszawy, Paryża, i Londynu, a nawet paru amerykańskich przyjaciół, bawiących w owym czasie w Europie.

Sądząc po ilości przedstawień, opera odniosła rzeczywisty sukces.

W lecie była na niej pani Sembrich z Maurycym Grauem, dyrektorem Metropolitan Opera w Nowym Jorku, i zdecydowali wystawić ją w następnym sezonie w Ameryce. Bandrowski, bardzo popularny w owym czasie w Niemczech tenor, przestudiował główną rolę z *Manru* i zaofiarował swe usługi panu Grauowi. Chętnie go poparłem, gdyż rzeczywiście na to zasługiwał.

W lipcu wystawiono *Manru* we Lwowie, pod dyktando Spettrina, z udziałem Bandrowskiego i paru jeszcze doskonałych artystów, a następnie w Krakowie. W pierwszym sezonie we Lwowie opera szła trzydzieści

razy, a w Krakowie około dziesięciu. Bardzo mnie to cieszyło.

Lato owego roku spędziliśmy w mojej posiadłości znajdującej się w zaborze austriackim, w pobliżu Krakowa. Stamtąd mogłem łatwo dojeżdżać na wszystkie przedstawienia opery.

Z premiery w Dreźnie byłem całkowicie zadowolony — operę wystawiono bardzo starannie. Oczywiście nie wszyscy śpiewacy stali na najwyższym poziomie i nie dało się ich porównać ze wspaniałymi śpiewakami Metropolitami lub Covent Garden, ogólnie jednak biorąc, artyści, soliści i orkiestra stanowili doskonale zestrojoną całość. Trudno było wymagać więcej.

Będąc w Dreźnie był to ciągle rok 1901 — brałem też udział w koncercie z towarzyszeniem orkiestry na benefis orkiestry operowej. Grałem nie lepiej i nie gorzej niż zazwyczaj, ale że w toku były próby mej opery, paru miejscowych krytyków z zadowoleniem wynalazło błędy i mocno mnie skrytykowało.

„Co za szkoda — pisano w jednej recenzji — że Paderewski zabrał się do komponowania, bo przestał być wielkim pianistą.” Inny krytyk wyraził się o mnie jeszcze surowiej, pisząc: „Należy żałować, że Paderewski oddał się obecnie kompozycji, zaniedbując tym samym grę na fortepianie, co dało się wyraźnie zauważyć na wczorajszym koncercie”, itd., itp.

Trudno, taka już jest ludzka natura!

Najwidoczniej Joachim nie podzielał tych opinii, ponieważ zaproponował, byśmy wspólnie wystąpili na kameralnych koncertach ku czci Beethovena w Bonn, miejscu jego urodzenia. Odbyło się tam pięć koncertów i byłem bardzo rad, mogąc brać udział w tych uroczystościach.

Na każdym z koncertów prócz muzyki kameralnej Beethovena, Brahmsa, Schumanna i innych grałem zawsze jeden utwór solowy. Zjechali Się tam wówczas muzycy z różnych stron Niemiec:



Na pierwszym z koncertów odegrałem *Sonatę fis-moll* Schumanna. Wykonanie jej musiało wywrzeć na słuchaczach wrażenie, skoro zaraz po koncercie zjawił się u mnie dżentelmen, który przedstawił się jako pan Krebs, a jego entuzjazm wywołany moim wykonaniem *Sonaty* przechodził wszelkie granice. Trudno mi dziś powtórzyć zachwyty i pochwały, jakimi mnie obsypał. Nie wiedziałem, kim jest, dopiero później objaśnił mi Joachim. „Czy pan wie, jaki niebywały triumf pana spotkał? Krebs to jeden z najzdolniejszych i najsurowszych krytyków berlińskich. Z pewnością napisze też o panu, i to w sposób najbardziej pochlebny.”

Już po pierwszym więc koncercie zyskałem jego uznanie i aprobatę, twierdził, że nie słyszał jeszcze gry tak znakomitej, i nazwał mnie mistrzem fortepianu. I rzeczywiście podobnie brzmiała jego krytyka w piśmie „Der Tag”, z którym współpracował.

Na następnym koncercie zagrałem *Sonatę op. 111* Beethovena, i miło mi było usłyszeć z ust Joachima słowa najwyższego uznania, tym milej, że Joachim powszechnie uchodził za najlepszego wykonawcę muzyki Beethovena. „Czypanwie — powiedział do mnie — że pan wykonanie rewelacją? Nigdy nie słyszałem, aby ją ktoś w ten sposób interpretował! Nigdy!”

Ale tym razem pan Krebs już się nie zjawił i do końca festiwalu straciłem go z oczu. Nietrudno było domyślić się powodu. Od czasu bowiem, gdy odmówiłem występów w Berlinie, o czym już pani mówiłem, byłem w tamtejszej prasie źle notowany. Stale spotykałem się z objawami nieprzychylności, a nawet wrogości, co zresztą trwało latami. Krebs był krytykiem berlińskim, i to takim, który mnie chwalił i okłaskiwał, nastąpiła więc zwykła historia: naczelne władze musiały wydać nakaz, by nie pisano o mnie pochlebnie, i po następnych koncertach stałem się dla krytyków już tylko przeciętnym pianistą. Tak się przedstawiały sprawy, a pewien jestem,

że i biedny pan Krebs w głębi serca musiał odczuć wyrażoną mi niesprawiedliwość.

To nieuznawanie mnie jako pianisty charakteryzuje prasę berlińską od samego początku, od mego pojawienia się w Berlinie w roku 1890. Drażniło berlińskich recenzentów, że mimo ich niekorzystnej oceny, wszędzie cieszyłem się powodzeniem i spotykałem z uznaniem.

Zabawny wypadek zdarzył się podczas ostatniego koncertu, kiedy graliśmy z Joachimem sonatę skrzypcową Schumanna. Trudność w graniu tej sonaty polegała na tym, że nuty były tak rozplanowane, iż odwracanie stron sprawiało wiele kłopotu. Strony z partią skrzypiec należało stale odwracać. Odbyliśmy więc z Joachimem próbę — i na próbie wszystko poszło dobrze. Po skończeniu Joachim powiedział mi, że jedyna rzecz, której możemy się podczas występu obawiać, to przewracanie kartek, ale zaangażował w tym celu dobrego muzyka i jest nadzieja, że wszystko będzie w porządku. Stało się jednak inaczej. Osoba, której polecono tę czynność, tak się przejęła samą muzyką, że zapomniała przewrócić stronę w odpowiednim momencie. „Na miłość boską — szepnąłem — niechże pan szybko przewróci stronę Joachimowi.” Ale było już za późno. Zdenerwowanie udzieliło się nam obu. Joachim zgubił się w takcie, a ja nie wiedziałem, co grać dalej. Przeraziłem się, że teraz już nie dojdziemy do ładu — i rzeczywiście może dziesięć sekund, które wydały mi się wówczas wiecznością, każdy z nas próbował dostosować swą muzykę do gry drugiego. Niestety, okazało się to beznadziejne, i graliśmy wszystko — tylko nie sonatę. Muzycy, rzecz prosta, spostrzegli to, ale publiczność — zdaje się — nic nie zauważyła. Po skończonej grze bez słowa spojrzeliśmy na siebie. Była to katastrofa. .

Dnia tego znajdował się na koncercie i siedział w pierwszym rzędzie pewien dystyngowany dżentelmen. Był to bardzo młody jeszcze wówczas następca tronu pruskiego, obecny elektor (jeśli można tak mówić w dzisiejszych

okolicznościach). Młody książę, bardzo muzykalny, bywał na każdym koncercie. Mam wrażenie, że nieszczęsna historia z sonatą ubawiła go, gdyż zauważyłem, jak śmiał się serdecznie.

Zdumiewające, jak niedorzeczne drobiazgi potrafią nieraz pobudzić widownię do śmiechu. Niemal wszystko, a czasami i nic, powoduje, że potrafi się ona po dziecinnemu cieszyć i czasem zaśmiewać z sytuacji komicznych, ba! nawet tragicznych. Każdy artysta przeżywał podobnie przykre i niemiłe chwile, a i mnie również ich nie zabrakło. Był taki jeden mój występ dość dawno temu — gdy byłem jeszcze młodym człowiekiem — w czasie którego nieświadomie dostarczyłem słuchaczom wcale niezłej porcji uciechy. Doskonale pamiętam, jak pewnego razu począłem wybierać się na koncert dość późno, co mi się zresztą rzadko zdarzało. Pozostawało mi mało czasu, z największym więc pośpiechem, nie bacząc na swój wygląd, wskoczyłem do dorożki i pojawiłem się na sali koncertowej. Ale z chwilą gdy znalazłem się na estradzie i nie doszedłem jeszcze do fortepianu, zdałem sobie sprawę, że coś nie jest w porządku, słuchacze bowiem siedzący w bliższych rzędach wybuchnęli serdecznym śmiechem. Postąpiłem jeszcze parę kroków dalej, ale słysząc wzmagający się śmiech, obróciłem się i ku memu przerażeniu spostrzegłem wiszące mi spod marynarki szelki. Przeżyłem wówczas straszną chwilę.

Nie pozostawało mi nic innego, jak czym prędzej się wycofać. Pobiegłem wprost, przy głośnym śmiechu widowni. Po paru minutach uporządkowałem nieład i powróciłem na salę, ale przyznaję, że ten powrót dużo mnie kosztował. Słuchacze jednak zachowali się nadzwyczajnie — nie tylko się już nie śmieli, ale powitali mnie zachęcającymi oklaskami, i recital odbył się bez dalszych przykrości.

Mówiłem już wiele o fortepianiach, ale nie wspominałem dotąd o jednej z najważniejszych dla mnie spraw —

o moim krześle do gry podczas koncertów, a była to dla mnie rzecz specjalnej wagi. Krzesła, na których koncertuję, są moim odkryciem, czymś zupełnie nowym. Lata całe nie zdawałem sobie sprawy, dlaczego grając przed publicznością, nie czułem się swobodnie. Zawsze mi coś nie dogadzało, zawsze odczuwałem ból w plecach, utrudniający mi grę. Powoli doszedłem do przekonania, że winę za to ponosi krzesło, na którym siedziałem, i zacząłem szukać odpowiedniego. Wypróbowałem setki krzeseł — sprawa wydawała mi się beznadziejna, aż wreszcie zupełnie niespodziewanie natrafiłem u Erarda w Paryżu na takie, na którym mogłem wygodnie siedzieć. Było to najniższe krzesło, jakie dotąd widziałem; okazało się dla mnie doskonałe. Zaraz poprosiłem o przygotowanie mi paru podobnych i odetchnąłem. Wreszcie znalazłem krzesło, na którym siedząc czułem się wygodnie i swobodnie. Od tego czasu nigdy innego nie używałem. Rzecz prosta, że krzesło takie niszczy się z biegiem czasu, muszę więc często je zmieniać.

Steinway posiada na składzie wiele specjalnie dla mnie przeznaczonych krzeseł. W Morges mam dwa, dwa stale czekają na mnie w Londynie, jedno w Paryżu. Zawsze towarzyszą mi w objazdach, a zawsze mam jeszcze i zapasowe, w razie nieprzewidzianych okoliczności. Krzesło to stanowi istotną część mej kariery muzycznej, należy do ekwipunku mego życia pianisty. Wszystkim uczniom (a także tym, którzy dla mnie grają) polecam zawsze niskie krzesło i stale podkreślam jego konieczność i znaczenie dla gry. Ja sam mogę grać z odpowiednią siłą jedynie siedząc na niskim, na wysokim grać nie potrafię.

Zewnętrzne warunki gry mają ogromny wpływ na powodzenie publicznego występu. Atmosfera sali, jej oświetlenie, taboret do gry, stan fortepianu — jakże te wszystkie akcesoria oddziałują na usposobienie grającego, zmniejszając lub zwiększając potrzebny do gry

wysiłek. Na przykład — przyćmione światło na sali i estradzie jest dla mnie rzeczą niezbędną. Z tego powodu, muszę tu przyznać, bywam często krytykowany; nie rozumiano mnie i uważano moje żądania za pewnego rodzaju pozę. W rzeczywistości tak nie jest, istotnie bowiem nie jestem w stanie grać, gdy światło świeci mi w oczy. Utrudnia to należyte skupienie, denerwuje w niesłychany sposób i zakłóca spokój. Z tej też przyczyny unikam gry z orkiestrą. Wtedy bowiem, ze względu na umożliwienie orkiestrze, czytania nut, sala musi być jasno oświetlona, co dla mnie jest istną torturą. Na początku kariery musiałem to znosić. Jako początkujący artysta nie mogłem niczego wymagać, musiałem dostosowywać się do innych. Skoro tylko doszedłem do tego, że mogłem już stawiać żądania, grałem zawsze przy świetle przyćmionym i nigdy nie występowałem na jasno oświetlonej estradzie. Innowację tę wprowadziłem dopiero wtedy, gdy zdobyłem odpowiedni autorytet.

Zdarza się czasem, że elektrotechnicy przez pomyłkę, wbrew moim zarządzeniom, umieszczają jasne światła na sali i na estradzie. Opuszczam wtedy estradę i nie powracam, aż nie doprowadzą oświetlenia do należytego stanu. Wielu ludziom wydaje się to pozą i dziwactwem, nie mogą bowiem zrozumieć, że inaczej grać nie potrafię. Może to i pewnego rodzaju kalectwo, ale nie jestem w stanie grać, gdy światło bezpośrednio świeci mi w oczy.

Mówiliśmy o roku 1901 i o premierze mojej opery w Dreźnie. Pozostała część roku znowu poświęciłem *Manru*, który teraz miał być wystawiony w Metropolitan Opera w Nowym Jorku; tam musiałem być obecny na próbach.

Opera doznała gorącego przyjęcia. Pani Sembrich była wprost cudowna, Bandrowski śpiewał znakomicie, a Walter Damrosch świetnie dyrygował. Całość więc wypadła doskonale. Nie miałem z wystawieniem żadnych specjalnych kłopotów, drobne tylko nieporozumienie z Dawidem Bisphamem, który wówczas występował w Metropolitan Opera. W operze przypadła mu rola polskiego wiejskiego „czarownika”. Najwidoczniej nie wiedział, jak się do tej roli ubrać, i na ostatniej próbie kostiumowej pojawił się na scenie jako chłop w łachmanach, na domiar wszystkiego w tureckim fezie na głowie! Byłem zdumiony, nie wyobrażałem sobie bowiem, aby Bispham chciał tak wystąpić i na głowę polskiego czarownika włożyć turecki fez! Pośpieszyłem do jego garderoby z wymówkami, mówiąc mu, że jest rzeczą niemożliwą, aby grał rolę polskiego chłopca w tureckim fezie na głowie. I dziwiłem się, jak mógł się tak niedorzecznie ubrać.

Ale Bispham wcale się nie przejął moimi wymówkami i odpowiedział: „Przykro mi, przyjacielu, ale byłem pewny, że ów czarownik był Turkiem”. Rozbroił mnie swą odpowiedzią; trzeba jednak przyznać, że rolę odegrał bardzo dobrze, gdyż był doskonałym śpiewakiem, chociaż jak spostrzegłem, nie orientował się zupełnie w treści akcji.

Mój impresario, Charles Ellis z Bostonu, zorganizo-

wał w sezonie, w którym wystawiono *Manru*, moje tournée z pięćdziesięcioma recitalami i przypadek zrządził, że w dniu, kiedy występowałem z, pierwszym recitalem w Carnegie Hall, odbywało się też przedstawienie mojej opery w Metropolitan. Ponieważ i na recital, i na operę bilety były całkowicie — jak się wyrażamy w teatralnym języku — „wyprzedane”, podwójne moje wystąpienie dało okazję pewnemu krytykowi do napisania życzliwego, w żartobliwym tonie utrzymanego artykułu pod tytułem *Paderewski walczy z Paderewskim*.

Z przyczyn dla mnie niezrozumiałych *Manru*, chociaż na pięciu czy sześciu przedstawieniach sala była szczelnie zapełniona — nie utrzymał się w repertuarze Metropolitan Opera. *Manru* wystawiany był w Nowym Jorku, Chicago, Baltimore, Filadelfii, Bostonie i Pittsburgu, a w Europie w Kolonii, Bonn, Pradze, Zurychu, Warszawie itd., i wszędzie osiągnął powodzenie — a także i w Kijowie.

We Francji spotkał mnie wielki zawód. Naturalnie libretto musiało być przełożone na język francuski. Przekładu dokonał Catulle Mendes, znakomity pisarz i prawdziwy poeta, ale człowiek bardzo rozrzutny, któremu stale brakowało pieniędzy. Podejmował się każdej literackiej pracy, którą mógł szybko odrobić, byle tylko zdobyć niezbędne do luksusowego trybu życia środki. W rezultacie, ponieważ stale się spieszył, przekład był tak niedbały, że okazał się niezdatny do użytku. Po prostu okropny i całkiem do niczego. Wielokrotnie proponowano mi wystawienie opery, ale po zapoznaniu się z librettem uznawano je za niemożliwe, a ja sam byłem w owym okresie tak zajęty, że nie miałem czasu na wyszukanie odpowiedniego tłumacza.

Zgodnie z francuskim prawem autorskim Mendes w wypadku wystawienia opery w jego przekładzie uzyskałby pewne honorarium autorskie, ale w danym wypadku, niestety, nie wchodziło to w rachubę. Tak

więc spotkał mnie podwójny zawód — strata materialna i przykrość, specjalnie bowiem zależało mi, żeby we Francji, którą darzyłem szczególną sympatią i gdzie odbył się mój pierwszy debiut, wystawiona została również i moja opera.

Ówczesne tournée po Ameryce trwało długo i obfitowało w sukcesy. Podobnie jak w czasie poprzednich objazdów, jeden koncert następował po drugim i każdy dawał mi pełnię zadowolenia. W roku 1902 powróciłem do Europy, gdzie wystąpiłem w Londynie z paroma recitalami i gdzie znów grywałem u pana Astora, a owe wieczory muzyczne stały się częścią mego zwykłego sezonu londyńskiego.

Potem nastąpiło bardzo wyczerpujące tournée po Niemczech, zorganizowane przez nowego impresaria w Londynie, Adlingtona, który w owym czasie odkupił już prawa od poprzedniego mego agenta, Daniela Mayera.

Obecnie musimy znów powrócić do Wolffa, stojącego na czele wielkiej agencji muzycznej w Berlinie. Do Wolffa, który przed laty zabronił mi — biednemu studentowi — wstępu na salę, gdzie koncertował Rubinstein, tegoż Wolffa, który w roku 1890 czynił mi tak korzystne propozycje zostania moim impresariem, a gdy ich nie przyjąłem — groził zemstą. Opowiadałem to już wielokrotnie, ale teraz mówię o tym ostatni raz.

Moje ówczesne tournée obejmowało całe prawie Niemcy, oczywiście z wyjątkiem Berlina, przy czym już przed wyjazdem nowy impresario, Adlington, zawarł pewnego rodzaju porozumienie z Wolffem. W czasie objazdu droga moja parokrotnie wiodła przez Berlin, i kiedy Wolff, który przechodził niedawno ciężką operację, wyraził chęć zobaczenia się ze mną, chętnie go odwiedziłem. W tak smutnym momencie nie mogłem już żywić do niego urazy za poprzednie gorzkie chwile. Był bardzo chory i słaby, ale zdobył się na to, aby mi powiedzieć, iż brakuje mu słów na wyrażenie, jak wy-



soko ceni sobie moje przyjście i jak ogromnie żałuje krzywd wyrządzonych mi w przeszłości. Biedny człowiek ufał, że mu wszystko wybaczę. Nigdy go więcej nie zobaczyłem, gdyż w parę tygodni polem już nie żył.

Podczas tego tournée grałem we wszystkich większych miastach Niemiec (zawsze z wyjątkiem Berlina) i nie mogę zaprzeczyć, że występy sprawiały mi wielką przyjemność. Wszędzie bowiem spotykało mnie entuzjastyczne przyjęcie i uznanie ze strony słuchaczy. Miejsco-wością, w której występ przyniósł mi szczególne zadowolenie i gdzie doznałem jedyne- go w swoim rodzaju przyjęcia, była Brema. Na koncercie przeważali słuchacze w starszym wieku: nie wiem czemu, ale chyba nie spostrzegłem nikogo z młodych. Wszyscy prawie byli starzy, a w czasie koncertu entuzjazm ich i zachwy- t doszedł do tego stopnia, że w dowód uznania poczęli zarzucać estradę kapeluszami, a nawet parasolami. Nie wiadomo już było, czym jeszcze zaczną rzucać, ogarnięci zostali istnym szałem, zdawało się, że kompletnie potracili głowy. Na estradę zaczęła padać ulewa najrozma- itszych pocisków, rzucali bowiem wszystko, co mieli przy sobie, tak że stało się to wprost niebezpieczne! Muszę przyznać, że było to — wyrażając się delikatnie — dziwne audytorium, ale chociaż w głębi duszy byłem przerażony, na zewnątrz pozostałem spokojny i nie przerywałem gry. Naturalnie po takim entuzjazmie ze strony publiczności zagrałem jeszcze parę utworów nad program, i wtedy słuchacze oszaleli już zupełnie.

Wszystko, co zaszło, wydało mi się tak niezwykle, że po powrocie do hotelu zapytałem przyjaciela, czy audytorium istotnie było tak nieokiełznane i histeryczne, czy też mnie się tylko tak wydawało. Zapewnił mnie, że rzeczywiście takie było. „Owi starzy ludzie doprawdy poszaleli z zachwytu — dodał — i wszystko, co mieli pod ręką, rzucali na estradę. Na żadnym koncercie nie zdarzyło mi się widzieć czegoś podobnego.” Tak więc upewnił mnie, że to, co przeżyłem, faktycznie miało

miejsce, w przeciwnym bowiem razie uważałbym to za sen.

Mój przyjaciel opowiadał mi także, że po skończonym koncercie słuchacze poszukiwali swoich rzeczy na sali, a poznajdowali je prawie wszystkie na estradzie.

Z innego rodzaju objawem entuzjazmu, również zadziwiającym, spotkałem się w Magdeburgu, typowym pruskim mieście. Istniała tam duża kolonia wojskowych, których zachwyty przypominał mi przyjęcie, jakiego doznałem na recitalach w Ameryce ze strony młodzieży studiującej muzykę. Pod koniec recitalu (podobnie jak nieraz widywałem to w Nowym Jorku) słuchacze wtargnęli na estradę i otoczyli fortepian, przypatrując się moim rękoma.

Staram się przypomnieć sobie, kiedy zaczął się ten pęd publiczności w kierunku estrady. W każdym razie na początku moich występów tego nie było. Zaczęło się natomiast z chwilą, kiedy sale zaczęły być szczelnie wypełnione; na początku mej kariery nie zachodziła potrzeba tego, ponieważ na sali było jeszcze dużo miejsca. Dopiero z chwilą gdy sale zaczęły być całkowicie „wyprzedane” (nie lubię tego wyrażenia, ale nie znam w tej chwili lepszego), zawsze dzieje się to samo: zaraz po zakończeniu ostatniego utworu publiczność jak jeden mąż rusza ku estradzie — jeszcze pod urokiem muzyki, jeszcze działa na nią jej niewidzialny czar. Istnieją bowiem subtelne, a silne więzy łączące podczas trwania koncertu artystę ze słuchaczami.

Na wszystkich moich występach, a już specjalnie w Nowym Jorku, miewałem sporo słuchaczy, których dobrze znałem i wiedziałem dokładnie, gdzie ich na sali dojrzę, gdyż każda rodzina zajmowała zawsze to samo miejsce. Rodziny z dziećmi zasiadały w pierwszych rzędach, skąd łatwiej można było obserwować moje ręce. Niektórzy z nich siadywali po prawej, inni po lewej stronie sali itd.

Tak na przykład w Nowym Jorku pewien wykwin-

tny i niezwykle przystojny pan zjawiał się w ciągu dwudziestu pięciu lat na każdym moim recitalu wraz ze swą raczej nieładną córką, przy czym stałe zajmowali te same miejsca. Nigdy nie opuścił żadnego koncertu. Stał się pewnego rodzaju moją ostoją, na której zawsze mogłem polegać. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę, że zawsze wśród słuchaczy, nawet najbardziej entuzjastycznych, artysta spotyka pewną ilość ludzi mniej przyjaźnie usposobionych, i zdobycie tych nieprzychylnych stanowi podświadomie zadanie każdego muzyka.

Powracając jednak do mego nie znanego i dystyngowanego przyjaciela, gdyż zawsze tak o nim myśleć będę — pewnego dnia spostrzegłem, że nie ma go na sali. I muszę przyznać, że gdy zabrakło widoku tego przystojnego dżentelmena i jego brzydkiej córki, odczułem prawdziwy zawód i rozczarowanie, ogarnął mnie niepokój o ich los. Dowiedziałem się jednak wkrótce, że pojechali do Niemiec, gdyż byli Niemcami mieszkającymi w Nowym Jorku, przy czym pan ten, wycofawszy się z interesów, powrócił do miejsca swego urodzenia, gdzieś nad Ren. Brakowało mi odtąd tych wiernych oddanych przyjaciół oraz od tyłu lat okazywanego mi przez nich podziwu.

Za każdym przybyciem do Nowego Jorku jestem tam wyjątkowo mile witany i odnajduję audytorium wiernych mi zawsze przyjaciół. Pod tym względem Nowy Jork stanowi jedyne miejsce na świecie. Atmosfera tamtejsza najbardziej mi odpowiada, ludzie są ogromnie mili i pełni uznania, chociaż nie tak wylewni jak ci z Bremy, o których opowiadałem niedawno.

Nie czekając na pani zapytanie, sam opowiem teraz o bajkach krążących na temat bezcennych prezentów, którymi obdarza się artystów — ulubieńców publiczności. Rzeczywiście, jak pani wiadomo, istnieli artyści dosłownie zasypywani darami: klejnoty, fortepiany, obrazy a nawet czasami i domy stają się udziałem

uwielbianych artystów. Trudno • sobie wyobrazić szła i entuzjazm, w jaki mogą. popaść słuchacze, jak również zdumiewające tego konsekwencje. Znakomity skrzypek Sarasate bywał stale podczas swych objazdów zasypywany prezentami. Powracając z tournée po Rosji, wiozł kufry wypełnione różnego rodzaju prezentami; były wśród nich klejnoty, papierośnice, zegarki, a nawet futra.

O słynnej aktorce madame Janauschek opowiadają na przykład, że podczas pewnego występu w *Makbecie* doprowadziła publiczność do stanu takiego zachwytu i szału, że wiele dam zdejmowało z siebie klejnoty, nawet odrywało koronki od sukien, by rzucić je do jej stóp.

Trudno sobie nawet wyobrazić, do czego zdolne jest audytorium porwane zachwytem i entuzjazmem. W 1849 roku, gdy do Kalifornii przybywali tłumnie poszukiwacze złota, nawet mierne zespoły operowe bywały niekiedy obrzucane grudkami złota, którymi publiczność, złożona z górników, ze wszystkich stron sali zasypywała śpiewaków.

Wszystko to brzmi fantastycznie, niemniej jednak jest prawdziwe — faworytom publiczności istotnie często składano wzruszające dowody uznania, którego tak byli spragnieni. Pamiętam też, że Caruso, Reszkowie, a także i pani Sembrich stale podczas długich lat kariery obdarzani byli mnóstwem podarunków. Trzeba stwierdzić, że niektórzy posiadają specjalny dar pobudzania bliźnich do obdarowywania, podobnie jak jedni zawsze wolą być gospodarzami, a inni gośćmi! Jeśli o mnie chodzi, zdaje się, że już to mówiłem, a jeśli nie, to później o tym opowiem — taką już mam naturę, że lubię być gospodarzem, a rzadko tylko gościem. Nie mogę się też pochwalić otrzymywaniem kufrow pełnych kosztowności ani fortepianów inkrustowanych drogimi kamieniami, gdyż zawsze uważano mnie za człowieka, który raczej powinien dawać niż przyjmo-

wać. Miło mi jednak powiedzieć, że w życiu otrzymałem jako dowody przyjaźni dużo pięknych podarunków. Zegarek, który tak lubię i stale noszę, otrzymałem podczas pierwszego tournée po Ameryce od drogiego przyjaciela Montgomery Searsa z Bostonu, od niego dostałem też z wdzięczności za grę w jego domu wyjątkowo piękny dar — szmaragdowe spinki.

Otrzymałem również wzruszające dowody uznania specjalnie od rodaków z Ameryki, biednych polskich emigrantów. Te skromne dary zawsze poruszały mnie głęboko; do dziś upominki takie nadchodzą do Morges.

Niewdzięcznością z mej strony byłoby nie wspomnieć tu o darach, za które niewymownie byłem w swoim czasie zobowiązany, a które otrzymywałem od przyjaciół w okresie prohibicji. Bezcenne butelki doskonałej starej whisky, sprytnie ukryte w koszykach z pięknymi kwiatami. Tego rodzaju dowody uznania otrzymywałem stale od przyjaciół podczas długich podróży koncertowych po Ameryce. Były wówczas dla mnie dobrodziejstwem, i miło mi, że mogę dziś publicznie podziękować serdecznie tym wszystkim, którzy przezwyciężając trudności, przysyła mi je.

W minionych latach dostawałem niewątpliwie niezwykłe podarunki, ale w paru wypadkach już nie jako dowody uznania — wprost przeciwnie. Zdarzyło mi się to dwukrotnie, a za każdym razem z darami przychodziły i listy, które mnie raniły. Pierwszy raz miało to miejsce przed wojną. W liście znajdował się dokument następującej treści: „Niniejszym ofiaruję panu Paderewskiemu posiadłość w powiecie takim a takim, o powierzchni jakichś 25 hektarów, z tym, aby założył w niej swego po wieczne czasy imienia szkołę rolniczą przeznaczoną dla polskich chłopów”. Tak, to było wzruszające, ale treść samego listu była mniej przyjemna. Autor pisał: „Proszę, niech pan nie myśli, że dar ten czynię w uznaniu muzycznego talentu i gry pana. Bynajmniej tak nie jest, gdyż w ogóle muzyka jest mi

obojętna, a pana koncerty mnie nudzą. Wielokrotnie jednak słyszałem pana grającego, słyszałem przemówienia, i wiem, że jest pan człowiekiem uczciwym; moim darem chcę okazać panu szacunek i zaufanie".

Dziwne to było wyznanie, a ów list wyrażający mi uznanie jako uczciwemu człowiekowi, ale odmawiający zasług jako artyście, odebrał cały urok temu darowi.

Dwu- czy też trzykrotnie złożono mi podobne dary. Niedawno chciano mi ofiarować znów w tym samym celu (założenia szkoły dla polskich chłopów) wielką posiadłość w Polsce, liczącą przeszło czterysta osiemdziesiąt hektarów, ale byłem wtedy chory, zgubiłem dokumenty dotyczące sprawy i skończyło się na niczym. Może i lepiej się stało!

Dostałem też jeden podarunek bez żadnych już zastrzeżeń, jedyny zresztą spadek, jaki odziedziczyłem kiedykolwiek w życiu. W roku 1930 ubogi polski robotnik zapisał mi wszystko, co tylko posiadał — pięćdziesiąt dolarów. Kiedy otrzymałem ten niewielki czek, łzy stanęły mi w oczach. Do tego dołączył kartkę, która wzruszyła mnie jak mało rzeczy w życiu. Na zmiętym kawałku papieru napisane były tak niedołąźnie, że ledwo mogłem odczytać, następujące słowa: „Wszystko, co posiadam, oddaję panu". Wyobrażam sobie, z jakim trudem kreślił je ten zacny człowiek! Był to książęcy dar. W najrozmaitszy sposób starałem się cokolwiek o nim dowiedzieć i o tym, gdzie go pochowano, ale nie natrafiłem na żaden ślad po nim. Nie wiem i nie dowiem się nigdy, kim był ów ofiarodawca, a jedynym pomnikiem, jaki mogę mu wystawić, jest moja wdzięczna o nim pamięć.

Powróćmy jednak na chwilę do tournée po Niemczech, chcę bowiem „odpowiedzieć na pani pytanie. Ciekawa to sprawa i ciekawe pytanie — jeśli chodzi o Niemcy, muszę odpowiedzieć twierdząco. Pytała pani, czy podczas ówczesnej bytności w Niemczech

dawało się już wyczuć nadchodzącą wojnę. Bezwzględnie tak. Już wtedy rozmawiano o wojnie i czułem zagrażające związane z nią niebezpieczeństwo. Zauważyłem szereg nieomylnych oznak, które dały mi już w owym czasie wiele do myślenia, ponieważ zawsze na wszystko w życiu staram się patrzeć logicznie i obiektywnie. Wiele miesięcy spędziłem na koncertach w Niemczech. Byłem i w Berlinie, gdzie za młodu studiowałem dwa lata. Poza tym mieszkałem i w Strasburgu, który wówczas znajdował się pod rządami pruskimi i gdzie utrzymywałem stosunki towarzyskie z elitą Strasburga — sympatykami Francji, ale jeśli chodzi o stosunki zawodowe i oficjalne, zawsze miałem do czynienia z elementami niemieckimi. Gdy uczyłem w konserwatorium w Strasburgu, jego opiekunami byli Niemcy. Bywałem tam często w domu gubernatora prowincji, księcia Hohenlohe, który następnie został kanclerzem Cesarstwa Niemieckiego. Znałem go osobiście, jak też i jego żonę, w której żyłach płynęła polska krew, matka jej była bowiem z domu Radziwiłłówna. Znałem także księcia Aleksandra Hohenlohe, najstarszego syna ówczesnego gubernatora prowincji. Postępowy liberał, ani z charakteru, ani z upodobań nie robił wrażenia Prusaka — szlachetny i sprawiedliwy, wyrósł ponad swe otoczenie i klasę. Wydał parę publikacji, w których potępiał własny rząd, a specjalnie stanowisko Prus. Niedawno odwiedził mnie tu w Morges — bardzo mu byłem rad.

Tak więc Niemcy znałem dobrze, a i Prusaków, i pruski charakter również. Poza tym muszę tu dodać, że jako nauczyciel konserwatorium, na które wpływ mieli urzędnicy pruscy, bywałem niekiedy w ich klubach — nie dało się tego uniknąć. Przypominam też sobie pewne znamienne zdarzenie, które miało miejsce podczas kolacji w kasynie wojskowym. Wystąpił wtedy z koncertem w konserwatorium Ksawery Scharwenka. Był to Ślązak, a Śląsk — jak pani wiadomo — należał

paręset lat do Polski, ale wówczas znajdował się pod zaborem pruskim i w związku z tym był konsekwentnie germanizowany. Scharwenka kształcił się więc w pruskich szkołach i uważał siebie za Niemca, chociaż faktycznie był z pochodzenia Polakiem, mówił po polsku i komponował polską muzykę. Po koncercie, na którym, chcąc mu okazać specjalne uznanie, zjawili się tłumnie pruscy wojskowi i władze niemieckie, urządzono na jego cześć bankiet, na który i ja musiałem pójść.

Było dużo przemówień, a każde zwrócone przeciwko cudzoziemcom. Każde rozpoczynało się od słów: „jesteśmy dumni i zadowoleni, mogąc przyjmować u siebie niemieckiego artystę” itd., itd. Wyczuwałem doskonale, co to oznaczało — nie można się było co do tego mylić. Po skończonych mowach i wypitym winie, kiedy zadowolenie obecnych dosięgnęło szczytu, nagle zerwał się z krzesła pewien oficer i bez żadnego wstępu, wzniosłszy w górę kieliszek, powiedział: „*Und jetzt, meine Herren, an den Tag!*”— „Panowie, na cześć nadchodzącego dnia”. A proszę pomyśleć, że działo się to w 1886 roku. Bezwzględnie przez cały ten czas, przez wszystkie te lata przygotowywali się do mającego nastąpić „dnia”.

Ale powróćmy znowu do roku 1902 i do naszych spraw muzycznych. Z początkiem grudnia udałem się na krótki pobyt do Polski, aby wydać pewne rozporządzenia dotyczące posiadłości, która wtedy była jeszcze moją własnością. Utrzymanie było tak kosztowne, że postanowiłem się jej pozbyć. Po paru tygodniach znalazł się nabywca, któremu ją — choć z ogromną stratą — chętnie odprzedałem.

\*

Rzeczywiście znajdowałem się teraz u szczytu kariery muzycznej — znany już byłem na całym świecie z wyjątkiem Ameryki Południowej i Australii. Odbyłem pierwsze tournée po Hiszpanii, ale trwało ono krótko. Drugi raz pojechałem tam w roku 1902. Wy-



stąpiłem wówczas z kilkoma recitalami w Madrycie.

Będąc w stolicy, miałem zaszczyt być na dworze królewskim, zaproszony przez królową matkę, Marię Krystynę.

Kilkakrotnie występowałem w pałacu królewskim, a pewnego razu dostałem zaproszenie do domu infantki Izabeli. Nie była już młoda, ale jeszcze pełna wdzięku i bardzo ujmująca. Przyjęła mnie na popołudniowej herbatce; obecnych było również wielu członków rodziny królewskiej. Odnosiła się do mnie przyjaźnie, życzliwie i bez cienia etykiety. Skończyłem grać parę utworów, gdy nagle do pokoju wpadł młody król Alfons, chłopiec wówczas mniej więcej szesnastoletni, z długą, wiszącą u lewego boku szpadą,

Zobaczywszy mnie wykrzyknął:

— Ach, czyżby pan już skończył grać?

— Tak, już grałem.

— Szkoda, jaka wielka szkoda, tak bardzo pragnąłem pana usłyszeć i specjalnie dlatego wróciłem wcześniej.

— Możemy łatwo temu zaradzić. Miło mi będzie zagrać coś jeszcze dla Waszej Królewskiej Mości.

— Bardzo, bardzo proszę — wykrzyknął uradowany — ale niech mi pan zrobi tę przyjemność i zechce łaskawie zagrać coś bardzo wesołego, gdyż lubię tylko wesołą muzykę.

Zacząłem więc grać walce, nie do tańca, ale te z mojego repertuaru: Chopina, Liszta i Rubinsteina. Zauważyłem jednak wkrótce, że chłopiec, mimo iż słuchał uprzejmie, nie był nimi zachwycony, aż wreszcie powiedział: „Czy nie mógłby pan zagrać czegoś weselszego, pełnego życia i temperamentu — taka bowiem muzyka najbardziej mi odpowiada”.

„Dobrze” — odparłem i rozpocząłem od razu grać rapsodię węgierską Liszta. Najwidoczniej podobało mu się to bardzo, gdyż zerwał się z krzesła i wydając okrzyki radości, począł tańczyć dookoła stołu. Widziałem, że teraz był zadowolony. W pewnej chwili o mało nie

upadł, przeszkadzała mu bowiem wisząca u boku szpada; nie zatrzymał się jednak i odrzuciwszy ją na stół, tańczył z rosnącym zapałem tak długo, dopóki nie skończyłem grać. Gdy przestałem, wykrzyknął: „Proszę grać dalej, proszę o jeszcze jeden taniec!”

Grałem więc dalej, ku widocznemu zadowoleniu jego królewskiej mości, tak długo, aż całkowicie zabrakło mu tchu i oblał się potem. Wydaje mi się, że był to akurat rok jego koronacji, gdyż w pałacu gościło wtedy wielu członków rodzin królewskich, nie tylko angielskich i włoskich, ale również skandynawskich i rosyjskich.

Po tym zaimprovizowanym tańcu, rozmawiając z królową, winszowałem jej tak pełnego energii i ognistego temperamentu, wspaniałego syna. Na to królowa odpowiedziała mi: „Istotnie jest taki, ale doprawdy trudno mi sobie z nim poradzić z powodu tej wielkiej żywości. Czy może pan sobie wyobrazić, co zrobił wczorajszego ranka? Konno wjechał aż pod drzwi mojej sypialni. Zapewniam pana, że tak było; pędem wjechał po schodach i zatrzymał się dopiero pod moimi drzwiami, by mi powiedzieć dzień dobry”.

Wyobrażam sobie, co to był za widok, gdy po wielkich i szerokich, choć płytkich schodach olbrzymiego pałacu wjeżdżał konno pod drzwi królowej!

Podczas tego tournée grałem też w Barcelonie, gdzie zdobyłem wielkie powodzenie i gdzie urządzono na moją cześć jedyną w swoim rodzaju demonstrację. W drodze powrotnej do hotelu odprzęgnięto konie od powozu i przy entuzjastycznych okrzykach publiczności studenci sami przewieźli mnie do hotelu — chwycili za dyszel i pędzili ze mną po ulicy. Następnie tłum złożony z kilku tysięcy osób stał z pół godziny pod oknami i wznosząc na mą cześć okrzyki, nie rozchodził się, póki nie ukazałem się na balkonie i nie przemówiłem — przemówiłem po francusku, nie znałem bowiem jeszcze hiszpańskiego.

Spontaniczne uznanie, entuzjazm młodych studentów — wszystko to wzruszyło mnie bardzo, dałem się unieść ogólnemu nastrojowi.

Zbliżyliśmy się teraz do roku 1903, najważniejszego — jeśli chodzi o moją działalność kompozytorską. Sprzedawszy posiadłość w Polsce, poczułem się dużo swobodniejszy, bo wolny od trosk, jakich mi przysparzała. Zdecydowałem się teraz na przeciąg roku zaprzestać występów i zająć się kompozycją. Cały prawie rok 1903 spędziłem w Morges i komponowałem. Najpierw napisałem sonatę fortepianową, jeden z mych najlepszych i najważniejszych utworów. Jest jednak niesłychanie trudna i z tego powodu nie będzie nigdy popularna.

Drugą pracą było wykończenie trzeciego cyklu wariacji, rozpoczętych jeszcze w Strasburgu. Z dawniejszych pozostawiłem tylko parę, a napisałem serię nowych, kończąc je fugą. Myślę, że to mój najlepszy utwór fortepianowy. Jest ogromnie trudny i może trochę za długi, ale zawiera parę ustępów, których ujęcie stanowiło rewelację.

W ciągu dwóch tygodni skomponowałem też dwaście francuskich pieśni do słów Catulle'a Mendes. W owym czasie bawiła u mnie w Morges Helena Modrzejewska z mężem, i co wieczór grałem jej nowo skomponowaną pieśń. Były to szczęśliwe czasy.

Następnie skomponowałem w głównych zarysach moją symfonię, co zajęło mi parę miesięcy. Partyturę napisałem jednak dopiero w parę lat później. Ten ostatni utwór skomponowałem dla uczczenia czterdziestej rocznicy ostatniego polskiego powstania w 1863 roku.

Ukończywszy te kompozycje, powróciłem do koncertowania; potrzebne mi były pieniądze, musiałem więc znów zacząć grać. Jeśli chodzi o pracę kompozytorską, rok ten zaliczyć trzeba do płodnych, a przyznać też muszę, że czułem się wówczas ogromnie szczęśliwy. Nigdy nie doznałem w mojej karierze artystycznej większego zadowolenia jak podczas owego roku,

ponieważ tym, co daje w życiu największe szczęście, jest praca twórcza. Twórczość, może mieć pani oczywiście inne zdanie, jest jedyną rzeczą dającą człowiekowi pełnię zadowolenia. Idee bowiem stanowią wartości wieczne i wyrażając je, dosięga się najwznioślejszych szczytów, bez względu na to, za pomocą czego się je wyraża. Pracując twórczo, człowiek stwarza sobie nowe życie. Twórczość przewycięża śmierć. Temat len prosi się, by go szerzej rozwinąć. Gdy się komponuje, żyje się w szczególnej atmosferze, która w rzeczywistości wyklucza wszystko inne; przede wszystkim wyklucza ćwiczenia, które właściwie mówiąc, są jakby pracą przy łopacie — zwykłą harówką. Owa konieczność stałego ćwiczenia stanowi tragiczną stronę życia artysty-muzyka. Malarz, rzeźbiarz, architekt czy też inżynier — budowniczy kanałów czy mostów, wież itd., raz już zdobywszy umiejętność swej sztuki, czy też nazwijmy to techniki, nie traci jej nigdy. Pozostanie to przy nich — ta technika, owa łatwość. Lata całe może malarz nie dotykać pędzla czy ołówka, a gdy zacznie na nowo swą pracę, przychodzi mu ona z łatwością. "W wypadku muzyka, a raczej muzyka-wykonawcy, jak pianista czy skrzypek, jest to rzecz zupełnie niemożliwa. Musi on ćwiczyć tyle a tyle godzin dziennie, by palce nie straciły biegłości; powtarzam, odnosi się to zarówno do pianisty, jak i skrzypka; nawet i śpiewak, chociaż w mniejszym stopniu, musi stale ćwiczyć głos.

Życie pianisty jest ustawiczną torturą i koniecznością wyrzeczeń — wyrzeczeń nie tylko przyjemności życia, ale i wielu innych rzeczy. Godziny niezbędnych codziennych ćwiczeń odbierają pianiście możliwość czytania, myślenia i kształcenia umysłu.

Nawet obecnie, gdy pracuję normalnie i gdy doszedłem do przekonania, że sama gra nie jest właściwą pracą, stale muszę poświęcać cztery czy pięć godzin dziennie na ćwiczenia, wymagające pełnego sku-

pienia i odosobnienia: Jest to pewnego rodzaju niewola, której nie sposób uniknąć. Ma ona, rzecz prosta, i przyjemne chwile, ale mógłbym powiedzieć, podobnie jak niegdyś Gounod wyraził się o Wagnerze: „Tak, są u niego cudowne chwile, ale nie do wytrzymania godziny”.

Czasami gdy myślę o ogromie fizycznej wręcz pracy, której dokonałem, nie jestem w stanie zrozumieć, jak mogłem temu podołać, istotnie bowiem życie moje było stałym trudem i wysiłkiem, niekiedy niewdzięcznym, gdy musiałem — jakżeż często — uczyć się czegoś, co potrzebne było tylko chwilowo.

Często zapytują mnie studenci, czy ręce od czasu do czasu potrzebują zupełnego wypoczynku. Bez względu na to. Wypoczynek taki jest nie tylko potrzebny, ale i korzystny. Sam doświadczyłem tego w najwyższym stopniu parę lat temu, kiedy na skutek działalności politycznej całkowicie zaprzestałem grania. Przez cztery lata nie dotykałem fortepianu i przez ten czas ramię (które dolegało mi stale) doprowadziłem do lepszego stanu, a palce stały się silniejsze. Nigdy jednak nie miałem w życiu czasu, aby zapewnić rękom, co powinienem był czynić, regularny wypoczynek, ponieważ po ukończeniu jednego objazdu musiałem przygotowywać się do drugiego. Nie kończący się wysiłek, nie kończący się ciężar pracy. Straszne jest uczucie wiecznego pośpiechu — chyba najgorsze ze wszystkiego. Odbiera człowiekowi całą energię. Jest się jak ten nieszczęsny pływak, który daleko na morzu stale powtarza: „czy zdołam dopłynąć do brzegu, czy starczy mi sił?” Takie chwile są szczególnie niebezpieczne. Podobny niepokój przeżywałem często w snach, jakie miewałem wówczas, gdy musiałem występować i grać coś, czego jeszcze nie przygotowałem lub też przygotowałem niedostatecznie. Słuchacze mnie oczekują, dyrygent i orkiestra również, przychodzą po mnie, abym pojawił się na estradzie, wychodzę, widzę mnóstwo słuchaczy i z niepewnością siadam do

fortepianu: to uczucie niepewności było naprawdę straszne I

A teraz najwyższy czas, abym odpowiedział pani na różne pytania. Parokrotnie zapytywała mnie pani o pewną ważną sprawę — właściwie o dwie ważne sprawy. Pierwsza dotyczy używania (czy nadużywania) tempo rubato, druga — używania pedału. Muszę na te pytania odpowiedzieć, ponieważ dla każdego pianisty są to sprawy pierwszorzędnej wagi. Powiedzenie wszystkiego, co dotyczy sztuki pedalizacji, wymagałoby specjalnej rozprawy. Nie da się to wytłumaczyć w paru słowach ani też zdaniach; wyjaśnienie tej sprawy wymaga dużego zastanowienia i uświadomienia sobie, że przygotowanie rozprawy o tej umiejętności zajęłoby całe miesiące.

Pedał jest najważniejszym czynnikiem wyrazu w muzyce fortepianowej, a przede wszystkim jedynym środkiem przedłużania dźwięku. Fortepian, jak pani wiadomo, jest instrumentem perkusyjnym, a jedynym sposobem rozciągnięcia dźwięku jest używanie pedału. Powtarzam więc, że pedał jest głównym czynnikiem wyrazistości gry, dodaje pełni brzmienia i przedłuża dźwięk. Używanie pedału, jeśli ma wywierać należyte wrażenie, wymaga długich w tym kierunku studiów. Do pewnego stopnia jest to swoista wiedza — może to zbyt wielkie słowo w odniesieniu do drobiazgu, jakim jest pedał, ale doprawdy tak jest. Aby zostać mistrzem klawiatury, należy zgłębić pedalizację najdokładniej, znaczenie jej bowiem jest nieocenione.

Ucząc się nowego utworu, trzeba się uczyć właściwego użycia pedału, każdy bowiem utwór wymaga innej, odpowiedniej do charakteru muzyki pedalizacji. Mimo że już jako chłopiec miałem wrodzony dar właściwego używania pedału, dopiero po latach nauki posiadałem tę umiejętność świadomie.

Ale w tej chwili dotykamy jedynie powierzchni zagadnienia, wykracza to bowiem poza ramy mej bio-

grafii; za dużo miałbym tu do powiedzenia, jest to temat obszerny, a dla uczących się grać zbyt istotny, by go zbyć w kilku słowach. Interesuje mnie bardzo żywo i dlatego w dalszej części moich wspomnień zamierzam potraktować go odpowiednio obszernie.

Odpowiadając na drugie pani pytanie, dotyczące tempo rubato, zapuszczamy się na głębsze jeszcze wody. Niedługo napisałem w tej sprawie na prośbę Henryka T. Fincka krótki artykuł, który umieścił kilka lat temu w jednej ze swych książek<sup>1</sup>. Pamiętam, że wyraziłem się w tym artykule, iż tempo rubato jest zdecydowanym wrogiem metronomu, a jednym z najstarszych przyjaciół muzyki. Jest ono starsze od szkoły romantycznej, starsze od Mozarta i Bacha. Czemu nazywamy je rubato — właściwie nie wiemy. Wszystkie słowniki tłumaczą to dosłownie jako „czas ukradziony”, i aczkolwiek protestujemy przeciwko temu terminowi, zgadzamy się, że najistotniejsze dla tempo rubato jest pewne lekceważenie ogólnie uznanych właściwości rytmu i tempa.

Chopin używał go często, podobnie Liszt, i można by opowiedzieć o tym dużo ciekawych rzeczy. Zdaniem moim, tempo rubato jest w grze koniecznością, nie należy go jednak nadużywać — nie może stać się czymś dowolnym.

Ale znów muszę powtórzyć, że i na ten temat wypowiem się dokładniej w następnym tomie mego opowiadania.

Trzeba przyznać, że jest to niezmiernie interesująca sprawa. Byłem zawsze gorącym zwolennikiem tempo rubato i nieraz nawet krytykowano mnie za nadużywanie go. Przytoczę tu chociażby opinię pani przyjaciela, Bernarda Shawa, który jako krytyk muzyczny

<sup>1</sup> Artykuł Paderewskiego ukazał się w pracy H. Fincka pt. *Success in Music* w 1909 w Nowym Jorku. W rok później lwowskie „Słowo Polskie” zamieściło polski przekład *Tempo rubato*. (Przyp. red.)

„The World” dawno już, bo w roku 1890, powiedział, że stosuję rubato ponad wszelką dozwoloną miarę. Wiadomo pani jednak, że nie zawsze zgadzam się w poglądach z panem Bernardem Shawem.

A teraz, kiedy już mówimy o zasadzkach i niebezpieczeństwach, jakie czyhają na pianistę, chciałbym, jeśli pani pozwoli, dodać parę słów szczególnie ważnych, dotyczących rozwoju pianistyki i jej związku z Bachem. Rad bym światu całemu powiedzieć, że każdy pianista powinien grać Bacha. Bez studiowania Bacha nie można zostać pianistą, przede wszystkim ze względu na niezwykle, polifoniczny styl jego kompozycji, który przyczynia się w ogromnym stopniu do osiągnięcia niezbędnej techniki. Sztuka gry na fortepianie jest sztuką wielką, gdyż łączy piękno idei z polifonicznym mistrzostwem, czego najdoskonalszym przedstawicielem był Bach. W muzyce uważam Bacha za bóstwo, a mówiąc językiem muzyków, Bach jest wszechstronnym geniuszem — jest olbrzymem.

Myślę, że dygresja ta była ciekawa. Musimy jednak wrócić do dalszych moich dziejów. A więc wciąż praca i nowe podróże. Po roku spędzonym na komponowaniu powróciłem do koncertów. Miałem dużo wciąż rosnących zobowiązań — potrzebowałem pieniędzy, ręce moje znów zaprzęgnięte zostały do pracy.

Dałem szereg koncertów na cele dobroczynne, po czym postanowiłem udać się po raz pierwszy do Australii. Był rok 1904. Dostałem bardzo nęcącą ofertę i postanowiliśmy, że w maju wyruszymy w podróż. Przedtem jednak musiałem znowu pojechać do Rosji — do Petersburga. Był to mój ostatni tam pobyt, ostatnie, bardzo dramatyczne wspomnienia z Rosji — tej dawnej, która przestała już istnieć.

Naprzód jednak udałem się do Polski. W Krakowie wystąpiłem z trzema koncertami na cele dobroczynne, bowiem dawna stolica Polski była jedynym miastem, gdzie jeszcze nigdy tego nie uczyniłem. Spotkałem tam



wielu drogich przyjaciół, po czym wyruszyłem do Warszawy, gdzie również grałem.

Pobyt w Petersburgu nie należał w owym czasie bynajmniej do przyjemnych. Był to okres najbardziej surowego traktowania przez Rosję wszystkich podbitych przez nią narodów. Panujący tam ustrój absolutnej i despotycznej monarchii wyraźnie chwiał się w posadach. Rząd, na czele którego stali najokrutniejsi reakcyjniści, rozpoczął prześladowanie wszystkich obcych narodów na terenie cesarstwa, aby odwrócić uwagę własnego ludu od swej działalności, która nie była niczym innym jak samowolą, przekupstwem i lekko-myślnością.

Wydaje mi się, że w owym czasie nadużycia popełniane przez czynniki urzędowe oraz pewne wpływowe osoby spośród rodziny cesarskiej dosięgły szczytu. Zaczynał się początek okropnego końca.

Dałem tam trzy recitale i grałem na koncercie symfonicznym w Cesarskim Towarzystwie Muzycznym, podobnie jak i pięć lat temu. Ludzie w Rosji byli nastroszeni wrogo wobec cudzoziemców, a jak już wspominałem, specjalnie wobec Polaków — nienawidzili ich.

Widziałem się naturalnie z dawnymi znajomymi. Z Cezarem Cui, Rimskim-Korsakowem, Głazunowem i innymi, ale zauważyłem, że byli jacyś inni — nie tak serdeczni jak w czasie mojej poprzedniej bytności, a w atmosferze odczuwało się jakiś niepokój, podniecenie i wrogość. Niektórzy z nich mieli za mało odwagi, by okazywać mi dawne przyjazne uczucia. Wyraźnie działało się coś złego, coś się czaiło w powietrzu, i to od razu na pierwszym już recitalu. Publiczność na przykład spóźniała się na moje koncerty. Było bardzo zimno, ludzie zdejmowali futra i płaszcze z takim hałasem, że zmuszony byłem parokrotnie (nie mając zresztą zamiaru ich obrażać) przerywać grę.

Sala była przepełniona, ale nie zwykłymi słuchaczami koncertów petersburskich. I nie wiem, czy to

z powodu przerw w grze, czy też ogólnego nastroju sali, ale przyjęcie obecne nie miało tego ciepła i entuzjazmu, z jakim przyjmowano mnie poprzednim razem, kiedy to publiczność szalała z zachwytu.

Następnego dnia gazety surowo wyrzucały mi przerwy w grze, twierdząc, że nie było ku temu żadnego powodu.

Następnego rana po recitalu zjawił się u mnie uśmiechnięty, zadowolony i w dobrym nastroju uroczy generał von Stackelberg (niemuzykalny dyrektor Orkiestry Cesarskiej). Nie wiedziałem, czemu mam tę wizytę przypisać.

Serdecznie powinszowawszy mi sukcesu, przystąpił do sprawy, która go do mnie sprowadziła.

— Przychodzę dziś z miłym zleceniem. Mam bowiem zaszczyt zaprosić pana do Jego Cesarskiej Mości, który wyraził gorące pragnienie zobaczenia i usłyszenia pana.

Odpowiedziałem na to:

— Oczywiście, jestem na rozkazy Jego Cesarskiej Mości, bowiem cesarz rosyjski jest zarazem i królem Polski, a ja jego poddanym.

Miałem wrażenie, że moja odpowiedź zdumiała generała — nie chcę być na rozkazy cara Rosji, ale króla polskiego!

Spytałem jeszcze generała, czy nie zechciałby powiedzieć mi, jakie utwory spotkałyby się ze specjalnym uznaniem monarchy.

— Myślę — odpowiedział — że wszystko sprawi mi przyjemność, ale szczególnie Chopin i parę pańskich kompozycji.

Usłyszawszy to, poczułem się zadowolony, był to bowiem łaskawy dowód zainteresowania się cara moją osobą. Car wiedział, że jestem Polakiem. Zabrałem się więc zaraz do przygotowywania dwóch programów, jednego dla cara, a drugiego na mój recital. Dni mijały szybko, aż nagle wieczorem, niedługo przed koncertem w carskim pałacu, generał znów się zjawił u mnie,

ale jakże inaczej teraz wyglądał. Błady, zmęczony i tak zatroskany, że od razu wyczułem coś złego. Po chwili, łamiącym się głosem i z widoczną przykrością powiedział: „Przykro mi oznajmić panu, że dzisiejszego wieczoru koncert pana w pałacu nie odbędzie się. Proszę spojrzeć na list, który otrzymałem”. I wręczył mi go-

Przeczytałem i pojąłem wszystko. List był jasnym dowodem wrogości Rosjan do obcych, a specjalnie do Polaków. Był bardzo przykry. Najwidoczniej rząd zainteresował się moją osobą i najwidoczniej w ostatniej chwili przekonał cara, że nietaktem byłoby przyjmowanie mnie przez niego w pałacu. Bano się widocznie mego osobistego spotkania z carem. List brzmiał jednoznacznie: „Zawiadamiam pana, że Jego Cesarska Mość nie ma czasu na słuchanie muzyki pana Paderewskiego”. Podpisano: „marszałek dworu”.

Nie czułem się bynajmniej obrażony ani upokorzony, raczej doznałem ulgi, gdyż wiedziałem, że mogłem u cesarza spotkać wrogów ojczyzny, i kto wie, co by z tego wynikło. Spokojnie więc powiedziałem generałowi:

— Wszystko w porządku, i przyznam się szczerze, jestem rad, że nie muszę grać u cara.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Czyżby pan nie rozumiał? Przede wszystkim ponieważ spotkałbym tam człowieka, który pisał ten list, a czy wyobraża pan sobie, aby spotkanie z tego rodzaju bydlęciami sprawiło mi przyjemność?

Spojrzał na mnie uważnie.

— Mimo wszystko dziwi mnie pański punkt widzenia. Czy nie zdaje pan sobie sprawy z ciężkiego ciosu, jaki pana spotkał?

— To nie żaden cios, lecz tylko ostrzeżenie.

— Co pan przez to rozumie?

— Rozumiem, że nie mam tu nic do roboty i że dziś jeszcze wyjadę.

*j*

— Ależ czeka pana jeszcze jeden zapowiadany już koncert.

— Zerwę umowę i zwrócę pieniądze.

Kiedy rozeszła się wieść o moim wyjeździe, natychmiast zjawił się z komitetu Cesarskiego Towarzystwa Muzycznego poczciwy, stary Cezar Cui i począł mi tłumaczyć: „Przecież zobowiązał się pan do zagrania na naszym koncercie, w następstwie czego sprzedaliśmy dużą ilość abonamentowych biletów — nie może więc pan zaraz wyjeżdżać. Choć z dużą przykrością, ale bylibyśmy zmuszeni wytoczyć panu proces o niedotrzymanie umowy”.

Opowiedziałem mu o tym, co zaszło. „Ależ musi pan zrozumieć — powiedział — że to tylko polityka. Jest pan przecież na tyle mądry, by zdać sobie sprawę, iż nie ma to nic wspólnego z pana sztuką. Bardzo nam przykro, że spotkała pana jako Polaka niezasłużona zniewaga, ale przyczyną tego jest tylko polityka, a my z polityką nie mamy nic wspólnego. Stoimy na gruncie sztuki, pan obiecał naszej instytucji swoją współpracę, i mamy prawo domagać się, aby wypełnił pan swoje zobowiązanie.”

Nie miałem na to argumentów, musiałem więc zostać i grać.

Koncert, na którym, pamiętam, grałem koncert Beethovena i nieskończoną ilość bisów, przyniósł ogromny sukces. Powodzenie, jakie osiągnąłem na wszystkich poprzednich koncertach, było niczym wobec niebywałego entuzjazmu publiczności na tym moim występie, który okazał się ostatnim w Petersburgu. Miałem wówczas przecucie, że nigdy już tego pięknego miasta nie zobaczę — z uczuciem triumfu łączył się więc też i żal.

Następnego dnia poszedłem odwiedzić paru dawnych przyjaciół, których bardzo lubiłem, i znów doznałem wrażenia, że widzę ich po raz ostatni.

Przed samym odjazdem z Petersburga udałem się z pożegnaniem do znajomego, wysoko postawionego

urzędnika, podsekretarza stanu z tytułem ekscelencji; nazwiska nie przytaczam z tej prostej przyczyny, że je zapomniałem. Gdy witałem się z nim, zauważyłem, że jest dziwnie poważny i zamyślony. Przyjął mnie jednak uprzejmie i powiedział: „Opuszcza pan nas w tak krytycznej chwili?” Zdziwiony spojrzałem na niego i zapytałem: „Krytycznej chwili? Nie rozumiem pana, ekscelencjo!” „Czyżby pan nie słyszał, że ambasador japoński wyjeżdża z Petersburga i że wybuchła już wojna z Japonią? W tej chwili na Dalekim Wschodzie przelewa się już krew rosyjska, i przykro mi, ale również polska. Stoimy w obliczu poważnego kryzysu, sprawa jest bardzo poważna — mówił, ponuro potrząsając głową. — Prowadzimy wojnę, Rosja jest w stanie wojny.”

Był wyraźnie podniecony i głęboko poruszony. Chodził tam i z powrotem po pokoju i ciągnął dalej: „Tak, rosyjska i polska, moja i pana krew już się przelewa. I pozwól pan sobie powiedzieć — wykrzyknął — że będziemy pobici i zasłużyliśmy na to. Czuję się lojalnym obywatelem Rosji, ale oświadczam panu, że nas pobiją. Zobaczysz pan to wkrótce!”

Spojrzał groźnie, chociaż zdawało się, że nie jest świadom mojej obecności. Mimo podniecenia był w bardzo melancholijnym nastroju i przedstawił tragiczny, jeśli nie nieco absurdalny obraz.

Jego przepowiednie, jak wiemy, niebawem się sprawdziły.

## V

Wyjechałem natychmiast do Kijowa przez Moskwę. W tym czasie, jak mi to oznajmił jego ekscelencja, również ambasador japoński opuszczał Petersburg. W podróży towarzyszyła mi żona; po drodze zatrzymaliśmy się parę godzin w Moskwie, czekając na przybycie jej ojca z dość odległej miejscowości. Zobaczyliśmy go po raz ostatni, wkrótce bowiem umarł.

W drodze do Kijowa spotkała nas zabawna przygoda, związana z rozpoczęciem wojny. Na pewnej małej sta-

cyjce wpadł do pociągu oficer rosyjski i począł rozglądać się, szukając odpowiedniego miejsca. Szukał wszędzie, ale nie mógł go znaleźć, bo wszystkie przedziały były przepełnione, a on sam obładowany najrozmaitszymi rzeczami. Wiózł ze sobą co najmniej z pięć koszyków, olbrzymi tłumok, z którego wystawała szabla, ciężkie wierzchnie okrycie, a co najdziwniejsze — z pół tuzina małych słoików z konfiturami!

Stał smętnie na korytarzu, otoczony bagażem, i tak pożądliwie patrzył na wolne miejsce w naszym przedziale (szczęśliwie bowiem mieliśmy zarezerwowany przedział), że zrobiło się nam go żal. Patrzył z tak żalnym wyrazem twarzy, że nie pozostało nic innego, jak otworzyć drzwi i zaprosić go do środka.

Był to wysoki, szczupły młody człowiek w randze kapitana armii rosyjskiej. Z wielką radością przyjął zaproszenie i zaraz zabrał się do układania pakunków. Najprzód porozmieszczał koszyki, a potem systematycznie i ostrożnie począł jeden na drugim ustawiać swoje słoiki. Gdy zobaczył, że na ostatni nie starczy miejsca, uprzejmie zwrócił się do mnie: „Czy nie zechcieliby państwo zjeść do herbaty moich doskonałych konfitur?” Jego drogocenne słoiki były bowiem napełnione konfiturami. Nie wiem, czy pani wiadomo, że Rosjanie zwykle podają do herbaty konfitury czy też, jak wy to nazywacie, dżemy. Jest to czysto rosyjski zwyczaj. Podziękowałem mu i zamówiłem herbatę; piliśmy ją zając konfitury, które okazały się rzeczywiście doskonałe.

Po herbacie rozpoczął rozmowę o wojnie i nagle, zwracając się do siedzącego z nami Polaka, który zorganizował tu moje tournée, zapytał:

— Proszę, niech mi pan opowie ostatnie nowiny z frontu.

Mój polski impresario, zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z rosyjskim oficerem, przybrał smutny wyraz twarzy i odpowiedział:

— Przykro mi, ale obawiam się, że sprawy źle stoją.

— Co pan rozumie przez źle?

— Czyżby pan nie słyszał, że Japończycy zdobyli już Port Artur<sup>1</sup>?

— Port Artur wzięty! — wykrzyknął Rosjanin. — Toż to wspaniała wiadomość! Japończycy są nadzwyczajni! Czy wie pan, że uważam to za zaszczyt dla nas, wojskowych, walczyć z tak dzielnymi przeciwnikami!

Wydawał się zachwycony utratą Portu Artura!

— Czyż nie są cudowni? — rzekł. — Przykro mi, ale myślę, że wojnę tę musimy przegrać. Za mało o nas dbano i nasze wojsko nie wytrzymuje porównania z Japończykami. Zasługujemy na przegraną i będziemy pobici — powtórzył. — Co do tego nie mam żadnej wątpliwości.

I przez całą drogę, jakieś sto kilkadziesiąt kilometrów, nie słyszeliśmy już nic innego, jak tylko wyrazy szczerego podziwu dla przeciwników i żalu, że Rosjanie nie dorównują Japończykom! Bardzo to było zabawne, a jego słowa były dosłownym prawie powtórzeniem, tego co mówił w Petersburgu ekscelencja.

Dziwnym narodem są ci Rosjanie, lata całe można z nimi przebywać i nie znać ich. Jako Polaka, interesują mnie bardzo, i kiedyś jeszcze do tego tematu powrócę, nie teraz bowiem miejsce na jego rozwinięcie. Znajdzie się na to dogodniejsza chwila, a może pani zechce mi o tym przypomnieć. [...]

<sup>1</sup> Chodzi tu o zatopienie floty rosyjskiej w lutym 1904; Port Artur został zdobyty przez Japończyków w styczniu 1905. (Przyp. red.)

Wprzagniemy się znów w nasze jarzmo i ciągnijmy dalej opowiadanie.

Po powrocie z ostatniego tournée w Rosji dałem parę koncertów w Anglii, następnie udałem się do Kolonii, gdzie brałem udział w Festiwalu Reńskim. W kilka tygodni później, w maju, wyruszyliśmy do Australii, odpływając z Marsylii. Ze względu na niezbyt zadowolający stan mego zdrowia, jak również mojej żony, na tę wyprawę zabraliśmy z sobą naszego paryskiego lekarza, doktora R. Mieliśmy sporo kłopotu z tym młodym człowiekiem, gdyż zamiast on nas, my jego musieliśmy pielęgnować przez cały ten czas. Rozchorował się od razu i dopiero w Suezie po raz pierwszy pokazał się na pokładzie, mogąc zaledwie przejść kilka kroków. W Colombo, gdzie zatrzymaliśmy się na kilkanaście godzin, wyszedł z kabiny po raz drugi. Jako lekarz nie był więc dla nas żadną pomocą.

Colombo oczywiście wywarło na nas wszystkich ogromne wrażenie. Bogactwo kolorów i kosztowność ubiorów kupców orientalnych przybyłych na pokład naszego statku do dziś pozostały mi w pamięci. Bardzo pragnąłbym raz jeszcze wszystko to zobaczyć, lecz nie wiem, czy kiedykolwiek da się to urzeczywistnić.

Przed samym odpłynięciem przeżyliśmy chwilę niepokoju, bo nasz przyjaciel i towarzysz podróży, mój impresario pan Adlington, nagłe przepadł bez wieści. Nie wiadomo, co się z nim stało. Znajdowaliśmy się już wszyscy na parowcu, który każdej chwili mógł wyruszyć, a Adlingtona nie można było odnaleźć. Wreszcie w ostatnim momencie, gdy ogarnęła nas zupełna już rozpacz — ujrzałem pędzącą w stronę przystani riksę, a w niej siedzącego Adlingtona. Co za



ulga! Nie robił jednak wrażenia zdenerwowanego, na wybrzeżu spotkał jakoby swojego dawnego przyjaciela i rozmawiając z nim zapomniał o statku — i o nas!

Wyruszyliśmy w dalszą drogę do Australii i przez siedemnaście dni znów nie widzieliśmy naszego doktora. Cały ten czas przechorował. Było to okropne. Żona i ja dobrze znosiliśmy tę podróż i wraz z Adlingtonem, przy najgorszym nawet kołysaniu, mogliśmy korzystać z podawanych posiłków.

Po trzydziestu pięciu dniach podróży dopłynęliśmy wreszcie do Melbourne. Cóż za kontrast!

W początkach podróży, na Morzu Śródziemnym, upał na parowcu dokuczał nam bardzo, a w czasie przejazdu przez Kanał Sueski i Morze Czerwone stawał się po prostu nie do wytrzymania. Brakowało powietrza do oddychania. Kilka nocy spędziliśmy na pokładzie, gdyż w kabinach panował tak straszny upał, że formalnie nie mieliśmy czym oddychać. Na pokładzie nawet w nocy było niewiele lepiej. Stale miałem uczucie, że połykam watę.

Na domiar złego nie czułem się dobrze. Dokuczały mi nerwy i żołądek. Przez cały okres podróży czułem się bardzo osłabiony. Organizm mój był tak wyczerpany latami pracy i nieregularnym trybem życia, że teraz musiałem za to płacić. Najgorszym odcinkiem podróży okazał się jednak Ocean Indyjski. W czasie przejazdu przez Suez i Morze Czerwone parowiec nasz rozpalony był prawie do czerwoności, lecz tak długo, jak mogliśmy przebywać na pokładzie, czuliśmy się znośnie. —Z chwilą jednak, gdy z powodu silnych wiatrów na Oceanie Indyjskim zmuszeni byliśmy pozostać w kabinach, mieliśmy po prostu wrażenie, że przebywamy w rozpalonym piecu. Straszne to było, doprawdy, coś potwornego! Obraliśmy nieodpowiednią porę roku na taką podróż, powinniśmy byli pojechać w lutym lub styczniu, a to był czerwiec! Do Melbourne dojechaliśmy w lipcu i klimat okazał się tam chłodniejszy

niż w jakimkolwiek innym miejscu kuli ziemskiej — w Australii znaleźliśmy się bowiem w środku zimy.

W hotelu mieliśmy względnie wygodne pokoje, ale nie byliśmy w stanie nic przełknąć, gdyż jedzenie było niemożliwe. Żywiliśmy się prawie wyłącznie ananasami, bardzo smakowitymi, ale nie bardzo pożywnymi. Żona po pewnym czasie postanowiła sama zająć się gotowaniem i codziennie z Adlingtonem albo panem Lemmone, naszym miejscowym agentem, udawała się na targ po zakup żywności, a potem gotowała obiad w naszym apartamencie. Mieliśmy w hotelu miłego kelnera, który przejąwszy się faktem, że nie jedliśmy tego, co nam podawał, zwracając się do mnie powtarzał: „Niezmierznie żałuję, że państwo nie możecie jeść potraw, które tutaj mamy, lecz są one rzeczywiście bardzo niesmaczne”.

W końcu zapytałem:

— Kto jest waszym kucharzem? Czy jest nim rzeczywiście kucharz, czy może krawiec albo stolarz?

— Ależ nie, proszę pana — odparł z powagą — to inżynier.

Tak zabawnie to powiedział, że umilkłem, nie spodziewając się podobnej odpowiedzi. Uśmieliśmy się wszyscy serdecznie!

Z kuchnią w Australii bywały różne trudności, gdyż w każdym hotelu kucharze byli innej narodowości. W Sydney na przykład mieliśmy dobrego kucharza Francuza, niezła kuchnia była też w hotelu Australia, a w Brisbane na odmianę kucharzył Hiszpan.

Nasz doktor z chwilą zejścia na ląd wyzdrowiał zupełnie i czuł się doskonale. Choć w drodze nie przydał się na nic tak pod względem medycznym, jak i innym, pozostał jednak w dalszym ciągu z nami.

Poza jedzeniem na nic innego nie miałem powodu się uskarżać. Wszystkie koncerty były całkiem udane, słuchacze wszędzie liczni, przyjmowano mnie niezmiernie entuzjastycznie. Pod względem artystycznym by-

łem więc bardzo zadowolony. Ludzie tutejsi odznaczali się też dużą gościnnością. Przy uniwersytecie istniało konserwatorium muzyczne, a poziom wykształcenia muzycznego był zupełnie niezły, i to nie tylko w Melbourne, lecz i w Adelajdzie, dokąd udaliśmy się później. Od tamtych czasów poziom ten spadł bardzo — po prostu pustynia pod względem artystycznym — gdyż wkrótce po naszym wyjeździe w Australii doszli do władzy labourzyści i rządili dwadzieścia trzy lata. W tym okresie cały kraj powrócił niemal do stanu barbarzyństwa, uważano bowiem, że ludzie pracujący umysłowo, a nie wysiłkiem mięśni, nie pracują wcale, był to więc zupełny upadek inteligencji, a także kultury zewnętrznej. Obecnie jednak słyszałem, że od czasu mego pobytu w roku 1927 nastąpiła zmiana — rząd labourystowski zastąpiony został przez rząd konserwatystów i pod każdym względem odczuwa się już znaczną poprawę. Jednak w czasie ostatniego mojego pobytu w Australii sytuacja była okropna.

Pierwsze tournee natomiast upłynęło bardzo przyjemnie. Największą naszą rozrywkę stanowiły naturalnie papugi, były zabawą i urozmaiceniem dla wszystkich. Później opowiem pani znacznie więcej na ten temat, a także o roli, jaką przez szereg lat odegrała w mym życiu jedna z tych papug.

Mając w projekcie większą ilość recitali, z którymi wystąpić miałem tak w Melbourne, jak i w Sydney, musiałem nieustannie przygotowywać bardzo duże programy.

Miejscowe władze wszędzie odnosiły się do nas bardzo uprzejmie. Otrzymywaliśmy też częste zaproszenia do domu tamtejszego generalnego gubernatora, lorda Northcote'a, a także do gubernatorów Nowej Południowej Walii, Queenslandu i Południowej Australii.

W Sydney brałem udział w koncercie z orkiestrą i w związku z tym przypominam sobie pewną historię z trianglem. ów koncert stał się dla mnie zabawnym

przeżyciem, a to z powodu pierwszej próby. Orkiestra, która miała mi akompaniować, nie była normalną, zwykłą orkiestrą. Dyrygent, bardzo utalentowany muzyk, signor Hazon, zwrócił moją uwagę na fakt, że nie mogę spodziewać się zbyt długo trwającej próby, z uwagi na to, że wszyscy członkowie orkiestry należą do związku zawodowego i próba nie może trwać ani chwili dłużej ponad przepisany czas, gdyż w przeciwnym wypadku wszyscy odejdą, pozostawiając mnie samego przy fortepianie.

Tego dnia miałem grać trzy koncerty, ostatnim był *Koncert f-moll* Chopina. W ostatniej części *Koncertu*, przed samym już zakończeniem, następuje osiem czy dziewięć uderzeń w triangel, niezmiernie ważnych i niezbędnych. Nieszczęsna pora zakończenia próby zbliżała się i brakowało już tylko kilku minut do ukończenia ostatniej części. Zwróciłem się więc do członków orkiestry, by byli uprzejmi grać dalej, bym mógł choć raz przeagrać pozostały fragment finału. Zgodzili się wszyscy z wyjątkiem jednego (byli tam bowiem i prawdziwi artyści). Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy w ostatniej chwili grający na triangu artyście, który dotąd nie tknął nawet swego tak w tym ostatnim momencie ważnego instrumentu, nagle zatrzymał zespół i powiedział: „Już dość nagraliśmy się dzisiaj, musimy kończyć i iść na śniadanie”. Na to oświadczenie wszyscy bez słowa powstali i opuścili salę, wtedy gdy rzeczywiście pozostało do końca tylko kilka taktów. Muszę tutaj dodać, że stosownie do uświęconych zasad związku, grający na triangu otrzymywał takie samo wynagrodzenie jak pierwszy skrzypek i wszyscy inni, uchodzący za solistów, członkowie orkiestry. Ten właśnie, który ani razu nie poruszył swą cenną dłońią, powiedział, że grali już dostatecznie długo i że czas już skończyć!

Nic się nie dało zrobić — orkiestra wyszła. Zapytałem signor Hazona, kim jest ów ważny, grający na

trianglu artysta, który przerwał naszą próbę. „Ależ on bynajmniej nie jest artystą — odpowiedział śmiejąc się — jest ważną osobistością w związku, to na pewno, a poza tym sklepikarzem”.

A teraz pytanie zasadnicze: czy triangel w koncercie tegoż wieczoru odezwał się w odpowiedniej chwili? Ależ nie! Odezwał się, i to bardzo zdecydowanie, lecz w zupełnie złym miejscu.

O ile pamiętam, z Australii udaliśmy się wprost do Nowej Zelandii. Pierwsze trzy koncerty odbyły się w Auckland, dużym i bogatym mieście. Potem jednak z powodu złego stanu mego zdrowia nastąpiła dłuższa przerwa w koncertach. Postanowiłem wobec tego udać się na kąpiele lecznicze znajdujące się w obwodzie Rotoruy, stolicy plemienia Maorysów, niezbyt odległej od Auckland.

Z pobytu w Auckland byliśmy zadowoleni. Hotel wygodny, a kucharz, Szwed, o dziwo, wcale niezły. W Wellington trafiliśmy na kucharza Francuza, w Napier na Szkota, w Christchurch — na Niemca, w Dunedin, miejscowości zamieszkałej przez Szkotów, też na Francuza, a w Invercargill kucharzem był Chińczyk. Ponieważ w każdej z tych miejscowości panowała w kuchni inna narodowość, więc i sposób gotowania był do niej dostosowany.

Niech mi pani wierzy, że w czasie każdego tournée sprawa kucharza stanowiła ważny problem ze względu na moje zdrowie i samopoczucie, tym bardziej że jadam tylko raz dziennie — po koncercie. Było to, jak się już wkrótce przekonaliśmy, bardzo kłopotliwe, gdyż wszystkie kuchnie hotelowe zamykano wieczorem zaraz po wydaniu obiadów. Ponieważ mój pierwszy i jedyny posiłek w ciągu całego dnia spożywałem stale około północy, a nawet i później, zwykle nie mogłem już nic dostać do jedzenia. Zmuszeni więc by-

liśmy pertraktować wszędzie z władzami związkowymi, gdyż w przeciwnym razie zadawać się musiałem kawałkiem zimnej ryby lub zimnego mięsa, a praca w takich warunkach stawała się zupełnie niemożliwa.

Biedny Adlington albo Lemmone musieli zatem stale interweniować w sprawie moich posiłków. W rezultacie stawało się to bardzo kosztowne, gdyż trzeba było osobno wynagradzać służbę restauracyjną: kucharzy, ich pomocników, a nieraz i innych jeszcze ludzi. Trzeba było dodatkowo opłacać najmniej cztery osoby, przy tym ludzie ci spodziewali się zwykle dużych napiwków, wynagrodzenie nie szło bowiem do ich kieszeni, lecz do kasy związku, do którego należeli. Nie zarabiali więc za swą dodatkową pracę nic więcej poza napiwkami, muszę jednak przyznać, że obdarzałem ich hojnie i z dużą satysfakcją. Nieraz napiwki za owe specjalne usługi dochodziły do dziesięciu lub dwunastu funtów.

Jak już poprzednio wspominałem, pragnąłem bardzo spróbować leczyć się kąpielami w Rotorua, znanymi z właściwości leczniczych w całej Nowej Zelandii. Ponieważ wioska leżąca w pobliżu tego miasta uchodziła za wygodniejszą i ciekawszą, tam więc postanowiliśmy się zatrzymać. Okoliczna ludność należała do plemienia Maorysów. Jedynym białym człowiekiem był dżentelmen nazwiskiem Nelson, Brytyjczyk przybyły czterdzieści lat temu w charakterze geometry. Do tego stopnia zachwycił się krajem, a przede wszystkim tamtejszymi ludźmi, że zamieszkał tam na stałe i pozostał do końca życia, który nastąpił dziesięć lat po naszym pobycie.

Zamieszkaliśmy w hotelu Nelsona i muszę stwierdzić, że nigdzie na świecie nie zazналиśmy tak miłego, pogodnego i pełnego spokoju pobytu jak właśnie tam. Maorysi bardzo mnie zaciekawiali. Byli dość wykształceni, a niektórzy pokończyli nawet szkoły średnie; ich sposób życia nie różnił się jednak zupełnie od życia przed-

ków sprzed tysiąca lat. Niektórzy z nich wiedzieli nawet, kim jestem, i okazywali mi wiele szacunku i sympatii oraz taką uprzejmość, z jaką nigdy w swym życiu się nie spotkałem.

Od czasu do czasu urządzaliśmy nieduże wycieczki po okolicy. W pięknym tym kraju wszędzie widziało się wspaniałe gejzery i gorące jeziora. Kąpiele, które brałem (a bardzo ukoiły one moje nerwy), nazywano kąpielami oleistymi, bo woda, pochodząca z naturalnego źródła, była niezmiernie gęsta, nienaturalnie ciężka i bardzo gorąca. Przypuszczam, że miała chyba trzydzieści albo i więcej stopni.

Przewodnikiem naszym bywała zwykle młoda dziewczyna ze szczepu Maorysów, o poetycznym nazwisku Maggie Papakura. Z powodzeniem zaliczyć by ją można do osób z towarzystwa — doskonale wychowana i wykształcona. Poślubiła później angielskiego lorda, ale wówczas jeszcze była naczelnikiem tego małego szczepu. W sposób wielce łaskawy ofiarowywała stale swe usługi w oprowadzaniu nas po tym uroczym kraju. Nieco później wydała bardzo ciekawą książkę o okręgu Whakarewarewa. Oprowadzała nas z niezwykłą ostrożnością, żonę moją brała zwykle za rękę, a do mnie, idącego z tyłu, mówiła: „Niech pan uważa, bardzo uważa, proszę nie skręcać w prawo, ale iść bezpośrednio za mną”. Gdy zapytałem dlaczego, odpowiedziała: „Tam na prawo od pana jest przepaść, której pan stąd nie widzi — wrzące błoto, odległe zaledwie o niecały metr, proszę więc być bardzo ostrożnym”. A potem dorzucała jako przestrożę: „Parę lat temu ciotka moja zrobiła jeden fałszywy krok, wpadła w tę przepaść i zniknęła na zawsze”. Zaręczam pani, że zastosowałem się do wskazówek! Byłem bardzo ostrożny.

Pewnego dnia wskazała mi jednego ze swych rodaków, łowiącego pstrągi w bardzo zimnej, bieżącej wodzie. Zauważyłem, że po złowieniu jednego, nie ruszając się z miejsca, zanurzył go, wiszącego jeszcze na wędce,

w małym stawku znajdującym się tuż obok. Po chwili wyciągnął wędkę, zdjął z niej pstrąga, posypał solą i zjadł z apetytem — ryba była zupełnie ugotowana.

W tym czasie niektóre z gejzerów były już czynne, nie osiągały jednak jeszcze swej normalnej wysokości, nie były więc dość piękne dla uczczenia tak wyjątkowych gości, za jakich uważali nas Maorysi. Byli bowiem ogromnie dumni, mogąc nas gościć u siebie. Któregoś dnia postanowili urządzić dla nas tak zwane „uroczyste święto mydła”. Pragnęli zrobić nam przyjemność. Cóż to takiego? Nigdy by pani nie zgadła! Przynieśli dwadzieścia funtów mydła i wrzucili do krateru jednego z gejzerów. Gejzer momentalnie wystrzelił do wysokości pięćdziesięciu metrów w górę, gdyż mydło powoduje wzrost ciśnienia gazów. Widok był imponujący, przypatrywaliśmy się z wielkim podziwem.

Zwiedziliśmy też interesujące jezioro Rotorua. Zawiera ono lodowato zimną wodę, a na samym środku znajduje się kilka małych wysepek, na których są gejzery z bardzo wysoko wytryskującą wrzącą wodą. Nieco dalej jest inne jezioro, którego woda ma temperaturę powyżej sześćdziesięciu stopni. Czyż nie są to zdumiewające zjawiska natury?

Krajobraz tamtejszy nie jest specjalnie piękny, lecz tak niesamowity i interesujący i tak pełen najrozmaitszych niespodzianek!

Pewnego dnia wyraziliśmy chęć udania się do jednego z wodospadów, który uchodził za największą atrakcję okolicy. Pan Lemmone zwrócił się więc do gubernatora z prośbą o udzielenie pozwolenia. Minister spraw wewnętrznych, sir Joseph Ward, zawiadomił nas, że rząd Australii chętnie się na to zgadza i że główny przewodnik po Nowej Zelandii, pan Warbrick, zjawi się u mnie celem poczynienia odpowiednich przygotowań.

Pan Warbrick przybył do naszego hotelu i ku memu wielkiemu zdziwieniu oznajmił nam, że będzie to co najmniej trzydniowa wycieczka. Nie ma tam żadnego



hotelu, tylko mały barak, tak że będziemy musieli zabrać z sobą jedzenie i pościel. Oznaczało to więc już poważniejszą wyprawę. Wszystko zostało omówione, przygotowane, mieliśmy wyruszyć nazajutrz o piątej rano. Nagle o północy ktoś zastukał do naszych drzwi. Był to pan Warbrick z oznajmieniem, że wycieczka nie może dojść do skutku. „Przepraszam bardzo, ale właśnie otrzymałem zawiadomienie, że nastąpiło trzęsienie ziemi i wodospad, który mieliśmy oglądać, po prostu zniknął!”

Plemię Maorysów nadzwyczaj mnie interesowało. Ludzie ci mieli brązową cerę, byli bardzo przystojni. Podobno przybyli z Tahiti. Przebyli co najmniej półtora tysiąca kilometrów, zanim osiedlili się w Nowej Zelandii, a mówiono mi, że przypłynęli w łodziach zrobionych z pojedynczych pni drzewnych. Jak już mówiłem, Maorysi są rośli i przystojni, natomiast ich kobiety, gdy tylko wyjdą za mąż, stają się okropne, natychmiast bowiem poddają się wstrętnemu tatuazowi brody. Okropny widok. Dopóki są dziewczętami, miło na nie patrzeć, takie są ładne, po wyjściu za mąż stają się wprost szkaradne.

Maorysi mają też różne ciekawe obyczaje. Głównym sportem mężczyzn jest pokazywanie języka w celu odstraszenia nieprzyjaciela. Języki mają bardzo duże i potrafią wysuwać je bardzo daleko. Okropnie to wygląda.

Pan Nelson zapewniał mnie, że są bardzo inteligentni. „Proszę zapytać kogośkolwiek z Maorysów o jego przodków — mówił — potrafi on wymienić panu imiona trzydziestu dwóch pokoleń, i to nie tylko tych, którzy założyli tutejszą kolonię, ale wszystkich ludzi należących do tego samego szczepu, a nawet o każdym opowie panu różne szczegóły, na przykład w jakim wieku zmarł itd.”

Poznałem paru wyjątkowo wykształconych Maorysów. Jeden z nich był członkiem rządu Nowej Zelandii

i przyjmował księcia i księżnę Yorku w czasie ich wizyty na tej wyspie. Wygłosił na cześć gości wspaniałą mowę, a później towarzyszył im w objeździe obwodu Rotoruy, skąd pochodził. Następnie, by zaakcentować swą dzielność, wziął udział w tańcu wojennym odtańczonym przed królewskimi gośćmi. W końcu, w trakcie wspaniałego finału, starał się przestraszyć ich, wysuwając język prawie do pępka! W czasie tego tańca miał naturalnie specjalny strój, który zmieniał jego wygląd. Po tańcu przemówił kilka słów w narzeczu maoryskim, co wywołało olbrzymie wrażenie. Później, już na wieczornym przyjęciu, gdy znalazł się przy stole w towarzystwie znamienitych gości, księżę Yorku zwrócił się do niego z zapytaniem: „Niech mi pan powie, kim był ów niezwykły tancerz, który tak pięknie po tańcu przemawiał, a tańczył z tak bardzo wysuniętym językiem?” Członek rządu odpowiedział: „To byłem ja, jak pan wie, jestem Maorysem, a przy tym dobrym tancerzem”.

Muszę też tutaj dodać, że tak jak swój własny, maoryski, ludzie ci równie dobrze znali język angielski, którego uczą się w szkołach.

Po tym wypoczynkowym pobycie musieliśmy udać się do Napier, by stamtąd rozpocząć tournée. Zamiast morzem postanowiliśmy odbyć tę podróż dyliżansem pocztowym. Pierwszy postój nastąpił w Waimangu, gdzie znajduje się największy gejzer Nowej Zelandii, a może i całego świata. Na ogół czynny był co dzień, jednak w nieokreślonych porach. Przewodnik opowiadał, że gejzer Waimangu jest coraz bardziej nieregularny i zachodzi obawa, że może w ogóle przestać działać, a wówczas w innym miejscu wyniknie z tego wielkie nieszczęście. Mówił to jak najbardziej poważnie.

Zapytałem go, czy moglibyśmy zobaczyć to miejsce. Odpowiedział, że możemy nawet przespacerować się po nim. Udaliśmy się tam; okazało się, że jest to pole liczące może hektar, pokryte kamieniami i piaskiem,

nawet niewilgotne, gdyż wysycha na słońcu w ciągu paru godzin. Przewodnik mówił też, że gdy gejzer ten jest czynny, wybucha do ogromnej nieraz wysokości, a ziemia i głazy (niektóre większe od tego pokoju), jakie się tam znajdują, wylatują w powietrze jak drobne kamyki. Powiedział nam także, że obecnie grozi wielkie niebezpieczeństwo, gdyż gejzer staje się coraz bardziej nieregularny. Twierdził, że nie potrafi określić tego w sposób naukowy ani też wytłumaczyć przyczyny tego zjawiska, gdyż spostrzeżenia opiera wyłącznie na osobistych obserwacjach.

Udaliśmy się powozem w dalszą drogę i dojechaliśmy do miejscowości zwanej Wairakei. Wairakei znajdowało się w pustynnej okolicy, lecz bezpośrednio otoczone było olbrzymią plantacją jodeł, drzew z wyglądu ogromnie silnych, o wyjątkowo pięknym i świeżym kolorycie, a także niezmiernie wysokich. Przymuszczałnie miały ze siedemnaście metrów. Wielkość ich zdziwiła mnie bardzo. Pierwszym też moim zapytaniem było: „Ile lat liczą te drzewa?” Przewodnik odpowiedział: „Nie są zbyt stare, proszę pana, kiedyś stał tutaj dom, a drzewa te posadzono w rok po jego wybudowaniu, z piętnaście lat temu”.

Piętnastoletnie jodły, a tak ogromne jak nasze stu-letnie drzewa.

Przypominam sobie, że w czasie tej wyprawy poznaliśmy miłego i interesującego człowieka posiadającego dość dużo wiadomości geologicznych. Nazywał się Bill — tak go wszyscy zwali. Był przystojny, tęgi i silny. Stale nosił przy sobie specjalny zegarek, na którym znajdowały się różne znaki i cyfry, wskazujące dokładny czas funkcjonowania każdego z gejzerów. Nie przypominam już sobie, ile ich w okolicy było, w każdym razie co najmniej trzydzieści, a każdy z nich czynny bywał w pewnych określonych odstępach czasu. Prawdziwy park gejzerów.

Spędziliśmy tam noc, a nazajutrz rano Bill zapro-

wadził moją żonę i mnie do tej części parku, gdzie właśnie gejzery były czynne. Znaleźliśmy się znowu w bardzo niebezpiecznym miejscu, gdyż w wypadku poślizgnięcia się na którymś ze znajdujących się tam drobnych kamyków — wpadało się do wrzącej wody. Było to doprawdy przerażające.

Po tej wycieczce rozmawialiśmy z naszym geologiem; mówił, iż bardzo poważnie niepokoi go fakt, że gejzer Waimangu funkcjonuje teraz tak nieregularnie. Zapewniał mnie też, że jeśli kiedyś zupełnie przestanie działać, bezwzględnie nastąpią gdzieś duże katastrofy. W rok potem Waimangu przestał wybuchać i rzeczywiście w różnych częściach świata nastąpiły katastrofalne wstrząsy, a między innymi trzęsienie ziemi w San Francisco.

Następnie dotarliśmy do małej stacyjki, miejsca postoju dylizansów pocztowych. Podszedł tam do mnie jakiś stary człowiek i przedstawivszy się powiedział: „Szanowny panie, tak wiele słyssałem o panu i o pańskiej cudownej grze. Jest pan tak wybitną osobistością, że pragniemy uczynić, co tylko jest w naszej mocy, by chronić pana przed niebezpieczeństwem, a podróż stąd do Napier nie jest bezpieczna. Po pierwsze mieliśmy ostatnio dużo deszczów, jest więc bardzo ślisko, poza tym droga jest wąska, a pan będzie potrzebował dużego pojazdu. Nie każdy tak dobrze zna drogę i konie jak ja, gdyż pochodzę stąd i jestem już stary, a mieszkam tutaj od pięćdziesięciu lat. Wobec tego sam zawiozę pana do Napier”. Słowa jego wzruszyły mnie głęboko. Odczułem je jako wyjątkowy komplement, podziękowałem serdecznie i przyjąłem propozycję. Wkrótce tedy wyruszyliśmy. Była to jedna z najniebezpieczniejszych wypraw, jakie pamiętam. Całymi godzinami jechaliśmy nad przepaścią. W zaprzęgu szły dwa rzędy koni, w pierwszym trzy, a w drugim dwa, razem więc aż pięć koni. Droga była prymitywna i nierówna, z jednej strony góry — z drugiej przepaść. Od powozu do przepaści

nie było więcej jak jeden krok, a przepaść miała przeszło pół kilometra. Gdyby jeden z koni pośliznął się, runęlibyśmy w dół — na zawsze.

Była nas spora gromadka, a więc: moja żona, ja, pan Adlington, pan Lemmone, doktor, pan Cutler — stroiciel fortepianów, Marceli, mój wierny służący, oraz panna służąca mojej żony — osiem osób, a w dodatku wszystkie nasze bagaże znajdujące się na dachu powozu.

Nareszcie dojechaliśmy do miejsca, gdzie przepaść się skończyła, i odetchnęliśmy z wielką ulgą. Przypuszczaliśmy, że do końca podróży tak będzie. Nic podobnego! Była to tylko chwilowa przerwa w naszej udręce. W okresie wytchnienia, gdy przejechaliśmy pięć czy sześć kilometrów, ujrzeliśmy z daleka mały domek, a przed nim zebranych około sześćdziesięciu ludzi — gromadę widocznie czekającą na nasz przyjazd. Kim byli ci ludzie? Była to szkoła tego okręgu; nauczyciel tamtejszy zebrał wszystkie dzieci, by na moją cześć urządzić powitanie. Czyż nie było to zdumiewające w tym tak dzikim kraju? Stali tam oczekując nas przez kilka godzin. Niestety nie mogliśmy tego przewidzieć i nie mieliśmy ze sobą żadnych słodyczy, by poczęstować dzieci. Zatrzymaliśmy się tam krótko, a potem wyruszyliśmy dalej, znów wzdłuż strasznej przepaści. Jechaliśmy tak cztery godziny, aż wreszcie zapytałem furmana:

— Jak długo jeszcze pojedziemy?

— Tylko godzinę, proszę pana.

Słońce wciąż jeszcze świeciło i było jeszcze dość widno. Spojrzałem na zegarek:

— O której godzinie zachodzi obecnie słońce?

— O szóstej, proszę pana.

Dochodziła piąta. Pomyślałem: „Tylko godzinę, to nie tak źle, dojedziemy jeszcze przed zmrokiem”.

Była już szósta, a wciąż znajdowaliśmy się nad przepaścią. Znowu więc zapytałem:

— Czy długo jeszcze?

— Ach, tylko jakąś godzinę, jak to już panu powiedziałem.

Minęła siódma. Nic już nie widzieliśmy, było zupełnie ciemno. Konie prowadziły nas same.

— Ależ jak długo jeszcze? — powtórzyłem pytanie. Odpowiedź otrzymałem taką samą: „Jeszcze tylko godzinę!”

Około jedenastej, wszyscy drżący z zimna, zgłodniali i wystraszeni, ujrzeliśmy wreszcie z daleka światło — maleńki promyk światła. Nie było to jeszcze Napier, lecz dzięki Bogu jakaś oberża!

„Chcieliśmy zjeść coś ciepłego — powiedziałem — cokolwiek bądź zadowoli nas w obecnej chwili”.

Przepaść znajdowała się już za nami, a posiłek i dach nad głową przed nami. Szybko więc podążyliśmy do karczmy. Nasz wspaniały stary furman, żwawy jak świerszcz, zeskoczył z kozła i zwracając się do mnie, powiedział: „Ach, panie Paderewski, dzięki Bogu, że się to już skończyło, muszę jednak panu powiedzieć, że nigdy w życiu nie najadłem się tyle strachu co dziś. Za długo zatrzymaliśmy się w tej szkole, bardzo tam było ładnie i miło zobaczyć wszystkie te dzieci, ale taka zwłoka była zbyt niebezpieczna”. Wbiegliśmy pośpiesznie do oberży, ale niestety okazało się, że nie możemy otrzymać nic ciepłego do jedzenia, żadnej zupy, nawet herbaty, po prostu nic, bo właśnie przeszli trzęsienie ziemi i wszystko było kompletnie zniszczone. Dostaliśmy jednak nieco wódki, i to, przypuszczam, nas uratowało. Niech pani pomyśli, co by to było, gdyby w dodatku do trzęsienia ziemi działała tam jeszcze i prohibicja!

Nazajutrz zerwaliśmy się bardzo wcześnie — nie z pośpiechu, lecz z powodu straszliwego zimna. W hotelu nie było dostatecznej ilości koców, woleliśmy więc ubrać się i jechać dalej. Do Napier dojechaliśmy w południe bez dalszych już przykrości i znaleźliśmy tam

doskonały hotel oraz oczekujące nas tego wieczoru bardzo miłe audytorium. Odniosłem wrażenie, że gram w Londynie. Ogromny kontrast, jaki stanowili słuchacze — wszyscy w strojach wieczorowych, panie w balowych toaletach — po zupełnie dzikiej pustyni, po gejzerach, przepaściach i niewygodach, których przyczyną byli ludzie i przyroda, to coś naprawdę niezwykłego. Jakieś senne marzenie, tak że w pierwszej chwili nie mogłem uwierzyć w jego realność.

Z Napier pojechaliśmy do Wellington, gdzie zwróciłem uwagę na wielkie szpary w ścianach każdego pokoju. Mieszkańcy tamtejsi przeżyli ostatnio trzęsienie ziemi, mało się tym jednak przejmując i twierdząc, że często się to u nich zdarza. Nie mogą więc budować domów z cegły, tylko drewniane, znacznie bezpieczniejsze.

Wkrótce po przyjeździe do Napier złożył nam wizytę pan Seddon z małżonką. Pan Seddon był wówczas premierem Nowej Zelandii, -a poznałem go w domu lorda Northcliffe'a w czasie diamentowego jubileuszu królowej Wiktorii.

Wizyta ta wywarła wielkie wrażenie na całej służbie hotelowej, gdyż Seddon był kiedyś górnikiem i własnym wysiłkiem doszedł do stanowiska premiera, uodził więc za najwyższy autorytet we wszystkich kwestiach dotyczących związków zawodowych Nowej Zelandii.

Przybycie jego okazało się także zbawienne dla mnie, zaraz pani powiem dlaczego. Otóż mówiłem już o trudnościach, jakie stałe miałem z uzyskaniem gorącego posiłku, a właściwie czegokolwiek do jedzenia po koncertach, i to właśnie na skutek przepisów związków zawodowych. Pertraktowałem właśnie z kierownictwem hotelu w sprawie dostarczania mi tych posiłków, ale mimo dyplomacji i dużych łapówek, sprawa utknęła na martwym punkcie. W owej krytycznej sytuacji przybycie pana Seddona podziałało wprost magicznie —

wszystko nagle poszło jak po maśle. Zachwycony kierownik hotelu zapewniał mnie, że tak wysoko ustosunkowana osoba, ciesząca się znajomością pana Seddona, musi być obsłużona tak, jak sobie życzy, i dodał: „O, szanowny panie, nie ma w naszym hotelu rzeczy, która by nie była do pana dyspozycji. Przyjaciół pana Seddona jest tak jakby właścicielem tego hotelu!”

Z pobytu w Nowej Zelandii byłem ogromnie zadowolony. Po pierwsze, cenne były dla mnie wiadomości płynące z poznania plemienia Maorysów, poza tym poznanie tych wszystkich miejscowości było rzeczywiście bardzo przyjemne i ciekawe, a nawiązane tam stosunki towarzyskie wprost urocze. Generalny gubernator, sir William Plunket, parokrotnie zapraszał nas do siebie; jego wielka gościnność była nam bardzo miła.

W roku 1927 powróciłem tam i doznałem znów najmilszego przyjęcia, lecz sama Australia zmieniła się bardzo — była rzeczywiście okropna. O wszystkich zmianach, jakie tam nastąpiły, a tak bardzo mnie oburzyły, obszerniej opowiem w innym rozdziale moich wspomnień. Teraz mówmy o obecnym tournée.

Koncerty w Christchurch i w Dunedin były bardzo przyjemne, minęły jednak bez żadnych specjalnie interesujących wydarzeń.

Słuchacze wszędzie mnie wzruszali, okazywali bowiem wiele wdzięczności za to, że przybyłem aż z tak daleka, by dać im trochę muzyki.

Pojechaliśmy potem do Invercargill, które przede wszystkim zapamiętałem z powodu leżącej nieopodal okropnej miejscowości zwanej *The Bluff*. Straszne to było miejsce, przynębiające, desperacko smutne i beznadziejne. Nie widziało się tam nic poza wodą i stale wzburzonym morzem. Nie było tam nigdy jednego pogodnego dnia, stała okropna pogoda, tornado, zimno i walka z rozszalałym żywiołem.

W dodatku prócz wyjącego wciąż morza i okropnej



niepogody — dokuczały muchy! Tak jest, muchy! Muchy, które nadciągały ogromnymi czarnymi chmurami i dosłownie pokrywały każdego. Najłżejsze ich dotknięcie powodowało okropne swędzenie i palenie, które zmuszało do drapania się aż do krwi. Prawdziwe męczarnie.

Hobart w Tasmanii było naszym następnym etapem, a podróż do tej miejscowości nową zgorą. Podróżowaliśmy bowiem na małym parowcu — łupinie od orzecha, mającym niewiele ponad pięćset ton, zatem o połowę mniejszym od statków kursujących na jeziorach, i to przy bardzo burzliwym morzu. Zmuszeni byliśmy spędzić aż pięć dni na tym nędznym parowcu, burza szalała, a nasza biedna mała łupina była zdana na jej łaskę.

Do Hobart przyjechaliśmy z opóźnieniem przeszło dwudziestoczworgodzinnym, zamiast więc odpocząć przez dzień, jak się spodziewałem, musiałem przebrać się już na statku, by zaraz po przybyciu udać się na salę koncertową. Było to bardzo męczące.

Doktor, który tak nas zawiódł już w czasie podróży do Australii, znów okropnie chorował i był do niczego. Ja także chorowałem i nie czułem się na siłach wystąpić z koncertem. Przemogłem się jednak, tak jak już poprzednio w wielu innych okolicznościach. Nic specjalnie interesującego nie mam do powiedzenia o tym koncercie, podobnie jak nie było nic zajmującego do zanotowania o samym Hobart, poza jednym tylko lasem, prowadzącym do Mount Wellington. Był to prawdziwy las cudownych drzewiastych paproci. Wywarł na mnie tak silne wrażenie, jakiego w życiu przypuszczalnie nie zaznam, jedyne w swoim rodzaju, zdumiewającego piękna.

Takie wspaniałe paprocie w zamierzchłych czasach, przed tysiącami stuleci, • pokrywały całą naszą ziemię i z nich właśnie uzyskaliśmy nasz opał pod postacią węgla.

Z Hobart udaliśmy się do innej małej miejscowości zwanej Launceston. W pamięci mojej ma ona swój specjalny kącik, gdyż w dniu naszego przybycia całe miasto udekorowano na moją cześć kwiatami i flagami. Widok był śliczny: Mieszkańcy tłumnie wyszli na powitanie, co wzruszyło mnie ogromnie.

Po powrocie do Melbourne dałem jeszcze pożegnalny koncert w Exhibition Hall, i to w obecności sześciu czy siedmiu tysięcy osób. Jak na Australię — cyfra olbrzymia.

Opowiedziałem już wiele, a teraz na koniec chcę jeszcze dodać do wspomnień z Australii jedno z najciekawszych zdarzeń. Było nim powiększenie rodzinnego mojego grona, przybycie tak ważnego jej członka, jakim stała się niezwykła papuga: Cockey Roberts. Papuga, którą darzyłem serdecznym uczuciem, która mnie zawsze bawiła, a jednocześnie póki żyła, przysparzała nam wiele trosk. A oto jej dzieje.

Zdaje mi się, że kiedyś już mówiłem, iż dwa stworzenia w moim życiu okazywały duże zainteresowanie moją sztuką. Cockey Roberts była właśnie tym drugim. Zawsze będę wierzył, że Cockey Roberts rzeczywiście interesowała się moją grą. Była wyjątkowo piękną papugą, a kupił ją miejscowy agent organizujący moje tournée po Australii, Nowej Zelandii i Tasmanii.

Do Melbourne przybyliśmy w lipcu i trafiliśmy na straszliwe zimno. Nie znaleźmy tam jeszcze nikogo, więc pierwsze dni okazały się beznadziejnie nudne i nieprzyjemne, głównie z tego powodu, że skaleczyłem się w palec i nie mogąc grać, musiałem odwołać pierwszy koncert. Czułem się przygnębiony i osamotniony, a życie przedstawiało mi się w ciemnych barwach.

Siedziałem w hotelu, gdy bowiem chciałem się przejść i zwiedzić miasto, stale przeszkadzały ulewne deszcze. Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam i łatwo się

domyślić, że nie czuliśmy się zbyt dobrze. Wtedy to mój australijski impresario wpadł na dobry pomysł dostarczenia nam rozrywki pod postacią papugi. Kupił zatem papugę, która umiała mówić; potrafiła gadać jak żadna inna na świecie, o czym jestem głęboko przekonany!

Pomysł ten okazał się jednak niefortunny, bo papuga uczyniła na mej żonie takie wrażenie, że natychmiast zakupiła jeszcze ze trzydzieści czy czterdzieści różnych papug. Odtąd podróżowaliśmy z całym stadem tych ptaków najróżniejszego gatunku, wieku, wzrostu i koloru. Z olbrzymią ilością klatek przejechaliśmy przez całą Australię i Nową Zelandię aż do San Francisco. Jak mogłem znieść taki stan rzeczy? Nie wiem, pewnie jednak dlatego, że jestem istotą wyjątkowo wytrzymałą, bo gdybym taki nie był, dawno bym już nie żył!

Powróćmy jednak do Cockey Roberts. Używała zwykle niezbyt kulturalnych słów, rzeczywiście język jej był doprawdy wyjątkowo nieprzyzwoity, a nawet bluźnierczy. Pod tym względem była czymś więcej niż mówiącą papugą, była w swoim rodzaju prawdziwą artystką. Gadała bez przerwy, a słownik miała wyjątkowo bogaty i obszerny, tylko — jak mówiłem — w nie najlepszym gatunku. Chwilami uprzejma i bardzo gościnna, grzecznie zapraszała do picia, zapytywała wtedy, czy ktoś nie pragnie czegoś się napić. Czasem jednak, gdy była niezadowolona, przeklinała w okrutny sposób, używając przy tym możliwie najgorszych wyrażań. Obecność jej w moim pokoju stanowiła dużą rozrywkę i ciągłą zabawę. Potrafiła bowiem zawołać nagle: „Słuchaj, wypij sobie jednego — wypij jednego”, a wymawiała to bardzo wyraźnie. Do tego stopnia wyraźnie, że gdy pewnego razu, jadąc powozem w Auckland w Nowej Zelandii, umieściliśmy ją w klatce na siedzeniu obok furmana i usłyszeliśmy nagle zupełnie ludzkim, miłym głosem wypowiedziane: „Wypij sobie jednego, wypij” — furman, odwracając się w naszą stronę, grze-

cznie odpowiedział: „Dziękuję panu, ale dzisiaj wypilem już jednego”.

Cockey Roberts towarzyszyła nam w podróży po Australii i Nowej Zelandii, a później w czasie całego tournée po Ameryce, następnie przeżyła jeszcze sześć czy siedem lat tutaj w Morges i stała się bardzo ważnym członkiem naszej rodziny. Podróże znosiła świetnie. Na statku nie lubiła jednak burzliwej pogody, co okazało się przede wszystkim, gdy płynęliśmy z Nowej Zelandii do Tasmanii, na najbardziej burzliwym morzu świata — Morzu Tasmańskim. Mały statek kołysał się wprost niemożliwie, wznosząc się niekiedy na falach do pozycji pionowej, a potem opadając na dół. Klatka Cockey Roberts stała jeździła po kabinie z kąta w kąt, a biedna papuga, nie pojmując tego, co się dzieje, irtowała się i wpadając w pasję krzychała: „Idźcie sobie do diabła, wy hultaje, wy łotry, idźcie do diabła!”

Cockey Roberts lubiłem najwięcej, choć nie była jedyną papugą, jaką posiadaliśmy. Poprzednio już wspomniałem, że żona moja zakupiła całą gromadę papug, tak że do Nowej Zelandii dojechaliśmy mając ich trzydzieści sześć. Umieściliśmy je w kilku klatkach po trzy lub cztery, a nawet czasem i po dziesięć czy dwanaście w każdej. Pomiędzy nimi znajdowała się ogromna papuga o głosie tak doniosłym, że słysząc ją było na drugim końcu świata. Podróżowała w olbrzymiej klatce sama jedna. Gdy wreszcie dowieźliśmy ją do Morges, nie miałem nic przeciw temu, by się jej pozbyć, tak była nieznośna i niemożliwa. Któregoś dnia sprowadziliśmy weterynarza z Genewy; zaproponowałem mu, by ją sobie zabrał, co uczynił z radością; a ja także bardzo byłem z tego zadowolony. Ponieważ posiadał pod samą Genewą obszerny dom z bardzo dużym ogrodem, uważałem, że będzie to właśnie odpowiednie dla niej miejsce. Niedługo jednak żyła w nowym swoim domu, wdała się bowiem w walkę z krową (tak,

ż krową!) i zginęła zabita przez nią. Co za fatalny i niedorzeczny koniec.

Cockey Roberts była papugą nr 1. Piękny i miły ptak, ale jej głos, szczególnie gdy się rozgniewała, stawał się tak przeraźliwie krzykliwy i przenikliwy, że nieraz nie byłem w stanie go znieść. Pomimo takiego głosu polubiłem ją bardzo, a i ona przywiązała się do mnie, i mogłem wszystko z nią zrobić, co tylko mi się podobało.

Często przychodziła, by ją pogłaskać i podrapać lekko po karczku, okazywała wtedy wielkie zadowolenie. Gdy zaczynałem ćwiczyć, zjawiała się w moim pokoju. Z początku starałem się temu zapobiec zamykając drzwi, lecz wtedy mocno stukała w nie dziobem. Gdy nie odzywałem się, zaczynała stukać coraz mocniej, wołałem więc przez drzwi: „Kto tam?“, a rozgniewany głos odpowiadał: „Cockey Roberts”. Udając, że nie rozumiem, powtarzałem: „Kto?” „Cockey Roberts! Cockey Roberts!” — odpowiadał głos jeszcze bardziej gniewnie.

Musiałem więc wpuścić ją do pokoju, a wtedy maszerowała prosto do fortepianu i siadała na mej nodze. Siadywała tak całymi godzinami, a moje energiczne — jak pani wiadomo — używanie pedału widocznie jej nie przeszkadzało. Siedziała na samym końcu mej stopy bardzo spokojnie, od czasu do czasu odzywając się słodkim, trochę chropawym głosem: „O, Boże, jakież to piękne! jakie piękne!” Było to bardzo rozczulające.

Gdy przerywałem grę i podnosiłem się z krzesła, jak to zwykłem czynić raz jeden w czasie każdego ćwiczenia, doskonale zdawała sobie sprawę, że przez pewien czas nie będzie słyszała muzyki. Przechadzała się wtedy po pokoju i zabawiała czymkolwiek. Nie opuszczała mnie, lecz pozostawała w pobliżu, czekając, aż znów zacznę grać. Gdy ostatecznie skończyłem ćwiczyć, pozwalała się zaprowadzić do swego małego domku, gdzie spokojnie siedziała na drażku, najwido-

czniej uważała za swój obowiązek pilnować mnie, gdy grałem, i siedzieć przy mnie tak długo, dopóki ćwiczyłem.

Kto ją tak nazwał i dlaczego się tak nazywała? Tego nie wiem. Gdy ją kupiliśmy, wołano już na nią Cockey Roberts. Należała do kogoś, kto musiał wyjechać z Australii i dlatego postanowił ją sprzedać. Prawdopodobnie nie był tak wielkim amatorem papug, by ją z sobą zabrać, pozostawił więc ptaka w Australii. My jednak stale z nią podróżowaliśmy, i gdy przebywała z nami, przysparzała nam wiele przyjemności i zabawy.

Przypominam sobie, iż pewnego razu w San Francisco naraziła nas na dużą nieprzyjemność. Przyjechaliśmy tam z wszystkimi naszymi papugami, ale postanowiliśmy na miejscu mocno zredukować to nasze stadko. Pan Adlington zabrał jedną parkę, kilka sztuk wziął doktor, a pewną ilość podarowaliśmy jednemu z naszych przyjaciół w San Francisco. Pozostało jednak jeszcze około piętnastu, które przywieźliśmy z sobą do Morges. Najzupełniej dosyć. Cockey Roberts, jak już wspominałem, zajmowała miejsce uprzywilejowane. W starym, ogromnym hotelu Pałace w San Francisco umieszczaliśmy ją zawsze w dużym salonie. Klatka stała w rogu i nieraz całymi godzinami nie słyszało się głosu ptaka, gdy nagle — jakież potok okropnych słów dochodził do mych uszu!

Wkrótce po przyjeździe pewna reporterka prosiła mnie o wywiad dla swej gazety. Byłem właśnie w trakcie przygotowywania koncertu i nie miałem najmniejszej chęci jej widzieć. Poprosiłem więc pana Adlingtona, by wytłumaczył jej, że obecnie jest to niestety niemożliwe. Żona moja oświadczyła jednak, że może ta biedna dziewczyna zarabia w ten sposób na życie, powinienem więc poświęcić jej choć parę minut. Przyjąłem ją, oświadczając z góry, że bardzo jestem zajęty i proszę, żeby jak najbardziej ograniczyła swą ciekawość i jak najbardziej skracała pytania. Okazała się jednak uparta i zawzięta. Upłynęło już pół godziny, a widziałem, że

bynajmniej nie zamierza kończyć. Wreszcie miałem tego dosyć i powiedziałem: „Proszę mi wybaczyć, ale doprawdy nie mogę już dłużej z panią rozmawiać. Stanowczo muszę zaraz powrócić do pracy nad koncertem. To jest bowiem moim obowiązkiem, a nie udzielanie wywiadów”. — Jeszcze kilka pytań — nalegała — bardzo pana o to proszę.

Nagle z drugiego końca pokoju odezwał się potężny rozniewany głos: „Idź sobie, nie podoba mi się twój głos, wynoś się”. Było to wręcz niezwykle. Papuga w owej chwili stała się jakby ludzką istotą i niepodobieństwem było uwierzyć, że słowa te wypowiedziała ona, a nie człowiek. Biedna reporterka, nie zorientowawszy się w sytuacji, zmieszała się ogromnie. Przypuszczała, że był to głos mojej żony, zerwała się więc z krzesła i pośpiesznie idąc w stronę drzwi, zwróciła się do żony mówiąc: „Dziękuję pani, okazała mi pani już i tak dużo uprzejmości, przepraszam więc, że ośmieliłam się aż tak długo przeszkadzać panu Paderewskiemu!”. Nie zwracając uwagi na to, co staraliśmy się jej wytłumaczyć — opuściła pokój niemal biegiem. A więc sprawiła to Cockey Roberts, wybawiła od dręczycielki. Niewiarygodne. Ten mały ptak posiadał duszę.

Parę miesięcy potem — o ile się nie mylę, w lutym — objeżdżaliśmy całe Stany. Zima była wyjątkowo sroga. Przybyliśmy do Canton w stanie Ohio (miejsce urodzenia McKinleya). Żona nagle zachorowała. W wagonie uszkodzone były kaloryfery, więc nam dokuczało okropne zimno. Włożyłem futro, a klatkę Cockey Roberts nakryłem drugim, pomimo to drżała z zimna.

Siedziałem zmartwiony i bardzo niespokojny w jałdalmym przedziale wagonu, oczekując przybycia lekarza. Nagle odezwał się przytłumiony, trochę zachrypnięty głos: „Tak mi zimno, chciałabym zjeść śniadanie w Australii”. Biedna Cockey Roberts! Doprawdy posiadała zdumiewający zapas słów, wprost niesamowity czasem — znała tysiące wyrazów.

Z okresu pobytu w Brisbane chciałbym opowiedzieć jeszcze jedną zabawną historię w związku z papugą. W tym wypadku co prawda mowa będzie o innej papudze, lecz nie uchybia to w niczym Cockey Roberts. Brisbane było wówczas okropną miejscowością. Hotel straszny, ale tamtejsi życzliwi i sympatyczni ludzie robili, co tylko mogli, by zapewnić nam możliwie największe wygody. Dostałem więc dość duży pokój, rodzaj gabinetu-salonu, z odpowiednim miejscem do ulokowania mego fortepianu, gdzie codziennie przed obiadem godzinami ćwiczyłem. Pewnego dnia po raz pierwszy dostrzegłem w rogu pokoju klatkę z bardzo cicho zachowującą się papugą. Przez poprzednie czterdzieści osiem godzin nie zauważyłem jej wcale i nie wiedziałem, że się tam znajduje. Był to wyjątkowo duży i piękny ptak. Nagle jednak zaczęła mówić, i to w chwili, gdy do pokoju wszedł stary, mocno zgrzybiały kelner o zupełnie fioletowym nosie, i wniósłszy tacę z naczyniem, zabrał się do przygotowywania śniadania. Nastąpiła teraz taka rozmowa. Papuga donośnym głosem poczęła krzyczeć na kelnera: „Janie, znowu jesteś pijany! Zatrzymaj się, ty idioto! Tak jest, Janie, znowu się upiłeś!”

Jan był widocznie przyzwyczajony do takich słów, gdyż zupełnie nie zwracał na nie uwagi. Wszedł, lecz po chwili powrócił, przy czym wchodząc do pokoju jak gdyby lekko się pośliznął. Papuga, śmiejąc się przeobraźliwie, zawołała: „Janie, jesteś znowu pijany! Nie ślizgaj się, nie ślizgaj się, bo gdy jeszcze raz się poślizniesz, skręcisz sobie swój przekłety kark”.

Zachwycony byłem tą papugą, niepodobna bowiem wyobrazić sobie zabawniejszego stworzenia. Zapytałem zaraz, czy nie mógłbym jej nabyć, pragnąłem bardzo dołączyć ją do mojej papuziej rodziny, lecz nie udało mi się to. Jan wydawał się zgorszony moją propozycją: „Nie, proszę pana, nie może pan jej kupić, należy przecież do naszej rodziny”.

Tak więc Cockey Roberts królowała nadal sama



jako papuga nr 1. Kilka lat przebywała z nami, lecz w końcu głos jej stał się nie do zniesienia. Gdy była z czegokolwiek niezadowolona (a zdarzało się to często), krzyki jej stawały się tak donośne i przeraźliwe i tak działały na moje nerwy, że już po jednym krzyku, -rozdrażniony, odczuwałem dreszcze i całymi dniami źle się czułem. Doszedłem więc do przekonania, że dłużej nie mogę jej mieć przy sobie. Musiałem wówczas przygotowywać się do ważnego tournée, postanowiliśmy więc umieścić ją na lato z kurami w ogrodzie. Miała tam osobny mały domek i sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej. Przemawiała do kur, klęła także na nie, a czasem wdawała się w rozmowę z ogrodnikiem.

Wzywała mnie nieraz i często ją odwiedzałem, ale wizyty te trwały zawsze bardzo krótko.

Owego roku wyjechałem do Ameryki wyjątkowo wcześnie, bo już we wrześniu. Było jeszcze ciepło i nie mam pojęcia, czemu tak zaniedbano Cockey Roberts podczas mojej nieobecności. Siostra nie przyjechała jeszcze do Morges i tylko służba miała pieczę nad papugą. Zupełnie niespodziewanie przyszła jedna zimna noc, a ogrodnik zapomniał o Cockey Roberts i pozostawił ją w kurniku. Zaziębiła się, a zaziębienie to spowodowało śmierć.

Przebywałem wtedy w Nowym Jorku i doskonale pamiętam, że pewnej nocy śniła mi się Cockey Roberts. Widziałem ją i słyszałem jej przenikliwy, gniewny, wzywający mnie głos, przy czym we śnie nie wydawał mi się wcale przykry. Wiedziałem już, że Cockey Roberts nie żyje, i odczułem pewną pustkę w sercu.

Po dziesięciu dniach otrzymaliśmy z Morges wiadomość, że Cockey Roberts nie ma już na świecie.

Z Australii wracałem przez San Francisco, gdzie zaraz po Bożym Narodzeniu 1904 rozpocząłem sezon koncertowy. Wkrótce po zakończeniu występów udaliśmy się z San Francisco do Arden, małej miejscowości w Kalifornii niedaleko Santa Ana, gdzie mieszkała ze swym mężem pani Modrzejewska. Zatrzymaliśmy się tam parę dni, lecz niestety odnieśliśmy przykre wrażenie, widząc tych dwoje bliskich nam (już niemłodych) ludzi żyjących na takim pustkowiu. Modrzejewska robiła wrażenie cierpiącej. Otoczenie ich uroczego niewielkiego domu bezsprzecznie usposabiało melancholijnie. Wszystko wydawało się jakieś ponure, a dom tak ukryty pośród skał, że światło dzienne zupełnie do niego nie dochodziło. Z jednego tylko miejsca można było czasami dojrzeć słońce. Działo to bardzo przygnębiająco.

Przypuszczam, że pomysł zamieszkania w owej miejscowości nie wyszedł od Modrzejewskiej, lecz od jej męża, który nieraz miewał bardzo dziwne fantazje. Chociażby wtedy, gdy wybrał i kupił dla niej tę właśnie posiadłość z myślą, że będzie to odpowiednie miejsce do założenia intratnej hodowli kóz. Nie znając się na tych sprawach zupełnie, zakupił ogromną ilość owych zwierząt, po czym puścił je na swobodę, by same zdobywały sobie pożywienie. Niestety, nie było tam trawy, tylko kamienie, więc kozy wkrótce pozdychały. -

Była to w swoim rodzaju ładna okolica, wprawdzie niesamowita, ale bardzo ciekawa. Fantastyczne skały spiętrzały się w wysokie ściany, a nieduży dom Modrzejewskiej stał ukryty na dnie kanionu. Piękna ta willa wybudowana została według projektu Stanforda White'a, sławnego architekta, ich wielkiego przyja-

cielą. We wnętrzu domu panował jednak ustawicznie kompletny mrok. Spędziliśmy dwa dość przygnębiające dni, ani razu nie widząc słońca. Na jednym tylko nieco odsłoniętym miejscu znajdowała się mała drabina, po której, o ile ktoś zdobył się na wysiłek uciążliwego wspinania się, dochodziło się do miejsca, skąd można było zobaczyć nieco promieni słonecznych. Dom zbudowano na dnie małego kanionu. Doprawdy dziwne miejsce na spędzanie życia.

Kiedy byliśmy tam, kozy już zniknęły — większość zginęła z braku paszy, a część rozkradli okoliczni mieszkańcy. Wszystko to było nie tylko niedorzeczne, lecz jednocześnie smutne. Niepokoił mnie taki stan rzeczy, przede wszystkim ze względu na wpływ, jaki mógł wywierać na zdrowie pani Modrzejewskiej. Usilnie starałem się, używając wszelkich logicznych argumentów, przekonać ją o konieczności porzucenia tej niesamowitej miejscowości oraz namówić do powrotu do normalnych warunków. Błagałem ją o to. W chwili gdy zdawało się, że jest przekonana i zgadza się na mój projekt, jak się tego spodziewałem, nagle przyszedł jej do głowy pomysł urządzenia w Nowym Jorku pożegnalnego występu na swój własny benefis. Impreza ta stała się teraz gorącym jej pragnieniem, a poza tym potrzebowała też pieniędzy. O niczym innym nie była w stanie myśleć i mówić! Obiecałem jej zaraz po powrocie do Nowego Jorku zająć się załatwieniem wszystkich związanych z tym formalności. Przede wszystkim zwróciłem się więc do Charlesa Frohmana, którego znałem dobrze, a później do paru innych serdecznych jej przyjaciół. Postanowiono, że benefisowe przedstawienie odbędzie się w pierwszych dniach kwietnia 1905, a ja będę na nim grał. Miałem zatem zagrać na benefis Modrzejewskiej, podobnie jak ona zagrała na mój wiele lat temu, gdy byłem młodym, walczącym o przyszłość muzykiem.

Niestety, pod koniec mego objazdu, w pobliżu Syracuse, uległem poważnemu wypadkowi. Mój prywatny

pociąg został w drodze do Albany celowo wykolejony, i to nie tylko dla uratowania nam życia, ale także, by zapobiec wyjątkowo groźnej katastrofie. Nie będę się zagłębiał w szczegóły wypadku, chcę tylko pani powiedzieć, że wagon pod wpływem silnego wstrząsu, gwałtownie i z dużym impetem odrzucony na bok, wyrócił się. Porcelana i szkło zostały potłuczone, a meble kompletnie rozbite. Szczęśliwie nikt nie uległ poważniejszym kontuzjom, lecz kilka osób z naszego towarzystwa dotkliwie się potłukło — ja najwięcej ze wszystkich. Silny wstrząs rzucił mną o stół. Posiniaczony i kulejący, wyszedłem z wypadku z nerwami w stanie godnym pożałowania. Stan mój okazał się poważniejszy, niż początkowo przypuszczałem. Nie byłem zdolny niczym się zająć i musiałem na kilka miesięcy przerwać występy. Przez kilka lat odczuwałem skutki tego wstrząsu.

Organizowaniem moich koncertów zajmował się wówczas Charles Ellis z Bostonu; zawsze uważałem go za księcia impresariów całego świata. Niezwykły człowiek i tak wspaniały towarzysz. Chociaż obecnie porzucił już swój zawód i rzadko się spotykamy, z przyjemnością stwierdzam, że nasza przyjaźń trwa nadal i jest tak samo żywa jak wówczas, gdy widywaliśmy się często<sup>1</sup>.

Najbardziej przykre i smutne było dla mnie to, że w konsekwencji wypadku nie mogłem wziąć udziału w benefisowym występie pani Modrzejewskiej, tym bardziej że — jak się okazało — był to jej ostatni występ. Odjęta mi została jedyna sposobność okazania głębokiej wdzięczności za przysługę oddaną wiele lat temu. Helena Modrzejewska okazała się niegdyś, w czasach mej młodości i walki o karierę, wspaniałomyślna i łaskawa, dopomogła mi swym wystąpieniem w czasie

<sup>1</sup> Charles Ellis zmarł w niedługim czasie po przygotowaniu pamiętników przez Paderewskiego. (Przyp. M. L.)

mego pierwszego koncertu. Czułbym się więc niewymownie szczęśliwy, mogąc swoją grą przyjść jej obecnie z pomocą, biorąc udział w ostatnim jej występie. Los jednak zrządził inaczej.

**W** każdym razie ów benefisowy wieczór zgromadził po raz ostatni wszystkich przyjaciół i wielbicieli Modrzejewskiej, a jednocześnie stał się dużym sukcesem finansowym. Umożliwiło to artystce zapewnienie sobie renty, z której niestety korzystała tylko parę lat, umarła bowiem w listopadzie 1908<sup>1</sup>.

Mimo że upłynęło już tyle lat, postać Modrzejewskiej wciąż jeszcze zachowuję we wdzięcznej pamięci. Wszystko to, co o niej mówiłem i obecnie mówię, nie wystarczy, by wyrazić moje rzeczywiste uczucia. Przyjaźń nasza zrodziła się w okresie mojej młodości; wielbiłem wtedy jej dobroć i szlachetność charakteru, tak jak obecnie czczę jej pamięć.

Ciężki to cios dla artysty, gdy zmuszony jest zaprzestać pracy. Artysta powinien umierać w swym jarzmie — na polu walki. Inaczej życie traci dla niego całą wartość. Gdy pozbawiony zostaje pracy twórczej — kończy się dla niego cały urok istnienia. Przygnębiający ten fakt jest bezsprzecznie prawdziwy, przypuszczam, że wyklucza nawet wszelką na ten temat dyskusję; widzę, że i pani jest mojego zdania.

Zdarzały się jednakże godne zapamiętania wyjątki, lecz tylko wówczas, gdy artysta zwracał się w kierunku innej gałęzi swej sztuki. Takim właśnie wyjątkiem był Franciszek Liszt. Przestał grać w stosunkowo młodym wieku, miał bowiem około czterdziestu pięciu lat, a całą swą energię i geniusz poświęcił twórczej pracy kompozytorskiej, doznając teraz większego zadowolenia niż w okresie swej wspaniałej kariery wirtuoza. Stosunkowo łatwo zrozumieć to w wypadku Liszta, ale trzeba przyznać, że dla aktorów sprawa przedstawia się już

<sup>1</sup> H. Modrzejewska umarła 8 V 1909. (Przyp. red.)

inaczej. Na ogół przeciętny śpiewak operowy lub aktor przy końcu kariery staje się zwykle postacią tragiczną. Myślę, że najboleśniej dla artysty jest właśnie rozstanie się z teatrem, trudniejsze niż porzucenie jakiegokolwiek innej sztuki.

Mężczyzna zazwyczaj dłużej występuje na scenie niż kobieta. Aktor, który odnosił duży sukces jako na przykład Romeo — może w trzydzieści lat później stać się sławnym Falstaffem. Dla aktorki jednak, która grywała role wielkich i romantycznych postaci, życie staje się tragedią, gdy w starszym wieku musi występować w małych i nieciekawych rolach. Powtarzam więc, że mężczyźni znajdują się w szczęśliwszym od kobiet położeniu.

Pod każdym zresztą względem jeśli chodzi o scenę, mężczyźni są uprzywilejowani, i to nie tylko w sprawach zawodowych, ale i w kwestiach wyglądu zewnętrznego. Jeżeli nawet aktor źle się prezentuje na scenie, ma zmęczone rysy, twarz pomarszczoną, a cerę nieświeżą, publiczność nie zwraca na to żadnej uwagi. U aktorki wszystko to odgrywa jak największą rolę, a przede wszystkim w pani ojczyźnie, w Ameryce. W Anglii widzowie są znacznie wierniejsi i, zdaje mi się, nie tak krytycznie usposobieni do wieku kobiet. Znajdują zawsze odpowiednio zaszczytne role dla swych ubóstwianych i faworyzowanych artystek. Przypomnijmy sobie tylko długą listę angielskich aktorek, przede wszystkim tych, które występowały nieskończenie długi czas, nawet mając powyżej siedemdziesięciu lat, a które wciąż jeszcze były uwielbiane przez publiczność. Zdaje mi się, że nigdy nie zdarza się to w Ameryce, wasze wymagania są bowiem zupełnie odmienne.

Od kwietnia 1905 do końca tegoż roku nie grałem zupełnie. Czułem się nie najlepiej. Przyczyną tego stanu był cały splot wydarzeń, zbyt subtelnych i trudnych do rozplatania, a jednocześnie nie mających specjalnego znaczenia dla naszego opowiadania.

Na przeciąg kilku lat zmuszony byłem zaprzestać używania fortepianów Steinwaya, a to z powodu poważnego nieporozumienia z naczelnym dyrektorem firmy, nieżyjącym już Charlesem Steinwayem. Nieporozumienie doprowadziło do tego, że Steinway pozbawił mnie możliwości użytkowania swych instrumentów. Prosiłem go o pewne zmiany w konstrukcji fortepianów, a właściwie nawet o zupełnie inne instrumenty, donosząc mu, że te, które obecnie posiadam, już mi nie odpowiadają. Odpowiedział mi na to w następujący sposób: „Depesza pana jest do takiego stopnia obraźliwa, że poleciłem moim przedstawicielom od dnia dzisiejszego nie dostarczać panu naszych fortepianów”. Była to więc poważna sprawa i zakończyła się zupełnym zerwaniem stosunków.

Oczywiście ód samego początku spodziewałem się pewnych trudności i wybiegów ze strony Steinwayów. Oni zaś widocznie przypuszczali, że pokornie przeprosząc, uczynię pierwsze kroki, wycofując to, co powiedziałem i czego się od nich domagałem. Przypuszczali, że zgodzę się na dalsze używanie takich instrumentów, jakie zechcą łaskawie dostarczyć, a nie takich, jakich potrzebuję. Tego posunięcia nie chciałem jednak uczynić. Było to wykluczone, gdyż w grę wchodziła moja sztuka, a nie moja osoba. Doszło więc między nami do zupełnego rozejścia, co wywołało pod każdym względem opłakane skutki. Spowodowało zerwanie wszelkich kontaktów z firmą Steinwaya. Nie potrafię w kilku słowach dostatecznie wyjaśnić przebiegu całej tej sprawy. Wymagania moje dotyczące zmian w fortepianach były zupełnie uzasadnione i miałem wszelkie prawa domagać się ich uwzględnienia. Rzecz prosta, sprawiłoby to firmie pewien kłopot, a także spowodowało zwiększenie kosztów, ale przecież na ich fortepianach grywałem na całym świecie i nie prosiłem o nic takiego, co nie byłoby usprawiedliwione moimi artystycznymi uprawnieniami. Nastąpił więc między nami kompletny roz-

dźwięk i stanęliśmy na martwym punkcie. Zdawałem sobie sprawę, że ich postępowanie jest w stosunku do mnie bardzo niełojalne. Zacząłem więc teraz używać fortepianów Webera, produkowanych przez Aeolian Company. Tak więc z powodu tego nieporozumienia na fortepianach tych grywałem dwa kolejne sezony.

Długo trwało, zanim przywykłem do innego instrumentu, zanim stał się prawdziwym przyjacielem i rzeczywiście odpowiadał moim potrzebom. Przyzwyczyłem się jednak i następne tournée odbyło się jak zwykle pomyślnie, pomimo dodatkowego wysiłku. Nieporozumienie z firmą Steinwaya zakończyło się parę lat później, znowu zapanowały między nami harmonia i obustronne zadowolenie.

W okresie gdy grywałem na fortepianach Webera, zdobyłem nowego stroiciela, Eldona Jouberta, pracującego podówczas w tej firmie. Wspominam o tym obecnie, gdyż strojenie fortepianu oraz dbałość o jego stan ogólny są dla artysty rzeczą wielkiej wagi. Stanowią część jego artystycznego ekwipunku, który, jak to już poprzednio mówiłem, jest niezbędny dla każdego pianisty. Stroiciel fortepianów jest więc stale istotnym czynnikiem każdego sezonu koncertowego. Joubert okazał się pod wieloma względami wyjątkowo dobrym, oddanym i niezawodnym, a przy tym jednym z najlepszych moich stroicieli. Gdy pożegnałem się z Weberowską firmą i powróciłem do Steinwaya, Joubert pozostał u mnie, i ku memu wielkiemu zadowoleniu współpracujemy już przeszło trzydzieści lat.

Muszę raz jeszcze powiedzieć, że w roku 1906 bynajmniej nie czułem się zdrowy, wciąż jeszcze bowiem odczuwałem skutki wstrząsu doznanego w wypadku kolejowym. Niemniej w tymże roku zdobyłem się na tournée po Hiszpanii, a poza tym występowałem w południowej Francji i Portugalii. Gra w tym okresie nie dawała mi jednak żadnego zadowolenia, coś złego działo się z moimi nerwami. Zaczęła mnie ogarniać niena-



wieść tło fortepianu! Czułem do niego wstręt. Nie zdaję sobie sprawy, czy istniały jakiegokolwiek konkretne powody, którym mógłbym przypisać tego rodzaju uczucia. Nie ma to już zresztą żadnego znaczenia, pragnę tylko podkreślić, że ów wstręt do klawiatury trwał u mnie przez parę lat, a jednak musiałem występować z koncertami, co naturalnie odbijało się na grze. Boleśnie to odczuwałem. Grałem teraz znacznie gorzej, a głównym powodem była niechęć do fortepianu. Nie byłem już w stanie grać tak, jak tego pragnąłem.

Zmiana fortepianu jest dla artysty poważną sprawą. W Europie grywałem wówczas na fortepianach Erarda, które w tym właśnie czasie kompletnie zmieniły swój dotychczasowy charakter. Zamiast — jak poprzednio — budować z samego tylko drewna, dzięki nowemu wynalazkowi postanowiono drewno zastąpić metalem. Początkowo nie był to udany eksperyment, grało się bowiem na nich nadzwyczaj ciężko. Aż dwa powody zmuszały mnie do używania w Europie fortepianów Erarda. Pierwszy — to przyzwyczajenie do nich. Drugi — to zażyła i bliska przyjaźń z panem Blondelem, który pomagał mi w początkach kariery i finansował pierwsze moje koncerty w Paryżu i Londynie. Byłem mu dozgonnie za to wdzięczny.

Tradycją firmy Erarda było ofiarowywanie każdemu sławniejszemu artyście gościny oraz fortepianu w swoim gmachu. Firma pokrywała także wszystkie wydatki związane z recitalem, pozostawiając artyście cały dochód bez żadnych potrąceń. W stosunku do mnie Erard okazał się również wspaniałomyślny i w początkach wiele dla mnie uczynił. Lecz gdy tylko zacząłem więcej zarabiać, nie godziłem się już na przyjmowanie tego rodzaju subwencji, wydatki związane z koncertami pokrywałem z własnej kieszeni.

Faktem jednak jest, że bez względu **na** przyczyny, a dużo było najróżniejszych, trudnych do określenia powodów, które mogły się **na** to złożyć, moja niechęć

do fortepianu, awersja do niego stale wzrastała i potęgowała się. Nie miałem zupełnie ochoty do gry. Cokolwiek grałem, zawsze odczuwałem dysonans między sobą a fortepianem. Był to rodzaj ciągłej udręki. Radziłem się różnych lekarzy. Twierdzili, że to skutki przepracowania i że prawdopodobnie nadużywałem tak gry, jak i własnych sił; mówili też, że nie tylko powinienem przestać grać, ale wziąć się do innej pracy, a przede wszystkim zalecili natychmiastowy zupełny wypoczynek. Nie straciłem mimo wszystko pewnego rodzaju energii, która gwałtownie popychała mnie do działania. Cóż jednak mogłem robić? Oczywiście interesowały mnie zawsze najróżniejsze sprawy, lecz w jakim kierunku mogłem zwrócić się w tak krytycznym momencie? Pewnego dnia jeden z moich przyjaciół mieszkających w Lozannie, znakomity lekarz i mądry człowiek, powiedział do mnie: „Powiedz mi, czy istnieje cokolwiek poza sprawami intelektualnymi, co interesowałoby cię i sprawiało osobiście przyjemność?” Odpowiedź nie była trudna — pochodziłem z rodziny rolniczej, odrzekłem więc, że bardzo interesowało mnie zawsze rolnictwo. „Doskonale — zawołał — świetnie się składa! Zajmij się pracą na farmie, a przyroda cię uleczy!” Odpowiedziałem mu na to, że ręce mogą mi być jeszcze w przyszłości potrzebne. Zaśmiał się i odrzekł, że nie miał wcale na myśli pracy fizycznej w polu, lecz po prostu kupienie małej farmy, zajmowanie się nią, interesowanie i cieszenie się jej rozwojem; należałoby oddać się temu zajęciu sercem i umysłem, żyjąc w jak najściślejszym kontakcie z naturą.

Podobał mi się ten pomysł, nabyłem więc zaraz małą farmę niedaleko stąd. Od samego początku odpowiadał mi ten rodzaj życia i dobrze na mnie oddziaływał. Z konieczności spędzałem dużo czasu na świeżym powietrzu, a dni na wsi upływały w spokoju i ciszy. Udałem się tam jesienią i spędziłem zimę, a śniegu było dużo, co cieszyło mnie szczególnie.

Ten prosty żywot wpływał dobrze na moje samopoczucie.

I wkrótce, jak to nieraz w życiu bywa, farma stała się moim oczkiem w głowie. Zacząłem nabywać przyległe do niej grunta, rozrastała się więc coraz bardziej. Kupiłem krowy, świnie i inny inwentarz — stałem się już prawdziwym farmerem. Eksperyment z farmą trwał kilka lat, i nawet gdy znów zacząłem koncertować, farma wciąż jeszcze bardzo mnie absorbowała i w rezultacie kosztowała wiele pieniędzy.

W okresie pobytu na farmie nie ćwiczyłem wcale — nie dotknąłem nawet klawiatury! Pa kilku miesiącach posiadłość powiększyła się gwałtownie wskutek dokupywania gruntów, powodując duże koszty. Z powodu farmy teraz znów musiałem poważnie pomyśleć o zdobyciu środków finansowych. Doszedłem do przekonania, że muszę ponownie zabrać się do gry — nowe tournée koncertowe stało się obecnie koniecznością. Nic innego nie pozostawało mi do zrobienia. Odpoczynek posłużył mi ogromnie, a do fortepianu poczułem już trochę większą sympatię. Rozpocząłem od paru koncertów w Szwajcarii na cele charytatywne, aby, jak się to mówi, przełamać pierwsze lody, a następnie — pomimo trwającej jeszcze w zasadzie niechęci do fortepianu — w roku 1907 udałem się na tournée po Ameryce.

W czasie tej podróży koncertowej proszono mnie też o występ w Białym Domu, miałem więc sposobność poznania Teodora Roosevelta, który wywarł na mnie głębokie wrażenie. Był to człowiek silnego charakteru, błyskotliwego umysłu i wyjątkowo bystrej orientacji, doskonale poinformowany o sytuacji krajów europejskich. Wiedział także dużo o moim kraju, głównie dzięki sympatii do naszego słynnego powieściopisarza Sienkiewicza, autora znanych na całym świecie:

*Ogniem i mieczem, Za chlebem, Quo vadis.* Opowiadał mi, że z trylogią Sienkiewicza podróżował całymi latami. Niektóre jego zapatrywania na sprawy dotyczące mojej ojczyzny bardzo mnie podniosły na duchu i dziś jeszcze z radością i wdzięcznością wspominam każde jego słowo wypowiedziane na ten temat. Był człowiekiem prawdziwie rycerskiego ducha. Wzbudzał też we mnie uczucie wielkiego podziwu. Bezwzględnie był stuprocentowym Amerykaninem, za jakiego się uważał, ale nie należy sądzić, że tylko on jeden — inni prezydenci i mężowie stanu byli również wielkimi patriotami — może jednak nie objawiali tego w tak dynamiczny sposób.

Chociażby Grover Cleveland był takim samym stuprocentowym Amerykaninem jak Roosevelt, a i prezydent Wilson w równym stopniu jak obaj poprzednio wymienieni. Jediną różnicę między nimi stanowiła odrębność temperamentów. Cleveland był świetnym prawnikiem i administratorem, Roosevelt — bohaterem i bojownikiem, a prezydent Wilson — uczonym i wychowawcą swego narodu. Posiadał rzeczywiście wyjątkowo rozległą wiedzę historyczną. Niestety w Ameryce i Francji jest ciągle nadal zupełnie niedoceniany. Francuzi mieli ku temu specyficzne powody, na samym bowiem początku, zaraz po wojnie, uwierzyli niezachwianie w jego wszechmoc. Mniemali, że sama obecność jego w Paryżu, w okresie długich tygodni ciężkich zmagañ i powstawania Ligi Narodów, gwarantowała całkowite zrealizowanie jego planów. Ludność Francji nie wiedziała, że bez zgody waszego Kongresu miał związane ręce — nie mógł nic zrobić. Zdawało im się, że wszystko zależy tylko od jego decyzji, dlatego też zapatrywania w krajach europejskich na osobę Wilsona nawet dziś jeszcze bardzo się różnią.

Ale muszę pani powiedzieć, że osobiście jestem tego zdania, iż gdyby prezydent Wilson zamiast generała Blissa, uroczego zresztą człowieka, i pana Henryka

White'a zabrał ze sobą do Paryża na tę tak brzemien-  
ną w skutki podróż pana Lodge'a, zagorzałego prze-  
ciwnika Ligi Narodów, i pana Elihu Roota — prze-  
prowadziłby wszystko, co zamierzał — bezwzględnie  
wszystko. Zbyttno jednak w tym wypadku poległ na  
samym sobie, więc jak każda wyjątkowo ważna oso-  
bistość pozostał osamotniony. Wilson nie znosił jakiej-  
kolwiek opozycji lub odmiennego zdania. Stanowiło  
to charakterystyczną jego cechą i było przyczyną naj-  
większych trudności, gdy występował jako wielki kie-  
rownik i przedstawiciel narodu. Przyczyniło się to  
też do jego porażki — tragedii życia Wilsona.

Może nie powinienem być pozwolić sobie teraz na  
tego rodzaju polityczne rozważania, w kilku bowiem  
zdaniach nie można należycie opowiedzieć o tak do-  
niosłych wydarzeniach i właściwie ocenić ludzi, któ-  
rzy wywierali na nie swój wpływ, a nawet je powo-  
dowali. Jest to bardzo obszerny temat, którym kiedyś  
zająć się musi historia i który przez długie jeszcze lata  
stanović będzie dla historyków przedmiot sporu. O pre-  
zydencie Wilsonie, moim wielkim i wysoko przeze mnie  
poważanym przyjacielu, pragnąłbym jeszcze dużo pani  
powiedzieć, o niezachwianej jego przyjaźni dla mnie,  
a nade wszystko do .mojej ojczyzny, i to w najkrytycz-  
niejszym momencie — pod koniec wojny. Wspomnie-  
nia o nim należeć będą zawsze do moich największych  
skarbów. Czasami myślę, że wspomnienia są jedynym  
bogactwem, jakie posiadamy, lecz teraz nie jest odpo-  
wiednia chwila do poruszania tego tematu, który wraz  
z wojną należeć będzie do następnego tomu moich opo-  
wiadań. Znajdą tam właściwe miejsce i chronologiczny  
porządek w historii mojego życia.

O ile pamiętam, mówiliśmy o koncertach w Białym  
Domu. Otóż muzyczne występy stały się tam corocz-  
nym zwyczajem, przestrzegany przez każdą admi-  
nistrację. Odbywały się stale w ten sam mniej więcej  
sposób i umożliwiały bliskie i interesujące przyjrzenie

się jego mieszkańcom. Nie zauważyłem na przykład, żeby prezydenta Wilsona specjalnie interesowała muzyka. Miał wiele najróżniejszych zainteresowań. Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, zdającym sobie dobrze sprawę, że muzyka także przyczynia się do postępu ludzkości i do rozwoju umysłu człowieka, a nawet jest koniecznie potrzebna do ogólnego wykształcenia. Wszystko, co kiedykolwiek mówił o muzyce, zawsze było słuszne, ale był tak bardzo pochłonięty i zajęty problemami politycznymi, że nie miał czasu ani ochoty na coś, co w rzeczywistości należało do sfery marzeń — nie umiem inaczej tego określić — widzę jednak, że pani się ze mną zgadza.

Prezydent Taft, którego osobiście bardzo dobrze znałem, interesował się muzyką więcej nawet od Teodora Roosevelta.

Roosevelt przysłuchiwał się zawsze muzyce ze szczególnym zainteresowaniem. Spontanicznie oklaskiwał każdy utwór i wołał: „brawo! brawo! wspaniałe! urocze!”, i to nawet w czasie gry.

Prezydent Coolidge zdawał się naprawdę rozkoszować muzyką, takie przynajmniej odnosiłem wrażenie grając dla niego w Białym Domu. Przypuszczam, że lubił ją dla niej samej, ale bardziej jeszcze dlatego, że nie potrzebował wtedy rozmawiać, a Coolidge niewątpliwie nie lubił rozmawiać. Przeczy temu jednak mała historyjka, którą pragnę pani teraz opowiedzieć. Pewnego dnia byłem u niego na śniadaniu, i wbrew wszystkim pogłoskom, ku memu wielkiemu zdziwieniu prezydent przez cały czas mówił. Lunch jedliśmy wprawdzie we dwójkę, lecz mimo to nie dał mi zupełnie dojść do słowa. Po śniadaniu zapalił cygaro, a ja mego papierosa, i w dalszym ciągu bez przerwy opowiadał, a zaręczam pani, że miał o czym mówić. We wszystkich swych przekonaniach był bardzo stanowczy, i pewien jestem, że gdy raz powziął jakąś decyzję, mowy być nie mogło, by ją zmienił. Choć na to nie wyglądał, był

człowiekiem silnego charakteru — twardym jak wasz nowoangielski granit.

Powracając do mego poprzedniego opowiadania, pragnę zaznaczyć, że *tourne* ukończyłem w roku 1908. Wtedy też pan Ellis, dowiedziawszy się, że skomponowałem symfonię, poprosił mnie, by w Ameryce zagrała ją po raz pierwszy Bostońska Orkiestra Symfoniczna. Ta propozycja odpowiadała mi, ale jednocześnie oznaczała dodatkową ciężką pracę — orkiestrację, której dotąd jeszcze nie zrobiłem. Jednocześnie z powyższą propozycją przyszło drugie zaproszenie: na występy solowe we wszystkich koncertach, na których miała być odegrana przez Orkiestrę Bostońska moja symfonia. Oznaczało to jeszcze jedno małe *tournee* po Ameryce, które rozpocząć miałem już w grudniu 1908. Oczywiście przyjąłem zaproszenie z przyjemnością, było bardzo pochlebne.

Następnie powróciłem do Europy i znów koncertowałem w Paryżu i Londynie, a także na corocznych znakomitych wieczorach muzycznych u pana Astora. Potem zająłem się wreszcie orkiestracją mojej symfonii i ukończyłem ją z końcem listopada. Pracowałem ogromnie.

W grudniu znowu pojechałem do Ameryki, gdzie najpierw wystąpiłem z paroma recitalami, następnie została wykonana moja symfonia, którą grano najpierw w Bostonie, a potem w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Filadelfii, i Baltimore. Publiczność wszędzie dobrze ją przyjęła, podobnie jak i krytycy. Był to w sumie poważny sukces, lecz niestety musiałem przerwać objazd z powodu złego stanu nerwów, niezupełnie jeszcze wyleczonych w czasie pobytu na kosztownej farmie w Szwajcarii. Mówiliśmy już o niej poprzednio. Stan moich nerwów znów się pogorszył wskutek pracy nad orkiestracją symfonii, a wszystko to, ku mojej rozpaczy, spowodowało nawrót dawnej awersji do fortepianu.

Nie byłem już **w** stanie dokończyć tournée, musiałem natychmiast powrócić do Europy i poddać się leczeniu wszelkimi metodami zalecanymi przez lekarzy. Nawet korzystałem z najróżniejszych udzielanych mi rad. Leczyłem się też u sławnego doktora **w** Lozannie, lecz niestety bez żadnego rezultatu. Inny znów spodziewał się wyleczyć mnie za pomocą hipnozy, ale i to nie odniosło skutku. Czułem się coraz gorzej.

W roku 1909 znowu próbowałem grać. Pojechałem do Monte Carlo i Nicei, a stamtąd do Bordighery, by wreszcie przekonać się, czy będę w stanie koncertować. Niestety okazało się to niemożliwe. Nie mogłem sobie dać rady z najprostszymi nawet utworami, palce miałem jak z waty, nie potrafiłem wydobyć dźwięku, a uderzenie było jakieś dziwne. Najmniejszy ruch powodował ból całego ciała, był prawdziwą torturą.

Zdecydowałem się więc w ogóle przestać grać. Przyszedł mi do głowy nowy pomysł (właściwie mówiąc, już całkiem dawny), który pochłonał mnie zupełnie. Zacząłem rozmyślać nad projektem pomnika, o jakim dawno marzyłem — pomnika ku uczczeniu rocznicy bitwy pod Grunwaldem. Był rok 1909. Już w 1908 powierzyłem pracę nad jego wykonaniem młodemu, wyjątkowo zdolnemu rzeźbiarzowi, Antoniemu Wiwulskiemu. Chciałbym pani o nim opowiedzieć, a także i o bitwie pod Grunwaldem, ciekawa to bowiem sprawa, a łączy się ze wspomnieniami młodości i moim ówczesnym gorącym pragnieniem uczczenia tego wielkiego zdarzenia w naszych dziejach.

Byłem zaledwie dziesięcioletnim chłopcem, gdy po raz pierwszy przeczytałem o bitwie pod Grunwaldem, która odbyła się w roku 1410. Polska odniosła wówczas wspaniałe zwycięstwo nad Krzyżakami, usiłującymi odebrać jej najcenniejszą własność: dostęp do morza. Reakcja moja na to historyczne wydarzenie była tak gorąca, że już wtedy pomyślałem: „Jakże byłbym Szczęśliwy, gdybym mógł uczcić to wspaniałe zwycię-



stwo — żyć tak długo, by stać się bogatym i móc uczcić pięćsetną rocznicę tej sławnej bitwy pomnikiem ku pamięci wielkich patriotów". Od tej chwili mego dzieciństwa stało się to marzeniem mego życia i utkwіło na zawsze w sercu i myśli. W roku 1910 przyszła chwila urzeczywistnienia — i marzenie moje wreszcie się spełniło. Całe życie zbierałem na ten cel pieniądze, odkładając pewną część z każdej zarobionej sumy. Już w roku 1908 zamówiłem pomnik, postanowiłem jednak, że uroczystość odsłonięcia nastąpi w pięćsetną rocznicę — dnia 15 lipca 1910. Byłem tym bardzo przejęty i bardzo uszczęśliwiony.

Udałem się do Paryża i pytałem o jakiegoś młodego polskiego artystę, zdolnego podjąć się tej pracy. Polecono mi specjalnie pewnego młodego, zupełnie jeszcze nie znanego, biednego studenta. Żył w niedostatku, ciężko borykając się z życiem, chory był bowiem na gruźlicę. Rozmawiałem z nim, wydał mi się zdolny — od pierwszej chwili nabrałem do niego przekonania. Na zapytanie: czy czuje się na siłach podjąć się dzieła, o którym myślałem, odpowiedział twierdząco i już podczas rozmowy stał się jakby innym człowiekiem. Moja propozycja i zainteresowanie dodały mu bowiem otuchy i nadziei na przyszłość; dzięki temu stan jego zdrowia poprawił się szybko. Natychmiast zabrał się do pracy i wykonał parę projektów. Projekty podobały mi się, wobec czego zaprosiłem go do siebie, do Morges, a później wysłałem do mego przyjaciela, doktora w Lozannie, który zabrał się do leczenia jego zaatakowanego gruźlicą gardła. Kuracja pomogła mu szybko i wyzdrowiał zupełnie, co nam wszystkim wydało się pewnego rodzaju cudem.

Pracował tak gorliwie, że w styczniu 1910 pomnik był już ukończony i odlany. Wszystko więc stało się tak, jak pragnąłem, jak marzyłem od dziesiątego roku życia. Pomnik ów wzniesiony został w Krakowie i rzeczywiście jest wspaniałym i pięknym dziełem sztuki.

Dla utalentowanego młodzieńca, jakim był Wiwulski, stało się to również sprawą wielkiej wagi. Wyzdrowiał, jakby odżył, ale niestety, biedak niedługo cieszył się życiem<sup>1</sup>. Cudownym sposobem wyleczył go ów doktor z Lozanny — wielki chirurg, znany z operacji krtani. Wyleczył tysiące ludzi, podobnie jak uratował życie Wiwulskiemu.

Rozmawiając z nim często, dziwiłem się kiedyś, jak jest możliwe przeprowadzenie owej trudnej operacji krtani. Odpowiedział mi po prostu: „Ach, to łaska boska, że obdarzony jestem tak cierpliwymi palcami, które się nie trzęsą, gdy wykonuję operację”. I dalej tłumaczył mi: „Każda z tych operacji jest nad wyraz trudna i może się skończyć śmiercią pacjenta. Co do mnie, to dzięki Bogu, podczas całej kariery zdarzył mi się jeden tylko śmiertelny wypadek, i to nie z powodu mojej ręki — sam pacjent, zdenerwowany, nagle poruszył się nieznacznie. Dziś jeszcze przykro mi o tym myśleć”. Widziałem, że samo wspomnienie przejmuje go do głębi.

Ale Bogu dzięki Wiwulski był wyleczony i powrócił do rodzinnego miasta, Wilna. Rozpoczął tam pracę nad wielkim dziełem — nową katedrą, był bowiem równie zdolnym architektem, jak rzeźbiarzem. Niebawem wybuchła wojna i Wiwulski mimo wątego zdrowia jeden z pierwszych poszedł na front. Miał w sobie bohaterskiego ducha. Walczył i z wojny wyszedł nawet nieranny. Stałem już w Warszawie na czele rządu, kiedy otrzymałem od niego list, w którym pisał, że czuje się doskonale i ponieważ natarcie wojenne (wojna polsko-radziecka) już przeszło — zamierza wybrać się do Warszawy specjalnie, by się ze mną zobaczyć. Obaj ucieszyliśmy się myślą o spotkaniu, ale w parę tygodni po tym liście już nie żył.

<sup>1</sup> Antoni Wiwulski zmarł w r. 1919, w czterdziestym drugim roku życia. (Przyp. red.)

● ile wiem, pewnej nocy stał na posterunku, pilnując prowizorycznej barykady, gdy jeden z żołnierzy począł się skarżyć na zimno. Noc była chłodna i Wiwulski, nie myśląc o sobie, natychmiast zdjął płaszcz i oddał go towarzyszowi, sam stojąc kilka godzin na mrozie bez okrycia. Nazajutrz rozchorował się ciężko, wywiązało się obustronne zapalenie płuc, stan był beznadziejny i po dwóch tygodniach już go nie było. Śmierć Wiwulskiego zmartwiła mnie ogromnie, rokowałem mu bowiem wielką przyszłość. Umarł podobnie, jak żył, bez myśli o sobie, a z myślą o innych, zawsze gotów do poświęceń — taki był przez całe swe krótkie, dzielne życie. Nie żył najzdolniejszy rzeźbiarz owych czasów — okrutna była myśl, że tak wielkie zdolności i ambicje przepadły na zawsze.

Spełnienie marzenia młodości stanowiło dla mnie wówczas, w krytycznym momencie mego złego samopoczucia fizycznego, szczęśliwe i wielkie urozmaicenie. Byłem bardzo przejęty, a poza tym miałem umysł zaprzątnięty różnymi z punktu widzenia politycznego ważnymi sprawami, które mi zawsze leżały na sercu. Polskę w owym czasie gnębiono ponad miarę, naród podupadł na duchu, ale byłem pewien, że rocznica Grunwaldu poruszy uczucia wszystkich. Zdawałem sobie sprawę, że gdyby nie zdarzyło się dla uczczenia tak chwalebного wypadku dziejowego nic równie doniosłego jak odsłonięcie pomnika, rocznica jego minęłaby niepostrzeżenie. Czułem to wyraźnie i dlatego na uroczystości odsłonięcia wygłosiłem krótkie, ale gorące przemówienie, z którego olbrzymi tłum, mimo iż nie istniały jeszcze megafony, dosłyszał każde słowo. Wszystko to przejmowało mnie, byłem bardzo szczęśliwy i zadowolony. Czułem, że dokonałem czegoś ważnego.

Odsłonięcie pomnika poruszyło umysły i serca nie tylko mieszkańców Krakowa, ale i całego kraju. Ludzie przyjechali ze wszystkich części Polski. Mieli co prawda pewne trudności przy przekraczaniu granicy,

ale niektórzy, żeby tylko uczestniczyć w tej uroczystości, przechodzili ją pieszo, chcąc uniknąć zatrzymywania przez władze.

Było to, **bez** przesady, wydarzenie o olbrzymim znaczeniu — jakby zapowiedź, że wobec zbliżającej się wojny my, Polacy, powinniśmy trzymać się razem, że stanowimy jedność. Rzecz prosta, nie mówiłem o tym w mej przemowie, ale w tekście wyrytym na pomniku znajdują się następujące słowa:

„Praojcom na chwałę, braciom na otuchę”.

Tegoż roku w rocznicę urodzin Chopina Lwów zorganizował serię koncertów (połączonych z odczytami) ku czci naszego największego kompozytora. Naturalnie proszono mnie o występ, ale z wielkim żalem musiałem odmówić. Nie byłem wówczas w stanie grać! „Nie grywam teraz — powiedziałem — i nie wiem, kiedy rozpocznę na nowo.” Wobec tego proszono mnie o wygłoszenie mowy na otwarciu uroczystości, na to zgodziłem się chętnie i przygotowałem odpowiednie przemówienie. Moim zdaniem, przemowa moja najzupełniej zastąpiła koncert. Choć nieświadome, ale było to moje pierwsze rzeczywiste wystąpienie na gruncie politycznym, sam początek kariery, której w najśmielszych wyobrażeniach nie byłbym w stanie przewidzieć. Gdy dziś spoglądam wstecz, uświadamiam sobie jasno, że wtedy już otwały się nieco przede mną podwoje prowadzące do odrębnego świata. Zdaję sobie wyraźnie sprawę, jak krok za krokiem ku temu zmierzałem. Kiedy wystąpiłem z patriotycznym zamiarem wystawienia pomnika, po raz pierwszy wydałem się niektórym kimś w rodzaju wodza. Nie było to moim celem ani nie zdawałem sobie z tego sprawy, tak jednak było. Pewna ilość osób w Polsce potrafiła zaskarbić sobie szacunek i zaufanie rodaków, a między nimi i ja się znalazłem. Był to mój pierwszy, może nie decydujący, ale znaczny krok w kierunku kariery politycznej, a moje przemówienie o Chopinie wrażenie to spotęgowało.

Podczas tygodniowego pobytu we Lwowie zostałem wybrany prezesem pierwszego w dziejach polskiej muzyki Zjazdu Muzyków Polskich. Niestety nie brałem udziału w jego posiedzeniach, będąc ogromnie zajęty przyjmowaniem licznych delegacji, opracowywaniem przemówień itd., o co mnie nieustannie proszono.

Sam wówczas nie grałem, odmówiłem usilnym prośbom o wystąpienie z koncertem, ale namówiłem mego przyjaciela a zarazem ucznia, Ernesta Schellinga, na recital chopinowski, który wypadł świetnie.

Podczas Zjazdu odbył się jeszcze jeden koncert, na którym odegrano moją symfonię, a w operze wystawiono *Manru*. W ogóle odbywały się podczas Zjazdu różne uroczystości, a najmilej wspominam kilka bankietów wydanych dla studentów. Przemawiałem do nich i największą chyba przyjemność podczas Zjazdu stanowiły dla mnie spotkania i rozmowy z tą pełną entuzjazmu młodzieżą. Rozumieliśmy się doskonale. Przemawiałem na początku Zjazdu, a na zakończenie wygłosiłem też mowę pożegnalną.

Wszystko to stanowiło zwrot w mym życiu — otwierały się przede mną nowe horyzonty. Miałem już otwartą drogę do życia politycznego kraju, ale jeszcze nie byłem sobie pewien i nie zamierzałem z tego skorzystać. Jednakowoż było mi to przeznaczone.

Muszę dodać, że w tym tak pełnym wydarzeń roku otrzymałem dyplom honorowy doktora filozofii Uniwersytetu Lwowskiego. Był to bardzo intensywny okres w moim życiu.

Ale teraz wróćmy do przerwane go opowiadania.

Moja głęboka niechęć do fortepianu, mimo chwilowego zajęcia się sprawami politycznymi, trwa nadal, i to przez cały rok 1910 i nawet 1911. Przygotowałem co prawda tournée po Ameryce Południowej, ale tylko z braku pieniędzy. Miałem ich wprawdzie trochę, ale nie tyle, ile mi było potrzeba; musiałem więc wziąć się do pracy. Kapitał mój i wszystkie oszczędności

umieszczone miałem w polskich papierach, co uważałem za swój, jako Polaka, obowiązek. Naturalnie skutkiem wystawienia pomnika oszczędności moje zmniejszyły się znacznie. Pozostała z nich jeszcze dość pokaźna sumka stanowiąca moją rezerwę, ale za mała — musiałem więc, bez względu na stan zdrowia, zabrać się do pracy. Może i dobrze się stało. '

Wyruszyłem więc do Ameryki Południowej, gdzie odbyłem parę udanych objazdów. Dałem pięć przyjemnych i pomyślnych recitali w Rio de Janeiro, trzy w Sao Paulo i siedem czy osiem w Buenos Aires. Z początku zamierzałem drogą przez Andy udać się jeszcze do Chile, ale musiałem się wyrzec tego projektu ze względu na wysokie położenie kraju, niebezpieczne dla mego zdrowia.

Gra podczas całego objazdu stanowiła dla mnie niewymowną torturę — nie dającą się opisać męczarnię. Wciąż niechętnie usposobiony byłem do pracy, stale musiałem staczać z sobą walki, ale już coraz łżejsze, gdyż niechęć do fortepianu nieco się zmniejszyła. Mimo wszystko czułem się w tym czasie bardzo zdenerwowany i osłabiony. Myślę, że przyczynił się do tego i klimat, a przy tym — zwłaszcza w Brazylii — musieliśmy znosić wielkie niewygody. Mieszkaliśmy w hotelu położonym pięćset metrów powyżej Rio, a jednak powietrze było niesłychanie ciężkie. Nie mogliśmy sypiać, łóżka były przeraźliwie twarde, a poduszki napełnione chyba piaskiem. Jedzenie również bardzo złe; ogólnie biorąc, nędznie się nam powodziło.

To tournee trwało od lipca aż do listopada. W Buenos Aires natomiast było już zupełnie inaczej, mieliśmy tam wszelkie możliwe wygody.

Na początku roku 1912 pojechałem do Afryki Południowej. Już sama podróż była nieprzyjemna, a na miejscu spotkały nas różne niemiłe przeżycia. Czułem się trochę lepiej, gdyż długie podróże morskie dobrze mi zrobiły, jednak warunki życia w Afryce Południo-

wej bynajmniej nie były miłe, zresztą jest to kraj, w którym zdarzają się same nieprawdopodobne rzeczy.

Muszę wszakże dodać, że zdarzały się tam również i zabawne historie, może zabawniejsze teraz, gdy je opowiadam, niż były wówczas. Jedną z nich doskonale pamiętam. Miałem koncertować w Pietermaritzburgu. Mniej więcej na pół godziny przed koncertem, gdy znajdowałem się jeszcze w hotelu, mój wierny służący Marceli wpadł przerażony z wiadomością, że pewna pięknie ubrana pani przed chwilą wysiadła z powozu, przysłała do hotelu i domaga się natychmiastowego widzenia się ze mną, mając mi jakoby coś bardzo ważnego do powiedzenia. Nalegała tak bardzo, że Marceli nie wiedział, co z nią zrobić. Bezzwłocznie udałem się do salonu i zobaczyłem tam ładną i, jak słusznie Marceli zauważył, pięknie ubraną panią. Wydawała się bardzo podniecona, więc spytałem, co ją do mnie sprowadza. W odpowiedzi rzekła:

— Ach, monsieur Paderewski, przysłałam po autograf. Muszę go mieć, i to zaraz.

Zdziwiony niedorzeczną i zuchwałą prośbą, spojrzałem na nią i odpowiedziałem:

— Proszę pani, za niecałe pół godziny mam koncert i nie mogę teraz pisać z obawy o palce; oszczędzając ich, nigdy bezpośrednio przed koncertem nie piszę ani też nic nimi nie robię. Przykro mi, ale to wykluczone.

— Musi pan to zrobić — oznajmiła — musi pan to dla mnie zrobić.

— To niemożliwe — odpowiedziałem powstając i kierując się ku drzwiom — obiecuję pani uczynić to po koncercie, ale nie w tej chwili. Zechce mi pani wybaczyć i poczekać do końca koncertu.

— O, nie, nie! To niemożliwe, bo na koncercie nie będę i nie zobaczę już pana. Jestem zbyt zajęta, gdyż muszę być teraz na raucie, a potem mam proszony obiad. Autograf pana muszę więc dostać zaraz. Nie

mam czasu, aby przychodzić do pana powtórnie, i nie wyjdę stąd, zanim go nie dostanę. — Po czym wstała i stanęła zasłaniając sobą drzwi.

Przyznaję, że byłem przerażony. Proszę sobie wyobrazić moją sytuację. Nie miałem nadziei na czyjąkolwiek pomoc i żadnej możliwości ucieczki, musiałem więc ugiać się przed koniecznością. Dołem jej żądany autograf, w przeciwnym bowiem razie nie mógłbym udać się na koncert.

Trzeba przyznać, że użyła mistrzowskiej strategii, i raz jeden tylko przedtem, w ciągu mej kariery i niejednokrotnej walki z łowcami autografów, narażony byłem na równie energiczny atak. Skoro już mówimy o przykrej sprawie autografów, muszę pani teraz o tym opowiedzieć. Działo się to przed kilku laty w Lipsku, a miałem tam do czynienia nie z jedną, ale z dwoma młodymi i uroczymi Amerykankami. Dałem wówczas koncert na pomnik Liszta, który miał niebawem stanąć w Weimarze. Sam nie wiem czemu, ale koncert mój uważany był za pewnego rodzaju sensację i mnóstwo osób biegło za mną, by zdobyć autograf, a także domagało się uścisku dłoni itd.

Następnego dnia po koncercie, rankiem, bez żadnego poprzedniego zameldowania, przekupiwszy widocznie kogoś ze służby hotelowej, ukazały się w moim salonie dwie młode osoby. Uśmiechnięte, lecz bardzo zdecydowane, od razu przystąpiły do sprawy. Przyniosły z sobą kilka książek i prosiły o podpisanie ich. Gdy nie chcąc im odmówić wziąłem książki i zabrałem się do pisania, zauważyłem, że jedna z młodych panien otworzyła torebkę i triumfalnie wyjęła z niej małe, ostre i lśniące nożyczki. Z żalem muszę stwierdzić, że w owym czasie miałem dużo więcej włosów niż dzisiaj i włosy moje nieraz były przedmiotem ludzkiej ciekawości, różnych komentarzy, a niekiedy nawet i zachwytu.

Gdy zauważyłem nożyczki oraz dziwny błysk, w oczach owej młodej pani, przyznaję, że się przeraziłem. Na-



tychmiast uświadomiłem sobie jej zamiar i pomyślałem, że nie mogąc temu zaradzić, zostanę przez nią zeszpecony.

Nie tracąc więc czasu na ceremonie, poderwałem się z krzesła i zapytałem:

— Co pani zamierza robić tymi nożyczkami?

— Ach, chciałybyśmy tylko parę loków z pana pięknych włosów — odpowiedziała z uśmiechem młoda dama, zbliżając się ku mnie szybko z nożyczkami w rękę.

— Nie! Nie! Nie dam ich paniom, stanowczo odmawiam.

Spiesznie odsunąłem się od niej — niestety nadaremnie, młode damy bowiem poczęły przybliżyć się ku mnie. Nie miałem już chwili do stracenia i podczas gdy podchodziły do mnie, ja coraz szybciej wycofywałem się z salonu, aż wreszcie odwróciwszy się, uciekłem pędem do sąsiedniego pokoju — mojej sypialni. Uciekałem, ile tylko starczyło mi sił, ale one wciąż goniły za mną; z sypialni uciekłem więc do pokoju mojego służącego.

Już prawie mnie doganiały, gdy zauważyłem w pół otwarte drzwi jeszcze jakiegoś pokoju. Nie wiedziałem, czyj to pokój, i mało mnie to w danej chwili obchodziło, tak byłem szczęśliwy, że się tam dostałem! Wtargnąłem do niego, zamknąłem za sobą drzwi i oparłem się o nie całym ciężarem ciała. Przez cały czas pościgu dziewczęta trzymały w rękę gotowe do ataku nożyczki. Gdy wreszcie udało mi się zamknąć drzwi na klucz — byłem uratowany! Mimo to drżałem ze strachu, bo panny nie przestawały łomotać w drzwi, próbując je wyłamać. Bogu dzięki, drzwi okazały się mocne! Gdyby ustąpiły, kto wie, co by się mogło zdarzyć? Samson i dwie Dalile. Gdyby była jedna — któż może wiedzieć, co by z tego wynikło?

Powróćmy jednak do Afryki.

Drugie moje przeżycie w Afryce było dużo poważ-

niejsze. Byłem wówczas w Durban, gdzie występowałem z koncertem, a tak się złożyło, że był to Wielki Tydzień. Właśnie zacząłem grać, gdy nagle usłyszałem dochodzący z zewnątrz potężny chóralny śpiew. Sala koncertowa w Durban jest bardzo ładna, ale wtedy była raczej pusta, gdyż żyje tam niewielu białych mieszkańców. Typowy kraj Czarnych. Nie mogłem zrozumieć, co oznacza ten śpiew podczas mego koncertu, grałem jednak dalej, myśląc, że wkrótce ustanie.

Nie ustał jednak — stawał się coraz głośniejszy.

Nie mogłem grać dalej. Opuściłem estradę, udałem się do pokoju artystów, gdzie znajdował się mój impresario, i zapytałem go o powód śpiewu uniemożliwiającego mi grę. Ów džentelmen pochodzący z Afryki Południowej roześmiał się tylko i wzruszywszy ramionami, radził mi nie zwracać uwagi na śpiew, mówiąc, że nie ma żadnego znaczenia.

— Ale czemu właśnie teraz śpiewają? — zapytałem. — I dlaczego śpiewają obok sali, w której odbywa się mój koncert?

— To sprawa związana z religią — odpowiedział wesoło. — Tutejsze bardzo ortodoksyjne zrzeszenie, przeciwne wszelkim rozrywkom w czasie Wielkiego Tygodnia, przyszło tłumnie zaprotestować przeciwko koncertowi, i nic na to nie poradzimy. Nawet policja nie mogłaby ich rozpędzić. Nie pozostaje panu nic innego, jak grać dalej, bo oni nie przestaną i jesteśmy bezradni. Niech śpiewają, a pan niech gra dalej.

I rzeczywiście śpiewali co najmniej trzy kwadranse, a ja grałem w czasie całego tego zgiełku. Było to dla mnie męką, i rzecz prosta, zerwałem umowę na następny koncert.

W Afryce Południowej miałem jeszcze jedno nieprzyjemne przejście, tym razem z krytykami. Ceny biletów na moje koncerty, jak zwykle w Anglii i w dominiach, dochodziły do jednej gwinei za najlepsze miejsca. Wypadek, o którym mówię, zdarzył się w Pretorii, dość

przyjemnej miejscowości z bardzo muzykalnym audytorium. Znajdowało się tam sporo kulturalnych ludzi. Salę szczelnie zapełniono, ale po koncercie ktoś, kogo już przedtem znałem i kto przypadkiem się tam znalazł, dał mi gazetę z artykułem dotyczącym mojej osoby. Był zdumiewający. Pisano w nim: „Pomyślcie tylko, że cudzoziemiec, zwykły pianista, przybywa do naszego kraju, gra i jest na tyle zuchwały, aby brać gwineę za jedno miejsce. To czysty rabunek! Wszak niedawno słuchaliśmy tu w tym pięknym teatrze człowieka umiającego grać na klarncie, skrzypcach, trianglu, bębnie i akordeonie i grającego na wszystkich tych instrumentach jednocześnie, a cena biletów na jego występ wynosiła tylko szylinga!”

Z wielką więc przyjemnością opuściłem Afrykę Południową i powróciłem znowu do Anglii, by odnowić stosunki z dawnymi przyjaciółmi. Po powrocie spotkałem drogiego przyjaciela, lorda Northcliffe'a, który żałował, że nie zasięgnąłem jego rady przed wyruszeniem w tę daleką afrykańską podróż. Powiedział mi, że jest to ostatni kraj na świecie, dokąd może jechać sławny artysta, gdyż mieszka tam zbyt mało zdolnych go ocenić, kulturalnych ludzi.

[...] Po tournée [w Ameryce] w 1914 grałem raz jeden w Londynie, skąd bezpośrednio — spragniony koniecznego wypoczynku — udałem się do Szwajcarii, do domu w Morges. Wojna wisiała w powietrzu, pokojowi na świecie już wtedy zaczynało zagrażać niebezpieczeństwo. Wiadomość o wstrząsającym zamordowaniu przed kilku dniami austriackiego arcyksięcia Ferdynanda przerażyła cały świat. Nie można było wówczas przewidzieć następstw tego zabójstwa, ale straszliwa trwoga opanowała całą Europę. W każdej chwili owo naprężenie mogło spowodować wybuch — a wtedy? Wszyscy z godziny na godzinę żyliśmy w pełnym napięciu oczekiwaniu. Jeszcze w początkach lipca gościłem u siebie kilku nieoczekiwanych, lecz poważnych gości, których cel wizyty nietrudno było odgadnąć. Dyskutowaliśmy nad pewnymi zasadniczymi zmianami na mapie Europy. Wojna wisiała w powietrzu. Wiedziałem, że nadejdzie. Pomimo radości z powrotu do domu, spokoju i piękna owego uroczego zakątka, dni pełne były niepokoju i smutku nie do przewyciężenia. Choć płynęły jeszcze zwykłym, uświęconym trybem, godzina tragicznych rozstrzygnięć zbliżała się powoli, ale nieubłaganie. Przyjaciele przychodzili i odchodzili, śmieliśmy się, rozmawialiśmy i muzykowaliśmy podczas tego pięknego lata.

31 lipca, w dniu mego patrona, św. Ignacego, dniu zawsze uroczyście obchodzonym w moim domu, zebrało się, jak zwykle, wiele osób z różnych krajów i różnych narodowości. Od wielu już lat ustalił się bowiem miły zwyczaj obchodzenia tego dnia jako pewnego rodzaju święta, w którym cała okolica, znajomi z Genewy, Lozanny i innych sąsiednich miejscowości przy-

bywali do nas z życzeniami. Ów serdeczny odruch sąsiadów w stosunku do mnie był jednym z najbardziej wzruszających momentów w moim życiu. Przychodziło także dużo dzieci. Przychodziły w ładnych białych ubrankach, z bukietami i małymi podarunkami, śpiewały, tańczyły i deklamowały wiersze. Wszystko to było bardzo wzruszające.

Przyjęcie trwało zwykle cały dzień. Wszystkim przybyłym gościom podawano obfity lunch. Zabawa, wesołość, a przy tym i dobre jedzenie, wypełniały całe popołudnie. Był to więc dzień przyjemny dla wszystkich.

Lunch w owym pamiętnym dniu 31 lipca 1914 zgromadził wyjątkowo liczne towarzystwo, i pamiętam, że przyjaciele i znajomi, którzy się wówczas u nas znaleźli, przybyli ze wszystkich stron świata. [...]

W czasie śniadania, w którym brało udział ze czterdzieści osób, postanowiłem w kilku słowach podziękować tym wszystkim, którzy swoim przybyciem dali mi dowód przyjaźni. W krótkim przemówieniu zaznaczyłem, że mimo radości, jaką odczuwamy ze spotkania, musimy jednak zdawać sobie sprawę z powagi chwili i z tego, że być może w tym właśnie momencie, kiedy my tu siedzimy przy biesiadnym stole — ważą się losy Europy, a groźne pomruki wojny rozlegają się już w całym świecie; przeczuję też, że o ile wojna rzeczywiście wybuchnie, moja ojczyzna, Polska, jedna z pierwszych od niej ucierpi, przez długi czas nękana będzie walkami, zaleje ją morze krwi i łez, ale w końcu powstanie wolna — co daj Boże.

Była to chwila pełna napięcia dla wszystkich, przerwana nagłą wypowiedzią jednego z gości, polskiego działacza politycznego, który zerwawszy się z krzesła, odpowiedział mi w tonie wesołym i niefrasobliwym, że jestem nastrojony stanowczo zbyt pesymistycznie. Pomimo mego protestu i uwagi, że Austro-Węgry już wypowiedziały wojnę Serbii, w dalszym ciągu dowodził, i to wciąż w tym samym tonie, że nie ma istotnego po-

wodu do alarmu, że wojny nie będzie i być nie może, że nie ma sprzyjających wojnie warunków itd.

Gdy usiadł, każdy z nas odetchnął z ulgą, i wszyscy wygodnie zasiedli, zabierając się do picia roznoszonej przez lokaja kawy. I właśnie gdy ostatnia filiżanka została podana, wręczono mu depeszę. Otworzył ją szybko i zbladłszy, wpatrywał się w nią dłuższą chwilę. Po czym wstał, dyskretnie podszedł do mnie i powiedział cicho: „Przykro mi bardzo, ale zmuszony jestem zaraz wyjechać; nie rozumiem zresztą dlaczego, ale dostałem polecenie natychmiastowego powrotu”. W chwilę potem już go nie było. Przeprósiwszy gości, wyszedłem za nim do hallu, by go pożegnać. Był głęboko przejęty otrzymaną wiadomością, ale przy wyjściu, podając mi rękę, wciąż jeszcze powtarzał: „Nie będzie wojny! To wykluczone, nikt nie jest do niej przygotowany, nie możemy mieć teraz wojny”.

Był to złowróżbny incydent dla mnie i dla tych kilku osób, które zauważyły nagłe wyjście gościa. Dzień jednak upływał dalej, pełen wesela i radości, a obiad tego wieczoru był specjalnie wspaniały, żona poświęciła mu wyjątkowo dużo starań. Przybyli wówczas do nas wszyscy moi najmils i najbliżsi przyjaciele i artyści. Przyjechali z Paryża, Londynu i Nowego Jorku. Właśnie ów dzień 31 lipca postanowili uczynić specjalnie pamiętnym i wesołym. Miała to być uroczystość wspanialsza od wszystkich poprzednich. Wśród artystów znajdowali się Polacy, Szwajcarzy, Francuzi i Amerykanie. Czyniono wielkie przygotowania; postanowiono bowiem urządzić rodzaj fantastycznego przedstawienia (nie umiem znaleźć lepszego określenia), widowisko o czysto chińskim charakterze. Posiadam skromny zbiór osobliwości chińskich, który wyjątkowo cenię, i to prawdopodobnie podsunęło moim przyjacielom myśl urządzenia owego widowiska.

Wieczorem zabłyśły więc wspaniałe sztuczne ognie, a z najdalszego zakątka parku otaczającego dom wy-

łonił się olbrzymi chiński smok, ziejący ogniem i płomieniami (przynajmniej tak się widzom wydawało). Smok majestatycznie zbliżał się ku domowi. Było w tym coś jednocześnie przerażającego, niesamowitego i złowróżbnego, coś, co budziło trwogę.

Późnym już wieczorem na kolację przybyło sporo nowych gości — młodych i w średnim wieku Szwajcarów, przy czym uderzyło mnie, że każdy z nich przyniósł z sobą małą walizkę. Wydało mi się to trochę dziwne. Nie zaszło nic nadzwyczajnego, póki nie zaszliśmy do stołu, wtedy to bez przerwy zaczął dzwonić telefon, z ważnymi najwidoczniej wiadomościami, gdyż co chwila któryś z wzywanych Szwajcarów opuszczał pokój. Zwracało to powszechną uwagę i było niezrozumiałe. Wśród gości zapanowała szczególna atmosfera. Nie zdając sobie sprawy z przyczyn, każdy z nas był pod wrażeniem, że coś się stanie, że coś musi nastąpić. Nastrój ów opanował całe towarzystwo i rzucił cień na beztroską wesołość wieczoru. Oczywiście muszę stwierdzić, że ostatnie gazety zawierały już wiadomości usprawiedliwiające do pewnego stopnia nasz niepokój i zdenerwowanie. Konkretnie jednak sprawa wyjaśniła się dopiero późno w nocy, bo o godzinie pierwszej: niespodziewanie wszyscy moi szwajcarscy goście ukazali się w drzwiach drugiego pokoju ubrani w mundury wojskowe! To wytłumaczyło mi sprawę owych walizek, z którymi przybyli. Byli bardzo przejęci i poważni. Każdy z nich w milczeniu podchodził do mnie i ścisnął rękę, mówiąc po prostu: „Żegnam — może na zawsze”. Była to bardzo przykra chwila. Nie mogłem wymówić słowa. Gdy ostatni z nich opuszczał pokój, zdobyłem się na pytanie: „Dokąd pan podąża, przyjacielu?” „Na granicę” — odpowiedział i wszyscy w milczeniu opuścili mój dom.

Ciekawe byłoby odtworzyć obecnie, gdyby to w ogóle było możliwe, straszliwą grozę chwili, w której dotarła do naszej świadomości ta przerażająca wiadomość. By-

liśmy nią zdruzgotani. Spadła na nasz dom jak lawina. Szczęśliwe, radosne święto zmieniła w dzień żałobny.

Pośród licznych gości obecnych w naszym domu w dniu 31 lipca 1914 znajdowało się, jak już mówiłem, wielu artystów różnych narodowości. Bawiła u nas pani Sembrich z mężem, Ernest Schelling i pani Sendling, Feliks Weingartner — sławny dyrygent z żoną, poza tym bracia Morax: Rene — poeta i dramaturg, i Jan — malarz. Był też Gustaw Doret — słynny kompozytor szwajcarski, także rzeźbiarz Wiwulski, twórca pomnika w Krakowie, Tim Adamowski z żoną i serdeczny mój przyjaciel, zaufany impresario, Anglik L. G. Sharpe z Londynu, Miss Alma-Tadema i wielu jeszcze innych drogich przyjaciół.

Czułem, że zbliża się coś niedobrego, gdyż w ciągu lipca miałem u siebie wielu gości, którzy zwracali mi uwagę na możliwość dużych zmian na mapie Europy. Zdawałem sobie sprawę z nadchodzących wydarzeń — wypowiedzenie wojny nie zdziwiło mnie zupełnie, wiedziałem, że musi ona przyjść.

Nazajutrz wcześniej rano wyszedłem samotnie z domu i udałem się na dworzec kolejowy, gdzie ujrzałem obu braci Morax — moich szwajcarskich przyjaciół mieszkających w Morges: obaj w mundurach strzegli stacji kolejowej. Poszedłem na pocztę i tam zobaczyłem innego przyjaciela — Gustawa Doret, także w mundurze, na straży poczty i telegrafu. Przywitaliśmy się ukłonem, lecz brak nam było słów owego fatalnego dnia — 1 sierpnia 1914.

Wojna została wypowiedziana. Przyszłość Europy, a może i całego świata zagrożona, a z nią zagrożona cała ludzkość. Nowy świat, nowa era rozpoczynały się. Także dla mnie zaczynała się nowa epoka — epoka innej, nieprzewidzianej, a jednak przeznaczonej mi kariery. „Następuje koniec mego dotychczasowego życia artysty, i to na czas dłuższy — pomyślałem —



a może nawet na zawsze." Jasno zdawałem sobie z tego sprawę i ciężko mi było na sercu.

Nadeszła wojna! Wojna dla każdego z nas.

\* Przygniatająca zmora zaciążyła nad tym całym pięknym i spokojnym zakątkiem świata. Zmora, która niestety na długie lata miała zaciągnąć swą czarną zasłonę.



# *Postowie*



W pamięci starszego pokolenia postać Paderewskiego zostawiła wspomnienie czegoś wyjątkowego i gigantycznego. Wspaniały pianista i renomowany kompozytor, w pewnym okresie polityk i działacz społeczny — był synonimem wielkości muzyki polskiej w świecie, i to nie tylko dla swoich rodaków, ale i dla obcych. Anegdota mówi, że Eskimosi pewien gatunek kartofli nazwali „Paderewski”, nie dlatego, żeby znali tę postać, ale dlatego, że tak się nazywa coś bardzo dobrego. Przez długie lata uchodził Paderewski za ambasadora spraw polskich, które umiał poruszać w ważnych momentach wobec najwybitniejszych polityków, korzystając ze swoich niezliczonych kontaktów i znajomości. Był też przykładem tego, co potrafi wielki talent sprężony z potężną wolą, z rzetelną wiedzą i tytaniczną pracą. Ten zespół walorów artysty, patrioty i człowieka zjednał jeśli nie pełne uznanie, to przynajmniej szacunek wszystkich dla jego wielostronnej działalności.

Wyjątkowa pozycja Paderewskiego szybko została osnuta legendą pełną uproszczeń, jak to zwykle bywa w ludowej balladzie. W paru słowach można ją ująć w ten sposób: cudowne dziecko, bez perspektyw rozwoju w rodzimym kraju, zdobywa ostrogi artystyczne na szerokim świecie; sztuką swoją podbija Amerykę, i odtąd fortuna nie szczędzi mu swych łask. Wszystko to odbywa się niemal jak za dotknięciem różdżki czarodziej-skiej: ludzie podziwiają ulubieńców szczęścia, a za takiego w legendzie Paderewski uchodził. Literatura monograficzna, której nie sposób nazwać inaczej jak hagiografią, rozdmuchiwała tę legendę, zwłaszcza na użytek Polaków amerykańskich, po dziś dzień wiernych wielbicieli talentu i autorytetu rodaka.

Współczesne pokolenie ma odruchową nieufność do legendy. Łatwiej przyjmuje na wiarę dzieje niezwykłej kariery niż wielkość artysty i twórcy. Gra tu być może tradycyjna u nas skłonność do lekceważenia wszystkiego, co poniżej Kopernika, Chopina, Mickiewicza czy Norwida, może działa tu również odpływ zainteresowania najbliższą nam przeszłością, wreszcie może ta jakby nazbyt bogata i wszechstronna działalność rodzi profesjonalne podejrzenia co do wartości tak szerokiego zakresu podejmowanych prac. Jednakże ów odruchowy krytycyzm tyleż ma wspólne z faktami, co i sama legenda.

A fakty mówią, że to postać w dziejach naszej kultury wyjątkowa i jako talent, i jako osiągnięcia. Paderewski-pianista to cała epoka, wiążąca tradycje wielkiej szkoły Lisztowskiej

ze współczesną nam pianistyką. Jako twórca być może za życia przeceniany (olbrzymia jednak część majątku Paderewskiego pochodziła z honorariów kompozytorskich), ale dzisiaj stanowczo niedoceniany, władał warsztatem kompozytorskim na pewno wyższym niż wielu mu współczesnych, nie wyłączając nieco starszych od niego Żeleńskiego i Noskowskiego. Można mieć wątpliwości co do roli politycznej Paderewskiego, ale przecież jego gorący patriotyzm był szczerzy i bezinteresowny.

W ostatnich latach zaczyna się coś w tej mierze zmieniać. Źródłowa książka Marka Drozdowskiego, poświęcona Paderewskiemu jako politykowi<sup>1</sup>, zorganizowana w roku 1980 w Towarzystwie im. F. Chopina sesja naukowa poświęcona postaci wielkiego pianisty, wreszcie umieszczenie pomnika Paderewskiego w Warszawie (na tyłach Akademii Muzycznej) — zwiastują stopniowy wzrost zainteresowania tą ważną dla naszej kultury postacią.

Nade wszystko dał Paderewski przykład organizacji pracy nowoczesnego artysty. Z dzisiejszej perspektywy zapominamy często, że ludzie wychowywani w tradycjach powstania styczniowego obok patriotyzmu przejmowali także głęboko wtędy zakorzenione zasady polskiego pozytywizmu, którego początki przypadły przecież na parę lat przed samym powstaniem. Paderewski umiał pracować od podstaw, gruntownie, myśleć konkretnie, świetnie powodować swoim talentem, mimo że nieraz przeżywał ciężkie kryzysy.

Można by mieć wątpliwości, czy człowiek, który — jak to przekazała ustna tradycja — pozował do fotografii, weryfikował zdjęcia i wywiady przed publikacją, słowem, bardzo dbał o zewnętrzną stronę swego życia i jego pozory, przekaże swoje wspomnienia w sposób szczerzy i otwarty. Oświadczenie znajdujące się na czele książki, stwierdzające, że jest to jedyne prawdziwe źródło dla jego biografii, mogłoby tylko wątpliwości te podsyć. Nie zachęca także jeszcze nieco pretensjonalna przedmowa Mary Lawton, która spisywała pamiętniki pod dyktando Paderewskiego. Jednakże od pierwszej strony właściwych pamiętników ogarnia czytelnika zdumienie, z jak wielką wiernością i umiejętnością gadatliwa Amerykanka tak potrafiła kierować rozmową z Paderewskim, że otrzymaliśmy dokument wiarogodny, życiorys niefałszowany, opowiedziany prosto, szczerze i jasno, a niekiedy wprost wzruszająco. Odnosi się wrażenie, że Mary Lawton rolę swoją sprowadzała często do samego stenografowania tego, co Paderewski mówił, z pełnym pietyzmem przekazując każde jego słowo. I to także dla Paderewskiego

<sup>1</sup> M. M. Drozdowski: *Ignacy Jan Paderewski. Zarys biografii politycznej*. Warszawa 1979.

charakterystyczne: miał on niezwykłą zdolność podbijania ludzi, umiał budzić ich podziw, zyskiwać oddanie i sympatię.

Czytając te wspomnienia widzi się dopiero szwy i uproszczenia legendy: rozpadają się fikcje, a wyrasta człowiek żywy, niemniej przecież wielki. Z jak wielkim ciepłem mówi o latach dziecięcych, o wielkiej roli, jaką w kształtowaniu młodego artysty odegrał Instytut Muzyczny, jego założyciel Apolinary Kątski, nauczyciele. Ten rozdział to żywo opowiedziana historia ówczesnego życia muzycznego Warszawy. Jak niełatwo było początkującemu pianiście i kompozytorowi, obarczonemu po śmierci młodziutkiej żony troską o wychowanie syna-kaleki, wywalczyć krok za krokiem przyszłą pozycję w Europie. A zdobycie Ameryki okazuje się nie triumfalnym pochodem, lecz pasmem udręki, kiedy przychodziło równocześnie walczyć z żarłocznością obwarowanego drakońskim kontraktem impresaria i dobywać nadludzkich sił dla utrzymania formy. Pierwsza podróż przyniosła wprawdzie Paderewskiemu światową pozycję i ogromne wzięcie, ale podkopała ciężko jego zdrowie i o mało nie spowodowała załamania po prostu jego fizycznych zdolności jako pianisty, a przez wiele lat skutki tej podróży były przyczyną kryzysów. I ta sławna fortuna jakże inaczej przedstawia się w świetle nieustannych kłopotów, fałszywych pociągnięć finansowych, przepłacania majątków ziemskich (nieuleczalny konik Paderewskiego), nie mówiąc już o późniejszych latach, nie objętych pamiętnikiem, których ostateczny epilog po dziś dzień nie jest całkowiec jasny. Tę błyszczącą karierę widzi się tutaj od strony kulis: niewiarygodnej pracy, zależności od impresariów, wciąż niebezpiecznie zagrożonej formy pianistycznej, aż do takich szczegółów, jak walki z łowcami autografów.

Ze wzruszeniem czyta się te fragmenty, gdzie Paderewski, czasem może naiwnie, mówi o swoich marzeniach patriotycznych. Ale i tu nieodrodny syn pozytywizmu umie konkretnie realizować swoje cele: przez wiele lat odkłada jakiś procent ze swoich dochodów, żeby w pięćsetną rocznicę bitwy pod Grunwaldem ofiarować narodowi polskiemu pomnik w Krakowie.

Z kart pamiętnika bije niekłamany entuzjazm dla Ameryki, kraju pełnego wtedy dynamizmu i rozpędu, przyzwyczajonego do ciężkiej i rzetelnej pracy, otwierającego nie znane ówczesnej Europie perspektywy. Energiczni i utalentowani Polacy, tacy, jak: Helena Modrzejewska, bracia Adamowscy, o których tyle się mówi w pamiętnikach, sam wreszcie Paderewski — wnoszą cenny wkład do" kultury amerykańskiej, a ich wysiłek zyskuje powszechne uznanie. Miernikiem tego trudu i uznania są zdobywane pieniądze: w stosunku Paderewskiego do pieniędzy wiele jest z amerykańskiej dumy tego okresu i tych ludzi, dla których zdobyta fortuna była dowodem wielkiej pracy, talentu i poświę-

cenia, dowodem społecznej wartości. Dla milionowych rzesz Amerykanów polskiego pochodzenia, tych robotników i chłopów emigrantów (jakże ciepło mówi o nich autor w pamiętniku), Paderewski był symbolem zwycięskiego zdobywcy, był jednym z nich, jednym z tych, którym najlepiej się powiodło.

Stanisław Szpinalski, który nie tylko umiał wziąć od Paderewskiego, jako jego uczeń, szlif pianistyczny, ale zaobserwować i trafnie ocenić osobowość swego mistrza, opowiadał nieraz, jak Paderewski przez umiejętny dobór ludzi, z którymi się stykał, potrafił nieustannie rozszerzać swoje horyzonty umysłowe, wchodzić w najciekawsze środowisko. W pamiętnikach znajdziemy co krok potwierdzenie tego: jest tu cała galeria osobistości, od pedagogów Instytutu Muzycznego począwszy, poprzez wielkich artystów epoki do wybitnych mężów stanu — wszystko to opisane barwnie i żywo, niekiedy w kilkudzaniowych, mistrzowskich portrecikach. Znajdziemy tam wprawdzie czasem i akcenty snobizmu, ale w sumie było to bardzo celowo przemyślane organizowanie wokół siebie otoczenia interesującego, wartościowego i intelektualnie wzbogacającego. Nie trzeba dodawać, jak korzystne dla spraw osobistych były takie stosunki — to rzecz naturalna. O tym, że potrafił je Paderewski zmobilizować również dla spraw politycznych, była już mowa. Pisze przy tym Paderewski nie tylko o swoich sukcesach na tym polu, ale także i o porażkach. Jakże wymowna jest pod tym względem opisana w pamiętnikach rozmowa z premierem Asquithem i jakże słuszne historycznie okazały się słowa Paderewskiego!

Jest i inna przyczyna gorączkowego zdobywania sobie przyjaźni ludzi wielkich, wybitnych, o wysokiej pozycji socjalnej. Pamiętajmy, że artysta w owych czasach z trudnością walczył o uznanie po prostu swojej ludzkiej godności. Paderewski był na tym punkcie niezmiernie czuły: w jego wspomnieniach co raz przewijają się sceny lekcji dobrego wychowania, jakie dawał zarówno w salonach angielskich arystokratów, gdzie szczególnie nonszalancko odnoszono się do występujących na prywatnych przyjęciach artystów, w domach plutokratów amerykańskich, jak wprost na sali wobec niezdyscyplinowanych słuchaczy. W ostatnich dziesiątkach lat zachowanie się publiczności na koncertach Paderewskiego przeszło do legendy — siłą woli, taktownymi, ale skutecznymi metodami potrafił narzucić szacunek dla swojej osoby i dla swojej sztuki. Rzecz prosta, rozległe znajomości w towarzyskich sferach całego świata tylko sprzyjały tej wielkiej akcji wychowawczej, jaką podjął na własną rękę.

Parę słów warto poświęcić także temu, co Paderewski w swoich pamiętnikach przemilcza. Nie chodzi tu o sprawy najintymniejsze — o swoim drugim małżeństwie mówi krótko wprawdzie, ale otwarcie, jasno i dostatecznie wyczerpująco. Pamiętajmy



wszakże, że była to sprawa, którą przez wiele lat wątkowano w plotkach artystycznych; rzecz przedstawiała się sensacyjnie w genezie i przebiegu tego romansu, jak i w jego rozwiązaniu, skoro Paderewskiemu, dzięki doskonałym koneksjom, udało się przeprowadzić unieważnienie poprzedniego małżeństwa przyszej żony. Zagadkowe są jednak inne sprawy. Tak więc zaskakuje powściągliwość, a nawet milczenie w stosunku do takich postaci, jak dr Tytus Chałubiński czy Aleksander Świętochowski ludzi, którzy zdaje się słusznie mogliby uchodzić za jego protektorów, a nawet dobroczyńców. Skąpo także w tych wspomnieniach o projektach z roku 1908, kiedy to poważnie mówiło się o pertraktacjach prowadzonych - z Paderewskim w sprawie objęcia kierownictwa Konserwatorium Warszawskiego i utworzenia tam klasy wirtuozowskiej. W świetle znanych dokumentów sprawa przedstawia się dosyć zawile, a pamiętniki nie przynoszą jej rozwiązania.

Miał kiedyś Paderewski powiedzieć o sobie, że nie wie, czy umie grać na fortepianie, ale na pewno umie przemawiać. Jeśli pierwszą część zdania uważać można za artystyczną kokieterię, to drugą należałoby rozszerzyć: umiał także pisać. Bo technika, dzięki której powstała ta książka, nie jest istotna. Pamiętniki te należy traktować jako dzieło Paderewskiego świadczące o dużej dyscyplinie myślowej, zdolności do wartkiej narracji, świeżym zmyśle obserwacyjnym. O wszystkim pamięta Autor, niczym nie przeciążając tekstu, jego opowieść jest barwna, przykuwa uwagę Czytelnika. Paderewski umie opowiedzieć nie tylko o ważnych zdarzeniach, ale zarysować ich anegdotyczne tło, niekiedy bardzo zabawne (walka z dwiema pannami, które chciały zdobyć jego rudy lok i uganiały się za nim po pokojach z nożyczkami w rękę, albo kapitalny opis podróży do Nowej Zelandii i historii ulubionych papug). Skromnie mówi o sukcesach, a rzeczowo, sugestywnie i wcale bez przesady o trudnościach, z jakimi przyszło mu walczyć. Rzadko porusza zagadnienia estetyczne, ale jeśli o nich mówi, to wybiera te, które specjalnie silnie jego samego obchodziły. Stosunkowo najmniej mówi o technice pianistycznej, ale te rzadkie uwagi, tu i ówdzie rozsiane, są nie mniej wartościowe. Szerzej miał zresztą ten temat poruszyć w drugim tomie pamiętników'.

Wspomnienia Paderewskiego w, naszej stosunkowo ubogiej muzycznej literaturze pamiętnikarskiej są zjawiskiem wyjątkowym i cennym. A poza tym — i to chyba najważniejsze — pamiętniki te są bardzo istotnym dokumentem, rzucającym mocne światło na wielką postać kompozytora i pianisty, na całą epokę, a w literaturze naszej stanowią chyba najlepszą jak dotąd monografię o Paderewskim.

Witold Rudziński



Kalendarium dziejów Paderewskiego  
objętych niniejszymi „Pamiętnikami”

- 1860 Rok urodzenia  
1872—78 Nauka w warszawskim Instytucie Muzycznym  
1879 Pierwsze utwory, pierwsi uczniowie  
1880 Ślub i śmierć żony (Antoniny z Korsaków)  
1881-83 Studia kompozytorskie w Berlinie  
1884 Epizod tatrzański  
1884-86 Studia pianistyczne w Wiedniu, Leszetycki  
1887 Triumf wiedeński  
1888 Sukcesy w Paryżu, „Koncert fortepianowy”, słynny „Menuet” i „Krakowiak fantastyczny”  
1890 Tournee po Anglii  
1891-93 Podbój Ameryki ,  
1893 „Fantazja na tematy polskie”  
1894—99 Nieustanne koncertowanie  
1899 Ślub z Heleną Rosen; Riond-Bosson  
1901 „Manru” w Dreźnie  
1902—03 Estrady koncertowe Ameryki i Europy  
1904 Tournee po Australii i Nowej Zelandii  
1907 Ukończenie rozpoczętej w 1903 „Symfonii h—moll”  
1910 Pomnik Grunwaldzki w Krakowie; mowa chopinowska  
we Lwowie  
1911 — 14 Powrót do koncertowania, tournee afrykańskie

## **Kalendarium dziejów Paderewskiego nie objętych niniejszymi „Pamiętnikami”**

- 1914—17* I wojna światowa, pobyt w Ameryce
- 1918* Przyjazd do Europy, premier i minister spraw zagranicznych
- 1919* Traktat wersalski
- 1922—28* Powrót do działalności artystycznej
- 1929* Uczniowie: Sztompka, Nawrocki; Tadlewski, Dygat, Szpinalski
- 1934* Śmierć Heleny Paderewskiej
- 1936* Film „Sonata księżycowa”
- 1937* „Dzieła wszystkie” Chopina; Małcużyński
- 1938* Ostatni koncert publiczny
- 1939* II wojna światowa
- 1940* Wyjazd ze Szwajcarii; działalność polityczna w Ameryce
- 1941* 29 czerwca śmierć w Nowym Jorku, 4 lipca pogrzeb w Waszyngtonie

## Spis treści

Przedmowa 5

### PAMIĘTNIKI

Lata chłopięce	17
Czasy studenckie w Warszawie	52
Berlin i świat muzyczny	82
Wiedeń: Leszetycki i Rubinstein	113
Powodzenie, które przyszło za wcześnie	152
Paryż i kolacyjne tournee po Holandii	175
Anglia i zagadka berlińska	203
Wspomnienia z Londynu	223
Ameryka	242
O słuchaczach i o polityce	286
Druga podróż do Ameryki	308
Interludium kompozytorskie	332
Tournee po Rosji	349
Dom w Szwajcarii	367
Błyskawiczna kariera	384
Australia i Nowa Zelandia	410
Bunt przeciw fortepianowi	436
Dzień moich imienin	462
Posłowie	471
Kalendarium	477 , 478

Ilustracje: Archiwum PWM

Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków, al. Krasieńskiego 11a. Printed in Poland. Wyd. V, 100170 egz., 23,2 ark. wyd., 31 ark. druk. Druk fotooffsetowy ukończono w r. 1984. Zakłady Graficzne w Gdańsku. Zam. nr 1603/83. T-8/353. Cena zł 200.-



*Antonina z Korsaków Paderewska*

